

VICTOR OSTROVSKY

**DRUGIE OBLICZE
ZDRADY**

Podziękowania

Podziękowania należą się wielu przyjaciołom i byłym kolegom, lecz biorąc pod uwagę charakter pracy wywiadowczej, muszą oni pozostać anonimowi.

Chciałbym podziękować mojemu agentowi, Timowi Haysowi, którego wiara w powodzenie tego projektu pomogła mi doprowadzić do publikacji książki mimo głośnych protestów, oraz mojemu wydawcy, Rickowi Horganowi, pracowitemu, pozbawionemu uprzedzeń facetowi, którego inteligentne spojrzenie było dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Na koniec słowa podziękowania przekazuję: wydawcy Harper Collins, Jackowi McKeownowi i jego pracownikom, Judy Tashbook, Kathy Saypole, Chrisowi McLaughlinowi, a także Mary O'Shaughnessy.

Victor Ostrovsky

Nota od autora

Napisałem tę książkę, aby ukazać całą prawdę o mojej życiowej drodze. Jestem przekonany, że wielu ludzi wolałoby swój udział w tych wydarzeniach ukryć w mrokach przeszłości, a inni, gdyby tylko mogli, bez wahania użyliby swoich wpływów, aby tak się stało.

Ze względu na złożoność poruszanych problemów zdecydowałem, że książka będzie najlepszym środkiem do przekazania faktów. Postanowiłem też zaprezentować wydarzenia w porządku chronologicznym.

Choć funkcjonariusze służb specjalnych raczej nie przechowują notatek ani nagrań, posiadałem pewne zapiski na temat zadań, które mi powierzano. Pierwotnie wcale nie miałem zamiaru wykorzystywać ich przy pisaniu książki, ale okazały się bardzo pomocne jako dodatkowe źródło informacji. Przy rekonstrukcji wydarzeń opisanych na kartach tej książki polegałem głównie na własnej pamięci, ale korzystałem też z tych notatek. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby uniknąć nieścisłości. Moja zdolność zapamiętywania nawet mało istotnych szczegółów była jedną z cech, które zadecydowały o przyjęciu mnie do Mosadu, tak więc z całym przekonaniem mogę powiedzieć, że treść książki odpowiada prawdzie w najdrobniejszych szczegółach. Wszystkie imiona i nazwiska osób występujących w książce są

prawdziwe, z wyjątkiem Diny, Racheli, Alberta, Davida, Sarah, Ramiego, Edwarda i Fadllala. Aktywnych agentów wywiadu przedstawiłem tylko imieniem, aby ochronić ich przed zdemaskowaniem. Oprócz tego postarałem się, aby Mosad otrzymał egzemplarz książki tuż przed jej opublikowaniem, dzięki czemu można było zastosować wszelkie konieczne środki ostrożności. Pisząc tę pracę nie kierowałem się żądzą zemsty.

Najważniejsze opisane w książce wydarzenia były wyczerpująco komentowane przez środki masowego przekazu, w prasie ukazało się wiele artykułów.

Na koniec jeszcze raz podkreślam, że opisałem w tej książce osobiste doświadczenia i wydarzenia, w których brałem czynny udział.

Victor Ostrowsky

Prolog

Rodzice mojego ojca na przełomie wieków wyemigrowali z Rosji do Kanady. Razem z innymi emigrantami osiedlili się w niewielkim mieście Wakaw w Saskatchewan, gdzie mój dziadek, Aaron Ostrovsky, rozkręcił prywatny interes. W latach Wielkiego Kryzysu zbankrutował i w efekcie rodzina przeniosła się do Edmonton w prowincji Alberta.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy rodzina Ostrowskich osiedliła się w Kanadzie, rodzina Margolin - Esther, Hayyim oraz ich dziecko, Rafa - zdołała uciec przed rosyjskimi pogromami i dotarła do Palestyny. Osiedli w Jerozolimie i mieli jeszcze dwójkę dzieci o imionach Mira i Maza.

Sid Ostrovsky, piąte dziecko z siedmiu potomków Aarona, służył w czasie drugiej wojny światowej w kanadyjskim dywizjonie bombowców i wykonał pełną turę lotów bojowych nad Europą. Po wojnie wstąpił do formowanej armii nowego państwa, Izraela.

Spotkał tam Mirę Margolin, która właśnie zakończyła służbę w armii brytyjskiej, mając za sobą walkę z Niemcami w Afryce Północnej.

Nowożeńcy zamieszkali w domu w Edmonton, gdzie 28 listopada 1949 roku urodził się ich syn, czyli ja. Mama, której w żadnym razie nie można nazwać typową gospodynią

domową, znalazła posadę nauczycielki w żydowskiej szkole w Edmonton, a ciężką pracą, związaną z wychowywaniem syna, obarczyła moją babcię ze strony ojca, Bessie Ostrovsky.

Miałem wielkie szczęście, że los przeznaczył mi akurat takich, a nie innych dziadków. Mama należała do ludzi, którym przypisuje się umiłowanie wolności ducha i cygańską naturę. Odebrawszy wychowanie w podziemnej izraelskiej szkole Haganah i brytyjskiej armii, marzyła o karierze aktorskiej. Dostawała jednak niewiele ról teatralnych, rzadko miała okazję wyjść na scenę, przez co z każdym rokiem popadała w coraz większą frustrację. W przeciwieństwie do niej, mój ojciec żył w przekonaniu, że pewnego dnia osiągnie swój cel: ziszczy się jego amerykański sen o stabilizacji finansowej i rodzinnej sielance. Droga do tego celu była jednak długa i ciężka. Różnice charakterów okazały się nie do pogodzenia i ostatecznie moi rodzice zdecydowali się na separację. Miałem wówczas pięć lat.

Mama zabrała mnie z powrotem do Izraela, a jej rodzice, Hayyim i Esther Margolin, zajęli się moim wychowaniem. Z przyjemnością wspominam nieduży dom przy ulicy Hoyod-daleth, promieniujący rodzinnym ciepłem i miłością, pełen książek i jedynej w swoim rodzaju atmosfery, kształtowanej przez długie rozmowy o religii Syjonu i jej przenikaniu do zwykłego, codziennego życia.

Ponieważ przejawiałem zamiłowanie do sztuki, dziadkowie zapoznali mnie z malarzem o nazwisku Gilady, który mieszkał po sąsiedzku. Podarował mi pudełko farb olejnych i trochę swego cennego czasu, wprowadzając mnie w tajniki perspektywy i zasad dobierania odpowiednich kompozycji kolorystycznych. Wskazówki Gilady'ego zostały mi w pamięci już na zawsze i korzystałem z nich nawet wtedy, gdy dziecięce hobby przemieniło się w życiową pasję.

Dzieciństwo miałem spokojne. Co jakiś czas pojawiała się mama, która niczym tornado wpadała do domu i nim

zdążyłem się zorientować, znikła gdzieś w sienie dali. Przeżywając jedną ze swych depresji, wpadła na pomysł, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym uczył się w szkole z internatem. Protesty babci były bezskuteczne i przyszło mi spędzić bardzo długi rok w strasznym miejscu zwanym Hadasim. Była to szkoła z internatem położona w samym środku Izraela, założona i nadzorowana przez Hadassah Wizo, żydowską organizację kobiecą z Kanady. Pocieszałem się myślą, że gdyby władze tej organizacji wiedziały o narzuconej uczniom dyscyplinie, spartańskich warunkach i skłonności do zmuszania dzieci do pracy, szkoła natychmiast zostałaby zamknięta.

Wiedzieli czy nie, nie mogłem czekać i po zakończeniu roku szkolnego przejąłem inicjatywę - wróciłem do domu dziadków. Wkrótce potem moja pewność siebie zdecydowanie wzrosła, a stało się to wówczas, gdy wstąpiłem w szeregi młodych brygad Gadna i zająłem drugie miejsce w ogólnopństwowych zawodach strzeleckich, startując jako członek klubu strzeleckiego Abu Kabir, prowadzonego przez Dana Davida.

W szkole średniej poznałem Bellę. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Spędzaliśmy ze sobą każdą chwilę, czytaliśmy te same książki, włóczyliśmy się po okolicy, rozmawialiśmy o polityce, ale najbardziej cieszyliśmy się tym, że możemy być razem. Mniej więcej w wieku osiemnastu lat oboje wstąpiliśmy do armii izraelskiej. Bella dostała przydział do ministerstwa obrony, ja do żandarmerii wojskowej.

Przeszedłem podstawowe szkolenie, następnie zaliczyłem kurs podoficerski, a potem oficerski. Ten ostatni ukończyłem jako najmłodszy oficer w całych Siłach Zbrojnych Izraela. Później był kurs oficera żandarmerii wojskowej, kurs prawa, szkolenie snajperskie i przeszkolenie w zakresie stosowania materiałów wybuchowych.

Gdy ostatecznie zakończyłem tę wojskową edukację, Bella i ja pobraliśmy się. Nie mieliśmy nawet dwudziestu lat. Mówiono nam, że jesteśmy za młodzi, ale nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, iż nasz związek mógłby okazać się pomyłką. Po prostu budowaliśmy go wspólnie. Rok później urodziła się Sharon i nikt już nie twierdził, że może nam się nie udać.

Po trzyletniej służbie opuściłem szeregi armii, dosłużywszy się stopnia porucznika. Pojechaliśmy z wizytą do mojej rodziny w Edmonton i zostaliśmy tam... pięć lat. Nasza druga córka, Leorah, przyszła na świat w Edmonton, kiedy Sharon miała cztery lata.

Wróciliśmy do Izraela w 1977 roku. Nazajutrz po przyjeździe zaciągnąłem się do marynarki i otrzymałem stopień kapitana. Po pięciu latach służby awansowałem do stopnia komandora porucznika. Przez większość tego czasu kierowałem wydziałem, który zajmował się koordynowaniem badań i testowaniem nowych broni przed wprowadzeniem ich do arsenału marynarki. W tym czasie zostałem oddelegowany do college'u dla przyszyłych oficerów, gdzie już do końca służby prowadziłem wykłady, choć nie byłem etatowym pracownikiem.

Dla mnie i Belli był to wyjątkowo dobry okres. Mieliśmy szeroki krąg przyjaciół, w weekendy jeździliśmy na wycieczki, spotkania rodzinne i przyjęcia. Pewnego dnia otrzymałem pierwszy telefon od chłopaków ze służby bezpieczeństwa. Chyba byli z Mosadu albo podobnej organizacji. Zanim udzielono mi bliższych informacji o rodzaju proponowanej pracy, przeszedłem przez długą i intensywną serię testów. Na koniec dowiedziałem się, że rozważano nadanie mi statusu „kombatanta”. Jedną z konsekwencji byłyby długie okresy rozłąki z Bella i dziećmi. Nie zgodziłem się. Usiłowano przekonać mnie do zmiany tej decyzji, lecz po kilku próbach, które coraz bardziej przypominały jawne groźby, ostatecznie pogodzono się z moją odmową.

W 1982 roku opuściłem marynarkę i zacząłem wydawać magazyn poświęcony filmom wideo, pierwszy tego typu w Izraelu. Jak wiele prawdziwych nowinek, nie znalazł odbiorców i upadł (z pewnością nie pomogło mu to, że kraj był wówczas zamieszany w międzynarodową awanturę, zwaną później libańskim bagnem). Później rozkręciłem niedużą firmę, zajmującą się produkcją witraży. (Ta również dość szybko splajtowała z powodu braku zamówień.) W tym czasie uczyłem się programowania komputerów, ponieważ wierzyłem, że w przyszłości będzie to bardzo użyteczna umiejętność.

I wtedy znowu odezwali się do mnie agenci Mosadu. Tym razem już na wstępie zaznaczyli, że ich propozycja nie oznacza długich okresów separacji od rodziny. Rozpocząłem drugą rundę testów, trwającą prawie cały rok.

Wciąż pracowałem w moim sklepie z witrażami w Herzeli, gdy skontaktowało się ze mną dwóch mężczyzn, których znałem z okresu wydawania magazynu wideo. Obaj produkowali plastikowe pudełka, w których sprzedawano kasety wideo, a ja wykonałem dla nich serię projektów graficznych. Jak się okazało, jeden z nich, Itsik Zarug, miał powiązania ze światem przestępczym Izraela. Przekazał mi propozycję pewnego anonimowego przyjaciela: miałem wziąć udział w przedsięwzięciu polegającym na fałszowaniu dużej liczby kart kredytowych Visa, MasterCard i innych. Wręczył mi kilka skradzionych kart i powiedział, że mam wykorzystać je jako wzorzec do wykonania podróbek.

Zatelefonowałem do przyjaciela, adwokata z Tel Awiwu, który służył kiedyś pod moim dowództwem w żandarmerii. Poprosiłem go, aby w moim imieniu skontaktował się z policją. Chciałem mieć należytą ochronę prawną przed konfrontacją z przestępcami. Mój prawnik umówił mnie na spotkanie z oficerem policji o nazwisku Eitan Golan, szefem wydziału do spraw fałszerstw w Tel Awiwie. Opowiedziałem

mu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Zapytał, czy chciałbym pracować dla policji jako tajny agent. Zgodziłem się pod warunkiem, że moje nazwisko nigdy nie będzie kojarzone z tą sprawą.

Kilka miesięcy później pojmano i posłano za kratki cały gang. Gazety doniosły, że policja skorzystała z pomocy pewnego artysty grafika, ale moje nazwisko nie zostało wymienione. Wydział bezpieczeństwa Mosadu skutecznie pokrzyżował plany policji i nie musiałem stawić się w sądzie. Od tej chwili znajdowałem się pod ochronnym parasolem Mosadu, stałem się członkiem elitarnego zespołu i znalazłem się pod szczególną opieką państwa. Moje życie nigdy już nie miało być takie jak przedtem.

1

Czwartek, 17 lipca 1986 r.

W małej, zagrzybionej celi było potwornie gorąco. W ciemnym kącie obok zakratowanego okna anemicznie poruszał się stary, brudny wentylator, z wysiłkiem zmuszając do ruchu zateęchłe powietrze. Byłem w pułapce.

Trzy dni wcześniej przybyłem do Kairu, lecąc z Nowego Jorku na pokładzie samolotu linii Aer Lingus. Z lotniska odebrało mnie dwóch krzepkich facetów w szarych uniformach typu safari z krótkimi rękawami. Jeden z moich nowych goryli znał język angielski. Skorzystał z tej zdolności i poinformował, że razem ze swym kolegą zabiera mnie w bezpieczne miejsce. Bezceremonialnie chwycili mnie za ramiona i pociągnęli w stronę niewielkiego białego samochodu zaparkowanego przy krawężniku naprzeciw głównego wejścia.

- Witamy w Egipcie - powiedział ten mówiący po angielsku, kiedy samochód ruszył. Siedział obok mnie na tylnym siedzeniu i nie odezwał się już ani słowem, dopóki nie opuściliśmy terenu portu lotniczego. Potem wręczył mi przepaskę na oczy i grzecznie poprosił, abym zrobił z niej użytek.

Nikogo, kto spędził choć trochę czasu w służbach wywiadowczych, takie okoliczności nie dziwiły. Następne trzydzieści minut przesiedziałem w ciemności. Założyłem, iż jedziemy na spotkanie z przedstawicielami egipskiego wy-

wiadu i służby bezpieczeństwa, ponieważ jedynym celem, dla którego przybyłem na egipską ziemię, było dokonanie zdrady poprzedniego pracodawcy, najślynniejszej agencji wywiadowczej Izraela - Mosadu.

Nie co dzień zdarza się, że oficer śledczy Mosadu puka do drzwi egipskich wywiadowców i jest gotów pójść na układy. Spodziewałem się szczególnych względów, ale raczej miałem na myśli czerwony dywan na płycie lotniska niż czarną opaskę na oczach. Słuch służył mi bez zarzutu. Do moich uszu docierał zgiełk dużego bliskowschodniego miasta, głośne klaksony aut, okrzyki sprzedawców zachwalających swe towary. Wszystko to wydawało mi się znajome, a kiedy do dźwięków dołączyły wonie piecyków węglowych i wielbłądziego nawozu, przed oczami stanęła mi Jaffa lub wschodnia Jerozolima.

Po jakimś czasie odgłosy miasta ścichły, ustępując miejsca szumowi powietrza wpadającego przez otwarte okno. Potem miałem wrażenie, że słyszę dudnienie silników diesla i pisk czółgowych gąsienic. Wystarczająco długo służyłem w wojsku, aby zorientować się, że wjechaliśmy na obszar bazy wojskowej.

Kiedy zdjęto mi z oczu przepaskę, zobaczyłem, że zaparkowaliśmy na dziedzińcu starych koszarów, które zostały tu jeszcze po Brytyjczykach. Duży kwadratowy plac otaczał ze wszystkich stron zrujnowany, pięciopiętrowy budynek.

Mroczną klatką schodową wprowadzono mnie na trzecie piętro. Powitało nas dwóch strażników uzbrojonych w karabiny maszynowe. Poprowadzili nas przez równie mroczny korytarz do metalowych drzwi pomalowanych zieloną farbą. Spodziewałem się, że zabiorą mnie do jakiegoś oficera. Pomyliłem się. Znalazłem się w celi pięć na sześć metrów i ciężkie metalowe drzwi zatrzasnęły się za moimi plecami; zostałem sam. Na koniec usłyszałem dźwięk przekręcanego w zamku klucza i kroki oddalającej się eskorty.

Z początku przypuszczałem, że umieszczono mnie w tej celi tylko tymczasowo, lecz kiedy się rozejrzałem, przestałem być tego pewny. W powietrzu unosiła się woń uryny i ludzkich ekskrementów. Okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec było zabezpieczone solidnymi, metalowymi kratami. Duże żelazne łóżko, wypełniające większą część celi, również wskazywało na to, że czeka mnie dłuższy pobyt w tym miejscu. Ziarno paniki padło na podatny grunt. Nagle zdałem sobie sprawę, kim jestem: więźniem. I nikt z zewnątrz nie wiedział, gdzie się znajduję.

W grubej bocznej ścianie dojrzałem nierówny otwór wejściowy, prowadzący do czegoś w rodzaju ciasnej krypty. Znalazłem tam stanowisko prysznicza z poplamioną, plastikową zasłoną. Naprzeciw prysznicza podłoga była lekko nachylona ku środkowi, w którym znajdował się otwór, będący prymitywnym surogatem toalety. Cofnąłem się odkrywszy, że otwór jest nie tylko źródłem smrodu, ale jednocześnie siedliskiem karaluchów.

Minutę później usłyszałem zgrzytanie klucza w zamku. No, proszę - przemknęło mi przez głowę - przychodzi zabrać mnie stąd i przeprosić. Szybko zdecydowałem, że przyjmę przeprosiny i puszcze incydent w niepamięć. Każdemu może się zdarzyć taka pomyłka.

Do celi wszedł starszy mężczyzna w białej galabii. Niósł tacę, a na niej owoce, duży szklany dzbanek z lemoniadą i szklanę. Uśmiechnął się, stawiając tacę na brzegu stołu przy łóżku. Uzbrojony strażnik przez cały czas stał na progu i obserwował. Tymczasem starszy mężczyzna wszedł do pomieszczenia z prysznicem i zawiesił na wieszaku ręcznik, który miał do tej pory przewieszony przez przedramię. Próbowałem zagadać do niego, ale tylko uśmiechał się i kiwał głową.

Starzec wrócił po kilku godzinach, przynosząc więcej jedzenia i dzbanek ze świeżą lemoniadą. Wraz z zapadnięciem

zmierzchu zacząłem akceptować, że spędzę w tej norze trochę czasu, jednak wcale nie stałem się spokojniejszy. Nie istniało żadne logiczne wytłumaczenie takiego postępowania wobec mnie, chyba że Egipcjanie wiedzieli coś, czego wiedzieć nie powinni, i teraz bawili się ze mną w jakąś gierkę własnego pomysłu. O co mogło im chodzić? Żadne sensowne wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy.

Z okna widziałem umundurowanego strażnika, siedzącego na drewnianym krześle przed dużą bramą. Od czasu do czasu otwierał małe, boczne drzwi i z kimś rozmawiał.

Dużą bramę otwierano hałaśliwie każdego ranka o dziewiątej, wpuszczając na wewnętrzny plac biały samochód, podobny do tego, którym mnie tu przywieziono. Każdego ranka ubierałem się w nadziei, że ktoś do mnie przyjdzie i ze mną porozmawia. Nikt nie przychodził. Mój zegarek tykał miarowo, odliczając kolejne godziny, aż w końcu, o szóstej, mogłem dojrzeć przez zakratowane okienko, jak biały samochód wyjeżdża przez bramę. Krzyczałem i waliłem metalową tacą o kraty, ale nikt się mną nie zainteresował.

Upał nie zelżał nawet po zmroku. Włączyłem nieduży, porzewiały wiatraczek, ustawiłem na skraju stołu i skierowałem na siebie chłodniejszy prąd powietrza. Położyłem się na łóżku w samej bieliźnie, zwilżając twarz i pierś mokrym ręcznikiem. Leżałem na plecach, z głową na twardej poduszce. Próbowałem zasnąć-

Po pierwszym dniu smród nie dokuczał mi już tak bardzo. Nie przeszkadzały mi też karaluchy, dopóki siedziały w swojej dziurze kloacznej i trzymały się z dala od jedzenia. Nocą kąbił mi się -w głome TO) myśli. Nie mogłem zasnąć.

Męczyło mnie szczególnie jedno pytanie. Do cholery, jak to się stało, że skończyłem w tej ponurej norze, gdzieś na peryferiach Kairu? Nie potrafiłem odrzucić od siebie przerażającej myśli, że spędzę w tym miejscu resztę życia, a moja żona i dzieci w Kanadzie nawet nie będą wiedzieć, że wcale

ich nie porzuciłem, nie uciekłem od nich, tylko znalazłem się w pułapce bez wyjścia.

Nie potrafiłem powiedzieć, gdzie, jak i kiedy się to skończy, ale mogłem precyzyjnie wskazać moment, który był zalążkiem obecnych wydarzeń...

Sześć miesięcy wcześniej, 3 lutego 1986 roku, przebywałem w hotelu Sun Hull w Larnace na Cyprze. Miałem spotkać się tam z belgijskim terrorystą, członkiem lewego skrzydła organizacji terrorystycznej zwanej Communist Combatant Cells [CCC - Komórki Kombatantów Komunistycznych].

W kieszeni trzymałem fałszywy paszport brytyjski na nazwisko Jason Burton. Zgodnie z nim przybyłem do Larnaki dzień wcześniej i przeszedłem odprawę na lotnisku. Na potwierdzenie posiadałem jeszcze bilet i miejscówkę linii lotniczych Olympic Air. Belg liczył, że otrzyma ode mnie kluczyk do samochodu zaparkowanego gdzieś w Brukseli, którego bagażnik wypełniono po brzegi kilkoma tysiącami najnowszych detonatorów i ładunkiem plastyku, niewykrywalnego materiału wybuchowego. Ja miałem otrzymać w zamian dowód wpłaty na konto banku szwajcarskiego ponad dwóch milionów dolarów.

Ta ściśle tajna operacja należała do największych w tamtym czasie, a ja byłem już wtedy samodzielnym agentem operacyjnym Mosadu. Właśnie w trakcie wykonywania tego zadania sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli. Tak naprawdę nie przyleciałem do Larnaki, ale przybyłem drogą morską. Pierwszy etap podróży, z izraelskiego portu Ashdod do punktu położonego pięćdziesiąt mil na południe od wybrzeża Cypru, odbyłem na pokładzie łodzi patrolowej o nazwie „Dabur”. Drugi etap rozpocząłem od przesiadki na jacht pływający pod grecką banderą, z portem macierzystym

w Larnace. Był to pływający punkt kontaktowy agentów Mosadu.

Byłem tylko pionkiem w grze zaplanowanej przez belgijski referat Meluchy¹. A plan zakładał, że kiedy członkowie lewackiego skrzydła CCC zbliżą się do samochodu w Brukseli, cała siatka zostanie zdjęta przez belgijską policję i służby bezpieczeństwa. Jednocześnie drugą grupę miała aresztować policja holenderska. Siły policyjne obu krajów już od jakiegoś czasu były na tropie terrorystów dzięki całej serii wskazówek, udzielanych przez belgijski referat Mosadu.

Istniały dwa powody, dla których Mosad zorganizował tę operację. CCC była zaangażowana w handel bronią z Organizacją Wyzwolenia Palestyny (OWP) i innymi palestyńskimi ugrupowaniami. Wyłączenie jej z gry byłoby wielkim sukcesem Mosadu w walce z międzynarodowym terroryzmem.

Drugi powód był związany z istic szatańskim pomysłem i dowiedziałem się o nim znacznie później. Za tę część planu odpowiadał Itsik Efrat, szef referatu izraelskiego. W sprawę był uwikłany prawdziwy weteran wywiadu, agent znany pod imieniem Barda, który w 1984 roku wyszedł i skontaktował się z grupą belgijskich renegeatów, pierwotnie utworzoną przez NATO (North Atlantic Treaty Organization) jako tajna antykomunistyczna organizacja, z myślą o włączeniu jej do działania w przypadku inwazji komunistów. Plan ten, nazywany Operacją Gladiator, nigdy nie wszedł w drugą fazę realizacji, jednak NATO nigdy nie rozwiązało stworzonych na użytek tego planu specjalnych komórek. Mosad wykorzystał jedną z nich.

Za zgodą belgijskich tajnych służb i pod nadzorem

¹ Melucha: kryptonim filii rekrutacyjnej Mosadu; filia jest podzielona na wydziały odpowiadające regionom geograficznym, a każdy wydział ma referaty przydzielane do odpowiednich komórek wywiadowczych.

sekcji antyterrorystycznej Mosadu zaktywizowano uśpioną komórkę.

Barda dał Belgom do zrozumienia, że aby wywołać pozytywny odzew społeczny w sprawie wzmocnienia służb bezpieczeństwa, należy przedsięwziąć szczególnie drastyczne kroki - pokazać ludziom makabryczne następstwa akcji terrorystycznych, za które odpowiedzialność miały spaść na komunistów.

- W umysłach Zielonych i tkliwych demokratów należy posiać ziarno niepewności - powiedział im.

Jak donosiły w raportach źródła powiązane z Mosadem, oprócz stworzonej przez NATO komórki pravicowców belgijskie służby specjalne skorzystały z zasobów głębokiej studni pravicowych fanatyków, włącznie z faszystowską partią Westland New Post [WNP - Nowy Posterunek Zachodu]. Ten stworzony pod auspicjami belgijskich służb specjalnych nowy pravicowy odłam, w którego skład weszło kilku czynnych zawodowo policjantów, dokonał serii wyjątkowo brutalnych napadów rabunkowych, zyskując sobie przydomek „morderców z Brabancji”. We wrześniu i listopadzie 1985 roku uderzyli oni na kilka wielkich domów towarowych oraz maczali palce w politycznym zabójstwie belgijskiego ministra. Porwali również kilka ciężarówek, co później przypisano złodziejaszkom „zastrzelonym w bezpośrednim pościgu”. Ataki nie były motywowane finansowo. Ich celem było wytworzenie atmosfery strachu i zdestabilizowanie belgijskiego rządu, który zaczął skrecać w lewo. Trzech członków grupy musiało opuścić kraj jeszcze w 1985 roku. Uciekli do Izraela, gdzie każdy otrzymał od Mosadu nową tożsamość. Od początku było to częścią porozumienia z ekstremalnie pravicowymi ugrupowaniami w Belgii.

Belgowie zażądali, aby Mosad znalazł sposób na zaopatrywanie pravicowców w broń, przy jednoczesnym uwolnieniu belgijskich władz od jakichkolwiek podejrzeń o po-

wiązania z tym procederem. Żądanie to w lutym 1986 roku zaprowadziło mnie na Cypr.

Barda przekazał prawicowym terrorystom informacje o położeniu składów broni należących do CCC, a zaopatrywanych przez Mosad. Przekonał ich, że mogą sobie wziąć z tych składów wszystko, czego dusza zapragnie, tym bardziej, iż odpowiedzialność za wykorzystanie tych „dóbr” spadnie na komunistów.

W dniu poprzedzającym planowane przekazanie klucza człowiekowi CCC, po dziesięciominutowych zmaganiach z kapryśnym morzem, kiedy to przesiadałem się z jednej rozkołysanej łodzi do drugiej, stanąłem twarzą w twarz z Ze'evem Alonem. Nadzorował misje o charakterze technicznym i właśnie opuszczał wyspę. Jego obecność na łodzi była czymś absolutnie niezwykłym. Ja pracowałem dla wydziału werbunkowego i nie miałem nic wspólnego z zadaniami specjalnymi. On wprost przeciwnie, jako członek pododdziału Proudot świadczył usługi głównie dla kombatantów² ze strzeżonego najściślejszą tajemnicą wydziału o nazwie Metsada³. Wydział ten zwykle najmował kombatantów w krajach arabskich do specjalnych misji Kidoń.⁴

Ze'ev streścił mi moje nowe, drugie zadanie. Miałem teraz pełnić funkcję stacji przekaźnikowej lub zapasowej stacji

² Kombatant: obywatel Izraela zwerbowany do wykonania niebezpiecznych zadań na tyłach wroga. Kombatantów szkoli się w izolacji od innych agentów Mosadu, nie przekazując żadnych informacji na temat organizacji. W razie pojmania nie może wyjawić żadnych danych.

³ Metsada: kryptonim sekcji Mosadu zatrudniającej kombatantów i oddział uderzeniowy zwany Kidoń.

⁴ Kidoń: w wolnym przekładzie słowo oznacza „bagnet”. Odnosi się do pododdziału tajnego wydziału Metsada, zajmującego się skrytobójczymi zamachami i specjalnymi akcjami na zapleczu wroga. Pododdział ten składa się z kilku szwadronów. Wszystkie zabójstwa planowane przez Mosad są realizowane przez szwadrony Kidoń.

nadawczej w operacji, którą - z powodu niesprzyjających okoliczności - pośpiesznie organizowano w ostatniej chwili.

- Cypr nie jest dla nas zbyt gościnnie - powiedział. - Im mniej mamy tam naszych ludzi, tym lepiej.

Mu'ammar al-Kaddafi zwołał trzydniowy szczyt organizacji, dla której sam ukuł termin Sprzymierzone Przewodnictwo Rewolucyjnych Sił Narodu Arabskiego (Allied Leadership of the Revolutionary Forces of the Arab Nation). Innymi słowy był to zjazd wszystkich najważniejszych terrorystów. Mosad, niczym drapieżnik na sawannie, przyglądał się, ślinka ciekła mu na widok takiego bogactwa zwierzyny i wprost nie mógł się doczekać chwili, gdy dosięgnie ją swymi pazurami.

Z tej okazji oddelegowano do Libii kombatanta, który podawał się za reportera francuskojęzycznej gazety „Afrîque-Asie”. Będąc tam dowiedział się, że po zakończeniu konferencji kilku przywódców palestyńskich organizacji terrorystycznych odleci do Syrii na pokładzie prywatnego odrzutowca typu gulfstream II. Mosad przekonał premiera Izraela, Szimona Peresa, aby zaaprobował porwanie samolotu.

Operacja była wyjątkowo delikatnej natury i szef Mosadu chciał mieć człowieka, który będąc naocznym świadkiem odlotu Palestyńczyków, dokonałby pozytywnej weryfikacji danych wywiadu i potwierdził, że na pokład samolotu wsiadli właściwi ludzie. Po zamknięciu drzwi samolotu za terrorystami, kombatant obserwujący odlot miał przesłać wiadomość przez specjalne, przenośne urządzenie nadawcze. Statek marynarki handlowej płynący do Gibraltaru powinien odebrać komunikat i retransmitować do Izraela. Potrzeba zapasowej stacji nadawczej wynikała z faktu, że używane przez agentów przenośne urządzenie nadawcze sprawiało wcześniej kłopoty. Działo niezawodnie przy dobrej pogodzie, lecz w tej sytuacji spodziewano się gorszych warunków. Operacja należała więc do najprostszych. Kombatant, po

sprawdzeniu, że na pokład gulfstreama wsiedli terroryści, miał włączyć urządzenie sygnalizujące oraz zatelefonować do mnie, do hotelu. Gdyby wszystko szło po naszej myśli, usłyszałbym: „Kurczaki wyfrunęły z kurnika”. W takim wypadku miałem skorzystać z beepera i wysłać sygnał potwierdzający otrzymanie pozytywnego komunikatu, który zostałby przechwycony przez łódź patrolową pływającą u wybrzeży Cypru.

Po omówieniu nowego zadania, Ze'ev jeszcze życzył mi szczęścia, a potem przesiadł się na „Dabur” i udał się do Izraela. Podejrzewałem, że oprócz mnie istnieli jeszcze inni agenci spełniający rolę awaryjnej stacji nadawczej.

Spotkanie z Belgiem i przekazanie klucza przebiegło bez zakłóceń. Dziewięć dni później, 12 lutego 1986 roku, belgijska policja zgarnęła go razem z jego towarzyszami z CCC. Terroryści dysponowali ponad stu kilogramami materiałów wybuchowych i tysiącem detonatorów. Jednocześnie prawi-cowi partnerzy Mosadu wkroczyli do kilku składów broni na terenie Antwerpii. Faszyści weszli w posiadanie dwóch ciężarówek lekkiej broni i kilku ton amunicji.

Wykonując swą drugą misję na Cyprze, sparzyłem się wrzątkiem. Będąc gościem hotelu w Larnace zbliżyłem się do palestyńskiego biznesmena ze stolicy Jordanii, Ammanu, albo - jak mawiamy w naszym kręgu - „nawiązałem z nim kontakt.” Był jednym z nielicznych przebywających w hotelu turystów. W zasadzie nie wolno nawiązywać kontaktów, które nie byłyby zatwierdzone przez zwierzchników, jednak agenci robili to bez przerwy. Mówiliśmy sobie, że trzeba podjąć ryzyko. Jeżeli akcja powiodła się, zostawało się bohaterem. Jeśli się nie powiodła, nikt się o niej nie dowiadywał.

W rozmowie wyszło na jaw, że biznesmen właśnie wrócił z Libii, gdzie miał znajomości w szeregach OWP. Dowiedziałem się, że Palestyńczycy mają zamiar w Trypolisie

nabić nas w butelkę. Wyraził się mniej więcej tak: „Izraelczycy będą jutro żreć własne gówno”.

Miałem świadomość, że Mosad rozważa ewentualność podstępu, jednak nikt nie podejrzewał Palestyńczyków o taką przebiegłość.

Nabrawszy pewności, że informacja jest autentyczna, próbowałem skontaktować się z każdym, kogo znałem w siatce, aby zastopować operację. Zmagałem się z nieskończoną liczbą barier nakładanych przez Mosad na linie komunikacyjne w czasie przeprowadzania tajnej operacji. Zakrawało to na ironię, że bariery mające stanowić zabezpieczenie, teraz uniemożliwiały przesłanie ostrzeżenia. Punkt dowodzenia znajdował się w bazie sił powietrznych Mahaneh David. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ktoś chciał, żeby akcja skończyła się niepowodzeniem.

W końcu otrzymałem komunikat od kombatanta i przekazałem wiadomość dalej. Ponieważ pełniłem tylko rolę stacji przekąźnikowej, musiałem wysłać wiadomość w takiej formie, w jakiej ją otrzymałem, bez dodawania lub usuwania z niej czegokolwiek, chociaż byłem niemal pewien, że zawiera błędne informacje. Nigdy nie dowiedziałem się, czy wiadomość dotarła do statku towarowego. Może dotarła, ale dane na temat przebiegu operacji utrzymywano w tajemnicy aż do jej zakończenia, ponieważ gdyby coś poszło nie tak, całą winę można było zwalić na z góry wyznaczonego kozła ofiarnego. Czyli na mnie. Jednego jestem pewny: samolot uprowadzono i zmuszono do lądowania, ale na pokładzie nie było nikogo godnego uwagi.

Opuściłem Cypr na pokładzie jachtu i po pewnym czasie przesiadłem się na „Dabur”. Ktoś nie chciał mnie widzieć w Izraelu i „Dabur” przez kilka dni krążył po morzu. Kapitan statku otrzymał instrukcje z dowództwa marynarki, że powinien „dokonać przeglądu silników statku”. Nawet gdyby rzeczywiście istniała taka konieczność, domyśliłem

się, że zwłoka jest komuś potrzebna do dokonania manipulacji, w wyniku której to ja okazałem się winnym niepowodzenia. Według mnie manipulacja była możliwa tylko wówczas, gdyby komбатant posunął się do kłamstwa i opisał wydarzenia w taki sposób, że wina za nieporozumienie i błędny przekaz spadłaby na mnie. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, iż w takim wypadku zostałyby zatarty ślad po wszystkich podejmowanych przeze mnie próbach ostrzeżenia dowództwa. Jak się okazało, bezbłędnie przewidziałem rozwój wypadków. Kiedy ostatecznie dobiliśmy do nabrzeża Ashdod, czekał na mnie Oren Riff, szef sztabu Mosadu. Jego zadaniem było przypomnieć mi, na czym polega służba w wywiadzie. Zachowując świadomość, że działam dla dobra Biura⁵, miałem wziąć na siebie całą odpowiedzialność za sfuszerowanie operacji. Nie miałem żadnego wyboru, toteż roztropnie wyraziłem zgodę.

⁵ Biuro: termin używany przez pracowników Mosadu na określenie macierzystej firmy, której prawdziwej nazwy nigdy się nie wymienia.

2

W połowie lutego „cypryjska wpadka”, jak mawiano o tej akcji, należała już do przeszłości. Tak czy inaczej, nadal znajdowałem się pod nieustanną, baczną obserwacją. Wisząca nade mną ciężka chmura odpowiedzialności za porażkę zaczynała mi przeszkadzać.

Wciąż byłem tylko rekrutem na okresie próbnym, który zwykle dla nowych pracowników Mosadu trwa cztery lata. Na dodatek teraz znalazłem się pod specjalnym nadzorem. Większość rekrutów nie chciała pracować ze mną w parze, bo nikt sam nie zamierzał pchać się pod lupę.

- Nikt nie jest doskonały - powiedział mi Arik, jeden z moich kolegów. - Czasem zmorzy człowieka sen, a kiedy otworzy oczy, wokół niego aż roi się od wrogów. Dlaczego po prostu nie poddasz się i nie złożysz rezygnacji?

Wiedziałem, że ma rację, lecz nie mogłem się poddać. Służba w Mosadzie była dla mnie największym osiągnięciem życiowym. W organizacji krążył dowcip, że jeśli faceta stać na odbycie drugiego stosunku w chwilę po orgazmie, to prawdopodobnie jest agentem Mosadu.

Zanim cokolwiek zrobiłem, dwukrotnie sprawdzałem każdy krok, dopinałem wszystko na ostatni guzik, rozważałem wszelkie możliwe konsekwencje. Pretendowanie do miana chodzącej doskonałości zaczynało mnie męczyć, ale byłem zdecydowany nie dać przełożonym satysfakcji z przyłapania mnie na błędzie. Doskonale wiedziałem, że niejeden z nich byłby szczęśliwy, gdyby mógł się mnie pozbyć. Nie

podobały im się moje przekonania polityczne. Byłem centrystą, ale w kategoriach Mosadu - lewicowcem, jeśli nie lewakiem.

Życie w nieustannym napięciu niekorzystnie odbijało się na atmosferze w rodzinie, bowiem frustracje odraogowywałem w domu, na moich bliskich. Zgodnie z wymogami, wszyscy agenci operacyjni Mosadu działający poza granicami kraju muszą być żonaci, jednak tylko niewielu może nazwać swoje małżeństwo szczęśliwym. Większość z nich żyje w nieudanym związku, który na dodatek nie jest pierwszym małżeństwem. Zacząłem wracać do domu później niż zwykle, a resztkę wolnego od pracy czasu spędzałem w gronie chłopaków, przesiadując w jednym z naszych stałych lokali. Czuję się tak, jakbym pracował z bandą plotkarek: tego, kto pierwszy wychodził, natychmiast obgadano, wymieniając bzdurne plotki i pomówienia. Najlepszą ochroną przed potwarzą było pozostanie do samego końca. Zdawałem sobie sprawę, że poświęcam Belli i dzieciakom za mało czasu, ale wynalazłem racjonalną wymówkę i wmówiłem sobie, iż ta sytuacja jest tylko tymczasowa. Kiedy zdobędę silniejszą pozycję w systemie, wynagrodzę im to.

Pracując dla Mosadu, zawsze można znaleźć powód, żeby przyjść do domu późnym wieczorem. Zamiast zwrócić się ku jedynej osobie, która była moim prawdziwym przyjacielem, mojej żonie, Belli, odwróciłem się od niej. Nie lubiła nikogo z Biura. Przejrzała ich na wylot.

Ponieważ nie byłem w stanie zmienić rzeczywistości, próbowałem zmienić sposób jej postrzegania. Powtarzałem sobie, że to Bella ma wypaczone pojęcie na temat mojej pracy, że powinna podzielać mój punkt widzenia. Przecież byłem agentem Mosadu, członkiem elity, wybrańcem. Tyle że w domu nie byłem agentem. I prawdę mówiąc wcale nie chciałem nim być.

W czasie trwania mojego okresu próbnego, znalazłem się w samym środku pomniejszej operacji, którą Mosad przeprowadzał w miejscu, gdzie nie wolno mu było działać - w Izraelu. Wprawdzie nie istnieje prawo regulujące działalność Mosadu, ale istnieje Shaback (wewnętrzne służby bezpieczeństwa Izraela), organizacja czuwająca nad przestrzeganiem zakazu przeprowadzania operacji na terenie kraju. Stąd zasada dotycząca tych „niedozwolonych” operacji brzmi: w przypadku wpadki stwierdzimy, że były to tylko ćwiczenia.

Operacja, w którą zostałem wplątany, miała przynieść wymierne korzyści izraelskiej spółce El Op, specjalizującej się w produkcji układów elektroniki optycznej. W zakładach spółki pracowano nad zupełnie nowym urządzeniem do przesyłania i odbierania obrazów uzyskanych techniką fotografii cyfrowej (w skrócie DPI, od „digitized photographic image”), a jednocześnie szukano sposobu włączenia urządzenia do systemu Mazlat. Mazlat (skrót od hebrajskich słów oznaczających bezałogowy, zdalnie sterowany samolot) był wspólnym projektem badawczym Izraelskiego Przemysłu Aeronautycznego (IAI - Israeli Aeronautical Industries), wydzielonego z Izraelskiego Przemysłu Wojskowego (IMI - Israeli Military Industry) oraz amerykańskiej spółki AAI Corporation z siedzibą w Baltimore. Prace nad DPI okazały się bardzo kosztowne, a poza tym napotkały trudności natury technicznej. Z powodu ogromnego potencjału finansowego i obronnego, Izraelski Przemysł Aeronautyczny znajdował się na liście organizacji wspieranych przez Mosad. A skoro trzeba było pomóc, wywiad wcielił w życie plan wydobycia IAI z kłopotów.

Szefom IMI poradzono, by nawiązali współpracę z Recon Optical Industries, amerykańskim przedsiębiorstwem, dysponującym technologią pożądaną przez El Op. IMI wybrało do tego celu siły powietrzne, które w tamtym czasie były

zaangażowane w projekt finansowany w ramach wojskowej pomocy Stanów Zjednoczonych dla Izraela. Plan zakładał, że Mosadowi uda się umieścić w Recon izraelskich inżynierów, udających obserwatorów i kontrolerów jakości z ramienia izraelskich sił powietrznych. Pod przykrywką współpracy wojskowej inżynierowie mieli wykraść nową technologię i przemyścić ją do Izraela. Gdyby im się to udało, możliwe byłyby gigantyczne oszczędności.

Miałem do wykonania zadanie w bazie wojskowej w Ramat Gan, mieście położonym w bezpośrednim sąsiedztwie Tel Awiwu. Kilka zespołów Mosadu zinfiltrowało już bazę, umieszczając akta personelu El Op w banku danych sił powietrznych. Dzięki temu inżynierowie El Op będą mieli otwartą drogę do Recon Optical Industries. Ja i mój partner mieliśmy wykonać podobną operację dla spółki o nazwie Tadiran.

Punktualnie o godzinie wyznaczonej na zmianę warty, Arik i Amir zjawili się przy bramie głównej. Mieli na sobie mundury strażników, a w kieszeniach wszelkie wymagane dokumenty. Starszy sierżant kierujący służbą wartowniczą otrzymał telefon z dowództwa w sprawie przydzielenia dwóch nowych ludzi - Arika i Amira. W rzeczywistości to ja telefonowałem z aparatu publicznego, jednak sierżant wziął informację za dobrą monetę. Tak naprawdę, liczyło się dla niego tylko jedno: przy bramie powinno stać dwóch ludzi. Takim sposobem prawdziwi strażnicy zostali zastąpieni przez dwóch agentów z naszego zespołu.

Szliśmy do głównego biurowca, gdy Yosy powiedział:

- Chciałbym, żebyś kogoś poznał.
- Teraz?

Obaj mieliśmy na sobie mundury żołnierzy w stopniu kaprała. Pamiętam, że uśmiechnął się i kiwnął głową. Najwyraźniej nie widział żadnych przeszkód.

- Posłuchaj, Yosy - wyszeptalem, przecinając niewielki

pagórek przed budynkiem administracji. - Mamy coś do zrobienia, wypełniamy zadanie specjalne. Może tak następnym razem? Przecież możemy wrócić, kiedy tylko nam się zamarzy. Wystarczy, że machniemy strażnikowi przed nosem naszymi kartami identyfikacyjnymi.

- Owszem. - Wciąż się uśmiechał. - Wiem o tym, ale już tu jesteśmy. Zaplanowałem wszystko w taki sposób, że będziemy mieli trochę czasu.

Urwał, bo właśnie mijaliśmy dwóch oficerów. Zasalutowaliśmy niedbale. Nie odwzajemnili się.

Kiedy znaleźli się w odległości kilku kroków, Yosy kontynuował:

- Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, powinniśmy mieć jakieś dziesięć minut do wyjścia.

- Co moglibyśmy zdziałać w dziesięć minut?

- Chcę, żebyś kogoś poznał.

- A jeżeli nie chcę?

- Do niczego cię nie zmuszam. Powiem ci jednak, że mam już po dziurki w nosie twojej ponurej twarzy i melancholijnego nastroju. Chcę wpompować w ciebie trochę życia.

- Doceniam troskę, ale dziękuję, nie skorzystam.

- Mówię o kobiecie, która wprost się do tego pali.

Stary dobry Yosy, pomyślałem. Zawsze tylko jedno mu w głowie.

- Nie będę dla kobiety włamywał się do bazy wojskowej w samym środku nocy.

- Ta jest inna niż wszystkie, możesz mi zaufać - stwierdził Yosy, a ja zastanowiłem się, dlaczego nie zatrzymał tej kobiety dla siebie, skoro jest tak wyjątkowa.

Yosy zatrzymał się. Dotarliśmy do celu - trzypiętrowego budynku z trzema rzędami małych okien, pomalowanego brunatną farbą, postawionego na planie kwadratu jeszcze przez Anglików. Wiatr poruszał liśćmi rosnących wszędzie wokół eukaliptusów, napełniając powietrze cichym szumem.

Lampy, ustawione wzdłuż drogi i na szczycie wysokiego płotu, rzucały na stiukowe ściany ruchome cienie, dość dobrze oddające stan mojego umysłu.

Z ulgą spostrzegłem, że Yosy spoważniał. Czekala nas robota i mój partner w końcu sobie o niej przypomniał.

- Masz to? - zapytał.

Wsunąłem rękę pod koszulę i wymacałem dużą, plastikową teczkę.

- Mam.

- No to do dzieła.

Weszliśmy na ciasną klatkę schodową. Posuwaliśmy się do góry, pamiętając, że na półpiętrach można nas zobaczyć z dołu. Wprawdzie budynek nie leżał w strefie podwyższonego bezpieczeństwa, jednak gdybyśmy zostali wypatrzeni przez patrol na schodach lub we wnętrzu, byłyby kłopoty. Aktualnie terenu bazy strzegły trzy patrole.

Znalazszy się we wnętrzu, poruszaliśmy się szybko, upewniając się, czy nie natkniemy się na obściskujące się pary pracowników bazy, którzy zostali po godzinach. Pokój wypełniały szafki z aktami, każda miała cztery szuflady. Na drugim końcu pomieszczenia stał duży, szary sejf. Yosy podszedł do biurka przy drzwiach i wyjął szufladę.

- Idź, otwórz sejf. Przeczytam ci kombinację.

Podszedłem do sejfu, schyliłem się i ustawiłem pokrętko na zerze.

- Jak go zdobyłeś?

- W sposób, który odróżnia agenta wywiadu od włamywacza. Nawiązałem kontakt z dziewczyną, która tu pracuje, i spędziłem z nią trochę czasu.

- Serio?

- Tylko się nie śmiej - ostrzegł Yosy. - Wymagało to ode mnie wielkiego poświęcenia.

- Poświęcenia?

- Powinieneś ją zobaczyć. Uwierz mi na słowo, to było wielkie poświęcenie.

Zachichotał.

- Nie musiałeś brać jej do łóżka.

- To nie było łóżko. Poza tym, nie mogłem się powstrzymać. Dla mnie kobieta to kobieta.

- To dlaczego teraz jęczysz?

Wzruszył ramionami i zerknął pod spód trzymanej szuflady.

- Siedemnaście w prawo i cztery w lewo.

Później odczytywał kolejne liczby, aż rozległo się charakterystyczne kliknięcie. Obróciłem chromowanym kołem i otworzyłem drzwiczki. Wewnątrz znajdował się plik plastikowych teczek. Podmiana nie zabrała nam nawet pięciu minut. Mogliśmy wychodzić.

Nagle od strony drzwi wejściowych dobiegł jakiś hałas. Obaj zamarliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, czy patrol tylko sprawdza drzwi, czy wybiera się na obchód pomieszczeń biurowych.

- Zamknąłeś drzwi? - szepnąłem.

- Tak, na łańcuch.

Bezszelestnie przysunęliśmy się do okna i wyjrzelśmy. Po kilku bardzo długich sekundach patrol zakończył sprawdzanie drzwi i ruszył dalej. W patrolu były same kobiety. Z ulgą patrzyliśmy, jak oddalają się od budynku. Wszystko toczyło się jak należy. Teraz chciałem tylko jednego: wynieść się stąd w cholerę. Zapaliłem papierosa i poszliśmy w stronę bramy.

Yosy rzucił okiem na zegarek.

- Mamy jeszcze dwadzieścia minut. O wiele więcej, niż planowałem.

- O czym mówisz? Wykonaliśmy zadanie. Na co jeszcze czekamy?

- Dov powiedział, że nie powinniśmy opuszczać terenu bazy przez dziesiątą.

- Próbujesz mi powiedzieć, że przykleili nam ogon?

Myśl o ogonie wyprowadziła mnie z równowagi. Wykorzystując do maksimum walory szkoleniowe zleconych zadań, Mosad często urozmaicał proste operacje i dorzucał dodatkowe przeszkody. Ludzie z wydziału szkoleniowego lubili nas testować przy każdej okazji. Najczęściej sprawdzali, czy zorientowaliśmy się, że jesteśmy śledzeni. Podobnie przy wykonywaniu rutynowych zadań testowano umiejętności agentów działających w Europie. Mając świadomość, że Mosad może śledzić każdy ich krok, wspinali się na szczyty swoich możliwości.

- Tak czy inaczej - zauważył Yosy - nie wolno nam wyjść stąd przed dziesiątą, a po dziesiątej możemy to zrobić tylko wspólnie. Jeśli jesteśmy czyści, jakoś się spotkamy. Jeśli nie, rób, co uważasz za słuszne. Zejdę z pokładu ostatni, jak przystało na dobrego dowódcę. No, to jak będzie? Jest tu ktoś, z kim chciałbym się spotkać. Idziesz ze mną?

- Zapomnij o tym, Yosy. Nie jestem w nastroju.

- Więc zrób to dla mnie. Haim i ja nie możemy dać sobie z nią rady. Potrzebna nam pomoc. Przez cały miesiąc spotykamy się z nią na zmianę. Haim zna ją jeszcze z Hajfy.

- Dlaczego nie zwrócisz się do Jerry'ego? - zapytałem z uśmiechem.

- Mamy kobietę. Teraz potrzebny nam dodatkowy mężczyzna. Chodź.

Wyglądało na to, że postanowił za wszelką cenę wydobyć mnie z psychicznego dołka, a zapoznanie mnie z hożą dziewczyną było najlepszym sposobem osiągnięcia celu, jaki on i Haim zdołali wymyślić. Czy wiedziałem, że nie powinienem z nim iść? Owszem, wiedziałem. Czy mimo to poszedłem? Ze wstydem przyznaję, że tak.

W połowie drogi między głównym budynkiem i bramą znajdował się szary biurowiec, postawiony z gotowych prefabrykatów. Kiedy szliśmy do niego, zaczął padać deszcz.

Stanąłem za plecami partnera, z daszka kapata mi na głowę woda.

- Chodź bliżej - szepnął Yosy. - Nie mam czasu, aby ze szczegółami wprowadzić cię w nasz kamuflaż. Pamiętaj tylko, że jesteśmy z Shaback. Najlepiej zrobisz, nie odzywając się. O! No, tak! Nie jesteśmy żonaci, żaden z nas. Nie używaj własnego imienia i nazwiska.

Zapukał do drzwi. Usłyszeliśmy łagodny, kobiecy głos:

- Kto tam?

- Yosy.

- Wejść.

Powoli otworzył drzwi. Odwrócił się do mnie, puścił do mnie oko i wszedł do środka.

- Dina! Jak się masz?

Podszedł do szczupłej, pięknej blondynki, sie4zającej za dużym, metalowym biurkiem. Miała na sobie przesadnie duży, zielony, wojskowy sweter, z niedbale przypiętymi do rękawów paskami sierżanta. Długie nogi, którymi niemal ^otyteńa sączonego meduiego gr2eytńka eteto^asrego, Okrywały ciasne, znoszone dżinsy.

Yosy pochylił się i pocałował ją w policzek. Potem stanął za plecami dziewczyny, położył dłonie na jej ramionach i rzekł:

- Oto jest, mój śliczny cukiereczku, mój przyjaciel Dan.

Uśmiechnąłem się do niej. Odwzajemniła uśmiech- Czułem się dziwnie obco, jakbym nie do końca panował nad własnym ciałem, ale głębokie, błękitne oczy dziewczyny wyzwoliły iskrę podniecenia. Pokój wypełniała czerwonawa poświata, zrobiło mi się gorąco.

- Co tutaj robisz? - zapytała mojego partnera.

- Przeprowadzamy inspekcję. Sprawdzamy, czy miejsce jest dobrze zabezpieczone.

- I jest?

Yosy zastanowił się i przysuwając do niej, powiedział:

- Nie martw się, dopóki tu jesteśmy, nic ci nie grozi.

Spojrzała na mnie z uśmiechem. Yosy schylił się i ucałował ją w usta. Pocałunek trwał i trwał. Kiedy odwracałem się do wyjścia, Dina unosiła dłonie, aby objąć głowę mężczyzny, a jego dłoń wędrowała ku jej piersiom. Zaczekałem na zewnątrz kilka sekund, aż usłyszałem głos Yosy'ego:

- Posłuchaj, kwiatuszku. Jeden z nas przyjdzie do ciebie około dwunastej, dobrze?

- Okay. Jeśli mnie nie będzie, wiesz gdzie jest klucz.

Yosy wyszedł uśmiechając się szeroko.

- No, kolego. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, o północy będziesz z Diną.

3

Środa, 12 lutego 1986 r., 22:00

Po opuszczeniu bazy podjąłem kroki, które miały na celu sprawdzenie, czy jestem śledzony. Stało się to już moją drugą naturą. Kiedy przekonałem się, że nikt za mną nie idzie, zatelefonowałem do Dova. Odebrał po drugim dzwonku.

- Tak? - usłyszałem jego lekko zachrypnięty głos.
- Tu Dzieciak.
- Co jest?
- Chciałem tylko powiedzieć ci, że jestem czysty.
- Bez pudła?
- Żadnych wątpliwości.
- Gdzie jesteś?
- Na krzyżówce Elite. Będzie dzisiaj coś jeszcze? Chciałbym już wyskoczyć z tego mundurka.
- Po której stronie krzyżówki stoisz?
- Przy giełdzie diamentów.
- Dobra. Zaczekaj chwilę.

Nie odzywał się przez dwie minuty. Kiedy ponownie usłyszałem jego głos, rzucił tylko:

- Dobrej nocy. Zobaczymy się rano.

Popadał w cyniczny ton, który zaczerpnął od Mousy, swojego szefa. Nawet odrobinę go udoskonalił na własny użytek. Teraz miałem tego najlepszą próbkę.

Nie zdążyłem odłożyć słuchawki, gdy pod budkę zajechał

wóz policyjny. Wysiadł z niego umundurowany funkcjonariusz i ruszył w moją stronę. Powoli odwiesiłem słuchawkę i odwróciłem się przodem do niego. Znałem procedurę. Było to typowe ćwiczenie, mające nas przygotować na podobne niespodzianki poza granicami kraju. Uśmiechnąłem się głupkowato. Nie był to dobry pomysł, ale nie mogłem się powstrzymać. Czułem, co się stanie, jednak nie dbałem o konsekwencje. Wiedziałem, że dam sobie radę.

- Hej, ty! - ryknął gliniarz, dotoczywszy się w pobliże budki.

Cała ta sytuacja wydawała mi się komiczna. Jeszcze niedawno takie spotkania wywoływały podniecenie i lęk.

- Co? - Zachichotałem. - Do mnie mówisz?

- Co cię tak bawi, żołnierzyku?

- Do mnie mówisz?

- Wydaje ci się, że jesteś zabawny, co? Pokażę ci dobrą zabawę.

Otworzył drzwi budki, niemal wrywając je z zawiasów, a potem wsadził do środka swą gębę *buldoga*, prawie dotykając mnie nosem. Zostałem wyszkolony, aby w takich wypadkach całkowicie iść na współpracę, zachowywać się przyjaźnie, a nawet ulegle. Ugłaskać faceta i pomniejszyć problem, jak to tylko możliwe. Tymczasem ja - może z powodu wszystkiego, co przeszedłem w ostatnich tygodniach, a może przez to, co wydarzyło się dotąd tej nocy - z jakiegoś powodu nie byłem w nastroju do uprzejmości.

- Do mnie mówisz?

Słowa same spłynęły z moich ust, a uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Gliniarz złapał mnie za kołnierz koszuli i uderzył mną o tylną ścianę budki. Metalowa półka pod aparatem wbiła mi się w dół pleców, śląc igły bólu wzdłuż obu nóg.

- Masz dokumenty?

Mój uśmiech wywoływał na jego twarzy grymas wściekło-

ści. Odwrócił się do partnera, który ospale wynurzał się z samochodu.

- Mamy tu cwaniaczka z miodem w uszach. Zabieramy go do centrum, czy najpierw damy mu kilka krótkich na korpus?

Drugi gliniarz był olbrzymem.

- Proszę, proszę - odezwał się. - Widzę, żołnierzyku, że chcesz z nami pograć.

- Do mnie mówisz?

Już się nie uśmiechałem. Wielka łapa olbrzyma nadleciała z mroku i plasnęła mnie w czoło. Moja głowa poleciała do tyłu, z impetem uderzyła o szklaną płytę budki. Słyszałem, jak szkło pęka. Wnętrze czaszki wibrowało, zacząłem tracić przytomność.

Nagle obaj gliniarze odstępili i zostałem wywleczony z budki na chłodne powietrze, które nieco mnie otrzeźwiło.

- Jedziesz z nami, żołnierzyku - powiedział większy z nich i w następnej chwili znalazłem się na tylnym siedzeniu wozu patrolowego małego forda escorta.

- Skąd jesteś? - zapytał goryl, wciskając mi głowę między kolana i skuwając kajdankami dłonie za plecami. Wyjątkowo ciasnymi kajdankami.

- Do mnie mówisz?

Silny kuksaniec pod żebra wyrwał mi z ust krótki jęk bólu. Spróbowałem unieść głowę, ale prześladowca pchnął ją z powrotem w dół. Rozbiłem o kolano wargę, poczułem w ustach krew. Nie próbowałem już podnosić głowy. Cokolwiek będzie się działo, nie mogłem pozwolić, aby zostawili ślady na mojej twarzy. Twarz była najważniejszym narzędziem, jakim posługiwałem się w tej wyjątkowej pracy. Nie mogłem jej wykonywać z podbitym okiem, posiniaczonymi policzkami, podbródkiem lub czołem. Wiedziałem, że otrzymali instrukcje, aby nie wyrządzić mi krzywdy i nie zostawić siniaków w widocznych miejscach, ale gliniarze często przekraczali dopuszczalne granice.

Miałem ochotę powiedzieć im, że znam procedurę, skończmy z tym, lecz jedyne, co byłem w stanie z siebie wydobyć, to:

- Do mnie mówisz?

Błądziłem myślami gdzieś daleko, a krzepki gliniarz ćwiczył na mnie klapsy w tył głowy i szturchnięcia między zębra. Od czasu do czasu ostrzejszy ból rozrywał ogniwa myśli i zmuszał do powrotu do ponurej rzeczywistości. Zdawałem sobie sprawę, że mógłbym przerwać tę zabawę, ale coś mi nie pozwalało, coś skrytego głęboko we mnie.

A potem pomyślałem o Dinie. Jak łatwo byłoby pójść z nią do łóżka i o wszystkim zapomnieć, po prostu pozwolić wydarzeniom toczyć się własnym torem. Nawet w takiej chwili myśl podnieciła mnie. Próbowałem odsunąć od siebie tę fantazję, wmawiając sobie, że nigdy nie dojdzie do spotkania z tą kobietą. Jednak w głębi duszy wiedziałem, że randka jest możliwa. A to już coś, na czym można się oprzeć.

Prawie godzinę trwało znęcanie się nade mną, zanim wóz policyjny wrócił do miejsca, skąd mnie zabrano. Stanęliśmy, kierowca odwrócił się do tyłu i chwytając mnie za włosy, uniósł moją głowę. Miałem problemy ze skoncentrowaniem wzroku, głowa z bólu pękała mi w szwach.

Gliniarz skrzywił się z niesmakiem.

- Co tutaj robiłeś, cholerny draniu?

Rzucał słowa prosto w moją twarz, jeszcze silniej zaciskając dłoń na włosach.

- Do mnie mówisz? - wymamrotałem.

Widziałem, że są zbici z tropu. Nie tak miało się to potoczyć. Nie mieli pewności, czy ja postępuję wbrew ustaleniom, czy też oni popełnili jakiś błąd. Goryl wyglądał przez okno, wyraźnie zmartwiony tym, że mógł przesadzić.

- Tak, gówniarzu, mówię do ciebie - rzekł w końcu i dopiero w tej chwili zrozumiałem, jak bardzo potrzebowałem tego małego zwycięstwa.

Uśmiechnąłem się słabo.

- Dlaczego od razu tak nie powiedziałeś?

Z ulgą odpowiedział uśmiechem i puścił moje włosy. Jego wielki przyjaciel zdjął mi kajdanki i otworzył drzwiczki samochodu. Potem wysiadł i pomógł mi zrobić to samo. Zanim wrócił do wnętrza, rzucił mi pożegnalne spojrzenie.

- Nic ci nie jest? Bez urazy?

- Bez urazy.

Otrzeptałem się i wtoczyłem do budki telefonicznej. Na wprost oczu miałem strzaskaną, szklaną płytę. Wszystko wydawało się teraz tak odległe, że niemal już zapomniałem, jak się zaczęło. Wystukałem numer i po drugim dzwonku Dov podniósł słuchawkę.

- Tu Dzieciak - powiedziałem.

- Co jest?

- Ty skurwielu. Dopiero co wypadłem z kolejki górskiej.

- Dlaczego trwało to tak długo?

- Nie wiem. Myślę, że wystąpiły jakieś zakłócenia w łączności z operatorem wesołego miasteczka.

- Co masz na myśli?

- Tylko tyle, że jestem zmęczony, ty dupku. A jak myślałeś? Co mógłbym mieć na myśli?

- Dobrze się czujesz?

- Na tyle dobrze, na ile można było się spodziewać. Jakoś przeżyję.

- Dobra, tylko opisz wszystko w raporcie. Zobaczymy się rano.

Odłożył słuchawkę.

Wystukałem jeszcze jeden numer, tym razem aparatu w głównym hallu akademii¹. Spodziewałem się zastać tam Yosy'ego i Haima. Mieliśmy umowę, że po akcji czekaliśmy, aż ostatni z nas będzie wolny. Była 23:40, gdy Yosy po

¹ Akademia: placówka szkoleniowa Mosadu, mieszcząca się pod Tel Awiem przy drodze do Hajfy, naprzeciw klubu sportowego.

piątym dzwonku podniósł słuchawkę. Oddychał z wysiłkiem, jakby przed chwilą przebiegł niemały dystans.

- Tak?
- Yosy?
- Hej, Victor, do cholery, gdzie ty się podziewasz? Jeszcze chwila i chcieliśmy odpuścić sobie dalsze czekanie.
- Jacy „my”?
- Haim i ja, któżby inny?
- Dlaczego dyszysz, jakbyś dopiero co skończył bieg maratoński?
- Graliśmy w ping-ponga. Co cię zatrzymało?
- Nic specjalnego. Potrzebne mi miejsce, gdzie mógłbym odsapnąć i zrelaksować się.

Zachichotał.

- Coś mi się wydaje, że fabryka słodczy będzie w sam raz.
 - Jaka znowu fabryka słodczy?
- Wciąż jeszcze kręciło mi się w głowie od otrzymanych razów i nieustannego napięcia.
- Dina. Miałem na myśli Dinę. Gdzie jesteś?
 - W Ramat Gan, na krzyżówce Elite.
 - Spotkamy się za dziesięć minut przy londyńskim kompleksie bazarowym.
 - Do zobaczenia.

Odwiesiłem słuchawkę i wezwałem taksówkę. Kilka minut później stałem na rogu, obserwując północny odcinek Alei Even Gvirol. Jeep nadjechał z przeciwnej strony i zahamował tuż za moimi plecami.

Haim siedział z tyłu. Podniósł się i ukazując łysą czaszkę, spojrział na mnie znacząco.

- No, dalej, dalej, przecież nie będziemy tu stać całą noc. Mamy jeszcze robotę do wykonania.
- Robotę?
- Biuro adwokata. Trzeba zakraść się do budynku i sfotografować część jego akt.

- Kiedy to wypłynęło?
- Wczoraj.
- A jak to się stało, że nic o tym nie wiem?
- Nie należysz do zespołu. Nie prosiliśmy się na ochotnika, zostaliśmy przydzieleni.

Czułem się tak, jakby czyjaś dłoń powoli wbijała mi w plecy zimny, długi sztylet. Yosy, Haim i ja stanowiliśmy zespół prawie od pierwszego dnia. Doskonale się uzupełnialiśmy i nie było najmniejszego powodu, aby nas rozdzielać. Ktoś próbował mnie izolować - to jedyne uzasadnienie, jakie przyszło mi do głowy. Nie byłem paranoikiem. Gdyby taką decyzję podjęło dowództwo, zostałem o tym poinformowany i usłyszałbym uzasadnienie. Ponieważ wszystko działo się za moimi plecami, posunięcie nabierało charakteru spisku. Co mogłem zrobić? Nic. Jedynym racjonalnym zachowaniem było pogodzenie się z sytuacją.

- Myślałem, że umawiałeś się z nią na dwunastą - powiedziałem i nagle zdałem sobie sprawę, jak niecierpliwie oczekuję spotkania z Diną. Zabawne, ale w moje myśli zapadł jej uśmiech, a nie ponętne ciało.

- To nadal jest aktualne - stwierdził Yosy, odwracając się do mnie i Haima. - Podrzucimy cię do jej mieszkania, a sami pojedziemy na akcję. Po wszystkim wpadniemy po ciebie.

Kiwnąłem głową i powiedziałem:

- Może być.
 - Wejdziemy z tobą tylko na kawę. Zaraz potem spadamy
- dodał Yosy.

Opowiedziałem o mojej randce z policją.

- Mocno bili? - chciał wiedzieć Yosy.
- Wystarczająco. Sam się o to prosiłem.
- A wydawało mi się, że każdego potrafisz udobruchać tą swoją słodką gadką - rzekł Haim, przypatrując mi się z najciemniejszego kąta jeepa.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mi odbiło. Mogę wam tylko powiedzieć, że akurat z tymi gliniarzami nie miałem ochoty na słodkie gadki.

Jeep przeciął kilka przecznic, zmierzając w kierunku ulicy Dizengoffa. Na skrzyżowaniu ulic Dizengoffa i Gordona Yosy tak gwałtownie skręcił w prawo, że samochód prawie wywinął fikołka. Chwilę potem zatrzymał się przy kra-
wężniku.

- Nieźle zaparkowany - zauważyłem. - Jestem pewien, że istnieje coś, do czego stoi równolegle.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Oto dodatkowa korzyść z wykonywanej pracy - mogliśmy ignorować przepisy o ruchu drogowym. Tablica rejestracyjna jeepa była fałszywa i chociaż numery figurowały w komputerowej bazie danych policji, zmieniano je co kilka dni. Posiadaliśmy również specjalne karty identyfikacyjne służb bezpieczeństwa, o wysokim współczynniku dostępu, które pozwalały nam w jednej chwili odesłać gliniarzy, gdzie pieprz rośnie. Z tymi kartami czuliśmy się jak bogowie, a to łatwo polubić, więc szukaliśmy okazji do skorzystania z ogromnej władzy, jaką dawał ten kawałek plastyku.

- Jesteśmy na miejscu - zawołał Yosy, wyskakując z jeepa.

Wysiadłem jako drugi, Haim trzymał się tuż za mną. Staliśmy przed typowym dla Tel Awiwu budynkiem mieszkalnym.

- To tutaj. - Yosy zatrzymał się przed pierwszymi drzwiami po prawej stronie mrocznej klatki schodowej. Jedną rękę trzymał już na dzwonku, gotów w każdej chwili nacisnąć czerwony guzik. - Pamiętaj tylko, że jesteśmy z Shaback, wszyscy jesteśmy kawalerami i stacjonujemy w bazie w... - Zerknął na Haima. - Gdzie stacjonujemy?

- W Natanji.

- Dlaczego akurat w Natanji? Dlaczego wymyśliłście Shaback?

- Natanja jest wystarczająco daleko, ale nie za daleko, a Shaback dlatego, że nie mogliśmy przyznać się do Mosadu. Nie chcieliśmy uchościć za policjantów, więc pozostał Shaback.

- Okay, dla mnie bez różnicy. Jak często używacie tej historyjki?

- Tylko raz - rzekł Haim, ledwie słyszalnie.

- Nigdy do tego nie wracaliśmy - dokończył Yosy. - No, już, naciśnij dzwonek.

Byłem spokojny tylko dlatego, że zebrałem tego wieczora solidne cięgi. Niewiele brakowało, abym zasnął na stojąco. Wyrzuty sumienia? Zostały skutecznie stłumione. Podświadczenie sam wymierzyłem sobie karę, zanim jeszcze dopuściłem się przestępstwa.

Dzwonek był nieprzyjemny dla ucha.

- Jedną chwilę.

Za to ledwie słyszalny, aksamitny głos, działał kojąco.

Wizjer pociemniał na ułamek sekundy i drzwi otworzyły się.

- Hej, chłopaki, myślałam, że już nie przyjdziecie i wy bierałam się do łóżka.

Odsunęła się i wpuściła nas do środka.

- Nie przeszkadzaj sobie - powiedział Yosy, z filuternym uśmiechem na ustach. - Najwyżej do ciebie dołączymy.

Zamknęła za nami drzwi. Haim poszedł prosto do dużego łóżka, stojącego pośrodku niedużego salonu, i skoczył na sam środek posłania. Yosy skierował się do łazienki. Wnętrze było oświetlone przyciemnionym światłem, a powietrze ciężkie od pary wodnej z niedawnej kąpieli i zapachu perfum, zmysłowych woni, przywodzących na myśl delikatność kobiecej skóry. Mieszkanie oceniłem jako skromne, ciepłe i ponętne. Czułem, jak z każdą chwilą serce pracuje na coraz to wyższych obrotach, pompując w żyły podniecenie, wywołując nacisk na jabłko Adama... Czułem się świetnie.

Dina była piękna w swym długim szlafroku. Poruszała się płynnie, z lekkimi zrywami, jakby odrobinę brakowało jej koordynacji. Oprócz włosów, wszystko miała długie. Kiedy spięty przysiadłem na brzegu łóżka, wbiła we mnie leniwe spojrzenie błękitnych oczu.

Powoli poszła do łazienki, a potem zapaliła światło w drugim pomieszczeniu, którego wcześniej nie dostrzegłem. Była to ciasna kuchnia. Dziewczyna zatrzymała się i zapytała:

- Chcecie coś do picia?

- Napiję się kawy - odparł ochoczo Haim, nie odwracając głowy.

- Zapomnij o tym - krzyknął z łazienki Yosy. - Mamy coś do zrobienia. Później wpadniemy po Dana.

Zawsze potrafił znaleźć okazję, żeby użyć kodów, obojętne gdzie byliśmy i z kim. Przyzwyczajenie drugą naturą człowieka. Wszyscy tak robiliśmy.

Yosy wyszedł z łazienki, przygarnął dziewczynę i pocałował. Nie stawiała oporu. Po chwili oderwał się od niej i rzekł do Haima-

- Chodź, czeka nas robota. Dan też będzie miał co robić.

- Zerknął na mnie. - Zadbaj, żeby łóżko było ciepłe, kiedy wrócimy.

Irytowało mnie jego zachowanie, choć nie potrafiłem powiedzieć, dlaczego. To dziewczyna powinna czuć się urażona, nie ja. Denerwowała mnie jej uległość. Zamknęła drzwi za moimi partnerami, oparła się o nie i spojrzała w moją stronę. Poczulem się nieswojo.

- Masz ochotę na coś do picia? - zapytała, po raz pierwszy uśmiechając się do mnie.

- Dziękuję, napiję się kawy.

- Rozgość się. Zaraz wracam.

Przeszła przez pokój, zostawiając za sobą smugę pachnącego powietrza. Był w nim zapach nagości i obietnica rozkoszy. Poczulem narastające ciśnienie w lędźwiach. Z ku-

chni dobiegało szczękanie naczyń. Zapaliłem papierosa i podniosłem ze stolika przy łóżku przedmiot przypominający notes.

Otworzyłem go i ujrzawszy wypełniające kartki zwarte, odręczne pismo, odruchowo odłożyłem z powrotem na stolik. Potem przyjrzałem mu się uważniej. Na okładce nie było żadnego podpisu. Gdyby autor tych zapisków nie życzył sobie, aby je czytano, nie zostawiłby notesu w tak eksponowanym miejscu. Z początku pomyślałem, że to pamiętnik Diny. Nie paliłem się do lektury, ale nie miałem nic lepszego do roboty. Nie miałem zamiaru siedzieć sztywno jak pajac i czekać, aż pójdziemy do łóżka. Oboje od samego początku wiedzieliśmy, że tak zrobimy. Z całą pewnością Dina doskonale zdawała sobie sprawę, że koledzy nie podrzucili mnie do jej mieszkania na pogawędkę przy kawie. Yosy powiedział, że pytał ją, czy nie ma nic przeciwko mojej wizycie. Dziewczyna obejrzała mnie sobie w bazie i podobno zrobiłem na niej dobre wrażenie. Tak więc w tej małej książeczce mogłem znaleźć coś, co pomogłoby przełamać lody i uczyniłoby sprawę łatwiejszą.

Uświadomiłem sobie, że zaczyna mi dokuczać poczucie winy. Do cholery, co trzydziestosiedmioletni mężczyzna, ojciec dwójki dzieci, robił po północy w mieszkaniu dwudziestotrzyletniej dziewczyny? Niezły ze mnie skurwysyn.

Zacząłem czytać. Z początku nie dostrzegałem w zapisach żadnego sensu - krótkie zdania rymowały się, ale nic nie znaczyły. Gospodyni wróciła z dwiema parującymi filiżankami kawy i przysiadła obok mnie na łóżku. Jej kolano wysunęło się spod długiego szlafroka i przypadkiem - a może nie - dotknęło mnie. Z trudem przełknąłem ślinę. Podniosła filiżankę i zaczęła pić kawę, skrywając połowę twarzy za porcelanowym naczyniem.

Uniosłem dłoń z notesem.

- Twoje?

Bez słowa kiwnęła głową, jakby czekała na ciąg dalszy.

- Naprawdę?
- Tak - odparła, odstawiając filiżankę i uśmiechając się. -
Dlaczego?
- Tak tylko pytam.

Przysunęła się, uśmiechnęła jeszcze promiennie.

- Jak ci się podoba?
- Myślę, że są doskonałe.

Roześmiała się lekko.

- Co masz na myśli? - zapytała, odsuwając się na poprzednią odległość.
- Tylko to, co powiedziałem. - Przyjąłem założenie, że namiętny mężczyzna nie powinien wdawać się w dyskusje na temat poezji. - Zrobiło mi się gorąco.
- Może weźmiesz prysznic i przebierzesz się? Chyba dobrze by ci to zrobiło.

Tym razem to ja się roześmiałem.

- Chcesz powiedzieć, że śmierdzę?
- Nie, nie, wcale nie to...
- Z ochotą się wykąpię. - Podniosłem się i ruszyłem do łazienki. - Tylko nie mam w co się przebrać.
- Skorzystaj ze szlafroka, który wisi na drzwiach, a potem wybierzesz sobie coś z rzeczy mojego męża.

Zamarłem.

- Czyich rzeczy?
- Och, nie przejmuj się. Już tu nie mieszka.

Odetchnąłem z ulgą.

Było coś erotycznego w atmosferze małej łazienki z prysznicem. Zresztą, całe mieszkanko wytwarzało taką odurzającą atmosferę, oddziałując przez prostotę sprzętów, improwizowane rozwiązania, które młodzi ludzie stosują wobec codziennych potrzeb, meble i przyrządy gospodarstwa domowego, które najlepsze lata miały już za sobą, a tutaj wciąż były funkcjonalne i wygodne. Kiedy wyszedłem spod prysznica,

pokój spowijały ciemności. Jedyny wyjątek stanowił elektryczny grzejnik, świecący słabym, czerwonym blaskiem.

- Wejź do łóżka. - Głos dziewczyny dobiegał z rogu pokoju. - Zaraz tam będę.

Położyłem się na wznak, z rękami pod głową, nie zdejmując wilgotnego szlafroka, który znalazłem w łazience. Moje serce biło jak szalone; nie mógłbym zasnąć, mimo wielkiego zmęczenia. Z podnieceniem oczekiwałem tego, co miało się wydarzyć i zostałem sownie wynagrodzony. W czerwonej poświacie zdołałem dojrzeć, że dziewczyna jest naga. Podeszła do łóżka, usiadła obok mnie, a potem przeniosła się na moje złożone nogi, łagodnie pieszcząc tors delikatnymi, aksamitnymi palcami.

Znajdowałem się na granicy eksplozji. Musnęła mnie łokciem i wyczuła, że jej pragnę. Uśmiechnęła się. Była szczęśliwa, to jasne. Usiadłem. Jedną dłońią pieściłem jej drobne piersi, drugą zwiedzałem jej ciało, które drżało pod moim dotykiem. Dziewczyna popchnęła mnie na posłanie, nie przerywając pieszczot. Docierała we wszystkie zakamarki mojego ciała, poznawała wszystkie jego zakątki. A potem ostrożnie usiadła na mnie, zespalając się ze mną. Nie pamiętam zbyt wyraźnie, co działo się później. Pamiętam jedno: kiedy Yosy i Haim przyjechali po mnie, powiedziałem im, że zostaję u Diny na noc i zobaczymy się rano. Zdobyłem się na ucieczkę od brutalnej rzeczywistości i pragnąłem, aby trwała przynajmniej jedną noc.

4

Czwartek, 13 lutego 1986 r., 07:45

Dotarłem do budynku akademii i wpadłem do środka z płaszczem narzuconym na głowę dla ochrony przed deszczem.

Dov, nasz instruktor szkoleniowy, wyglądał na wściekłego - niecodzienny widok na jego zaokrąglonej twarzy. Zatrzymał mnie kilka kroków od dzbanka z kawą.

- Gdzie, do cholery, byłeś?

- O, czyżbyśmy byli umówieni na randkę? - zapytałem.

- Nie muszę umawiać się na randki, żeby pieprzyć twoje dupsko. - Udało mu się przykuć moją uwagę. - Mówię o minionej nocy.

Zerknąłem w sufit, rozważając możliwe odpowiedzi.

- Tęskniłeś za mną? Jestem wzruszony.

- Kiedy telefonowałem, nie było cię w domu.

- Co zrobiłeś? Dzwoniłeś do mnie do domu?! - Zawrzała we mnie mieszanka strachu i wyrzutów sumienia. - Co powiedziałeś Belli?

- Nic. Tylko poprosiłem cię do telefonu.

- I niby co ja jej teraz powiem?

- Gdybyś był w domu, nie musiałbyś niczego wymyślać.

Dov złamał podstawową, niepisaną zasadę współżycia w Mosadzie: zatelefonował do domu agenta bez żadnego ważnego powodu, a kiedy okazało się, że go nie ma, nawet nie próbował wcisnąć jakiejś historyjki. Wpadłem w ślepią furję.

- Pieprzę cię, Dov! Kto zrobił z ciebie szeryfa? Możesz

mi zaufać, *coul calb bigy youmu* (każdy pies ma swój dzień). Znajdę okazję, żeby i tobie się przysłużyć. Nalałem sobie kubek kawy.

- Dobra, teraz mnie znalazłeś. Co chciałeś mi powiedzieć? Nie mam dla ciebie całego dnia.

To robiło się dużo bardziej skomplikowane, niż mi się wydawało.

- Jak myślisz, w co się wczoraj bawiłeś z glinami?

Dov starał się panować nad głosem.

- W nic się nie bawiłem. Zabrali mnie na przejażdżkę, a potem odwieźli z powrotem. Dlaczego pytasz?

- To tak nauczyłeś się postępować z wrogą policją? Po latach ćwiczeń potrafiłeś wymyślić tylko tę głupią odzywkę: „Do mnie mówisz?”

- Do mnie mówisz?

- Nie zaczynaj tego ze mną. Poruszasz się po cienkim lodzie, dobrze o tym wiesz. Nie przeciągaj struny.

Położyłem rękę na jego ramieniu i pchnąłem go w kąt pokoju. Pochyliłem się nad nim i zniżając głos do złowrogiego szeptu, powiedziałem:

- Posłuchaj, Dov. Zostałeś wypożyczony przez Mosad ze służb bezpieczeństwa, ponieważ jesteś specem od zabezpieczeń operacyjnych, tak?

Kiwnął głową.

- Ja jestem oficerem Mosadu. Za kilka tygodni otrzymam samodzielne stanowisko, a nawet jeżeli nie, mam stopień pułkownika [który otrzymałem po wstąpieniu do Mosadu]. Przewyższam cię rangą kilkakrotnie. - Próbował się wyrwać, ale przytrzymałem go. - Możesz mówić, co ci ślina na język przyniesie, na tym polega twoja praca. Jeśli jednak nie chcesz, żebym ci skręcił kark, a możesz mi wierzyć, byłbym do tego zdolny, traktuj mnie z należyтым szacunkiem. Wyrażam się wystarczająco jasno?

- Zabieraj łapy - burknął, odsuwając się na bok.

- Wkrótce dostaniesz mój raport i jeżeli nie spodoba ci się to, co w nim przeczytasz, możesz zrobić z tym świstkiem, co ci się żywnie podoba. A teraz, wybacz, chciałbym napić się kawy.

Wróciłem do głównej hali.

Przyjechałem do akademii z samego rana, ponieważ było kilka luźnych końców, które musiałem jakoś powiązać. Istniał ścisły związek pomiędzy nimi a konferencją, która w zeszłym miesiącu odbyła się w Country Club Hotel, mieszczącym się przy autostradzie do Hajfy, naprzeciw akademii. Na konferencji goszczono przedstawicieli Południowokoreańskiego Zjednoczonego Kościoła Wielebnego Sun Myung Moona, zwanych munitami, oraz grupę osób towarzyszących. W spotkaniu wzięli udział pravicowi członkowie Knesetu i delegaci armii, a z naszej strony dodatkowo reprezentanci wywiadu i tacy dygnitarze jak Yehuda Blum, były ambasador Izraela przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Był tam też emerytowany pułkownik koreańskiej centralnej agencji wywiadowczej (Korean Central Intelligence Agency - KCIA) oraz kilku emerytowanych amerykańskich generałów. Szczególnie dal mi się we znaki Francuz, Pierre Ceylac, członek ultrapravicowej partii francuskich faszystów. Bez przerwy czegoś ode mnie chciał. Ubzdurał sobie, że oficer łącznikowy to mniej więcej to samo, co służący lub chłopak na posyłki. Zażądał od Mosadu programu komputerowego, który ułatwiłby mu komunikację i przechowywanie danych. Ceylac chciał zabezpieczyć dane przed francuskimi służbami specjalnymi. Zdobyłem ten program. Sitex, producent układów elektronicznych, przygotował specjalnie zmodyfikowane dla celów Francuza oprogramowanie, które następnie wysłano do Paryża kanałami dyplomatycznymi i dostarczono do adresata.

Nie rozumiałem, po co w ogóle wchodzimy w układy z ludźmi tego pokroju, ale David Biran, który przewodniczył konferencji, stwierdził krótko, że korzyści są warte dużego

poświęcenia. Nie do mnie należało kwestionowanie oceny
przełożonych, toteż wykonałem, co do mnie należało.

*Piątek, 14 lutego, kwatera główna Mossadu,
Bulwar króla Salomona, Tel Awiw*

Hej, Victor! - zawołał do mnie Yehuda Gili, weteran *katsa'*, jedna z żywych legend Mosadu. Miałem właśnie przejść przez posterunek ochrony przy wejściu do budynku. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak macha do mnie rękami, wskazując na wejście do korytarza, gdzie mieścił się wydział fotograficzny. Ten człowiek był zaangażowany niemal w każdą operację wymagającą zaawansowanego planowania, lecz przy tym był jednym z najskromniejszych ludzi w całej organizacji.

Uśmiechnąłem się i poszedłem we wskazanym przez niego kierunku. Położył mi dłoń na ramieniu i rzekł:

- Chodź ze mną. Muszę sfotografować swoją buźkę do nowego amerykańskiego paszportu. Przy okazji chcę z tobą zamienić słówko.

Weszliśmy do pustego atelier.

- Fotograf będzie za kilka minut - wyjaśnił.

- Będiesz korzystał z amerykańskiego paszportu?

Sytuacja należała do rzadkości. Mosad jak ognia unikał amerykańskich paszportów. Robiono wszystko, co możliwe, żeby ich nie używać.

- Będę pracować w Stanach dla wydziału Al². Mamy tam do odwalenia duże sprzątanie.

¹ *Katsa*: oficer operacyjny Mosadu kierujący pracą podległych mu agentów. W danej chwili w całym wywiadzie działa tylko około trzydziestu pięciu *katsa*.

² Al: tajna jednostka formowana przez doświadczonych *katsa*, działająca na terenie Stanów Zjednoczonych w warunkach ścisłej konspiracji.

- Nie słyszałem, żeby mieli jakąś poważniejszą wpadkę. Co będziecie uprzątać?

- Sprawę Pollarda.

- Wydawało mi się, że to robota LAKAM-u³?

- Oni narobili bałaganu, a my będziemy musieli po nich posprzątać. Mam skontaktować się ze słynnym Mr X i sprawdzić, czy nie dał się złapać.

Sprawa Pollarda? Coś mi się obilo o uszy. LAKAM zwerbował niejakiego Jonathana Pollarda, Amerykanina pochodzenia żydowskiego pracującego w wywiadzie Marynarki Stanów Zjednoczonych. Człowiek ten pracował dla nich do 1986 roku, kiedy to został ujęty przez FBI po tym, jak ambasada Izraela w Waszyngtonie odmówiła mu prawa do azylu. Odmowa była bezpośrednim skutkiem interwencji Mosadu, chociaż całą aferą sterowano spoza wywiadu. Plotka głosiła, że istniało ogniwo łączące Pollarda z Mosadem w osobie tajemniczego Mr X. Nigdy nie otrzymaliśmy wyczerpujących informacji w tej sprawie, a to, co docierało, było zagrzebane pod stertą makulatury.

- Więc Mr X jednak istnieje? - powiedziałem.

- Tylko z nazwy. Mr X to nie jest jedna osoba. Odchodząc, Eitan⁴ zabrał od nas rejestry *sayanim*⁵. Posłużył się nimi

³ LAKAM: Lishka Le Kishry Mada, wydział śledzenia postępu naukowego, specjalna jednostka funkcjonująca przy biurze premiera, zajmująca się zbieraniem materiałów wywiadowczych w Stanach Zjednoczonych. Nie jest częścią Mosadu.

⁴ Eitan: mowa o Rafaelu Eitanie, byłym agencie Mosadu, który później stał na czele LAKAM-u.

⁵ *Sayamm*: wyraz wywodzący się od hebrajskiego słowa *lesayeah*, oznaczającego „pomagać”. Odnosi się do Żydów pomagających wywiadowi, oddających Mosadowi drobne przysługi. Ludzie ci nie są opłacani, toteż nie można powiedzieć, iż robią to dla pieniędzy. Korzystanie z ich usług jest obwarowane kilkoma warunkami. Na przykład, *sayana* nigdy nie prosi się o pracę na obszarze krajów arabskich.

jako źródłami informacji. Powiedzieli mu, co i jak, dzięki czemu mógł dotrzeć do Pollarda.

- Zgodzili się?

Jeszcze nie skończyłem mówić, a już połapałem się, jak głupie było to pytanie.

- Czy się zgodzili? *Sayan* ma służyć, a wątpliwości zostawia dla siebie. Jeśli nie będziemy działać wystarczająco szybko, inni skończą jak Pollard, w więziennych celach. Muszę tam pojechać i zrobić wszystko, żeby tak się nie stało. Ilu znasz Żydów w Ameryce, którzy z radością przyjęliby miano zdrajcy i dla chwały Izraela dali się zamknąć za kratkami?

Kiwnąłem głową na znak zrozumienia.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nic. Chciałem porozmawiać o tobie.

- O mnie? Dlaczego?

- Słyszałem o tobie różne rzeczy i wydaje mi się, że powinieneś się o nich dowiedzieć.

- Jakie rzeczy?

- Po pierwsze, Mikę Harari⁶ ciągle chce ci się dobrać do skóry. Zrobiłeś z niego głupca. Odwdzięcza ci się rozpowszechniając plotki na twój temat. Po drugie, są przeciw tobie ludzie, z którymi dyskutowałeś o polityce, prezentując nazbyt odmienny punkt widzenia. - Yehuda spojrział na mnie jak nauczyciel na młodego, nicponiowatego uczniaka. - Masz prawo do własnego zdania, ale w ten sposób stawiasz się po drugiej stronie barykady, więc powinieneś zatrzymać je dla siebie.

Sądziłem, że naród palestyński ma prawo do własnego państwa na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy. Wierzyłem, iż przez tak zwaną życzliwą okupację Terytoriów, tracimy

⁶ Mikę Harari: były agent Mosadu, zaangażowany w wiele niejasnych akcji na całym świecie. Znany z tego, że bratał się z panamskim przywódcą, Manuelem Noriega.

ludzkie oblicze. Nie tylko w to wierzyłem, mówiłem o tym głośno przy każdej okazji. Zyskałem sobie przez to opinię lewicowca. Ogólnie w Izraelu, a szczególnie w Mosadzie, ludzi dzieli się na lewicowców i prawicowców na podstawie odpowiedzi na pytanie o Terytoria. Ci z prawej strony chcą zachowania Terytoriów i, jeśli to tylko możliwe, przyłączenia ich do państwa Izrael po wysiedleniu większości zamieszkujących tam Palestyńczyków. Ci z lewej postrzegają Palestyńczyków jako naród, który ma własne przywileje i prawa, łącznie z prawem do samostanowienia. Kwestie związane, na przykład, z ekonomią i polityką socjalną, nie mają istotnego wpływu na określenie poglądów politycznych, więc lewicowi ekstremiści w sprawie Terytoriów mogą okazać się prawicowymi konserwatystami w innych kwestiach.

Mimo ogromnej władzy, Mosad miał egzystować bez popadania w faszyzm. Wiedziałem, że to tylko mit, ale teraz bardzo potrzebowałem wiary w ten mit, żeby jakoś ciągnąć dalej.

- Co chcesz mi powiedzieć? Że powinienem trzymać gębę na kłódkę? To w Izraelu nie ma już demokracji?

- Jest, jednak ty nie jesteś w Izraelu, tylko Mosadzie. Jeszcze nie posprzątałem w tym domu, musi się pogorszyć, zanim będzie lepiej. Moja rada brzmi tak: przyczaj się, mój chłopcze, przyczaj się, dopóki wrzawa nie ucichnie.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Wylecisz stąd na zbity pysk szybciej, niż ci się wydaje. Albo przytrafi ci się coś znacznie gorszego.

- Cóż to miało znaczyć?

- Jak ci się wydaje? Każdego dnia mamy do czynienia z oszustwem i śmiercią. Pomyśl o tym.

Uśmiechnął się ze smutkiem. Chciałem mu zadać jeszcze tysiące pytań, lecz do atelier właśnie wszedł fotograf.

- Dzięki, że przyszedłeś pożegnać się ze mną - powiedział Yehuda i zwrócił twarz w stronę fotografa. Domyśliłem się, że nasza pogawędka dobiegła końca.

Niedziela, 16 lutego, 8:00

Otrzymałem stanowisko w kwaterze głównej Mosadu, w Kraju⁷ przy referacie duńskim. Miałem zgłosić się do pracy z samego rana. Po wypiciu rytualnej kawy i pogaduszek na korytarzu, wręczono mi zadanie na pierwszy dzień. Otrzymałem plik podań o duńską wizę, przesłanych kanałami dyplomatycznymi. Były to fotokopie oryginalnych dokumentów, często spotykane przy tak zwanych usługach, jakie świadczyliśmy Duńczykom.

Wszystkie podania zostały złożone przez ludzi pochodzenia arabskiego. Procedura polegała na porównaniu ich nazwisk z naszą bazą danych. Posiadaliśmy nowy system komputerowy, zainstalowany zaledwie kilka miesięcy wcześniej, dzięki któremu czas uzyskania dostępu do informacji uległ znacznemu skróceniu. Komputer zawierał spis ponad półtora miliona nazwisk, ale nowy program, który - jak mówiono - dopiero co wykradliśmy naszemu sprzymierzeńcowi, w kilka sekund określał wszystkie możliwe powiązania.

Po kilku dniach, Benny S., zastępca szefa Kraju, powiedział, abym skontaktowałem się z Hombre (kryptonim naszego człowieka w Skandynawii) i zlecił mu powtórne założenie podsłuchu u czołowej postaci duńskiego aparatu sądowego, niejakiego Gammetofta Hansena. Był to profesor jednego z tamtejszych uniwersytetów i adwokat, zwolennik Palestyńczyków. Kilka lat wcześniej duńska policja lub służby specjalne zainstalowały pluskwę w jego biurze.

⁷ Kraj: wydział w sekcji łączności.

- Przejrzyj akta - polecił Benny - i zaproponuj, co należałoby w tej sprawie zrobić. Ze sposobu, w jaki prowadzi rozmowy, wywnioskowaliśmy, że Hansen podejrzewa istnienie podsłuchu. Na pewno osiągnęlibyśmy lepsze wyniki zakładając podsłuch w jego domu.

Poniedziałek, 17 lutego

Informacje, które znalazłem w aktach duńskich służb specjalnych, wskazywały, że mieliśmy w Danii „dobrego przyjaciela”, o wiele bardziej przyjaznego i skłonnego do współpracy niż przedstawiciele izraelskiego Shaback. Duńczycy mieli skromny wywiad, ale chcieli grać w najwyższej lidze, mimo że brakowało im odpowiednio wykształconej kadry i zaplecza finansowego. Z drugiej strony, potrafili zebrać w Danii takie informacje i dokonać takich rzeczy, o których mogliśmy tylko pomarzyć. W zamian za przysługi dawaliśmy im poczucie ważności.

Odpowiedź Hombre na moją prośbę przyszła jeszcze tego samego dnia. Pracowali nad tym. Pierwszą pluskwę umieścili w biurze profesora pod koniec 1984 roku, drugą miał zainstalować nasz człowiek w duńskim wywiadzie. Nazywał się Schmidt, kryptonim Farba Olejna. Pod pretekstem, że właściciel biura chce założyć podsłuch, aby przyłapać szantażystę, wysłał zespół policyjny, który zainstalował pluskwę. Podał przy tym fałszywą lokalizację biura, tak że pluskwa wylądowała w aparacie profesora. Nikt o tym nie wiedział poza nim i Hombre. Co dwa tygodnie, z regularnością godną szwajcarskiego zegarka, nie tknięte przez nikogo taśmy przekazywano Hombre do rąk własnych. Wszyscy byli zadowoleni.

Szykowałem dla Hombre jeszcze jedno zadanie, które miało polegać na zebraniu bliższych informacji na temat aktywności w Danii koreańskich dysydentów. Zadanie to

było konsekwencją obietnicy danej munitom. Podobne zlecenie przekazaliśmy Duńczykom w 1982 roku, ale wtedy nic nam nie dali. Tym razem byli bardziej skorzy do współpracy, choć upewnili się, że wiemy, jak delikatnej misji się podejmują. Identyczne dane zbierali wyłącznie dla CIA i nie chcieli nagle znaleźć się między młotem a kowadłem.

Na wszelki wypadek porozumiałem się z Amnonem Pelegiem, łącznikiem z CIA. Powiedział wprost, że gdyby CIA dowiedziała się, że przekazujemy te materiały munitom, wystrzelaliby nas wszystkich.

Peleg poprosił o zwłokę w transferze danych. Pod wieczór rozwój wydarzeń zaczął przypominać początek sytuacji kryzysowej. Szef wydziału łączności żądał przekazania informacji munitom. Twierdził, że otrzymał od Shabtai, naczelnika Meluchy, obietnicę zrealizowania transferu. Shabtai znajdował się poza granicami kraju i był nieosiągalny. Przebywał w Rzymie, jako gość kierownictwa wywiadu włoskiego. Była to wizyta robocza. Shabtai zabrał ze sobą Menahema Dorfa, szefa *Sayfanim*⁸. Posiadali informacje wiążące Sabry'ego El Bana (bardziej znanego jako Abu Nidal) z terrorystycznym atakiem na rzymskie lotnisko, który miał miejsce 27 grudnia 1985 roku. Informacja była pewna, choć obciążona lukami, starannie zamaskowanymi przez próby powiązania El Bana z innymi zamachami terrorystycznymi, dokonywanymi na terenie Włoch. Z Rzymu Shabtai miał udać się do Francji, aby z przedstawicielami tamtejszego wywiadu omówić działania Abu Nidala na obszarze tego kraju.

W końcu zapadła decyzja w sprawie munitów. Szef Kraju postanowił rozpocząć akcję. Miałem powiadomić Hombre, aby uruchomił Schmidta i nakazał mu wykradzenie materiałów, jeśli okaże się to konieczne.

⁸ *Sayfanim*: wydział dochodzeniowy zajmujący się wyłącznie działalnością OWP, część sekcji Manginot (kryptonim sekcji dochodzeniowej).

Środa, 19 lutego

Informacje dla munitów przybyły tuż przed południem i niezwłocznie zostały przekazane do Traksinu (wydział Mashovu⁹, zajmujący się obróbką danych). Obróbkę danych przeprowadzano po to, by wyeliminować możliwość wyśledzenia źródła informacji. Potem pchnąłem materiały do łącznika, który wysłał je do Japonii. Tam oficer łącznikowy Mosadu na Daleki Wschód - z sekcji Dardasim - osobiście wręczył pakiet pośrednikowi z kościoła Dr Moona.

Tego samego dnia Hombre przesłał faks, wykorzystując bezpieczną linię izraelskiej ambasady w Danii. Donosił w nim, że specjalna jednostka antyterrorystyczna Purples-A¹⁰ wkroczyła do domu profesora i zainstalowała tam szkiełko¹¹. Informował również, że akcja została oprotestowana przez oficera o nazwisku Delsgard, który jednak nie mógł zrobić nic więcej.

Piątek, 21 lutego

Na moje biurko wróciły duńskie formularze wizowe, które uznano za podejrzone. Na kilku z nich znajdowały się nazwiska figurujące w naszym komputerze, a to znaczyło, że ludzie ci byli w kręgu zainteresowań Mosadu. Procedura nakazywała powtórne zweryfikowanie tożsamości, ponieważ arabskie nazwiska są wyjątkowo mylące. Trzeba było sprawdzić, czy pasują szczegóły, na przykład daty i miejsca

⁹ Mashov: kryptonim wydziału łączności.

¹⁰ Purples-A: kryptonim używany w Mosadzie na oznaczenie duńskich cywilnych służb specjalnych (Politiets Efterretningsteste Politistationen).

¹¹ Szkiełko: (ang.: *glass*) urządzenie podsłuchowe do instalowania wewnątrz aparatu telefonicznego, dzięki któremu można rejestrować również rozmowy prowadzone w pokoju, gdzie znajduje się telefon.

urodzenia. Porównanie eliminowało około 80 procent tak zwanych „gorących dokumentów”. Procent oscylował wokół tak wysokich wartości dlatego, że kobiety pracujące jako maszynistki nie miały upoważnienia do sortowania napływających materiałów. Jedynie przepisywały napływające dane.

Nazwisko zweryfikowane jako „gorące” wciągano na listę wraz ze wszystkimi dodatkowymi informacjami. Listę co dwa dni przekazywano do centrum operacyjnego. Tam przeglądano listę i analizowano nazwiska, aby zdecydować, czy należy podjąć próbę zwerbowania, czy chwilowo odłożyć dane do akt. Jeśli zapadała decyzja o natychmiastowym werbunku, Duńczycy nie otrzymywali od nas żadnych uwag co do tej osoby, przyjmowali założenie, iż wszystko jest w porządku i wydawali wizę. Kiedy klient chodził już po duńskiej ziemi, usłudźnie informowaliśmy duńskich partnerów, że jest niebezpieczny. Duńczycy automatycznie cofali mu status uchodźcy i zabierali na przesłuchanie. W sali przesłuchań już czekał agent Mosadu, który korzystał z okazji, by podjąć próbę zwerbowania Palestyńczyka. Jeżeli próba była udana, przesłuchiwany był zwalniany i od tej chwili działał jako agent Mosadu wewnątrz palestyńskiej społeczności w Europie lub gdziekolwiek na świecie. Jeżeli próba się nie powiodła, przesłuchiwanego zastraszano, a następnie wypuszczano na wolność. Zwykle klient uciekał do innego skandynawskiego kraju, gdzie Mosad podejmował analogiczne kroki i karuzela zaczynała kręcić się na nowo.

- W minionym roku zwerbowaliśmy w ten sposób ponad osiemdziesięciu Palestyńczyków - przechwalał się mój szef.
- Idzie tak łatwo, że to nie może być zgodne z prawem.

I rzeczywiście nie było. Kiedy zapytałem, czy takie postępowanie przypadkiem nie odbije się na nas, otrzymałem odpowiedź, jaką zwykle słyszało się w takich przypadkach:

- No i co z tego?

Kilka następnych dni przypominało pracę w kieracie. Tyrałem niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, przygotowując mój wyjazd do Sri Lanki. Miałem dozorować duży transport min przeznaczonych dla Tamilskich Tygrysów i odebrać zapłatę. Uczylem się mojej nowej roli i byłem przepytywany przez mojego szefa.

Wyglądało to tak, jakby całe biuro dostało szału. Każdy na gwałt szukał sposobu zdławienia inicjatywy pokojowej króla Jordanii Husajna. Działania Husajna całkowicie zaskoczyły Mosad. Nasze źródła w Stanach Zjednoczonych donosiły, że propozycje Jordanii są zwykłą farsą i już miesiąc temu poszły w zapomnienie. Tymczasem inicjatywa pokojowa jakimś cudem odżyła i choć Jasir Arafat nie poszedłby na żadne ustępstwa wobec Izraela, to jednak zgodził się spotkać z królem Jordanii. Mówiło się, że Husajnowi wcale nie chodzi o pokój, ale o zdobycie zgody Amerykanów na dokonanie przez jego armię zakupu broni o wartości dwóch miliardów dolarów. Zapewniliśmy premiera, że nie dopuścimy, aby mu się powiodło. Zmobilizowaliśmy całą społeczność żydowską w Stanach Zjednoczonych. Odpowiedzialnym za powodzenie akcji był Tsvy Gabay, szef sekcji zagranicznej wywiadu. Otrzymał wykazy *sayanim* i prosyjonistycznych organizacji, które mógł włączyć do działań.

Zadanie nie było łatwe. Teoretycznie Jordańczycy mogli zakupić broń wszędzie, gdzie im się zamarzy. Nie prosili o łaskę; płacili gotówką i chcieli ją wydać w Stanach Zjednoczonych. Gdyby doprowadzili do zawarcia transakcji, uzyskaliby dostęp do amerykańskiego rynku broni, a ten przyjąłby ich z otwartymi ramionami. Nie mogliśmy na to pozwolić.

Społeczność żydowska w Stanach Zjednoczonych tworzy trójpoziomowy zespół operacyjny. Na pierwszym poziomie znajdują się pojedynczy *sayanim* (gdyby sytuacja była od-

wrotna i Stany Zjednoczone przekonałyby Amerykanów pracujących w Izraelu do działalności wywiadowczej na korzyść Stanów Zjednoczonych, rząd Izraela traktowałby ich jak szpiegów). Drugi poziom tworzy silne proizraelskie lobby, zdolne zmobilizować Żydów w Ameryce do działań ukierunkowanych zgodnie z życzeniem Mosadu. Trzeci poziom to B'nai Brith. Członkowie tej organizacji mieli za zadanie nawiązywać przyjaźnie wśród nie-Zydów i urabiać opinie antysemitę każdemu, kogo nie udało się pozyskać dla sprawy Izraela. Przy włączeniu do działań wszystkich trzech poziomów musieliśmy odnieść sukces. Nie było innej możliwości.

5

Czwartek, 27 marca 1986

Od wpadki na Cyprze upłynęły dwa miesiące, a wciąż nie wiadomo, co ze mną począć. Z jednej strony, kierownictwo Mosadu wiele zainwestowało w moją osobę i dobrze im się odwdzięczyłem - okazałem się wzorcowym produktem systemu szkolenia i procesu modelowania. A jednak kilku wysokich rangą oficerów zaczęło postrzegać mnie jako element szkodliwy. Jeden z nich, którego prawie nie znałem, o nazwisku Ephraim, prowadził prywatną krucjatę, której celem było wyrzucenie mnie z organizacji nazywanej przez niego najlepszą rodziną w państwie.

Jakimś sposobem zapewnił sobie pozycję kwalifikatora i nie był zadowolony z tego, co odkrył w moim życiorysie. Stwierdził, że jestem podżegaczem i moje poglądy polityczne wystawiają na szwank morale kolegów. Zgodził się, iż mam zadatki na dobrego agenta operacyjnego, lecz z powodu lewicowych skłonności stanowią zagrożenie dla systemu.

Mosad jest niewielką organizacją, z trzydziestoma, co najwyżej czterdziestoma agentami operacyjnymi, z których każdy silnie oddziałuje na pozostałych. Cokolwiek dzieje się z jednym, odbija się na innych. Moja sytuacja była doskonale znana i stanowiła główny temat rozmów toczonych za moimi plecami. Wiedziałem o tym od przyjaciół, ale nie miałem tak zwanego konia (starszego oficera, widzącego mnie w swojej klice), który wstawiłby się za mną.

Teraz nie miałem już złudzeń, że zostanę wylany. Stałem przed dużymi, drewnianymi drzwiami akademii, na skraju parkingu dla personelu. Patrzyłem, jak zimowe słońce powoli zapada w wody Morza Śródziemnego. Zaczął siąpić drobny deszcz, niebo gwałtownie pociemniało.

- Victor! - usłyszałem głos dobiegający z głównego hallu. Odwróciłem się w tę stronę. Głos należał do Dinura, którego uważałem za przyjaciela. Miałem pewność, że nadal nim jest.

- Co takiego?

- Chcą z tobą rozmawiać - rzekł, wskazując na biura.

- Jest tam szef?

Jako wyrzucany na bruk agent operacyjny, miałem prawo rozmawiać w cztery oczy z szefem Mosadu. Gdyby odmówiono mi takiej rozmowy, mogłem skorzystać z drugiego przywileju i poprosić o rozmowę z premierem.

- Nie, szefa nie ma. Jest David Arbel.

- Mam prawo rozmawiać z Romem - stwierdziłem, używając kryptonimu na określenie zwierzchnika Mosadu.

- Dlaczego nie posłuchasz, co mają do powiedzenia Arbel i Gideon Naftaly?

- Naftaly? A po cholere tutaj Naftaly?

Naftaly stał na czele wydziału psychiatrycznego. Nie darzyłem go szacunkiem. Na kursie kadetów jeden z nas, z wykształcenia psycholog, z łatwością zapędzał go w kozi róg.

- Victor, słuchaj, nie zadawaj mi tych pytań. Wejdz tam i zapytaj.

Kiwnąłem głową i wszedłem do hallu. Zatrzymałem się przy stoliku, nalałem sobie filiżankę kawy i papierowymi serwetkami trochę podsuszyłem włosy, wilgotne od mżawki. Dinur szedł obok mnie. Czułem się jak skazaniec w drodze na szubienicę.

Drzwi gabinetu uchyliły się i dojrzałem głowę Gideona.

- Yictor, czekamy na ciebie. Mógłbyś do nas przyjść?

- No, idź - rzekł Dinur, popychając mnie w stronę gabinetu. - Idź już, człowieku.

Przytaknąłem i wszedłem do pokoju.

- Chcieliście się ze mną widzieć?

- Tak - gruchnął Arbel mocnym głosem, w którym dało się słyszeć przekonanie o sile własnej pozycji. - Chcemy pomówić z tobą o rozwiązaniu twojego kontraktu z Mosadem.

- Kiedy będę rozmawiać z szefem?

- Nie będziesz - powiedział swym zwykłym tonem, jakby zwracał się do sekretarki. - To jest ostateczna rozmowa.

Nagle zawarłem z gniewu. Rzuciło się w oczy, że obaj jak najszybciej chcą to odwalić i mieć z głowy. Przestałem być jednym z nich i byłoby najlepiej, gdybym natychmiast zniknął im z oczu. Pozbawiali mnie ojczyzny i wiary w słuszność sprawy. Musiałem chwytać się brzytwy.

- O czym ty mówisz? Nie jesteś szefem, a tego klowna wcale nie powinno tu być.

- Victor, uważaj na słowa - ostrzegł Arbel.

- Ciebie też nie powinno tu być.

- Tego już za wiele. - Oczy Arbela miały iskry. Czuł, że kontrola wymyka mu się z rąk. Widziałem to. - Chciałem porozmawiać z tobą, zanim nas opuścisz. Jeśli nie masz zamiaru włączyć się do tej rozmowy, twoja sprawa. Nie mam nic przeciwko temu, po prawdzie, będę ci nawet wdzięczny. A teraz posłuchaj mnie i nigdy nie zapominaj tego, co mam ci do powiedzenia.

Rozparłem się w fotelu. Zachowywał się grubiańsko, ale to on miał władzę.

- Kiedy już stąd wyjdiesz, zapomnisz wszystko, czego się nauczyłeś, co robiłeś, słyszałeś lub w jakikolwiek sposób poznałeś w tym miejscu.

- Myślałem, że będę miał okazję powiedzieć szefowi, co, moim zdaniem, jest tutaj nie w porządku - powiedziałem. - Zdaję sobie sprawę, że moje słowa niewiele znaczą, ale

przynajmniej mógłby zrobić tę minę zatroskanego słuchacza, którą ma zawsze, gdy wysłuchuje raportu specjalistów.

Naftaly pokręcił głową, ale nie odezwał się.

- Cóż - ciągnął dalej Arbel - teraz już wiesz, że nie będziesz miał okazji. Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to teraz. Przekażę mu.

- Skoro szef nie chce ze mną rozmawiać, to może pójde do premiera?

Powoli tracił cierpliwość.

- Będziesz rozmawiać tylko ze mną i na tym koniec.

- W moim kontrakcie stoi czarno na białym, że w przypadku zerwania umowy przez pracodawcę, spotkam się ze zwierzchnikiem Mosadu i/lub premierem. Jest tam też napisane, że spotkanie odbędzie się przed ostatecznym rozwiązaniem umowy o pracę.

Pochyliłem się w jego stronę, podświadomie negując nieskończoność jego władzy. Uśmiechnął się głupkowato.

- Sram na twój kontrakt - rzekł, ścisząc głos. - Nie rozumiesz? Sami poczyniliśmy tę obietnicę i możemy ją złamać. Możemy z tobą zrobić, co nam się spodoba. Mogę w tej chwili zamknąć cię za kratkami i wyrzucić klucz. Wiesz, że przydarzyło się to innym. Przypominasz komara w mojej dłoni. Zaczynasz mnie drażnić i zaraz zrobię z ciebie mokrą plamę. Słuchaj, Victor, wynoś się stąd, dopóki jeszcze możesz.

Miałem świadomość, że przeciągam strunę, ale zapytałem:

- Czy to ma znaczyć, że nie będę rozmawiać z szefem?

- Masz kłopoty ze słuchem? Powiedziałem, z nikim nie będziesz rozmawiał. Nie jesteś już w obiegu, wypadłeś z gry i jeśli nie będziesz uważać, wylecisz z tego świata.

- Co ty bredzisz? - powiedziałem, zniżając głos niemal do szeptu. - Zabijesz mnie, jeśli nie rozegram tego po twojemu? Jeżeli to właśnie chciałeś powiedzieć, to chyba coś ci się

pomieszało. Może sknociłem ćwiczenie i, jeśli dajesz wiarę plotkom, spaprałem akcję, ale wiesz równie dobrze jak ja, że jestem jednym z twoich najlepszych ludzi. I nadal jestem patriotą, czy ci się to podoba, czy nie, natomiast wygląda na to, że to raczej ty nim nie jesteś. Może jesteś odpowiedzialny za bezpieczeństwo naszego kraju, lecz na razie nikt nie uczynił cię królem.

Wstałem i ruszyłem do drzwi.

- Nie waż się wyjść z tego pokoju - wrzasnął Arbel, podrywając się z fotela.

- Pieprzę was wszystkich - odkrzyknąłem, nie odwracając się.

W hallu dogonił mnie zadyszany Naftaly. Nawet krótki bieg był ponad siły tego biurowego pokurcza. Zatrzymałem się i odwróciłem do niego.

- O co chodzi?

- Jest coś, co chciałbym ci powiedzieć. Powiedzmy, że z zawodowej uprzejmości.

- Słucham, ale streszczaj się. Mam przed sobą nowy rozdział życia.

- Kiedy cię poznałem, przechodziłeś ostatnią fazę testów. Wiedziałem, że będą z tobą kłopoty. Chciałem, żeby wyłączono cię z gry, ale przełożeni mieli inne zdanie. Dopatrzyli się w tobie, jak to nazywali, ogromnego potencjału operacyjnego.

- Cóż, teraz wyleciałem. Powinieneś być zadowolony.

Zaczerwienił się.

- Chciałbym przypisać sobie zasługi w tym względzie, lecz, niestety, nie mogę. Udało ci się zrazić do siebie kilku najbardziej wpływowych ludzi.

- Czego ode mnie chcesz?

- Pomówmy o twoim profilu psychologicznym. Opracowałem go dość szczegółowo, w końcu obserwowałem cię na przestrzeni kilku lat. Wiem, że dużo nauczyłeś się na

kursach i w tym krótkim czasie, który spędziłeś w warunkach polowych. Jesteś teraz ekspertem w sztuce zabijania, kradzieży, fałszerstwa, werbunku i włamywania się do najróżniejszych miejsc. I oto nagle znajdziesz się w świecie, gdzie wiedza ta nie ma żadnego zastosowania.

- I to cię przeraża? Martwi cię, że włamię się do twojego domu, czy co?

- Nie bądź śmieszny. Chcę ci powiedzieć, że masz podstawowy problem i powinieneś coś z nim zrobić, bo inaczej marnie zginiesz. - Urwał na sekundę i dodał: - Cierpisz na dolegliwość, którą zwykłem nazywać zespołem niedoboru strachu.

- Co takiego?

W jego pulchnej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Nie żartuję. Był to zasadniczy powód, dla którego zdecydowali się przyjąć cię do służby. Większość ludzi w systemie ma ten sam problem, ale system o nich dba. Ty już nie będziesz pod jego opieką. A nauczyłeś się w Mosadzie wielu szkodliwych rzeczy. - Zrobił pauzę dla większego efektu. - Zawsze szukałeś kłopotów i będziesz ich szukał nadal, ponieważ nie przejmujesz się konsekwencjami. Jeżeli przyjąć, że strach jest mechanizmem obronnym ludzkiego organizmu, jego brak jest zespołem chorobowym. Powinieneś wbić sobie do głowy, że musisz szczegółowo analizować swój każdy krok. Nie masz naturalnego sprzymierzeńca w postaci strachu.

- Innymi słowy: znajdź sobie pracę przy czymś, co nie wymaga korzystania z umiejętności nabytych w Mosadzie?

- Owszem, byłoby to wskazane - przyznał, opuszczając głowę i wpruwając się w czubki butów.

- Powiedz swojemu szefowi, że to nie zda egzaminu. Chyba masz rację; nic mnie nie przeraża.

- To cię zabije, Victorze, jeśli nie będziesz na siebie uważał.

- Tobie też życzę miłego dnia - rzuciłem na pożegnanie i poszedłem do samochodu. Byłem wściekły.

Dopiero gdy znalazłem się w ciasnym wnętrzu mojej niebieskiej skrzynki na kołach, uderzyła mnie świadomość tego, co się stało. Dotarło do mnie, że gdy zapalę silnik i przejadę sto pięćdziesiąt metrów dzielące mnie od bramy, nastąpi koniec. Każdy, kogo znałem w Mosadzie, będzie dla mnie obcym człowiekiem. Od tej chwili zostanę odcięty od źródeł informacji i władzy, która wiązała się z wykonywaną pracą.

Trudno było to pojąć. Życie po opuszczeniu Mosadu - brzmiało to jak oksymoron. Czułem się jak postać wyjęta z surrealistycznego obrazu Salvadora Dali i siłą wtłoczona do rzeczywistego świata, świata, w którym ludzie od urodzenia bezsilnie dryfują do przeznaczonego im celu i mogą robić tylko to, na co im się pozwala, świata, w którym zasady istnieją po to, by ich przestrzegać, a nie łamać.

Czułem się jak niepotrzebny śmieć i jednocześnie miałem *ochotę komuś przyłożyć*. Uruchomiłem samochód, a potem ruszyłem do bramy. Pamiętałem, że przychodząc tu po raz pierwszy, byłem wesołym, pogodnym człowiekiem. Trochę się denerwowałem, lecz przeważała ciekawość, jak u dziecka, któremu pozwolono wejść do jaskini skarbów Aladyna. A teraz jechałem w przeciwną stronę, zgorzkniały, oszukany i zdradzony.

Stanąłem przed bramą, czekając, aż strażnicy ją otworzą. Patrzyłem przed siebie, gdy usłyszałem stukanie w okno samochodu. Obok stał strażnik. Opuściłem szybę i nie patrząc na niego, burknąłem:

- Czego?

- Kazano mi odebrać panu przepustkę. Proszę ją oddać.

Chciałem powiedzieć coś przykrego, ale patrzył na mnie przepraszająco. Nie był pewien, jak się zachować i co powiedzieć. Wyjąłem z portfela biały kawałek plastyku i podałem mu.

- Chłopaki, czy teraz możecie już otworzyć tę cholerną bramę i wypuścić mnie z tej kloaki?

Skrzydła bramy natychmiast ruszyły z miejsca. Nie czekałem, aż otworzą się na całą szerokość. Wdusiłem pedał gazu do deski i z piskiem opon pogałem w zapadający szybko wieczór.

Wiedziałem, że powinienem jechać do domu, ale nie mogłem tego zrobić. Jeszcze nie. Zdawałem sobie sprawę, że w chwili, gdy powiem Belli o wyrzuceniu mnie z Mosadu, koniec mojej kariery zostanie ostatecznie przypieczętowany.

Deszcz nie przestawał siać. Jechałem powoli ulicami Tel Awiwu. Wszystko wydawało się szare i ponure. Przedtem wszystko było wyzwaniem, częścią nieustannej rozgrywki z niewidzialnymi siłami. Teraz nie było nic. Nikt mnie nie śledził, nikomu nie musiałem się meldować. Znowu byłem zwykłym śmiertelnikiem, który ujrzał niebo i został z niego wykopany. Najwyższy czas, żeby wrócić do domu i spróbować poskładać do kupy własne życie.

6

Dochodziła północ, gdy zjechałem na parking pod budynkiem w Herzeli, w którym mieściło się moje mieszkanie. Zamknąłem samochód i wtedy usłyszałem, jak ktoś woła mnie po imieniu:

- Victorze!

Głos dobiegał z magazynu położonego w głębi garażu. Cofnąłem się.

- Tylko spokojnie. Przyjechałem tu, żeby zabrać cię na spotkanie.

Usiłowałem dojrzeć, kto do mnie mówi, lecz widziałem tylko czarną plamę postaci opierającej się o wewnętrzną ścianę magazynu. Sięgnąłem do włącznika światła. Wcale nie byłem zaskoczony, gdy żarówka nie zapaliła się.

- Kim jesteś?

- Tylko posłańcem. Nie mogę odpowiedzieć na żadne z twoich pytań, ale nie masz się czego bać... - Zamilkł na dłuższą chwilę. Zapewne miał słuchawkę w uchu i musiał wysłuchać instrukcji. - Jak powiedziałem - ciągnął - nie masz się czego bać. W drodze do domu nikt cię nie śledził. W całym budynku nie ma nikogo oprócz mnie. - Otworzył drzwi z drucianą siatką i podszedł do mnie bliżej. - Idziemy?

- To jakiś dowcip?

- Możesz mi wierzyć, to nie dowcip. Posłuchaj, gdybyśmy chcieli zrobić ci krzywdę, moglibyśmy to zrobić nawet przed twoją rozmową z Arbelem, prawda?

Nikt spoza Mosadu nie mógł powiedzieć tego, co właśnie

usłyszałem. Niemal namacalnie czułem, jak w moim organizmie rośnie poziom adrenaliny. Gdzieś, w głębi duszy, miałem nadzieję, że Mosad pragnie dalej widzieć mnie w swoich szeregach.

- Po drugiej stronie ulicy stoi zaparkowana czarna lancia. Usiądź na tylnym siedzeniu. Zawiozą cię na spotkanie.

- Dlaczego nie mogę pojechać moim samochodem?

- Nie martw się, odwiozą cię.

- Dobrze, ale najpierw muszę powiedzieć żonie, że wyjeżdżam. Zaniepokoiłaby się, gdyby zobaczyła, że mój samochód stoi w garażu, a mnie nie ma w domu.

- Pod warunkiem, że to nie potrwa długo.

- Teraz ty mnie posłuchaj! - Byłem tak podminowany, że niewiele mi było trzeba, żeby wpaść w furję. - To potrwa tyle, ile trzeba. Z mojego punktu widzenia, możesz sobie siedzieć w tym ciasnym magazynku tak długo, aż zniesiesz jajo. Nic mnie to nie obchodzi.

- Przepraszam. Możesz iść. Zaczekamy na ciebie, tylko proszę, zrób to w miarę szybko, dobrze?

Tym razem ton jego głosu odpowiadał mi znacznie bardziej.

Skorzystałem z domofonu.

- Tak? - usłyszałem wyraźnie zmęczony głos Belli.

- To ja.

- Nie wchodzisz na górę?

- Jeszcze nie teraz. Czekali tu na mnie jacyś ludzie z Biura. Pojadę z nimi na krótką przejażdżkę. Nic mi nie jest.

- Słuchając ciebie, mam co do tego wątpliwości. Jesteś pewien, że powinieneś jechać?

- Nie ma się o co martwić.

- Może wejdą na górę? Zaparzę kawę.

- Nie pójdą na to. Czekają na mnie, muszę iść. Niedługo wrócę. Nie martw się, wszystko w porządku.

Nie powiedziała nic więcej. Wiedziałem, że się poddała.

Żadna inna kobieta nie wytrzymałaby ze mną tak długo. Kochałem ją, jednak miałem ogromne trudności z okazaniem jej tych uczuć. Łatwiej było mi mówić przez domofon. Powiedzenie tego samego w cztery oczy to zupełnie inna para kaloszy. Stałem jak zaklęty przed tablicą domofonu i wpatrywałem się w głuchy głośniczek. Chciałem pobiec na górę, pochwycić ją w ramiona i pokazać, jak bardzo ją kocham. Zamiast tego odwróciłem się i poszedłem do czekającego na mnie samochodu.

Siedząc na jego tylnym siedzeniu, nic już nie czułem. Nazywaliśmy to odrętwieniem operacyjnym. Pozostawał tylko przytłumiony ból w dole klatki piersiowej, może nie tyle ból, co dokuczliwy ucisk. Ucisk wywierany przez osobiste uczucia, stłoczone na niewielkiej, ściśle kontrolowanej przestrzeni, w tak zwanej strefie prywatności, podczas gdy świadomość jest w stanie gotowości, nastawiona na odbiór informacji i szybkie podejmowanie decyzji, jak w danej sytuacji zareagować.

Zupełnie jakbym przebudził się ze snu, a potem, wciąż zachowując świadomość, ponownie w nim się pograżył. Możliwe były dwa rozwiązania: albo zamierzali przyjąć mnie z powrotem, albo odbyć ze mną „rozmowę”. Przez rozmowę rozumiałem kolejną próbę zastraszenia mnie, abym nie próbował zaczynać jakiegokolwiek działalności godzącej w Mosad.

Po dziesięciominutowej jeździe zatrzymaliśmy się przed opuszczonym magazynem w przemysłowej dzielnicy Herzlii. Przed budynkiem stał samochód. Kiedy na chwilę omiotły go światła reflektorów lancii, dojrzałem w środku dwóch ludzi.

- Czekają tam na pana - powiedział kierowca, nie odwracając głowy.

Wysiadłem i poszedłem do drugiego samochodu. Jeden z siedzących w nim ludzi stał teraz przy nim, zwrócony do mnie plecami. Obrócił się, kiedy dzieliło nas mniej więcej dwa i pół metra. Uchylił drzwiczki na tyle, że zapaliła się

lampka wewnątrz auta i mogłem go rozpoznać. To był Ephraim, oficer, który z takim uporem dążył do usunięcia mnie z Mosadu. W środku siedział umundurowany oficer, w którym rozpoznałem generała brygady wojsk pancernych. Miałem dla niego wiele szacunku. Mogłem dobrze go poznać, ponieważ kilkakrotnie współpracowaliśmy w trakcie ćwiczeń z udziałem wojsk pancernych i marynarki.

Wsunąłem się na tylne siedzenie. Kierowca, który mnie przywiózł zamknął za mną drzwi, i wrócił do swojego wozu.

Ephraim przedstawił się, jakbyśmy się nigdy nie znali. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

- Bardzo się cieszę, że znowu się widzimy.

Nieczęsto znajdowałem się w takiej sytuacji. Byłem jak rażony piorunem. Odebrało mi mowę.

- Cóż, nie uściśniesz mi ręki?

- Nie, nie widzę powodu, dla którego miałbym to zrobić. Jesteś krętaczem. Wygadywałeś o mnie kłamstwa, a oni wszyscy ci uwierzyli.

Generał milczał. Co jakiś czas rozjaśniał się żar w jego fajce, a słodki, pachnący wiśniami dym wypełniał wnętrze samochodu. Ephraim był dobrze zbudowanym mężczyzną, średniego wzrostu, z rzednącymi jasnymi włosami, zaczesanymi na jedną stronę. Nosił okulary w złotej oprawce, które zwykł poprawiać wskazującym palcem, gdy zjeżdżały mu w dół nosa.

Miał ciepły głos i na większości ludzi robił przy pierwszym spotkaniu wrażenie sympatycznego, miłego człowieka.

- Dobrze, przejdę od razu do rzeczy, a potem będziesz mógł pytać, o co tylko zechcesz. Możesz jeszcze myśleć?

- To podchwytliwe pytanie? Mógłbym przestać myśleć?

- Nie, ale po tym, co dzisiaj przeszedłeś, możesz nie rozumować zbyt jasno. Nieważne.

Zaproponował mi papierosa, sam też wziął jednego. Generał z przyjacielskim uśmiechem podał mi zapalniczkę.

- Nie jesteś winien, że cię wyrzucono - mówił dalej Ephraim. - Zostałeś wrobiony. Jednak nie oszukujmy się; prędzej czy później i tak zostałbyś wylany na zbity pysk. Dla wszystkich jest lepiej, że stało się to szybciej. - Zrobił pauzę, aby rzucić mi spojrzenie zza swych okularów w złotej oprawce. - Zanim przejdziemy dalej, chcę, abys wiedział, że ani ty, ani ja, nic nie możemy na to poradzić. Tak więc obojętne, pomożesz nam, czy też nie pomożesz, nie ma dla ciebie powrotu.

- Zaczekaj, przestaję za tobą nadążać. Kto mnie wrobił i po co? Do cholery, co masz na myśli, mówiąc, że nie ma dla mnie powrotu? Jeśli wiedziałeś, że jestem wrabiany, mogłeś mi pomóc. Do kurwy nędzy, będziesz musiał to zrobić teraz. Masz pojęcie, co dla mnie znaczyła posada agenta operacyjnego w Mosadzie? Kim ty jesteś, jakimś bogiem czy co?

- Skończ tę gadkę, Victor. Chcesz żyć i pracować, chcesz pieprzonej sławy, jak my wszyscy. W porządku.

- Gdzie to jest w porządku? Może dla was, bo ciągle w tym siedzicie. Ktoś się bał, że zabiorę mu jego działkę?

- Nie wyleciałeś z tego powodu. - Obaj wymienili spojrzenia. - Są ludzie, którym się wydaje, że Mosad istnieje po to, aby mogli spełniać swoje zachcianki. Musimy ich powstrzymać, zanim będzie za późno.

- Za późno? Na co?

- Prowadzą nas prostą drogą do wojny, jak zrobili to już kiedyś w Libanie.

Nie było tajemnicą, że prawicowe skrzydło Mosadu nawiązało romans z Baszirem Dżemajelem, playboyem i charyzmatycznym przywódcą chrześcijańskiej milicji, wybranym na prezydenta Libanu. Prawdopodobnie pośród otaczającego Izrael morza nienawiści, Mosad znalazł sprzymierzeńców w chrześcijańskich przywódcach Libanu. Na ironię zakrawał fakt, że ten sam Mosad podgrzewał nienawiść w innych

krajach, aby zachować *status quo* i wymusić na Izraelu utrzymywanie potężnej maszyny wojennej, zamiast pograżenia się w słabości pokojowego współistnienia i korzystania z rzekomych korzyści, jakie mogły płynąć z dobrosąsiedzkich stosunków.

- Jedną chwilę, jeśli łaska. - Uniosłem dłonie, jakbym próbował zatrzymać pocisk zmierzający prosto w moją pierś.

- Co moja osoba może mieć wspólnego z tym wszystkim? Wyleciałem z gry, albo, jak powiedział Arbel, nie jestem już w obiegu.

- Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co słyszysz. Albo widzisz, skoro już o tym mówimy. O wielu rzeczach nie masz bladego pojęcia. Będziesz musiał mi zaufać.

- Zaufać tobie? Prawie nic o tobie nie wiem, a to, co wiem, jakoś nie przypadło mi do gustu. Rozpowszechniałeś kłamstwa na mój temat i prawdopodobnie to właśnie tobie zawdzięczam, że mnie wyrzucono...

Nagle rozjaśniło mi się w głowie. Rzeczywiście, to on doprowadził do usunięcia mnie z Mosadu. Chciał wykorzystać mnie dla własnych celów, zlecając zadania do wykonania poza siatką wywiadowczą. Słyszałem o podobnych rozgrywkach w innych agencjach. Jeżeli w systemie pojawiają się problemy, można wykopać jakiegoś agenta, a potem posłużyć się nim, uczynić z niego własnego człowieka - jest dobrze wyszkolony, zna swój fach i pozostaje do dyspozycji.

- Słuchaj, wiem, co czujesz, jednak będziesz musiał mi zaufać. Właśnie dlatego wziąłem ze sobą generała. Znacnie się, prawda?

Spojrzałem na pokrytą zmarszczkami twarz człowieka siedzącego na przednim siedzeniu. Kiwnąłem głową.

- Dobrze. Posłuchaj uważnie. Nie mamy za dużo czasu.

- Dlaczego? Śpieszymy się?

- Twoi przyjaciele nie są ciebie pewni. Niektórzy sądzą,

że mógłbyś próbować wrócić, inni uważają, że mógłbyś narobić hałasu. Dużo wiesz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Będą próbowali cię usunąć, rozumiesz, zabić. Nie będziesz pierwszym, któremu się to przytrafi.

- Co, zastrzelą mnie? Albo rozjadą samochodem?

- Nie. Jako rezerwista, zostaniesz ponownie wcielony do wojska i przydzielony jako oficer łącznikowy do armii w Południowym Libanie. Jak myślisz, ile pożyjesz w Południowym Libanie?

- Znają mnie tam, wiedzą, że jestem agentem Mosadu - powiedziałem z gorzkim uśmiechem. - Pewnie kilka godzin. Z całą pewnością, dobry sposób na pozbycie się niewygodnej osoby, zgrabnie i bez wzbudzania podejrzeń. Plan ma jednak jeden feler.

- Czyżby? - powątpiewał Ephraim.

- Owszem, ma. Zgodnie z przepisami, nie mogę zostać powołany przez rok po zwolnieniu z wywiadu. A potem mogę dostać przydział tylko do oddziałów stacjonujących w tak zwanym bezpiecznym środowisku.

- Masz przyjaciół w marynarce, prawda?

- Tak.

- No, to może zatelefonujesz do jednego z nich i sprawdzisz, czy zostaniesz powołany, czy nie. Wiesz, papierkowa robota już została rozpoczęta. Jeżeli w przeciągu dnia lub dwóch nie wyjedziesz z kraju, będziesz trupem.

Zaczynało do mnie docierać. Do tej pory miałem wrażenie, iż mówimy o kimś innym i rozważamy sytuację hipotetyczną. Niestety, nie mówiliśmy o nikim innym, tylko o mnie i mojej rychłej śmierci. Nie bałem się. Byłem spięty, zeszywniał mi kark. Przez boczną szybę wpatrywałem się w mrok nocy. Oczami wyobraźni już widziałem moje ciało w rowie przy drodze do Marj Uyun.

- Co mogę zrobić? - powiedziałem, zachowując spokój.

- Skoro biurokratyczna machina już ruszyła, wojsko mnie nie puści. Bez cholernego świstka i potwierdzenia w komputerze nie mogę opuścić kraju. Będę wdzięczny, jeśli odwieziesz mnie do domu, abym mógł spędzić z rodziną ostatnie chwile.

- Naprawdę myślałeś, że wlekiśmy się kawa! drogi w taką noc i siedzieliśmy tutaj czekając na ciebie tylko pO/to, żeby powiedzieć ci, co się dzieje? Mamy do zaproponowania pewne rozwiązanie.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- Zamieniam się w słuch.
- Kiedy wrócisz do domu, powiesz żonie, że zostałeś wyrzucony z Mosadu. Potem powiesz jej, że właśnie spotkałeś się z przyjaciółmi, którzy przekazali ci wiadomość, iż powinieneś jak najszybciej wyjechać z kraju.

- Skąd wezmę pieniądze?
- Sprzedaj ten swój stary klekot.
- Dostanę za niego śmieszne grosze.
- Aby wydostać się z kraju, nie będziesz potrzebował więcej niż pięć tysięcy zielonych.

- Ten samochód nie jest wart więcej niż dwa patyki.
- Wystaw go na sprzedaż za sześć tysięcy. Zaufaj mi, znajdzie się nabywca. Potem kup bilet do Londynu linii Tower Air. Wylądujesz na lotnisku w Gatwick i zatrzymasz się w hotelu Skyway. Tam się z tobą skontaktuję.

- Dlaczego to robisz? Jakie będziesz miał z tego korzyści? Czego ode mnie chcesz?

- Wysłuchałeś mojej propozycji. Radzę z niej skorzystać. O reszcie porozmawiamy, kiedy spotkamy się w Londynie. Oczywiście, jeśli tam dotrzesz.

Ephraim wysiadł z wozu i okrzyknął go, żeby przesiąść się na fotel kierowcy.

- Zrób, o co prosi, Yictorze - powiedział generał, za-

chrypiętym głosem. - Zaufaj mi. Wszystkim wyjdzie to na dobre.

- A zwolnienie z wojska?

Nie odwracając się, Ephraim podał mi małą szarą kopertę.

- Papiery są w porządku, dane wprowadzono do komputera. Dokumenty tracą ważność za siedemdziesiąt dwie godziny. Jeżeli do tej pory nie będziesz w drodze do Londynu, zostaniesz skasowany jak dane w komputerze.

7

Wróciłem do lancii i usiadłem na tylnym siedzeniu, ignorując dwóch mężczyzn zajmujących fotele z przodu samochodu. Zapaliłem papierosa. Skronie mi pulsowały. Otrzymałem mnóstwo informacji i niewiele czasu na ich przeanalizowanie. Jedno było oczywiste: jeżeli zdecyduję się pójść na współpracę z Ephraimem i jego ludźmi - miałem pewność, że oprócz niego i generała jest w to zaangażowanych więcej osób - będę musiał pociągnąć to aż do samego końca, niezależnie od tego, co na końcu miało mnie spotkać. Musiałem podjąć decyzję ostateczną i jeśli będzie prawidłowa - przeżyję. Jeśli nie...

Jeśli Ephraim mówił prawdę, a raczej w to nie wątpiłem, istniały duże szanse, że nawet mimo jego pomocy nie wydobędę się z kłopotów. Stał na czele wpływowej kliki funkcjonującej wewnątrz Mosadu, lecz najwyraźniej jego władza była ograniczona. Inaczej nie musiałbym uciekać. Rzecz jasna, zawsze istniała ewentualność, że wyjazd do Londynu był pułapką. Gdybym uciekł z kraju, Mosad miałby pretekst, żeby mnie uziemić. Możliwości było dużo, wręcz nieskończenie wiele.

Samochód zatrzymał się przed moim blokiem. Patrząc przed siebie, kierowca ogłosił:

- Ostatni przystanek.

Nie chciał być zauważony w pobliżu mieszkania, które mogło być pod obserwacją.

Wysiadłem, owiało mnie zimne, nocne powietrze. Wcis-

nałem ręce w kieszenie i powlokłem się do domu. Co miałem powiedzieć Belli? Kochanie, wyrzucili mnie, a teraz chcą mnie zabić, więc muszę uciekać do Anglii.

Zatrzymałem się przed domofonem. Żołądek podchodził mi do gardła. Co miałem powiedzieć kobiecie, którą kochałem, lecz do tej pory trzymałem z dala od wszystkiego, co wiązało się z moją pracą? Zawsze miałem dobrą wymówkę: rzekomo tak miało być dla niej bezpieczniejsze. Co za bzdury! Doskonale wiedziałem, że łatwiej jest nic nie mówić. A teraz skończyło się, coś musiałem powiedzieć.

Nagle zorientowałem się, że szukam historyjki, którą mógłbym zastąpić prawdę. Może najlepiej byłoby pójść na górę, nic nie mówić, nic nie robić, tylko poczekać na telefon z wojska, który rozwiąże wszystkie problemy. Ojczyzna mnie potrzebuje, więc nałożę mundur i pojedę, gdziekolwiek mnie pošlą. Do niedzieli będzie po wszystkim. Odbędzie się wojskowy pogrzeb ze wszystkimi honorami. Może nawet zjawi się na nim premier. W końcu, dosłużyłem się stopnia pułkownika. Powinien być zadowolony z załatwienia sprawy w taki sposób: będzie mógł przemawiać i nikt mu się nie wtrąci.

Po co desperacko trzymać się życia? Po co walczyć? W sumie, mogła to być najlepsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła. Nareszcie zrobiłbym coś tak, jak należy. I zakończył raz na zawsze.

Jednak nie byłem typem człowieka, który mógłby położyć się i udawać martwego. Skoro istniała szansa, że może mi się udać, musiałem z niej skorzystać, choćby prawdopodobieństwo powodzenia było znikome. I stałem tak dalej, z wypalonym prawie do końca papierosem w ustach, ciągle bez pomysłu na to, co powiem Belli.

Modliłem się, żeby mnie nie rzuciła. Cisnąłem niedopałek papierosa do małej kałuży i ruszyłem schodami w górę. Zapukałem do drzwi. Bella wyjrzała przez wizjer, a potem uchyliła drzwi i wróciła do salonu. Miała na sobie biały

puszysty szlafrok, jej czarne włosy lśniły, pachniała świeżością. Poczulem się przy niej jak potwór z bagien.

Na jej pięknej twarzy nie gościł nawet cień uśmiechu. Nie było go tam już od dawna.

Usiadła na sofie, podwijając nogi i krzyżując ramiona na piersi. Poczulem się nieswojo, lecz jednocześnie wciąż miałem świadomość, że jestem u siebie. To było moje miejsce. Wszystko, co było drogie memu sercu, znajdowało się w tym przytulnym mieszkanku.

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem. Miałem szesnaście lat. Szła chodnikiem w towarzystwie mojego przyjaciela. Była ubrana w ciemnoniebieski sweter z białym pasem na wysokości piersi; czarne, rozfalowane włosy miała przewiązane białą wstążką. Nie zdążyła powiedzieć jednego słowa, a już byłem w niej zakochany. Na wspomnienie, jak wiele zadałem jej ostatnio bólu, zakłuło mnie serce. Wiedziałem, że niczego przed nią nie ukryję.

- No i o co im chodziło? - zapytała z nie skrywaną ironią, jakby chciała powiedzieć: „Proszę bardzo, opowiedz mi jeszcze jedną bajeczkę.”

Usiadłem naprzeciw niej. Teraz wiedziałem już, co mam powiedzieć.

- Wyrzucili mnie. - Słowa prawie uwięzły mi w gardle.

- Nie pracuję już w Biurze.

Obserwowała mnie, niezdecydowana, jak przyjąć nowinę. Pochyliła się w moją stronę i spytała:

- Skoro cię wyrzucili, dlaczego nie weszli na górę, żeby porozmawiać?

- Ktoś chciał mi powiedzieć, że dobrze zrobiłbym wyjeżdżając z kraju.

Poderwała się na równe nogi. Jedną ręką targała włosy, jakby miało to pomóc w znalezieniu rozwiązania problemu, który nie był już wyłącznie moim problemem.

- O czym ty mówisz? Miałbyś wyjechać? Dokąd? Dlaczego? Kiedy?

Wstałem, podszedłem do Belli i wziąłem ją w ramiona. Promieniowała od niej energia, która skutecznie tłumiała tępy ból w dole klatki piersiowej i wydobywała mnie z otepiałej zmysły melancholijnej śpiączki, w jakiej trwałem od bardzo dawna.

- Uspokój się, wszystko będzie dobrze.

Odechnęła mnie.

- Dokąd pojedziesz? I co będzie z nami? Mówiłam ci, że coś takiego się stanie. Wszyscy ci twoi tak zwani przyjaciele, Yosy, Haim i inni! Co ci zrobią, jeśli nie wyjedziesz?

- Nie mam pojęcia. Wiesz, do czego są zdolni.

Bella doskonale orientowała się w moich poglądach politycznych. Prawdę mówiąc, jej zapatrywania często były dla mnie niczym światło latarni morskiej, gdy od czasu do czasu, pod presją otoczenia, zdryfowałem na prawą stronę. Nie chciałem pokazać po sobie, jak bliska była prawdy o moich „przyjaciółach” z Mosadu, toteż nie wtajemniczałem jej w szczegóły politycznych rozgrywek wewnątrz Biura.

Opadła na sofę i bezradnie zapytała:

- Dokąd wyjedziesz?

- Myślałem o Anglii, stamtąd mógłbym dostać się do Stanów Zjednoczonych. Przez jakiś czas pomieszkam u ojca, a potem zobaczymy.

- Dlaczego Anglia?

- Najtańszy bilet lotniczy. Poza tym, z Anglii do Stanów można polecieć samolotem czarterowym.

- A więc... Kiedy wyjeżdżasz?

Usiadłem na sofie obok Belli i przygarnąłem ją do siebie.

- Pojutrze.

Przycisnęła głowę do mojej piersi. Płakała. Chciałem unieść jej głowę, żeby ją pocałować, ale nie pozwoliła mi.

- Kocham cię, Bella - zdołałem powiedzieć, zanim rosnąca w gardle gula odebrała mi zdolność mówienia.

Mocno tuliłem ją do siebie i pragnąłem, aby ta ulotna chwila trwała wiecznie. Zdawałem sobie sprawę, że już wkrótce los nas rozłączy. Nie wiedziałem, na jak długo. Całkiem serio zacząłem obawiać się, że nigdy już jej nie zobaczę. Wolałem nie myśleć, co Ephraim trzymał dla mnie w zanadru. To, co usłyszałem, było wystarczająco przerażające.

Siedzieliśmy tak na sofie, przytuleni, bardzo, bardzo długo. Zaczęliśmy chodzić ze sobą mając po szesnaście lat, wzięliśmy ślub mając po dziewiętnaście. Zawsze uważałem nas za dwie dopełniające się części jednej istoty, ja wnosiłem do niej pierwiastek yang, ona yin. Wiedziałem, że Bella kocha mnie tak, jak nigdy nie zasługiwałem. Ja kochałem ją ponad życie.

Mieliśmy dwie piękne córeczki. Miałem nadzieję, że spały w swoim pokoju. Mieszkanie było wynajęte. Poza samochodem i meblami nie posiadaliśmy nic więcej. Zarobki w Mosadzie były dobre, lecz nie pozwalały na życie w luksusie. Dbano o agentów operacyjnych w trakcie działań w terenie, o ich rodziny nie.

Piątek, 28 marca 1986 r.

Wstałem wcześniej rano i wziąłem prysznic, zanim wstały dzieci. Chciałem obudzić je pocałunkiem, sprawić, aby dzień zaczął się jak najlepiej. Stanem umysłu przypominałem człowieka, który dowiedział się, że musi umrzeć i zdążył już pogodzić się z tym faktem.

Chciałem, aby dzieci zapamiętały mnie jako kochającego ojca, chciałem wyryć w ich pamięci taki wizerunek. Musiałem zrobić to w skondensowanej formie, jednym uściskiem, jednym całusem. Nie mogłem cofnąć się w czasie i oddać im

skradzionych chwil. Przynależem sobie, że jeśli uda mi się jakos rozwiklać tę sytuację, nigdy więcej nie opuszczę moich dziewczynek. Bez przerwy dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że nie spędzam z nimi wystarczająco dużo czasu. Mimo moich zaniedbań, zawsze byliśmy sobie bliscy, a teraz musiałem, po prostu musiałem, pokazać im, jak wiele dla mnie znaczą.

Zaparkowałem samochód przy krawężniku i położyłem za szybą kartkę informującą, iż pojazd jest na sprzedaż. Nie minęła godzina, gdy zadzwonił telefon.

- Dzwonię w sprawie samochodu - usłyszałem głos jakiegoś młodego człowieka.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Ile pan za niego chce?

- Sześć tysięcy amerykańskich dolarów - odparłem, powstrzymując się przed wybuchem śmiechu.

- Mógłbym go wypróbować?

- Oczywiście. Kiedy chciałby pan przyjść? Widzi pan, mam sporo spraw i...

- Będę za dwadzieścia minut.

- Doskonale. Spotkamy się przy samochodzie.

- Mam na imię Boaz. A pan?...

- Victor. Mam na imię Victor.

- W takim razie, do zobaczenia.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że zjawi się jeden z ludzi Ephraima. Zabierze samochód i wręczy mi pieniądze, za które będę mógł uciec. Musieliśmy odegrać to przedstawienie, gdyż telefony oficerów Mosadu znajdowały się pod ciągłym nadzorem wewnętrznych służb bezpieczeństwa. Jeśli podsłuchiwali tę rozmowę, usłyszawszy cenę na pewno głośno się roześmiali, lecz najprawdopodobniej pomyśleli, że znalazłem frajera.

Do południa nabyłem bilety i wróciłem do domu. Spreparowałem specjalny schowek w walizce, w którym ukryłem

skróconą wersję mojego pamiętnika i zestaw fotografii niemal wszystkich agentów operacyjnych Mosadu. Schowek musiał być idealny, nie mogłem sobie pozwolić na wpadkę. Zdjęcia trzymałem jeszcze z czasów, gdy miałem zamiar stworzyć groteskową tablicę pamiątkową z kursu dla oficerów wywiadu. Teraz miały być moim ubezpieczeniem. Gdyby Ephraim wyciął jakiś numer, albo ktokolwiek na jakimkolwiek etapie nie pozwalał mi połączyć się z rodziną, w ciągu jednego dnia mogłem pozbawić Mosad wszystkich agentów operacyjnych, zmuszając do zawieszenia działań na bardzo długo.

W tej walizce znajdował się najbardziej wybuchowy materiał ze wszystkich, jakie kiedykolwiek zostały użyte przeciw Mosadowi w pojedynczym zamachu.

Mój samolot odlatywał w niedzielę po południu. Bella i ja wspólnie zdecydowaliśmy, że nic nie powiemy dzieciom aż do niedzielnego poranka. Do tego czasu żona miała zatrzymać córki w domu. Wielu moich byłych towarzyszy mieszkało niedaleko nas, a nie miałem pewności, czy któryś z nich nie chciałby przeszkodzić mi w wyjeździe z kraju, gdyby miał taką szansę. Lepiej było utrzymać podróż w tajemnicy.

Niedziela, 30 marca

Wysiadłem z taksówki na lotnisku. Oblizalem wargi i poczułem smak perfum Belli, które znalazły się na ustach, gdy całowałem jej ucho. Dziewczynki były smutne, widząc, że znowu odjeżdżam. Nie zauważały żadnych różnic między tym wyjazdem a innymi. Znajdowałem w tym osobliwe pocieszenie.

Niosłem dwie walizki i przewieszoną przez ramię torbę, kierując się do wschodniego skrzydła terminala Ben-Gurion, gdzie mieścił się blok odpraw linii Tower Air. Odlot był planowany na 14:00, na zegarku była dopiero 11:30. Stan-

dardowa procedura stosowana na izraelskich lotniskach nakazywała, by pasażerowie stawiali się dwie do trzech godzin przed startem. Większość pasażerów zostawiała bagaże dzień wcześniej w specjalnym punkcie bagażowym, funkcjonującym przy stacji kolejowej Tel Awiw Północny. Nie mogłem skorzystać z tej możliwości. W żadnym razie nie zostawiłbym na całą noc walizki z ukrytym w niej gorącym towarem i nikomu nie dałbym okazji do podrzucenia czegokolwiek.

Personel obsługi naziemnej Tower Air jeszcze się nie zjawił, a w kolejce do sprawdzenia bagażu i po kartę pokładową stało zaledwie pięciu pasażerów. W zasadzie barierek wyznaczały pasy dla dwóch równoległych kolejek, z czego skwapliwie skorzystałem, zajmując pierwsze miejsce w nowej kolejce. Przysiadłem na stole z nierdzewnej stali, który służył ochronie lotniska do sprawdzania bagażu.

Zazwyczaj czułem się na tym lotnisku dobrze. Znałem większość dowódców zespołów strażniczych, a oni znali mnie. Wwiozłem do kraju lub wywiozłem z niego wielu ludzi, którzy śmiało mogli powiedzieć, że nigdy nie byli w Izraelu i z wyjątkiem nielicznych fotografii przechowywanych w archiwum Mosadu nikt nie znalazłby dowodów na to, że ci ludzie kłamią. Tego dnia czułem się dziwnie. Gdybym był tu jeszcze kilka dni temu, w jakiegokolwiek sprawie, chodziłbym napuszony jak paw, zgrywając aroganckiego snoba, który ma wszystkich na jedno skinienie palca.

Tego dnia było inaczej. Tego dnia znalazłem się tu jako uciekinier i choć najwyraźniej nikt mnie nie śledził, miałem świadomość, iż pościg ruszy - to tylko kwestia czasu. Okazało się, że mam dużo szczęścia. Na początku miesiąca otrzymałem prawdziwy paszport, żeby posłużyć się nim przy następnym zadaniu. Ponieważ miałem podwójne obywatelstwo, zażądałem również paszportu kanadyjskiego. Odebrałem go przed tygodniem. Ten szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił mi wyjechać z kraju tak szybko, jak potrzebowałem.

Spojrzałem na równoległą kolejkę, na której czele stał wysoki, barczysty mężczyzna z brodą w kolorze blond, nerwowo bębniący palcami w aktówkę ze świńskiej skóry.

Po chwili zauważyłem idącego w moim kierunku oficera służby strażniczej. Uśmiechał się szeroko, wręcz promieniał.

- Hej tam, jak leci? - zawołał.

Raczej nie mógł wiedzieć o tym, że przestałem pracować w wywiadzie.

- Może być. A jak tam u ciebie?

- Nieźle, nieźle. - Zrobił pauzę. - Jesteś tu w interesach czy dla przyjemności?

- Trochę jedno, trochę drugie. Dlaczego pytasz?

- Chciałbym poprosić cię o przysługę.

Zabrzmiało to cokolwiek dziwnie.

- Jak mógłbym ci pomóc? - zapytałem, próbując przywołać na twarz beztroski uśmiech. Byłem mu wdzięczny za rozmowę, będącą dla mnie czymś w rodzaju mostu rozpiętego nad otchłanią strachu i niepewności. Wiedziałem, że nie muszę silić się na wielkie przedstawienia. On z kolei miał świadomość, iż mu nie odmówię. Nie zrobiłbym tego nawet wówczas, gdybym nie wędrował po ostrzu noża.

Zbliżył się do mnie i szeptem powiedział:

- Mamy tu dwójkę nowych strażników, faceta i taką jedną babkę. - Puścił oko. - Jest niczego sobie, sam się przekonasz.

- Przysunął się jeszcze bliżej. - W ogóle mówią o niej, że jest dość przyjaźnie nastawiona, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- To chcesz, żebym ją uwiódł, czy jak?

Czułem głęboką odrazę do tego człowieka i najchętniej pozbyłbym się go tak szybko, jak to możliwe. Z drugiej strony, nie zapomniałem, że mam przy sobie plik dokumentów ukazujących powiązania Mosadu z wywiadami innych krajów, kolekcję fotografii agentów Mosadu oraz szczegółową listę ponad dwu tysięcy nazwisk *sayanim* z Wielkiej Brytanii,

Francji i Stanów Zjednoczonych. Zawartość mojej walizki mogła mi zapewnić dożywotnią odsiadkę w jakiejś ciemnej, brudnej celi.

Roześmiał się. Najwyraźniej nie zauważył obraźliwego tonu, natomiast słowa wydały mu się zabawne.

- Nie, nie! Sam mogę to zrobić. I to chyba już niedługo. Chciałbym, żebyś zamienił się paszportem z tym gościem. - Wskazał na osiłka zajmującego pierwsze miejsce w równoległej kolejce. - Przekonamy się, czy tych dwoje połąpie się w sytuacji. Możliwe, że niczego nie zauważą.

- Rozmawiałeś z nim?

- A co, myślisz, że się nie zgodzi?

Zerknąłem na mężczyznę.

- Chyba się zgodzi. Dobra, co mi szkodzi. Zrobię to dla ciebie.

Miał już odwrócić się do stojącego obok pasażera, gdy przytrzymałem go za rękę. Spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Coś jeszcze?

- Chciałbym, żebyś w zamian przeprowadził mnie na drugą stronę jak zawsze, gdy byłem tu w interesach.

Chodziło mi o to, żeby przeprowadził mnie przez wszystkie stanowiska, machając strażnikom przed oczami swoją kartą identyfikacyjną.

- Pewnie. Żaden problem.

Uśmiechnąłem się i poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy, a po plecach przechodzą ciarki, jakby nagle owionął mnie prąd lodowatego powietrza.

Trenowaliśmy w Mosadzie reakcje na takie odczucia. Każdy agent co jakiś czas staje przed koniecznością zdławienia swoich emocji, dlatego musi nauczyć się kontrolować i w miarę potrzeb kształtować własne stany emocjonalne.

Niecałą minutę po tym, jak oficer służby strażniczej wręczył mój paszport osiłkowi, a jego paszport mnie, przybyła nowa zmiana strażników. Szybko zajrzałem do paszportu,

który przed chwilą dostałem. Należał do obywatela Stanów Zjednoczonych, kolorowe zdjęcie przedstawiało sąsiada z kolejki, lecz z czasów, gdy nie nosił brody. To mogło zwiścić początkujących strażników. Przeczytałem nazwisko i spróbowałem je zapamiętać. Czysta amatorszczyzna. Przecież na walizce i bilecie znajdowało się moje prawdziwe nazwisko. Musieliby być ślepi, żeby się nie połapać. Chyba że za tym wszystkim coś się kryło.

- Poproszę pański paszport - powiedziała młoda kobieta.

Zwróciła się do mnie serdecznie i całkiem profesjonalnie, zwłaszcza jak na kogoś, kto dopiero zaczynał pracę. Doskonale rozumiałem, co oficer miał na myśli. Rzeczywiście była bardzo ładna, co znakomicie tłumaczyło fakt, iż rozpuszczano na jej temat zawistne plotki. Postąpiłem krok do przodu, zostawiając z tyłu bagaż, i podałem paszport. Uśmiechnąłem się. Otworzyła paszport i wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

Kątem oka dostrzegłem Ephraima. Stał oparty o kontuar, jakieś dwadzieścia metrów ode mnie. Obserwował mnie. Niczego nie mogłem wyczytać z wyrazu jego twarzy. Czyżby wszystko było ukartowane? Wymyślił tę bajeczkę o Libanie, żeby sprowokować mnie do ucieczki, a potem schwytać przy okazji głupich ćwiczeń na lotnisku? Już wyobrażałem sobie, jak próbuję w sądzie wytłumaczyć, że oficer służby strażniczej poprosił mnie o pomoc w ćwiczeniach, etc, etc, ale okazuje się, iż żaden oficer nie może potwierdzić mojej wersji.

Dziewczyna wzięła paszport. Widziałem, jak osilek z sąsiedniej kolejki wręcza mój paszport drugiemu strażnikowi.

- Pańska godność? - zapytała.

- Robert Freidman.

Zamknęła paszport i położyła przed sobą na metalowym stole.

- Proszę wyłożyć bagaże na stolik.

- Już, zaraz.

Odwrociłem się, by podnieść z podłogi moje walizki, kiedy drugi strażnik wydarł się na pasażera z moim paszportem:

- Stać! Ręce do góry!

Dobyl broni i w kilka sekund wokół nas zaroiło się od policjantów.

- O co chodzi? Co się stało? - pytał pierwszy przybyły funkcjonariusz.

- Ten mężczyzna podróżuje z fałszywym paszportem.

Wskazał osiłka z blond brodą, który w panice rozglądał się za oficerem służby strażniczej. Po jego bladej jak ściana twarzy spływały strużki potu.

- To pomyłka! Nie strzelajcie! To tylko na niby. Zapytajcie jego! - krzyknął, pokazując na mnie.

Nagle na scenie pojawił się dowódca zmiany.

- Spokojnie! David, schowaj broń. - Stał przed policjantami i stwierdził: - Wszystko jest pod kontrolą, to tylko ćwiczenia. Proszę pana - zwracał się teraz do mężczyzny, który posłużył się moim paszportem. - Może pan opuścić ręce. Już po wszystkim. Dobra robota, Davidzie. - Podszedł do dziewczyny. - Cóż, Sarah, może jeszcze raz rzuciłabyś okiem na paszport tego pana?

Nagle dotarło do niej, że coś spała. Otworzyła szeroko oczy i powoli podniosła paszport. Spojrzała na zdjęcie, a potem na mnie. W tej chwili zdałem sobie sprawę, że bez względu na to, co się zdarzy, przez następne sto lat nie mogę liczyć na życzliwość z jej strony.

Dziewczyna milczała. Oficer zwrócił mi mój paszport. Następnie wręczył paszport pasażerowi z drugiej kolejki.

- Po pracy masz zameldować się w moim biurze - powie dział do dziewczyny. - Wiesz, gdzie to jest?

Kiwnęła głową. W kąciu jej oka pojawiła się łza, ale zdołała ją powstrzymać. Kiedy w towarzystwie oficera ruszyłem do kasy biletowej, zobaczyłem jeszcze, jak ociera łzy rękawem granatowego swetra.

Oficer dotrzymał słowa. Odebrałem bilet i kartę pokładową, a potem zostałem błyskawicznie przeprowadzony przez wszystkie punkty kontrolne, otrzymałem pieczętkę w paszporcie i uniknąłem rewizji osobistej, której poddawano wszystkich pasażerów. Na drugim piętrze pawilonu odlotów wypiliśmy po filiżance kawy. Kupiłem sobie paczkę papierosów oraz egzemplarz magazynu „Time”. Strażnik wstał.

- Miłego lotu. I dzięki za pomoc.
- Zawsze do usług.

Do pawilonu odlotów zaczęli spływać pierwsi pasażerowie. Siadali wokół mnie, szykując się do ponad dwugodzinnego oczekiwania na start samolotu.

Zacząłem się rozluźniać. Tylko odrobinę. Całkowicie będę mógł się uspokoić dopiero wówczas, gdy znajdę się na pokładzie samolotu, a w dole dojrzę błękitne wody Morza Śródziemnego. Już niedługo. Przy stoliku na drugim końcu pawilonu siedział Ephraim. Czytał gazetę. Na tym etapie widziałem w nim kwokę pilnującą swego małego pisklęcia, upewniającą się, że bezpiecznie wyfrunie z kurnika. W tej chwili jego obecność dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

Skorzystałem z telefonu na monety, zawieszono go na ścianie sklepu bezcłowego, i zadzwoniłem do Belli. Jak bardzo pragnąłem w tej chwili zamknąć ją w swoich ramionach i mocno przytulić... Z tonu jej głosu wywnioskowałem, że stara się powstrzymać łzy. Gdyby płakała, byłoby to dla mnie mniej bolesne. Mieliśmy wiele do powiedzenia, lecz telefon nie stwarzał warunków odpowiednich do rozmowy, biorąc pod uwagę, że zapewne byliśmy podsłuchiwani. Wiedziałem, że nie wpadną na mój trop, dopóki nie wspomnę skąd telefonuję, a rozmowa będzie przebiegała tak, jakbym wybierał się do Eilat.

- Zadzwonię, gdy już dotrę na miejsce.
- Zrób to jak najszybciej. Będę czekać.
- Kocham cię.

- Ja ciebie też - powiedziała. - Uważaj na siebie i zwracaj uwagę na to, w co się ubierasz, żebyś nie wyglądał śmiesznie.

Zachichotałem.

- Dobrze, będę. Nie martw się, zatelefonuję.

- Cześć.

Czekałem, aż odwiesi słuchawkę. Nie mogłem zrobić tego pierwszy. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, czym sobie zasłużyłem na miłość tak wspaniałej, wyjątkowej kobiety. Jak daleko sięgnąć pamięcią, nigdy nie robiłem dla niej wystarczająco dużo. Nigdy nie kupiłem biletów na spektakl, który chciała obejrzeć, nigdy nie zabrałem jej na niespodziewaną wycieczkę, nigdy nie zorganizowałem dla niej przyjęcia urodzinowego. Szczerze mówiąc, nie było mnie przy niej nawet wówczas, gdy mnie najbardziej potrzebowała, przechodząc w szpitalu poważną operację. Jakimś zbiegiem okoliczności zawsze miałem coś do zrobienia, coś ważniejszego, pilniejszego. Sprawy wagi państwowej, wiążące się z bezpieczeństwem kraju. Co za gówno! Najgorsze, że nie tylko postępowałem zgodnie z rozkazami, ale w dodatku wierzyłem w ich głęboki sens.

Do kawiarenki weszło dwóch policjantów. Czuję, jak skacze mi ciśnienie. Czyżby ktoś mnie rozpoznał i powiadomił władze? Policjanci mieli mnie aresztować? W ramach ćwiczeń spędziłem trochę czasu w izraelskich więzieniach i już czułem zapach używanych tam środków dezynfekcyjnych. Kiedyś, jeszcze w wojsku, zostałem zatrzymany w niekompletnym mundurze i dostałem dziesięć dni paki. Zadziała wyobraźnia i usłyszałem echo zatraskujących się drzwi, dźwięczne uderzenie metalu o metal. Policjanci zamówili kawę. Ephraim również niespokojnie śledził ich wzrokiem. Wiedziałem, że wolałyby widzieć mnie już na pokładzie samolotu odrywającego się od pasa.

Nie dosłyszałem pierwszej zapowiedzi odlotu. Druga już mi nie umknęła i natychmiast ustawiłem się w kolejce do bramy wyjściowej.

Dwadzieścia minut później drzwi samolotu zamknęły się za ostatnim pasażerem i rozpoczęliśmy kołowanie na start. Zamknąłem oczy. Nie miałem ochoty patrzeć na pas startowy i zastanawiać się, czy za chwilę nie przetnie nam drogi samochód, z którego wyskoczą mundurowi i wyciągną mnie z samolotu.

Osobę siedzącą obok mnie zdawał całkowicie pochłaniać widok z okna. Pasażer po prawej był zajęty lekturą artykułu w gazecie, omawiającego odrzucenie przez Szwajcarów rządowej propozycji wstąpienia kraju do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nikt nie zwracał na mnie uwagi i wołałem, żeby tak zostało. W zasadzie jestem dość towarzyski, lubię rozmawiać, ale w samolotach, pociągach lub autobusach wolę zamykać się w sobie. Zawsze przypominam sobie syndrom zakładnika.

Kiedy zobaczyłem za oknem jasny błękit nieba, poczułem się jak w raju. Byłem wolny. Przynajmniej na kilka godzin znalazłem się poza zasięgiem Mosadu.

8

*Poniedziałek, 31 marca 1986,
Gatwick, Anglia*

Minęły dwadzieścia cztery godziny i wciąż nie miałem żadnych wieści od Ephraima. Postawił warunek, abym nie telefonował do domu, zanim się ze mną nie skontaktuje. Okazał się on trudny do spełnienia. Nie rozmawiałem z Bełłą od czasu telefonu z lotniska Ben-Gurion. Do tej pory musiała chodzić po ścianach, zamartwiając się o mnie. Ephraim obawiał się, że mój domowy telefon znajduje się na podsłuchu (pewnie miał rację) i Mosad dowie się, iż w drodze do Stanów zatrzymałem się w Anglii. Gdyby coś poszło nie po naszej myśli, przyjazd Ephraima do Anglii byłby ryzykowny.

Dla zabicia czasu przeskakiwałem z jednego kanału telewizyjnego na drugi, jednak nie mogłem skoncentrować się na żadnym programie. Około dziesiątej trzydzieści zdecydowałem, że pochodzę trochę po Londynie. Musiałem się rozluźnić, rozruszać kości, coś zjeść. Jeśli Ephraim zjawi się w hotelu podczas mojej nieobecności, będzie zmuszony poczekać.

Wsiadłem do pociągu i po trzydziestu minutach znalazłem się na Victoria Station. Stamtąd przejechałem metrem na Piccadilly, przesiadając się w Green Park. Bez celu snułem się po ulicach, na koniec wracając na stację metra. W Wimpy, brytyjskim odpowiedniku restauracji McDonald's, zjadłem kilka hamburgerów i wróciłem do hotelu.

Już w windzie poczułem słodki zapach wiśniowego tytoniu. Stawał się coraz intensywniejszy, w miarę jak zbliżałem się do mojego pokoju, znajdującego się na końcu korytarza o bladzielonych ścianach. Przed samymi drzwiami stała prawdziwa chmura wiśniowotytoniowego dymu. Z jego zapachem mogła konkurować jedynie woń farby ze świeżo malowanych ścian.

Stałem przed drzwiami i nasłuchiwałem. Z całą pewnością w środku byli Ephraim i generał, ale rozpoznałem ich nie po głosach, lecz po zapachu tytoniu.

Szybko wszedłem do pokoju. Siedzieli i patrzyli na mnie. Wydawali się zaskoczeni.

- Dziwicie się, że mnie widzicie? - powiedziałem. - Kogo się spodziewaliście?

- Prosiłem cię, żebyś czekał na mnie w hotelu - odezwał się Ephraim szorstkim tonem.

- Nie pracuję dla ciebie, przyjacielu. Jestem tu, bo wyświadczam ci przysługę.

- Ocaliłem ci życie, pamiętasz? Przypomnieć Liban?

To prawda, wydostał mnie z Izraela, zanim zostałem wysłany do Południowego Libanu po pewną śmierć. Nie wątpiłem, że w przyszłości będzie mi o tym przypominał jeszcze wiele, wiele razy.

Rzuciłem kurtkę na łóżko i przysiadłem na jego skraju.

- Wydobyłeś mnie tylko z kłopotów, w które sam mnie wpędziłeś, a teraz pewnie wpadnę przez ciebie w następne. - Uśmiechnąłem się do niego. - Na razie jestem tutaj, aby posłuchać, co masz do powiedzenia. Potem podejmę decyzję, dla kogo pracuję. Sugerowałbym, żebyś wyłożył karty na stół.

- Victor, posłuchaj mnie dobrze... - zaczął Ephraim, lecz generał nie dał mu dokończyć.

- On ma rację - wtrącił. - Po co grać w jakieś gierki? Wiemy, czego chcemy, i wiemy, dlaczego tego chcemy. Masz dla niego robotę, więc przekaz mu konieczne informacje, wprowadź w szczegóły.

Przemawiała przez niego tradycja izraelskiej armii. Jako generał brygady wyznawał zasadę, że świadomy żołnierz to dobry żołnierz.

Ephraim przez kilka sekund w milczeniu mierzył mnie wzrokiem. Potem odchylił się na oparcie fotela i zerknął na generała, który ponownie zapalał fajkę.

- W takim razie zacznijmy od początku.

- Jeszcze chwilę - powiedział generał, sięgając do stojącej przy jego nogach brązowej torby i wyjmując z niej duży termos. - Przynieś z łazienki szklankę. Muszę napić się kawy.

- Ja też chętnie się napiję - stwierdziłem, skacząc na równe nogi. Szybko przyniosłem szklanki i rozlaliśmy kawę.

- Słucham uważnie - rzekłem, wracając na swoje miejsce na krawędzi łóżka.

- Wszystko zaczęło się w 1982 roku. Wtedy byłeś jeszcze w marynarce. Pewnie wiesz, że przygotowaliśmy się do wojny w Libanie. Wówczas operacja ciągle nosiła kryptonim Cedry Libanu, a Mosad nawiązał bliskie kontakty z Chrześcijańską Falangą Baszira Dżemajela. Nasz człowiek, który prowadził rozmowy z Dżemajelem, nazywał się Nevot. Nevot miał szczyry zamiar uwikłać Izrael w coś, co on sam i inni prawicowcy nazywali najlepszą wojną w historii naszego państwa.

Uważali, że Izrael powinien spełniać na Bliskim Wschodzie rolę policjanta. Premierowi Beginowi bardzo przypadł do gustu pomysł występowania w glorii strażnika strzegącego chrześcijan przed dzikimi hordami muzułmanów, co zresztą doskonale pasowało do jego prawicowej, kolonialistycznej ideologii. Ariel Szaron, pełniący wówczas obowiązki ministra obrony, wprost palił się, aby wprowadzić ten pomysł w życie.

Przerwał i napił się kawy. Później zaciągnął się papierosem, wypuszczając dym z ust razem ze słowami:

- Ówczesny szef Mosadu, Hofi, był przeciwny tym planom, stojąc na stanowisku, że Chrześcijańska Falanga Libań-

ska nie jest sprzymierzeńcem godnym zaufania. Wywiad wojskowy zgadzał się z nim, jednak Hofi, funkcjonujący w Biurze prawie od ośmiu lat, znajdował się u kresu swej kariery.

Wielu ludzi w Mosadzie łudziło się, że tym razem nowym szefem zostanie ktoś z wewnątrz. Jak zapewne wiesz, do tej pory zawsze mianowano kogoś z zewnątrz.

Kiwnąłem głową. Zdawałem sobie sprawę, że była to jedyna szansa, aby czynniki zewnętrzne sprawowały jakąkolwiek kontrolę nad Mosadem. Nowy szef wywodzący się spoza struktur Mosadu - a więc z wojska - mógł zaprowadzić własne porządki.

- Wielu miało nadzieję, że mianowanie otrzyma były oficer Mosadu, ktoś taki jak David Kimche, który był wtedy dyrektorem generalnym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a miał za sobą staż pracy na stanowisku naczelnika wydziału w Mosadzie oraz starcie z Hofim, po którym rozstał się z Biurem. W grę wchodził również Rafael Eitan, podziwiany przez Begin, ale za blisko związany z Arielem Szaronem. Begin obawiał się, że Szaron dysponowałby zbyt wielką władzą, gdyby szefem Mosadu został jego przyjaciel.

Ostatecznie Begin zdecydował, że tradycji stanie się zadość i zwierzchnikiem Mosadu zostanie ktoś z zewnątrz.

Ephraim zrobił pauzę. Kiedy zaczął mówić dalej, jego głos brzmiał nieco inaczej. Słyszałem w nim gniew, złość.

- Kiedy wojna wisiała na włosku, a Hofi był już jedną nogą poza Mosadem, prawicowcy usiłowali ulokować jak najwięcej swoich sympatyków na ważnych stanowiskach w państwie.

Prawdę mówiąc, wszyscy w Mosadzie byliśmy już zmęczeni ciągłym rujnowaniem naszych planów na przyszłość przy każdej zmianie szefostwa. Zwłaszcza prawicowcy niechętnie patrzyli na jakiegokolwiek zmiany, wiedząc, że zapewne osłabią zdobytą przez nich pozycję. Wpadli na pomysł, aby dokonać

zamachu stanu, z tą jedną różnicą, że osoba, którą chciano w ten sposób usunąć ze stanowiska, jeszcze tego stanowiska nie zajmowała.

Tą osobą był generał Yekutiel Adam, albo Kuti, jak nazywali go przyjaciele, który wprawdzie otrzymał nominację, ale miał objąć urząd zwierzchnika Mosadu pod koniec czerwca 1982 roku. Wojna w Libanie rozpoczęła się 6 czerwca, a już w drugim dniu jej trwania Kuti pokłócił się z Szaronem o atak na stanowiska syryjskich wyrzutni rakiet przeciwlotniczych w Dolinie Bekaa. Kuti był przekonany i głośno wyrażał opinię, że atak ten mógł doprowadzić do otwartej wojny z Syrią. Zdecydowanie pomniejszył znaczenie potajemnych układów Mosadu z Dżemajelem, które były przecież owocem bardzo długiej i żmudnej pracy wywiadu. W pewnych kręgach zdano sobie sprawę, co się stanie, gdy ten człowiek zasiądzie w fotelu szefa Mosadu. Ktoś zdecydował, że trzeba zmienić bieg wydarzeń.

- Kuti był moim najlepszym przyjacielem - wtrącił generał.

- Miał też przyjaciół w Mosadzie - kontynuował Ephraim - którzy zaczęli przygotowywać dla niego dokumenty potrzebne do przeprowadzenia analizy sytuacji i podjęcia drastycznych kroków zaraz po objęciu urzędu, kroków mających na celu położenie kresu wykorzystywaniu młodych żołnierzy w charakterze mięsa armatniego po to tylko, by zrealizować marzenia prawicowców o kontrolowanym przez Mosad izraelskim państwie w Libanie. Bazując na filozofii „równowagi słabości”, prawicowi politycy uważali, że będą rządzić Libanem za pośrednictwem marionetkowego reżimu Dżemajela. Zapominali o czymś, o czym wiedziało każde libańskie dziecko - każdy mógł zająć Liban, ale nikt nie był w stanie nim rządzić.

Stało się jasne jak słońce na niebie, że władza wymykała się prawicowcom z rąk. Kuti, po przejęciu kontroli nad

Mosadem, przekazałby rządowi uczciwą charakterystykę sytuacji, dotarłby do Szarona, a ten zapewne nie chciałby zostać pierwszym izraelskim ministrem obrony, który przegrał wojnę.

Ephraim urwał, napił się kawy i mówił dalej:

- Okazja nadarzyła się 10 czerwca. Armia wkroczyła na przedmieścia Bejrutu, osiągnięto porozumienie i zawieszenie ognia. Kuti, wyznaczony na szefa Mosadu, ale jeszcze nie urzędujący, chciał udać się do wojsk w Libanie z pożegnalną wizytą. Mosad zajął się organizacją wyjazdu.

- Mosad? Dlaczego nie IDF' ? - zapytałem.

- Ponieważ formalnie za jego bezpieczeństwo był już odpowiedzialny Mosad, a nie armia.

- Gdyby znajdował się pod naszą opieką - dodał generał - żyłby do dzisiaj.

- Wizytę zaplanowano na następny dzień. - Ephraim zniżył głos niemal do szeptu. - Kuti przybył do Bejrutu i został zabity w zasadzce. Napastnik, czternastoletni dzieciak, zginął na miejscu od kul osobistej ochrony.

- Oszałeliście! - wykrzyknąłem, wstając z łóżka. Nie mogłem uwierzyć w takie insynuacje. - To kompletne szaleństwo!

Ephraim spojrział mi prosto w oczy i tym samym, szorstkim, ściszym głosem powiedział:

- Przy tym dzieciaku znaleziono zdjęcie, fotografię Kutiego. Kto jeszcze mógł wiedzieć o tym, że on tam będzie, poza ludźmi zajmującymi się organizowaniem jego nagłej podróży? To Mosad, a raczej jakaś frakcja Mosadu, odpowiada za jego śmierć. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- I czekaliście cztery lata, żeby mi o tym powiedzieć?

- Nie, wtajemniczenie ciebie jest ostatnim podejmowanym

¹ IDF: Israeli Defence Force - Izraelskie Siły Obronne.

przez nas krokiem. Musisz przecież zdawać sobie sprawę, że działanie przeciw Mosadowi, i to od wewnątrz, nie jest najłatwiejszym zadaniem na świecie.

- Jak to się stało, że nikt nie pytał, skąd w kieszeni zamachowca wzięła się ta fotografia?

- Komisja dochodzeniowa nigdy nie dowiedziała się o fotografii. Nie przekazano jej akurat tego jednego dowodu, który ponad wszelką wątpliwość wykazuje, iż śmierć Kutiego nie była skutkiem przypadku, lecz zaplanowanym z zimną krwią morderstwem.

Usiadłem na łóżku. Na moim czole zebrały się zimne kropelki potu. To, co usłyszałem, było niewiarygodne. Członkowie Mosadu zawiązali spisek, mający na celu zamordowanie ich nowo powołanego zwierzchnika? Wiele mogłem zaakceptować, ale nie takie powiastki.

- Jesteś szalony.

- Nie jest - stwierdził generał. - Wiem, bo usłyszałem to nie tylko od niego. Dowiedziałem się więcej podczas przesłuchania wojownika Hezbollahu, schwytanego na południu Libanu na początku 1985 roku. Opowiadał, jak będąc członkiem szyickiej milicji Nabiha Berri, otrzymał zadanie zwerbowania chłopaka i wysłania go z misją zabicia izraelskiego generała. I możesz mi wierzyć, ten człowiek nie zmyślał.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ wiedział, że umrze. Pozostawała tylko jedna kwestia do wyjaśnienia: zajmie to całą noc, czy tylko kilka minut. Poza tym wydawało mu się, że i tak o wszystkim wiem.

Nie chciałem uwierzyć w to, co słyszę, ale nie mogłem polemizować z faktami. Owszem, jakaś grupa terrorystyczna mogła zdobyć fotografię izraelskiego generała i przekazać ją zamachowcom, określając tym samym cel ataku. Jednak było nieprawdopodobne, aby zdobyć to zdjęcie, zaplanować atak

i przejść do jego wykonania w tak krótkim czasie. I to pocimosem agentów Mosadu.

Przez kilka długich sekund wpatrywałem się w generała, a potem przeniosłem wzrok na Ephraima.

- Dlaczego nie poszedłeś z tym do premiera?

- I co miałbym mu powiedzieć? Sir, członkowie prawicowej frakcji Mosadu właśnie zamordowali nowo mianowanego zwierzchnika. Jak myślisz, co by powiedział? Dzięki za informację. Zatelefonuję do tych sukinsynów i wyleję ich z roboty. Poza tym, musisz pamiętać o tym, że trwała wojna. Dzień lub dwa po takiej rozmowie mógł przytrafić mi się wypadek.

- Skąd mam wiedzieć, że nie próbujesz mnie zrobić? Może to właśnie ty chcesz dokonać zamachu stanu?

- Musisz mi zaufać. Nic nie osiągniemy bez pomocy kogoś z zewnątrz.

- Słucham.

- To dobry moment, żeby coś zjeść - zauważył Ephraim.

Nie byłem głodny i chciałem posłuchać, co ma jeszcze do powiedzenia, lecz postanowiłem rozegrać to według jego reguł.

- W hotelu jest restauracja - stwierdziłem. - Mam tylko nadzieję, że kolacje są tutaj bardziej jadalne niż śniadania.

Obaj roześmiali się.

- Nie - rzekł Ephraim. - Wychodzenie z pokoju to nie jest dobry pomysł. Zawsze istnieje możliwość, że ktoś nas zobaczy, a nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko. Ramy pójdzie sam i coś nam przyniesie. - Spojrzał na generała. - Nie masz nic przeciwko temu?

- Już idę - powiedział Ramy, przesuwając fajkę w kącik ust.

Włożył płaszcz. Nie mogłem powstrzymać się od refleksji, że w cywilnym ubraniu wygląda niezbyt imponująco. Po wyjściu generała powiedziałem do Ephraima:

- Spieprzyłeś mi życie.
- Niczego takiego nie zrobiłem. Wybrałem cię tylko z grupy specjalnie wyselekcjonowanych ludzi, tuż przed tym, nim sam doprowadziłeś się do samozagłady. Idealnie nadawałeś się do tej roboty.

- Ale nie zapytałeś mnie o zdanie. Skąd wiesz, czy nie wolałbym znaleźć się po drugiej stronie barykady, zwalczając takich jak ty, ludzi, którzy prawdopodobnie chcą przekazać kontrolę nad Mosadem amatorom spoza wywiadu, zamiast pozostawić władzę w rękach zawodowców, którzy przez wiele lat czekali na awans?

Zatrzymałem się przed nim i zatopiłem spojrzenie w jego kościstej twarzy, z cienką szarą skórą, pobrużdżoną przez głębokie zmarszczki jak u starego marynarza, którego głowę przez całe życie smagało wilgotne, słone, morskie powietrze.

- Pamiętaj, że mam twój profil psychologiczny. Przypuszczalnie znam cię lepiej niż ty sam siebie, Victorze. Nie pasujesz do tej kategorii.

- Mój profil psychologiczny sporządzony przez Mosad nie jest wart papieru, na którym go zapisano.

- Jeżeli profil psychologiczny jest błędny, przejdę do realizacji fazy drugiej.

- Na czym ona polega?

- Na razie nie mogę ci zdradzić. Pozwól, że opowiem ci pewną historię, zanim wróci nasz przyjaciel generał.

- Dlaczego? - Zdobyłem się na sarkastyczny ton. - Przed nim też masz tajemnice?

- Tak. Prawdę mówiąc, mam przed nim więcej tajemnic, niż przed tobą. On nie jest z wewnątrz i nie rozumiałby wielu rzeczy. Nie chcę zniszczyć Mosadu, co on zrobiłby z radością. Chcę go naprawić.

- Po co?

- Wierzę, że nasz kraj potrzebuje Mosadu, silnego Mosadu z ostrymi zębami, które potrafią rozszarpywać naszych

wrogów, a przede wszystkim ze smyczą, pozwalającą kontrolować jego poczynania.

- Chciałeś opowiedzieć mi jakąś historię.

- W 1982 roku, jeszcze przed wybuchem wojny w Libanie, mieliśmy agenta, który miał zapoczątkować dialog. Był wówczas członkiem mojej grupy. Nie kierowałem tą grupą, lecz mieliśmy błogosławieństwo Hofiego, a pewne postacie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych z radością przyjełyby jakikolwiek przełom w kontaktach z Palestyńczykami. Ci ostatni byli tak przerażeni perspektywą naszej inwazji na Liban, że nabrali ochoty na rozmowy.

- Zamierzaliście nawiązać łączność?

- Tak, ale nie z chrześcijanami, tylko z Palestyńczykami. Wysłaliśmy w teren naszego najlepszego agenta. Nazywał się Jakov Barsimantov. Pracował jako łącznik z kwaterą w Paryżu.

- Nie nawiązałby kontaktu z żadnym Palestyńczykiem - przerwałem wywód Ephraima. - Nie ufaliby mu. Skoro pracował jako łącznik, musieli wiedzieć, że jest z Mosadu.

- Nie ujawniał się. Mieliśmy pośrednika, Amerykanina, który zgłosił się do tej akcji na ochotnika. Na jednym z koktajlów we francuskim ministerstwie spraw zagranicznych Barasimantov przedstawił mu nasze zadanie jako coś w rodzaju wyzwania dla odważnych.

- I Amerykanin zgodził się wziąć w tym udział?

- Aż się palił, żeby skorzystać z takiej okazji. Tylko pomyśl, sam również nie znajdował się w najlepszej pozycji do rozmów z Palestyńczykami. Zakazywały mu tego przepisy Departamentu Stanu, a mimo to nawiązał z nami współpracę.

- Dlaczego nie wykorzystaliście innego kontaktu, na przykład Rumunów albo kogoś w tym rodzaju? Zwykle pracują na dwie strony i w przeszłości mieliście już z nimi do czynienia.

- Zbyt silne więzy łączyły ich z samym wierzchołkiem

kliki. Zależało im tylko na wspieraniu Falangistów i Baszira Dżemajela.

- Kim był ten Amerykanin?

- Nazywał się Charles Robert Ray. Był asystentem attache wojskowego, człowiekiem głęboko oddanym sprawie. Wierzył, że pokój na Bliskim Wschodzie ma strategiczne znaczenie dla Stanów Zjednoczonych.

- Wygląda to na skrzywienie zawodowe.

Ephraim zachichotał.

- Racja, ale dla nas korzystne. Musiał być jakiś przeciek z ministerstwa, bo Barasimantoy i Amerykanin zostali zastrzeleni, zanim zdążyli nawiązać pierwszy kontakt z Palestyńczykami. Stąd wiedzieliśmy, że nie zrobili tego Palestyńczycy. - Przesunął dłoń po włosach, a potem twarzy. Nagle wydał się starszy, bardziej zmęczony niż kiedykolwiek dotąd.

- Zabili Raya w styczniu. Kiedy Yakov ponowił próbę kontaktu, jego też zabili. Był dobrym człowiekiem. Zastrzelili go jak psa przed jego domem. Stało się to dokładnie 3 kwietnia. Zrobili to jego koledzy, zlikwidowali go członkowie naszej grupy.

- Kidoń nie zabiłby Izraelczyka.

- Nie wiedzieli, kto był celem. Później tłumaczono, że popełniono pomyłkę. Po zamordowaniu Yakova podrzucili karabinek czeskiej produkcji do mieszkania libańskiego rewolucjonisty. Zrzucając odpowiedzialność za zamach na Libańską Frakcję Zbrojnej Rewolucji posunęli się aż do poinformowania francuskiego wywiadu, iż LFZR jest odłamem prosyryjskiej SPSN, Syryjskiej Partii Socjalistyczno-Nacjonalistycznej. - Odwrócił się do mnie bokiem i wyjrzał przez okno. - Mieli czelność zamienić ten zamach w prowokację, której potrzebowali, aby zacząć wojnę w Libanie. Szczyt bezszczelności i arogancji.

Najbardziej zdziwił mnie fakt, że to, co właśnie usłyszałem, nie było dla mnie żadną niespodzianką. Wierzyłem mu.

- Dobrze, opowiedziałeś mi krótką historię - stwierdziłem.
- Jaki z niej morał? Nie zauważyłem, aby wyjaśniała powody, dla których miałbym dla ciebie pracować.

Ephraim westchnął.

- Chciałem ci powiedzieć, że nie mogę użyć nikogo z wewnątrz, ponieważ nie mam pojęcia, komu mógłbym zaufać. Generał jest moim kumplem od lat, był bliskim przyjacielem Kutiego. O ile mi wiadomo, jest czysty. Ciebie wyjąłem prosto z łona, nie jesteś jeszcze skażony i w przeciwieństwie do wielu kolegów, nie awansowałeś dzięki plecom, tylko przeszedłeś przez wszystkie etapy procesu rekrutacyjnego. Wstąpiłeś do Mosadu, gdyż jesteś patriotą, a nie dlatego, że chciałeś zrobić karierę.

- Cóż, karierą bym nie pogardził. Chciałem mieć pracę, atrakcyjne, ciekawe życie.

- Jeśli chcesz mieć ciekawe życie, trzymaj się mnie. Będziesz miał tyle fascynujących przeżyć, że jeszcze ci zbrzydną.

- Co teraz? Zaproponujesz mi pracę?

- Właśnie to robię. Sytuacja, w jakiej się znalazłeś, jest dla ciebie najlepszym kamuflażem. Będziesz działać na własny rachunek, bez siatki i łącznika. Wręczę ci przydział i udzielię wszelkiej możliwej pomocy, ale będziesz zdany na własne siły.

- Co miałbym robić?

- Rozkładać obecny Mosad na łopatki.

9

Rozległo się pukanie do drzwi. Ephraim zeszytniał. Podeszedłem do drzwi i wyjrzałem przez wizjer. Na korytarzu stał generał. Kiedy tylko uchyliłem drzwi, skoczył do środka, jakby ktoś przypiekał go żywym ogniem. Najwyraźniej nie bawiła go zabawa w szpiega.

Przez całą następną godzinę posilaliśmy się. Niewiele mówiliśmy, a atmosfera była t[^]ka jak piwo: ciepła i mdła. Próbowaliśmy umiejscowić siebie w zarysowanym przez Ephraima scenariuszu, lecz nie dostrzegałem ani przyczyny zdarzeń, ani spodziewanych skutków. Pewnie, teraz już wiedziałem, że Ephraim pragnie uzdrowić Biuro, ale co miało to oznaczać?

Domyślałem się, że w pierwszej kolejności chce zniszczyć Mosad istniejący w obecnej postaci. To mogłem zrozumieć. Nie miałem jednak pewności, dlaczego Mosad odbudowany z popiołów miałby być lepszy od obecnego. Czy pod pojęciem czystsze*go* i lepsz*ego* Mosadu rozumiał to samo, co ja? A jeśli nie, to czy powinienem wiązać swój los z tym człowiekiem? Zostałem pozostawiony samemu sobie. Może lepiej niech tak zostanie?

Zdecydowałem, że zostanę i posłucham, co Ephraim ma jeszcze do powiedzenia, a potem podejmę ostateczną decyzję. Byłem obywatelem Kanady, miałem w kieszeni ważny kanadyjski paszport, toteż nie mógł mi wiele zrobić.

W tym samym czasie gdzieś w głębi duszy słyszałem głos, który mówił: zasmakowałeś innego życia, trudno ci z niego zrezygnować. Znalazłem się w identycznej sytuacji jak

żołnierze, dla których wojna skończyła się zbyt szybko, zanim zdążyli wyrzucić ją z myśli i zatęsknić za normalnym życiem, a teraz snują się po świecie szukając innej wojny, życia na krawędzi, a im węższa krawędź, tym lepiej. Czy byłem taki jak oni? Sondowałem otchłań niebezpieczeństwa, sprawdzając, gdzie jest dno?

- Co teraz? - zapytał generał, wycierając dłonie. Ketchup oraz tłuszcz z ryby i frytek uparcie trzymały się jego palców.

- Niedługo wyjeżdżamy - odparł Ephraim, wstając. - Victor wyjeżdża jutro.

- Doprawdy?

- Tak, wybierasz się do Nowego Jorku, a potem pojedziesz odwiedzić ojca w Nebrasce.

- Dlaczego akurat Nowy Jork?

- Bo w ten sposób dowiemy się, czy masz ogon.

- Nie jesteś pewien? Co to ma znaczyć? - Generał zdenierował się. Do tej pory nie dopuszczał myśli, że ktoś mógłby ich śledzić. Nagle walka z Mosadem nabrała zupełnie nowego wyrazu.

- Nigdy nie mamy pewności, ale możemy się przekonać.

- W jaki sposób? - chciał wiedzieć generał, a ja odniosłem wrażenie, że odpowiedź nie przypadnie mi do gustu.

- Victor odwiedzi siedzibę OWP w Nowym Jorku. Jeżeli w kwaterze głównej Mosadu rozzwonią się dzwonki alarmowe, będziemy wiedzieć, że miał ogon.

- Sądziłem, że potraficie sami sprawdzać takie rzeczy - powiedział generał i lekko zbladł.

- Potrafimy - stwierdził Ephraim - ale nigdy nie możemy być absolutnie pewni wyniku. Są ograniczenia, których nie jesteśmy w stanie ominąć. Jeśli śledzi go duży zespół, jest praktycznie nie do wykrycia. Nie możemy ryzykować, że tak jest tym razem.

- A jeśli w siedzibie OWP ktoś pracuje dla Mosadu? Co wtedy?

- Nikogo tam nie mamy, a nawet gdybyśmy mieli, informacja nie dotarłaby do Mosadu natychmiast. Miałbyś czas, żeby się stamtąd zabrać.

- Rozumiem. — Nie zamierzałem łatwo skapitulować.

- Ale co się stanie, jeżeli ktoś ot, tak sobie, podrzuci informację do ambasady? Będę sztywniakiem, zanim opuścę miasto.

- Nie mów im, kim jesteś. Po prostu wejdiesz tam i powiesz, że jesteś z Izraela, ale sympatyzujesz z Palestyńczykami albo coś w tym guście.

- W czym to nam pomoże? - pytał generał, obracając fajkę w ustach z taką zapalczywością, jakby chciał ją wyrzucić na drugą stronę. Ciągłe zerkał na drzwi; na pewno nie graliśmy w jego ulubioną grę. Wolał stanąć z przeciwnikiem twarzą w twarz, móc zmierzyć go wzrokiem. Z pewnością był dzielnym człowiekiem, tylko odrobinę bał się ciemności.

- W bliskiej przyszłości będziemy prosić Victora o wykonanie bardzo niebezpiecznych zadań. Będzie musiał działać w znacznie mniej gościnnych miejscach niż Nowy Jork. Zanim poślę go do tych miejsc, muszę mieć pewność. Jeśli nie jest czysty, jeśli ktoś podejrzewa, że będzie działał przeciw wywiadowi, teraz jest najlepsza pora, aby się o tym przekonać, teraz, to znaczy na terytorium Stanów Zjednoczonych, gdzie Mosad nie ma swobody działania. Jeżeli obserwują nas w tej chwili, będą chcieli sprawdzić, co będzie dalej. Damy im to jak na tacy. Jeśli nas śledzą, aresztują mnie i ciebie niemal w chwilę po wejściu Victora do siedziby OWP. - Na czole generała pojawiły się kropelki potu. Tymczasem Ephraim mówił dalej: - Jeżeli do tego dojdzie, oczywiście nie skontaktujemy się z Victorem. Będzie to dla niego sygnał, że ma zapaść się pod ziemię, niemal w sensie dosłownym. Jeżeli nie stanie, będziemy wiedzieli, że jest czysty.

- Jakim cudem będzie mógł zapaść się pod ziemię?

- zapytał generał drżącym głosem.

- O, nie powinien mieć z tym problemów. W końcu przeszedł najlepsze na świecie szkolenie, przynajmniej lubi my tak myśleć.

Generał chrząknął i zapytał:

- Co z nami zrobią?

- Przecież już to przerabialiśmy. - Ephraim tracił cierpliwość. - Sądziłem, że wszystko zrozumiałeś.

- Zrozumiałem. Tylko nie tak...

Zawahał się.

- Co nie tak? Chcesz się wycofać? Bo jeśli tak, powiedz to teraz, zanim zrobimy następny krok. Jutro nie będzie już wyjścia. Szybko zmierzamy do punktu, z którego nie ma powrotu. Kiedy Victor ruszy w podróż do Nowego Jorku, znajdziemy się na czarnej liście.

- To bardzo miłe z twojej strony - powiedziałem, podnosząc głos na Ephraima. - Dajesz mu szansę wycofania się, a mnie nawet nie pytasz o zdanie.

- Nie rozumiesz. Mówiłem o nim, on może jeszcze się wycofać. Tak naprawdę, jeśli wycofa się teraz, a jesteśmy obserwowani, zostanie zdjęty tak samo jak ja i ty, ale jeżeli jesteśmy czyści, może spokojnie odejść.

Generał wstał. Nerwowo potrząsał głową i miałem wrażenie, iż za chwilę podejmie nieodwracalną w skutkach decyzję.

- Nie chcę się wycofać. Po prostu nagle wszystko zaczęło być bardzo realne. Nigdy nie grałem w takie gry i chyba nie miałem pojęcia, w co się pakuję. Nie przeraża mnie to, co chcemy zrobić. Chcę wiedzieć tylko jedno: jak myślisz, co nam zrobią, kiedy nas złapią?

- Jeżeli obawiasz się, że wytoczą nam publiczny proces, to możesz się uspokoić. Nie mogą sobie na to pozwolić. Załatwią sprawę za zamkniętymi drzwiami. Może zorganizują nam jakiś wypadek, albo zamkną do końca życia na jakimś odludziu. Prawie wszystko jest możliwe oprócz publicznego procesu.

- Niezbyt obiecująca przyszłość - mruknął generał.
- Cóż, te atrakcje czekają nas tylko w przypadku wypadki. Wierzę, że zdołamy zrobić to, co zamierzamy. W przeciwnym wypadku koszty byłyby ogromne, nie tylko dla nas, ale dla całego kraju.

Przez minutę żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Pierwszy zdecydowałem się przerwać ciszę.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, zanim w to wejdę.
- Przecież już w to wszedłeś - zauważył.
- Może wszedłem, ale obiecuję, że nawet nie kiwnę dla ciebie palcem, jeśli wcześniej nie zrobisz dla mnie jednej rzeczy.

- Cóż to miałoby być?
- Skontaktujesz mnie, w tej chwili - wskazałem telefon - z kimś z twojej kliki w Mosadzie, kogo znam osobiście.

- Co?!
- Słyszałeś. Z kimś, kogo znam. Chcę mieć pewność, że nie próbujesz mnie zrobić.

- Generał ci nie wystarczy? Myślałem, że darzysz go zaufaniem.

- Z całym szacunkiem, obaj dobrze wiemy, że mogłeś zwodzić tego człowieka sto razy na minutę. Chcę kogoś z Mosadu, kto zna całą sprawę.

- Nie mogę ujawnić go dla twojego widzimisie.
- Skoro tak, wychodzę.

Ephraim drgnął.

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić. Za dużo wiesz.

- W takim razie zabij mnie, ale jeśli chcesz, żebym dla ciebie pracował, lepiej weź słuchawkę i dzwoń.

Przez kilka sekund patrzył na mnie w milczeniu. Potem podszedł do telefonu, wybrał numer centrali, a po chwili wystukał kilka następnych cyfr. Czekał ze słuchawką przy uchu.

- Reuven? - powiedział w końcu i znowu zamilkł wy-
czekująco. - Zaczekaj minutę. - Spojrzał na mnie. - Znasz
Reuvena? Hadary'ego?

- Tak.

Człowiekowi po drugiej stronie linii powiedział, że chce
uzyskać potwierdzenie, iż są w Mosadzie inni pracujący z
nim agenci. Reuven, którego znałem i lubiłem, potwierdził to.
Nalegałem, by podali mi numer Reuvena - w przypadku
jakichkolwiek kłopotów nie byłbym całkowicie zależny od
Ephraima. Zgodzili się, więc kiedy słuchawka została od-
łożona, byłem w pełni usatysfakcjonowany. Nie próbowano
mnie wrabiać, ale rzeczywiście podejmowano wysiłki mające
na celu zniszczenie Mosadu i zbudowanie w jego miejsce
czegoś lepszego.

Otworzyłem okno. Musiałem odetchnąć świeżym powiet-
rzem. Wymieszane wonie papierosowego dymu, dymu z fajki,
smażonej ryby i frytek sprawiały, że zbierało mi się na
mdłości.

- Jeszcze jedno - rzekłem. - Ilu ludzi jest w to zaan-
gażowanych?

- Około dziesięciu, ale tylko trzech, no, czterech, wie, o
co w tej rozgrywce chodzi. Nikt poza obecnymi w tym
pokoju i Reuvenem nie wie o twoim istnieniu, jeżeli o to ci
chodziło.

Nie odpowiedziałem. Usiadłem przy otwartym oknie i
zapatrzyłem się na szarą bryłę wysokościowca, stanowiącego
najlepszy widok, jaki miał do zaoferowania ten hotel.

- Wylądujesz w Nowym Jorku 2 kwietnia. Od tej chwili
będziesz zdany wyłącznie na własne siły. Nie polecę ci
żadnego hotelu. Szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć, gdzie
się zatrzymasz.

Nie odrywając oczu od widoku za oknem, kiwnąłem
głową na znak zrozumienia.

- Słuchasz mnie? - pytał Ephraim przyciszonym głosem.

Jeszcze raz kiwnąłem głową.

- Masz tutaj numer, pod który chciałbym, żebyś zadzwonił po wizycie w siedzibie OWP. - Wręczył mi wizytówkę. - W Nowym Jorku jest to numer piekarni. Zadzwoń pod ten sam numer w Tel Awiwie, będę czekał.

- A jeśli nie odbierzesz?

- Spróbuj jeszcze trzy razy, w czterogodzinnych odstępach, za każdym razem z innego miejsca. Po pierwszej próbie zacznij zacierać za sobą ślady. Po ostatniej - powinieneś zniknąć na dobre.

- Co mam zrobić, jeśli ciebie dopadną?

- Spróbuj utrzymać się przy życiu i nie daj się złapać. Tylko tyle. I mogę powiedzieć, że będzie ci łatwiej niż nam wyrwać się z ich szponów.

- Marne pocieszenie. Co z moją rodziną?

- Nie będziesz miał rodziny, jeżeli nas złapią. Choć raczej to oni nie będą mieć ciebie. Dla nich będziesz już trupem.

- Drastyczne. Nie przewidujesz innego zakończenia?

- Przeciwnie, będę tam, żeby odebrać telefon. Nie stracę cię.

Kilka minut później obaj opuścili pokój. Obyło się bez fanfar. Pożegnaliśmy się zwykłym uściskiem dłoni, po którym rozpocząłem tę wielokrotnie później przeklinaną podróż.

10

*Środa, 2 kwietnia 1986 r.,
Nowy Jork*

Lądując w Nowym Jorku czułem się jak wrak człowieka. Byłem wyczerpany, w brzuchu przelewała mi się zawartość kilku buteleczek rumu i kubków pepsi, które opróżniłem podczas lotu.

Na końcu szarego, długiego korytarza, prowadzącego z rękawa przystawionego do burty samolotu, ukazała się przestronna hala terminalu. Woń paliwa lotniczego i wentylowanego powietrza zastąpił zapach świeżych hot dogów, od którego zrobiło mi się sucho w ustach. Automatycznym ruchem wy dobyłem papierosa i zapaliłem, by zabić pragnienie możliwe do zaspokojenia gdzieś po drugiej stronie biurokratycznej linii obronnej, zwanej inaczej Amerykańskim Urzędem Celnym i Imigracyjnym.

Z trudem utrzymywałem w górze ciężkie powieki, co chwilę popychając nogą walizkę, w miarę jak kolejka pasażerów przesuwała się do przodu. W końcu stanąłem przed urzędnikiem imigracyjnym - wyglądał jak człowiek, który najchętniej wkopałby mnie z powrotem do samolotu.

- Paszport, proszę - powiedział mechanicznie.

Położyłem na ladzie mój kanadyjski paszport. Od chwili, gdy postawiłem stopę na angielskiej ziemi w Gatwick, ponownie stałem się obywatelem Kanady i czułem się z tym

naprawdę dobrze. Ten niewielki dokument w niebieskich okładkach ze złotym kanadyjskim godłem dawał mi względne poczucie bezpieczeństwa.

- W interesach, czy...
- Urlop. Zamierzam odwiedzić ojca.
- W Kanadzie?
- Nie. Ojciec mieszka w Nebrasce. Jest Amerykaninem.
- Długo pan zostanie?
- Jeszcze nie wiem. Dlaczego pan pyta? Są jakieś problemy?

Mężczyzna przybił czerwoną pieczęć i oddał mi paszport.

- Miłego pobytu - rzekł, pokazując gestem, żebym przesunął się dalej.

Celnicy również nie robili żadnych problemów. Wszystko wskazywało na to, że mimo lekkiego wstawienia, zrobiłem pozytywne wrażenie na tutejszych urzędnikach państwowych. Poza tym, nie miałem niczego do ukrycia, jeśli nie liczyć dokumentów schowanych w tajnej skrytce walizki.

Po krótkiej jeździe taksówką wysiadłem przed małym motelem, położonym blisko lotnisko. Rzuciłem się na łóżko w ubraniu. Zdążyłem zrzucić jeden but i zasnąłem.

Czwartek, 3 kwietnia

Świadomość przywróciły mi pierwsze promienie słońca, przebijające się przez rozsunięte zasłony. Nagle zdałem sobie sprawę, iż od ostatniej rozmowy z Bella minął prawie cały tydzień. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki opuściłem kraj, i stan umysłu, w jakim znajdowała się wtedy żona, poczułem, że zachowałem się jak skończony drań. Powoli zwlokłem się z łóżka, unikając gwałtowniejszych ruchów głową, ponieważ potwornie bolały mnie oczy. Alkohol brał srogi rewanż.

Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze i zrozumiałem, że czuję się znacznie lepiej, niż wyglądałam. Na nocnym stoliku przy łóżku stał budzik z elektronicznym wyświetlaczem, który pokazywał godzinę siódmą rano. Spróbowałem przeliczyć, która godzina jest teraz w Izraelu, ale szybko zrezygnowałem. Nie mogłem się skupić.

Ephraim powiedział, że mogę zatelefonować do domu trzeciego kwietnia po szóstej rano. Niczego tak nie pragnąłem, jak wykonać ten telefon.

Zapaliłem papierosa i przysiadłem na skraju łóżka, ścisnąc głowę w dłoniach. Odłożyłem papierosa na tandetną, szklaną popielniczkę; zauważyłem, że poprzedni lokatorzy tego przybytku mieli kłopoty z trafieniem do tego naczynia, ponieważ na blacie stolika zostały wypalone, brunatne ślady. Niektórzy z nich chyba nawet gasili papierosy wdeptując je w cieniki, zdeptany, zielonkawy dywan. Jak znalazłem się w takim miejscu? Kiedy mówiłem taksówkarzowi „niedrogi”, wcale nie miałem na myśli ponurej nory. Z drugiej strony, nikt nie będzie mnie tutaj szukał. Chyba że już jestem śledzony.

Sam Ephraim twierdził, iż powinienem zadzwonić do domu. Jeśli telefon był na podsłuchu, tym lepiej.

- Jeżeli mamy cokolwiek odkryć, muszą przekonać się, że jesteś w Nowym Jorku.

Kiedy to mówił, wszystko to miało sens. Teraz nie byłem w stanie odtworzyć jego toku rozumowania. Stać mnie było tylko na mechaniczne wybieranie kolejnych cyfr domowego numeru.

Jej głos brzmiał świeżo i jak powiew ożywczego powietrza rozwiewał chmury bólu kłębiące się w mojej głowie. Koił. Chciałem go słuchać i słuchać, i nie było dla mnie ważne, co Bella mówi, liczyło się tylko to, że mogłem słuchać jej głosu. Przed obolałymi oczami stanął mi jej wizerunek: ciemne, pofalowane włosy, kobiece kształty, iskierka w głę-

bokich, brązowych oczach. Z tonu i barwy głosu wywnioskowałem, że jest zmęczona, zaniepokojona, urażona, iż dzwonię dopiero teraz. Krótka się poskarżyła, a kiedy zorientowała się, że nie usłyszy pełnych wyjaśnień, zapytała:

- To co zamierzasz zrobić?
- Zostanę dzień lub dwa w Nowym Jorku, a potem pojedę odwiedzić ojca.

- Co będziesz tam robił?
- Jeszcze nie wiem. Może znajdę sobie jakąś pracę albo... sam nie wiem. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Byli tutaj wczoraj z wezwaniem do wojska.

- Kto?

- Jakiś oficer z marynarki. Wręczyli mi to do rąk własnych.

- Naprawdę? Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek tak robiono.

- Powiedziałam im, że wyjechałeś za granicę. Z początku mi nie uwierzyli.

- Co mówili?

- Pytali, jak mogłeś to zrobić nie otrzymawszy od nich zwolnienia.

- Miałem zwolnienie. Cholerni biurokraci! Sami nie wiedzą, co się dzieje w ich biurach.

- Telefonowałeś do ojca?

- Nie. Zrobię to, gdy tylko skończymy rozmawiać.

- Mam nadzieję, że jest w domu. Mógł wyjechać do miasta albo gdzieś indziej. Co wtedy zrobisz?

Czułem, że desperacko trzyma się tej rozmowy jak koła ratunkowego.

- Nie przejmuj się. Wszystko się ułoży.

Kłamałem. Z punktu, w którym się znajdowałem, sprawy nie wyglądały tak, jakby wszystko miało się ułożyć. Nagle zapragnąłem skończyć rozmowę. Bałem się, że powiem coś,

co ją zirytuje. W tej chwili nie do końca panowałem nad własnymi słowami, a jak daleko sięgałem pamięcią, zawsze obwiniałem Bellę za każde moje niepowodzenie. Obiecałem zatelefonować następnego dnia.

Odwiedziłem jadalnię, a po powrocie do pokoju wziąłem długie, gorące prysznic. Wreszcie poczułem, że wracają mi siły i mogę przejść do realizacji dalszych planów na ten dzień. Połączyłem się z recepcją motelu i powiedziałem, że zatrzymam się tutaj jeszcze kilka dni. Potem poprosiłem, żeby sprowadzili mi taksówkę.

Nie minęło pół godziny i znalazłem się przed budynkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych. Stamtąd pieszo przeszedłem pod siedzibę OWP. Wiedziałem, że większość drogi mogłem przebyć kolejką metra, a dopiero ostatni odcinek taksówką, jednak chciałem dotrzeć do celu stosunkowo szybko i mieć pewność, że nie zgubię ewentualnego ogona. Gdybym był śledzony i skorzystał z metra oraz taksówki, mógłbym przypadkiem zgubić „opiekuna”, a wtedy myślelibyśmy, że jestem czysty, bo nikt nie doniósł o mojej wizycie w siedzibie OWP. Fałszywe poczucie bezpieczeństwa w przyszłości mogłoby nam zaszkodzić.

Zza chmur wyszło słońce, zapowiadał się całkiem ładny dzień, jak na Nowy Jork, rzecz jasna. Powietrze wciąż było chłodne, dzięki czemu atmosfera zachowała tyle świeżości, ile to możliwe w tak wielkim mieście.

Wiedziałem, czego się ode mnie oczekuje, nie zamierzałem nic spaprać. Nie robiłem tego dla przyjemności i jak najszybciej chciałem mieć to za sobą, jednak pośpiech nie jest dobrym doradcą. Zanim skierowałem swe kroki do celu, wszedłem jeszcze do małej kafeterii zlokalizowanej dokładnie naprzeciw siedziby OWP. Jak zawsze, gdy nie zależało mi na oderwaniu się od śledzącego, chciałem dać mu szansę dogonienia mnie i zajęcia najlepszej pozycji, z której doskonale zobaczy, co zrobię.

Wypiłem kawę, zagryzłem rogalikiem i spacerowym krokiem przeszedłem na drugą stronę ulicę. Denerwowałem się. Miałem już do czynienia z Palestyńczykami, ale zawsze występowałem z pozycji siły, mając za sobą albo całą armię, albo potężną machinę Mosadu. Dziś było zupełnie inaczej. Może nadal miałem za sobą Mosad, lecz w zupełnie innym znaczeniu. A członkowie OWP, których dziś spotkam, nie będą podlegać ani mojej władzy, ani woli. Byłem uzbrojony wyłącznie w pewność siebie i nadzieję, że wszystko pójdzie gładko.

Pomieszczenie recepcyjne było udekorowane broszurami i plakatami, jasne błękity i odcienie szarości nadawały miejscu dość wyszukany, wyrafinowany wygląd. W pokoju nie było żywej duszy, jeśli nie liczyć mojej osoby. Dopiero po kilku minutach zjawił się wysoki, elegancko ubrany mężczyzna. Spojrzał na mnie i okulary w złotych oprawkach lekko zjechały po pochyłości nosa. Jego czarny garnitur na pewno pochodził od jednego z najlepszych krawców, a używana przez niego woda po goleniu była z gatunku tych droższych. Poczułem się trochę nie na miejscu w swoich dżinsach i czarnej, skórzanej kurtce.

- Czym mogę panu służyć?

Głos brzmiał głęboko, przyjacielsko. Nie zauważyłem żadnego akcentu.

- Jeśli to możliwe, chciałbym rozmawiać z kimś, kto tutaj rządzi.

- Trafił pan na właściwą osobę. Nazywam się Yasin. Co mogę dla pana zrobić?

- Cóż... Możemy tu swobodnie rozmawiać?

- To zależy, co chce pan powiedzieć. Jestem pewien, że więcej w tym pokoju słuchaczy niż obecnych w nim osób - powiedział z uśmiechem.

Wyjąłem z kieszeni mój izraelski paszport i podałem mu.

- Może miałby pan ochotę wypić ze mną kawę? - zapytałem. - Zapraszam. Po drugiej stronie ulicy jest bardzo miły lokalik.

Przejrzał dokument. Wydawał się nieco skonsternowany, ale oddając paszport uśmiechnął się.

- W zasadzie - rzekł - właśnie miałem wychodzić. Kawalek dalej przy tej ulicy jest jeszcze lepszy lokal. Przyłączy się pan do mnie?

- Z rozkoszą.

Odpowiedziałem uśmiechem. Kamień spadł mi z serca. Nawiązałem kontakt i jeśli agenci Mosadu mieli mnie pod obserwacją, zobaczyli mnie w towarzystwie człowieka, który na pewno znajdował się w ich kartotece. Wkrótce dowiemy się, co jest grane.

- Wezmę tylko płaszcz i już idziemy.

Elegant zniknął na korytarzu. Wyjrzałem przez okno na ulicę w dole. Nie była przesadnie zatłoczona, ale i tak nie miałem szans wypatrzyć ewentualnych opiekunów. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że biura OWP były obserwowane przez Amerykanów - na pewno miały je na oku służby federalne, prawdopodobnie również policja miejska, która chciała zabezpieczyć się na wypadek prowadzonej w tym miejscu działalności wywrotowej i jednocześnie chronić lokal przed atakami terrorystycznymi.

Martwiłem się tylko tym, że ktoś mógłby sfotografować mnie w towarzystwie członka OWP i przekazać zdjęcie Mosadowi. Znalazłbym się wówczas w poważnych tarapatach. Wprawdzie Ephraim obiecywał, że ten fragment operacji jest całkowicie utajniony, ale wiedziałem, że cmentarze są pełne niezastąpionych ludzi, a obok nich leżą ci, którzy mieli dobre chęci.

Znalazłem się w punkcie, z którego nie było odwrotu i cieszyłem się, że mam to już za sobą. Od tego punktu znowu zaczynało się życie.

W drodze do niewielkiej restauracji, położonej zaledwie jedną przecznicę od biurowca z siedzibą OWP, nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Lokal był fatalnie oświetlony i prezentował się jak scenografia do starego filmu z Bogartem. Zamówiłem kawę, mój towarzysz zrobił to samo. Odniosłem wrażenie, iż chciałby skończyć sprawę najszybciej, jak to możliwe.

- Więc o czym chciałby pan porozmawiać?

- Jak pan wie, jest obywatelem Izraela.

Kiwnął głową.

- O co panu chodzi?

- Chciałem was ostrzec.

Uniósł brwi, świdrując mnie wzrokiem.

- Nic osobistego lub przerażającego - dodałem. - Po prostu, zwykłe ostrzeżenie.

- Przed czym chce pan nas ostrzec?

Ephraim wyraził się dostatecznie jasno, że nie powinienem wdawać się w szczegóły. Miałem przekazać ogólnikową informację i dorzucić dwa, trzy przykłady, aby udowodnić, że nie jestem jakimś nawiedzonym pacyfistą z ulicznych demonstracji.

- Powiedz swoim szefom, że każda rozmowa w pokoju lub przez telefon jest podsłuchiwana. Żeby nie być gołosłownym, oto przykład: kiedy przed wybuchem wojny w Libanie, w zasadzie tuż przed właściwą inwazją, wasi ludzie rozmawiali z Felisią Langer¹, wszystko było nagrywane. Tak samo w czasie oblężenia Bejrutu rejestrowano wszystkie rozmowy Arafata z królem Arabii Saudyjskiej, a w czasie syryjskiego oblężenia Trypolisus wszystkie połączenia Arafata z Damaszkiem. Do dzisiaj nagrywa się wszystkie połączenia telefoniczne Tunisu z dowolnym miejscem na Ziemi.

¹ Felisia Langer: adwokat, powszechnie znana w Izraelu orędowniczka przestrzegania praw człowieka w odniesieniu do Palestyńczyków.

- Wiemy o tym. Za kogo nas uważacie? Za kompletnych głupców? Kim pan w ogóle jest?

- Mogę tylko powiedzieć, że nie każdy działający po drugiej stronie jest waszym wrogiem. Są również tacy, którzy uważają, że choć znaleźliśmy się po dwóch stronach barykady, powinniśmy jakoś żyć razem, albo przynajmniej obok siebie. W pokoju.

- Mamy wielu wrogów. Nawet w tym kraju władze tylko czekają na pretekst, żeby wykopać nas stąd pod byle jakim, zmyślonym zarzutem. Dlatego będę musiał przerwać naszą rozmowę.

- Rozumiem. Jeszcze tylko jedno. Arafat jest bezpieczny tylko w Tunisie.

- Jesteście zabawni. - Uśmiechnął się szeroko. - Wiecie o nas więcej niż my sami. Znacie naszą historię, zwyczaje, codzienne obyczaje. Znacie położenie każdego drzewa w palestyńskim lesie, ale nie widzicie lasu. Nie rozumiecie nas i nigdy nie pojmiecie naszych motywacji. - Zamilkł na kilka sekund. Patrzył mi prosto w oczy, jakby chciał rozwiązać łamigłówkę albo znaleźć wyjście ze skomplikowanego labiryntu. - Po naszej stronie barykady wielu ludzi myśli i czuje tak samo. Chcemy żyć w pokoju i być wolnymi ludźmi. Są tacy, którzy uważają, iż można to osiągnąć tylko idąc po trupach waszych ludzi. Większość z nas nie podpisuje się pod tym, lecz nie wyłamujemy się z szeregu tylko po to, by zostać zmasakrowani przez waszych żołnierzy. Domagamy się należnego szacunku i miejsca, które moglibyśmy nazwać domem. Pozwól, że zrewanżuję ci się ostrzeżeniem. Nic osobistego, ale za to, możesz mi wierzyć, coś przerażającego. Nadejdzie pora, i to już wkrótce, gdy ulica zacznie dyktować nam, co mamy robić, a nasze miejsce zajmą ekstremiści. Wtedy będziecie mogli pogadać jedynie do swojej starożytnej ściany. Powiedz tym, którzy cię wysłali, że chwila ta jest bardzo bliska.

Podniósł się z krzesła i z marsową miną podał mi rękę nad blatem stoliczka. Wstałem, uściśnąłem podaną dłoń. Zauważyłem przemykający przez jego twarz cień uśmiechu. Pokiwał głową.

- Powiedz im - rzekł - że jeśli chcą przekonać się, jacy naprawdę jesteśmy, wystarczy, by spojrzeli w lustro. Nic więcej nie muszą robić.

Odwrócił się i wyszedł.

11

Pamiętam, jak po wyjściu Yasina z restauracji ogarnęło mnie dziwne uczucie. Oto spotkałem się twarzą w twarz z członkiem OWP, jak równy z równym. Zdałem sobie sprawę, że wydał mi się miłym człowiekiem.

Patrzyłem za nim przez okno. Pochyliłem się i zdołałem jeszcze dojrzeć, jak skręca za róg.

Miałem do zabicia dwie godziny, zanim wykonam planowy telefon do Izraela. Według Ephraima dwugodzinna zwłoka miała być wystarczająca: jeśli po ich upływie wciąż nie rozdzwonią się w Mosadzie dzwonki alarmowe, będziemy bezpieczni. Przełomowy moment operacji. Jeżeli coś pójdzie nie po naszej myśli, cały plan ulegnie kasacji. Ephraim prawdopodobnie wylądował w jakiejś zagrzybionej celi, a moje nazwisko znajdzie się na czele czarnej listy Mosadu ludzi do zlikwidowania.

Zdawało się, że czas stanął w miejscu. W normalnych warunkach, kiedy agent operacyjny Mosadu działa w terenie, jest albo w drodze na spotkanie i ma czas wyliczony niemal co do minuty, albo ma bezpieczną rezydencję, gdzie może pisać raporty lub bezpośrednio zdawać relację z akcji swoim zwierzchnikom. Pomijając krótkie okresy, kiedy jest w drodze z jednego miejsca do drugiego, agent operacyjny rzadko zażywa samotności.

Nie przepadam za dreptaniem po ulicy i oglądaniem wystaw sklepowych. Zawsze cierpiałem, gdy w związku z wykonywaniem zadaniem przychodziło mi korzystać z tej

wątpliwej rozrywki. Kiedy wyczekuję na coś, co się stanie, moje zasoby cierpliwości maleją do zera. Szedłem powoli chodnikiem, szukając czegokolwiek, co zajęłoby myśli. Czas włókł się niemilosiernie. Zacząłem rozważać możliwość zatelefonowania do ojca w Nebrasce. Czas był odpowiedni, wzięwszy pod uwagę godzinną różnicę czasu między Nowym Jorkiem a Nebraską. Szybko zrezygnowałem z tego pomysłu. Gdyby coś poszło źle... Niepotrzebnie wmiszałbym go w tę aferę. Zatelefonuję, kiedy nabiorę pewności, że jestem czysty. Ufałem, iż Ephraim dobrze wszystko obmyślił i powinienem postępować zgodnie z...

Nagle łańcuch myśli urwał się jak nić babiego lata. Po drugiej stronie ulicy zauważyłem mężczyznę w długim, czarnym płaszczu. Stał przy kiosku ulicznego sprzedawcy i zawzięcie wylewał musztardę na świeżego hot doga. Już go gdzieś widziałem. Tak, wszedł do restauracji, w której siedziałem z Yasimem, i zaszył się na tyłach sali.

Gorączkowo starał się nie patrzeć wprost na mnie - prawdziwa oznaka amatorstwa. Przysunąłem się bliżej ściany, unikając porwania przez strumień przechodniów. Obserwowałem go. Według moich szacunków, powinien już zacząć jeść, chyba że kupił hot doga i pompował w niego musztardę tylko dla zyskania czasu. Przypomniałem sobie, że w restauracji nie był sam, towarzyszył mu jeszcze jeden mężczyzna. Zacząłem bez pośpiechu lustrować ulicę w poszukiwaniu tego drugiego człowieka. Ten w długim płaszczu, wciąż zmagający się z hot dogiem, miał cerę typową dla mieszkańców Bliskiego Wschodu, ale to nie znaczyło wiele. Mógł być każdym, od nowojorskiego gliniarza z włoskim pochodzeniem, po oficera syryjskiego wywiadu. Oczywiście, równie dobrze mógł być agentem Mosadu.

Powoli odwracałem się, obserwując ulicę. Zauważyłem

człowieka z niewielką torbą w rękę, stojącego przed wejściem do księgarni. Patrzy! w moją stronę wykorzystując odbicie w szybie wystawy sklepowej. Dzieliło nas nie więcej niż pięć metrów. Nie spodziewałem się, że będzie tak blisko. Bez wątpliwości rozpoznałem w nim drugą postać z restauracji. To dziwne, ale dalece nieprofesjonalne zachowanie tego człowieka stanowiło dla mnie obrazę - nie stosował się do reguł tej gry. Albo obaj byli amatorami, albo członkami jakiejś pośledniej organizacji.

Przeszedłem obok mężczyzny z torbą i wszedłem do księgarni. Musiałem dowiedzieć się, dla kogo ci faceci pracują.

Przez kilka minut snułem się między regałami, przerzucając kartki niektórych książek, podczas gdy umysł rozpracowywał wszelkie możliwe opcje. Musiałem wyrzucić z głowy zdecydowaną większość tego, co przyswoiłem sobie na ćwiczeniach symulujących podobne sytuacje; odpadało telefoniczne wezwanie wsparcia lub przeprowadzenie weryfikacji w terenie¹. Byłem zdany na własne siły. Sprowadzało się to do tego, że nie miałem żadnej ochrony przed funkcjonariuszami lokalnych władz lub kimkolwiek, komu przyszłaby ochota zastrzelenia mnie.

Z wnętrza księgarni widziałem, jak mężczyzna z płaszczu rzuca hot doga do kubła na śmieci i szybko przechodzi przez ulicę. Ten przy drzwiach księgarni udał się na skrzyżowanie, gdzie zaczekał na partnera. Rozmawiali przez kilka sekund, po czym mężczyzna w płaszczu pokazał księgarnię. Ten

¹ Weryfikacja w terenie: szczegółowo zaplanowana forma działania operacyjnego, polegająca na rozstawieniu członków zespołu zabezpieczającego wzdłuż wcześniej ustalonej trasy. Kiedy agent wykrywa „ogon”, daje sygnał i zespół zajmuje pozycje. Następnie agent operacyjny porusza się wzdłuż zaplanowanej trasy, a śledzący jest poddany weryfikacji i identyfikacji.

drugi wzruszył ramionami, a potem machnął ręką, jakby wskazywał coś w głębi ulicy. Mężczyzna w długim płaszczu kiwnął głową i ruszył w kierunku księgarni, podczas gdy jego kolega poszedł dalej ulicą we wskazaną przez siebie stronę.

Patrzcie, patrzcie! Te cymbały nawet potrafią myśleć. Jednak nie są w tym najlepsi. Miałem ochotę wyjść z księgarni, podejść do tego gościa w płaszczu, dać mu krótką lekcję i na zakończenie powiedzieć, że może spróbować jeszcze raz. Z radością zobaczyłbym jego minę, jednak nie był to ani dobry czas, ani miejsce na takie wybryki. O ile prawidłowo odczytałem ich intencje, z jakiegoś powodu planowali mnie usunąć. Nie trzeba być geniuszem, żeby kogoś zabić. Musiałem skoncentrować się i przejąć inicjatywę. I to szybko, czas naglił. Miałem tylko nadzieję, że tych dwóch nie spełnia roli oryginalnej zasłony dymnej dla kogoś, kto do tej pory trzyma się na uboczu.

Byłem pewien, że śledzili mnie co najmniej od chwili wejścia do restauracji. Bardziej prawdopodobne, że mieli mnie na oku już gdy wchodziłem do siedziby OWP. Nagle czas zaczął biec bardzo szybko. Za godzinę powinienem zatelefonować do Ephraima. Do tego czasu musiałem wyjaśnić kilka rzeczy.

Plan zrodził się w jednej chwili, w przebłysku olśnienia. Wyszedłem z księgarni i przez mniej więcej dziesięć minut kierowałem się na południe, co jakiś czas przystając przed witrynami tylko po to, aby upewnić się, że moi nowi przyjaciele nie zgubili się w tłumie. Szedłem powoli, miarowym krokiem. Na kolejnym skrzyżowaniu gwałtownie skręciłem w Czterdziestą Siódmą Ulicę i wszedłem do pierwszego napotkanego sklepu, którym okazał się duży magazyn ze sprzętem elektronicznym. Ktokolwiek mnie obserwował, zniknął mu z oczu. Jeśli śledziło mnie więcej osób niż tych dwóch kolesiów, moje monotonne przemieszczanie się

w jednym kierunku powinno uśpić czujność i rozciągnąć śledzących w łańcuszek. Ktoś mógł iść przede mną, ale było to bardzo mało prawdopodobne. Tak naprawdę nie wierzyłem, że jest ktoś jeszcze oprócz tych dwóch. Byłem gotów przejść do drugiego etapu.

Czekałem, aż mężczyzna z torbą minie sklep i zatrzyma się, zdawszy sobie sprawę, że właśnie mnie zgubił. Rozglądał się we wszystkie strony, po chwili dołączył do niego kolega w płaszczu. Zaglądali do sklepu, ale nie widzieli mnie. Jak się spodziewałem, ten w płaszczu posłał towarzysza na poszukiwania do przodu, a sam ruszył w przeciwną stronę. Udało mi się ich rozdzielić. Jednego mogłem sobie odpuścić. Drugi już był mój.

Wyszedłem ze sklepu. Osobnik w płaszczu był odwrócony do mnie plecami, jego kolega właśnie wchodził do sklepu znajdującego się za magazynem ze sprzętem elektronicznym. Szybkim krokiem minąłem mężczyznę w płaszczu i wszedłem na pasy dla pieszych, kierując się na Czterdziątą Ulicę. Jeśli nie chciał mnie zgubić, musiał pójść za mną sam. I tak zrobił.

Pojechałem na ryby tylko jeden jedyny raz w życiu, razem z ojcem, kiedy na krótko odwiedziłem go w Stanach Zjednoczonych. Wtedy tylko ojciec złowił rybę. Teraz rozumiałem, co czuje wędkarz, pojąłem rozkosz ogarniającą łowcę, kiedy ryba chwyta przynętę i kiedy powoli nawija się żyłkę. Szliśmy szybkim krokiem, jeden za drugim, jakieś pięć minut. Chciałem, aby dystans dzielący go od partnera był jak największy. Znaleźliśmy się w pobliżu Port Authority Bus Terminal. Nie najciekawsza to okolica, osnuta siecią księgarń z książkami dla dorosłych i saloników z peep-show. Dla moich celów nadawała się znakomicie. Czas, żebym zniknął po raz drugi.

Na rogu Siedemdziesiątej i Czterdziestej Pierwszej zatrzymałem się na przejściu dla pieszych. Chciałem mieć pewność, że mężczyzna w płaszczu nadal za mną podąża.

Miałem szczęście, że stanąłem nieco z boku, bo w przeciwnym razie moja ryba wpadłaby prosto na mnie. Nawet biorąc pod uwagę uśpienie czujności, facet zachowywał się absurdalnie. Nie widziałem nikogo, kto bardziej od niego zasługiwałby na określenie „kompletny amator”. Był zielony, ale robił swoje z godnym podziwu samozaparciem.

Nawet najbardziej zacofane agencje wywiadowcze na Środkowym Wschodzie zaznajamiały swych członków z podstawowymi technikami szpiegowskimi, korzystając z doświadczeń Francuzów, Sowieców lub Amerykanów, nie wspominając o ludziach, którzy zostali przeszkoleni przez nas. Ten gość był szeregowcem², a za jedyny materiał szkoleniowy służyły mu filmy telewizyjne i tanie kryminały.

Wcale mnie nie uradowało, że mam do czynienia z amatorami. Są nieprzewidywalni. W każdych okolicznościach wołałbym spotkać na swej drodze zawodowca, taki przynajmniej nigdy nie uważa zadania za część swej osobistej krucjaty. Czujesz się znacznie lepiej, gdy masz świadomość, że ktoś podążający za tobą natychmiast zniknie z twojego życia, kiedy dostanie to, po co przyszedł. A jeśli ma cię zlikwidować, przynajmniej zrobi to szybko i bez ceregieli.

Światła sygnalizacji zmieniły się, mały zielony ludzik pozwolił mi ruszyć przez przejście dla pieszych. Po drugiej stronie ostro skręciłem w lewo, a przy pierwszej okazji w prawo. Stałem przed wejściem do dużego sklepu z książkami i kasetami wideo dla dorosłych. Zaczekałem aż na rogu ulicy pokaże się mój ogon i kiedy miałem pewność, że mnie zauważył, wszedłem do środka.

Wiedziałem, że trochę zaczeka, zanim wejdzie za mną. Musiał to przemyśleć. Został sam. Teraz była to rozgrywka jeden na jednego.

² Szeregowiec: osoba nie należąca do żadnej profesjonalnej agencji wywiadowczej, ani nie szkolona przez taką.

W oszklonej szafce, spełniającej rolę lady, eksponowano szeroki asortyment najróżniejszych seksualnych rekwizytów, od dziwnie wyglądających męskich organów, po nabijane gumowymi ćwiekami prezerwatywy. W samym rogu gabloty leżały srebrne kajdanki. Zakupiłem je, wziąłem też garść żetonów do kabin wideo. Sprzedawca wydał mi resztę, a potem z radością wrócił do oglądania pornograficznego pisemka. Proszę, pomyślałem, uśmiechając się do siebie, i kto powiedział, że szewc bez butów chodzi! Przeszedłem na tyły sklepu, gdzie świecił się czerwony neon z napisem FILMY. Po obu stronach mrocznego korytarza znajdował się rząd małych budek, przypominających kabiny w miejscach szaletach. Na drzwiach każdej kabiny widniał numer, a obok niewielki obrazek w ramkach, przedstawiający scenę z pornograficznego filmu, który można było obejrzeć po wejściu.

Poruszałem się pewnie, bez wahania, w taki sposób, aby ogon odniósł wrażenie, że znam to miejsce i mogę użyć tylnych drzwi do ucieczki albo kierować się na umówione spotkanie, pomimo iż w rzeczywistości nie znałem sklepu i z nikim nie miałem się tu spotkać. Chciałem, żeby poczuł, że musi wejść za mną.

Wszedłem do kabiny znajdującej się na samym końcu korytarza i zamknąłem drzwi na zasuwę. Włożyłem żeton do otworu wrzutowego i nacisnąłem przycisk „start”. W środku było ciasno, jedynym sprzętem okazało się wciśnięte w kąt krzesło na trzech nogach. Ściany pomalowano na czarno, naprzeciw drzwi, mniej więcej metr dwadzieścia nad podłogą, tkwił w ścianie telewizor. Jego ekran ledwie z niej wystawał. Klient nie miał dostępu do żadnych przycisków i jak się przekonałem, nie można było regulować głośności. Nie zdążyłem zdjąć palca z przycisku, gdy pokaz się rozpoczął. Bez żadnych wstępów moim oczom ukazała się trójka aktorów pracowicie kopulujących w wyszukany, niemal

akrobatycznym układzie. Mężczyzna na filmie był niezwykle szczerze obdarzony przez naturę i zdawał się dobrze wywiązywać z roli kochanka - obie kobiety głośno pojękiwały z rozkoszy. Rozejrzałem się za jakimś otworem, przez który mógłbym wyjrzeć na zewnątrz i sprawdzić, co porabia mój znajomy. Znalazłem miejsce, gdzie drzazga odpadła od dykty stanowiącej ścianę kabiny.

Stałem na krześle i zerknąłem na korytarz. W samą porę. Mężczyzna w płaszczu kręcił się między kabinami. Poszedł do końca korytarza, upewnił się, że nie ma tylnych drzwi, więc wrócił i spróbował wejść do kabiny naprzeciw mojej. Była zamknięta. Potem spróbował dostać się do mojej, a na koniec wylądował w kabinie drugiej od końca po przeciwnej stronie korytarza.

Wszedł do środka, zostawiając za sobą lekko uchylone drzwi, aby obserwować ciemny korytarz. Nieźle, jak na amatora. Musiałem to przyznać.

Odczekałem kilka minut, żeby poczuł się pewnie. Potem cichutko otworzyłem drzwi od mojej kabiny i wyszedłem, starając się trzymać poza jego polem widzenia. Zamknąłem drzwi, ściskając w dłoni żetony. Poza mną nie było w korytarzu nikogo, lecz lada chwila mogło się to zmienić. Musiałem się śpieszyć. Odetchnąłem głęboko, szybko przeciąłem korytarz, chwyciłem klamkę od jego kabiny i gwałtownie pchnąłem drzwi do środka. Poczułem, jak mężczyzna w płaszczu traci równowagę. Zdaje się, że kucał tuż przy drzwiach. Kompletnie go zaskoczyłem.

Nie dało się tego zrobić delikatnie, nie miałem pistoletu ani żadnej innej broni, która wywarłaby na nim odpowiednie wrażenie. Wcisnąłem się do kabiny i zamknąłem za sobą drzwi. Ręką, w której trzymałem żetony, uderzyłem ptaszka w łeb, zanim zdążył pisnąć choćby jedną sylabę. Błyskawiczna akcja odniosła spodziewany skutek - przeciwnik klęczał na podłodze z twarzą skierowaną w stronę czarnego ekranu.

Zablokowałem drzwi za pomocą zasuw, chwyciłem rękę mojego prześladowcy i wykręciłem ją do tyłu. Jeszcze tylko pociągnięcie jego dłoni wysoko na plecy, przyszpilenie pleców kolanem i mogłem uznać, że całkowicie panuję nad przeciwnikiem, którego twarz niemal rozmazywała się na wbudowanym w ścianę telewizorze.

Wrzuciłem zeton w otwór pod ekranem i wcisnąłem kciukiem podświetlony na czerwono przycisk. Film zaczął się w tej samej sekundzie, ale nie mogłem dojrzeć, co dzieje się na ekranie, ponieważ twarz mojego przyjaciela zasłaniała prawie całą jego powierzchnię. Nie ruszał się. Nawet gdyby chciał, nie mógłby się poruszyć, ale byłem pewien, że nie miał na to ochoty. Wszystko potoczyło się tak szybko, że zabrakło mu czasu na zastanowienie. Pochyliłem się nad nim, aby móc mówić wprost do jego ucha. Inaczej nie przebiłbym się przez donośne jęki kobiety z ogromnym biustem, którą ostro ujeżdżał ktoś pozostający poza moim polem widzenia.

- Jak się nazywasz?

Milczał. Zauważyłem, że zaciska powieki, spodziewając się następnego ciosu.

- Możesz zamykać oczy, dupku, ale uszy masz otwarte. Zapytam cię jeszcze tylko jeden raz. Jak się nazywasz?

- Marvin - odparł drżącym głosem.

- Dla kogo pracujesz, Marvin?

- Dla nikogo. Nie pracuję dla nikogo.

- To dlaczego mnie śledzisz, Marvin?

Mówiłem równym, miarowym, niskim głosem. Prawie przyjacielskim tonem.

Spróbował obrócić głowę, żeby na mnie spojrzeć, więc podciągnąłem jego ramię tak wysoko, jak mogłem, bez połamania go. Syknął z bólu i powiedział:

- To ty byłeś z tym facetem z OWP?

- Dla kogo pracujesz, Marvin?

- Powiedziałem, dla nikogo. Jestem detektywem. Prowadzę sprawę.

- Jaką sprawę?

- Nie mogę powiedzieć. To poufna informacja. Puść moja rękę. Przecież mam swoje prawa.

Zdałem sobie sprawę, że wydaje mu się, iż został schwytany przez policjanta. Wyjąłem z kieszeni zakupione w tym sklepie kajdanki i jedno ogniwo zamknąłem na rękę, którą trzymałem za jego plecami. Drugie trzymałem w dłoni, którą chwyciłem go za włosy. Teraz, gdy chciał opuścić niżej rękę, boleśnie ciągnął się za włosy. Wolną ręką wyjąłem z kieszeni kurtki plastikowy długopis.

- Chcesz mój autograf, Marvin?

- Co?

- Chcesz mój autograf?

- Na co mi twój autograf?

Poruszył się, jakby zamierzał stanąć na nogach, toteż mocniej wcisnąłem kolano w jego plecy. Nareszcie mogłem dojrzeć wielkiego Murzyna, który zabawiał się z kobietą na ekranie. Jej jęki stały się jeszcze głośniejsze. Ktoś próbował otworzyć drzwi. Nieco silniej posięgnąłem rękę w kajdankach. Nie chciałem, żeby zaczął krzyczeć.

- Łamiesz mi rękę, człowieku, łamiesz mi rękę! Proszę, puść.

- Mam tu długopis, Marvin - przemówiłem znowu monotnym głosem, dotykając końcówką długopisu jego policzka. Kobieta z wielkim biustem rzucała się po łóżku jeszcze gwałtowniej. - Włożę ci go do ucha i będę powoli wpychał, aż złożę autograf na twoim mózgu. Pomyśl o tym, Marvin.

- O czym ty mówisz? - W jego głosie pojawiła się panika. Poczul już końcówkę długopisu wewnątrz ucha. Teraz już nie wątpił, że ma do czynienia z psychopatą. Wiedziałem to. - Czego chcesz? Czego ode mnie chcesz?

- Śledziłeś mnie, Marvin, a ja bardzo tego nie lubię. Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś? I kto cię posłał?

Lekko popchnąłem długopis w głąb ucha. W ciasnej kabinie zaczęło robić się gorąco. Upał denerwował mnie. Musiałem usłyszeć odpowiedzi i to już, zaraz. Mimo że domyślałem się, kim jest ten człowiek.

- Powiedziałem ci - pisał. W błękitnawej poświacie, rzucanej przez telewizor, dojrzałem łzę spływającą po jego policzku. Kobieta na ekranie była na granicy orgazmu, Murzyn zawzięcie pompował dalej i w wytwarzanym przez tę dwójkę zgiełku trudno było dosłyszeć słowa Marvinina. - Powiedziałem, jestem detektywem.

- Dobrze. Dlatego chciałbym wiedzieć, dla kogo pracujesz. Może dla Herkulesa Poirot?

Popchnąłem długopis głębiej. Jeszcze kilka milimetrów i zacznie siać spustoszenie.

- Puść mnie. Nie możesz tego zrobić!

Pchnąłem długopis o kolejny milimetr. Marvin próbował oderwać głowę od telewizora, uciec od bólu. Zaczęło migać czerwone światełko z napisem WRZUĆ ŻETON. Zastosowałem się do tej prośby; przedstawienie musiało trwać.

- Marvin, będę z tobą całkowicie szczerzy. Jeśli nie zaczniesz mówić, wyjmę ten długopis twoim drugim uchem. I tak dowiem się wszystkiego od twojego kumpla. Moi przyjaciele pewnie już wyciągają z niego wszystko, co wie.

Wiedziałem, że zastanawia się nad tym, co powiedziałem. Miał szeroko otwarte oczy, był przerażony. Nie mógł liczyć na to, że partner wyciągnie go z tarapatów. Zdał sobie sprawę, że wiem znacznie więcej, niż początkowo sądził. Próbował przeanalizować sytuację, a mnie wcale na tym nie zależało. Musiałem sprawić, by sprawy potoczyły się szybciej. Zostawiłem długopis w jego uchu, uniosłem dłoń i pięścią uderzyłem go w głowę niczym młotem. Zaszokowałem go. Nie spodziewał się ciosu. Myślał, że teraz spokojnie sobie porozmawiamy, a tu...

- Jestem z ŻSO. Rozumiesz, z Żydowskiego Stowarzysze-

nia Obronnego (Jewish Defense League - JDL). Obserwujemy biura tych palestyńskich szumowin. Widzieliśmy, jak stamtąd wychodzisz. Pomyśleliśmy, że pewnie dla nich pracujesz i chcieliśmy dowiedzieć się...

- Czego chcieliście się dowiedzieć?

- Chcieliśmy wiedzieć, kim ty, kurwa, jesteś! I co, do kurwy nędzy, tam robiłeś! Skąd mieliśmy wiedzieć, że jesteś gliniarzem?

- Kto was posłał?

- Rabin. Powiedział nam, co mamy robić. Nikogo nie obchodzi, co się z nami stanie. Sami musimy zadbać o własną skórę. Żydzi muszą trzymać się razem, inaczej goje nas wytepią. Jesteś Żydem?

- Nie - odparłem.

- Cóż, pewnie nie wiesz, że Palestyńczycy mają plan eksterminacji wszystkich Żydów. Amerykański rząd również macza palce w tym spisku.

- O czym ty bredzisz? Chyba za mocno uderzyłem cię w głowę.

- Nie pozwolimy na to! Poczekaj tylko, przekonasz się! Wszystkich ich wybijemy, zobaczysz. Wybijemy.

Facet zaczynał pleść kompletne bzdury. Trochę silniej pociągnąłem jego rękę i mocniej przygiąłem kolaniem, dzięki czemu zyskałem trochę dystansu między nim a sobą.

Wstałem, odsunąłem kolano od jego pleców i podniosłem go z podłogi, ciągnąc w górę rękę w kajdankach. Długopis wciąż tkwił w jego uchu. W kabinie nie było nic, czym mógłbym faceta związać. Nie mogłem go też ogłuszyć i zostawić - wiązało się to z ryzykiem pozbawienia życia, a nie chciałem go zabijać. Nie stanowił dla mnie zagrożenia, więc w ogóle nie brałem pod uwagę tego ostatecznego rozwiązania.

Wyjąłem mu z ucha długopis i odpiąłem pasek przy spodniach.

- Co robisz?
- Rozbieram cię, mój chłopcze.
- Po co? - Jego głos był przesycony strachem. - Co chcesz mi zrobić?
- Nic, jeśli będziesz grzeczny. A teraz wyskakuj ze spodni i rzuć je na ziemię.

Zrobił, co kazałem. Po mniej więcej pięciu minutach zmagania z oporną odzieżą, z jedną ręką wciąż zakutą w kajdanki za plecami, rozebrał się do naga. Zawinąłem ubranie w jego płaszcz i wcisnąłem sobie pod ramię. Mężczyzna klęczał na podłodze, twarzą do ekranu, z obiema rękami skutymi za plecami.

- Teraz cię zostawię - powiedziałem, wrzucając kilka żetonów do otworu wrzutowego. - Masz zapewnione jakieś dziesięć minut rozrywki, a potem musisz radzić sobie sam.

- Nie możesz mnie tak zostawić. Proszę - skamlał - nie zabieraj mi ubrania. Proszę!

W kabinie było bardzo gorąco, ale mimo to trzął się, jak na mrozie. Zacząłem obawiać się, że przestanie panować nad zwieraczem i zapaskudzi podłogę, a przy okazji moje buty. Byłoby fatalnie. I bez tego cuchnął wyjątkowo nieprzyjemnie.

- Albo cię tak zostawię, albo zabiję. Chyba rozumiesz, że nie mogę pozwolić, żebyś tak po prostu za mną wyszedł. Więc, co wolisz?

Nie doczekałem się odpowiedzi. Łkał cicho. Kiedy wychodziłem z kabiny, z jękiem osunął się na podłogę. A może to nie on jęczał, tylko kobieta na filmie? Nie miałem pewności. Trochę było mi go żal. Okolica nie była najlepsza do biegania nago po ulicy. Z drugiej strony wiedziałem, że mało kto bardziej zasługiwał na takie traktowanie. Nienawdziłem ludzi należących do ŻSO. Niektórzy nazywali ich judeo-nazistami (w pewnym sensie, można by to uznać za paradoks wszechczasów).

Przechodząc obok sprzedawcy, powiedziałem:

- Pod czwórką jest jakiś facet, który namawia ludzi do sodomii. - Sprzedawca spojrział na kurtynę, oddzielającą część handlową od kabin. - Jest nagi i chce, żeby go ukarać, czy coś takiego.

Nawet nie podniósł się ze stołka. Za nic nie zostawiłby kasy. Wziął słuchawkę telefonu i z kimś rozmawiał. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, gdy wychodziłem na zewnątrz, by zmieszać się z tłumem, który teraz, w porze lunchu, przypominał rwący ludzki strumień. Zawiniątko z ubraniami włożyłem w ręce bezdomnego, siedzącego w wąskiej uliczce między dwoma czerwonymi budynkami. Z początku patrzył na mnie podejrzliwie, ale gdy trochę rozwinął płaszcz, oczy zrobiły mu się wielkie jak dwa spodki. Kiedy na dodatek wyczuł portfel, czym prędzej wrzucił wszystko do zdobycznego metalowego koszyka na zakupy i zniknął w bramie.

Wskoczyłem do autobusu i dotarłem do budynku Chryslera w samą porę, aby wykonać zaplanowany telefon. Połączyłem się bez żadnych problemów, a Ephraim odebrał niemal natychmiast. Wraz z jego głosem spłynęło na mnie odprężenie, ogromna ulga. To, że podniósł słuchawkę, mówiło wszystko. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, jak byłem spięty i podenerwowany możliwymi konsekwencjami porażki na tak wczesnym etapie gry.

- Domyślam się, że zrobiłeś to, co miałeś zrobić?

Wiedziałem, dlaczego pyta. Zawsze istniała ewentualność, że nie został aresztowany, ponieważ nie wykonałem zadania, a nie dlatego, że nie byłem śledzony.

- Owszem, zrobiłem. Poszedłem do biura i spotkałem się z człowiekiem, który tam pracuje. Poszliśmy na kawę i przekazałem mu wiadomość.

- Co powiedział?

Mimo że linia telefoniczna, z której korzystał Ephraim, była bezpieczna, a ja dzwoniłem z przypadkowo wybranego aparatu publicznego, obaj staraliśmy się mówić jak najmniej.

- Cóż, nie był zaskoczony tym, co usłyszał. O wszystkim wiedział, prawdopodobnie jego szef również.
- Mówił coś jeszcze?
- Tylko to, że powinniśmy wiedzieć, że w jego firmie są ludzie, którzy chcą tego, co my, ale czas na zawarcie umowy może być ograniczony. Dał do zrozumienia, iż sytuacja na rynku mogłaby niekorzystnie wpłynąć na układy i nagle okazałoby się, że musimy toczyć negocjacje z kimś, kto nam się nie podoba.
- Rozumiem, spodziewałem się tego. Przynajmniej wie, że w naszej firmie również są ludzie myślący o zawarciu umowy. - Nie mogłem tego widzieć, ale miałem wrażenie, że się uśmiecha. Najwyraźniej poczuł równie wielką ulgę, jak ja. - Miałeś jakieś problemy?
- Hmm, miałem gościa. Okazało się, że jest członkiem jednego z tutejszych radykalnych ugrupowań.
- Zrzeszającego naszych ludzi?
- Można tak powiedzieć. To ludzie Meira.
- Miałem na myśli ich przywódcę, tak zwanego rabiego Meira Kahane.
- Chyba żartujesz.
- Nie, nie żartuję. Pozbyłem się ich, wszystko w porządku. Czy któryś z naszych coś widział?
- Najwidoczniej nie. Dowiedziałem się, że wcale nie obserwujemy tego miejsca. Jeśli robi to kto inny, nie przekazuje nam raportów. Punkt o znaczeniu politycznym, nic ciekawego.
- I chyba dlatego stoją tam ci wariaci z ŻSO.
- Dobrze, mamy za sobą pierwszy krok. Teraz zniknij z widoku, zapadnij się pod ziemię - rzekł Ephraim, przeciągając sylaby. - Wiesz, o czym mówię?
- Tak.
- Pojedziesz teraz kogoś odwiedzić?
- Zgadza się. Dzisiaj do niego zadzwonię, a jutro polecę

tam samolotem. Kiedy będziemy mieli okazję się spotkać albo porozmawiać?

- Cierpliwości. Już niedługo. Zatelefonuję do ciebie. Pamiętaj tylko, co ci powiedziałem. Zostań tam do chwili, aż powiem, że możesz wyjechać. Jasne?

- Tak, ale powiedz przynajmniej w przybliżeniu, ile to może trwać - naciskałem. - Kiedy przyjadę z wizytą, muszę mniej więcej wiedzieć, na jak długo się zatrzymuję.

- Nie mogę.

- O jakim przedziale mówimy: kilka dni? Tygodni?

- Nie powinno trwać dłużej niż kilka tygodni.

- To cholernie dużo czasu.

- Mamy cholernie dużo roboty. Zatelefonuję.

- Może mógłbym zadzwonić do ciebie i sprawdzić, jak leci?

Ephraim doceniał znaczenie stałego kontaktu dla kogoś, kto został sam, z daleka od domu, odcięty od swego dawnego życia. Dobrze jest mieć wówczas kogoś, do kogo można *zatelefonować i nie siedzieć z założonymi rękami*

- Dzwon i jeśli nie będzie mnie na miejscu, zostaw wiadomość. Wiadomość o uzgodnionej treści.

- Tak zrobię.

Ciągły sygnał obwieścił koniec połączenia. Znowu byłem sam w Nowym Jorku. W Izraelu była noc. Wróciłem do motelu, a za jedyne go towarzysza miałem rozplywające się po całym ciele znużenie.

12

Z motelu zatelefonowałem do ojca. Ucieszył się i zdziwił, że jestem w Nowym Jorku. Zaproponował, że zapłaci za bilet lotniczy, żebym mógł złożyć mu wizytę (mój ojciec zawsze oferuje opłacanie różnych rachunków i często to robi). Odparłem, że sam sobie poradzę i planuję wylądować w Omaha następnego dnia.

Nie byłem zachwycony perspektywą tej wizyty. Wciąż nie wiedziałem, co się dzieje z moim własnym życiem, nie byłem w stanie powiedzieć ojcu, jak długo u niego zostanę, a to stawiało mnie w niezręcznej sytuacji. Powiedziałem mu, że jestem między jednym a drugim zleceniem i czekam na telefon od przyjaciela, który jednocześnie jest moim szefem. Będąc eks-oficerem Królewskich Kanadyjskich Sił Zbrojnych i potem Izraelskich Sił Powietrznych, wiedział, że nie powinien zadawać zbyt wielu pytań.

Kiedy zadzwoni przyjaciel - wyjaśniałem - będę wiedział, dokąd mam się udać. Powiedziałem ojcu i jego żonie, Gigi, że przyjaciel wkrótce przybędzie do Waszyngtonu i jeżeli jest jakiś problem z moim pobytem w ich domu, mogę poczekać w Waszyngtonie. Połapałem się, że niemal bez przerwy za coś przeproszam, nawet kiedy nie ma potrzeby.

Nigdy przedtem nie spędzałem dużo czasu z ojcem. Rodzice rozeszli się, gdy miałem pięć lat. Żyli w separacji. Matka zabrała mnie ze sobą do Izraela. Wcale nie chodziło

o to, że chce mnie wychowywać; raczej nie chciała, żeby robił to mój ojciec. W zasadzie wszelkie obowiązki spadły na dziadków ze strony matki. Przy jej nastawieniu życie w tym domostwie nie należało do najprzyjemniejszych. Zachowywała się bardziej jak moja siostra niż matka, stale rywalizując ze mną o uczucia swoich rodziców. Mimo że byłem wówczas małym chłopcem, sprawiała, że czułem się jak jej starszy brat.

To dziadkowie zaszczepili mi miłość do Izraela i sympatię do ruchu syjonistycznego. Choć dziadkom daleko było do ortodoksyjnych Żydów, otrzymałem również dużą dawkę Judaizmu, za co jestem im wdzięczny po dziś dzień.

Jednocześnie obawiali się, że ojciec zabierze mnie do Stanów Zjednoczonych, jeśli tylko umożliwią mu bliskie kontakty ze mną. Zadbali więc, aby takich kontaktów nie było. W zasadzie nie było żadnych kontaktów. Do siedemnastego roku życia, kiedy odkryłem w szufladzie adresowany do mnie list od ojca i czek z miesięcznym subsydem na moje wychowanie, żyłem w przekonaniu, że ojciec w ogóle nie chce o mnie słyszeć. Trudno mi choćby w przybliżeniu opisać ból, jaki przez całe lata wywoływała świadomość porzucenia. Nie potrafię też wyrazić gniewu, jaki czułem, gdy odkryłem prawdę i zorientowałem się, jak wiele lat bezpowrotnie nam przepadło.

Wiele lat później dowiedziałem się, że ojciec przysyłał listy regularnie co miesiąc i sądził, iż to ja nie chcę mieć z nim nic do czynienia, ponieważ czek był realizowany bez jednego słowa odpowiedzi. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że mogę nie wiedzieć o listach.

W kilka dni po znalezieniu listu zatelefonowałem do ojca, a tuż przed wstąpieniem do armii złożyłem mu wizytę. Później spotykaliśmy się kilkakrotnie, ale jakoś nie byliśmy w stanie przetrzeć pomostu nad dzielącą nas przepaścią powstałą w latach rozłąki.

W trakcie tej wizyty nie odczuwałem wielkiej różnicy. Docierały do mnie sygnały świadczące o jego frustracji, męczyło go, że nie potrafi do mnie dotrzeć. Ja również nie potrafiłem dotrzeć do niego. Byliśmy niczym dwa różne bieguny magnesu, które usilnie chcą się połączyć, ale oczywiście nie może im się to udać. Nie mogłem posadzić go w fotelu i wyłożyć mu całej prawdy, jak pragnąłem i zapewne powinienem był zrobić.

Spokojne, pełne harmonii życie, jakie ojciec wiódł w zasobnej krainie Omaha, gdzie spełniają się amerykańskie sny o sukcesie i bogactwie, jeszcze pogłębiło męczarnię, jaką była dla mnie rozłąka z Bella i dziećmi, zamiana rodzinnego życia na spacer po cienkiej linie zawieszonyj nad bezdenną otchłanią.

Wtorek, 8 kwietnia 1986 r., Omaha

Zatelefonowałem do Ephraima z automatu na poczcie. Byłem w mieście prawie od tygodnia i dotąd nie otrzymałem żadnych wiadomości. Powstrzymałem się wystarczająco długo, ale dłużej nie mogłem już usiedzieć na miejscu.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś - rzekł. - Mam dla ciebie robotę.

- W takim razie, dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Właśnie miałem to zrobić. Chce, żebyś zatelefonował do pewnego człowieka w Nowym Jorku.

- Znam go?

- Nie wydaje mi się. Nazywa się Avraham Bar-Am. Jest generałem brygady rezerwy.

- Jeszcze jeden z twoich przyjaciół?

- Absolutnie nie. Skurwiel próbuje sprzedawać broń Irańczykom. Ten człowiek przekazał nam listę swoich

kontaktów i czeka na jej potwierdzenie. Jednego z nich nawet przywiózł ze sobą, kiedy był u nas.

- Jak to, potwierdzenie? Skoro dokonaliście weryfikacji, dlaczego sami nie zatelefonujecie do tego gościa?

Coś tu nie grało. Bardziej wyglądało to na pracę dla Mosadu niż działanie wywrotowe. Miałem wrażenie, iż Ephraim wykorzystuje mnie do innych zadań, wychodząc z założenia, że skoro już tu jestem...

Był jednak moim łącznikiem z życiem. I to dzięki niemu mogłem spożytkować lata oddane Mosadowi. Co więcej, dawał mi okazję do zaspokojenia pragnienia zemsty. Nigdy go nie polubiłem i nie uważałem za przyjaciela, ale zawsze miałem świadomość, że wykorzystuję go prawie w równym stopniu.

- Nie mogę wykonać tego telefonu - odparł. - Gość mnie zna. To pułapka. Cała afera została rozpętana przez Biuro, a do mnie należało znalezienie człowieka, który służyłby za kontakt. Dzisiaj dowiedziałem się, że kontakt został przejęty przez FBI i jest teraz ich informatorem. Kiedyś pracował dla CIA.

- Dlaczego nie ostrzeżesz faceta, tego Avrahama?

- Mógłbym, ale nie służyłoby to naszej sprawie.

- Jak to?

- Chcę, żeby został złapany. To będzie cios dla Biura. Jeżeli zechcą mu pomóc, skompromitują się w oczach Amerykanów, a jeśli zostawią go na pastwę losu, nie mam najmniejszych wątpliwości, że zaczną sypać i ich obciążą. Wszystko zależy od mojego telefonu, a skoro tak, skorzystam z nadarzającej się okazji, by posłać go prosto w sidła.

- Rozumiem. To samo zrobisz ze mną, gdy nadejdzie odpowiedni moment?

- Nie bądź śmieszny. To zupełnie inna sprawa. Facet robi to dla pieniędzy. Dostanie to, na co zasłużył.

- Dobra.

Na chwilę zapadła cisza.

- Zadzwoń i powiedz mu - głos Ephraima brzmiał jak szelest wzbudzany przez węża pełzającego po piasku - że jesteś przyjacielem i kontakty są czyste. Ma postępować dalej zgodnie z planem. - Podał mi numer telefonu i inne informacje, których mógłbym potrzebować. - Wkrótce się odezwę - powiedział na zakończenie.

Odwiesiłem słuchawkę. Przez kilkanaście sekund stałem przed telefonem i rozmyślałem o tym, co mam zrobić. Potem wzięłem słuchawkę i wykreśliłem numer.

Telefon dzwonił kilka razy, zanim po drugiej stronie usłyszałem kobiecy głos:

- Tak?

- Mogę rozmawiać z Avramem?

- Kto prosi?

- Przyjaciel.

- Ma pan jakieś nazwisko?

- Nie, jestem tylko przyjacielem. Mam do przekazania wiadomość.

Nic więcej nie powiedziała. Po kilku sekundach na linii rozległo się kliknięcie.

- Halo?

- Avraham?

- Tak. Kto mówi?

- Przyjaciel. Mam wiadomość.

- Kim pan jest?

Przeszedłem na hebrajski.

- Mam wiadomość od pańskich przyjaciół. Mówią, że kontakty zostały sprawdzone i są w porządku.

- To pewne?

- Jestem tylko posłańcem. To nie moja działka. Przekazałem wiadomość, a co pan z nią zrobi, to już nie moja sprawa.

- Dzięki.

Odwiesiłem słuchawkę. Aż się spociłem. Wiedziałem, że skierowałem go prosto w pułapkę. Kusiło mnie, żeby zadzwonić do niego jeszcze raz i krzyknąć, że dał się podpuścić. Jednak nie zrobiłem tego.

Wróciłem samochodem do domu i zaszyłem się w swoim pokoju. Tak naprawdę nie był to mój pokój, należał do przyrodniego brata. Mikę wówczas nie mieszkał z ojcem. Pomoc domowa miała wychodne, ojciec i Gigi również przebywali poza domem. Siadłem na kanapie i przez resztę dnia bezmyślnie gapiłem się w telewizor.

Dokładnie 23 kwietnia 1986 roku agenci FBI zatrzymali dwunastu mężczyzn, którym przedstawiono zarzut sprzedaży broni do Iranu. Afera przeszła jednak nie zauważona, przyćmiona przez wydarzenia z końca tego miesiąca, amerykańskie bombardowanie Libii i awarię elektrowni jądrowej w Czernobylu. Słyszałem, że generał Bar-Am nie przyznał się do winy i przedstawił dokumenty, które rzekomo miały świadczyć o tym, że otrzymał pełnomocnictwo, aby prowadzić rozmowy handlowe w imieniu izraelskiego przemysłu zbrojeniowego. W oficjalnej nocie rząd Izraela wszystkiemu zaprzeczył, nazwał generała kłamcą i udowadniał, że dokumenty, na które powoływał się Bar-Am, może otrzymać każdy, kto pragnie zajmować się handlem bronią. Poza tym, dokumenty te nie upoważniały go do sfinalizowania umowy, tylko do występowania w roli przedstawiciela handlowego. Krótko mówiąc, facet został rzucony na pożarcie. W Mosadzie nie było jednak żadnego trzęsienia ziemi i nie zapaliło się dla mnie światełko w tunelu.

Podjeżdżałem, że wpadka Bar-Ama była częścią większego planu, realizowanego przez Ephraima i jego klikę. Miałem

świadomość, że wtyczką Ephraima w kręgach władzy jest Amiram Nir, doradca premiera w sprawach terroryzmu. Podczas gdy toczyła się brudna gra wokół Avrahama, Nir udał się w podróż do Teheranu, zabierając ze sobą Biblię z autografem Ronalda Reagana. O eskapadzie, znanej później pod nazwą afery Iran-Contras, nie wiedziała ani CIA, ani Mosad. Wydanie na żer Bar-Ama okazało się genialnym posunięciem, dzięki któremu odciągnięto uwagę od tajnych rozmów prowadzonych przez Amirama Nira. Mosad uzyskiwał w tej sprawie informacje za pośrednictwem CIA, a skoro CIA w początkowej fazie nic nie wiedziała, Mosad również funkcjonował w błogiej nieświadomości.

Moje rozmowy z Bella stawały się coraz bardziej frustrujące. Chciała wiedzieć, kiedy w końcu coś się zmieni. Nie mogłem zdradzić, co się dzieje, musiałem więc zmyślić jakąś historyjkę. Bez przerwy powtarzałem, że szukam pracy i mam pewien plan, który zamierzam przedstawić jednemu z przyjaciół ojca. Człowiek ten był właścicielem krajowej kompanii przewozowej z siedzibą w Omaha.

Naprawdę z nim rozmawiałem. Mój plan wiązał się z wprowadzeniem do oferty firmy przelotów pod specjalnym nadzorem, zdecydowanie potrzebnym w czasach szerzącego się piractwa. Zaproponowałem stworzenie kilku zespołów, które rotacyjnie obstawiałyby najważniejsze połączenia, zajmując się eskortowaniem ludzi i zabezpieczaniem towarów. Na przykład, w ofercie znalazłby się czarterowy lot z Nowego Jorku do Paryża lub Londynu i z powrotem. Samolot startowałby codziennie lub co drugi dzień i wracał z powrotem. Nie trzeba było od razu tworzyć nowej linii, wykorzystalibyśmy już istniejące połączenia. Zająłbym się szkoleniem zespołów i opracowaniem planów operacyjnych. Nie miałem wątpliwości, że wypełnilibyśmy samolot pasażerami, nawet w przypadku

niewielu wyższych cen biletów. Później mogliśmy zwrócić się do większych linii lotniczych i zaoferować im podobne usługi.

Brzmiało to niezłe, jednak odniosłem wrażenie, że przedsiębiorca wysłuchał mnie cierpliwie tylko przez wzgląd na mojego ojca. Wyczułem, że nic z tego nie będzie, ale miałem przynajmniej co powiedzieć Belli.

Jednej rzeczy nie brałem pod uwagę, choć powinienem. Zawsze wydawało mi się, że Bella nie powiedziała by nikomu o niczym, co bezpośrednio dotyczyło wyłącznie nas dwojga. Przez całe życie broniła własnej prywatności, wierzyła, że im mniej ludzie o niej wiedzą, tym lepiej. Uważała naszą małą rodzinę za środek wszechświata i nikt nie byłby w stanie wydobyć ani jednego słowa na jej temat, jeśli sama nie chciałaby tego powiedzieć. Powinienem pamiętać, że dla niej również był to trudny czas, dni wypełnione poruszaniem się po omacku przez mroczny i przerażający tunel, zapewne ciemniejszy i bardziej przerażający od mojego. Ja przynajmniej wiedziałem, *co* się dzieje, albo tak mi się wydawało. Ona utraciła ze mną kontakt, ale nawet z tak dużej odległości potrafiła czytać w moich myślach jak w otwartej księdze. Wiedziała, że nie mówię jej całej prawdy.

Któregoś dnia zatelefonowała do Omaha. Odebrała Gigi, żona ojca. Zaczęły rozmawiać i Bella, sądząc, że każdy w Omaha wie, iż wyleciałem z poprzedniej firmy (jakakolwiek by ona była) i naprawdę szukam w Stanach pracy, poczyniła uwagę na ten temat i zapytała Gigi, jak mi idzie. Nigdy nie powiedziałem Belli, aby nie zadawała podobnych pytań, ani nie wspomniałem, że nie wszyscy wiedzą o tym, że szukam pracy. Skończyło się tym, że obie kobiety wzajemnie poczuły się zaskoczone.

W tym czasie byłem w centrum handlowym, skąd telefo-

wałem do Ephraima z publicznego automatu. Chciałem mu powiedzieć, że mam dość czekania. Jeśli on nie ruszy spraw do przodu, zrobię to ja.

Nie zastałem go, ale odebrałem zostawioną dla mnie wiadomość. Wyzaczył mi spotkanie w Waszyngtonie, za dwa dni, w leżącym na uboczu hotelu - Holiday Inn w Silver Spring, Maryland.

Po powrocie do domu odebrałem telefon od Belli. Była zdenerwowana i zaniepokojona. Powiedziała o rozmowie z Gigi i ostrzegła, że mój sekret wyszedł na jaw. Zażądała wyjaśnień, a potem zaczęła płakać do słuchawki; kruche nadzieje na przyszłość znowu zawaliły się w gruzy. Próbowałem wydusić z siebie jakieś wyjaśnienia i jednocześnie gorączkowo obmyślałem kolejny krok. Zdawałem sobie sprawę, że kiedy ponownie stanę przed Gigi, nie będzie dla mnie tak miła i gościnna jak przedtem. Ojciec pewnie obrazi się. Przyjął założenie, a ja go nie skorygowałem, że wciąż mam w Izraelu pracę i czekam na telefon od kolegi, który ma przyjechać do Stanów. Źle się stało. W tej sytuacji nie byłem w stanie podać żadnego rozsądnego wyjaśnienia. Jedynym pocieszeniem była wiadomość od Ephraima: coś drgnęło, sprawy ruszą z miejsca.

Odegrałem czarne myśli i rzekłem:

- Teraz nic nie mogę ci powiedzieć, ale już niedługo to się zmieni. Masz moje słowo. Proszę, zaufaj mi jeszcze ten jeden raz.

- Jak? Jak?! Czego ty ode mnie wymagasz? Nie mogę spokojnie zmrużyć oka, o niczym nie mogę myśleć. Niech to już się skończy, czymkolwiek „to” jest.

- Proszę, zaufaj mi, wszystko będzie dobrze. Jutro stąd wyjadę. Zatelefonuję do ciebie z miejsca, w które się wybieram, dobrze?

- Wiem, że to koniec. - Jej głos był tak pełen smutku, jak

tylko może być głos osoby oddalonej o tysiące kilometrów. -
Nigdy już cię nie zobaczę. Mam rację?

- Nie mów takich rzeczy. Co to ma znaczyć?

Ale w głębi duszy czułem, że Bella może mieć rację. Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że z afery, w którą pakuje mnie Ephraim, nie ma wyjścia. Wiedziałem o kilku żywych trupach bez imienia, ludziach, którzy ośmielili się stanąć Mosadowi na drodze i teraz gnili w jakiejś zapleśniałej celi w nikomu nie znanej, dobrze strzeżonej placówce. Byli też inni, mający więcej szczęścia, którzy zginęli od kul lub zostali rozerwani przez ukrytą bombę. Czy Bella kiedykolwiek dowiedziała się, jak zginąłem, czy może pozwoliłaby jej torturować samą siebie domysłami, sądzić, że zniknąłem i ułożyłem sobie życie gdzie indziej?

Nie mogłem poradzić sobie z tą myślą. Łzy spływały mi po policzkach, gdy usiłując zapanować nad głosem, mówiłem:

- To nieprawda. Zobaczymy się szybciej, niż ci się wydaje.

Bardzo, bardzo gorąco tego pragnąłem. Musiała dosłyszeć szczerzy ton, ponieważ kiedy odezwała się ponownie, wydała się nieco spokojniejsza.

- Co teraz zrobisz, kiedy oni wiedzą?

- Niewiele mogę. Stawię im czoło i zniknę stąd tak szybko, jak to możliwe.

Odwieszałem słuchawkę, gdy wszedł ojciec. Nastąpiła krótka wymiana słów. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, że nie za bardzo wie, jak zachować się w zaistniałej sytuacji. Po pierwsze, stanął wobec kłamstwa, którego nie rozumiał, a po drugie, wiele stracił w oczach własnej żony.

Dla obu nas było oczywiste, że im szybciej wyjadę, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Spakowałem swoje rzeczy i ojciec bez zwłoki odwiózł mnie na lotnisko. Włożył mi do ręki tysiąc dolarów i z trudem panując nad głosem powiedział, że bez względu na to, co się dzieje, jest moim ojcem i kocha mnie. Odparłem, że również go kocham.

Został sam w samochodzie, a ja wszedłem do budynku dworca lotniczego.

Miałem nadzieję, że pójdzie za mną i spróbuje w jakikolwiek sposób, wydobyć ze mnie, o co w tym wszystkim chodzi, a potem powie, że mi pomoże, wyciągnie mnie z kłopotów... Nie zrobił tego. Byłem dla niego chodzącą zagadką, wspomnieniem związku, który przed wielu laty tak fatalnie się skończył.

13

*Niedziela, 20 kwietnia 1986 r.,
Waszyngton, D.C.*

Z lotniska przejechałem do hotelu Holiday Inn w Silver Spring taksówką. Zameldowanie się pod własnym nazwiskiem nie byłoby dobrym pomysłem, skoro przyjechałem tu, mając w perspektywie wykonanie bliżej nie określonego zadania. W takich okolicznościach dużo wygodniej posługiwać się pseudonimem, którego w razie komplikacji można szybko się pozbyć.

W hotelu opowiedziałem, że szukam miejsca pod budowę restauracji. Rzekomo miałem reprezentować grupę inwestorów, zajmujących się stawianiem restauracji dla smakoszy, rozkręcaniem interesu i odsprzedawaniem lokali ze znacznym zyskiem, gdy wyrobią sobie dobrą markę. Stwierdziłem, że zatrzymam się w hotelu na kilka dni, może nawet tygodni. Ponieważ nie miałem pojęcia, na czym będzie polegać moja misja, postanowiłem nie opuszczać pokoju. Wyjątkiem były wyprawy do hotelowej restauracji.

Zatelefonowałem do Belli i podałem jej numer do hotelu. Jeśli rozmowa była podsłuchiwana, nie powinna wzbudzić podejrzeń. Nie było nic niezwykłego w tym, że ktoś z moją przeszłością zawodową szuka pracy w Waszyngtonie. Tutaj aż roiło się od wysoko postawionych dygnitarzy, dyrektorów i innych ważnych osobistości, a któż, jak nie ja, potrafiliby zapewnić im właściwy stopień bezpieczeństwa osobistego?

Po pobycie w domu ojca, z ulgą przyjąłem osamotnienie. Nie musiałem bez przerwy się pilnować, mogłem palić tyle papierosów, ile chciałem, i pić alkohol przed snem. Co zresztą skrupulatnie wykorzystałem.

Poniedziałek, 21 kwietnia, 09:00

Zadzwoił telefon.

- O, widzę, że przyjechałeś nieco wcześniej - usłyszałem głos Ephraima, który nie zaprzął sobie głowy zbędnymi grzecznościami.

- Owszem. A kiedy ty przyleciałeś?

- Dopiero co przyjechałem z lotniska. Miałeś towarzystwo?

- Nie, jestem czysty. A ty?

- Ja też. Może zjemy razem śniadanie? Umieram z głodu.

- Nie ma sprawy. Daj mi dziesięć minut i zjawię się w restauracji.

Pierwszy odłożył słuchawkę. Wskoczyłem z łóżka. Nareszcie sprawy potoczą się do przodu, a im szybciej zrobię to, co ma być zrobione, tym szybciej nastąpi koniec całej tej zabawy i będę mógł wrócić do mojego życia, jeżeli cokolwiek z niego zostanie. Wcale nie spodziewałem się, że gra wkrótce się dla mnie skończy, jednak liczyłem na to, iż uda mi się znaleźć bezpieczny zakątek, z którego mógłbym działać mając przy sobie całą rodzinę.

Poszedłem prosto do stolika zajmowanego przez Ephraima, ustawionego w kącie sali, naprzeciw drzwi wejściowych, tuż obok przejścia do hotelowego baru.

Ephraim powitał mnie szerokim uśmiechem. Siedział sam, z filizanką kawy w ręce. Ledwie zdążyłem usiąść, a kelner już podał śniadanie.

- Pozwoliłem sobie złożyć zamówienie w twoim imieniu. Nie chciałem czekać. Mamy sporo do zrobienia.

Spojrzałem na talerz, na którym piętrzyła się jajecznica na boczku. Uniosłem dłoń i powiedziałem:

- Żaden problem. Zresztą, zamówiłeś dokładnie to, na co miałem ochotę.

Jak na mój gust, przy stoliku było trochę za ciemno na spożywanie śniadania, ale wspaniały aromat kawy i woń jajecznicy wywołały przyływ apetytu, jakiego u siebie nie podejrzewałem.

- A więc... Co będziemy robić?

- Po śniadaniu pójdziemy do mojego pokoju i porozmawiamy.

Kiwnąłem głową i zająłem się jedzeniem.

Wzięliśmy do pokoju kawę, żeby nie wzywać obsługi hotelowej. Ephraim zatrzymał się na szóstym piętrze. W rogu pokoju zauważyłem niewielką walizeczkę.

- Gdzie twój bagaż? - zapytałem z ciekawością, pamiętając, że Ephraim jest strojnisiem. W walizeczce zmieściłby się zaledwie komplet garderoby na jeden dzień.

- Jest tam - odparł, wskazując walizeczkę. - Nie zostanę tu długo. Przyjechałem, żeby przekazać ci instrukcje. Wyjadę, kiedy będziesz wiedział, co dalej robić.

- Nie będę miał wsparcia?

- Masz mnie. Jesteś doskonale wyszkolony, przygotowany do prowadzenia takich działań. Czego jeszcze chcesz?

- Mam ciebie? Przecież siedzisz w Izraelu.

- Zaraz do tego dojdziemy. Kiedy dowiesz się, na czym będzie polegać twoje pierwsze zadanie...

- Chwila, chwila! - przerwałem mu. - Pierwsze zadanie? Powiedziałeś „pierwsze zadanie”?

- Tak. A co, myślałeś, że bang-bang i będzie po wszystkim?

- Tylko bez kazań, dobrze? Muszę znać horyzont czasowy.

Wiedziałem, że mogę odejść, kiedy będę miał ochotę. Ephraim wiedział swoje. Mógł iść o zakład, że nie wycofam się przed zakończeniem naszej misji. Przypominałem nałogowego palacza, który za każdym razem obiecuje sobie, że następny papieros będzie ostatnim.

- Po co? Masz robotę do wykonania. Kiedy zrobisz wszystko, co trzeba, będziesz wolny. Nie wiem, kiedy to się stanie. Kiedy przyłączyłeś się do nas, nikt ci nie obiecywał drogi usłanej różami.

- Wiem i nie proszę o to teraz. Kiedy wstępowałem do Biura, Bellę poddano męczącej procedurze weryfikacyjnej, po której otrzymała przepustkę niemal tak wysokiego stopnia jak moja. Zawsze nam powtarzano, że żona jest częścią zespołu i nie powinniśmy mieć przed nią żadnych tajemnic.

- Ephraim potakiwał, wolno kiwając głową. Okulary zjechały mu prawie na koniuszek nosa. - A teraz twierdzisz, że nie mogę jej powiedzieć nawet tego, że wciąż pracuję dla Mosadu.

- Zrobiłem krótką pauzę i dodałem: - A pracuję dla Mosadu?

- Nie, nie pracujesz już dla Biura. Pracujesz dla mnie. Co do Belli... Masz rację w stu procentach, ale reguły się zmieniły. Gramy teraz inną piłką. - Opał na oparcie fotela i wcisnął okulary głębiej, na ich właściwe miejsce. - Czy Bella wie o Dinie, Racheli lub innych? Czy moja żona wie o wszystkim, co robię? Nie, nie wiedzą. Czy zdają sobie sprawę, ile ryzykujemy w trakcie operacji w terenie? Czy wracasz do domu i mówisz: „Wiesz, Bella, ostatniej nocy w Austrii prawie mnie zastrzelili”? Albo: „Jest wielce prawdopodobne, że dopadną mnie podczas następnej podróży do Hiszpanii”? Nie, nie mówisz takich rzeczy. Kiedy zostajesz wezwany do wojska, aby przeprowadzić rozeznanie na obszarze opanowanym przez wroga, albo otrzymujesz inne zadanie, z którego możesz już nie wrócić, telefonujesz do żony i mówisz jej o tym? Każdego dnia podejmujemy decyzje, które trwale odbijają się na naszym życiu. Nie

konsultujemy ich z żonami. Wmawiamy sobie: „Jeżeli coś mi się stanie, ona zrozumie, że musiałem tak postąpić.” Tak to wygląda. Czy możemy uznać temat za wyczerpany i przejść do sedna?

- Muszę znać horyzont czasowy - nalegałem.

- Trzy tygodnie i będziesz w drodze - mruknął z niezadowolaniem.

- W jakiej drodze? Dokąd?

- Co za różnica? Będziesz z żoną i dziećmi, obiecuję.

Poczułem, jak ogarnia mnie fala orzeźwiającego optymizmu. Dopiero w takiej chwili człowiek zdaje sobie sprawę, jak bardzo był zdołowany.

- Dobra, może być. - Czułem, że usta same układają mi się w uśmiech, gdy wypowiedziałem następne pytanie: - To co pakujemy się tym razem?

- Na ochotnika zgłosisz się do pracy dla obcego państwa.

- Do pracy?

- Do wywiadu. Były oficer Mosadu i ochotnik do pracy dla nowego pracodawcy. Zaoferujesz im swoje usługi, opowiesz o naszej działalności, strukturze organizacyjnej, strukturze zatrudnienia, i tak dalej.

- Jednym słowem, mam się sprzedać. Mam zostać zdrajcą.

Z trudem wymówiłem to ostatnie słowo. Nie chciało przejść przez gardło.

- Tak, dokładnie to masz zrobić.

- Dla kogo? - Uniosłem dłoń, jakbym chciał dodać: „Pozwól mi zgadnąć.” Ephraim milczał. - Pomyślmy, ktośby to mógł być? NSC? Nie, nie chcieliby mieć ze mną nic wspólnego. CIA? Nie wydaje mi się. Na pewno FBI. Oczywiście, FBI. Mógłbym im się przydać, ze względu na ich wydział A1.

- Nie. - Wstał i podszedł do dużego okna. Szyba była mokra od deszczu. Od dwudziestu czterech godzin nie przestawało padać. - Utniesz sobie pogawędkę z KGB.

Bytem wstrząśnięty. Podobny efekt uzyskalby zwalając mi na głowę tonę cegieł.

- Żartujesz... Naprawdę?

Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa więcej. Ephraim został przy oknie. Odwrócił się do mnie bokiem, tak, że widziałem jego profil. Nie uśmiechał się.

- Dobrze słyszałeś. KGB, Sowieci. Co w tym dziwnego?

- Nie rozumiem, to wszystko. Dlaczego miałbym coś takiego zrobić? To znaczy, na jakiej podstawie uważasz, że wezmą to za dobrą monetę?

- Wezmą, jeżeli rozegrasz to jak należy. Pomyśl tylko. Jak mogliby dobrowolnie zrezygnować z takiego kaska? Dopiero co wyleciałeś z Mosadu. Mają wielu partnerów z krajów arabskich. Ty byłbyś autentycznym rodzyńkiem.

- A jeśli będą chcieli zabrać mnie do Moskwy? Mogą pracować tak, jak my.

- Pojedziesz. Pamiętaj tylko o tym, że robisz to dla pieniędzy. Myśl o tym bez przerwy, bo w przeciwnym razie nabiorą podejrzeń. Będziesz posługiwał się *prawdziwym* nazwiskiem i niczego o sobie nie będziesz musiał zmyślać.

- Co będzie, jeśli wydobędą ze mnie wszystkie informacje, a potem wyrzucą? To znaczy, co będę mógł im zaoferować? Przecież straciłem dostęp do informacji. Do czego im się przydam?

- Cóż, powiesz im, że nadal pracujesz.

- O czym ty mówisz? Chcesz, żebym powiedział im o tobie?

- Ależ nie, oczywiście, że nie. Opowiedz im swoją historię, ale na zakończenie powiedz, że jesteś na okresie próbnym. Niech myślą, że wciąż możesz wrócić. Wtedy podejmą próbę zwerbowania.

- Ephraim, posłuchaj mnie...

Chciałem to zrobić, jeśli dzięki temu doprowadziłbym do upadku Mosadu, organizacji, która zagrażała demokratycz-

nemu bytowi Izraela. Z drugiej strony, nie miałem ochoty wchodzić w bagno z zamkniętymi oczami. Jeśli mam być zabity lub zamknięty do końca życia w jakiejś celi, niech to się stanie w akcji, na którą pójde z pełną świadomością.

- Dlaczego mam zrobić coś takiego? Po co? Muszę to wiedzieć. - Widziałem, że uważnie słucha, co mam do powiedzenia. - Zaufaj mi, Ephraim. Moje życie jest w twoich rękach. Twierdzisz, że twoje jest w moich, więc odsłoń mi wszystkie sekrety.

Zamyślił się. Wstałem i poszedłem do łazienki. Musiałem pozbyć się kawy z pęcherza. Kiedy wróciłem, Ephraim otwierał nową paczkę papierosów. Zapaliliśmy.

- Dobrze - powiedział, odkładając osmaloną zapalniczkę do przepelnionej popielniczki. - Dobrze. Zrobimy to po twojemu.

- Dziękuję.

Obserwowałem go. Bardzo możliwe, że przewidział moją reakcję i trzymał w zanadrzu bajeczkę, która miała sprawić, bym poczuł się lepiej. Nawet gdyby tak było, niewiele mógłbym zrobić, ale przynajmniej zmusiłbym go do wysiłku - to musiała być naprawdę dobra bajeczka. W moich oczach awansowałem z maszyny, zaprogramowanego robota, do rangi świadomego człowieka. Nie mogłem jednak zmienić faktu, że człowiek jest wrażliwy na ciosy.

- Muszę być z tobą szczery - zaczął, a ja natychmiast pomyślałem, że bardzo nie lubię słyszeć takich wstępów - zadanie nie jest tak trudne, jak ci się wydaje. Jediną przeszkodą jest posterunek obserwacyjny FBI, skąd bacznie przyglądają się sowieckiej ambasadzie. Sfotografują cię i wyślą zdjęcie do sprawdzenia. Spróbują dopasować fotografię do swojej bazy danych. Jeśli nic nie znajdą, usuną ją z elektronicznej ewidencji. - Wzruszył ramionami. - Nic strasznego. Gdyby to była ambasada któregoś z krajów arabskich, mogliby przesłać zdjęcie do nas. To znaczy, zrobiliby to nasi ludzie w FBI. Oczywiście, poza oficjalnymi kanałami.

- Więc nie będę korzystał z przebrania lub podobnych rzeczy?

- Nie, nie, po prostu wejdiesz do środka. Nie zapominaj, że Sowieci również mają teren pod obserwacją. Nie kręć się po okolicy, nie trać czasu, idź prosto do celu.

- Chyba tak właśnie zrobię.

- Doskonale. A teraz, wracając do twoich pytań... Od przyjaciela pracującego w FBI wiem, że w rękach Sowieców znalazły się informacje, które przekazali Mosadowi. Ten człowiek nie ma najmniejszych wątpliwości, że byliśmy jedynymi odbiorcami danych, a skoro tak, przeciek nastąpił z Biura.

- Kret w Mosadzie?

- Nie wierzyłem własnym uszom. Podwójny agent w Mosadzie? To nieprawdopodobne!

- Hmm, na to wygląda. Gdybyśmy go ujawnili, wybuchłby skandal. Kierownictwo Mosadu musiałyby podać się do dymisji.

- No, dobrze, ale jakim cudem moje podjęcie współpracy z KGB ma nam w tym pomóc? Tym sposobem damy im jeszcze więcej informacji. Chyba nie oczekujesz, iż powiedzą mi, że mają kreta i na dodatek wyjawią jego nazwisko.

- Jeżeli przyjdiesz do nich z dobrą historyjką i odegrasz swoją rolę bez potknięć, sprawdzą, czy mówisz prawdę. - Zrobił się czerwony na twarzy, co było oznaką narastającego podekscytowania. Nigdy go takim nie widziałem. - Jeśli uwierzą, że wciąż pracujesz dla Mosadu, będziesz dla nich bardzo cennym nabytkiem.

- Przed chwilą stwierdziłeś, że już mają kogoś w naszym wywiadzie.

- Dlaczego mieliby nie pozyskać drugiego człowieka? Zyskaliby większe pole manewru. Zresztą, nie wiemy, ilu mają u nas ludzi. Przyjęliśmy założenie, że tylko jednego, lecz jak jest naprawdę? Mówiąc szczerze, wątpię, czy mają

agenta operacyjnego. Pewnie jest to jakiś urzędnik lub ktoś w tym rodzaju. - Zamilkł na chwilę, zajęty zgniataniami niedopałka papierosa w popielniczce. - Czyny agent operacyjny, to dopiero kasek! Zdobycz roku!

- Jakim sposobem sprawdzą, że wciąż jestem czynnym agentem?

- Zapytają swojego kreta.

Wyglądał na zadowolonego z siebie. Bardzo zadowolonego. Niemal mruczał jak kot. A ja nagle zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi.

- Więc jestem przynętą?

Kiwnął głową.

- Czy to ci przeszkadza? Przecież chciałeś wiedzieć.

- Czego się spodziewałeś? - zachnąłem się. - Że będę skakał z radości?

- Więc jak będzie?

- Cóż mi pozostaje? Zrobię to. - Pochyliłem się ku niemu i zniżając głos powiedziałem: - Ale zapamiętaj sobie, jeśli nie mówisz prawdy i pogrywasz ze mną w jakieś swoje gierki, to lepiej uważaj na siebie, Ephraim. Jeżeli nie byłeś ze mną szczerzy w stu procentach, to przysięgam, że cię zabiję, nawet gdybym miał przepłynąć wpływ ocean.

Uśmiechał się, jego twarz promieniała, jakby ktoś nagle otworzył okno i wpuścił do pokoju słoneczną, pogodną jasność. Miałem przecucie, że takim znali go najbliżsi przyjaciele i rodzina.

- Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy - rzekł. - Wiem, że to, o co proszę, jest trudne, mogę tylko domyślać się, przez jakie piekło teraz przechodzisz, ale to nie jest żadna gra, nie wrabiam cię. Usłyszałeś prawdę. Nie zamierzam wymachiwać chorągwiemi, ale na szali leży znacznie więcej niż twój czy mój los. Jeżeli przegramy, wszystko będzie stracone. Nawet jeśli wygramy, możemy nie znaleźć się wśród tych, którzy będą smakować owoce zwycięstwa. Wiesz o tym.

- Wyobrażam sobie.

Nie byłem pewien własnych uczuć. Z jednej strony, zjednał mnie swą żarliwą przemową. Z drugiej, nie opuszczał mnie lęk, wciąż dręczyły podejrzenia. Ephraim mógł rozgrywać spektakl według własnego scenariusza, a ja, jedyny widz, dałbym się nabrać. Zdecydowałem się jednak wziąć wyjaśnienia za dobrą monetę. Uśmiechnąłem się. Stopniowo rozprasały się mgły, od jakiegoś czasu spowijające moje myśli. Teraz wiedziałem już, na czym polega ta zabawa. Mogłem zagrać. Zawsze łatwiej wykonać proste, jasno sformułowane zadanie, niż działać na podstawie pogmatwanych, mętnych wskazówek.

14

Plan rozgrywki był całkiem prosty. Miałem pójść do ambasady Związku Radzieckiego i nawiązać kontakt z rezydentem KGB. Wiedzieliśmy, w przybliżeniu, co dzieje się w przypadku, gdy ktoś zgłasza się do ambasady i oferuje wywiadowi swe usługi. Przede wszystkim, sytuacje takie zdarzają się codziennie niemal w każdej izraelskiej ambasadzie na świecie. Mogliśmy przyjąć założenie, że sowieckie ambasady nie różnią się w tej kwestii od naszych.

- Jakoś to będzie - powiedziałem. - Do diaska, co się może stać? Najgorszy scenariusz wygląda tak, że przetrzymają mnie na miejscu, a potem spróbują przemycić do Rosji w jakiejś skrzyni lub czymś podobnym.

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem. Mosad czasami korzystał z tej metody, aby wwieźć ludzi z powrotem na terytorium Izraela.

- Kiedy mam to zrobić?

- Zanim wkroczysz do akcji, powinienem wrócić do Izraela. Mam kogoś w archiwum, kto porozumie się ze mną, zanim odpowie na jakiegokolwiek żądanie o przekazanie akt lub innych dokumentów, ale mimo to wolałbym być na miejscu.

- Dlaczego? Skoro jesteś kryty, czy nie byłoby lepiej, gdybyś został poza granicami kraju? Na wypadek nieoczekiwanych kłopotów.

- Co będzie, jeśli uderzenie nastąpi ze strony, której nie bierzemy pod uwagę? Może nasz kret jednak jest agentem

operacyjnym? Poza tym, oficjalny powód, dla którego tu przyjechałem, zdezaktualizował się. - Uśmiechnął się. - Przyjechałem tu, żeby załatwić sprawę Mazłata z amerykańską marynarką. Miałem upewnić się, że pieniądze otrzyma właściwy człowiek, a ten drugi będzie na tyle skutecznie zastraszone, żeby zrobić, co mu każemy.

Mówił o operacji kierowanej przez Mosad z Izraela. Na miejscu znajdował się tylko oficer izraelskich sił powietrznych, który miał powiązania z kimś pracującym w sekretariacie marynarki Stanów Zjednoczonych.

Ephraim zapalił następnego papierosa. W pokoju unosiła się coraz gęstsza chmura gryzącego dymu.

Kiwnąłem głową. Wiedziałem o sprawie Mazłata, jak też o tym, że pomaga nam ktoś z wewnątrz. Wolałbym, żeby Ephraim został w Ameryce, ale mogłem dać sobie radę bez niego.

- Kiedy wyjeżdżasz?
- Zaraz, tylko postawię ci obiad.
- Dokąd pójdziemy?

Podniósł słuchawkę telefonu. Spojrzał na mnie i zapytał:

- Na co miałbyś ochotę?
- Wszystko, tylko nie hotelowe żarcie! - jęknąłem.
- Nie mam czasu na nic innego.
- Trudno - burknąłem. - Zamów mi hamburgera. Albo...

Nie, weź kanapkę klubową.

Byliśmy w połowie posiłku, gdy zerknął na zegarek.

- Muszę lecieć. Jestem umówiony na kolację z wyjątkowo chciwym młodym człowiekiem.

- Pójdę do ambasady pojutrze - rzekłem. - To powinno ci wystarczyć na uporządkowanie spraw i zajęcie pozycji w stanie gotowości.

- Wystarczy. Uważaj na siebie. Zdajesz sobie sprawę, że to już nie są ćwiczenia w akademii.

Wyczuwałem w jego głosie autentyczne zaniepokojenie.

- Nie martw się. Dopilnuj tylko, aby z twojej strony wszystko było dopięte na ostatni guzik. Aha! Jeszcze jedno. Co z pieniędzmi? Moje zasoby finansowe topnieją w zaskakującym tempie.

- Zobaczymy, co da się zrobić. - Wręczył mi kopertę. - Masz tutaj trochę drobnych, na doraźne wydatki. Później coś wymyślimy.

Skinąłem i skierowałem się do drzwi, zabierając ze sobą nie dojeżdżoną kanapkę. Na progu zatrzymałem się, usiłując sobie przypomnieć, czy nie zapomniałem o czymś ważnym. Nic nie przychodziło mi do głowy. Wyszędłem na korytarz. Znowu byłem sam.

W Waszyngtonie nie miałem co robić. Nikogo tu nie znałem. Bezczyność okazała się najgorszym aspektem operacji. Posługiwałem się prawdziwym nazwiskiem i brakowało mi otwartego konta w banku. Zawartość koperty, całe pięćset dolarów, ledwie wystarczała na opłacenie hotelu. Znowu poczułem przyływ chandry. Cała ta sprawa pachniała mi zwyczajnym *partach*¹.

Próbowałem zachowywać się jak kombatant na terytorium wroga, całkowicie pozbawiony łączności z krajem i rodziną. Zadania kombatanta są jasne i precyzyjnie określone, człowiek ten dokładnie wie, dla kogo pracuje i z kim walczy. Oprócz tego nie musi borykać się z kłopotami natury finansowej, a jego rodzina znajduje się pod dobrą opieką. Przynajmniej tak mu się wydaje. Nie jest świadomy faktu, że mężczyźni mający troszczyć się o jego rodzinę w Izraelu niestrudzenie próbują zaciągnąć jego żonę do łóżka, jeśli tylko jest choć odrobinę ładniejsza od Godzilli. Nie wie o tym i prawdopodobnie nigdy się nie dowie.

Dla zabicia czasu łąziłem po ulicach miasta i jakimś sposobem zawsze docierałem w ten sam punkt, na duży

¹ Partach: slangowe określenie na zakaz opuszczania pokoju: szlaban.

kwadratowy plac, gdzie na drewnianych ławkach przesiadywali obok siebie yuppies i bezdomni nędzarze. Ci pierwsi byli zajęci konsumowaniem kanapek, a drudzy wpatrywali się w nich wyczekująco, mając nadzieję, że nie dojedzone resztki znajdą się w koszu, z którego będą mogli je wydobyć.

Kusiło mnie, żeby przejść obok ambasady Związku Radzieckiego, żeby przekonać się, gdzie położony jest budynek, jak można do niego podejść. Jednak wiedziałem, że niepotrzebnie pokazałbym się ludziom, którzy mieli ambasadę pod obserwacją. Lepiej byłoby dostać się tam pieszo i idąc prosto przed siebie wejść do środka.

Pojechałem metrem do Silver Spring, wróciłem do hotelu i natychmiast przekonałem się, że nie potrafię usiedzieć na miejscu, gapiąc się w telewizor. Jutro miałem rozpocząć akcję. Chciałbym, żeby to było już teraz.

Wieczorem w centrum miasta panował inny duch. Mężczyźni wciąż mieli na sobie garnitury i krawaty, ale większość kołnierzyków koszul nie była już zapięta na ostatni guzik. Natomiast kobiety przechodziły kompletną metamorfozę, choć było również bardzo prawdopodobne, że w mieście pojawiała się o tej porze inna kategoria pań, seksownych, obdarzonych przez naturę długimi nogami i poruszających się płynnie jak koty.

Wszystkie lokale były pełne gości. Odwiedziłem niektóre z nich, jednak nie byłem w stanie spokojnie usiedzieć. O jedenastej zdecydowałem, że najwyższy czas wrócić do hotelu.

Środa, 23 kwietnia 1986 r.

Wstałem wczesnym rankiem, ubrałem się i kiedy zapaliłem trzeciego papierosa, poczułem, że jestem na chodzie. Niebo było zasnuwane chmurami, siąpił deszcz. Sam nie

mógłbym zamówić sobie lepszej pogody. Włożyłem ciemne spodnie, koszulę i żółty swetr. Narzuciłem też szarą wiatrówkę z kapturem, który mogłem naciągnąć na głowę przed zbliżeniem się do ambasady. Tym sposobem nikt nie będzie mógł dojrzeć mojej twarzy i sfotografować mnie.

Około jedenastej znalazłem się przed wejściem do ambasady. Deszcz nieco zelżał, ale kaptur nadal nie wzbudzał podejrzeń. Masywna, żelazna brama była otwarta, a kamery dozoru nawet nie drgnęły w moim kierunku. Szybko pokonałem szereg marmurowych schodów i wszedłem do budynku głównym wejściem.

Ambasada świeciła pustkami. W hallu nie było nikogo poza mną i nie wzbudzającą przyspieszonego pulsu blondynką za kontuarem w recepcji. Podeszedłem prosto do niej. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Czym mogę służyć, proszę pana? - powiedziała z wyraźnym rosyjskim akcentem. Przypomniałem sobie, że Rosjanie wolą zatrudniać w ambasadach swoich obywateli.

Byłem niemal pewien, że w hallu, łatwo dostępnym dla każdego człowieka z ulicy, aż roi się od pluskiew.

- Chciałbym otrzymać jakieś broszury na temat Związku Radzieckiego - rzekłem.

- Broszury? Jakiego rodzaju?

- Wszystkie, jakimi pani dysponuje.

Jej uśmiech przybladł.

- Jedną chwilę, proszę.

Odwróciła się do mnie plecami i zniknęła za ścianką działową. Zauważyłem leżący na biurku notes i ołówek na sznurku. Sięgnąłem po ołówek i na pierwszej stronie notesu napisałem: „Chcę rozmawiać z ochroną.” Kobieta wróciła z grubym katalogiem, który wyglądał, jakby wyszedł spod prasy drukarskiej w latach pięćdziesiątych. Jeśli podobnie prezentowały się przewodniki turystyczne, to nie czułem się zachęcony. Podesunąłem notes w jej stronę.

- Dziękuję. Czy to wszystko?
Uśmiech zniknął z jej twarzy.
- Może pan usiądzie. Zaraz sprawdzę, czy jeszcze coś mamy.

- Bardzo dziękuję - odparłem, po czym poszedłem w stronę drewnianej ławki, stojącej pod posterem przedstawiającym mauzoleum Lenina nocą. Kobieta znowu zniknęła za ścianką. Wróciła po kilku minutach. Usiadła na swoim fotelu i nie zwracała na mnie uwagi. Nie widziałem, co robi, ale zajęcie to całkowicie ją pochłaniało.

Cierpliwie czekałem. Przynajmniej nie poprosiła mnie o opuszczenie ambasady, a to już coś. Miałem nadzieję, że nie zrozumieli notatki jako groźby i nie wezwali policji. Jeżeli jednak to zrobili, miałem w zanadru historyjkę, chociaż wolałem z niej nie korzystać.

Minęło około piętnastu minut i w hallu pojawił się elegancko ubrany, postawny mężczyzna. Wyszedł z drzwi znajdujących się za recepcją i przez chwilę rozmawiał z sekretarką. Potem wyszedł. Kobieta wstała i z uśmiechem pokazała, żebym zbliżył się do kontuaru.

Zrobiłem to bez zwłoki.

- Tak? - powiedziałem, nachylając się ku sekretarce.
- Jeśli chciałby pan otrzymać więcej informacji, potrzebny będzie pański paszport. Do identyfikacji.

Bez wahania wyjąłem z kieszeni mój izraelski paszport.

- Proszę - powiedziałem, wręczając go kobiecie.

- Dziękuję. - Wstała z fotela. - Proszę usiąść.

Ponownie wskazała ławkę, którą dopiero co opuściłem.

Tym razem nie siedziałem już tak spokojnie, bębniłem o ławkę palcami. Kobieta wróciła do hallu prawie natychmiast, a kilka minut później pojawił się mężczyzna i przywołał mnie. Uniósł ladę kontuaru i przepuścił mnie na zaplecze, pokazując, żebym szedł za nim. Nie powiedział ani słowa.

Szliśmy wąskim korytarzem, potem stromymi schodami w górę. Dywan był wytarty, a poręcz odrobinę poluzowana. Parkiet trzeszczał pod stopami. Raczej nieoczekiwane atrakcje w ambasadzie światowego mocarstwa.

Wprowadzono mnie do niewielkiego, jasno oświetlonego pokoju, z dużym lustrem na jednej ze ścian. Zdałem sobie sprawę, że nerwy mnie opuściły, byłem spokojny i pełen dobrych myśli. Jak dotąd szło mi całkiem nieźle.

Mój gospodarz w końcu uśmiechnął się i wskazał drewniane krzesło po drugiej stronie również drewnianego stołu, ustawione przodem do lustra.

- Proszę usiąść, panie Ostrovsky.

- Dziękuję.

- Co pana do nas sprowadza? Czy ktoś zagraża naszemu bezpieczeństwu?

Skądś to znałem. Taką samą procedurę stosowaliśmy w naszych ambasadach.

- Nie, nie ma żadnego zagrożenia.

- O co wice chodzi?

- Chcę pracować dla waszych ludzi.

Mężczyzna powoli usiadł na krześle i odchylił się na oparcie. Uśmiechał się ciepło, przyjacielsko.

- Co pan rozumie pod pojęciem „wasi ludzie”?

- KGB. Chcę pracować dla KGB.

- W jakim charakterze? - Rewelacyjnie potrafił utrzymać kamienną twarz.

- W tej kwestii będzie pan musiał mi pomóc. Mogę tylko powiedzieć, skąd przychodzę. Wspólnie musimy zaplanować, dokąd zmierzam.

- Zauważyłem, że jest pan obywatelem Izraela, panie Ostrovsky.

- Jestem członkiem Mosadu. - Zrobiłem krótką pauzę. - Słyszał pan o Mosadzie?

Uśmiechnął się szerzej.

- W rzeczy samej. Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę? Na świecie aż roi się od, powiedzmy, dowcipnych ludzi.

Wybornie posługiwał się językiem angielskim, choć czuło się obcy akcent. Mówił płynnie i szybko. Musiałem skoncentrować się, żeby nie zgubić ani jednego słowa.

Tę część opracowaliśmy z Ephraimem w szczegółach, toteż byłem przygotowany.

- Cóż, nie mogę pokazać panu żadnych dokumentów, z czego zapewne zdaje pan sobie sprawę. Prawdopodobnie mógłbym udowodnić prawdziwość moich słów, gdybym opowiedział o naszych metodach operacyjnych, wdając się w szczegóły nie znane osobom postronnym. Oczywiście, nie mógłbym odstąpić za wiele, skoro chciałbym później otrzymać od was za te informacje zapłatę.

Uśmiechnąłem się niewinnie.

- Rozumiem.

- Ma pan upoważnienie do podejmowania decyzji, czy może powinienem mówić do lustra? - zapytałem z lekką ironią w głosie.

Odpowiedział uśmiechem. Istniała pomiędzy nami jakaś niewidzialna nić porozumienia, jakbyśmy obaj byli wyznawcami ekscentrycznego kultu opartego na dziwacznych rytuałach. Znajdowaliśmy się po dwóch stronach barykady, lecz mimo to odczuwało się łączące nas pokrewieństwo.

- Nie, sam nie podejmę żadnych decyzji. Zbiore niezbędne informacje i zobaczymy, co będzie dalej.

Rozmawialiśmy prawie godzinę. Od czasu do czasu notował coś na bloku żółtego papieru.

- Zaraz będę z powrotem - rzekł w pewnej chwili, wstając z krzesła. - Przynieść panu coś do picia lub jedzenia?

- Kawę. Tylko kawę. Jeżeli nie sprawię kłopotu.

- Absolutnie nie.

Kiwnął głową i postąpił w stronę drzwi.

- Jeszcze jedno... - powiedziałem szybko.
Zatrzymał się.
- Tak?
- Proszę nie wspominać mojego nazwiska w komunikatach wysyłanych do ojczyzny.
- Nie rozumiem.
- Mosad dawno temu złamał kody używane przez wasze ambasady i reaguje na każdą wprowadzoną przez was zmianę. Tak więc, jeśli nie macie nic przeciwko temu, byłbym wdzięczny, gdybyście nie posyłali mojego nazwiska w eter.
- To niemożliwe. - Uniósł podbródek, jakby osobiście poczuł się urażony. - Niemożliwe.
- Ben-Gurion, premier Izraela, powiedział kiedyś: „Najtrudniejsze zadania wykonujemy natychmiast. Te niemożliwe do wykonania zajmują trochę więcej czasu.”
- Zobaczą, co da się zrobić.

Kiedy opuszczał pokój, nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Kilka minut później sekretarka wniosła srebrną tacę z dzbanuszkim pełnym śmietanki i cukierniczką. Z początku nie byłem pewien, czy powinienem pić kawę, skoro mogła być doprawiona zgoła nieprzyjawnymi dla organizmu substancjami. Potem uświadomiłem sobie, że gdyby chcieli mnie czymś uraczyć, niewiele mógłbym zrobić. Prawdziwym problemem byłoby, gdyby człowiek, z którym rozmawiałem (albo ten za szybą) pracował dla Mosadu, CIA lub FBI, albo jednocześnie dla wszystkich tych organizacji. Cóż, takie było ryzyko zawodowe. Zawodowe? Skrzywiłem się na myśl, że moja sytuacja zawodowa wcale nie była jasna. Czy rzeczywiście nadal pracowałem w zawodzie, czy też byłem tylko przez kogoś wykorzystywany?

Wlałem do filiżanki kilka kropli śmietanki i uniosłem naczynie w górę, w kierunku szyby. Nie miałem wątpliwości, że ktoś siedzący za przeszkloną ścianą albo uśmiechnął się, albo poczuł się nieswojo.

- Kiedy mój przyjaciel wrócił, miał wiele pytań.
- Jak smakuje kawa? - zaczął, wchodząc w rolę troskliwego gospodarza.
 - Zdziwiająco dobrze.
 - Dlaczego zdziwiająco?
 - Spodziewałbym się wymienionej herbaty, ale kawa jest bardzo miłą niespodzianką.
 - Cieszę się. - Usiadł przy stole. - Nie powinno to zabrać nam dużo czasu.
- Zapaliłem papierosa i podałem mu otwartą paczkę.
- Dziękuję - rzekł, częstując się. - Amerykanie nigdy tego nie robią.
 - Może dlatego, że jeśli chcą zapalić papierosa, zawsze mają ich pod dostatkiem.
- Potwierdził skinieniem głowy i uśmiechnął się.
- Hm, moi przyjaciele chcieliby wiedzieć, czy nadal jest pan zatrudniany przez Mosad, czy może jest pan teraz wolnym strzelcem?
 - Jestem wolnym strzelcem zatrudnianym przez Mosad. Co pan rozumie przez „moi przyjaciele”? To jakiś cholerny komitet czy coś takiego?
- Wiedziałem, że tak powinien zareagować agent wywiadu. Nikt nie chciałby, żeby jego nazwisko stało się znane opinii publicznej i było kojarzone z sytuacją, w jakiej się znalazłem, a grupa ludzi to już załączek opinii publicznej.
- Nie, nie! To, że tak powiem, tylko figura retoryczna. Chodzi tylko o mnie i mojego szefa. - Spojrzał w lustro i powiedział: - Również pije za pańskie zdrowie.
 - Dobrze, do rzeczy. Jestem na okresie próbnym. Tym cholernym dupkiem wydaje się, że są bogami. Popelniłem jeden drobny błąd i zapalili mi czerwone światło. Coś panu powiem: jeszcze im pokażę, gdzie raki zimują.
 - Jak długi jest ten okres próbny?
 - Sześć miesięcy. Wystarczy, żeby stracił kolejkę. Znowu

będę musiał siedzieć tr/y lata za biurkiem, zanim znowu dostanę szansę pracy za granicą.

- W takim razie, co pan robi w Ameryce?

- Byłem z wizytą u ojca, a teraz próbuję zaciągnąć się do obcej agencji wywiadowczej.

Wyglądał na rozbawionego.

- Co każe panu przypuszczać, że to mogłoby się udać?

- Za co bylibyście skłonni zapłacić?

- To zależy, co miałby pan do zaoferowania. Jeśli, oczywiście, zdecydujemy się zawrzeć umowę.

- Będę z panem zupełnie szczerzy. Jeśli chodzi o, źródło zarobków, nie macie najlepszej reputacji, ale mówi się, że nie zostawiacie swoich agentów na lodzie. Chcę powiedzieć, że nie będę pracować dla kogoś, kto rzuci mnie na pożarcie, gdy ziemia zacznie mi się palić pod nogami.

- Rzeczywiście, to istotny argument.

Kiwnął głową i zerknął w stronę lustra. Udzielałem chyba dobrych odpowiedzi. Rozmowa trwała jeszcze niemal godzinę, podczas której poznałem prawdziwą odpowiedź na pytanie, dlaczego Amerykanie nie częstują tego człowieka papierosami. Wypalił prawie całą moją paczkę, ani razu nie odwzajemniając się, mimo że doskonale widziałem w kieszeni jego koszuli świeżo rozpakowaną paczkę. Najwyraźniej był typem faceta, których w wojsku nazywaliśmy palaczami specjalnego gatunku papierosów - „cudzesów z filtrem”.

- W porządku, przyjacielu - rzekł. - Jeszcze jedno. Wiemy, że twoja firma mniej więcej co pół roku przepuszcza wszystkich swoich pracowników przez wykrywacz kłamstw.

Potwierdziłem oszczędnym ruchem głowy. Gość znał się na rzeczy. Nawet Ephraim nie był pewien, czy ta sprawa wypłynie.

- Nie martwię się tym. Pomyślałem o tym, zanim przekroczyłem próg tego budynku.

- Tak? A jakie jest rozwiązanie?

- Pytania są rutynowe. Trzeba tylko być pewnym, że się nie skłamię, więc kiedy zapytają, czy nawiązałem kontakt z obcą agenturą, odpowiem twierdząco.

- I co dalej? - zapytał, unosząc brwi.

- Po odpytywaniu zechcą usłyszeć wyjaśnienia. Wtedy opowiem o broszurach. Zbieranie broszur to w Mosadzie jedna z podstawowych form zdobywania informacji. Zbieramy, ile się da, ze wszystkich możliwych miejsc, gromadzimy w bibliotece. Broszury służą agentom operacyjnym do tworzenia swych alternatywnych osobowości i życiorysów. Kilka tygodni temu umieściłem wasz kraj na szczycie mojej listy poszukiwanych broszur.

Wydawał się zadowolony z takich wyjaśnień. Ja również byłem zadowolony, że kupił tę bajeczkę. Nie byłem pewien, czy podziąła. Z drugiej strony, wiedziałem, że nie zależało im na prawdzie. To nie oni ryzykowali własną skórą, tylko ja.

-¹ Przemyślimy to i skontaktujemy się z panem w hotelu. Długo zamierza pan zostać?

- Mam nadzieję, że krótko. Kiedy dostanę od was od powiedź, znikam stąd. Jeżeli nie odezwiecie się w przeciągu trzech dni, uznam, że w to nie wchodzić.

Na skrawku papieru napisał kilka cyfr i podał mi karteczkę.

- Proszę. Zanim pan wyjedzie, proszę do mnie zatelefonować. Nie chcemy utracić kontaktu tylko z powodu kłopotów z komunikacją.

- Dzięki.

Poszedłem za nim stromymi schodami, tym razem w dół. Przed wypuszczeniem mnie z budynku, mężczyzna wręczył mi plik broszur.

- Niech pan nie zapomina, po co pan tu przyszedł.

- Jeszcze raz dziękuję.

Wziąłem broszury i wyszedłem prosto w deszcz, z kap-
turem narzuconym na głowę, twarzą schyloną ku ziemi.

Cieszyłem się, że w końcu opuszczam ambasadę. Świeże powietrze było dla mnie jak błogosławieństwo. Na pierwszej krzyżowce skręciłem w boczną ulicę i zacząłem sprawdzać, czy jestem śledzony. Nigdy za dużo ostrożności.

Byłem bardzo głodny. Kiedy upewniłem się, że nikt za mną nie idzie, zaszedłem do Dupont Circle. Tradycyjnie zjadłem hot doga i wróciłem do hotelu. Stacją metra w Silver Springs wyglądała jak wymarła. Podeszedłem do zawieszonych na ścianie automatów telefonicznych, wybrałem ostatni w szeregu i stanąłem twarzą do pustego hallu. Wywołałem centralę, podałem numer i poprosiłem o rozmowę na koszt odbiorcy. Ephraim odebrał telefon niemal natychmiast.

- Hm, co u ciebie?

- Odwiedziłem wujka ze Starego Kraju.

Miałem świadomość, że linia jest bezpieczna, powinna być, jednak trudno złamać stare nawyki i przestać w takiej chwili mówić szyfrem.

- Jak poszło?

- Jeżeli nie będą mieli szansy zweryfikować historii po twojej stronie, nie mam najmniejszych wątpliwości, że zostaną ich następnym Philby².

- Aż tak dobrze?

- A czego się spodziewałeś?

- Teraz musimy spokojnie siedzieć i czekać na to, co się stanie. Mam dobre przeczucia.

- Wróć do hotelu. Nie chcę, żeby zatelefonowali i nie zastali mnie.

- Nie powinieneś siedzieć tam przez cały czas. Rozegraj to w sposób, który uzgodniliśmy. Oni oczekują osoby, która nie będzie w imię pracy rezygnować z rozrywek, jakie ma do zaoferowania wielkie miasto. Wyjdź z hotelu i baw się

² Philby: Kim Philby, sowiecki kret w wywiadzie brytyjskim.

dobrze. W końcu, musisz dbać o reputację... Po tej robocie będziemy mieli dla ciebie wiele nowych zadań.

- Trudno zgrywać playboya z tymi kilkoma dolarami, które mam w kieszeni.

- Wkrótce dostaniesz pieniądze. Wydaj to, co masz, żeby podbudować swój wizerunek.

- Kiedy się zobaczymy?

- Przyjadę, gdy ten drobny epizod znajdzie swoje zakończenie.

- Co zrobisz, kiedy już znajdziesz to, czego szukasz?

- To problem sam w sobie. Nie mogę tak po prostu wkroczyć na scenę i wytoczyć oskarżenie. Będę musiał pomanipulować kimś, kogo znam w Shaback. Skieruję ich na właściwy trop, nie ujawniając za wielu szczegółów. Nie martw się o to. Jeśli on jest wśród nas, nakryję go i zaznaczę dla ciebie białą kredą.

- Pewnie - mruknąłem. - Akurat dużo mi to da.

- Da, i to bardzo wiele. Szczególnie, gdy będziesz miał ponownie pojawić się na scenie.

Zapadła cisza. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Do tej pory wyobrażałem sobie, że po wykonaniu zadania pójdę w odstawkę, będę spokojnie żył gdzieś w Kanadzie, razem z Bella i dziećmi, pracując tu czy tam. Ponowne pojawienie się na wywiadowczej scenie nie znajdowało się w kręgu moich zainteresowań. Zmieniło się to z chwilą, gdy Ephraim powiedział o tym tak zwyczajnie, jakby myślał o tym od samego początku.

- Co myślisz?

- Nie wiem. Mówiąc szczerze, w ogóle o tym nie myślałem.

- Zrób swoje, mój chłopcze, a potem o tym porozmawiamy. Powinniśmy już kończyć. Zadzwoń do ciebie, jeśli coś się wydarzy. Ty też dzwoń, gdy będziesz miał coś nowego.

Odwiesił słuchawkę. Stałem jakiś czas ze słuchawką

w dłoni, próbując uporządkować myśli. A więc istniała jeszcze nadzieja na powrót do normalnego życia! Nagle przestałem widzieć przyszłość w tak upiornie czarnych barwach.

Opuszczając stację metra, byłem w bardzo dobrym nastroju. Postanowiłem, że tego wieczora dobrze się zabawię. W końcu, jak twierdził Ephraim, należało to do moich obowiązków.

15

Kiedy wchodziłem do hotelu, wciąż kipiały we mnie pozytywne emocje. Zdumiewało mnie, że mogę być tak optymistycznie nastawiony w momencie, gdy w mojej wędrówce nad przepaścią znajduję się tak blisko krawędzi. Zapewne decydowało o tym stare, dobre poczucie władzy, którego przez jakiś czas nie odczuwałem. Wciąż jednak nękały mnie wątpliwości. Z natury byłem pesymistą, mimo że prowadziłem raczej niespokojne życie, często podejmując duże ryzyko. Byłem ciekaw, co dzieje się w radzieckiej ambasadzie.

Niemal na pewno wysłali do Moskwy komunikat, w którym przekazali wszystkie zebrane podczas naszej rozmowy wiadomości i prosili o instrukcje.

Spędziłem trochę czasu w hotelowym barze i zdecydowałem, że tego wieczora nie wypuszczę się do miasta. Po raz pierwszy zostałem w hotelu w porze otwarcia nocnych klubów i byłem zaskoczony, jak wielu ludzi wybiera hotelowy bar na miejsce wieczornej rozrywki. Było tu więcej do zrobienia i zobaczenia niż gdziekolwiek w mieście. Siadłem przy stoliku przeznaczonym dla pięciu osób. Z początku byłem sam, ale szybko się to zmieniło. Nawiązałem nowe znajomości, z normalnymi, zwyczajnymi ludźmi, jakich można spotkać w każdym amerykańskim mieście: szczerymi, prostolinijnymi i bardzo wrażliwymi. Jeden był przedsiębiorcą budowlanym, drugi, nieco dziwny facet, pracował dorywczo w miejskim wydziale ogrodnictwa; był po roz-

wodzie i musiał go mocno przeżyć, bo zachowywał się jak człowiek mający zszargane nerwy.

Przedsiębiorca budowlany, wielki, krzepki mężczyzna, wyraźnie przyjął na siebie rolę opiekuna dziwnego przyjaciela. Przez większość wieczoru zajęty był opowiadaniem każdemu, kto chciał słuchać, ile pieniędzy zarobił tego dnia i to nie pracując za ciężko. Kiedy jednak posłuchałem, co tego dnia robił, doszedłem do wniosku, iż zapracował na każdego zarobionego centa. Po wyczerpaniu tematu, zaczął rozwodzić się na temat planów na jutro. Prostota i naturalna wylewność tych ludzi była dla mnie niczym powiew świeżego powietrza. Zazdrościłem im ich nieskomplikowanego życia, tego, że mogą czynić plany na jutro i mieć pewność, że prawie nic tych planów nie jest w stanie zakłócić. W ich towarzystwie również czułem się pewniej, spokojniej. Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby wiedzieli, kim naprawdę jestem i co robię.

Przez następne cztery dni nic się nie działo. Zaniepokoiłem się i zatelefonowałem do Ephraima. Nie podniósł słuchawki, automatyczna sekretarka nie przyjęła wiadomości. Piątego dnia linia została rozłączona. Oznaczało to tylko jedno: kłopoty. Czyżby Ephraim wpadł?

Trudno właściwie zareagować w takiej sytuacji, bardzo trudno. W jednej chwili jesteś w miarę bezpieczny w stosunkowo bezpiecznym otoczeniu, a zaraz potem, nagle, musisz przejść do stanu alarmowego, nie wiedząc, czy powodem jest realne zagrożenie, czy tylko jakaś pomyłka lub problem natury technicznej. Zwykle powodem są nieporozumienia, ludzkie błędy, pomyłki. Jednak jeśli w porę nie zareaguje się na prawdziwe zagrożenie, cena jest niezwykle wysoka.

Tamtego ranka zapłaciłem rachunek za pokój i przekonałem się, że zostało mi pięćdziesiąt dolarów. Mój niepokój wzrósł. Zerwanie kontaktu to jedno, ale być splukanym, kiedy to się stanie, to już zupełnie co innego.

Musiałem rozważyć ewentualność katastrofy. W rozmowach z Bella nic się nie zmieniło i było to pocieszające, lecz zdawałem sobie sprawę, że jeśli Mosad dowiedział się o mojej wycieczce do ambasady Związku Radzieckiego, na pewno nie da mi o tym znać. Już widziałem to oczyma duszy: Ephraim gorączkowo szuka wyjścia z matni, zaczyna tańczyć, jak mu zagrają, i ratując własną skórę podsuwa pomysł, że pomoże im sprowadzić mnie z powrotem. Jeśli powinienem kogoś się obawiać, to właśnie jego.

Gdyby w Mosadzie dowiedzieli się o moim kontakcie z KGB, koniecznie chcieliby mnie przesłuchać, aby ocenić szkody, jakie poczyniłem. Była to normalna procedura, zwana weryfikacją szkód. Natomiast gdyby wykryto krecią działalność Ephraima, on sam chciałby mnie wyeliminować, co zresztą było naturalne i zrozumiałe. W podobnej sytuacji postąpiłbym tak samo. Musiałem zniknąć i jednocześnie próbować utrzymać kontakt. Musiałem zobaczyć, czy w hotelu coś się wydarzy, tyle że z bezpiecznej odległości.

Naprzeciw hotelu, po drugiej stronie ulicy, stał biurowiec, przed którym znajdował się niewielki plac. Pamiętając, że Mosad ma dostęp do list gości prawie wszystkich sieci hotelowych na świecie, nie miałem złudzeń: wystarczyłoby kilka telefonów i zlokalizowanie mnie zajęłoby niewiele godzin. Zdecydowałem, że za dnia będę przebywał w hotelu, a nocą zajmę ławkę w rogu placu naprzeciw hotelu. Jeśli po mnie przyjdą, zrobią to nocą. Lepiej wtedy być z dala od pułapki hotelowego pokoju.

Z powodu zerwania kontaktu musiałem rozważyć ewentualność, że kiedy Ephraim odnowi łączność, będzie chciał zastawić na mnie pułapkę. Czułem, że popadam w paranoję, jednak miałem powody. Próbowałem do niego telefonować. Linia została zerwana. Jeżeli do następnego dnia sprawa się nie wyjaśni, miałem do wyboru dwie możliwości: albo ukryję się na jakiś czas i zobaczę, co z tego wyniknie, albo

skontaktuję się z moim przyjacielem Rollym, łącznikiem Mosadu przy CIA, rezydującym w izraelskiej ambasadzie w Waszyngtonie. Mógłbym spotkać się z nim i wyłożyć karty na stół. Ułożyłem sobie szczegółowy plan takiego spotkania. Zabrałbym ze sobą jakiegoś dziennikarza. Inaczej mógłbym zniknąć bez śladu, a problem, jakim stałem się dla Mosadu, zostałby rozwiązany gdzieś na przedmieściach Tel Awiwu.

Miałem na to jeszcze czas. Teraz musiałem tylko pilnować, aby przed zmrokiem opuścić hotel. Za dnia odwiedziłem Armię Zbawienia i kupiłem długie, ocieplany płaszcz. Wniosłem go do hotelu w zwyczajnej torbie na zakupy. Przy tylnych drzwiach prowadzących na parking za hotelem zostawiłem metalowy wózek, jakimi jeździ się po sklepach samoobsługowych. Tego dnia nie ogoliłem się, a w torbie oprócz płaszcza umieściłem jeszcze butelkę wódki „Cutty Sark”. Po zapadnięciu ciemności zjechałem windą na podziemny parking, wyciągnąłem z torby płaszcz i włożyłem go. Do czekającego na mnie wózka wrzuciłem tobiół z praniem i kiedy wyjeżdżałem na ulicę, niczym nie różniłem się od bezdomnych ludzi, którzy niedostrzegalnie zapełniali ulice po zmierzchu.

Zająłem miejsce na ławce, od czasu do czasu rozgrzewając się łykiem rumu. Było zimno, czułem się opuszczony przez wszystkich. Noc spędzona pod gołym niebem w samym środku miasta jest niewiarygodnie długa. Zwłaszcza gdy nie wolno zasnąć, a ja nie mogłem sobie pozwolić na zmruczenie oka. Obserwowałem hotel, czekając na oddział uderzeniowy Mosadu.

Nic się nie stało. To znaczy nic, co by dotyczyło mnie bezpośrednio. Na ulicy handlowano narkotykami, nie dalej jak dziesięć metrów ode mnie skradziono samochód, a jakiś bezdomny chciał się ze mną bić o ławkę, która rzekomo należała do niego.

O wpół do piątej nad ranem doszedłem do wniosku, że ludzie Mosadu już się nie pokażą, albo ich przeoczyłem. Zawsze istniała możliwość, że będą czekać na mnie w pokoju, więc nie mogłem wrócić, dopóki nie znajdę kogoś, kto wejdzie ze mną na górę. Musiałem zaczekać jeszcze co najmniej cztery godziny. Na ławce było stanowczo za zimno. Przeszedłem kilka przecznic dalej, na stację metra. Tam spędziłem resztę nocy, na podłodze, oparty o wielgachny dystrybutor biletów. Wózek zostawiłem z tyłu hotelu i byłem pewien, że rano już go tam nie znajdę. Zasnąłem. Obudziłem się o siódmej trzydzieści. Ludzie omijali mnie, przechodzili obok, jakbym w ogóle nie istniał. Czułem się niemal jak bohater bajki, który włożył czapkę-niewidkę. Długo tego nie zapomnę. Być może znalazłem przepis na to magiczne urządzenie, a w mojej pracy taki gadżet jest wprost nieoceniony.

Czwartek, 1 maja 1986 r.

Powoli doczłapałem do hotelu. Wózek stał tak, jak go zostawiłem. Zaciągnąłem go pod tylne drzwi, zjechałem na podziemny parking i znowu stałem się sobą. Wszedłem do hallu. Posługując się wewnętrzną linią telefoniczną, wezwałem do mojego pokoju kogoś z obsługi hotelowej, żeby naprawił kran, z którego nie leci woda. Widziałem, jak monter wychodzi ze swojego pokoju. Dołączyłem do niego w windzie. Kiedy wysiedliśmy, nie poszedłem za nim; czekałem na końcu korytarza. Podeszedł do drzwi mojego pokoju, zastukał, a gdy nie usłyszał odpowiedzi, wyjął klucz i wszedł do środka. Podbiegłem do drzwi i wszedłem za nim.

- To pan telefonował w sprawie awarii? - zapytał, wyglądając na zaskoczzonego.

- Tak. Nie ma wody - powiedziałem, pokazując na łazienkę.

Potoczyłem wzrokiem po pokoju. Pusto. Monter sprawdził krany i stwierdził, że wszystko jest w najlepszym porządku. Przeprosiłem i wypuściłem go na korytarz. Musiałem się umyć i wziąć prysznic. Potem zadzwoniłem do recepcji. Byłem tak wygłodniały, że mógłbym połknąć konia z kopytami.

Nie było dla mnie żadnych wiadomości, a w pokoju żadnych śladów czyjejś obecności. Postanowiłem zatelefonować do ambasady o jedenastej i jeszcze raz spróbować połączyć się z Ephraimem. Ostatni raz. Zamówione przeze mnie obfite śniadanie mogło być ostatnim posiłkiem w życiu. Kelner właśnie zapukał do drzwi. Otworzyłem i cofnąłem się w głąb pokoju. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, usłyszałem, jak kelner do kogoś mówi:

- Przepraszam, ale nie może pan...

Obróciłem się na pięcie, odsuwając się nieco w bok. Byłem gotów do odskoczenia za róg. Spodziewałem się zobaczyć wymierzony we mnie pistolet. Zamiast tego pochwyciłem kątem oka szeroki uśmiech na znajomej twarzy Ephraima.

- Dobrze, dobrze - uspokajał kelnera. - Ten pan na mnie czeka. - Spojrzał na mnie. - Prawda?

- Oczywiście, proszę go przepuścić. Zjesz ze mną śniadanie?

- Nie, dziękuję, wypiję tylko kawę.

Kelner postawił tacę na stole i podał mi czek. Podpisałem, odprowadziłem kelnera do drzwi i w następnej chwili zaatakowałem Ephraima:

- Zdajesz sobie sprawę, jak bliski byłeś spaprzenia całej operacji? Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybym wczoraj zdecydował, że dłużej nie czekam?

- Przez jakiś czas nie zajmowałem się naszą sprawą. Nie mogłem kontaktować się z tobą.

- A co z tym cholernym telefonem? Kto odłączył telefon?

- O czym ty mówisz? Telefon działa jak należy.
Wręczyłem mu słuchawkę.
- Udowodnij.
- Nie z tego aparatu. Później wyjdziemy do miasta i zatelefonuję z automatu.

- Dzwoni teraz - powiedziałem szorstko.
Nie zamierzałem się wycofać. Nie dam sobie wciskać kitu.
Wyjął słuchawkę z mojej dłoni i wykręcił numer. Słuchał przez kilka sekund, a wyraz jego twarzy stopniowo zmieniał się, by ostatecznie przejść w osłupienie.

- Miałeś rację! Jasna cholera, co się dzieje?
Wykręcił inny numer i zaczął czekać.
- Do diabła, co się stało z numerem dwunastym? - warknął na kogoś po drugiej stronie. Słuchał wyjaśnień, a potem powiedział: - Zdajesz sobie sprawę, że to mogło kosztować nas życie? Jeśli przez ten wybryk coś stanie się mojemu człowiekowi, lepiej, żeby cię nie było, kiedy wrócę.

Docierał do mnie głos rozmówcy Ephraima, ale nie rozróżniałem słów. Słyszałem tylko panikę.

- Nie - mówił Ephraim - nie chcę odtworzenia linii, masz mi założyć nową i to natychmiast. Lepiej, żeby działała, gdy za godzinę zadzwonię.

Słuchał wyjaśnień, po czym sięgnął po leżący na nocnym stoliku długopis i na hotelowym bloku papieru zapisał numer. Nie przerywając rozmowy, wręczył mi blok. Kiedy odkładał słuchawkę, siedziałem już przy stole; przysunąłem sobie jajecznicę z potrójną porcją bekonu i smarowałem tosta masłem.

Z całej tej afery wynikało dla mnie również coś pociesającego. Gdyby operacją kierował Mosad, a nie jakaś frakcja działająca w jego łonie, do takiej sytuacji nigdy by nie doszło. Problemy natury technicznej lub sprzętowej? W Mosadzie to nie do pomyślenia. W tym momencie zaufałem Ephraimowi, ale zabawne, że stało się to po takiej wpadce.

Nalał sobie kawy do szklanki, którą przyniosłem z łazienki.

- Rosjanie odezwali się do ciebie? - zapytał.

- Nie - mruknąłem. - Nie zmieniaj tematu.

Ciągle jeszcze byłem zły z powodu tej „zabawy” w głuchy telefon.

- Przepraszam - rzekł, próbując spojrzeć mi w oczy. Byłem zajęty maczaniem tosta w płynnym żółtku. - Ktoś nawalił, to się zdarza.

Popatrzyłem na niego.

- Powinieneś dopilnować, żeby tak nie było. Gdybyś zjawił się kilka godzin później, po operacji byłoby już tylko wspomnienie.

- Co zamierzałeś?

- Nie twój interes. Miałem zamiar zadbać o siebie. A czego się spodziewałeś?

- Jesteśmy po tej samej stronie. - Wydawał się trochę zakłopotany. - Co planowałeś?

- Dlaczego przyjechałeś? - spytałem, ignorując jego pytanie. - Zakończyłem pracę nad pewną operacją - rzekł.

Nie odzywałem się. Czekałem na ciąg dalszy.

- Chodziło o stary numer z wtyczką trojańską - wyjaśnił, zapalając papierosa.

- Co takiego? - rzuciłem z uśmiechem. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak to nazywał.

- Wiedziałem, że to cię zainteresuje - stwierdził wesoło. - W lutym tego roku Szimon dał sygnał do rozpoczęcia operacji Trojanin.

Kiwnąłem głową. Kiedy napłynął ten rozkaz, byłem jeszcze w Mosadzie. Ponieważ miałem za sobą służbę w siłach morskich i osobiście znałem większość oficerów marynarki, przydzielono mnie do tej operacji jako łącznika wywiadu z marynarką.

Trojanin był specjalnym urządzeniem komunikacyjnym, które miało być instalowane głęboko wewnątrz terytorium

wroga przez oddziały komandosów marynarki. Urządzenie funkcjonowało jako stacja przekaźnikowa dla transmisji o charakterze dezinformacyjnym, przygotowywanych przez specjalną komórkę Mosadu zwaną LAP¹, które miały być odbierane przez amerykańskie i brytyjskie stacje nasłuchowe. Sygnał wysyłany przez okręt marynarki, zawierający spreparowane nagrania, mógł być odebrany tylko przez Trojanina. Urządzenie następnie retransmitowało nagranie na zmienionej częstotliwości, używanej we wrogim kraju do oficjalnej komunikacji komercyjnej, czyli mogło być przechwycone przez amerykański nasłuch.

Prowadzący nasłuch będą sądzić, że odebrali prawdziwy przekaz - stąd nazwa Trojanin, odnosząca się do mitycznego konia trojańskiego. Co będzie działo się dalej? Amerykanie będą chcieli potwierdzić treść odszyfrowanej depechy i zwrócić się do zaprzyjaźnionego wywiadu, czyli Mosadu. Jedyne problem polegał na tym, że Trojanin musiał być umieszczony jak najbliżej autentycznego źródła podrabianych transmisji, ponieważ Amerykanie i inni sprawdzają, skąd dobiega sygnał, a stosują do namierzania źródła emisji wymyślne, lecz skuteczne metody triangulacyjne.

W konkretnej operacji, o której wspominał Ephraim, za dostarczenie Trojanina we właściwe miejsce odpowiadały dwie elitarne jednostki: oddział zwiadowczy Matkał² i 13. flotylla komandosów. Komandosi mieli za zadanie umieścić urządzenie w stolicy Libii, Trypolisie.

W nocy z 17 na 18 lutego dwa izraelskie kutry raketowe - „Moledet”, okręt klasy SAAR-4, uzbrojony między innymi w pociski typu Harpoon i rakiety ziemia-ziemia Gabriel,

¹ LAP: LohAma Psychologist. Broń psychologiczna albo, jak mawia się na Zachodzie, dezinformacja.

² Matkał: wydzielona z izraelskiej armii specjalna jednostka zwia dowcza.

oraz „Geula”, okręt klasy Hohit, posiadający typowe uzbrojenie okrętów klasy SAAR-4 oraz lądowisko dla helikopterów - płynęły po Morzu Śródziemnym w kierunku Cieśniny Sycylijskiej, poruszając się na granicy wód terytorialnych Libii. Dla każdego obserwatora rejs wyglądał na rutynowy patrol. Osiągnąwszy punkt wysunięty dokładnie na północ od Trypolisu, okręty, doskonale widoczne na radarach zarówno w Trypolisie, jak i na włoskiej wyspie Lampedusie, zwoływały do prędkości czterech węzłów. Na krótko, tylko na czas potrzebny dwunastu komandosom do spuszczenia na wodę czterech podwodnych pontonów zwanych potocznie „świnkami” oraz dwóch łódek motorowych określanych mianem „ptaszki”. Świnki mogły przynieść dwóch ludzi i cały ich sprzęt. Ptaszki, wyposażone w karabin maszynowy MG kaliber 7,62 milimetrów i wyrzutnie rakiet przeciwpancernych, mogły pomieścić sześciu ludzi i pociągnąć za sobą puste świnki. Ptaszki doholowały świnki tak blisko brzegu, jak to możliwe, skracając w ten sposób dystans, jaki świnki musiały przebyć samodzielnie. (Świnki poruszały się tuż pod powierzchnią wody i były ciche, ale stosunkowo powolne.)

Dwie mile od libijskiego wybrzeża wyraźnie widać światła Trypolisu, błyszczące na południowym wschodzie. Ośmiu komandosów bezszmerowo ześliznęło się do świnek i ruszyło do brzegu. Ptaszki zostały w punkcie zbornym, gotowe wkroczyć do akcji, gdyby sytuacja tego wymagała. Po osiągnięciu plaży komandosi zostawili podobne do cygar transportery zanurzone w płytkiej wodzie i wyszli na brzeg, niosąc ciemnozielony cylinder z Trojaninem, długi na trzy metry, o średnicy około osiemnastu centymetrów. Musiało go nieść dwóch mężczyzn.

Mniej więcej sto metrów od linii brzegowej, na poboczu nadmorskiej autostrady z Sabratah do Trypolisu i Bengazi,

stał zaparkowany szary mikrobus. O tej porze na drodze nie było innych pojazdów. Kierowca mikrobusa udawał, że wymienia koło z przebitą oponą. Kiedy zbliżyli się komandosi, przerwał pracę i otworzył tylne drzwi samochodu. Był kombatantem Mosadu. Czterech mężczyzn bez słowa weszło do środka i po chwili mikrobus ruszył w kierunku miasta. Czterech żołnierzy wróciło na brzeg i zajęło pozycje obronne przy zanurzonych w wodzie świnkach. Ich zadanie polegało na zabezpieczeniu drogi odwrotu.

W tym samym czasie izraelskie okręty uzupełniały paliwo w bazie na Krecie. Po dołączeniu do oddziału komandosów były w stanie zatrzymać ogniem wrogie siły lądowe i umożliwić żołnierzom wycofanie się z plaży. Zespół operacyjny był teraz podzielony na trzy grupy i najbardziej wrażliwy na ciosy. Gdyby któraś z grup natknęła się na wrogie siły, miała za wszelką cenę unikać starcia.

Mikrobus zatrzymał się na tyłach budynku mieszkalnego przy ulicy Al Jamhuriyah w Trypolisie, nie dalej niż trzy przecznice od baraków Bab al Azizia, w których mieściła się rezydencja i kwatera główna Kadafiego. Do tego czasu pasażerowie pojazdu zdążyli przebrać się w cywilne ubrania. Dwóch zostało w mikrobusie na czujce, dwóch pomogło kombatantowi wnieść cylinder na najwyższe piętro pięciokondygnacyjnego budynku. Trojanin był zawinięty w dywan.

Wewnątrz mieszkania usunięto wierzchołek cylindra, zamontowano talerz anteny i ustawiono ją przy oknie wychodzącym na północ. Podłączono urządzenie. Koń trojański znalazł się na swoim miejscu.

Kombatant Mosadu wynajął mieszkanie na pół roku i opłacił czynsz z góry za całe sześć miesięcy. Nie było podstaw przypuszczać, że ktokolwiek poza kombatantem

będzie próbował dostać się do mieszkania, ale jeśli jednak ktoś wszedłby do środka, Trojanin uległby samozniszczeniu, zamieniając wyższe kondygnacje budynku w gruzy. Trójka mężczyzn wróciła do mikrobusa i wszyscy ruszyli na spotkanie z kolegami, którzy zostali na plaży.

Po podwiezieniu komandosów na plażę, kombatant wrócił do miasta, gdzie przez kilka następnych tygodni miał obserwować gniazdo Trojanina. Żołnierze nie tracili ani minuty, nie chcieli, aby świt zastał ich na wodach terytorialnych Libii. Dotarli do ptaszków i z maksymalną prędkością popłynęli do ustalonego punktu spotkania z okrętami. Obyło się bez niespodzianek. Zgodnie z planem zostali zabrani na pokład kutrów raketowych.

Już pod koniec marca Amerykanie odbierali audycje preparowane przez Trojanina. Urządzenie włączano wyłącznie w godzinach największego zagęszczenia sygnałów radiowych. Za pośrednictwem Trojanina Mosad usiłował stworzyć wrażenie, że z Trypolisu ktoś nadaje do rozszarych po świecie *ambasad libijskich (lub, jak sami Libijczycy mówią, do Biur Narodowych)* długie serie rozkazów i instrukcji związanych z zamachami terrorystycznymi. Mosad miał nadzieję, że Amerykanie rozszyfrują przekazy i przyjmą je za oczywisty dowód, iż Libia aktywnie wspiera międzynarodowy terrorizm. Na potwierdzenie tej opinii będą jeszcze mieli raporty Mosadu.

Francuzi i Hiszpanie nie kupili nowego strumienia informacji. Wydało im się podejrzane, że nagle, ni z tego, ni z owego, niezwykle ostrożni do tej pory Libijczycy zaczęli opowiadać w eterze o swych planach na przyszłość. Podejrzliwie patrzyli też na zastanawiającą zbieżność między szyfrowanymi komunikatami z Trypolisu a treścią raportów Mosadu. Wyszunęli argument, że gdyby rzeczywiście z Libii nadawano instrukcje dotyczące przyszłych ataków terrorystycznych, można by było zapobiec zamachowi na dy-

skotekę La Belle³ w Berlinie Zachodnim, który wydarzył się 5 kwietnia. Zamachowi nie zapobieżono, więc ich zdaniem to nie Libijczycy ustanowili „nowy kanał” komunikacyjny, a przekazywane tym kanałem informacje muszą być sfalszowane.

Francuzi i Hiszpanie mieli rację. Przekazy były fałszywe. Na dodatek Mosad nie posiadał żadnych wskazówek, kto jest odpowiedzialny za podłożenie bomby, która zabiła jednego amerykańskiego żołnierza i raniła kilku innych. Mosad uwikłał się w działania tak wielu terrorystycznych organizacji w Europie, że panowało przekonanie, iż w tak napiętej atmosferze, jaka zapanowała na Starym Kontynencie, zamach bombowy z ofiarami wśród Amerykanów wcześniej czy później musi się zdarzyć.

Szefowie Mosadu liczyli, że Amerykanie wezmą zbrojny odwet na państwie, któremu zostanie udowodnione wspieranie międzynarodowego terroryzmu. Trojanin dostarczył Amerykanom dowodów. Mosad dodatkowo wykorzystał fakt, iż Kaddafi zachowywał się jak lunatyk, miotał się, składał deklaracje i wycofywał się z nich zaraz potem. Mniejsza z tym, że chodziło wyłącznie o wewnętrzne sprawy Libii. Wszyscy doskonale pamiętali, jak to niedawno Kaddafi samowolnie poszerzył wody terytorialne Libii, przyłączając do nich całą Zatokę Sidra i nazywając nową granicę morską linią śmierci (z całą pewnością nie przysporzyło mu to sympatii). Wszystko to ostatecznie spowodowało, że Amerykanie dali się wciągnąć w grę prowadzoną przez Mosad i pociągnęli za sobą jeszcze Brytyjczyków i Niemców.

Operacja Trojanin była jednym z największych sukcesów Mosadu. Doprowadziła do powietrznego ataku na Libię,

³ Dyskoteka La Belle: powszechnie uważano, że to Libijczycy są odpowiedzialni za atak terrorystyczny na ten lokal. W odpowiedzi na zamach, 14 kwietnia Amerykanie zbombardowali Libię.

czyli zrealizowania obietnicy danej przez prezydenta Ronalda Reagana. Atak miał trzy poważne konsekwencje. Po pierwsze, zerwano negocjacje, mające doprowadzić do uwolnienia amerykańskich zakładników przetrzymywanych w Libanie, przez co Hezbollah (Partia Boga) pozostał w oczach Zachodu wrogiem numer jeden. Po drugie, cały świat arabski otrzymał klarowny sygnał, jakie jest stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec konfliktu arabsko-izraelskiego. Po trzecie, Mosad zdecydowanie wzmocnił swoją pozycję, gdyż to jego genialne posunięcie pchnęło Stany Zjednoczone do działań tak korzystnych dla Izraela.

Tylko Francuzi przejrzeni grę Mosadu i stanowczo odcięli się od agresywnych poczynań Stanów Zjednoczonych. Nie zezwolili Amerykanom na przelot nad własnym terytorium bombowców, które zmierzały ku Libii.

Czternastego kwietnia 1986 roku sto sześćdziesiąt amerykańskich samolotów zrzuciło na Libię ponad sześćdziesiąt ton bomb. Pociski spadły na międzynarodowy port lotniczy w Trypolisie, baraki Bab al Azizia, bazę marynarki wojennej Sidi Bilal, miasto Bengazi i lotnisko Banina w pobliżu Bengazi. Siły uderzeniowe składały się z dwóch grup. Jedna nadleciała z Anglii, druga z lotniskowców znajdujących się na Morzu Śródziemnym. Z Anglii przybyły dwadzieścia cztery F-111 z Lakenheath, pięć EF-111 z Upper Heyford i dwadzieścia osiem latających tankowców z Mildenhall i Fairford. Podczas ataku F-111 i EF-111 towarzyszyło osiemnaście samolotów wsparcia A-6 i A-7, sześć myśliwców F-A-18, czternaście samolotów zagłuszania elektronicznego EA-6B oraz inne samoloty pomocnicze. Samoloty marynarki katapultowano z lotniskowców „Coral Sea” i „America”. Po stronie Libijczyków było około czterdzieści ofiar wśród ludności cywilnej, wśród których znalazła się adoptowana córka Kadafiego. Po stronie Amerykanów w eksplozji samolotu zginęła załoga F-111, pilot i bombardier.

Po bombardowaniu Hezbollah zerwał negocjacje prowadzone w sprawie uwolnienia zakładników przetrzymywanych w Bejrucie i dokonał egzekucji na trzech spośród nich, w tym na Amerykaninie Peterze Kilburnie. Francuzi zostali nagrodzeni za odmowę uczestniczenia w napaści na Libię - pod koniec czerwca uwolniono w Bejrucie dwóch francuskich dziennikarzy. (Jak się okazało, jedna z zabłąkanych bomb uderzyła w budynek ambasady francuskiej w Trypolisie.)

Ephraim opowiedział o tym wszystkim, częściowo potwierdzając tylko informacje, które zdobyłem wcześniej. Potem dodał:

- Po zbombardowaniu Libii mogliśmy być pewni, że nasz przyjaciel Kadafi na jakiś czas zniknie ze sceny. Następnym celem stał się Irak i Saddam Hussajn. Zaczynamy właśnie odmalowywać go jako wielką kanałią i skończonego łajdaka. Zabierze to trochę czasu, ale nie mam żadnych wątpliwości, że będzie skuteczne.

- Przecież Saddam wydaje się być naszym sojusznikiem. Ma przymierze z Jordanią i jest zdeklarowanym wrogiem Iranu i Syrii.

- Właśnie dlatego jestem przeciwnikiem tej akcji. Są jednak rozkazy i musimy je wykonać. Miejmy nadzieję, że nasza skromna operacja zakończy się sukcesem, zanim dojdzie do poważnych następstw. Na razie udało nam się zniszczyć jego elektrownię jądrową, a teraz na nim zarabiamy sprzedając mu technologię za pośrednictwem Republiki Południowej Afryki.

- To nadal nie wyjaśnia, dlaczego bawiłeś się ze mną w kotka i myszkę.

- Byłem w Belgii, gdzie doradzaliśmy Irakijczykom, jak zniszczyć instalacje naftowe w Kuwejcie. Nie mogłem kontaktować się z tobą. Możesz sobie wyobrazić, ani przez chwilę nie byłem sam. Nikt nie mógł opuścić sali, dopóki facet nie poszedł w swoją stronę.

- Facet? Jeden człowiek?
- Tak, jeden człowiek. Kiedy wróci do kraju, przeszkoli swoich kolegów.

- Ufasz mu? Wierzysz, że to zrobi?

Coś mi się tu nie podobało. Standardowe procedury stosowane przez Mosad zakładały, że akty sabotażu dokonywane są wyłącznie przez naszych ludzi, natomiast tubylcy stanowią zabezpieczenie akcji, odgromnik, na który sypią się pioruny w przypadku niepowodzenia. Posyłanie na akcję zespołu po przeszkoleniu z drugiej ręki równało się samobójstwu.

- Zrobi, co trzeba.

- Albo sam wysadzi się w powietrze, albo da się złapać. Założymy się?

- Właśnie na to liczę. Chodzi o to, że prawdopodobnie zostanie schwytany i kiedy skończy sypać, Kuwejtcyzy będą pewni, iż pracuje dla Iraku, a celem zamachu jest obalenie rządów kuwejckiej rodziny królewskiej.

- I co tym sposobem mamy osiągnąć?

- Wzburzenie, mój chłopcze, wzburzenie! Cóż by innego? Potem zobaczymy, co z tym fantem można zrobić. Trzeba pamiętać, że między Irakiem a Iranem trwa wojna, za którą płaci głównie Kuwejt do spółki z Arabią Saudyjską.

Byłem mu wdzięczny za to, że rozmawia ze mną o szczegółach operacji, z którą nie miałem nic wspólnego. Dzięki temu czułem się tak, jakbym nadal należał do organizacji. W Mosadzie każdy mówił każdemu o wszystkim. Gdyby Ephraim tak nie postąpił, straciłby mnie. Obaj o tym wiedzieliśmy.

Nałożyłem ogromne ilości dżemu na pozostałe tosty i dolałem do szklanki gorącej kawy. Morze kawy, dodatkowe porcje bekonu, konfitury, papierosy, alkohol... Zabawne, jak łatwo porzucamy zdrowe nawyki, gdy znajdujemy się pod wpływem stresu.

- Więc jak się udała nasza mała wyprawa? - zapytał. -
Mówisz, że Rosjanie nie oddzwonili?

- Nie.

- Zatelefonuj do nich. Teraz.

Wstałem i wyjąłem z portfela kartkę, którą dostałem od Rosjanina. Wykreśliłem numer, zaczekałem.

- Halo? - usłyszałem mężczyznę, mówiącego z wyraźnym, rosyjskim akcentem.

- Czekałem na telefon.

- Kto mówi? Victor?

- Tak. Macie coś dla mnie?

- Przykro mi, ale nie będziemy więcej rozmawiać. Przepraszam.

Odłożył słuchawkę. Nie miał pojęcia, jak mnie tym uszczęśliwił.

- I co? - dopytywał się Ephraim. Wyciągnął szyję w moją stronę, jakby dzięki temu mógł szybciej usłyszeć, co mam do powiedzenia. Przy okazji odłamał kawałek mojego tosta i wpakował sobie do ust.

- Nie chcę mnie.

- Tak! - Podskoczył do góry, uderzając pięścią wyimaginowanego przeciwnika. - Tak! Mamy skurczybyka.

- Kto to jest?

- Mówiłem ci, że to nie może być nikt z wydziału operacyjnego. Z biura premiera otrzymaliśmy żądanie udostępnienia informacji na temat kilku ludzi, których zwolniliśmy z Mosadu na przestrzeni ostatniego roku. Wysłaliśmy cztery teczki, w tym twoją. Miałem kogoś w Prudot [wydział techniczny]. Ten człowiek bez ryzyka mógł sprawdzić, kto zajmuje się aktami, i którymi interesuje się najbardziej. Wynik był zgodny z moimi oczekiwaniami. Otwarto tylko twoją teczkę. Polecenie wydał człowiek z biura premiera, odpowiedzialny za bezpieczeństwo głowy państwa. Facet nazywa się Levinson.

- Jest z Shaback?

- Nie, pracuje w biurze, przy telefonach, dokumentach, takich rzeczach. Nawet gdyby zwerbowali naczelnika Shaback, nie mieliby lepiej usytuowanej wtyczki.

- Co dalej?

- Trochę to potrwa, ale przed końcem roku przygwoździmy go. Ostrzegłem przyjaciela z Shaback. Powiedziałem, że mam te wiadomości od łącznika, który formalnie nie może ich użyć, ponieważ spaliłby źródło. Teraz już orientuje się w sytuacji, ale sam będzie musiał złapać ptaszka.

- A więc udało się! - wykrzyknąłem. - Naprawdę to zrobiliśmy!

Kiwnął głową.

- Tak, zrobiliśmy.

Byłem szczęśliwy. W końcu, nie co dzień zdarza się przygwoździć radzieckiego szpiega. I w dodatku okazało się to takie proste! Jak spacer po parku.

16

- Dobrze. Teraz pomówmy o twoim następnym zadaniu.
- Co to będzie?
 - Zrobisz sobie małą wycieczkę przez miasto i zaoferujesz swoje usługi naszym brytyjskim przyjaciołom.
 - Brytyjczykom? Przecież to sprzymierzeńcy. Czego możemy od nich chcieć?
 - Nic konkretnego. Po prostu wiemy, że podejrzewają nas o maczanie palców w próbie podłożenia bomby w samolocie El Al.
 - W tym zatrzymanym na Heathrow?
 - Właśnie.
 - Wydawało mi się, że ochroniarze El Al w ostatniej chwili zapobiegli tragedii. Czyż nie?
 - Masz rację. Krąży plotka, że to my podłożyliśmy bombę, żeby zatrudnić ochronę El Al i jednocześnie rzucić cień podejrzeń o terroryzm na Syrię.
 - A zrobiliśmy to?
 - Bardzo możliwe. Nie znam prawdy, ale plotki muszą się skończyć.
 - Więc chcesz, żebym tam poszedł i powiedział im, że nie mamy z tym nic wspólnego?
 - Uśmiechałem się. Pomysł wydał mi się wielce zabawny.
 - Nie. Powiesz im mniej więcej to samo, co mówiłeś Rosjanom, tylko że tym razem stwierdzisz, że już dla nas nie pracujesz. - Wręczył mi szarą kopertę. - Masz tu dokumenty, które możesz im pokazać na dowód, że kiedyś pracowałeś w Mosadzie.

Tym razem wybuchnąłem gromkim śmiechem.

- Może po prostu pozwolimy, żeby sprawdził to ich człowiek w Mosadzie?

- To proste zadanie - stwierdził z powagą. - Chcę, żebyś wykonał je jak najszybciej. Zostanę tu i wyjadę dopiero wtedy, gdy to załatwisz.

- Wiesz, ta misja jakoś mi nie pasuje do powodów, dla których miałbym to wszystko robić.

- Niby dlaczego?

- Myślałem, że naszym celem jest wrzucenie Mosadu w jak najgłębsze bagno i wymuszenie zmian w dowództwie, a ty nagle zaczynasz dbać o ich reputację.

- Upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Oczyścimy dobre imię Izraela i jednocześnie uczynimy pierwszy krok ku Brytyjczykom, który później będziesz mógł wykorzystać. Skoro nie przychodzisz do nich w poszukiwaniu doraźnej zemsty, będą cię potem traktować z większym poważaniem. Spożytkujemy to, żeby uderzyć w Biuro i wyrzucić z obiegu jego londyński oddział.

- Długo będę czekał na następną robotę? Tracę już cierpliwość, czas przecieka mi przez palce. Chciałbym zobaczyć światelko w tunelu, albo przynajmniej jakąś bladą poświatę.

Uśmiechnął się. Zdawałem sobie sprawę, z jakim trudem mu to przychodzi - to znaczy, uśmiechanie się. Dla niego rzeczywistość zmieniała się w oka mgnieniu i za każdym razem musiał się do niej dostosowywać. Taki styl życia oczywiście miał wpływ na kształtowanie się osobowości człowieka.

- Twoja następna robota właśnie się kroi, że tak powiem. Po jej wykonaniu będziesz mógł wrócić do Belli i dzieci.

- Co to będzie? - spytałem z nerwowym pośpiechem.

- Nie teraz, Victor. Najpierw skończmy z Brytyjczykami.

Miałem ochotę przycisnąć go do muru i wydobyć z niego

coś więcej, ale zrezygnowałem. Opadł na oparcie fotela i zamilkł na dłuższą chwilę. Jego twarz przybrała wyraz lekkiego rozbawienia, jakby po raz dziesiąty oglądał kreskówkę ze Strusiem Pędziwiatrem i doskonale wiedział, jaki los czeka starego kojota, a mimo to dobrze się bawił. Pod jego spojrzeniem czułem się właśnie jak ten nieszczęsny kojot, który bez końca na próżno usiłuje złapać głupiego ptaka, wiedząc, że niechybnie zaliczy kolejny upadek na samo dno kanionu. Dlatego postanowiłem być mądrzejszy i puściłem strusia wolno. Zdaje się, że zebrało mu się na pogawędkę, bo powiedział:

- Kiedyś pytałeś mnie, dlaczego nie uderzymy w Mosad podając wszystko do prasy, radia lub telewizji.

Kiwnąłem głową.

- Nie możemy zniszczyć organizacji z zewnątrz, cieszy się w Izraelu zbyt dużym zaufaniem. Bez względu na to, co byśmy powiedzieli, nawet nie zarysowalibyśmy powierzchni. Trzeba pokazać, czym jest naprawdę: niekompetentnym, gnuśnym, przerośniętym, chciwym potworem, ale można to uczynić tylko krok po kroku. Teraz dopiero zaczęliśmy, przypuszczając atak ze skrzydeł. Będziemy uderzać ze wszystkich stron, odrąbując tej Meduzie jedną głowę po drugiej. Miejmy nadzieję, że nie mylimy się w ocenie kompetencji Mosadu. Zależy od tego nasze życie.

- To nie wiemy, na czym stoimy?

- Jeśli Biuro jest tak niekompetentne, jak sądzimy, nie połapią się nawet, skąd nadszedł cios. Jeżeli są tak dobrzy, jak myślą szarzy obywatele, wtedy... - uśmiechnął się - zrobią z nas marmoladę.

- A co z reputacją państwa? Nie każdy potrafi rozróżnić Mosad i Izrael.

- To prawda, jednak będziemy mieli do czynienia z agencjami obcych wywiadów, a one potrafią dokonać takiego rozróżnienia. Musimy być ostrożni, bo przecież nie chcemy

doprowadzić do upadku państwa. Jesteśmy w sytuacji brygady, która ma wyburzyć wysokościowiec położony w samym środku miasta. Zawodowcy zrobiliby wszystko jak należy, frajerzy przy okazji zniszczyliby pół miasta. Niepotrzebny pośpiech spowodowałby zerwanie stosunków Izraela z państwami, które zostały przez Mosad wystawione do wiatru, czyli niemal ze wszystkimi państwami świata, z którymi Izrael utrzymywał stosunki dyplomatyczne, oraz kilka następnych, z którymi dopiero miał nawiązać stosunki w przyszłości. Naszym celem jest Biuro i to Biuro istniejące w obecnej postaci.

Siedziałem i tylko na niego patrzyłem. Byłem wyczerpany. Wiedziałem, w co się wpakowałem, ale z wdzięcznością przyjąłem tę próbę wyjaśnienia sytuacji. Wstąpiłem do Mosadu dokładnie z tego jednego powodu: chciałem chronić mój kraj. Nie Mosad lub jego szefów. Jeżeli to Mosad był zagrożeniem dla Izraela, należało traktować go jak wroga. Z tego samego powodu po powrocie z Kanady wstąpiłem do marynarki. Wierzyłem, że moim powołaniem jest stać na straży ojczyzny, którą ludzie darzą miłością.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Powrócił do normalnego tonu, wypranego z emocji, które jeszcze przed chwilą okazywał. Mówił jak kasjer przeliczający cudze pieniądze. - Po Nowym Jorku biega zespół Kidonu, szukając człowieka, który rzekomo kontaktował się z OWP.

Krew zastygła mi w żyłach i ugięły się pode mną kolana.

- Co powiedziałeś? - zapytałem, podnosząc obie ręce i kręcąc głową.

- Słyszałeś - rzekł beznamiętnym głosem.

- Całkiem dobrze to znosisz, tylko że to nie twój tyłek może znaleźć się w potrzasku.

- Twój też nie, przynajmniej na razie.

- Czyj, w takim razie?

- Najwyraźniej facet, z którym rozmawiałeś w siedzibie

OWP, nie jest taki cwany, na jakiego wyglądał, albo nie za bardzo przyłożył się do swojej roboty. Tak czy inaczej, przesłał informację do Tunisu, a Jednostka 8200¹ przechwyciła ją.

- Chcesz powiedzieć, że ten palant zatelefonował do nich i powiedział o mnie?

- Tak.

- Zidentyfikował mnie?

- Właśnie to próbuję ci powiedzieć. Nie, podał tylko twój rysopis i to nie najlepszy. Nasi pewnie spróbują do niego dotrzeć i wydobyć z niego więcej szczegółów na twój temat.

- Powiedział im, jak się przedstawiłem?

- Owszem, wiedzą, że rozmawiał z człowiekiem, który podał się za oficera izraelskiego wywiadu, ale nie mają pewności, czy ten ktoś mówił prawdę. Mogę się założyć, że połowa Izraelczyków mieszkających w Nowym Jorku przynajmniej raz w życiu wygłosiła podobne twierdzenie. To izraelski „Mayflower”. Każdy był na jego pokładzie, kiedy statek dobiegał do Plymouth Rock. Aha, wprowadzono kod biały².

Uśmiechał się, ale ja nie byłem w nastroju do śmiechu. Próbował bagatelizować zagrożenie, lecz ja wiedziałem swoje: Kidoń łatwo się nie podda. Dbali o reputację, a nikt nie mówił o nich jako o nieudacznikach.

- Co z ludźmi Kahane'a, tymi, którzy obserwowali biuro OWP? Biuro dotarło do nich?

- Jeszcze nie, ale możesz być pewien, że dotrą. Nie chcę

¹ Jednostka 8200: Jednostka funkcjonująca w tonie Aman (skrót w języku hebrajskim, oznaczający wywiad wojskowy), mająca prze chwytywać wszelkie transmisje dokonywane drogą radiową, połączenia telefoniczne i teleksowe.

² Kod biały: oficer izraelskiego wywiadu przechodzi na drugą stronę; ostry alarm.

cię przerażać, lecz z drugiej strony, nie chcę utwierdzać cię w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Naprawdę uważam, że nie masz czym się martwić. Ci z Kidonu trochę pohalaśują, pokręcą się tu i tam, a potem znikną. Mają ważniejsze rzeczy do roboty niż ściganie wiatru.

- Jeśli zdobędą lepszy rysopis, przestaną ścigać wiatr. Co będzie, gdy pogadają z gościem, którego zostawiłem w peep-show bez portek?

Ephraim uśmiechnął się.

- Masz go z głowy. Facet nie piśnie ani słowa.

- Dlaczego? Dobrze mi się przyjrzał. Jego kumpel też.

- Hm, jak powiedziałem, nie wydaje mi się, żeby z kimkolwiek rozmawiał, na pewno nie o tym, co się wtedy stało. Widzisz, kiedy znalazł go ten drugi, facet stwierdził, że został zaatakowany przez cały tłum Palestyńczyków. Powiedział też, że ty, czyli człowiek, który wszedł do biur OWP, jest przywódcą OWP lub kimś takim. W ciasnym kręgu Żydonazistów uczyniło to z niego bohatera. Za nic nie przyzna, że zrobił to jeden człowiek, którego miał śledzić.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Mamy wśród nich swoich ludzi. Chyba nie myślałeś, że pozwolimy tym dzikusom biegać bez smyczy?

Miło było to słyszeć, ale wcale nie poczułem się spokojniej. W zasadzie, im więcej o tym myślałem, tym większy ogarniał mnie niepokój.

- Wygląda na to, że ktoś w Biurze przejął się tą sprawą. Inaczej nie wysłaliby zespołu Kidonu do Stanów Zjednoczonych na tak grząski teren. Co mają? To znaczy, gdybym to ja prowadził śledztwo, w pierwszej kolejności sprawdziłbym, gdzie, do cholery, znajduje się niejaki Victor Ostrovsky, ostatni człowiek wyrzucony ze struktur Mosadu. I zanim byś się obejrzał, dowiedziałbym się, że ktoś od powiadający mojemu rysopisowi pojawił się w biurach OWP w Nowym Jorku.

- Hm, pewnie myślą, że to ty tam byłeś, ale żeby nabrać pewności, muszą cię najpierw znaleźć.

- Więc jestem teraz uciekinierem?

- Nie, ale miej się na baczności. Dbaj o swoje bezpieczeństwo i nie popadaj w euforię tylko dlatego, że jesteś na amerykańskiej ziemi. Mousa z wydziału bezpieczeństwa próbuje cię dopaść. Wiem o tym, bo telefonował do twojej żony z prośbą o przekazanie ci informacji, że chce z tobą rozmawiać. Domyślam się, że z jakiegoś powodu nie przekazała ci tej wiadomości.

- Rzeczywiście, nie przekazała. Pewnie przyszło jej do głowy, że chcą mnie przyjąć z powrotem, a jej zdaniem bezpieczniej dla mnie jest trzymać się od nich z daleka. Może o to jej chodziło, nie wiem.

- Tylko nie pytaj jej o to. Podsluchują wszystkie rozmowy. Jeśli przekonają się, że wiesz coś, czego ci nie powiedziała, dojdą do wniosku, że wcale nie straciłeś kontaktu z Biurem. Spalisz całą akcję.

- Będiesz informowany o postępach czynionych przez Kidoń, czy dowiesz się wszystkiego po fakcie?

- Wszelkie informacje przechodzą przez moje biurko, jeśli o to chodzi. Będę wiedział o niebezpieczeństwie i spróbuję cię ostrzec, gdy zaczniesz robić się gorąco.

Rozgrywka z Brytyjczykami okazała się równie nieskomplikowana jak wypadek do ambasady Związku Radzieckiego. Może nieco trudniejsza, ponieważ tym razem miałem do czynienia z bardzo rozbudowaną agencją wywiadowczą, posiadającą dobre lub wręcz doskonałe powiązania z Mosadem. Jedną wizytą nie byłem w stanie wymazać faktu, że narastało w tej agencji zaniepokojenie brudnymi gierkami Mosadu, ale przynajmniej czyniłem pierwszy krok w dobrym kierunku.

Musiałem mieć powód, żeby do nich przyjść. Musiałem też przedstawić dowody, że jestem z Mosadu. Ephraim wręczył mi kilka dokumentów, które mogły pomóc przekonać ich, że jestem tym, za kogo się podaję. Była wśród nich fotokopia brytyjskiego paszportu, którym posługiwałem się niemal rok wcześniej w trakcie operacji w Europie, oraz wypełniony formularz paszportowy.

Miałem również powołać się na człowieka, z którym wówczas utrzymywałem kontakt. Był przedstawicielem brytyjskiego rządu na Środkowy Wschód, gdzie dbał o cmentarze stanowiące pozostałość po upadłym Imperium. W Biurze panowało głębokie przekonanie, że gość pracuje dla brytyjskiego wywiadu i jego dodatkowym zajęciem jest zbieranie danych w tym rejonie świata. Udając kanadyjskiego reżysera filmowego, skontaktowałem się z nim i próbowałem wydobyć z niego jakieś informacje. Ephraim nie miał żadnych wątpliwości, że jeśli dzentelmen rzeczywiście pracował dla wywiadu, złożył odpowiedni raport i będzie w stanie zidentyfikować mnie.

Zdecydowaliśmy, iż wejść w rolę człowieka, który ma dwa powody, aby proponować im swoje usługi. Pierwszy powód - pieniądze. Drugi - zemsta. Miałem dodać, że jestem zaniepokojony działalnością Mosadu w Wielkiej Brytanii, która może doprowadzić do wzniesienia fali antysemitycznych wystąpień, a jeśli sprawy wymkną się spod kontroli, staniemy się świadkiem brytyjskiej wersji afery Pollarda, ujawniającej współpracujących z Mosadem brytyjskich Żydów.

Nikt nie miał złudzeń, że takie wydarzenia cofnęłyby nas do czasów „Protokołów Mędrców Syjonu”³. Tylko wcześ-

³ „Protokoły Mędrców Syjonu”: antysemityczny pamflet opublikowany po raz pierwszy w dziewiętnastowiecznej Rosji, mówiący o stworzonym przez tajny żydowski „rząd” (tak zwanych Mędrców Syjonu) planie przejęcia władzy nad chrześcijańską społecznością całego świata.

niejsze ostrzeżenie lokalnych władz i przygotowanie ich na taką ewentualność mogło zapobiec wstrząsom, jakie towarzyszyłyby ujawnieniu żydowskiej agentury Mosadu w Wielkiej Brytanii.

Brytyjski wywiad na pewno nie posłużyłby się takimi informacjami, by wzniecić antysemitkę kampanię. Prędzej czy później, gdzieś będzie musiało dojść do poważnych incydentów, skoro nowym szefem wydziału Tsafririm⁴ został Aaron Sherf, znany w firmie ze swej wojowniczości i wiary, że wykorzystywanie żydowskiej Diaspory jest boskim prawem Izraela.

- Co mam im powiedzieć, gdy będą chcieli usłyszeć coś więcej na ten temat? Przecież nie możemy dać im *sayanim* na talerzu.

- Nie, ale możemy im pokazać, jak ich znaleźć. Dużo lepiej będzie, gdy ostrzegą ludzi, zamiast ich wyłapywać. Przypuśćmy, że schwytają Żyda pracującego w ich przemyśle zbrojeniowym i przekazującego do Izraela informacje. Gdyby temu człowiekowi wytoczono proces sądowy, to - przy normalnym w takich przypadkach nagłośnieniu przez środki masowego przekazu - każdy Żyd na Zachodzie znalazłby się w niewesołej sytuacji. Podejrzewano by go o wszystko, co najgorsze. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, ale po tym, jak zachowywaliśmy się przez ostatnie trzydzieści lat, raczej nie możemy na niego liczyć.

Była druga po południu, gdy wysiadłem z taksówki dwie przecznice od ambasady brytyjskiej. Budynek z jasnoniebieskimi szybami w oknach stał nieco na uboczu. Wszedłem do

⁴ Tsafririm: słowo oznacza „poranną bryzę” i jest kryptonimem używanym na oznaczenie wydziału zajmującego się aktywnym wspieraniem, udzielaniem pomocy i aktywizowaniem żydowskiej Diaspory.

budki telefonicznej, odszukałem w książce numer ambasady i połączyłem się z sekretariatem. Po dwóch minutach udało mi się dotrzeć do człowieka odpowiedzialnego za bezpieczeństwo ambasady.

Prawdopodobieństwo, że telefon jest na podsłuchu, było znikome.

- Wyrzucono mnie z Mosadu i chciałbym porozmawiać z kimś z brytyjskiego wywiadu. Mam informacje, które, jak sądzę, mogą was zainteresować.

Mężczyzna po drugiej stronie nie wahał się ani chwili.

- Jest pan w Waszyngtonie?

- Tak. Prawdę mówiąc, znajduję się niedaleko ambasady.

- Mógłby pan do nas przyjść?

- Pewnie.

- Ile potrzebuje pan czasu?

- Jakies dziesięć minut.

Przed wejściem chciałem rozejrzeć się wokół ambasady i sprawdzić, czy ktoś nie obserwuje budynku. Musiałem też sprawdzić, czy jestem *czysty*. Jeśli po wyjściu będę miał ogon, przynajmniej dowiem się, kiedy się przyczepił.

Opisałem rozmówcy mój ubiór i powiedziałem, jak się nazywam. On ze swej strony zapewnił, że będzie czekać w głównym hallu. Uprzedził, żebym miał przy sobie jakiś dokument potwierdzający tożsamość.

Pod ambasadą znalazłem się dziesięć minut później; ściskałem w ręku hot doga, kupionego od ulicznego sprzedawcy stojącego obok budki telefonicznej. Zawsze czułem głód, gdy brałem udział w takich akcjach. Traciłem apetyt, kiedy w oczy zaglądało mi prawdziwe niebezpieczeństwo. Teraz czułem się całkiem niezłe. Miałem na sobie prążkowany garnitur, czarne buty, brunatny płaszcz i żółty krawat w symetrycznie układające się czarne kropki - wówczas standardowy krawat wszystkich yuppie. W drugiej kolejności wybrałbym krawat w barwny, drobiazgowo wyko-

nany deseń. Najwyraźniej dżentelmen, który na mnie czekał, dobierał krawaty w odwrotnej kolejności, jednak poza krawatem byliśmy ubrani niemal identycznie. Musiał się zdziwić, gdy podałem mu swój opis. Gdzieś na wieszaku w tym dużym budynku miał pewnie nawet podobny płaszcz. Uśmiechał się do mnie, kiedy szedłem do niego przez hall. Potem wyciągnął do mnie dłoń, przedstawił się jako Edward i uśmiechnął jeszcze szerzej. Po wymianie wstępnych grzeczności poprowadził mnie do szeregu drzwi w głębi budynku. Żeby umieścić klucz w zamku, musiał się zgiąć wpół. Wiszący mu na szyi łańcuszek z kluczami był trochę zbyt krótki.

Wjechaliśmy windą do jego gabinetu. Na wieszaku rzeczywiście wisiał płaszcz, dokładnie taki, jaki sobie wyobraziłem. Na oknie stał cały zestaw doniczek z roślinkami - zupełnie jak u nas, w Mosadzie. Najwyraźniej szpiegowanie wyzwała w ludziach potrzebę hodowania roślin.

- Nie miałem okazji rozmawiać z nikim poza panem, ale bazując na informacjach podanych przez pana, zdecydujemy, jakie będą nasze następne kroki. Czy tak będzie dobrze?

Z wyglądu był typowym Brytyjczykiem tuż przed czterdziestką. Blond włosy zaczesywał na jedną stronę, skąd opadały na czoło. Od czasu do czasu poprawiał niesforną grzywkę. Kołnierzyk jego koszuli znacznie odstawał od szyi, jakby przebywał na diecie, która przynosiła rezultaty szybciej, niż się spodziewał, albo jakby ktoś robił mu zakupy. Okazało się, że jest bardzo uprzejmym, ujmującym człowiekiem.

- Napije się pan herbaty? A może coś innego?

- Z rozkoszą napiłbym się kawy.

Edward wystawił głowę na korytarz i przekazał prośbę komuś po drugiej stronie drzwi. Zaraz potem wrócił do biurka, wyjął z szuflady blok do notowania. Otworzył mój paszport, spisał nazwisko i wszystkie dane. Kusiło mnie,

żeby podzielić się z nim kilkoma dowcipami, jakimi w Mosadzie raczymy „klientów” przy takich okazjach, ale powstrzymałem się. Fakt, że zajmował eksponowane miejsce w agencji wywiadowczej, świadczył o tym, że był członkiem defensywnego, a nie ofensywnego zespołu, i to raczej pracownikiem drugiego, jeśli nie trzeciego rzędu, porównując jego stanowisko ze strukturą Mosadu. Taki człowiek może być sfrustrowany i niezbyt skory do żartów, które na dodatek mógłby wziąć za osobistą obrazę. Wniesiono kawę i herbatę.

- A więc, panie Ostrovsky, o czym chciałby pan ze mną porozmawiać?

Zapałem papierosa, wrzuciłem osmoloną zapałkę do popielniczki i wygodnie opierając się na krześle, powiedziałem:

- Jak już wspomniałem w rozmowie telefonicznej, jeszcze kilka tygodni temu byłem członkiem Mosadu. Z kilku powodów zostałem zwolniony ze służby.

- Dlaczego tak się stało? - zapytał, nie podnosząc oczu znad kartki papieru.

- Wyrzucono mnie z powodu kilku niepowodzeń i mojej niewyparzonej gęby.

- To znaczy?

- Głośno dawałem wyraz moim przekonaniom politycznym, które nie pasowały do członka organizacji o wyraźnie prawicowym nastawieniu.

Ephraim stwierdził jasno: mam do czynienia z agencją stosującą bardzo wyszukane metody pracy operacyjnej. Sam to wiedziałem. Zostanie przeprowadzona analiza dostarczonych przeze mnie informacji, również pod kątem psychologicznym, dlatego wszystkie dane osobowe i moje przekonania, opinie i zapatrywania muszą być wewnętrznie spójne. W końcu, nie miałem opowiadać im bajek, tylko posłużyć się autentyczną historią ostatnich miesięcy mojego życia. Starłem się o tym pamiętać.

Mężczyzna w ogóle nie komentował moich wypowiedzi, przez co wywiad toczył się w zawrotnym tempie. Zadawał tylko pytania i notował odpowiedzi. Chwilami unosił dłoń, prosząc w ten sposób, abym mówił nieco wolniej, ponieważ nie nadążał z pisaniem. Nie mogłem ścierpieć takiego zachowania. We współczesnym świecie, pełnym najróżniejszych wynalazków technicznych i gadżetów umożliwiających rejestrowanie rozmowy, uważałem styl jego pracy za archaiczny i nieefektywny. Jednak to było jego biuro i to ja chciałem rozmawiać z ludźmi, których reprezentował, więc uwagi zatrzymałem dla siebie i nie skarżyłem się.

Rozmowa trwała prawie trzy godziny. Pokazałem mu jeden dokument Mosadu, okładkę fałszywego paszportu, przywiezioną przez Ephraima. Była to kartka 21 centymetrów na 27,5 centymetra z fotokopią pierwszej strony brytyjskiego paszportu. Paszport był fałszywy, a wpisy w dokumencie dały ogólny obraz, za kogo podawałem się w trakcie misji wywiadowczej. Na odwrocie znajdował się fragment planu Londynu, z zaznaczonym miejscem mojego pobytu. Załącznikiem była kolorowa fotografia mojego domu i wyimaginowanej rodziny, z dodanymi kilkoma zdaniem o każdym członku rodziny. Takie dokumenty zwykliśmy nazywać podręcznikiem kamuflażu. Zestaw ten musiał agentowi wystarczyć do chwili, gdy znajdzie się w punkcie kontaktowym, gdzie przed rozpoczęciem najważniejszego etapu operacji pozna wszystkie pozostałe szczegóły kamuflażu. Nazywaliśmy to pełnym kamuflażem, zbędnym w przypadku kogoś, kto przekracza granicę i jest narażony na indagacje służb wrogiego kraju. Tak czy inaczej, dokument, który przedstawiłem Brytyjczykom, był w pełni profesjonalny. Każdy, kto choć trochę znał się na rzeczy, natychmiast potrafił stwierdzić, iż doręczyciel dokumentu nie jest amatorem.

- Chciałbym panu bardzo gorąco podziękować, panie

Ostrovsky, za wszystko, co już od pana usłyszałem. Może być pan pewien, że przekażę informacje dalej. Skontaktuję się z panem, kiedy otrzymam instrukcje od ludzi, których te informacje zainteresują.

Wiedziałem, że taka jest procedura, dlatego opowiadałem tylko o sobie, nie powiedziałem nic ponad to, co pozwoliłoby ustalić, kim jestem. Resztę zostawiłem na później.

- Co teraz?
- Gdzie mogę pana znaleźć?
- Zatelefonuję. Kiedy będzie najlepiej?

Zastanowił się.

- Może w poniedziałek? Mniej więcej o tej samej porze.

Wstałem.

- W takim razie, do poniedziałku.

17

Niedziela, 4 maja 1986 r.

Z samego rana Ephraima nie było w pokoju; zostawił dla mnie wiadomość, że musi wcześniej wyjść, ale wróci na późną kolację. Wiadomość była podpisana „David”, kryptonimem uzgodnionym przez nas na oznaczenie autentycznych informacji. Gdyby na kartce widniał podpis „Mark”, wiedziałbym, że szykują się kłopoty.

Postanowiłem zaczekać w swoim pokoju. Telefon zadzwonił około dziesiątej trzydzieści - Ephraim siedział na dole, w jadalni. Okazało się, że tej nocy nawet nie zmrzążył oka. Sfuszerowano jakąś operację na Dalekim Wschodzie i do białego rana musiał latać dziury, wykorzystując znajomości zawarte niegdyś na Sri Lance. Próbował wydostać ciało agenta operacyjnego Mosadu, który pełnił funkcję doradcy lokalnego rządu w rozmowach z przywódcami Tamilskich Tygrysów, grupy rebeliantów, walczących o stworzenie własnego państwa na północy tej wyspy w kształcie ły. (W różnych stadiach konfliktu Mosad wspierał to jedną, to drugą stronę, dostarczając broń z - rzecz jasna - całkiem przyzwoitym zyskiem.) Agent został zastrzelony we własnym pokoju w hotelu w Colombo. W tym samym czasie na pokładzie kołującego na start samolotu linii Lanka Air eksplodowała bomba.

Główny problem nie był spowodowany faktem, że zginął jeden z naszych ludzi. Mosad miał działać na wyspie pod

auspicjami tamtejszej komórki CIA i amerykańskiej delegacji, jednak w rzeczywistości prowadził swą działalność bez wiedzy Amerykanów.

Kiedy zasiadaliśmy do śniadania, Ephraim miał już wszystko pod kontrolą. Ciało (rzekomo ofiary wypadku drogowego) znajdowało się na pokładzie czarterowego samolotu, lecącego do Australii, gdzie zaprzyjaźnione służby bezpieczeństwa miały zadbać, aby zostało wysłane do Izraela.

Zapalając papierosa, zapytał:

- Zażądałeś pieniędzy?

- Od kogo?

- Od Brytyjczyków.

Zagapiłem się w stół.

- Nie - odparłem po chwili. - Nie mówiliśmy o pieniądzach.

- Hm, następnym razem nie wolno ci o tym zapomnieć. Kwestię zapłaty musisz poruszyć już na samym początku rozmowy.

- Dlaczego? Przecież nikt nie płaci za informacje z niepewnego źródła. Miałem uchodzić za zawodowca, a oni wiedzą takie rzeczy.

- Jednak musisz poruszyć temat pieniędzy, żeby nie myśleli, że jesteś jakimś nawiedzonym społecznikiem. Powinni mieć świadomość, że za godziwą zapłatę mogą zadawać ci pytania, a nie tylko słuchać, co masz im do powiedzenia. Widzisz, jeśli pozwolisz im sądzić, że robisz to tylko z pobudek ideologicznych, skąd będą wiedzieć, czy można na tobie polegać? Musisz przekonać ich, że chodzi o pieniądze. Wtedy zrozumieją, dlaczego do nich przyszedłeś.

- Prawdopodobnie znacznie więcej dostałbym od Syryjczyków. Nie przyjdzie im to do głowy, kiedy usłyszą, że chodzi mi o pieniądze?

- Istnieje kilka powodów, dla których nie możesz pójść do Syryjczyków.

Dyskusja przeciągnęła się do godzin popołudniowych. Czulem się zmęczony, jednak rozmowa całkowicie rozwiązała ostatnie wątpliwości. Na jutrzejsze spotkanie Ephraim uzbroił mnie w dodatkowe dokumenty. Po obiedzie wrócił do swojego pokoju, który tym razem znajdował się na tym samym piętrze, co mój.

Następnego dnia chciał być obecny przy tym, jak będę telefonował do ambasady. Na wypadek, gdybyśmy coś przeczyli.

Zatelefonowałem do nich i zostałem poproszony o jak najszybsze przybycie. Czekają na mnie dwóch ludzi.

Ephraim był usatysfakcjonowany.

- Upieczemy kilka pieczeni na jednym ogniu - stwierdził radośnie.

- Czym będą pieczenie?

- Po pierwsze, niech się dowiedzą, że incydent na lotnisku to nie nasza sprawka i naprawdę zapobiegliśmy poważnemu zamachowi terrorystycznemu. Potem, zrzucając odpowiedzialność za wpadkę na londyńską komórkę, pozbędziemy się szefa komórki. Jeśli zdławimy londyńską komórkę, być może uda nam się drasnąć klikę na tyle mocno, że ktoś z zewnątrz przyjdzie zrobić porządku.

- Jesteś tego pewien?

- Posłużymy się tą samą techniką, której użyli prawicowcy w 1982 roku, żeby pozbyć się Kimche. Wyrzucimy śmieci pod wiatr. - Uśmiechał się, odgryzając kawałek batonika „Coffee Crisp”. - Jesteś z marynarki; wiesz, co się dzieje, gdy zrobi się coś takiego.

Chciałem zobaczyć Bellę i dziewczynki, traciłem już cierpliwość. Prawdziwie silna tęsknota dopadła mnie nagle, w najmniej oczekiwanym momencie. Problemem okazały się reklamówki kompanii telefonicznej AT & T. Ukazywały sentymentalne obrazki członków rodziny, którzy z początku są blisko siebie, a potem rozdziela ich duża przestrzeń. Na

dole ekranu pojawiał się slogan: SIĘGNIJ I POŁĄCZ SIĘ. Oglądając tę reklamówkę czułem się tak samotny, że przestałem włączać telewizję.

W ambasadzie zostałem przywitany przez tego samego mężczyznę, z którym rozmawiałem poprzednim razem. Miał na sobie krawat, jaki nosiłem tamtego dnia, a na mojej szyi wisiał krawat niemal identyczny z tym, jaki on wtedy założył. Poza tym, mieliśmy na sobie jednakowe „mundurki”.

- Miło znowu pana widzieć - rzekł, robiąc zabawny wypad do przodu, żeby otworzyć przeszkłone drzwi.

- Nie dadzą wam dłuższych łańcuchów? - spytałem.

Roześmiał się.

- Nie, według nich im krótsze, tym lepsze. Przepuścił mnie do środka i poprowadził w stronę wind, jednak tym razem w innej części budynku. Zaprowadził mnie do biura prawie identycznego jak jego własne, z tą różnicą, że tu na oknie nie było roślinek, a dużego, odrobinę sfatygowanego biurka nie zawałały sterty papierzyk. Siedzący za nim mężczyzna podniósł się i z uśmiechem wyciągnął do mnie otwartą dłoń.

- Nazywam się Steve. Miło mi powitać pana z powrotem po tak krótkiej przerwie.

Uścisnąłem dłoń.

- Ja jestem Dave. Miło mi, że zostałem poproszony o ponowne odwiedziny.

- Dave? Ależ odniosłem wrażenie, iż ma pan na imię Victor...

Spojrzał na leżącą na biurku kartkę papieru.

- Żartowałem - wyjaśniłem, zajmując miejsce na krześle.
- Widzi pan, w pracy „Dave” było moim „Steve”.

- Aha! - Uśmiechnął się szerzej. - Więc jednak ma pan na imię Yictor?

- Owszem.
- Czy moglibyśmy pana czymś poczęstować? - zapytał, siadając za biurkiem.
- Z ochotą napiłbym się kawy - powiedziałem, trzymając się przygotowanego wcześniej scenariusza. Wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów i kładąc ją na skraju biurka zauważyłem, że został w niej tylko jeden papieros. - Macie może gdzieś w budynku automat z papierosami?
- Zobaczę, co się da zrobić - rzekł mężczyzna, który mnie przyprowadził, po czym wyszedł na korytarz.
- Jak zrozumiałem, będę dzisiaj rozmawiał z dwoma panami.
- Tak. Kolega przyjdzie trochę później. Chciałby coś panu pokazać i uzyskać pana opinię.
- Pan będzie zajmował się tą sprawą?
- Będziemy to robić wspólnie. Dlaczego pan pyta?
- Chciałbym poruszyć sprawę finansów. Musimy o tym pomówić, zanim pójdziemy dalej.
- Mogę pana zapewnić, że będziemy bardziej niż wdzięczni za okazaną pomoc. Stawki zależą wyłącznie od wartości tego, co ma pan nam do powiedzenia.
- Mógłby pan wyrazić to nieco jaśniej?
- Obawiam się, że nie. Widzi pan, to nie my podejmujemy decyzje. Powinienem zacząć od tego, że zwykle nie zbieramy informacji na temat Izraela, gdyż jest to nasz sojusznik.
- Zapaliłem papierosa.
- Może skończmy z tym chrzanem - powiedziałem, rzucając słowa w chmurę tytoniowego dymu. - Obaj znaleźliśmy się tutaj nieprzypadkowo. Mam coś, wiesz o tym. Chciałbyś to mieć, ale najpierw musisz się upewnić, czy jestem tym, za kogo się podaję. Potem będziesz chciał się przekonać, ile możesz ze mnie wyciągnąć.
- Wolałbym myśleć o tym jako o wymianie...
- Hej, dajmy sobie spokój. Obaj wiemy, że gdybyś mógł

rzucić mnie na wieszak i wytrzepać ze mnie informacje, zrobiłbyś to bez chwili wahania. Tymczasem ja nie chcę od was nic poza pieniędzmi. Jeśli zapłacicie mi teraz, wyjdę i pozwolę zachować wam neutralność, o której mówiłeś. Więc... Od czego zaczynamy?

- Od początku, jak sądzę. Jaki miałeś stopień i jaką funkcję pełniłeś w Mosadzie?

- Miałem stopień pułkownika, ale dlatego, że zachowałem stopień z czasów służby w wojsku. W chwili, gdy opuszczałem Mosad, pracowałem w referacie duńskim i okazjnie wykonywałem rozmaite drobne prace dla innych referatów.

- Czy istnieje brytyjski referat?

- A czy papież jest katolikiem?

- Pracowałeś w tym referacie?

- Sporadycznie.

- Czy w Londynie znajduje się tajna komórka Mosadu?

- Owszem, przy ambasadzie.

- Jak wielu ma pracowników?

- Pięciu, ale jest to stan sprzed dwóch miesięcy. Nie wiem, ilu jest teraz, jednak nie więcej niż sześciu.

- Kto jest szefem komórki?

- Mam złą pamięć do nazwisk - powiedziałem z uśmiechem.

- Rozpoznałbyś go na fotografii?

- Pewnie. Macie jakąś?

- Dysponujemy zdjęciami większości dyplomatów. Sami dostarczają fotografie, kiedy składają dokumenty celem uzyskania akredytacji dyplomatycznej.

- Ułatwiamy sobie życie. Pokażecie mi fotografie, ja wskażę wam człowieka. Co dalej?

- Dlaczego do nas przyszedłeś? Dlaczego nie do Amerykanów lub Francuzów? Jeśli chodzi ci o pieniądze, dlaczego nie wybrałeś służb jakiegoś arabskiego kraju? Pewnie zapłaciliby ci kilka razy więcej.

- Nie lubię zawierać układów na obcej ziemi, brakuje mi poczucia kontroli. Poza tym, jesteście sojusznikami, więc w efekcie nie zdradzam mojego kraju, sprzedaję wam tylko informacje, które wam się słusznie należą. Jak robił to Pollard.

Młody mężczyzna wrócił z kawą i paczką papierosów. Przeprosił, że nie są amerykańskie, lecz w kantynie nie było innych.

Po jego wyjściu, Steve i ja zaczęliśmy rozmawiać znacznie spokojniej. Kilka minut później w drzwiach pojawił się jego partner. Z uśmiechem wszedł do środka. Był mniej więcej tego samego wzrostu co Steve, około metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany i opalony. Zupełnie jakby wrócił z wczasów na Karaibach, chyba że cierpiał na dziwną chorobę skóry. Jego blond włosy całkowicie posiwiały. Zaczesywał je tak samo, jak robił to Edward, tyle że miał z nimi dużo mniej kłopotu.

Steve szybko wprowadził go w temat rozmowy. Robert, nowo przybyły, otworzył dużą kopertę i wyjął z niej kilka arkuszy ze zdjęciami paszportowymi.

- Mógłbyś zerknąć na te fotografie i powiedzieć, czy kogoś rozpoznasz?

Rzuciłem na nie okiem i odłożyłem na biurko.

- Mógłbym.

- Więc, czy byłbyś łaskaw wskazać nam tych ludzi?

- A może to wy wskażecie mi, kogo podejrzewacie o kierowanie komórką Mosadu, a ja potwierdzę lub zaneguję?

- Ale - rzucił szybko Steve, poruszony propozycją - tak się nie robi.

- Rozumiem, wszystko według regulaminowych norm. I pewnie codziennie macie u siebie agentów operacyjnych Mosadu. Tylko dlaczego leciałeś całą noc z Anglii, żeby ze mną porozmawiać?

- Dlaczego mielibyśmy cokolwiek mówić? - zapytał Robert.

- W ten sposób uwiarygodnimy się. Kiedy udowodnię, że wiem, o czym mówię, pójdzie nam znacznie łatwiej.

- To ten - rzekł Robert, wskazując jedno ze zdjęć.

- Przyłóżcie się trochę bardziej - powiedziałem. - Nigdy w życiu nie widziałem tego człowieka. Musi pracować w ministerstwie spraw zagranicznych albo jeszcze gdzieś indziej. Można to poznać po krawacie.

- Po krawacie? - Roześmiał się, jakbym opowiedział dobry kawał. - Chcesz powiedzieć, że agenci Mosadu noszą specjalne krawaty?

- Nie. W kwaterze głównej, w Izraelu, nie chodzimy do pracy w krawatach. Kiedy robią nam zdjęcia do paszportu lub jakiegoś innego dokumentu, zakładamy jeden z dyżurnych krawatów w atelier. Nie mają ich tam wiele, tylko trzy różne wzory. Tak więc, kiedy dowiesz się, jak wyglądają te krawaty, nie masz żadnych problemów z rozpoznaniem agentów Mosadu.

Obaj uśmiechali się, jakby ktoś napluł im do kieszeni.

- Dobra - mruknął Robert, wskazując następną fotografię.

- Wydaje nam się, że to ten.

- I macie rację! To Yair. - Z kieszonki w koszuli wyjąłem zdjęcie, które otrzymałem od Ephraima tuż przed wyjściem do ambasady. Położyłem je obok wskazanego przez Roberta.

- Widzicie?

Zdjęcia nie różniły się prawie niczym; moje było nieco większego formatu. Wiarygodność została potwierdzona.

- Skąd to masz?

- W tej chwili to chyba nieistotne, prawda?

- Bardzo chętnie zobaczylibyśmy więcej materiałów tego typu - powiedział niezwykle uprzejmie.

- Teraz to niemożliwe. Nie mam zamiaru podawać wam na tacy całej komórki.

- Co w takim razie?

- Powiem wam, jak sami możecie znaleźć informacje. Tym sposobem, kiedy do nich dotrzecie, będą pochodzić z najpewniejszego źródła.

- Dobrze - kiwnął głową Robert. - Wszystko po kolei... Jest kilka rzeczy, o które chcieliśmy na początek zapytać. Potem zobaczymy, co się wyklaruje.

Potwierdziłem skinieniem i wyjąłem z paczki papierosa.

- Po pierwsze - zaczął, otwierając drugą leżącą na biurku kopertę. - Dotarli do nas plotki, że Mosad nie przestrzega postanowień zawartych w porozumieniu dotyczącym trzeciej strony¹.

- Nigdy nie przekazujemy informacji w takiej formie, w jakiej ją pozyskaliśmy. Modyfikujemy ją i dopiero wtedy odsprzedajemy.

- Myślałem, że już dla nich nie pracujesz.

- Nie pracuję.

- W takim razie, dlaczego używasz sformułowania „my”?

- Przyzwyczajenie. Wyleciałem całkiem niedawno. Prawdopodobnie mój umysł nie zaakceptował tego faktu, dlatego zacząłem tę grę z wami.

- Nadal masz tam przyjaciół?

- Tak sądzę.

- Jesteś z nimi w kontakcie?

- Nie w tej chwili, ale gdybym chciał, mógłbym kontakt nawiązać.

- Co wiesz na temat incydentu na Heathrow, próby przemycenia przez Palestyńczyków bomby na pokład samolotu El Al?

- Ochrona ich wyłapała, czyż nie?

¹ Porozumienie dotyczące trzeciej strony: zaprzyjaźnione agencje wywiadowcze podpisały dżentelmeńską umowę, stwierdzającą, że informacje, przekazane przez jedną agencję drugiej, nie będą udostępniane stronie trzeciej.

- Ochrona El Al, a nie służby lotniska.
 - A czego się spodziewaliście? Ochrona El Al jest najlepsza na świecie, zgadzacie się?
 - Czy to możliwe, że wszystko zostało ukartowane, żeby oczernić nasze służby? To znaczy, czy mogła to być manipulacja Mosadu?
 - Umieszczając prawdziwą bombę tak blisko samolotu? Niemożliwe, absolutnie nieprawdopodobne. Poza tym, dlaczego mieliby to robić?
 - Musimy rozważyć wszystkie ewentualności? Jesteś pewien, że tego nie zrobili?
 - Nie znoszę ich, jak pewnie zauważyliście. Możecie mi wierzyć, z ochotą powiedziałbym wam, że to zrobili. Niestety, nie zrobili. Ochrona El Al rzeczywiście jest tak dobra, to wszystko. Nie polegają za bardzo na elektronice.
 - Przecież dysponują wszystkimi najnowocześniejszymi urządzeniami.
 - Nie powiedziałem, że nie korzystają z nowoczesnych technologii. Twierdę tylko, że nie polegają na niej bezkrytycznie. Kiedy maszyny skończą swoje, wszystko sprawdzają jeszcze raz, własnoręcznie. Powiedziałbym, że stają twarzą w twarz z pasażerem.
- Znalazłem się w dziwacznej sytuacji. Przyszedłem tu w celu sprzedaży najcenniejszych tajemnic państwowych, a jednocześnie wychwalam osiągnięcia aparatu bezpieczeństwa. Brytyjczycy patrzyli na mnie z pewnym zakłopotaniem.
- Rozmawialiśmy kilka godzin. Szczegółowo omawialiśmy stosowane przez Mosad sposoby aktywizowania i utrzymania w Wielkiej Brytanii grupy ponad trzech tysięcy żydowskich współpracowników wywiadu, zwanych *sayanim*, system naboru do tej grupy, organizację punktów kontaktowych w rejonie Londynu i łączność z innymi, mniejszymi komórkami rozrzuconymi po całej Europie.
- Chyba najbardziej zainteresowała ich sytuacja punktów

kontaktowych, gdyż to ich sieć wywoływała zgrzyty w systemie służb antyterrorystycznych. Nie podobało im się również to, że Mosad pod ich nosem prowadził zakrojoną na szeroką skalę akcję rekrutacyjną. Wyczułem w ich głosie urazę i determinację, że coś z tym trzeba zrobić.

- Jeśli chcielibyśmy tu posprzątać, od czego, twoim zdaniem, powinniśmy zacząć?

- Najpierw powinniście dotrzeć do waszych polityków i uświadomić im, że działania przeciw Mosadowi nie są działaniami wymierzonymi w państwo Izrael. Mosad to wolny strzelec, niebezpieczny szkodnik niszczący każdego, kto wejdzie z nim w kontakt.

- To chyba już ustaliliśmy. Prosimy tylko o informacje operacyjne. Gdzie w systemie znajduje się wąskie gardło? Każdy system ma wąskie gardło, choć starannie próbuje się je ukryć. Gdzie jest wąskie gardło Mosadu, które pozwoliłoby nam wziąć ich działalność pod lupę i przerwać ją, kiedy nam się spodoba?

- Który *aspekt działalności chcielibyście zahamować*?

- Nie możemy tolerować faktu, że wykorzystują do prowadzenia swych operacji obywatele Wielkiej Brytanii. Z kolei, napiętnowanie całej żydowskiej mniejszości byłoby godne pogardy. Po drugie, nie możemy siedzieć beczynnie, gdy pod naszym nosem werbują dyplomatów, którzy znajdują się pod opieką naszego rządu. Przez nich mogą pogorszyć się nasze stosunki z tymi krajami.

- Hmm... Musicie przyłapać ich na gorącym uczynku.

Robert uśmiechnął się cynicznie.

- To takie oczywiste. Że też nie przyszło mi do głowy...

- Musicie obserwować punkty kontaktowe.

- Chętnie zgodziłbym się z tobą, ale jak je znajdziemy?

- Siedząc *bodela*.

- *Bodela*} Cóż to ma znaczyć?

- Słowo *bodel* pochodzi od wyrazu *lehavdil*, co znaczy

„łączyć”. *Bodel* jest łącznikiem, wąskim gardłem systemu. Do jego zadań należy przenoszenie różnych paczek i innych przedmiotów pomiędzy komórką Mosadu w ambasadzie i punktem kontaktowym. Jest tajnym posłańcem. Zwykle, jeśli nie zawsze, jest to człowiek świeżo po przeszkoleniu w elitarnych oddziałach wojska, młody Izraelczyk, specjalnie przygotowywany do działania na wrogim terenie, najlepszy z najlepszych. Większość punktów kontaktowych odwiedza za dnia, a nocami odbiera przesyłki z ambasady. Tylko sporadycznie korzysta ze środków transportu ambasady i nie działa według ustalonego schematu.

- Szukać kogoś takiego, to jak próbować złapać wiatr. To chcesz nam powiedzieć? I nazywasz to wąskim gardłem?

- Teoretycznie człowiek byłby nieuchwytny, ale tylko teoretycznie. Punkty kontaktowe są również dogłądane przez izraelskich studentów, którzy dbają o należyte zaopatrzenie w żywność i inne artykuły, dzięki czemu punkt może zostać uaktywniony natychmiast, kiedy zachodzi taka potrzeba. Niektóre punkty zamieszkują, inne tylko odwiedzają, żeby zabrać pocztę, włączyć lub wyłączyć światła, wykonać kilka telefonów. Stwarzają wrażenie, iż lokal jest zamieszkały. Kiedy wprowadza się do niego agent operacyjny, nie wzbudza niczyich podejrzeń. Na ogół są w tym samym wieku, co *bodel*, często spotykają się z nim na stopie towarzyskiej. Próbuję wam powiedzieć, że miejsca, które odwiedza w swym wolnym czasie, są w istocie punktami kontaktowymi. Obserwujcie te lokale. Jeżeli będzie odwiedzał je w ciągu dnia, znajdziecie punkty kontaktowe. Możecie śledzić go tak dużym zespołem, że nigdy nie zobaczy dwa razy tej samej osoby i dwóch takich samych samochodów. Chyba że nie dysponujecie takimi środkami.

Zapadła cisza. Rozważali to, co powiedziałem.

- To bardzo delikatna materia - odezwał się Robert, drapiąc się w głowę.

Tylko ja jeden paliłem papierosy, lecz pokój był dokumentnie zadymiony. Widziałem, że nie najlepiej znoszą taką atmosferę.

- Co masz na myśli? - zapytałem, rozpierając się na krześle.

Uśmiechałem się błogo. Byłem z siebie bardzo zadowolony. Zdawałem sobie sprawę, że osiągnąłem to, co zamierzałem, a do tego całkiem nieźle się bawiłem. To znaczy - do tej pory. Rzecz w tym, że to jeszcze nie był koniec.

- Powiedzmy, że będziemy śledzić tego człowieka i odkryjemy punkty kontaktowe, co z tym zrobimy? To znaczy, możesz sobie wyobrazić, jaki wybuchłby skandal, gdybyśmy wykryli kilka przypadków w stylu Pollarda?

- Natychmiast oskarży się nas o antysemityzm - zauważył Steve wpadając w minorowy ton.

- Nic takiego się nie stanie - zaprzeczyłem.

- Dlaczego nie? - Steve patrzył mi prosto w oczy, jasno dając do zrozumienia, że ma przeciwne zdanie. - Kiedy łowi się ryby, nigdy nie wiadomo, co się wyciągnie z wody.

- Londyńska komórka nie używa punktów kontaktowych dla swych *sayanim*. Odwiedza się ich we własnych domach, w trakcie normalnych, codziennych zajęć. Rzadko dochodzi do potajemnych spotkań, chyba że *sayan* wydobył w miejscu pracy jakieś cenne informacje. Punkty kontaktowe służą wyłącznie agentom operacyjnym, którzy nie przekraczają progu ambasady. Zwykle planuje się tam operacje i przygotowuje do akcji, czasami w tym miejscu kończy się operację, lecz potem niemal zawsze punkt zostaje zlikwidowany.

Ściemniło się. Wszyscy zrozumieliśmy, że w obecnej chwili nie zdziałamy nic więcej. Teraz informacje musiały być przeanalizowane, rozważone następne posunięcia, obmyślone kolejne pytania. Najwyższy czas ogłosić fajrant.

- Co dalej?

Robert wyjął z kieszeni białą kopertę i położył przede mną na biurku.

- To skromna próbka naszej wdzięczności za czas, jaki nam poświęciłeś. W niedalekiej przyszłości chcielibyśmy pomówić z tobą jeszcze raz i zadać kilka pytań. Oczywiście, zapłacimy za odpowiedzi.

- W niedalekiej przyszłości? Nie można sprecyzować terminu odrobinę jaśniej?

- Za kilka dni. Jeśli nic się nie zmieni.

- Nie jestem pewien, czy będę tutaj tak długo. Przed wyjazdem zatelefonuję i podam moje nowe zamiary.

- A jakie są twoje obecne zamiary?

- Jestem tu i tam... Zadzwoń jutro i podam konkretne dane. Może być?

- Wprawdzie jutro nas nie będzie, ale możesz zostawić wiadomość koledze. Przekáže nam. W zasadzie, może być naszym *bodelem*.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Po wyjściu z ambasady przeliczyłem pieniądze z koperty i przekonałem się, że Brytyjczycy są skąpi. Wprawdzie osiemset dolarów piechotą nie chodzi, ale przecież dałem im za to złote obcęgi, którymi będą mogli wyrwać ze swej ziemi szpony Mosadu. Robert wprawdzie obiecywał złote góry za listę *sayanim*, lecz mógł się śmiać i żartować, bo wiedział, że nie mam żadnych szans, by dostać się do kwatery głównej Mosadu i wynieść taką listę.

Jednak wcale nie musiałem pchać się do kwatery głównej. W moim pokoju, w hotelu, leżała kolekcja zdjęć prawie wszystkich agentów operacyjnych Mosadu. Nawet Ephraim nie wiedział, że jestem w jej posiadaniu. I nie mógł się dowiedzieć.

Na razie nie była mi potrzebna. Właśnie udało mi się zniszczyć bazę operacyjną Mosadu w Wielkiej Brytanii. Już niedługo zaczną mieć poważne kłopoty, a jeśli prawidłowo

odczytałem intencje Brytyjczyków, nie pozwolą, by Mosad poznał źródło tych kłopotów. Wypełniłem zadanie i jednocześnie wziąłem srogi rewanż. Zemsta naprawdę ma słodki smak. Przeraziła mnie siła nienawiści, jaką czułem do ludzi, którzy wyrwali mnie z beztróskiego, szczęśliwego życia, jakie wiodłem na ulicach Tel Awiwu, odebrali smutki i radości wynikające ze zwyczajnych, codziennych problemów. Nienawidziłem ich za to, że strzaskali wiarę w syjonistyczny sen o szczęściu, na którego straży mieli stać.

Ephraim leżał na łóżku, telewizor był włączony, ale bez głosu, światła zgaszone. Musiał spać już od kilku godzin, ponieważ w powietrzu nie było ani śladu papierosowego dymu.

18

Co robisz? - zapytał Ephraim zaspanym głosem, kiedy podniosłem słuchawkę telefonu.

- Zamawiam kawę. Brytyjczycy nie mają pojęcia, jak powinno się ją parzyć.

- I myślisz, że Amerykanie zrobią to lepiej? - zachichotał.

- Miałbyś ochotę coś zjeść? Ja umieram z głodu. Biorę dla siebie hamburgera.

- Weź dla mnie jedną z tych kanapek klubowych. Jak poszło?

Złożyłem zamówienie, a potem opowiedziałem o wyprawie do brytyjskiej ambasady. Sposób, w jaki kończyliśmy akcje, zaczynał działać mi na nerwy. Kiedy byłem w Mosadzie, wszystko wydawało się lepiej zorganizowane - najpierw składałem pisemny raport, potem omawiałem go i odpowiadałem na pytania. Teraz wyglądało to inaczej, bardziej jak zaspokajanie ciekawości całkiem postronnej osoby. Sam już nie wiedziałem, co myśleć o Ephraimie. Moje odczucia wobec niego zmieniały się jak w kalejdoskopie, od szacunku do pogardy.

- Co powiedzieli, gdy wręczyłeś im zdjęcie? - spytał.

- Chyba dobrze to rozegrałem. Zażądałem, aby najpierw pokazali mi jego fotografię, a dopiero potem wyjąłem tę, którą mi dałeś. W tym momencie zniknęły ostatnie wątpliwości, jeśli je mieli.

- Wspomnieli o sprawie El Al?

- Jak podejrzewałeś, uważają, że Mosad jest zdolny do takich sztuczek.

- Mają rację.
- Chcesz powiedzieć, że naprawdę to zrobiliśmy?!
- Tego nie powiedziałem. Potwierdziłem, że jesteśmy do tego zdolni. W przeszłości robiliśmy takie rzeczy.

Ephraim zadawał mi pytania, nie przerywając przeżuwania kolejnych kęsów kanapki klubowej. Był człowiekiem wykształconym, ale przy stole zapominał o dobrych manierach. Cierpliwie odpowiadałem na pytania, podczas gdy żołądek skręcał mi się w supełek, jednak nie mogłem zaspokoić głodu. Kiedy w końcu powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia, kiedy Ephraim poznał już każdy szczegół z mojego pobytu w ambasadzie, kawa zrobiła się zimna i znowu skończyły mi się papierosy.

- Idź po papierosy, a kiedy wrócisz, porozmawiamy o najważniejszym zadaniu - rzekł.

Ruszyłem do drzwi. Zawołał za mną:

- Wykonałeś kawał dobrej roboty, Via Nawet jeśli sprawiło ci to przyjemność, co nie powinno się zdarzyć, był to kawał solidnej roboty.

Więc jednak zauważył, że podobała mi się moja nowa rola. A już myślałem, że udało mi się go zwieść... Kupiłem dwie paczki papierosów i pobiegłem z powrotem. Nadszedł czas na finał, najważniejsze zadanie, akcję, która zakończy obecny etap i wyrwie mnie ze stanu zawieszenia, w jakim się znalazłem. Przetanę być posłańcem rebeliantów.

Świadomie powstrzymałem się przed wkroczeniem po raz kolejny do tej kloaki wątpliwości. Nie znaczy to, że nie miałem wątpliwości, po prostu w tej chwili nie dostrzegałem dla siebie żadnej alternatywy. Gdyby Ephraim chciał mnie zrobić, mógł to zrobić wiele razy, choćby teraz, po powrocie z mojej ostatniej wycieczki.

Kiedy wróciłem do pokoju, Ephraim wydawał się inny, zmartwiony, dręczony przez wątpliwości.

- Co się z tobą dzieje? Chyba nie wymiękasz?

Próbowałem zażartować. Nie był to najlepszy czas na strojenie kwaśnych min.

- Po prostu rozmyślałem o następnym etapie. Wciąż zostało wiele pytań, na które nie znamy odpowiedzi. Chyba będziemy musieli to odłożyć.

- O czym ty mówisz? O ile przesunie się w czasie zakończenie operacji?

- Niedużo. Tydzień, może dziesięć dni.

W jego głosie dosłyszałem wątpliwości. Bardzo możliwe, że poddawał mnie kolejnemu testowi. Miał nadzieję, że tak bardzo będę chciał już skończyć operację, że zgodzę się podjąć dowolne ryzyko. Potem mógłby powiedzieć: chciałem przełożyć akcję, to ty koniecznie upierałeś się, żeby przystąpić do działania. Obaj ukończyliśmy tę samą szkołę i nawet biorąc pod uwagę, że w porównaniu z nim byłem niemal żółtodziobem, nasze myśli biegnęły tymi samymi torami.

- Nie - rzekłem z przekonaniem. Nawet jeżeli była to jakaś gra, byłem gotów w nią zagrać. - Podejmij decyzję. Albo natychmiast robimy to, co mamy zrobić, albo ja się wypisuję.

- Posłuchaj, Vic, to nie jest takie proste. - Był śmiertelnie poważny. - To, co mamy zrobić, jest tylko częścią większego planu. Gdybyś zaczął robotę teraz i chciał rozwiązać problem, który jeszcze nie istnieje, byłbyś później podejrzany o prowadzenie podwójnej gry. A tam, gdzie się wybierasz, wolałbyś nie być o to posądzony.

- Musisz podać więcej szczegółów, Ephraim, bo nim się obejrzysz, będziesz mówić do ściany.

- Robimy to od tysięcy lat - stwierdził z uśmiechem.

- I dużo dobrego dla nas z tego wyniknęło - zauważyłem cynicznie.

- Chodźmy na spacer.

Propozycja zaskoczyła mnie. Nigdy przedtem nie chciałem pokazywać się ze mną w miejscu publicznym. Zresztą, nie

bez powodu. Zdziwiłem się, ale nie zadawałem pytań. Był starszy rangą, poza tym na zewnątrz zapadły już ciemności.

- Dokąd pójdziemy?

- Na spacer. Idź przodem, dogonię cię.

Kilka minut później szedł już obok mnie. Minęliśmy stację metra i dotarliśmy do niedużego baru, gdzie zajęliśmy stolik w głębi lokalu, dobrze ukryty, osłonięty przez przeładowany wieszak na ubrania.

- Shabtai i jego zespół Metsady postarał się o to, by pokojowa inicjatywa Jordanii została zdławiona w zarodku. Peres jest bezsilny. Wyszedł na durnia. Dużo czasu minie, zanim ktokolwiek odważy się mówić o pokoju.

- Dowiedziałem się o tym oglądając telewizyjne wiadomości.

- Do tej pory wciąż jeszcze można to nazwać grą *fair*. Niektórzy sądzą, że powinniśmy zawrzeć z Palestyńczykami pokój, inni są zdania, że powinniśmy skopać im tyłki, jednak podstawowe pytanie brzmi: Jak daleko posuną się nasi pravicowcy, aby osiągnąć to, czego chcą? Jak dobrze wiesz, ludzi pragnących pokojowego rozwiązania przedstawia się jako zdrajców, podczas gdy ci drudzy chodzą w aureoli patriotów.

- Masz wystarczająco wielu przyjaciół w mediach. Dlaczego nie posłużysz się nimi, jeżeli chcesz zmienić swój wizerunek?

- Robimy to, lecz nie mamy dostatecznej siły przebicia. Przynajmniej nie na to, co oni teraz planują.

Kelnerka w poplamionym fartuchu przyniosła nasze zamówienie. Postawiła na stoliku kawę i duże kawałki jabłkowego placaka, ani na chwilę nie przerywając zucia gumy. Na dodatek, obsługując nas rozmawiała z kimś znajdującym się na zapleczu. Przed odejściem od stolika zdobyła się na sztuczny uśmiech.

Zapaliłem papierosa i spojrzałem na Ephraima. Mówił

przyciszonym głosem. Chcąc usłyszeć słowa, musiałem pochylić się nad stołem.

- Mają zamiar urzeczywistnić kombinację jordańsko-palestyńską¹. Nawet siłą. Mają poparcie polityczne, zawarli porozumienia z pewnymi prawicowymi radykałami, którzy mogą zagwarantować masowe poparcie Diaspory, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

- Ten pomysł krąży już od jakiegoś czasu. To znaczy, z mównicy w Knesecie wykrzykiwano go wiele razy. W czym kłopot? Gdzie związek z nami?

- Dopóki mówili o tym politycy, wszystko było w porządku, ale teraz pakuje się w to gówno Mosad. Zdecydowali, że najwyższy czas zdestabilizować sytuację w Jordanii aż do anarchii.

- Zdestabilizować? Jak?

- Przez duży napływ fałszywych banknotów, załamanie rynku. Dozbrojenie fundamentalistów religijnych, tamtejszych odpowiedników Hamasu i Stowarzyszenia Braci Muzułmańskich. Zamordowanie czołowych postaci sceny politycznej, będących symbolem stabilności państwa, wzniecanie buntów na uczelniach i wymuszanie na rządzie ostrych reakcji, które odbiorą mu poparcie społeczne. Wiesz, o czym mówię. Uczyleś się o tym.

- Więc co miałbym zrobić?

¹ Wielu prawicowych polityków w Izraelu zdaje sobie sprawę, iż palestyński problem nie zniknie tylko dlatego, że tego chcą. Mają również świadomość, że Palestyńczycy naprawdę są narodem mającym aspiracje do posiadania własnego państwa. Politycy ci nie mają kłopotów ze wskazaniem, jak należałoby ten problem rozwiązać. Co więcej, wierzą, że tym samym zostałyby rozwiązane wszystkie problemy w regionie. Nie zamierzają jednak oddać ziemi pod państwo Palestyńczyków, proponując coś innego: skoro prawie 75% populacji Jordanii stanowią Palestyńczycy, Jordania powinna zostać przemianowana na Palestynę. I tak sprytnie zrzucają odpowiedzialność na kogoś innego.

- Chcę, żebyś uprzedził o tym Jordańczyków, dzięki czemu będą mogli zareagować, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Wiem, że Biuro planuje zrobić to samo w Egipcie i udowodnić, że pokój z krajami arabskimi nie jest wart nawet papieru, na którym go spisano. Osobiście jestem zaangażowany w działania w Jordanii. Mamy trochę czasu, zanim plan zostanie wprowadzony w życie.

- Słyszałem o tym. Mosad zaopatruje w broń egipskich fundamentalistów. Pośrednikiem jest chyba Afganistan, czy tak?

- Zgadza się.

- Ciągłe nie wyjaśniłeś, jak mam to Jordańczykom powiedzieć i liczyć, że mi uwierzą. Dlaczego sam im tego nie powiesz? Masz przecież dojście do Jordańczyków.

- Niewystarczające. Jednorazowy kontakt nie rozwiąże problemu. Za każdym razem, gdy powstrzymają jedną akcję, nasi wymyślą coś nowego. Musisz dać się zwerbować. Tym razem nie będzie to krótka wprawka. Naprawdę zostaniesz ich agentem.

Odebrało mi mowę. Sprawa okazała się poważniejsza, niż sobie wyobrażałem. Wstępowałem na wąską ścieżkę, prowadzącą tuż nad przepaścią. Nieważne, có pójdzie źle i kto mnie złapie, rezultat będzie taki sam.

- To twój własny pomysł? Wymyśliłeś to sam, czy przedyskutowałeś z innymi?

- Rozmawiałem o tym w szerszym gronie i doszliśmy do wniosku, że to jedyny sposób. Nie chciałem cię narażać, więc nie powiedziałem, kogo desygnuję do wykonania tego zadania.

- Macie jakieś pole manewru?

- Nie jesteś jedynym, który może to zadanie wykonać.

A to niespodzianka! Do tej pory żyłem w przekonaniu, że jestem zupełnie sam.

- Ilu nas jest?

- Wystarczająco wielu, aby wykonać zadanie. Tym razem gramy o całą pulę i to nie z sojusznikami. Z jednej strony, niewiele zdziałasz, dopóki nie będziesz wiedział, jakie akcje podejmie Mosad, ale z drugiej, masz niewiele czasu na to, by dotrzeć do Jordańczyków i nie zostać namierzonym przez naszych.

- Co mam zrobić?

Podjąłem decyzję, że od tej chwili przestaję piętrzyć problemy i zrobić, o co mnie poprosi.

Chciałbym powiedzieć, że zabrzmiało to jak muzyka dla moich uszu, ale rozminąłbym się z prawdą. Miałem zerwać wszystkie więzi z dotychczasowym życiem i w szybkim tempie stoczyć się do rynsztoka, przez co zyskałbym atrakcyjniejszy i bardziej wiarygodny wygląd dla moich nowych „panów”.

Ephraim posyłał mnie na ulicę bez jednego centa w kieszeni.

- Skontaktujesz się, gdy będziesz głodny, a kiedy nawiążesz łączność z Jordańczykami, zadzwoń pod ten numer. Spotkamy się.

Po wykonaniu telefonu miałem poczekać jeden dzień i stawić się w hotelu Four Seasons, znajdującym się w centrum Waszyngtonu. Znałem nazwisko hotelowego gościa, o którego miałem zapytać. W rzeczywistości będzie to Ephraim. W żaden inny sposób nie będę mógł się z nim kontaktować. Miałem na ulicy zdobyć nowych przyjaciół, którzy w razie czego powiadomią moją rodzinę. Wciąż będę posługiwał się prawdziwym nazwiskiem i utrzymywał łączność z Bella. Właśnie to było najtrudniejsze. W rozmowie telefonicznej nic nie mogłem jej powiedzieć, jej aparat na pewno był na podsłuchu. Nie będzie wiedzieć, co się ze mną dzieje. Nie mogłem nawet powiedzieć, że wszystko zbliża się do końca.

Miałem rozpocząć tę szaradę następnego dnia, toteż przed

zmieszaniem się z ulicznymi szumowinami na ostatnią noc wybrałem się do miasta.

Pojechałem do Rumors, znanego nocnego lokalu w centrum Waszyngtonu. Kupiłem butelkę tequili i coca-cole. Miałem nadzieję, że uda mi się utopić strach. Bałem się tego, co się niebawem stanie, jednocześnie wstydziłem się tego strachu. Miałem ochotę wyrwać się, zniknąć. Zastanawiałem się, co by się wydarzyło, gdybym zwyczajnie poszedł na dworzec autobusowy, wsiadł do pierwszego odjeżdżającego autobusu i wysiadł na ostatnim przystanku, gdziekolwiek by to było. Najprawdopodobniej byłoby to najlepsze rozwiązanie, dla każdego. Moja rodzina potrzebowała mnie teraz jak dziury w płocie. Byłbym dla nich tylko źródłem kłopotów. Czuję, że zaczynam użalać się nad sobą, co dodatkowo pogarsza sprawę.

Nagle, przez alkoholową mgiełkę, dojrzałem jakąś kobietę. Pytała, czy miejsce obok mnie jest zajęte. Ledwo pamiętam, co działo się później. Wiem, że udzieliłem pozytywnej odpowiedzi. W taksówce, gdy jechałem z nią do mojego hotelu, na krótko zadzwoniły mi w głowie dzwonki alarmowe. Za łatwo poszło, myślałem, to musi być pułapka. Ona została tu wysłana, żeby mnie porwać i zabrać do Izraela. Niemożliwe, żeby tak urodziwa kobieta wyszła z lokalu z tak zalanym facetem jak ja i pojechała na drugi koniec miasta, do jego hotelu, zostawiwszy w lokalu koleżankę, z którą przyszła. Chyba że zrobiło na niej wrażenie coś, co powiedziałem. Nie pamiętam. Zaryzykowałem. Jeżeli była na usługach Mosadu, to prędzej czy później i tak by mnie dopadła, więc równie dobrze mogłem odbyć z nią przyjemną wycieczkę do hotelu.

Okazało się, że nie pracowała dla żadnej agencji wywiadowczej. Szukała odrobiny ciepła i sympatii, zupełnie jak ja. Przez mgłę pamiętam, że odprowadziłem ją na dół i wezwa-

łem dla niej taksówkę. Rankiem wspomnienia spotkania z nieznaną przemieszały się ze snem. Choćbym chciał, nie potrafiłbym odróżnić faktów od sennych majaków.

Ostatnie śniadanie przed wyruszeniem na ulicę. Byłem sam, mierząc do celu i nie mając pojęcia, jak do niego trafić. Spakowałem do walizek swoje rzeczy, zostając w garniturze, który miałem na sobie w brytyjskiej ambasadzie. Po kilku dniach włóczęgi po ulicach będę wyglądał jak ktoś, kto stracił cały swój dobytek.

Właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że źle podchodzę do tego zadania. Ephraim poddał mi sugestię, jak mam je wykonać i może z jego punktu widzenia był to dobry pomysł, ale nie dla mnie. Gdyby była to normalna operacja Mosadu, przedyskutowalibyśmy wszystkie opcje i po kilku godzinach burzy mózgów znaleźlibyśmy najlepsze wyjście z sytuacji. Nie zrobiliśmy tego, a ja nie czułem się na siłach, aby wejść w rolę człowieka, który stracił cały dobytek i wylądował na ulicy. Wiedziałem, że to nie zda egzaminu. Nie byłem aż tak dobrym aktorem.

Wybrałem szybkie, bezpośrednie uderzenie w samo serce bestii. Włożyłem do kieszeni mój izraelski paszport i skierowałem się do metra. Wsiadłem przy centrum handlowym, jedną przecznicę od ambasady. Miałem zamiar napić się kawy, a potem wykonać decydujący ruch. Dwadzieścia minut później wysiadłem z taksówki przed główną bramą jordańskiej ambasady, mniej niż pięćdziesiąt metrów od ambasady izraelskiej. Przy wejściu strażnik zapytał mnie, kim jestem i po co przyszedłem. Powiedziałem, że chcę rozmawiać z szefem ochrony. Strażnik nalegał, abym podał powód mojej wizyty.

- Muszę rozmawiać z kimś z ochrony - powtórzyłem, wyjmując paszport i pokazując go strażnikowi.

Wyciągnął po niego rękę, ale cofnąłem dłoń.

- Więcej pokażę tylko szefowi ochrony.

Zawahał się, lecz w końcu podniósł słuchawkę telefonu i przez kilka sekund mówił coś po arabsku. Potem zwrócił się do mnie:

- Jedną chwilę. Osoba, z którą chciał pan rozmawiać, już idzie. Czy mógłby pan przejść przez bramkę?

Wskazał na bramkę wykrywacza metali, taką, jakie można spotkać we wszystkich portach lotniczych. Stała niemal pośrodku hallu, przed czterema rzędami schodów prowadzących na piętro. Po przejściu przez wykrywacz zostałem sprawdzony przez umundurowanego strażnika z ręcznym wykrywaczem. Do hallu wszedł szczupły, wysoki mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze. Zatrzymał się kilka kroków przede mną.

- Co możemy dla pana zrobić?

Ponownie wyjąłem izraelski paszport i podałem mu.

- Raczej ja mogę coś dla was zrobić.

Otworzył paszport, przekartkował, zerknął na fotografię i przeniósł wzrok na mnie. Na jego ustach zaigrał uśmiech, z początku ostrożny, potem coraz szerszy.

- Byłby pan łaskaw pójść ze mną?

- Z przyjemnością.

Przeszliśmy na górę, do spokojniejszej, biurowej części ambasady i weszliśmy do niewielkiego pokoju, w którym stało biurko i kilka krzeseł. Zasłony na oknie były zaciągnięte, ale pokój był dobrze oświetlony. Na ścianie za biurkiem wisiało duże zdjęcie, portret uśmiechniętego króla Husajna, ubranego w wojskowy mundur.

Pomieszczenie tchnęło obcością. Nawet w ambasadzie Związku Radzieckiego czułem się bardziej jak u siebie. Wysoki dżentelmen, pełniący obowiązki gospodarza, usiadł za biurkiem, pod portretem króla, i wskazał mi krzesło naprzeciw siebie. Był stanowczo zbyt elegancki jak na wystrój biura, w którym mnie przyjął.

- Może miałby pan ochotę napić się czegoś lub coś przekąsić?

Zaczynałem podejrzewać, że istnieje jakieś uniwersalne prawo dotyczące przesłuchań, które nakazuje rozpocząć od zaproponowania poczęstunku.

- Poproszę kawę - odparłem.

Przekazał prośbę strażnikowi, który eskortował nas na piętro. Następnie położył paszport przede mną, na biurku, i powiedział:

- Co pana do nas sprowadza, panie... - jeszcze raz zerknął do dokumentu - panie Os... rowasky?

- Ostrovsky - poprawiłem. - Można by rzec, że sprowadza mnie tutaj chciwość oraz, w dużej mierze, żądza zemsty.

- Zemsta, cóż za miłe dla ucha słowo. Na kim to chce się pan zemścić?

- Na moim poprzednim pracodawcy.

- A któż nim był?

- Mosad.

Widziałem, jak krew odpływa z jego twarzy, w kilka sekund zamieniając ją w szarą maskę. Czyżbym trafił na człowieka, który był wtyczką Mosadu w jordańskiej ambasadzie? Zawsze istniało takie prawdopodobieństwo, aczkolwiek znikome. Ephraim nie twierdził, że nikogo tu nie mamy. Stwierdził tylko, że umieszczenie w tym miejscu wtyczki nie było zadaniem o priorytetowym znaczeniu. Gdyby jednak mój rozmówca okazał się współpracownikiem Mosadu, nie pożyłbym długo.

Wstał i podszedł do drzwi.

- Za minutkę będę z powrotem - powiedział lekko drżącym głosem.

Zrobiłem na nim wielkie wrażenie, bez dwóch zdań. Jeśli rzeczywiście był wtyczką Mosadu i przestraszył się, że dezerter z wywiadu może go zdemaskować, zapewne czym prędzej opuści budynek i uda się do izraelskiej ambasady, którą pewnie zobaczyłbym z okna, gdybym odsłonił zasłony.

Zamiast do okna, podszedłem do drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Nikogo nie dojrzałem. Zaraz później wrócił strażnik i postawił na stole duży dzbanek z kawą oreos. Ten widok wywołał na mojej twarzy uśmiech. Oreos wydawała się tutaj równie nie na miejscu jak ja.

Mężczyzna wrócił po piętnastu minutach. Odzyskał normalny kolor twarzy i zdolność do uśmiechania się.

- Skąd mamy wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje?

- Mam pewne dokumenty, które możecie obejrzeć. Z ochotą odpowiem też na wszystkie pytania.

Obaj zapaliliśmy papierosa i zaczął się maraton pytań i odpowiedzi. Już na początku dałem jasno do zrozumienia, że nie znam z imienia i nazwiska wszystkich agentów Mosadu w Jordanii lub jakimkolwiek innym arabskim kraju, oraz że nie mam zamiaru przekazać im rysopisów i danych personalnych oficerów wywiadu, z którymi pracowałem. Najbardziej zainteresowała go kwestia interwencji Mosadu w działalność jordańskich fundamentalistów i wpływ Mosadu na trendy polityczne w samym Izraelu. Stwierdził, że w Jordanii nie mają zaufania do izraelskich polityków rozmawiających z nimi o pokoju. Wyjaśnił, że dawniej każdy obywatel Izraela, który to robił, zachowywał ten fakt w tajemnicy, ponieważ miał świadomość, że jakiegokolwiek przecieki na temat rozmów, albo nawet sama informacja, iż doszło do spotkania, stanowiłyby dla niego zagrożenie utratą pozycji lub czymś gorszym. Ostatnio przecieki zdarzały się regularnie i Jordańczycy wysnuli z tego wniosek: spotykający się z nimi ludzie nie byli szczerzy i najprawdopodobniej już wkrótce rozmowy o pokoju przejdą do historii.

Po kilku godzinach wymiany zdań Jordańczyk wyraźnie był usatysfakcjonowany tym, co usłyszał. Chyba nie miał wątpliwości, że jestem tym, za kogo się podaję.

- Poproszę teraz mojego szefa. Może ma do pana jakieś pytania.

Do pokoju wszedł wzbudzający sympatię dżentelmen dobiegający sześćdziesiątki. Miał lekki wąsik, przerzedzone, srebrne włosy były zaczesane do tyłu, a pod lśniącem, wysokim czołem, jaśniały okulary w złotej oprawce. Uśmiechał się po przyjacielsku.

Młodszy pracownik poderwał się na równe nogi.

- Panie Ostrovsky, oto generał brygady Zuhir.

Nowo przybyły wyciągnął do mnie rękę.

- Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, Victorze. Mam nadzieję, że nasza znajomość będzie długa i owocna. Mój przyjaciel dobrze cię traktował?

- Tak, oczywiście - odparłem, podziwiając bezpośredniość tego człowieka, umiejętność stworzenia dobrego pierwszego wrażenia.

- Z tego, co mi przekazał, zrozumiałem, że jesteś, a raczej byłeś, agentem Mosadu. Czy tak?

- Dokładnie tak.

- Znasz oficera łącznikowego Mosadu w Waszyngtonie?

- Owszem.

- Ja również. Spotkałem go w zeszłym roku, w czasie świąt Bożego Narodzenia. Byliśmy na bankiecie w Departamencie Stanu.

- Cóż, to nie mógł być mój przyjaciel.

- A czemuż to?

- Nie było go tutaj w czasie minionych świąt Bożego Narodzenia. Przyjechał dopiero trzy miesiące temu.

Generał uśmiechnął się. Pytanie było podchwytliwe, niewielu ludzi odpowiedziałoby prawidłowo.

- Teraz już wiem, że byłeś członkiem tej organizacji, ale skąd mam wiedzieć, że już nim nie jesteś?

- Chyba będziecie musieli mi zaufać.

- Co miałbyś do zaoferowania?

- Pomogę uczynić z waszego wywiadu organizację godną dwudziestego wieku i jednocześnie zapobiegnę różnym klęskom, które mają dotknąć waszą gospodarkę i króla.

W chwili, gdy wypowiedziałem słowo „król”, generał spoważniał.

- Króla? Co to ma znaczyć? Czy król jest w niebezpieczeństwie?

- Tak. To nic pilnego, nic, o czym mógłbym teraz powiedzieć, ale są tacy, którzy chętnie widzieliby go wśród martwych.

W pokoju zapadła cisza. Generał zastanawiał się. Młodszy funkcjonariusz patrzył na niego, czekając na jakąś reakcję. Narastało napięcie, które zaczęło udzielać się nawet strażnikowi przy drzwiach.

- Poleciałbyś do Ammanu, żeby spotkać się z kimś?

- Do Ammanu?

Propozycja spadła na mnie niczym grom. Amman, stolica Jordanii. Tak blisko Izraela, tak daleko od Stanów Zjednoczonych. Do cholery, jak mógłbym tam polecieć i marzyć, że kiedykolwiek uda mi się stamtąd wydostać? Istniał jakiś sposób, żeby się z tego wyplątać? Mógłbym powiedzieć „nie” i wyjść z tego cało?

Generał widział, że się waham. Powiedział:

- Przemyśl to. Jutro będę tutaj. Możesz zatelefonować i powiedzieć, co postanowiłeś.

- Jeżeli wyrażę zgodę, kiedy będę leciał?

- Nie powiedziałem, że polecisz do Jordanii. Chciałem tylko wiedzieć, czy wyraziłbyś zgodę. Muszę jeszcze pomówić o tym z pewnymi ludźmi.

- Będziecie rozmawiać o mnie przez telefon?

- Nie. Posłużę się używanym przez ambasadę systemem kodowanych depech.

- Nie rób tego... jeśli nie chcesz mnie zabić. Kod został złamany już dawno temu i o waszej linii można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest bezpieczna.

- Więc co radzisz?
- Użyć poczty dyplomatycznej lub wysiać gońca.
- Taka operacja zajmie więcej czasu.
- Zadzwoń jutro i przekażę moją odpowiedź - powiedziałem, wstając. - Nie widzę żadnych problemów. Będę tylko potrzebował jakichś gwarancji.

- Dobrze. W takim razie... Do jutra.

- Jeszcze jedno. Na wypadek, gdybym wam się przydał, mógłbyś sprawdzić, czy będziecie w stanie zaspokoić moją chciwość?

- O to się nie martw. Nie damy ci zginąć z głodu, że tak się wyrażę. - Wszyscy uśmiechnęli się. Tylko nie ja. Nie mogłem. - Jak przedstawiś się, kiedy do nas zatelefonujesz?

Zamyśliłem się.

- Isa. Przedstawię się Isa.

- Do zobaczenia wkrótce, Isa.

Generał uśmiechnął się i wyszedł z pokoju. Młodszy rozmówca odprowadził mnie do frontowych drzwi.

- Wezwać taksówkę? - zapytał.

Wsiadanie do taksówki przed ambasadą Jordanii, na przeciw ambasady Izraela, nie było dobrym pomysłem.

- Może mógłbyś mnie odwiedzić?

Poszliśmy do jego samochodu, stojącego na tyłach ambasady. Podwiózł mnie do najbliższej stacji metra. Dałem mu adres hotelu i numer pokoju, na wypadek, gdyby chcieli się ze mną skontaktować. Potem wysiadłem z samochodu tak szybko, jak to możliwe, i poszedłem na stację. Bomba poszła w górę. Gonitwa rozpoczęła się i teraz mogłem już tylko czekać, czy poczyniłem właściwe zakłady.

19

Ephraim miał mi dostarczyć pieniądze, ale - z jakichś powodów - nie zrobił tego. Gdyby to była normalna operacja Mosadu, mógłby pobrać tyle pieniędzy, ile mu się podoba z banku sayana - żydowskiego bankiera, który był godny zaufania i chętnie otwierał skarbiec zawsze, gdy wywiad potrzebował gotówki. Następnego dnia pieniądze byłyby zwrócone, po spłynięciu funduszy z kwatery głównej w Izraelu. Banki sayanów są wykorzystywane tylko w wyjątkowych sytuacjach. Moja operacja nie była oficjalną akcją Mosadu, musiałem więc liczyć, że Ephraimowi uda się coś zorganizować lub wyciągnę forszę od ludzi, dla których rzekomo miałem pracować.

Sytuacja wydawała mi się odrobinę śmieszna, nic na to nie mogłem poradzić. Współpracowałem równocześnie z agencjami wywiadowczymi kilku krajów, a nie miałem pieniędzy na porządny posiłek. Albo coś się szybko zmieni, albo nim się obejrzę naprawdę wyląduję w rynsztoku. Zgodnie z moim oszacowaniem, mogłem zatrzymać się w hotelu jeszcze przez kilka dni, a potem... koniec, cześć pieśni.

Siłą skierowałem myśli na przyjemniejsze tory i zatelefonowałem do Belli. Chciała wiedzieć, co się dzieje, skąd ma wziąć pieniądze na życie. Ephraim obiecał przesłać jej czek, który wyglądałby jak nadany przeze mnie. Miałem jej powiedzieć, że jest to zaliczka na poczet przyszłej pracy w firmie na stanowisku doradcy do spraw bezpieczeństwa. Bella nie powinna być pozbawiona materialnego zabez-

pieczenia. Gdybym nadal pracował dla Mosadu, nie miałaby problemów z pieniędzmi, a gdybym nie wplątał się w tę aferę, mógłbym zarobić na życie. W obecnej sytuacji, o finansie Belli powinien zadbać Ephraim. Jak się okazało, nie zrobił tego, ale ja wciąż żyłem w przekonaniu, że robi. Martwiłem się, jak Bella wiąże koniec z końcem. Na pewno pomoże jej ojciec, ale wiedziałem, że nie poprosi go o to, dopóki sytuacja nie stanie się naprawdę ciężka. Niewiele mogłem zrobić, poza zadrażnieniem się.

Około trzeciej nad ranem postanowiłem sprawdzić, czy Jordańczycy wysłali kogoś z zadaniem sprawdzenia mnie. Ubrałem się i wyszedłem z hotelu. Ulice były zupełnie opustoszałe, nikt za mną nie szedł. Jeśli miałem ogon, to albo był ślepy, albo uciął sobie drzemkę.

Następnego dnia zadzwoniłem do ambasady brytyjskiej i poprosiłem o spotkanie z łącznikiem. Chciałem zobaczyć się z nim gdzieś poza ambasadą i przekazać informacje. Poprosił, żebym zatelefonował za godzinę. Zrobiłem to i usłyszałem, że nie może opuścić budynku, ale chętnie spotka się ze mną na terenie ambasady, kiedy tylko będę miał ochotę. Uświadomiłem sobie, że zostałem uznany za niebezpiecznego osobnika, który prawdopodobnie współpracuje z jakąś mocno podejrzaną grupą. Ich człowiek nie chciał ryzykować. Ja również nie mogłem ryzykować jeszcze jednej wizyty w ich ambasadzie, toteż powiedziałem, że przekażę informacje telefonicznie.

Informacje - zbiór luźnych, rozmaitych materiałów - zostawił mi Ephraim przed odlotem do Izraela. Ponieważ od pewnego czasu w Europie nasilały się akty terroryzmu, informacje dotyczące aktywności organizacji terrorystycznych były poszukiwanym towarem. Żadna agencja nie uganiała się za nimi z takim samozaparciem jak Mosad. Jego agenci wchodzili w układy z każdym, żeby tylko pozyskać ostrzeżenie o planowanych zamachach na różne cele w Izraelu.

Obowiązywał ciągły rozkaz dla wszystkich agentów operacyjnych, stwierdzający, że pod fałszywą banderą¹ należy kontaktować się ze wszystkimi możliwymi organizacjami terrorystycznymi. Jedyne ograniczenie dotyczące tych kontaktów polegało na tym, że trzeba było uzyskać zezwolenie na przeprowadzenie akcji z Europejskiego Ośrodka Operacyjnego Mosadu w Brukseli i poczekać na zabezpieczenie spotkania z terrorystami przez oficera specjalizującego się w takich zagadnieniach.

Po ustanowieniu łączności z organizacją terrorystyczną i uzyskaniu zezwolenia, agent operacyjny miał wolną rękę, jeśli chodzi o działania zmierzające do uzyskania informacji pozwalających zapobiec atakowi na izraelskie cele. Zbierano również dane dotyczące ewentualnych zamachów na społeczność żydowską, ale nie przykładano się do tego, uważając, iż jest to rola lokalnych organizacji żydowskich. Pod żadnym pozorem nie wolno było palić źródła informacji tylko po to, by, zdobyte dane mogły posłużyć do ostrzeżenia jakiegoś środowiska żydowskiego.

W pewnych przypadkach nakładano dodatkowe ograniczenia, gdy podejrzewano, że terroryści mają powiązania z innymi organizacjami terrorystycznymi, które mogłyby uderzyć w izraelskie cele. Ograniczenie polegało na tym, że w zamian za informacje nie wolno było przekazywać żadnych materiałów wybuchowych. W takich wypadkach za uzyskane informacje odwdzięczano się zwykle dokumentami.

Wszystko to doskonale znałem. W trakcie pracy w różnych referatach, dostarczałem dokumenty na wymianę. Na przykład, przygotowałem całą serię czystych paszportów brytyjskich, które później wymieniono na informacje dotyczące prawdopodobnego ataku na izraelskie cele. Francuscy ter-

¹ Fałszywa bandera: w żargonie wywiadowczym termin oznaczający rozmyślne przypisywanie sobie narodowości innej niż izraelska.

roryści z grupy Action Directe, z którą handlowano, byli przekonani, że mają do czynienia z podobnym ugrupowaniem z Ameryki Południowej.

Na miejsce przekazania paszportów Action Directe wybrano skrytkę² w budce telefonicznej gdzieś w Niemczech Zachodnich. Ephraim posłużył się mną jako pośrednikiem i podrzucił Brytyjczykom wiadomość o skrytce kontaktowej. Mogli teraz porozumieć się z Niemcami i zgarnąć francuskich terrorystów przy próbie przejęcia paszportów. Niemcy mogli przylepić ogon dostawcy z Mosadu, obserwować punkt ze skrytką i w odpowiednim momencie zdjąć ludzi z Action Directe. Ephraim nie chciał, aby Francuzi pomyśleli, że zostali wrobieni przez południowoamerykańskich „kolegów”. Gdyby przyszło im to do głowy, mogliby podjąć próbę zamordowania posłańca, który w rzeczywistości był agentem operacyjnym Mosadu. Miał zamiar ostrzec Action Directe, żeby nie myśleli, iż izraelski wywiad wciąga ich w pułapkę.

Miał nadzieję (ja również), że incydent, nawet jeśli nie targnie potężną bryłą Mosadu, to przynajmniej wpędzi agencję w kłopoty. Zdawaliśmy sobie sprawę, że proces osłabiania wpływów Mosadu na izraelski rząd wymaga czasu, sama operacja podłożenia paszportów była planowana przez miesiąc. Terrorystom tłumaczono, że przygotowanie dokumentów trochę potrwa, ale przecież dzięki temu będą mieli czas na zdobycie informacji stanowiących uzgodnioną zapłatę.

Kiedy opowiedziałem o tym w rozmowie telefonicznej, brytyjski łącznik zaniemówił. Po dłuższej chwili zapytał:

- Życzysz sobie, żeby nasi ludzie skontaktowali się z tobą?

² Skrytka: specjalnie wyznaczone miejsce, gdzie można zostawić dane wywiadowcze lub inne materiały, aby można je było odebrać w późniejszym terminie. Mosad nigdy nie był odbiorcą materiałów z takich miejsc, wyłącznie dostarczycielem.

- Sam zatelefonuję za kilka dni. Jeśli mają jakieś pytania, niech przekażą je tobie. Może będę mógł cię uprzedzić o moim powrocie, ale wątpię.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Zrozumiałem, że łącznik nie wie, jak zareagować, co zrobić. Odwiesiłem słuchawkę i połączyłem się z ambasadą Jordanii.

- Mogę rozmawiać z Zuhirem? Mówi Isa.

- Proszę chwilę zaczekać, panie Isa - odpowiedział szybko kobiecy głos, po którym poznałem, że moja rozmówczyni wie, jak pilna jest sprawa.

Po kilku sekundach inny kobiecy głos powiedział:

- Pan Isa? Mówi Lorraine. Generał za chwilę podejdzie do aparatu.

Wydarzenia toczyły się lepiej, niż mógłbym sobie wymarzyć. Gdyby Mousa, mój instruktor w „szkole szpiegów”, a obecnie szef wydziału bezpieczeństwa w Europie, mógł mnie w tej chwili zobaczyć, byłby ze mnie dumny. Jednak było lepiej, że mnie nie zobaczył, ponieważ nie zdążyłbym mrugnąć okiem, a już leżałbym na marmurowym stole w kostnicy, z dziurą w głowie po kuli kaliber dwadzieścia dwa.

- Cześć, Isa. Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze. A co słychać u ciebie?

- Wszystko w porządku. Przygotowuję się do ramadanu. Zapewne się w tym orientujesz.

- Tak. Życzę ci, żebyś szybko zakończył wszystkie pilne sprawy.

- Dziękuję. Co zdecydowałeś?

- Jak to powiedzieć? Zawsze napalałem się na ciekawe wycieczki.

- Czy to znaczy „tak”?

- Owszem, to znaczy „tak”.

- Wspaniale. Powiem o tym naszym ludziom i odezwiemy się do ciebie. Będziesz pod tym samym adresem?

- Tak, jest tylko jeden problem. Kończą mi się pieniądze i jeśli szybko nie zdobędę forsy, będę musiał wyjechać.

- Dokąd wyjedziesz?

Oto pytanie, którego wolałbym nie usłyszeć. Ponieważ padło, musiałem brać pod uwagę możliwość rozciągnięcia „imprezy” w czasie, co najmniej na kilka dni. To wytrąciło mnie z równowagi. Nie rozumiałem, dlaczego traktowano mnie z taką nonszalancją. Może przyzwyciłem się do ekstremalnie agresywnej agencji, która pazernie chwytą każdą nadarzającą się okazję. Generał nie był kółkiem w maszynie podobnej do Mosadu, był prawdziwym żołnierzem; robił to, co uważał za słuszne, jednak nie podejmował decyzji za ludzi, którzy nie byli jego podkomendnymi.

Byłem sfrustrowany i słyszał to w moim głosie, tym bardziej, że nie starałem tego ukryć. Zdałem sobie sprawę, co Ephraim chciał osiągnąć, zostawiając mnie bez grosza

- miałem dodatkowy bodziec, żeby zakończyć naszą operację sukcesem. Nienawidziłem go za to.

- W tej chwili nie mam zielonego pojęcia, ale jak najszybciej będę próbował rozwiązać moje problemy finansowe.

- Domyśliłem się, że nie pojął, o co mi chodzi. - Muszę zarobić na życie, a nie mogę pracować w Stanach Zjednoczonych, więc pojedę do Kanady. Może tam coś znajdzie.

- Powiesz mi, gdzie będę mógł cię zastać? Na wypadek, gdyby odpowiedź, na którą czekamy, nadeszła z opóźnieniem?

- Jeśli nie będziesz miał odpowiedzi przed moim odjazdem, możesz zapomnieć o całej sprawie.

Czułem, że zaczyna robić się gorąco. Zdałem sobie sprawę, że muszę teraz pilnować się bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Kiedy wchodziłem do jordańskiej ambasady, byłem tak naładowany, że nie myślałem wiele o konsekwencjach. Spodziewałem się, że chwycą mnie obiema rękami i natych-

miast zagonią do pracy dla swoich służb wywiadowczych. Tak się jednak nie stało i to mnie niepokoiło.

Proces okazał się nieodwracalny. Informacja była w drodze do Ammanu i wkrótce znajdzie się w biurach jordańskiego wywiadu. Ponieważ informacja z całą pewnością posiadała najwyższy stopień uprzywilejowania, odbiorcą będą oficerowie najwyższej rangą, a jeśli Mosad jest wart swej reputacji, dowie się o wszystkim od zwербowanego oficera lub jego asystenta. Jeżeli Mosad nie miał agenta wśród oficerów wywiadu, niemal na pewno miał kogoś w otoczeniu króla. Powstrzymanie mnie stanie się zadaniem numer jeden. Być może już w trakcie tej rozmowy telefonicznej przygotowywano zespół, który miał mnie pojmać i wyeliminować.

- Zadzwoń, kiedy będziesz coś wiedział. Mam nadzieję, że do tego czasu jeszcze nie wyjadę.

- Odezwiesz się przed wyjazdem?

- Dobrze.

Odłożyłem słuchawkę. Czuję się jak balon, który wszedł w kontakt z bardzo ostrym szpikulcem.

Telefon zadzwonił o ósmej trzydzieści rano.

- Jesteś gotów do podróży? - usłyszałem głos **Zuhira**.

- Kiedy?

- Jutro po południu. Może być?

- Jeśli chodzi o mnie, może być.

Postawiłem warunek: generał pojedzie ze mną. Wyczułem, że jest człowiekiem honoru i na jego słowie można polegać, a obiecał mi bezpieczną podróż. Znałem go krótko, lecz widziałem w nim mężczyznę, który prędzej umrze, nim złamie dane słowo lub splami swój honor.

- Przyjadę po ciebie o dwunastej.

- Na jak długo wyjeżdżamy?

- Tydzień. W porządku?

- Pewnie. Do jutra.

Odłożyłem słuchawkę. Siedziałem przy telefonie kilka minut, próbując ogarnąć myślami, co się dzieje. Miałem udać się do kraju, który zawsze uważałem za wrogi, i zostać gościem tamtejszego wywiadu. Miałem przejść na drugą stronę, to właśnie się działo. Gdyby ktoś przyglądał się z boku mojej działalności, musiałby dojść do wniosku, że zachowuję się niewytłumaczalnie. Mosad albo o mnie nie wiedział, albo nic nie robił, nie chcąc ujawnić źródła. Do tej pory mogli tolerować moją aktywność, lecz w żadnym razie nie mogli pozwolić, abym wylądował w Am-manie.

Zstępowałem w otchłań. Wydostanie się z niej mogło okazać się niemożliwe. Miałem dwadzieścia cztery godziny na przygotowanie się do podróży, jednak nic, dosłownie nic nie mogłem zrobić, żeby zwiększyć swoje szanse na szczęśliwe zakończenie misji.

Wziąłem prysznic i ubrałem się. Musiałem pójść do telefonu i skontaktować się z Ephraimem. Była sobota. Miałem nadzieję, że go zastanę, ale nikt nie podnosił słuchawki. Nie mogłem zatelefonować z hotelu, nie mogłem też zadzwonić do Belli i powiedzieć jej, co się dzieje. Postanowiłem spróbować jeszcze raz nieco później. Wróciłem do hotelu. Czas włókł się niemiłosiernie, minuta za minutą, godzina za godziną. Co będzie, jeśli nie uda mi się z nim połączyć? Może to pułapka? Może już na mnie czekają? Nie potrafiłem zebrać myśli. Byłem zbyt podniecony i przerażony. Czuję się jak człowiek spacerujący po krawędzi wulkanu z zamkniętymi oczami. Wyczuwałem niebezpieczeństwo, ale go nie widziałem.

O szóstej po południu udało mi się złapać Ephraima. Byłem już u kresu wytrzymałości.

- Czołem! Co słyhać? - przywitał mnie wesole.
- Jutro wyjeżdżam - stwierdziłem bez żadnego wstępu.

Przez kilka sekund nie odpowiadał, a potem, przyciszonym głosem, starannie odmierzając kolejne słowa, rzekł:

- Czy masz na myśli to, o czym myślę?
- Na pewno. Dziś rano miałem telefon. Wyruszam jutro około południa.

- Niech mnie diabli!... Nic o tym nie wiemy. Nic a nic! Rozumiesz? Nawet gdybyś nie pojechał, jest to największa farsa w historii organizacji.

Wiedziałem, o czym mówi; mit, że Mosad doskonale wie o wszystkim, co dzieje się w krajach arabskich, rzeczywiście był mitem, mitem i niczym więcej. Po moich wyczynach powinny rozdzwonić się w Mosadzie wszystkie dzwonki alarmowe, tymczasem w Biurze panowała głucha cisza. Odetchnąłem głęboko, z wielką ulgą.

- Ale chcesz, żebym pojechał?
- Tak. To znaczy, jeśli myślisz, że dasz radę.
- Mam postępować według planu?
- Tak, dokładnie według planu. Jeżeli pozwolą ci na to.
- Zatelefonuję, gdy wrócę.
- Będę czekał. Jak długo?
- Powiedziano mi, że mniej więcej tydzień.
- Pamiętaj, ludzie są tam inni. Jeżeli umieszczą cię w hotelu, nie wychylaj z niego nosa. Może nie mamy nikogo w ich wywiadzie, ale na pewno mamy swoich ludzi w kręgach palestyńskich, czyli wszędzie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że o niczym nie usłyszeliśmy. - Roześmiał się. - Wciskali nam ciemnotę. Ciekawe, ilu tak zwanych agentów w rzeczywistości w ogóle nie istnieje.

Odwiesiłem słuchawkę i wróciłem do hotelu.

Zegarek wskazywał za kwadrans dwunastą w południe. Siedziałem w hotelowym hallu. Poprosiłem o zarezerwowanie pokoju, przygotowywano rachunek. Dokładnie o dwunastej

pod hotel zajechała limuzyna. Wysiadł z niej asystent Zuhira, wysoki, szczupły mężczyzna. Pozdrowił mnie na powitanie i rzekł:

- Jest pan gotowy?
- Tak, ale mam problem z hotelem.
- O co chodzi?
- Nie mam pieniędzy, a jestem zmuszony zatrzymać pokój do chwili powrotu. Rozmawiałem o tym z generałem. Poszedł do limuzyny i wrócił z kartą kredytową generała.
- Generał powiedział, że pokryje koszty rezerwacji.
- Będą chcieli, żeby złożył podpis.
- Podpiszę za niego. Proszę iść do samochodu.

Tak zrobiłem. Zuhir siedział w najdalszym kącie samochodu, ledwie mogłem dojrzeć go w mrocznym wnętrzu. Pomógł mi błysk jego szerokiego uśmiechu.

- *Ahalan w' sahalan*, przyjacielu - powiedział, wyciągając do mnie otwartą dłoń.

- Jak się miewasz? - powiedziałem z uśmiechem. Nie można było nie lubić tego człowieka.

- Najpierw polecimy do Nowego Jorku, dopiero stamtąd do Ammanu. Wszystko przygotowałem, zostaniemy odebrani z lotniska. Wszystko będzie dobrze.

- Znasz ludzi, którzy będą nas odbierać z lotniska?

- To moi przyjaciele, ludzie godni zaufania. Proszę.

Wręczył mi książeczkę z biletami lotniczymi. Na czerwonej okładce wyraźnie była widoczna złota, jordańska korona i wyraz „Alia”, po angielsku i arabsku. Wolałbym nie pokazywać się na lotnisku z takim eksponatem, obojętne, czy będzie to Washington National, czy Kennedy'ego.

- Mógłbyś to dla mnie potrzymać? - powiedziałem, oddając czerwoną książeczkę. Bilety zatrzymałem. Schowałem je do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Zuhir uśmiechnął się.

- Wy, szpiedzy, myślicie o wszystkim.

- Cóż, musimy, jeśli nie chcemy zawisnąć.
- O to się nie martw, mój przyjacielu, jesteś ze mną. Nikt cię nie tknie.

Odpowiedziałem uśmiechem,

- Mógłbyś wysadzić mnie przed wejściem do hotelu Sheraton? Tego w pobliżu lotniska?

- Oczywiście.

Wyglądał na zdezorientowanego i lekko zaniepokojonego. Nie domyślał się, o co mi chodzi.

- Chcę stamtąd wziąć taksówkę na lotnisko. Przecież nie wiemy, kogo tam spotkamy, a raczej wolałbym, żeby nie widziano mnie, jak wsiadam na pokład samolotu w towarzystwie najwyższego rangą oficera armii jordańskiej w Stanach Zjednoczonych. Chyba zgodzisz się ze mną, że nie byłby to dobry pomysł.

- Sam powinienem o tym pomyśleć. Oczywiście, zgadzam się z tobą w stu procentach. A co z portem lotniczym Kennedy'ego? Jak się tam umówimy?

- Podróżujemy pierwszą klasą?

Wyjąłem bilety i obejrzałem je.

- Oczywiście - odparł Zuhir, nie przestając się uśmiechać.

- W takim razie spotkamy się w hali odlotów linii Alia. Gdzie on się znajduje?

- Tak naprawdę, Alia nie posiada własnej hali odlotów. Korzystamy z gościnności Air France. O tej godzinie nie ma żadnych lotów Air France, więc będziemy sami. To znaczy, tylko ludzie lecący do Ammanu.

- Tam się spotkamy.

Wyjrzałem przez okno. Zuhir poinstruował kierowcę, aby najpierw zajechał przed Sheraton. Wtedy asystent powiedział coś do generała po arabsku. Zuhir zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Wiesz, gdzie jest terminal Air France?

- Obawiam się, że nie wiem.

- A wiesz, gdzie znajduje się stanowisko El Al?
- Zawahałem się, ale mimo to powiedziałem:
- Tak.
 - Cóż, kasy Air France są po jednej stronie, a hala odlotów po drugiej. Udając się do samolotu prawdopodobnie będziemy przechodzić obok stanowiska El Al. - Rzucił asystentowi zaniepokojone spojrzenie, a potem zapytał mnie:
 - Co proponujesz zrobić?
 - Nic. Spotkamy się w hali odlotów i kiedy nadejdzie pora, pójdziemy do samolotu. Co jeszcze moglibyśmy zrobić?
- Samochód zatrzymał się przed masywną bryłą Sheratona. Wysiadłem. Kierowca wyjął z bagażnika moją walizkę. Nie patrząc na limuzynę, wszedłem do hallu, odczekałem kilka minut i z powrotem wyszedłem na chodnik. Wezwałem pierwszą z brzegu taksówkę. Moi przyjaciele z Mosadu nie mieli najmniejszych szans na podsunięcie mi swojego pojazdu. Nie mieli na to czasu. Jeśli ktoś mnie śledził, a bardzo w to wątpiłem, postój przed hotelem musiał go całkowicie zaskoczyć. Czasem wszystkie te zabawy w kotka i myszkę zdają się być wesołymi, dzieciennymi igraszkami, ale gdy stawką jest twoje życie, zabawa przestaje być śmieszna. Każda próba pozbycia się ogona (obojętne, czy on istnieje, czy nie), może okazać się błogosławieństwem, dzięki któremu zyskasz akurat tyle czasu, żeby pozostać wśród żywych. Kiedy jeszcze pracowałem dla Biura, zdarzało się, że byłem pewny, iż nie mam ogona, ale w trakcie wykonywania obowiązków rutynowo kontynuowałem obserwację i nagle przekonywałem się, że przeoczyłem „rzepa”.
- Jazda taksówką zajęła tylko pięć minut, ale jak się okazało, posunięcie było bardzo opłaczalne. Stałem w kolejce do kontrolera biletów i paszportów, kiedy poczułem klepięcie w ramię. Byłem pewien, że to Zuhir. Może chciał mi coś powiedzieć, lecz ja wcale nie chciałem odwrócić się i go zobaczyć. Poszłyby na marne wszystkie przedsięwzięte środki ostrożności.

Następnemu klepnięciu towarzyszy! głos:

- Vic!

Znajomy głos. Głos z innego świata, innego życia. Przypadek? A może coś więcej?

- Rolly! Jak się masz? - powiedziałem, odwracając się i uśmiechając całą gębą.

Postawiłem walizkę na ziemi i uściśnałem jego dłoń. Energicznie potrząsnął moją ręką. Kiedyś był dobrym przyjacielem. Spędziliśmy wiele godzin na rozmowach o wszystkim, ale nigdy z nim nie pracowałem. On był łącznikiem na kraje skandynawskie, ja agentem operacyjnym w referacie duńskim, jednak często wpadaliśmy na siebie przy różnych okazjach.

- Słyszałem o twoim pechu. Współczuję.

Wyglądał na szczerze przejętego moim losem.

- Takie jest życie. Jak się tobie układa?

Obecnie był łącznikiem między Mosadem a CIA. Wiedziałem, że nic mi nie powie, ale mimo to zapytałem. Co innego mogłem powiedzieć? Słuchaj, mam w kieszeni bilet jordańskich królewskich linii lotniczych, lecę do Jordanii i masz pojęcie, z kim się spotkam?

- Nic nowego. Wszystko po staremu.

Przypomniałem sobie o generale brygady, który sprzedawał broń Irańczykom. Trochę było mi go żal. W końcu, to przecież ja wystawiłem go FBI.

- Co się dzieje z Bar-Amem?

- Kim?

Rolly, facet mierzący ponad metr osiemdziesiąt, nachylił się i ściszył głos, jakby chciał wymóc na mnie posługiwanie się szeptem.

- Avrahamem Bar-Amem, generałem, który został aresztowany za handlowanie bronią z Iranem, czy za coś podobnego.

- Nie rozumiem. Co miałyby się z nim dziać?

- Nie pomożecie mu wypłatać się z tego? Przecież pracował dla nas.

- Myślałem, że zostałeś wyłączony z gry...

Uśmiechnął się i zmrużył oczy, jakby podejrzewał, że to, co słyszał na mój temat, wcale nie musi być prawdą.

- Rzeczywiście, zostałem wyłączony, ale nie mogę w jeden dzień o wszystkim zapomnieć, chyba rozumiesz. Kiedy pracowałem w kwaterze głównej, wykonywałem dla niego dużo roboty. Pomyślałem, że skoro wrzuca się kogoś po szyję w gówno, to przyzwoitość nakazuje podać mu rękę i wydostać go stamtąd.

- Od kiedy to w tej grze obowiązują takie reguły? Nie widziałem, żeby Bar-Am był do tego* zmuszany przystawionym do skroni pistoletem. Wszedł w to, żeby czerpać zyski ze swych powiązań, zarabiać pieniądze. Nie zadziałało tak, jak to sobie wymarzył. Cóż, jego pech.

- Jak go dopadli?

- Nie mam zielonego pojęcia. Jednego dnia szło im doskonale, a następnego, jak grom z jasnego nieba, zważyło się na nich FBI i wszystko się skończyło. Mam przeczucie, że komuś z wewnątrz zależało na tym, żeby interesy się skończyły. Bar-Am wchodził w drogę Błękitnemu Rurociągowi³.

- To nie byłoby mądre. Amerykanie pomyśleliby, że jedna ręka nie wie, co czyni druga.

Miałem nadzieję, że usłyszę z jego ust potwierdzenie. Przecież właśnie o to nam z Ephraimem chodziło.

- Możesz być pewien, że tak właśnie myślą.

Po jego minie poznałem, iż nagle połapał się, że powiedział

³ Błękitny Rurociąg: kryptonim transportów izraelskiej broni sprzedawanej do Iranu, nadany po omyłkowym wysianiu dostawy w jasnoniebieskim kontenerze firmy Zim (izraelski przewoźnik morski). Do przewozu używano statków pływających pod duńską banderą.

za dużo i to do człowieka, który nie był już firmie. Albo i był, co jeszcze pogarszało sprawę.

- Hej, Rolly, to ja, Victor! Czym się martwisz? Wydaje ci się, że wykorzystam to, co mi powiedziałeś, i polecę do Ammanu czy co?

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

Błękitny Rurociąg był czymś więcej niż transportami amunicji do Iranu. Obecnie Mosad szkolił w Niemczech irańskich pilotów. Kontakt ustanowiono za pośrednictwem BND, niemieckich służb specjalnych. Nie zrobili tego wyżsi rangą oficerowie, lecz personel średniego szczebla. Mosad najbardziej lubił pracować właśnie w taki sposób. Dzięki temu kariery toczyły się jak należy, dostarczano przełożonym mnóstwo dobrych wiadomości, a sumienie polityków pozostawało czyste jak kryształ.

Na wyposażeniu irańskich sił powietrznych znajdowały się głównie amerykańskie samoloty, takie jak phantom, które jeszcze kilka lat wcześniej stanowiły najważniejszy element arsenału izraelskiej armii. Irańczycy byli w potrzebie. Chcieli szkolić pilotów w bezpiecznym otoczeniu oraz pozyskiwać części zamienne do psujących się samolotów. Izrael z radością przyszedł im z pomocą, ale posłużył się niemieckimi pośrednikami, dzięki czemu Irańczycy nie musieli się tłumaczyć sami przed sobą, że współpracują z samym syjonistycznym diabłem. Izraelscy piloci szkolili irańskich żołnierzy w kilku punktach malowniczego landu Schleswig Holstein. Dwa z nich były lotniskami, gdzie odbywano szkolne loty na specjalnie przebudowanych cescsach. W trzecim odbywały się treningi na pięciu symulatorach sprowadzonych w tym celu z Izraela.

W tym samym czasie we włoskich portach wyładowywano części zamienne do irańskich samolotów. Kontenery z częściami podróżowały dalej łądem, przez całe Niemcy, aż do Danii, gdzie ponownie załadowywano je na statki, tym

razem duńskie. Równoległe inne kontyngenty części transportowano bezpośrednio do duńskich portów na statkach wyczarterowanych przez Izrael.

Lokalne władze policyjne tego północnoniemieckiego landu wiedziały o tym procederze, ale nie wtrącały się, dopóki na ich terenie nie prowadzono żadnej działalności terrorystycznej, a operacja Mosadu pompowała pieniądze do ich własnej kieszeni.

Rolly kiwnął głową.

- Popatrz tam.
- Gdzie? - spytałem, obracając głowę powoli, żeby nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Rolly nigdy nie był dobry w działaniach operacyjnych. Nie musiał; w końcu, był tylko łącznikiem.

- Tam, w kącie, obok tego dryblasa.
- Widzę. O co ci chodzi?
- To Zuhir, attache wojskowy Jordanii. Ciekawe, dokąd się wybiera?
- Chcesz, żebym dla ciebie nawiązał kontakt i dowiedział się?

- Byłbyś do tego zdolny, prawda? Ty szalony skurczybyku! - Uśmiechnął się. - Trzymaj się od niego z daleka. Nie chcemy tu żadnych międzynarodowych incydentów, po których będę musiał pisać nie kończące się raporty.

Raporty... Wiedziałem, że w następnym raporcie może donieść o spotkaniu ze mną, opisać okoliczności, swoje domysły co do celu mojej podróży, oraz co do słowa powtórzyć naszą rozmowę. Fakt, że rozpoznał Zuhira i zainteresował się celem jego podróży, nie był dla mnie dobrym znakiem. Musiałem rzucić na tę sprawę nieco światła.

- Pozdrów ode mnie Mousse.
- Nie pracuję z nim.
- Mousa jest szefem ochrony w Europie, tak więc, jeśli

wspomnisz mnie w raporcie, przy okazji prześlij mu pozdrowienia. Zaufaj mi, na pewno je dostanie. Przy okazji, przyleciałeś czy odlatujesz?

- Ani jedno, ani drugie. Wyszedłem po żonę. Wraca dzisiaj z podróży do Izraela.

Zbliżała się moja kolej przy stanowisku, gdzie na podstawie biletu i paszportu wydawano przepustki pokładowe. Z radością słuchałem słów Rolly'ego:

- O, jest! Właśnie przyleciała. To na razie. Cześć!

Uścisnąłem jego dłoń na pożegnanie, a zaraz potem wręczyłem bilet strażnikowi. Odebrałem przepustkę, przeszedłem przez bramkę wykrywacza i zatrzymałem się przed wejściem do korytarza odlotów. Zuhir zauważył mnie, ale, zgodnie z umową, nie zwrócił na mnie uwagi. Po jego minie poznałem, że jest ciekaw, kogo przed chwilą spotkałem.

Po krótkim przelocie z Waszyngtonu i lądowaniu w porcie lotniczym Kennedy'ego, odszukałem stanowisko Air France. Zapadł już zmierzch. W pobliżu stanowiska linii El Al kręciło się mnóstwo ludzi i modliłem się, żeby nie było wśród nich jakiegoś dawnego znajomego. Miałem nadzieję, że samolot El Al startuje przed samolotem linii Alia. W przeciwnym wypadku musiałbym udać się na pokład jordańskiego samolotu parując przed trzema setkami Izraelczyków.

Kiedy opowiedziałem Zuhirowi o spotkaniu z kolegą, z początku był zaniepokojony, ale później rozpozgodził się.

- Żeby akurat w tym miejscu i w tym czasie spotkać przyjaciela. - Roześmiał się. - Przeznaczenie, to przeznaczenie. Nic nie możemy na to poradzić. Jesteśmy w rękach Allaha i będzie tak, jak On sobie życzy.

- Jestem pewien, że jest dzisiaj w dobrym humorze.

Kolo Fortuny ciągle toczy się po mojej myśli, jak to mawiają.

- W moich stronach tak nie mawiają.

Ponownie roześmiał się; był w wyjątkowo dobrym nastroju. Nie dziwiłem się, ostatecznie wracał do domu z cenną zdobyczą, agentem izraelskich służb wywiadowczych. Mogłem sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym to ja wiół go do Izraela. Prawdopodobnie byłbym w siódmym niebie.

Przebywaliśmy w hali odlotów ponad godzinę. W końcu nadeszła pora wejścia na pokład samolotu.

- Nie wiesz, czy samolot El Al już wystartował? - zwróciłem się do generała, zniżając głos do szeptu.

- Nie. Planowo wystartuje dopiero w godzinę po naszym.
- Domyślał się, o co mi chodzi. - Chciałbyś coś na siebie włożyć? Zamaskować się?

- Masz zapasową kafię?

Otworzył aktówkę i wydobył z niej biało-czerwone nakrycie głowy.

- Czy to rozwiąże problem?

Owinąłem głowę. Z boku na pewno nikt nie mógłby mnie rozpoznać. Trochę mi ulżyło.

- Dzięki. To wystarczy.

Kiedy mijaliśmy pasażerów czekających na lot El Al, niemal wszyscy bacznie nam się przyglądali. Nie codziennie widuje się wroga z tak bliska. Rozpoznałem w tłumie znajomego z Holon i byłem prawie pewien, że on również mnie rozpoznał. Nie przejąłem się. Dopóki nie pracował dla Mosadu lub Shaback, nie miał nikogo, komu mógłby o mnie opowiedzieć. Poza tym wiedział, że pracuję przy jakichś tajnych projektach, więc chyba przyszło mu do głowy, że wykonuję kolejne zadanie. Zaczeka na dzień, kiedy spotka mnie na ulicy Holon. Wtedy wróci do dnia, gdy widział mnie wsiadającego na pokład jordańskiego samolotu i po-

chwali się, że nie zrobił nic, co mogło zniszczyć mój kamuflaż.

I tak w końcu wkroczyłem na pokład samolotu, który okazał się samolotem włoskich linii Alitalia, czarterowanym przez Alia i obsadzonym przez jordańską załogę. Kiedy oderwaliśmy się od ziemi, uświadomiłem sobie, że tym razem naprawdę nie ma odwrotu. Następny przystanek - Amman.

20

Wtorek, 20 maja 1986 r.

Długi lot dobiegał końca, kończył się również dzień. Samolot lekko pochylił się na prawo; dojrzałem ląd. Kierowaliśmy się na wschód. Minęliśmy linię brzegową i poczułem nieprzyjemny ucisk w dole brzucha. Pilot ogłosił, gdzie się znajdujemy, ale ja wiedziałem to już wcześniej: tym wielkim, szarym lądem pod nami, skąpanym w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, była Syria.

Wciąż nie mogłem oswoić się z sytuacją. Ja, obywatel Izraela, siedziałem w przedziale pierwszej klasy samolotu jordańskich królewskich linii lotniczych, znajdując się nad terytorium Syrii, w towarzystwie jordańskiego attache wojskowego w Stanach Zjednoczonych. Niewiele brakowało, żebym zawisł za to na najbliższym drzewie.

Po kilkunastu minutach samolot zrobił następny zwrot. Teraz kierowaliśmy się na południe, powoli opadając ku stolicy Jordanii, Ammanowi. Okrążyliśmy Izrael. Z okna widziałem, jak moja ojczyzna zostaje w tyle, znika z oczu tam, gdzie słońce skrywa się za szczytami gór Moab. Byłem tak blisko Belli, prawie mogłem jej dotknąć, lecz tak naprawdę byłem od niej i dzieci dalej, niż kiedykolwiek przedtem. Zacząłem wówczas rozumieć, co znaczy powiedzenie, iż człowieka ogarnia czarna rozpacz.

Kiedy koła dotknęły pasa międzynarodowego portu lotniczego Queen Alia, było już ciemno. Samolot zatrzymał się.

Stewardesa, która gorliwie obsługiwała nas przez całą drogę od Nowego Jorku, stanęła za nami i zablokowała przejście z jednej strony, a oficer nawigacyjny stanął po drugiej stronie. Zostaliśmy skutecznie odcięci od pozostałych pasażerów.

- Nikt nie wyjdzie z samolotu dopóki nie opuścimy terminalu - wyjaśnił Zuhir, wskazując na otwarte drzwi.

Skierowaliśmy się do wyjścia, gdzie oczekiwał nas pilot samolotu. Zuhir uściśnął dłoń mężczyzny, który uśmiechał się tak promiennie, jakby spotkał samego króla. Po drugiej stronie, na dole podstawionych schodów, natknęliśmy się na kilku oficerów w paradnych mundurach, wyprężonych na baczność i salutujących na widok towarzyszącego mi generała. Ten oddał honory i każdemu uściśnął rękę. Było dla mnie oczywiste, że oficerowie nie reagują tylko na rangę Zuhira; szczerze go podziwiali, darzyli szacunkiem. Szybko przeszliśmy przez niewielki terminal. Mój paszport przez cały czas tkwił w dłoni generała, nie został ostemplowany - standardowa procedura w tym zawodzie.

Wprowadzono nas do przestronnego pokoju dla VIP-ów, gdzie przywitała nas - a raczej Zuhira - grupa umundurowanych oficerów. Kilku z nich posiadało stopień generała, większość - pułkownika. Mój towarzysz zmieszał się z oczekującymi, ja zostałem na uboczu. Podeszedł do mnie wysoki, szczupły dżentelmen, czarnowłosa, z drobnym, czarnym wąsikiem i szerokim uśmiechem.

- Poznać cię, Isa, to prawdziwy zaszczyt. Nazywaj mnie Albert.

Odważem się uśmiech i uściśnąłem wyciągniętą do mnie rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Albert.
- Mówisz choć trochę po arabsku, przyjacielu?
- Obawiam się, że nie.
- W takim razie, mam nadzieję, że wybaczysz mi mój

łamany angielski i pozwolisz, że będę pytał o znaczenie słów, których nie zrozumieć.

- Żaden problem - odparłem. - Nie masz za co przepraszać, mówisz nie gorzej niż niektórzy Anglicy.

- Jesteś zbyt uprzejmy - stwierdził z uśmiechem.

Nie miałem zamiaru zaczynać gry w tym dziwnym miejscu, nie rozeznawszy się lepiej w prawidłach rządzących tutajszymi rozgrywkami. Uśmiech mógł być zwodniczy, mógł ukrywać nieskończone pokłady cynizmu. Kątem oka przyglądałem się Zuhirowi. Przekonałem się do tej podróży, ponieważ to on udzielił mi osobistych gwarancji i wierzyłem, iż jest człowiekiem honoru. Głupio byłoby stracić z oczu moją rękojmię. Ufałem Zuhirowi głównie dlatego, że był wojskowym, a nie jednym z kółek maszyny wywiadowczej. Nie wątpiłem, że gdyby stracił mnie z oczu, wydarzenia mogły potoczyć się inaczej, niż zaplanował, lecz nie byłby zdolny naprawić zaistniałej szkody. System podsunąłby mu tylko jakąś historyjkę dla uspokojenia Sumienia. Nie mogłem dopuścić, żeby tak się stało.

Kiedy udało mi się pochwycić spojrzenie Zuhira, wskazałem pytającym gestem na Alberta. Generał zrozumiał, że chcę upewnić się, czy mężczyzna jest godny zaufania. Kiwnął głową, odłączył się od grupy oficerów i podszedł do mnie.

- Ten człowiek zabierze cię do hotelu i będzie o ciebie dbał. Znam go i uczyniłem go osobiście odpowiedzialnym za twoje bezpieczeństwo. - Położył dłoń na moim ramieniu. - Witamy w Jordanii.

Zrobił zwrot na pięcie i wrócił do swych towarzyszy.

Albert poprowadził mnie na zewnątrz budynku portu lotniczego. Noc była ciepła. Na parkingu stało kilka samochodów, wśród których kręcili się mężczyźni w cywilnych ubraniach. Podeszliśmy bliżej. Dostrzegli nas, jeden z nich uchylił drzwi samochodu - drugiego w szeregu. Inni szybko zajęli miejsca w pozostałych pojazdach. Niewielki konwój

przez dwadzieścia minut poruszał się drogą, która przypominała mi drogi przecinające pustynię Negew, by ostatecznie zatrzymać się przed Regency Pałace Hotel w Ammanie. Podczas jazdy nie widziałem za wiele miast, jednak o ile było mi wiadomo, nie było co oglądać. Amman nie był aglomeracją w amerykańskim stylu, z drapaczami chmur i światłami neonów. Na pierwszy rzut oka wyglądało jak przerośnięta wioska. Albert wyjaśnił, że mało kręci się po ulicach, ponieważ rozpoczął się ramadan, ale nie znaczyło to, by w każdej innej chwili stolica tętniła życiem na miarę Nowego Jorku.

Ku mojemu zdumieniu i przerażeniu, zostałem zameldowany pod prawdziwym nazwiskiem, mimo że przez cały czas zwracano się do mnie per „Isa”. Dostałem klucz do pokoju na ósmym piętrze. Albert odprowadził mnie do windy i zatrzymując się przed drzwiami powiedział, że wróci za godzinę z ludźmi, którzy chcieliby ze mną porozmawiać. Zasugerował, żebym odpoczął. Gdybym miał ochotę, miałem sobie zamówić coś do jedzenia.

- Myślę, że powinieneś zostać w pokoju do czasu, aż wszystko uporządkujemy.

- Dlaczego zostałem zameldowany pod prawdziwym nazwiskiem?

- Nie wiem. Nie ja organizowałem twój przyjazd. Człowiek, który jest za to odpowiedzialny, przyjdzie później ze mną. Zapytasz go.

Wcale nie przejmował się faktem, że właśnie popełnili gafę, która mogła kosztować mnie życie.

- Jaki masz stopień? - zapytałem, gdy już zbierał się do odejścia.

Odwrócił się, zbity z tropu.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Skoro obaj mamy jakiś stopień, dobrze byłoby wiedzieć, kto ma wyższy.

Wciskałem kit, ale dla ludzi służących w wojsku ranga może mieć znaczenie. Strzelałem na oślep.

- Jestem kapitanem. Jaki jest, a raczej był, twój stopień?

Wyczuwałem w jego głosie lekką ironię.

- Pułkownik. - Zobaczyłem, że otworzył oczy nieco szerzej i wiedziałem, że mój manewr odniósł pożądany skutek. - Jeszcze jedno...

- Tak?

- Muszę mieć numer telefonu albo jakiś inny kontakt. Na wypadek sytuacji awaryjnej.

- Oczywiście. Przepraszam. - Wyjął z kieszeni notesik i coś zapisał. - Proszę, to numer do centrali policji bezpieczeństwa. Powinienem znaleźć się tam za dziesięć minut. Zapytasz o Alberta. Jednak za godzinę będę z powrotem.

Pokój wydawał się taki sam jak ten, w którym mieszkałem podczas pobytu w Waszyngtonie, różnił się jedynie programami w telewizji. Miałem nadzieję, że odbierają tu telewizję izraelską, ale zawiodłem się. Mogłem jednak słuchać audycji izraelskiego radia, Głosu Izraela i prawie wszystkich innych stacji, włącznie z Głosem Pokoju Aibi Natana¹. Na stole stał koszyk z owocami, z okien rozciągał się piękny widok na pustynię spowitą w mrokach nocy. Powietrze było ciepłe i miało słodkawy smak. Wziąłem prysznic, a potem zamówiłem na kolację humus i kufę, potrawy, które znałem pod nazwą kabob. Siedziałem przy stoliku przywiezionym przez kelnera, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Od chwili, gdy Albert zostawił mnie przy windzie, upłynęła więcej niż godzina. Wstałem i podszedłem do drzwi. Wyrząłem przez wizjer. Na korytarzu stał Albert w towarzystwie nieznanego mężczyzny. Przekreśliłem klucz w zamku i cofnąłem się w głąb pokoju. Do środka wszedł Albert

¹ Głos Pokoju: piracka rozgłośnia radiowa, zakotwiczona poza wodami terytorialnymi Izraela.

i trzech innych mężczyzn; najwyraźniej dwóch stało z boku, poza zasięgiem wzroku. Wszyscy kiwali głowami i uśmiechali się, uściskali mi dłoń, a potem zajęli miejsca przy stoliku do kawy, ustawionym w pobliżu wyjścia na balkon. Nalegali, żebym dokończył posiłek. Zaproponowałem, że zamówię coś dla nich. Stwierdzili, iż będą jeść dopiero po tym, jak dołączy do nas ich przyjaciel Fadlil.

Zapytali, czy nie będzie mi przeszkadzało, jeśli zapalą papierosa. W kilka minut pokój wypełnił znajomy dym. Chyba wszyscy, co do jednego, palili marlboro. Ja pozostałem przy moich camelach. Jeden z mężczyzn był młodym chłopakiem, najwyżej dwudziestopięcioletnim. Prawdopodobnie był asystentem postawnego dżentelmena, grubaska, którego uśmiech zdawał się być wytatuowany na twarzy. Trzeci wyglądał na starszego brata Alberta, miał siwe włosy i okulary w złotych oprawkach. Ich postura i maniere wskazywały na to, że są oficerami. Grzecznie odsunąłem resztki posiłku, tłumacząc, że jadłem na pokładzie samolotu i nie jestem już głodny. Prawda była inna. Byłem bardzo głodny, lecz zdecydowałem się nie odwlekać rozmowy i zjeść dopiero po wyjściu moich gości.

- A więc, Isa... - zwrócił się do mnie grubasek, gładząc palcami wąsik.

Nagle zdałem sobie sprawę, że wszyscy mamy wąsy, i to niemal identyczne. Wyjątkiem były wąsy należące do człowieka podobnego do Alberta, którego wąsy przypominały typowy brytyjski wąsik, z uniesionymi w górę, jakby nawoskowanymi końcami.

- Czytałem raport Zuhira - kontynuował mężczyzna. - Jest tak wiele spraw, o których chciałbym porozmawiać, że nie wiem, od czego zacząć. Może podpowiesz, co przerobimy na początek?

- Hmm. - Wyjąłem z paczki papierosa i stuknąłem jego końcem o blat stołu. - Na początek powinniśmy chyba

wyjaśnić, czego dla was nie mogę zrobić, żebyście nie stawiali przede mną wymagań, którym nie będę w stanie sprostać.

- Brzmi logicznie - zauważył ten z wyróżniającym się wąsikiem, spoglądając na starszego kolegę. - Na przykład, w czym nie możesz nam pomóc, mimo że, twoim zdaniem, chcielibyśmy pomoc uzyskać?

Widziałem, dokąd zmierza rozmowa. Znałem tę technikę. Podczas przesłuchania należy starannie unikać sytuacji, w których zdradza się własne posunięcia i informuje przesłuchiwanego o lukach we własnej wiedzy. Moi goście wyraźnie unikali opowiadania o sobie.

- Zakładam, że chcielibyście wiedzieć, czy Mosad ma wśród was agentów i kim oni są.

- Takie założenie ma mocne podstawy - stwierdził najmłodszy.

- No, więc mogę wam zdradzić, że zgodnie z nadchodzącymi raportami, jest wśród was wielu agentów, głównie w terenie. Jednak praca w Mosadzie jest tak zorganizowana, że mógłbym poznać ich nazwiska tylko wówczas, gdybym z nimi pracował, czyli w przypadku, gdyby byli moimi agentami. Nigdy nie miałem takiej okazji, więc w tym wam nie pomogę. Mimo to mogę was trochę uspokoić. Oficerowie wywiadu nie są dobrym celem i rzadko są werbowani przez Mosad.

- Dlaczego? - mruknął grubasek.

- Zwykle są podejrzliwi i pozostają pod nadzorem, znają techniki rekrutacyjne, a jeśli uda się ich zwerbować, nie mają dostępu do informacji, na których wywiadowi najbardziej zależy. Zwykle wiedzą więcej o kraju, który chce ich zwerbować, niż o własnym. Innymi słowy, zysk nie jest wart zachodu.

Usłyszałem pukanie. Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku drzwi. Miałem wstać i otworzyć, ale Albert był szybszy.

- Ja pójdę - rzekł. - To pewnie Fadllal.
- Co chciałeś nam przez to powiedzieć? - zapytał najmłodszy z moich gości, podtrzymując rozmowę.

Przeniosłem na niego wzrok.*

- Mówię, że jeśli chodzi o nazwiska, nie będę mógł wam pomóc.

Słyszałem otwierające się za moimi plecami drzwi i krótki, urywany dialog. Albert próbował uspokoić kogoś mówiącego podniesionym, wzburzonym głosem. Na twarzach siedzących przede mną ludzi odmalowało się zdumienie. Zanim zdążyłem obrócić głowę i zobaczyć, co się dzieje, poczułem naciskający na czaszkę, niemal na jej czubek, jakiś twardy przedmiot. Czyjaś silna dłoń chwyciła mnie za kołnierz. Jej właściciel powiedział coś po arabsku, co zabrzmiało jak rozkaz. Głos był szorstki, nieprzyjemny. Czulem, jak w jednej chwili krew odpływa z górnej połowy mojego ciała i oblewam się zimnym potem.

- Co jest, do kurwy nędzy? - wrzasnąłem.

Pilnowałem, aby nie poruszyć rękami. Miałem wrażenie, że broń jest niewielkiego kalibru, ale z tej odległości nawet dwudziestka dwójka rozbryzgałaby mój mózg po ścianach i suficie. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Nawet nie próbowałem się domyślać. Nie miałem wątpliwości, że wkrótce albo zostanę wyczerpująco poinformowany, albo zastrzelony, a wtedy będzie mi wszystko jedno.

Albert przetłumaczył arabskie słowa, daremnie starając się oddać również szorstkość tonu.

- On mówi, że jesteś agentem Mosadu i przyleciałeś, żebyś się tu dywersję.

- Przecież to nie tajemnica, że jestem z Mosadu. - Usiłowałem uspokoić się na tyle, żeby mój głos nie drżał. Czulem, jak drętwieje mi dolna warga. - Gdybym nie był agentem, czy zebralibyśmy się tutaj?

- On mówi, że jesteś dywersantem. Wie o tym z pewnego źródła.

A więc w tym rzecz! Albo facet blefował, albo naprawdę coś na mnie miał. W tym drugim przypadku, niewiele mógłbym zrobić. Gdybym wykonywał zadanie dla Mosadu, rozciąłby się nade mną ochronny parasol, rzucono by mi polityczną linę ratunkową. W obecnych okolicznościach, gdybym wpadł w ręce Mosadu, moi byli koledzy prawdopodobnie zrobiliby to samo, co ten Jordańczyk, i nikt nie powiedziałby ani słowa. Trzymałem w ustach papierosa, którego przed chwilą wy dobyłem z paczki. Nie miałem okazji zapalić go. Zdobyłem się na najwspanialszy możliwy uśmiech i powiedziałem:

- Powiedz temu facetowi, żeby mnie zastrzelił albo zapalił mi papierosa, obojętne co, byle szybko. Muszę zapalić.

Wszyscy w pokoju wybuchnęli śmiechem, włączając goryla z pistoletem. Zatknął broń za pas i przesunął się, stając ze mną twarzą w twarz. Wyciągnął ręce i z szerokim uśmiechem rzekł po angielsku:

- Musiałem próbować, taką mam pracę. Mam nadzieję, że nie masz urazy?

Uścisnąłem jego dłoń, energicznie nią potrząsając.

- Wcale. Robiłeś, co do ciebie należy, ja zrobię, co będzie należało do mnie.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę i przypalił mi papierosa.

- Można w tej budzie dostać coś do jedzenia? - powiedział podnosząc głos. - Zamów firmowy stolik - polecił Albertowi. - Spędzimy tutaj trochę czasu.

Albert podszedł do telefonu, żeby złożyć zamówienie, a Fadllal zwrócił się do mnie:

- Jutro przekonamy się, czy naprawdę możemy ci zaufać. Pojedziemy na małą wycieczkę, tylko ty i ja. Potem będziemy już wiedzieć.

- Dokąd pojedziemy?

- Przekonasz się jutro. Teraz coś przekąsimy i... - otworzy! szafkę z trunkami - łykniemy małe co nieco. Co dla ciebie?

- Tequila, jeśli jest.

Była. I to niejedna butelka. Bo chwili trzymaliśmy w dłoniach szklaneczki z alkoholem, wszyscy z wyjątkiem grubaska i jego asystenta, którzy nie pili ze względów religijnych.

- A więc, Isa, co możemy, twoim zdaniem, zrobić w sprawie agentów Mosadu, którzy znajdują się wśród nas?

- Możecie ich znaleźć.

Ephraim przerabiał to ze mną wiele razy. Nie damy im niczego, czego nie mogliby zdobyć samodzielnie, tylko informacje dotyczące standardowych procedur. Kiedy jednak usłyszą to z moich ust, będzie to jak wsłuchiwanie się w słowa dobiegające z gorejącego krzewu. Jeżeli będą postępować według moich wskazówek, agenci zaczną sypać się jak figi z tych nielicznych drzew, jakie rosną na ich pustyni, a to musi spowodować trzęsienie ziemi na szczycie Mosadu.

- Jak mielibyśmy to zrobić? - zapytał Albert, racząc się brandy. - Masz jakieś propozycje?

- Na początek musicie zidentyfikować grupę, do której należą. Chodzi o to, że istnieje kilka rodzajów agentów. Podstawowy to typ agenta posiadającego pracę w służbie państwowej, w szpitalu lub straży pożarnej. Można od niego uzyskać, jak to nazywamy, informacje o znaczeniu taktycznym. Na przykład, gdy w szpitalu dostawiane są dodatkowe łóżka lub rezerwy straży pożarnej są stawiane w stan gotowości, wiemy, że kraj przygotowuje się do działań wojennych. Chcąc znaleźć tych ludzi, spędzicie pięć lat na wydeptywaniu korytarzy i chodników. Rezultat nie będzie oszałamiający, zwłaszcza że większość z nich nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi.

Patrzyli na mnie i kiwali głowami. Jak na razie, nie nauczyłem ich niczego nowego.

- Drugi typ stanowią agenci rekrutowani spośród pracow-

ników służb cywilnych ministerstwa spraw zagranicznych, dyplomaci, *et cetera*. Tych również trudno wykryć. Na szczycie hierarchii można znaleźć oficerów armii, zwerbowanych i wciąż znajdujących się w czynnej służbie. Ci stanowią najważniejszą grupę i jednocześnie najłatwiej ich zdemaskować.

- Jakim sposobem? - zapytał grubasek, pochylając się do przodu. Jego twarz przybrała różowawy kolor.

Ten już połknął przynętę, czułem to. Już miałem powiedzieć mu, jak tego dokonać, gdy przypomniałem sobie, co wbijał mi do głowy Ephraim: jedziesz tam po to, żeby wyciągnąć z nich pieniądze, nie zapominaj o tym!

- Cóż, chętnie zaspokoilibym waszą ciekawość, jednak istnieje drobny problem.

- Jakiż to? - rzucił szybko Albert, wyraźnie gotów usunąć każdą przeszkodę.

- Co będę z tego miał? Przybyłem tu w dobrej wierze i chciałyby usłyszeć, ile jesteście skłonni mi zapłacić.

Fadllal uśmiechał się. Kładąc dłoń na pistolecie, rzekł:

- Zyskałeś już życie, przyjacielu.

- To kit, śmierdzący kit, dobrze o tym wiesz. Przyjechałem tu, ponieważ Zuhir zagwarantował mi bezpieczeństwo własnym słowem honoru i dopóki nie udowodnisz, że nie jestem tym, za kogo się podaję, ta rozmowa równie dobrze mogłaby odbywać się w Waszyngtonie. Z tego, że jesteśmy w Jordanii, nic nie wynika. Nie masz nade mną przewagi, przyjacielu, wróćmy więc do mojego pytania. - Zrobiłem pauzę i potoczyłem wzrokiem po zebranych. - Ile mi zapłacicie?

- Ile chciałbyś dostać? - odezwał się mężczyzna wyglądający na brata Alberta.

- Grubszą sumkę i miesięczną pensję przez okres jednego roku. Potem renegotjujemy kontrakt.

- Grubsza sumka? - spytał najmłodszy. - Ile to?

- Dwadzieścia tysięcy dolarów amerykańskich. W bank-

notach o niskich nominałach. - Miałem świadomość, że mógłbym zażądać dziesięć razy więcej, lecz nie chciałem im utrudniać. - Później pięć tysięcy co miesiąc.

- Zostaniesz w Jordanii?

- Nie, po tygodniu wrócę do Stanów, tak jak uzgodniliśmy przed moim przyjazdem. Później zobaczymy. Na pewno ustalimy, co będę robił.

- Jeżeli wyrazimy zgodę, co otrzymamy w zamian za te pieniądze?

Albert wyraźnie chciał, abym został zwerbowany, widziałem to w jego oczach. Miał zostać przydzielony do mnie, a to oznaczało, że w błyskawicznym tempie wywindowałby się na szczyt organizacji. Zrobiłby wszystko, żeby nie przepuścić takiej okazji.

- To zależy, co byście chcieli zdziałać. Mogę wam pomóc stworzyć i uruchomić system chroniący waszych ludzi przed zwerbowaniem, mogę pomóc wyłapać tych, którzy już zostali zwerbowani. I gwarantuję, że ci, których nie złapiemy, sami zrezygnują z dalszej działalności. Tak będzie wyglądał pierwszy etap.

- Pierwszy? Są następne?

Wątpliwości zgłaszał nie kto inny, tylko Fadllal. Wycierał humus², świdrując mnie wzrokiem, jakby chciał przejrzeć mnie na wylot. Nie ufał mi i ze wszystkich sił pragnął mnie przygwoździć. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzył wnioskowałem, że znał sposoby, aby dopiąć swego. Może planował wypróbować kilka z nich w trakcie wycieczki, którą zapowiedział na następny dzień.

- Owszem, będą następne. Kiedy zabezpieczycie tyły, będzie czas, żeby przejść do ofensywy. Co mam na myśli?

² Wycierać humus: zwrot używany na Środkowym Wschodzie na określenie sposobu spożywania sosu humus, polegającego na zgarnianiu sosu z talerza kawałkiem chleba pita, który szybko przenosi się do ust.

Rekrutację Izraelczyków. Na początek będzie wam potrzebna podstawowa wiedza o strukturach, które chcecie spenetrować. Później uderzycie, gdzie wam się zamarzy.

- A jeśli chodzi o rekrutację Palestyńczyków? - spytał najmłodszy.

- W czym rzecz?

- Jeśli chcielibyśmy werbować Palestyńczyków... Możesz nam w tym pomóc?

Wszystkie oczy spoczęły na młodzieńcu. Natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Zrobiło mi się go żal. Ujawnił, z czym mają problem, zdradził pięć achillesową systemu. Chciałem oczyścić atmosferę i wyciągnąć chłopaka z kłopotów, toteż powiedziałem:

- Bardzo zabawne. Co to, podchwytliwe pytanie? Miałbym dla was rekrutować Palestyńczyków? Chyba nie próbujecie mi wmówić, że potrzebujecie mojej pomocy?

Młodzieniec odetchnął z ulgą.

- Nigdy za wiele ostrożności, prawda? - rzekł z uśmiechem.

Zmieniłem temat.

- No, dobra. Jaka jest wasza odpowiedź? Dogadaliśmy się, czy chcecie jeszcze pogadać z szefami?

Patrząc na grubaska zauważyłem, że przypadkiem dotknąłem jego czułego miejsca. Prawdopodobnie był to jeden z najwyższych rangą oficerów w jordańskim wywiadzie, jeśli nie sam szef wywiadu. Mimo że przez jakiś czas pracowałem przy referacie jordańskim, niewiele wiedziałem na temat jordańskich służb specjalnych, czego w tej chwili bardzo żałowałem.

- Dwanaście i pół tysiąca od razu - powiedział grubasek, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Wytatuowany uśmiech zniknął bez śladu. - Potem trzy tysiące pięćset na miesiąc przez pół roku. Po tym okresie będziemy renegocjować. Przyjmij tę propozycję, albo zrezygnuj. Porozmawiamy jutro

wieczorem, jeśli jeszcze tutaj będziesz. - Wstał, dając znak asystentowi. - A tymczasem, Isa, przyjacielu, ciesz się pobytem w Jordanii. Na wypadek gdybyś odrzucił propozycję, życzę miłej podróży do domu.

Uściskałem jego rękę. Asystent niezgrabnie zsalutował i ruszył za swym szefem. Zaraz za nimi wyszedł mężczyzna podobny do Alberta. Fadllal również podniósł się z miejsca. Uśmiechał się.

- Przyjadę po ciebie rano, o szóstej trzydziści. Ubierz się tak, jak zwykle. - Zapalił papierosa, a potem rzucił na stół niemal pełną paczkę. - Widzę, że prawie skończyły ci się papierosy. Pozwól, że zaoferuję ci moje.

- Dzięki, chętnie skorzystam.

Podszedł do drzwi i zatrzymał się na progu.

- Nie wychodź z hotelu. Zamknij drzwi.

- Tak zrobię - odparłem.

Nie czekał na odpowiedź, zniknął na korytarzu. Ciekawe, co ten skurwiol szykował dla mnie na jutro?

- Musimy porozmawiać - stwierdził Albert zatroskanym głosem, przesiadając się do większego fotela, zajmowanego wcześniej przez grubaska.

Zagłębiłem się w fotelu naprzeciwko i otworzyłem kolejną buteleczkę teąuli.

- O co chodzi?

Do tej pory byłem z siebie zadowolony. Biorąc pod uwagę okoliczności, radziłem sobie całkiem nieźle.

- Dostałem przydział. Chodzi o to, że od tej pory będę twoim... - urwał, szukając odpowiednich słów.

- Oficerem prowadzącym, przewodnikiem, agentem operacyjnym?

- Tak, dokładnie. - Ucieszył się, że wiem, o co chodzi. - Zdaję sobie sprawę, że masz za sobą praktykę w bardzo rozbudowanej agencji, ale teraz pracujesz ze mną. Będziemy robić wszystko po mojemu i dostosujesz się do mojego

tempa. Pracujemy razem, nie przeciw sobie. Będziesz ze mną współpracował, dobrze?

- Albert, posłuchaj... Lubię cię i prawdą jest, że poznałem bardziej rozbudowaną agencję, jednak nie jesteś moim szefem i nie będę robił wszystkiego po twojemu. Nie opuściłem Mosadu po to, żeby mieć nad sobą kolejnych szefów. Są rzeczy, które mogę dla ciebie zrobić, są też takie, których nie zrobię. Jeśli chcesz czegoś ode mnie, wystarczy, że poprosisz.

- Uniosłem szklaneczkę i powiedziałem: - Za zdrowie króla.

- Nie mów tak. - Spochmurniał. - Tutaj to nie jest dowcip.

- Wcale nie miałem zamiaru dowcipkować. Albercie, powiedz mi, czym tak się martwisz?

- Mątwi mnie Fadllal. Nie ufa ci, a ja wolałbym, żeby nie zrobił ci krzywdy. Facet nie jest całkiem normalny, widzi szpiega pod każdym łóżkiem.

- Czyli powinienem coś z tym zrobić. Co sugerujesz?

- Bądź ostrożny, tylko tyle. Nie chcę, żeby coś ci się stało. Oberwałbym od Zuhira.

Psychologiczna gra, którą prowadzili, była całkiem niczego sobie - trochę prymitywna, zbyt przejrzysta, ale dobrze poprowadzona. Albert był dobrym gliną, podczas gdy Fadllal złym. Mówiąc mi, żebym zachował ostrożność, Albert dodatkowo podkreślał zło reprezentowane przez partnera. Wiedział, że przybyłem tu znajdując się pod osobistą ochroną Zuhira, toteż delikatnie dał mi do zrozumienia, iż mimo gwarancji ze strony generała, może przytrafić mi się coś złego. Przejrzałem ich grę, a jednak wypity alkohol i senność sprawiły, że słowa Alberta trafiły na podatny grunt.

- Będę ostrożny - powiedziałem. - Wiesz, mam w tym interes.

- Gdybyś czegoś potrzebował, będę w sąsiednim pokoju.

- Podniósł się z fotela. - Chcesz, żebyś pomógł ci uprzątnąć te rzeczy z pokoju?

Pokazat stół na kółkach, załadowany resztkami kolacji.

- Zapomnij o tym. Możesz zamówić mi budzenie na... powiedzmy, wpół do szóstej?

- Oczywiście.

Ruszył w stronę drzwi.

- Jak myślisz - rzuciłem za nim - dokąd pojedziemy o tak wczesnej porze?

- Nie mam pojęcia, ale gdziekolwiek by to było, uważaj na tego człowieka. Jest pełen niespodzianek. Znam go. Nawet gdyby wiedział, że jesteś w porządku, coś by wymyślił.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- Nic. Bądź ostrożny.

- Myślisz, że Zuhir wie o tej jutrzejszej wycieczce?

- Nie sądzę. Fadlall nie podlega nikomu z wyjątkiem samego szefa ochrony. Bądź ostrożny, tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

Tymi złowieszczymi słowami zakończył rozmowę i wyszedł. Byłem potwornie zmęczony, oczy szczypały mnie, jakby ktoś sychnął w nie solą, ale nie mogłem zasnąć. Byłem tak blisko Belli, niemal czułem jej zapach, ale nie mogłem w żaden sposób powiedzieć jej, gdzie jestem. Co będzie, jeśli jutro pójdzie coś nie tak i wyląduję w kostnicy miasta Amman z plaketką NIE ZIDENTYFIKOWANE ZWŁOKI, czy co tam przyczepiają? Jeśli o mnie chodzi, chętnie wzięłbym nogi za pas, uciekł do żony i dzieciaków.

Ze zdenerwowania zacząłem odchodzić od zmysłów. Niemal jęczałem z żalu nad sobą, a przecież tak naprawdę nawet nie zacząłem wykonywać zadania. Miałem świadomość, że jeśli szybko nie zrobię czegoś, aby zmniejszyć stress, rano nie będę w stanie normalnie funkcjonować. Chwyciłem słuchawkę telefonu. Operatorka hotelowej centrali zgłosiła się bez chwili zwłoki.

- Czym mogę służyć? - powiedziała po kilku niezrozumiałych słowach, wygłoszonych po arabsku.

- Chciałbym uzyskać połączenie ze Stanami Zjednoczonymi.

Podał numer hotelu Holiday Inn w Silver Spring, gdzie miałem zarezerwowany pokój. Zaskoczyło mnie, jak szybko uzyskałem połączenie.

- Holiday Inn, Silver Spring.

- Mówi Victor Ostrovsky z pokoju 805.

- Tak. Co mogę dla pana zrobić?

- Spodziewam się dzisiaj telefonu od mojej żony. Czy mógłby pan przekazać jej wiadomość ode mnie?

- Oczywiście, panie Ostrovsky.

- Proszę jej powiedzieć, że jestem w miejscu, z którego nie mogę do niej telefonować, ale zrobię to zaraz po powrocie, czyli mniej więcej za tydzień.

- Jak jej na imię?

- Bella.

- Przekażemy wiadomość.

Odłożyłem słuchawkę i rzuciłem się na łóżko. W chwili, gdy głowa dotknęła poduszki, zasnąłem. Jednak prawie natychmiast rozległ się dzwonek telefonu. Nie pozwolą mi tutaj zmrużyć oka, pomyślałem.

Okazało się, że to zamówione budzenie. Miałem ochotę położyć się i złapać jeszcze kilka minut snu, ale zdałem sobie sprawę, że jeśli to zrobię, nie podniosę się z posłania przez następnych kilka godzin. Nie chciałem, żeby Fadllal na mnie czekał. Zwlokłem się z łóżka i poczłapałem pod prysznic, ubrałem się i jeszcze miałem trochę czasu. Zamówiłem kawę i tosty. Zdażyłem skończyć, gdy rozległo się stukanie do drzwi. W wizjerze ujrzałem osobę, której powinienem się spodziewać. Fadllal był tego ranka w doskonałym nastroju i z radością skonstatował, że jestem gotów do drogi. Zaproponowałem mu kawę, ale odmówił stwierdzając, że nie mamy czasu. Napijemy się gdzieś w drodze. Albo w Jerychu.

Nie byłem pewien, czy dobrze go usłyszałem. Nawet gdybym przyjął, że było to właśnie to słowo, pomyślałbym, że mówi o jakiejś kawiarni w Ammanie, nazwanej tak na cześć ulubionej zimowej siedziby w Jerychu.

- Proszę - rzekł, wręczając mi paszport. Brytyjski paszport.

- Co to?

- Dla ciebie. Nie możesz posługiwać się kanadyjskim paszportem, bo został wystawiony w Izraelu.

- Dokąd się wybieramy, że będzie mi potrzebny paszport?

- Powiedziałem. Napijemy się kawy w Jerychu.

Krew zamieniła mi się w lód. Jeżeli ten człowiek miał na myśli TO miasto, znaczyło to, że wybieramy się na Zachodni Brzeg. Nie było dla mnie groźniejszego miejsca na Ziemi. Miałem wjechać i wyjechać z Izraela posługując się fałszywym paszportem brytyjskim, będąc w towarzystwie oficera jordańskiego wywiadu. Tego było już za wiele.

- Nie ma mowy, przyjacielu, nie zmusisz mnie, żebym pojechał na Zachodni Brzeg. Kiedy postawię tam nogę, będę trupem. Przecież mówiłem, że Mosad chciał wysłać mnie na południe Libanu, żeby się mnie pozbyć. A teraz wymyśliłeś sobie, że wrócę do Izraela tylko po to, żebyś mógł sobie zagrać w swoje chore gierki? Oszalałeś.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Moim zdaniem zostałeś wysłany przez Mosad, żeby zamieszać w naszych szeregach, zmylić nas, posyłając w pościg za zdrajcami, których wśród nas nie ma. Jeżeli jesteś tym, za kogo się podajesz, nie masz czego się obawiać. Paszport jest dobry, na granicy nie będziesz miał żadnych problemów. To ja mam się czego bać, bo jeżeli wciąż pracujesz dla Mosadu, nie wrócę już do mojego kraju.

- A jeżeli sam jesteś zdrajcą i wywieziesz mnie do Izraela?

Rzucił kilka słów po arabsku. Do pokoju weszło dwóch uzbrojonych żołnierzy.

- Jedziemy. Jeśli nie masz ochoty na przejażdżkę, powiem

im, żeby cię zastrzelili. Powiemy, że wcale nie mieliśmy zamiaru, ale zdarzył się wypadek. Tak więc, masz wybór. Albo jedziesz ze mną, albo zostajesz... Martwy.

- Dobra, dobra, jedziemy, ale nadal nie dostrzegam w tym większego sensu. Gdybym wciąż pracował dla Mosadu, przejechałbym się do Izraela i spokojnie wrócił z tobą do Jordanii, a ty byłbyś przekonany, że jestem czysty.

Bez słowa wyszedł z pokoju. Żołnierze przepuścili mnie przodem i zamknęli za mną drzwi. Wsiadliśmy do taksówki czekającej pod hotelem, która zabrała nas na dworzec autobusowy w centrum miasta. Stolica wciąż jeszcze pogrążona była we śnie, na ulicach nie było żywego ducha, z wyjątkiem sprzedawców warzyw, rozkładających swoje kolorowe stragany. Unoszące się w powietrzu zapachy dowodziły, że piekarnie pracowały pełną parą, produkując najwspanialszy, wprost fenomenalny chleb pita, jakiego nie znajdziecie nigdzie indziej na świecie.

Autobus zapełnił się ludźmi do ostatniego miejsca, a ja byłem chyba jedynym obcokrajowcem. Wciąż nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje. To był koszmar, najgorszy, jaki mógłby się przyśnić. Łudziłem się, że obudzę się w hotelu w Ammanie, albo jeszcze lepiej, w Waszyngtonie. Zaraz zadzwoniłbym do Ephraima i powiedział, żeby się wypchał swoimi pomysłami. Nie miałem zamiaru spędzić reszty życia w jakiejś pełnej szcurów celi, gdzieś w piaskach pustyni Negew, potajemnie utrzymywany przy życiu jak jakiś zombie. Cekał mnie właśnie taki los, jeśli przydarzy nam się jakieś potknięcie.

Próbowałem zapamiętać nowe nazwisko, to wypisane w paszporcie, który wetknąłem do kieszeni koszuli. Nie byłem w stanie. Co chwila musiałem wyciągać książeczkę i zaglądać do środka. Steven Emmens. Niech to szlag, jak mam zapamiętać to nazwisko? Powtarzałem je sobie raz po raz. Postanowiłem użyć adresu, którym posługiwałem się

przy innej okazji. Tylko że nazwisko i adres mogły być bez znaczenia. Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że chciał szybko wywieźć mnie za granicę, zanim przekażę Jordańczykom, jak przeprowadzić czystkę w ich szeregach, ponieważ sam był agentem Mosadu. Nie najlepiej to wyglądało.

Kierowca ogłosił, że dojechaliśmy na most króla Husajna. Autobus zatrzymał się. Znałem to miejsce pod nazwą most Allenby. Jakiś czas temu, będąc oficerem żandarmerii wojskowej, służyłem na drugiej stronie. Na wspomnienie tamtych dni oblałem się zimnym potem. Co będzie, jeśli rozpozna mnie któryś ze strażników na moście? Albo któryś ze stacjonujących tu agentów Shaback? Albo któryś z agentów Mosadu, przyjeżdżających tutaj, aby skontaktować się z informatorem?

Tylko spokojnie, powtarzałem sobie. Przecież jeszcze raz, co powiesz celnikowi na granicy. Ostatnia rzecz, która powinna się przytrafić w takiej chwili, to nerwowe jąkanie. Historyjka brzmiała tak: przyjechałem do Izraela na jeden dzień, aby spotkać się z handlarzem, którego wizytówkę miałem w kieszonce. Człowiek ten handlował religijnymi artefaktami, a dowiedziałem się o nim od jego brata rezydującego w Ammanie. Tak się składa, że interesowałem się właśnie artefaktami.

Jednak w autobusie niepokoiли się również inni pasażerowie. Po raz pierwszy rozejrzałem się wokół siebie, po twarzach otaczających mnie ludzi, którzy jeszcze przed chwilą byli w dość pogodnym nastroju i głośno rozmawiali. Do tej pory, zaabsorbowany własnymi problemami, nie zwracałem na nich uwagi. Nagle zorientowałem się, że pogawędki urwały się jak nożem uciął i w autobusie zapadła głucha cisza. Mógłbym dosłyszeć bicie ich serc. Zbliżaliśmy się do miejsca mrocznego, przerażającego. Zawsze wydawało mi się, że wjazd na teren Izraela powinien kojarzyć się z bezpieczeństwem i spokojem, w żadnym wypadku ze

strachem. W tym momencie czułem, iż strach otacza mnie jak lepka mgła, widziałem go w każdej parze oczu. Zawsze myślałem, że za tym spojrzeniem kryje się nienawiść, ponieważ nie sądziłem, aby istniał powód, żeby się mnie bać. Będąc żołnierzem, nikogo nie chciałem skrzywdzić, wypełniałem tylko swoje obowiązki. Bać się mógł tylko ktoś skrywający złe zamiary.

Do autobusu wszedł jordański policjant. Dokonał szybkiego przeglądu i skierował autobus na wąski, czterdziestometrowej długości most. Pojazd poruszał się bardzo wolno, pod czujnym okiem izraelskiego policjanta z drugiej strony. Słyszałem wykrzykiwane po hebrajsku rozkazy.

- Meshulam, sprawdź autobus. Ten prześwietlimy na wylot.

Nie były to dla mnie dobre wieści. Autobus zatrzymał się, pasażerom nakazano opuścić wnętrze pojazdu. Żandarm był żołnierzem rezerwy, odrabiał tutaj swoje trzydzieści lub sześćdziesiąt dni. Najwyraźniej nie zależało mu na odznaczeniach, chciał tylko jak najszybciej zejść ze służby, zakończyć kolejny dzień i zbliżyć się do powrotu do domu. Znałem to uczucie, ostatnio dokuczało mi ze zdwojoną siłą. Był uprzejmy, tak dla mnie, jak i dla reszty pasażerów. Młody żołnierz odbywający tu służbę zasadniczą, drażnił się z nim mówiąc:

- Hej, może jeszcze przeniesiesz im walizki?

- A może się zamkniesz? - ripostował rezerwista. - Nie ma powodów, żeby traktować tych ludzi tak, jak traktuje cię twoja matka.

- Nie mów tak o mojej matce, ty kurewski pomociu.

Natychmiast podszedł do nich sierżant i wrzasnął:

- Wy dwaj! Zamknąć gęby i do roboty! Dzień dopiero się zaczął, a wy już się chwyacie za łby?!

Pokazałem paszport. Sierżant spojrział na dokument i skierował mnie do niewielkiej budy, stojącej na końcu długiego okapu, rzucającego cień na stoliki odprawy celnej.

- Proszę tam przejść.

"Wiedziałem, że wysłał mnie do budy dla turystów zagranicznych. Ruszyłem w tamtą stronę, ale zatrzymał mnie pytaniem:

- Ty Anglik?

- Słucham? - odwróciłem się z uśmiechem. Rozbawił mnie użyty przez niego zwrot.

- Bez bagażu?

- Bez. Jadę do Jerycha tylko na kilka godzin.

- Co się stanie, jeśli most będzie zamknięty?

- Będę miał problem, jak sądzę. Ale dlaczego pan o tym mówi? Most będzie dzisiaj zamknięty?

- Nigdy nie wiadomo.

Uznałem to za koniec rozmowy. Odwróciłem się i poszedłem do budy. Po wejściu do niewielkiego budynku zobaczyłem, że Fadllal jest rewidowany. Młody żołnierz zadał mi kilka pytań, na które byłem dobrze przygotowany. Byłem mu wdzięczny, że bez przerwy używał mojego nazwiska. Dzięki temu mogłem je zapamiętać. Poprosiłem, żeby nie przybijał izraelskiej pieczętki w moim paszporcie, toteż przybił ją na osobnej kartce, którą wetknął do środka. Przyjęło się, że ludzie przechodzący przez most do Izraela i mający zamiar wracać tą samą drogą, nie chcą pieczętki granicznej w paszporcie. Gdybym nie wyraził takiej prośby, wydałoby się to bardzo dziwne. Miałbym później dodatkowy problem.

- Miłego pobytu w Izraelu - powiedział żołnierz.

- Nie wiedziałem, że Zachodni Brzeg uważa się za część Izraela - usłyszałem własne słowa.

- Jestem izraelskim żołnierzem, przekraczasz pan granicę, której strzegę. Jak ci się wydaje, do cholery, gdzie jesteś? - Zaśmiał się pogardliwie.

- Kiedy my tu byliśmy, nie uważano tej krainy za część Anglii.

- Widzisz pan? - uśmiechnął się, jakby było mu mnie żal.
- Gdyby uważano ją za część Anglii, wciąż byście tutaj byli.

Przeszedłem na drugą stronę, do czekających na pasażerów taksówek. Po chwili taksówka wypełniła się i ruszyliśmy do Jerycha. Fadllal wsiadł jako ostatni. Od chwili, gdy w Ammanie wsiadliśmy do autobusu, przez całe trzy godziny nie zamieniliśmy ani słowa. Teraz zegarek wskazywał wpół do dziesiątej. Znaleźliśmy się na przedmieściach Jerycha.

W taksówce było gorąco, wlekliśmy się za wojskowym konwojem, złożonym z platform, na których jechały półciężarówki i czołgi. Te ostatnie były zamaskowane, ale trudno pomylić czołgi merkava z czymkolwiek innym. Prawdopodobnie oddział wracał na północ po skończonych ćwiczeniach.

Fadllal nawiązał ze mną rozmowę. Od słowa do słowa, umówiliśmy się na lunch w polecanej przez niego restauracji. Potem powiedział, że zabierze mnie do sklepu, do którego, chciałem się dostać. W taksówce mógł znajdować się informator lub ktoś przesadnie ciekawski, rozmawialiśmy na jego użytek. Ten ktoś mógł mieć jakiegokolwiek powiązania z władzami, mógł też - ciągle się tego obawiałem - rozpoznać mnie. Czułem nie przemijające, bolesne ssanie w żołądku. To strach, wiedziałem. Fadllal wprowadził mnie do restauracji pełnej izraelskich żołnierzy. Konwój zatrzymał się i większość żołnierzy siedziała teraz na dużym, marmurowym tarasie, gdzie jedyną osłonę przed słońcem dawały pnącza winnej latorośli.

- Co dla ciebie zamówić? - zapytał Fadllal, gdy zbliżył się kelner.

- Zamów, co chcesz. Chętnie spróbuję - odparłem.

Fadllal nie spierał się. Złożył zamówienie po arabsku.

- Co dalej, przyjacielu? - powiedziałem, uznawszy, że najwyższy czas wycisnąć z faceta trochę potu. Z całą pewnością cią nie był agentem Mosadu, bo już by mnie wydał.

Emanował spokojem, jakby nadal przebywał w centrum Ammanu, a nie w sercu Terytoriów Okupowanych, otoczony przez uzbrojonych żołnierzy wrogiej armii, mając za towarzysza przy stoliku człowieka, któremu nie można ufać.

- Coś zjemy, potem zabiorę cię do sklepu, skoczmy na spacer do Jerozolimy i wrócimy do domu.

- Co tym sposobem osiągniesz?

- Zjem smaczny posiłek, odbędę miłą przejażdżkę i zdobędę nowego przyjaciela.

- Skąd nagle będziesz miał pewność, że jestem tym, za kogo się podaję?

- Jestem szefem wydziału tajnych służb Jordanii. Zbyt grubą rybą, żeby nie próbować jej złowić.

Nawet nie zniżył głosu do szeptu. Martwiłem się, że jeden z żołnierzy mógłby nas usłyszeć. Jedzenie okazało się znakomite, ale nie mogłem nic przełknąć. Wciąż stawała mi przed oczami malutka cela, którą kilkakrotnie widziałem. Nie mogłem wyrzucić z pamięci tego obrazka. Zawsze, gdy groziła mi utrata wolności (ostatnio bardzo często), czułem ten sam co wtedy smród uryny przemieszany z mdlącą wonią środka dezynfekcyjnego. Na ladzie stał aparat telefoniczny. Mógłbym zatelefonować do domu. Pragnąłem tego tak bardzo, że powstrzymywanie się było dla mnie męką. Potem przyszło mi na myśl, że mógłbym zatelefonować do Ephraima. Może Fadllal rzeczywiście był rybką wartą złowienia? Szybko odrzuciłem ten pomysł. Mosad, w swej obecnej postaci, był dla państwa Izrael znacznie groźniejszy, niż kiedykolwiek byli Jordańczycy.

Przeszliśmy piechotą do sklepu jubilerskiego, który miałem odwiedzić, aby uwiarygodnić mój kamuflaż. Rozluźniłem się odrobinę. Teraz nie miałem czego się obawiać, dopiero później, gdy będziemy pokonywać most w przeciwnym kierunku. Co będzie, jeśli ktoś nas rozpozna? Nic nie mogłem poradzić na to, że myśli bezustannie krążyły wokół

tej możliwości. Ułożyłem nawet plan awaryjny: spróbuję przedostać się do miasta Elat na południu i stamtąd przejść granicę na jordańską stronę. Jeśli sprawy się skomplikują, byłby to jedyny sposób wydostania się z Izraela.

Porozmawialiśmy z handlarzem. Był przekonany, iż naprawdę jestem Anglikiem, tym bardziej, że przysyłał mnie jego brat. Pokazał mi kilka interesujących eksponatów i fotografie kilku następnych, o które zapytałem. Na koniec podarował mi małą, złotą broszkę, jako wyraz nadziei, że w przyszłości będziemy prowadzić udane interesy. Nie wypuścił nas, dopóki nie wypiliśmy gorącej słodkiej herbaty i nie zjedliśmy słodczy domowej roboty. Po wyjściu od handlarza, Fadllal zaprowadził mnie do garażu, niedaleko sklepu. W Jerychu wszystko jest niedaleko. Przy białym peugeotie 404 z tablicami rejestracyjnymi Ramallah czekał na nas młody mężczyzna.

- Mój przyjaciel zabierze nas na przejażdżkę - wyjaśnił Fadllal.

Po kilku minutach znaleźliśmy się na rogatkach Jerycha i skierowaliśmy się drogą na północny zachód, do Ramallah. Przed laty jeździłem nią nieskończenie wiele razy, gdy służyłem w Dolinie Bekaa. Nawierzchnia była teraz lepsza, ale widoki pozostały takie same.

Jechaliśmy ponad dwadzieścia minut. W tym czasie Fadllal tłumaczył, że nie czuje się tutaj jak w obcym kraju. Dla niego wciąż znajdowaliśmy się na obszarze Jordanii.

- Mamy tu wielu przyjaciół, którzy byli lojalnymi poddanymi króla w roku sześćdziesiątym siódmym i do dziś takimi pozostali - rzekł. - Dziś są może nawet bardziej oddani, gdyż dla Jego Królewskiej Mości ryzykują własne życie i będą to robić nadal. - Klepnął kierowcę w ramię i wskazując na rozgałęzienie dróg, powiedział coś po arabsku. Potem zwrócił się do mnie: - Zatrzymamy się na kawę i będziemy już wracać. Zobaczyłem wystarczająco dużo.

Miałeś wiele okazji, żeby mnie wydać i tego nie zrobiłeś. Ufam ci. Muszę jeszcze spotkać się z jednym z moich ludzi, przekazać mu pieniądze. Podróżuję tak niemal co miesiąc. Wiesz, jak to jest.

Facet naprawdę wydawał się dumny ze swej odwagi i talentu, które demonstrował poruszając się po terytorium wroga z taką nonszalancją godną balansującego na linie cyrkowca. Poczulem niewysłowioną ulgę. Wystarczy, że wrócę do Ammanu w jednym kawałku, a moja misja zakończy się sukcesem. W krótkim czasie osiągnąłem wyższą warstwę w wywiadzie jordańskim niż kiedykolwiek udało się to jakimkolwiek Izraelczykowi.

Samochód zatrzymał się przed dwupiętrowym budynkiem w miejscowości Dir Jarir. Na piaszczystym boisku, mieszczącym się na końcu krótkiego szeregu zabudowań, obok budowli wyglądającej na opuszczony meczet, kilku chłopców grało w piłkę. Paru starszków siedziało po drugiej stronie ulicy, w cieniu rzucanym przez baldachim należący do sklepu kolonialnego. Przybysze nie zrobili na nich wielkiego wrażenia - dalej popijali kawę z drobnych filizanek.

Miałem wrażenie, że wchodzę do środka snu, w otoczeniu było coś z obrazów najśłynniejszych surrealistów. Fadllal zapukał w metalowe drzwi, które uchyliły się prawie w tej samej chwili. Gospodarz miał na sobie długą, białą galabie, uśmiechał się od ucha do ucha. Po wymianie uprzejmości, którym prawie nie było końca, zaproszono nas do obszernego salonu. Meble zdawały się być dobrane według dwóch kategorii: jak największe i jak najbardziej zdobione. Równie dobrze moglibyśmy znaleźć się w muzeum, gdzie wystawiano włoskie meble obijane aksamitem. Nie minęła minuta, a do pokoju weszła żona gospodarza, niosąc kawę i słodycze, które ustawiła na stoliku do kawy z czarnego drewna. Kobieta uśmiechnęła się i wycofała z pokoju.

Fadllal nie tracił czasu. Kiedy tylko drzwi zamknęły się

za nią, wydobyl z kieszeni gruby plik amerykańskich dolarów i wręczył gospodarzowi. Powiedział do niego coś po arabsku, a potem pokazał mi na migi, żebym szybciej pił kawę.

- Zaraz będziemy jechać, więc szybko pij i spróbuj ciasteczek. Wrócimy do Jerycha, posiedzimy tam do wieczora i pojedziemy do Jordanii, kiedy na moście zmienia się wartownicy.

Kiwnąłem głową i pociągnąłem łyk gorącej kawy. Nagle, od strony drzwi frontowych, dobiegł jakiś hałas. Fadllal szeroko otworzył oczy. Na twarzy gospodarza odmalowało się przerażenie. Coś było nie w porządku. W kilka sekund pokój wypełnił się izraelskimi żołnierzami, celującymi do nas z broni i pokrzykującymi po hebrajsku do tych, którzy zostali na zewnątrz.

- Mamy ich! - wykrzyknął oficer. - Przeszukać resztę domu. Ruszać się! Raz, raz, raz!

Żołnierze byli wszędzie. Słyszeliśmy piski kobiet i łoskot tłuczonych naczyń.

Jeden z żołnierzy błyskawicznie skuł nam ręce za plecami plastikowymi kajdankami.

- Co jest?! - wykrzyknąłem po angielsku. - Protestuję! Jestem obywatelem brytyjskim! Żądam, aby powiedziano mi, co się dzieje!

- Zamknij się! - Oficer celował do mnie z automatu. - Wprowadzić go! - powiedział do kogoś pozostającego na korytarzu. Do pokoju wprowadzono jednego ze starszków, siedzących po drugiej stronie ulicy. Przez chwilę stał nieruchomo, jakby się wahał. Oficer wrzasnął na niego po arabsku. Starzec wskazał na Fadllala i rzucił jakieś krótkie słowo.

Stało się to, czego najbardziej się obawiałem. Nie było nic gorszego. Nie istniał sposób, żeby się z tego wyplątać. Jedyłą nadzieją było dla mnie trzymanie się historyjki o brytyjskim turyście. Żołnierze rozmawiali między sobą po hebrajsku.

- To jordański oficer - mówili. - Inni to pewnie jego ludzie. W Ramallah wyciągniemy z nich więcej.

Zdawałem sobie sprawę, że muszę coś zrobić. Rozważałem możliwość wyskoczenia przez okno. Ryzykowałem, że zostanę zastrzelony, ale i tak byłoby to lepsze od tego, co czekało mnie w sali przesłuchań Shaback w Ramallah.

- Zabrać go na dół - polecił oficer, pokazując Fadllala. - I tego też - dodał, wskazując gospodarza.

Mnie i kierowcę zostawili leżących na podłodze pod czujnym okiem dwóch żołnierzy. Kiedy inni zniknęli z pola widzenia, kierowca zaczął płakać, mówiąc coś po arabsku. Żołnierze wymienili po hebrajsku uwagi.

- On mówi, że jest śmierdziuchem³. Chce, żebyśmy skontaktowali go z dowódcą.

Żołnierz, który znał arabski, podszedł do kierowcy, chwycił go za kołnierz i podniósł z podłogi. Przytknął mu karabin do głowy i popchnął w stronę drzwi. Nagle potknął się i broń wypaliła. Huk był ogłuszający, ścianę wokoło drzwi spryskała krew. Połowa głowy kierowcy rozleciała się. Żołnierz puścił ciało, które zważyło się na podłogę jak worek kartofli. Jego kolega wykrzyknął:

- Oszalałeś?! Zobacz, co zrobiłeś! Odbiło ci!

- To był wypadek! - odkrzyknął żołnierz. - Pierdolony wypadek! - Podbiegł do mnie, podniósł za kołnierz z podłogi i wrzeszczał po hebrajsku: - To był wypadek, prawda? Sam widziałeś, wypadek!

Nie mogłem wydobyć z gardła ani słowa. Kiwnąłem tylko głową.

Drugi żołnierz powiedział po hebrajsku:

- Zastrzel go. Musisz go zastrzelić, wszystko widział, powie im! Zastrzel go, idioto! Zastrzel go, albo ja to zrobię!

Wycelował we mnie automat i zbliżył się. Słyszałem tupot

³ Śmierdziuch: slangowe określenie informatora.

nóg na schodach. Na progu pojawił się oficer, ale zatrzymał się i stał tam bez ruchu. Widziałem, jak żołnierz przykłada palce do spustu. Miałem nadzieję, że koniec będzie szybki. Byłem spokojny, nic nie mogłem zrobić. Powiedziałem do siebie: Bella, kocham cię, przepraszam za wszystko. Żołnierz nacisnął spust. Słyszałem uderzenie iglicy w pustą komorę.

W pokoju zapadła cisza. Zaciskałem powieki, czekając na śmiertelne uderzenie. A potem usłyszałem głośny śmiech Fadllala. W jednej chwili zrozumiałem, że wszystko to było częścią sprawdzianu. Ale w jaki sposób udało mu się zorganizować żołnierzy?

Fadllal podszedł do mnie, ostrożnie zdjął mi z rąk kajdanki, wyprowadził z domu i wcisnął do samochodu. Za kierownicą siedział już nowy kierowca. Ruszyliśmy. Fadllal wszystko wyjaśnił.

Żołnierze byli Palestyńczykami ze specjalnej jednostki wywiadu jordańskiego. Operowali na Zachodnim Brzegu niemal od 1968 roku. Posiadali kilka magazynów z mundurami armii izraelskiej i mogli wykonywać wszelkie zadania rozpoznawcze. Działali na terenie całego kraju i każdy z nich płynnie mówił po hebrajsku. Z początku byli przygotowani na wypadek wojny jako jednostki dywersyjne, takie jakie mieli Niemcy na tyłach amerykańskich linii w czasie drugiej wojny światowej, ale kiedy Jordańczycy zaczęli pracować na Terytoriach Okupowanych, postanowiono korzystać z ich usług bez czekania na wojnę. Osłaniali ćwiczenia wojskowe i dostarczali taktycznych danych na temat linii frontu.

Kierowca był autentycznym zdrajcą. Od jakiegoś czasu podejrzewano go i Fadllal zdecydował wykorzystać egzekucję sprzedawczyka do przetestowania mnie. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że nie pracuję dla Mosadu.

Przedostanie się do Jordanii było dla mnie równie ciężkim przeżyciem, jak podróż na Zachodni Brzeg. Strażnicy byli

inni, ale tak samo skrupulatni jak ci z porannej zmiany i kontrola zdawała się trwać całą wieczność. W końcu jednak znaleźliśmy się po drugiej stronie i wzięliśmy taksówkę do miejsca o nazwie Tel Nimrim, gdzie na poboczu czekała na nas jasnoniebieska limuzyna z klimatyzacją. Resztę drogi do Ammanu przespałem. Fadllal obudził mnie dopiero pod hotelem. Powiedział, że za godzinę zjemy kolację w głównej sali jadalnej; powinienem się przebrać i zejść na dół.

Przyszli wszyscy: Zuhir, Albert, Fadllal i grubasek ze swym młodym asystentem. Wciąż dokuczał mi ból głowy. W uszach rozbrzmiewał mi huk strzałów w domu na Zachodnim Brzegu, przed oczami stawała mi twarz kierowcy, którą kule dosłownie rozniosły na strzępy. Nie byłem w szoku, ale tylko dzięki długiemu szkoleniu, jakie przeszedłem w Mosadzie. Trudno było mi ułożyć sobie w głowie wszystko, co zobaczyłem tego dnia, tym bardziej, że jordańska jednostka, biorąca udział w akcji Fadllala, do złudzenia przypominała izraelskich żołnierzy. Nagle nabrałem szacunku dla ludzi siedzących ze mną przy jednym stole. Zniknęła arogancja, z jaką odnosiłem się do nich jeszcze wczoraj wieczorem. Jadłem kolację w gronie kompetentnych i bardzo niebezpiecznych mężczyzn.

Nie wracaliśmy do mojej wycieczki do Jerycha. Po kolacji wszyscy, z wyjątkiem Alberta, opuścili hotel. Przeszliśmy do baru na parterze. Zasiadliśmy w fotelach z łoziny. Ja zamówiłem piwo, Albert jeszcze jedną kawę - nie wolno mu było pić alkoholu w miejscu publicznym.

- Słyszałem, jak upłynął ci dzień - powiedział, gdy kelner postawił kawę i piwo na stoliku.

- Wolałbym nie powtarzać takiej wycieczki - odparłem, zapalając papierosa.

Pochylił się nad blatem w moim kierunku i wskazał grupkę ludzi siedzących dokoła niedużego stolika. Wydawali się pogrążeni w rozmowie.

- Znasz człowieka, który tam siedzi?
- Nie powiem tak, ale ten wysoki, z wąsem, wydaje mi się znajomy. Kto to?

- Habash, George Habash⁴. Chciałbyś, żebym cię przedstawił?

Pierwszy odruch był taki: dalej, skorzystaj z okazji! Zaraz potem instynkt podpowiedział mi następujące słowa:

- Dziękuję, nie. Wolałbym, żebyśmy stąd wyszli. Teraz.

- Dlaczego?

- Jeśli on tutaj jest, istnieje duże prawdopodobieństwo, że obserwuje go ktoś z Mosadu. Widziałem nieskończenie wiele fotografii działaczy OWP i innych palestyńskich przywódców, wykonanych w najróżniejszych miejscach. Nie chcę, żeby ktoś rozpoznał mnie na zdjęciu zrobionym w Ammanie.

Nie czekałem na reakcję Alberta. Wstałem i wyszedłem z baru. Dogonił mnie przy windach. Umówiliśmy się na spotkanie następnego ranka.

- Przyjdę po ciebie, powiedzmy, o ósmej.

- Nie, zadzwonię do ciebie. Trudno mi tu zasnąć, a muszę odpocząć. Zadzwonię do ciebie, kiedy się obudzę.

Kiwnął głową i wrócił do baru. Poczłapałem do swojego pokoju i zatelefonowałem do hotelu w Waszyngtonie. Przekazali Belli wiadomość, przynajmniej tak mnie zapewnili. Rozebrałem się i wszedłem pod prysznic. Pozwoliłem gorącej wodzie ściekać po mojej skórze całymi godzinami. Byłem wykończony i wciąż nie mogłem pozbyć się widoku żołnierza rozwalającego na kawałki głowę drugiego człowieka. Mógłbym płakać, ale zabrakło mi łez. Po prostu stałem i myślałem, o wszystkim i o niczym. Pragnąłem tylko jednego: niech to wszystko już się kończy i będzie tylko wspomnieniem. Niczym więcej. Wspomnieniem.

⁴ George Habash: przywódca Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, w skrócie LFWP.

Przez następne dwa dni uruchamialiśmy mechanizm chroniący przed kretami, podobny do tego, który funkcjonował w Mosadzie. Jordańczycy mieli wprowadzić rutynowe testy na wykrywaczu kłamstw i sporadycznie kontrolować jednostki wojskowe, głównie wśród personelu średniego szczebla. Później mieli robić regularne testy wszystkim pracownikom jordańskich ambasad, zwłaszcza w Europie, gdyż niemal wszyscy rekrutowani przez Mosad agenci to ludzie pracujący w ambasadach lub studenci zagranicznych uczelni, przeważnie mający powiązania z armią. Mosad jednak nie miał czasu, żeby czekać, aż ludzie ci zostaną wyszkoleni i zajmą eksponowane stanowiska. Najchętniej rekrutowano ludzi zajmujących już takie stanowiska, toteż łatwo można było zidentyfikować cele.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że kiedy system zacznie działać, prawie natychmiast wyłapią wszystkich agentów współpracujących z Mosadem. Nie stanie się to natychmiast. Na dobre system zacznie funkcjonować dopiero po kilku miesiącach, a w tym okresie trudno będzie utrzymać działania w tajemnicy. Mosad będzie miał szansę wycofania agentów. Przez jakiś czas Jordańczycy nie będą mogli ujawnić faktu, że wyłowili izraelskich agentów. Podejmą próbę przeciągnięcia jak największej ich liczby na swoją stronę, aby faszerować Mosad mylnymi informacjami. Ci, których Mosad nie ocali, albo Jordańczycy nie przeciągną na swoją stronę, skończą z krawatem z liny na szyi.

Nikt z moich rodaków raczej nie powinien znaleźć się w tej grupie, lecz mimo to czułem się nieswojo. Nie mogłem zaprzeczyć, że próba zniszczenia zwierzchników Mosadu mogła spowodować nieszczęście na wielu niewinnych ludzi. Miałem tylko nadzieję, że więcej będzie tych, którym pomogę.

Byłem niemal absolutnie pewny, jak Ephraim, że Jordańczycy podzielą się nowo pozyskaną wiedzą ze swoimi part-

nerami z Iraku i Syrii. Tamci zaczną czystki we własnym domu. Syryjczyków czeka mnóstwo roboty, ale Irakijczycy będą ściegać wiatr, bo Mosad nie miał wśród nich swoich agentów. Irak znajdował się na końcu listy Mosadu, gdyż uznawano infiltrację tego kraju za wyjątkowo trudne zadanie.

Ostatnie dwa dni w Ammanie spędziłem na planowaniu rekrutacji Izraelczyków, którzy dostarczaliby Jordańczykom wszelkiej informacji taktycznych i technologicznych. Będą chcieli poznać lokalizację wszystkich baz wojskowych i to, co się w nich dzieje. Będą również dążyć do poznania zasad powoływania rezerwistów i działań specjalnych jednostek rozpoznawczych, przenikających granice ich państwa. Szczególnie będzie im zależeć na poznaniu poł^o. żeni^a TSP⁵.

Zdecydowano, że wrócę do Stanów Zjednoczonych i osiądę w Kanadzie, jak wcześniej planowałem. Albert będzie prowadził swoją część operacji z Meksyku, włączając do akcji kilku specjalnie wyszkolonych żołnierzy Fadllala. Wymyśliłem kryptonim Operacja Jozue, ponieważ wysłaliśmy szpiegów z tego samego miejsca i w tym samym kierunku, w jakim robił to Jozue. I z tym samym skutkiem, nie wątpię w to ani przez chwilę. Szpiegdy powrócą opowiadając o kraju, który niszczy własnych obywateli. Wygląda na to, że nic się nie zmieniło.

Ostatniego wieczora w Jordanii słuchałem izraelskiej rozgłośni radiowej. Dowiedziałem się, że wizytę w Izraelu złoży Margaret Thatcher, a Ronald Reagan zawetował wnio-

⁵ TSP: tymczasowa stacja przekaźnikowa; specjalne urządzenie dowożone na miejsce przeznaczenia lub zrzucane z samolotu, funkcjonujące na zasadzie stacji przekaźnikowej dla specjalnych aparatów nadawczych, których zasięg jest za mały, aby przesłać dane bezpośrednio do Izraela, gdzie mogą być odszyfrowane.

sek bloku kongresmenów, dotyczący sprzedaży uzbrojenia do Arabii Saudyjskiej, głównie samolotów myśliwskich.

Już teraz wiedziałem, że plan Ephraima się powiódł. Ustrześliśmy Jordanię przed zakusami Mosadu. Nawet jeśli w perspektywie nie uda nam się dokonać zmian w samym Mosadzie, zrobiliśmy duży krok naprzód ku wyrwaniu mu kłów i pazurów.

21

Powrotny lot do Stanów Zjednoczonych przebiegł bez zakłóceń. Wylądowaliśmy w nowojorskim porcie lotniczym Kennedy'ego około siódmej wieczorem. Natychmiast zatelefonowałem do Belli, korzystając z aparatu telefonicznego w sali dla VIP-ów, gdzie czekałem z Zuhirem na odlot samolotu do Waszyngtonu.

Rozmawialiśmy krótko. Powiedziała mi, że następnego dnia wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych i nic w świecie nie jest w stanie jej powstrzymać. Dziewczynki, Sharon i Leorah, miały odpowiednio szesnaście i dwanaście lat, więc powinny sobie poradzić, tym bardziej że zaopiekował się nimi ojciec Belli. Nie zamierzałem odwozić ją od realizacji tego pomysłu. Sama myśl, że znowu ją zobaczę, była niczym spełnienie największych marzeń. Nie chciałem roztkliwiać się, zwłaszcza w obecności Zuhira, który bacznie mnie obserwował. Musiałem mówić krótko i rzeczowo. Mogłem powiedzieć Belli tylko tyle, że byłem w Nowym Jorku, a teraz jestem w drodze do Waszyngtonu i zadzwonię do niej, gdy tylko dotrę do hotelu. Odwiesiłem słuchawkę, czując, jak od stóp do głów zalewa mnie fala niewysłowionego szczęścia. Mógłbym skakać z radości pod sufit i wyciąłować wszystkich w sali, łącznie z Zuhirem.

Kiedy znaleźliśmy się w Waszyngtonie, było już po dziesiątej i wprost umierałem z głodu. Zuhir początkowo umówił się ze mną na następny dzień. Chciał mi wręczyć uzgodnioną sumę pieniędzy, ale okazało się, że nazajutrz

wypada Memorial Day i wszystkie banki będą zamknięte. Nie robiło mi to różnicy. Zostało mi trochę pieniędzy z sumy, którą w końcu przesłał mi Ephraim. Nie powiedziałem o tym Zuhirowi. Lepiej, żeby nie próbował domyślać się, skąd nagle mam pieniądze, skoro przed wyjazdem byłem tak zdesperowany. Powiedziałem mu, że rano zmienię hotel i zatelefonuję z wiadomością, gdzie można mnie znaleźć. Będę czekał na obiecane pieniądze. Pożegnaliśmy się jeszcze w samolocie. Nie chcieliśmy, aby ktoś zobaczył nas razem na lotnisku.

Do hotelu dotarłem tuż przed jedenastą. Kupiłem na wynos napój i hamburgera. Byłem tak głodny, że zjadłbym go w opakowaniu. Posiliłem się, wykapałem pod prysznicem i jeszcze raz zadzwoniłem do Belli. Powiedziała, że pojutrze będzie w Waszyngtonie.

Uprzedziłem, że zmienię hotel i powiedziałem, że odbiorę ją prosto z samolotu. Chciała do mnie zatelefonować następnego dnia, przed wyjazdem na lotnisko, więc zgodziłem się, że do tego czasu nie przeprowadzę się do innego hotelu. Zacząłem odliczać minuty. Próbowałem się zdrzemnąć, ale okazało się, iż jestem zbyt zmęczony, żeby zasnąć. Kiedy Bella zatelefonowała około czwartej nad ranem, nadal oglądałem telewizję. Właśnie ruszała na lotnisko, miał ją odwiedzić Arik. Byłem zaskoczony, ponieważ czynni pracownicy Mosadu mieli zakaz nawiązywania kontaktów z byłymi agentami. Oczywiście, nikt nie wymagał, aby nie poznawać się na ulicy, lecz całkowicie wykluczone były przyjacielskie kontakty z osobą dawniej pracującą w Biurze lub kimkolwiek z jej najbliższej rodziny. Coś musiało się za tym kryć, że Arik odwoził Bellę na lotnisko. Chciałem to wyjaśnić, jednak telefon nie był odpowiednim środkiem do realizacji celu.

Miałem przecucie, że ktoś próbuje wykręcić jakiś brzydki numer. Był tylko jeden człowiek, do którego mogłem się

zwrócić z zapytaniem, czy moje obawy są uzasadnione: Uri, mój przyjaciel z dawnych lat, z wydziału A1. Jeżeli planowano jakąś operację na terenie Stanów Zjednoczonych, powinien o tym wiedzieć. Byłem pewien, że mnie ostrzeże. Jedyny problem w tym, że skontaktować się z nim nie było łatwo. Nie miał ani adresu, ani numeru telefonu, pod którym mógłbym go zastać. Ten człowiek był czynnym *katsa*. Wiedziałem tylko, że przebywał w Stanach Zjednoczonych. Chociaż... Wiedziałem o nim coś jeszcze. Miał przyjaciółkę w Chevy Chase, Maryland. Nie było to daleko od mojego hotelu. Kobieta ta pracowała na eksponowanym stanowisku w Pentagonie i była Żydówką, przez co romans z nią stawiał Uriego w trudnej sytuacji, tym bardziej, że mąż obracał się w wyższych kręgach waszyngtońskiej administracji. Znalazłem numer jej domowego telefonu i adres w książce telefonicznej, ale nie skorzystałem z telefonu. Niczego w ten sposób bym nie osiągnął. Zapewne przeszkolono ją, aby przez telefon nie rozmawiała z nikim poza Urim. Pojechałem tam taksówką. Kazałem kierowcy zatrzymać się jedną przecnicę wcześniej i poczekać na mnie. Pieszko przeszedłem pod okazały budynek z czerwonej cegły, przypominający dom czynszowy. Okolica była cicha i spokojna, zapewne mieszkało tu wielu wpływowych członków lokalnej społeczności. Zadzwoiłem do drzwi i stanąłem pod wejściem stylizowanym na portal gotyckiej katedry. Ciężkie, drewniane drzwi otworzyły się, lecz następne, szklane, nadal oddzielały mnie od bardzo eleganckiej blondynki, przyglądającej mi się z lekkim uśmiechem.

- Tak?

Miała mniej więcej sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i drobną budowę. Duże, brązowe oczy błyszczały wesoło. Wyglądało na to, że jest w dobrym nastroju.

- Chciałbym prosić o przekazanie wiadomości Uriemu. Jeśli to tylko możliwe.

W jednej chwili uśmiech zniknął z jej twarzy. Chciała wiedzieć, kim jestem i co mnie łączy z Urim. Podczas wymiany zdań do drzwi zbliżył się wysoki, szczupły mężczyzna. Mąż. Powiedziała mu, że jestem przyjacielem Uriego. Chyba orientował się, kim jest Uri, bo zaprosił mnie do środka.

Mało tego. Zdoylem jego szacunek tym, że byłem przyjacielem Uriego. Zgodziłem się wejść, ale tylko na chwilę, gdyż zaraz muszę jechać dalej. Kobieta nie czuła się swobodnie, nie była pewna, czy wiem o jej romansie z Urim. Mąż najwyraźniej nie wiedział, że przyprawia mu się rogi, ale nie zorientowałby się chyba nawet wtedy, gdyby przyłapał ich *in flagranti*. Zostawił nas w okrągłym westybulu, a sam poszedł odebrać telefon. Przez duże, łukowate odrzwia widziałem fragment stylowo urządzonego salonu. Na małym stoliku przy ścianie, pod wielkim połączanym lustrem, stało zdjęcie przedstawiające parę małżonków, stojących po obu stronach prezydenta Ronalda Reagana.

Grzecznie podziękowałem za drinka i chłodne zaproszenie na obiad. Uszczęśliwiłem kobietę. Na skrawku papieru napisałem mój numer telefonu i wręczyłem jej.

- Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś przekazała to Uriemu.

Męża wciąż nie było w pokoju, gdy mówiła, że nie jest pewna, kiedy będzie się z nim widzieć.

- Skorzystaj z telefonu alarmowego - odpowiedziałem i ruszyłem w stronę drzwi.

Z ulgą wydostałem się na zewnątrz. Wcale nie bawiła mnie ta sytuacja, żywcem wycięta z taniej komedii. Rozumiałem, co Uri w niej widzi, a poznawszy jej męża uświadomiłem sobie, jak łatwo ją zdobył.

Musiła mieć alarmowy telefon lub jakiś sposób kontaktowania się z nim w nagłych wypadkach. Przecież była *sayan*. Nie miałem zamiaru korzystać z ich kanałów łączności,

ale bałem się, że w Biurze coś kombinują, a Bella i dzieciaki mogą dostać się między tryby.

Po raz pierwszy spotkałem Uriego w 1968 lub 1969 roku, kiedy służyłem w żandarmerii. Stacjonowałem w Dolinie Jordańskiej, w bazie Giftlick, przemianowanej później na Arik, na cześć pułkownika Arika Regeva, zabitego w zasadzce przygotowanej przez palestyńskich partyzantów. Pułkownik zginął razem z innym oficerem, z którym miałem utarczkę już pierwszego dnia po przyjeździe do doliny. Ten człowiek nazywał się Gady Manella i był urodzonym wojownikiem, izraelskim wojownikiem, twardogłowym trepem, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli. Uri był wówczas oficerem wywiadu przy batalionie spadochroniarzy, stacjonującym w Giftlick. Ja byłem dowódcą tamtejszego posterunku żandarmerii.

W tamtych czasach pościgi za Palestyńczykami, przenikającymi przez granicę i dokonującymi aktów sabotażu, były niemal na porządku dziennym. Na ogół napastnicy ginęli po krótkich pościgach lub strzelaninie na pustyni. Czasem zdarzało się, że udało nam się schwycić terrorystów żywcem. Wiele to nie zmieniało, ponieważ zwykle zgłaszaliśmy drogą radiową, iż wszyscy zostali zabici na miejscu. Przez to nikt na nich nie czekał.

Do moich obowiązków należało transportowanie więźniów do aresztu w Nes Siyyona, niewielkiego miasta na południe od Tel Awiwu. Zawsze zakładałem, że mieszczą się tam sale" przesłuchań Shaback. Wiedzieliśmy, że ci, których tam dostarczamy, mają niewielkie szanse ująć stamtąd z życiem, jednak nie przejmowaliśmy się ich losem. Po praniu mózgu, jakie zafundowano nam w naszym krótkim życiu, byliśmy przekonani, że świat nie ma szarych barw. Jest tylko czerń i biel, oni i my. Albo będziemy górą, albo...

To właśnie Uri rozjaśnił mi w głowie. Powiedział, że tak naprawdę w Nes Siyyona mieszczą się laboratoria, w których trwają prace nad bronią ABC. Skrót ABC oznacza broń

atomową, bakteriologiczną i chemiczną. Najzdolniejsi izraelscy naukowcy pracowali tam nad stworzeniem najróżniejszych machin zagłady. Byliśmy narażeni na atak wroga i musieliśmy mieć możliwość odpowiedzi jednym, potężnym ciosem, gdyż na drugi mogło nie być czasu. Potrzebowaliśmy broni masowego rażenia, skutecznej i bezbłędnej, bo na błędy nie mogliśmy sobie pozwolić. Schwytni Palestyńczycy byli bardzo użyteczni w roli ludzkich świnek doświadczalnych, na których naukowcy wypróbowywali kolejne wynalazki po to, aby uczynić broń jeszcze skuteczniejszą. Dzisiaj przeraża mnie nie to, że coś takiego w ogóle się działo, ale spokój i zrozumienie, z jakim to zaakceptowałem.

Po latach spotkałem Uriego jeszcze raz. Teraz był już agentem Mosadu, weteranem *katsa* w wydziale A1, zaś ja żółtodziobem. Wrócił z operacji w Republice Południowej Afryki. Tymczasowo odrabiałem prace biurowe w wydziale łączności Dardasima, pomagając mu w przygotowaniach do wysyłki dużego transportu leków. W misji humanitarnej płynęło do Republiki Południowej Afryki również kilku izraelskich lekarzy. Mieli podjąć pracę w Soweto, czarnej dzielnicy Johannesburga, a ściślej w przychodni lekarskiej funkcjonującej przy szpitalu Baragwanath w Soweto, kilka ulic od domów Winnie Mandeli i Desmonda Tutu. Szpital i przychodnię wspierała klinika w Baltimore, służąca Mosadowi za odskocznia¹. Uri przechodził kwarantannę po pracy w Stanach Zjednoczonych.

Pamiętam, że zapytałem go:

- Co Mosad zyskuje pomagając Czarnym w Soweto?

Nie było w tym żadnej logiki. Mosad nie mógł odnieść żadnych doraźnych korzyści politycznych (a zwykle właśnie o to chodziło) i nic nie zyskiwał finansowo.

¹ Odskokcznia: osoba lub grupa osób używana do nawiązywania kontaktu, ustanawiania bufora informacyjnego.

- Pamiętasz Nes Siyyonę?

Sprawił, że ciarki przeszły mi po plecach. Kiwnąłem głową.

- W Soweto jest podobnie. Mamy okazję przebadać za jednym zamachem nowe choroby zakaźne i leki, których w Izraelu nie można testować na ludziach. Działamy na zlecenie kilku izraelskich wytwórców leków. Dzięki zdobytym informacjom będą wiedzieć, czy są na dobrej drodze. Zaoszczędzą miliony dolarów.

- Co o tym myślisz?

- Moja praca nie polega na myśleniu.

Nawet gdy nie powiedział tego wprost, wiedziałem, że nie podoba mu się cały ten pomysł. Przynajmniej miałem taką nadzieję. Fakt, że po aferze Pollarda odwołano go ze Stanów Zjednoczonych i obłożono kwarantanną, nie służył dobrze jego karierze. To przecież on wepchnął Pollarda na scenę w 1982 roku.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Jonathan Pollard był amerykańskim Żydem, który całym sercem wierzył, że między państwem Izrael a Stanami Zjednoczonymi Ameryki istnieje święte przymierze. Jego zdaniem lojalność wobec Stanów Zjednoczonych i lojalność wobec Izraela nie wykluczały się - dla niego było to jedno i to samo. Ta ideologia nie zrodziła się w jego głowie ot, tak, z niczego. Była efektem długiego procesu indoktrynacji, jakiej poddawano duże rzesze żydowskiej młodzieży, zresztą przy wydatnej" pomocy Izraela, pomocy udzielanej w formie finansowania *shlichim* albo posłańców Alia, jak się ich nazywa. Ludzie ci działają w żydowskiej społeczności, zaszczepiając w sercach młodych ludzi miłość do państwa Izrael. W przypadku Jonathana Pollarda udało im się to aż za dobrze.

Młodzieniec zgłosił się na ochotnika do pracy w Amerykańsko-Izraelskim Komitecie Spraw Publicznych, proizraelskiej grupie nacisku społecznego, stanowiącej kolejne ogniwo łańcucha organizacji mających za zadanie spajać społeczność

żydowską z Izraelem, a w szczególności z ideami prawicowymi. Pollard, obracający się już wtedy w kręgach amerykańskich służb wywiadowczych, zgłosił się na ochotnika, gdyż pragnął służyć państwu Izrael* Zgodnie z procedurą, jego nazwisko przekazano do sekcji bezpieczeństwa przy ambasadzie izraelskiej w Waszyngtonie, a później do biur Mosadu, gdzie zostało wciągnięte na listę potencjalnych *sayanów*. Po gruntownej weryfikacji, dla której Mosad wykorzystał nawet swoje powiązania z Ligą Przeciw Zniesławieniu, w Mosadzie zdecydowano, że Pollard jest dobrym kandydatem i będzie bardzo przydatny, ponieważ jest zagorzałym syjonistą i zajmuje niezłą pozycję w wywiadzie, mając dostęp do bieżących danych na temat Środkowego Wschodu i Afryki. Co więcej, ponieważ był Żydem, nie groziło, że za szpiegostwo będzie żądał zapłaty. W rzeczy samej, znakomicie nadawał się do Operacji Renifer, która miała na celu wzmocnienie więzi między wywiadami Stanów Zjednoczonych i Republiki Południowej Afryki. Oczywiście, istniały już kanały łączności między tymi wywiadami, ale ten miał być monitorowany przez Mosad i miał przynieść wiele korzyści.

Kiedy Uri skontaktował się z nowym nabytkiem Mosadu, mając w kieszeni referencje od mieszkającego w Izraelu przyjaciela Pollarda, ten nie wahał się ani chwili. Otrzymał instrukcje, że nie wolno mu kontaktować się z żadną żydowską organizacją, aby ci z AIPAC byli przekonani, iż Mosad nie jest nim zainteresowany. Był teraz *sayanem* dla Mosadu lub, jak mu powiedziano, służb bezpieczeństwa Izraela.

Zgodnie z polityką Mosadu niepłacenia żydowskim współpracownikom, Pollard nie otrzymywał za swą pracę żadnego wynagrodzenia. Dzięki temu nikt nie mógł twierdzić, że robił to z innych powodów niż miłość do Izraela i troska o jego przyszłość.

Uri przekazał wywiadowi Republiki Południowej Afryki zdjęcia (pozyskane od duńskiego wywiadu) przedstawiające radziecki system broni SSC-3, który w tamtym czasie Amerykanie bardzo chcieli poznać. Wszystko to było częścią Operacji Renifer. Afrykanie uszczęśliwili amerykański wywiad tymi zdjęciami, posłużwszy się kanałem stworzonym przez Pollarda na bazie szkolnej znajomości. (Tak się złożyło, że kolega ze szkolnej ławy, z którym Pollard utrzymywał zażyłe stosunki także po ukończeniu nauki, został starszym oficerem wywiadu Republiki Południowej Afryki.)

Przez jakiś czas Uri otrzymywał od Pollarda najróżniejsze informacje. Dbał przy tym o to, aby ten pozostał poza podejrzeniami. W raportach nieustannie przestrzegał - tak na wszelki wypadek, aby pozostał jakiś ślad w aktach - że nie jest pewny, czy Pollard zawsze, bez wyjątku, mówi prawdę. Uri podejrzewał, że Pollard może popaść w tarapaty, pragnąc zdobyć informacje, o które wcale nie był proszony. Gdyby tak się stało, Uri nie byłby w stanie mu pomóc, gdyż nie byłby świadom nadciągającego niebezpieczeństwa.

Gdzieś w 1984 roku, po konsultacji ze zwierzchnikami, Uri doszedł do wniosku, że Pollard stał się zbyt dużym ciężarem do utrzymania, ponieważ bez przerwy usiłuje robić więcej, niż się od niego żąda, podejmuje niepotrzebne ryzyko i w ogóle więcej sprawia kłopotów, niż jest z niego pożytku. Pollard został wpisany na listę agentów w stanie spoczynku. Poinformowano go, iż położył wielkie zasługi dla Izraela, ale dla jego własnego bezpieczeństwa wywiad zdecydował przesunąć go w stan spoczynku. Jeżeli w przyszłości dojdą do wniosku, że może bezpiecznie wrócić do pracy, skontaktują się z nim i przywrócą stan czynny.

Pollard nie był tym zachwycony, jednak, według Uriego, nie robił żadnych problemów. Przypomnijmy jeszcze raz: przez cały czas nie otrzymał za swą pracę ani centa. Współpracował z Mosadem wyłącznie z pobudek ideologicznych.

Akta Pollarda nie zdążyły na dobre wystygnąć, gdy dostał je w łapy Rafi Eitan. Nie był już wtedy agentem Mosadu, ale, jak to mawiają, kto raz był agentem Mosadu, będzie nim zawsze. Eitan posiadał dostęp do akt Mosadu z dwóch powodów: jako były agent oraz obecny doradca premiera w sprawach terroryzmu i szef LAKAM.

Teczka Pollarda była dla niego niczym żyła złota. Nie kępowały go zasady, stosowane przez Mosad w odniesieniu do żydowskich współpracowników. Posłużył się hasłem przywracającym Pollarda w stan czynny i zorganizował dla niego tzw. naturalne środowisko, w którym mógł on spotkać swego nowego agenta operacyjnego, Aviana Sellaha. Sellah, izraelski pilot, odznaczony za udział w nalocie bombowym na iracką elektrownię jądrową w Osiraku, nadawał się do tego zadania wprost idealnie. Pragnął studiować w Stanach Zjednoczonych i jednocześnie wyrażał chęć współpracy z LAKAM. Nie musiał werbować Pollarda, wystarczyło przywrócić go w stan czynny, a Eitan tak zaaranżował spotkanie, aby wyglądało na czysty zbieg okoliczności, sprowokowany przez trzecią osobę, krewnego Pollarda. Sellah został wybrany na agenta operacyjnego, ponieważ był specem od systemów namierzania i łatwo mógł znaleźć wspólny język z Pollardem, będącym w wywiadzie analitykiem. Sellah nie przeszedł jednak szkolenia wywiadowczego i fakt ten znacznie przyczynił się do upadku Pollarda, który w tej fazie otrzymywał za szpiegostwo wynagrodzenie i działał niemal całkowicie na własną rękę.

Ze swych źródeł w CIA, Mosad dowiedział się o zaciskającej się wokół Pollarda pętli pościgu, jednak wolał pozostać na uboczu, mając nadzieję, iż afera szybko przycichnie, a rozwiązania zapadną za zamkniętymi drzwiami i LAKAM wypadnie z gry. Sprawy jednak zaczęły wymykać się spod kontroli. Żeby zyskać na czasie, ambasador Izraela w Stanach Zjednoczonych został wysłany do Francji z cyklem

wykładów, a prowadzenie placówki dyplomatycznej powierzono niższemu rangą dyplomacie, Eliyakimowi Rubinsteiniowi, który nie mógł samodzielnie podejmować decyzji o znaczeniu politycznym. Tymczasem wszyscy agenci LAKAM uciekli ze Stanów Zjednoczonych i Pollard został zupełnie sam. Przyjechał do ambasady izraelskiej w Waszyngtonie. Kiedy znalazł się w środku, strażnicy zwrócili się do Rubinsteina po instrukcje. Ten skontaktował się z przedstawicielem Shaback, ale niewiele się dowiedział, gdyż przedstawiciel Shaback zwrócił się do rezydenta Mosadu, który przyjął założenie, iż sytuacja nie uległa zmianie, i nie zadając sobie trudu kontaktowania się z centralą stwierdził, że Pollard nie jest agentem Mosadu, więc niech sobie robi, co mu się podoba. Przedstawiciel Shaback również nie poczuwał się do odpowiedzialności. Zauważył, że skoro wszyscy agenci LAKAM opuścili kraj i żadnego nie można znaleźć, decyzja w sprawie Pollarda należy do Rubinsteina. Dodał jeszcze, że ambasada jest okrążona przez FBI.

Rubinstein nie był w stanie skontaktować się bezpośrednio z Izraelem. Kanał łączności alarmowej był kontrolowany przez łącznika Mosadu, a ten stwierdził, że z przyczyn technicznych nawiązanie łączności jest niemożliwe. Rubinstein postanowił przejąć inicjatywę. Posłał Pollarda i jego żonę prosto w ręce zdumionych agentów FBI. Dużo później, od agentów FBI zaangażowanych w ściganie i ujęcie Pollarda dowiedziałem się, że byli równie zaskoczeni wydaniem go, jak on sam. Byli już gotowi podjąć negocjacje z Izraelem, aby wypracować jakiś kompromis. Później wypłynęło na jaw, że duża część informacji przekazanych przez Pollarda do Izraela przeniknęła do krajów Bloku Wschodniego, gdy posłużyła jako środek wymiany za przetrzymywanych w tych krajach Żydów. Wiedza o tym oraz świadomość tego, że publiczne potwierdzenie zaistnienia przecieku uwiarygodniłoby dane

znajdujące się obecnie w rękach Sowietów, przyczyniły się do tego, iż Caspar Weinberger, amerykański sekretarz stanu, poprosił sąd o maksymalny wymiar kary dla Pollarda i utajnienie przed opinią publiczną uzasadnienia wyroku.

W następstwie tych wydarzeń Uri został zmuszony do opuszczenia Stanów Zjednoczonych. Mosad całkiem serio brał pod uwagę możliwość, że Pollard ujawni swoje powiązania z wywiadem, aby uzyskać korzystniejszy wyrok. Pollard jednak milczał, ponieważ zdawał sobie sprawę, że otworzyłby tym sposobem następną puszkę Pandory i uczynił swą sytuację jeszcze gorszą. Departament Sprawiedliwości obiecał mu, że jeśli zacznie mówić i odsłoni wszystkie szczegóły szpiegowskiej działalności, uzyska skrócenie wyroku i uchroni przed więzieniem żonę, uznaną za winną współdziałania. Pollard jednak milczał.

Teraz afera przycichła, a Uri wrócił do Stanów Zjednoczonych i kierował pracą wielu *sayanim*, którzy byli bardziej dyskretni i godni zaufania niż Pollard.

O dziesiątej rano byłem spakowany i gotowy do drogi. Zadzwonił telefon. Uri był wściekły. Jak śmiałem kontaktować się z jego agentką? Powiedział, że wystraszyłem ją jak wszyscy diabli i powiedziała, że powinna zrezygnować. Przez dobrą minutę bezskutecznie próbowałem go uspokoić. Nagle sam zmienił ton, jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zupełnie jakby skończyła mu się amunicja i po wystrzeleniu gniewu stał się spokojny niczym baranek.

- Dobra, Victorze, co nowego?
- Nic oprócz tego, że wyleciałem z Biura, sam sobie rękę skrobię i szukam sensu życia.
- Więc co ciebie tutaj sprowadza?
- Nie kończące się poszukiwanie - zażartowałem, a on wiedział, co mam na myśli.
- Co mogę dla ciebie zrobić? I jaki jest w tym kruczek?
- Żadnych kruczków, naprawdę. Muszę wiedzieć, czy

w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin planowana jest jakaś operacja w Waszyngtonie.

- W jakim sensie?

- Dobrze wiesz, w jakim. Chodzi o coś wyjątkowego, coś, przed czym cię ostrzeżono, żebyś trzymał się z daleka.

W słuchawce zapadła cisza. Po kilku sekundach usłyszałem:

- Człowieku, w co ty się wplątałeś?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie!

- Nie wiadomo mi o niczym wyjątkowym - odparł, przeciągając słowa, jakby potrzebował czasu do namysłu. - Gdzie jesteś?

- W hotelu. Przecież zadzwoniłeś do mnie. Zapomniałeś?

- Zadzwoniłem, ale nie wiem, gdzie jest ten Holiday Inn. Możemy się gdzieś spotkać?

- Może w hallu hotelu Four Seasons, w centrum miasta?

- Pasuje. Kiedy?

- Może około drugiej po południu?

- Bądź tam - rzucił i odłożył słuchawkę.

Uregulowałem rachunek i opuściłem hotel. Wziąłem taksówkę do Sheratona, mieszczącego się tuż przy lotnisku, zameldowałem się i wróciłem do centrum. O drugiej wszedłem do Four Seasons. Uri czekał już na mnie i poprowadził do sali jadalnej. Zbliżał się do pięćdziesiątki, miał wysokie czoło, i przy wzroście stu osiemdziesięciu centymetrów wydawał się dość krępy. Miał siwe włosy, nosił okulary w rogowej oprawie i szary garnitur, nadający mu bardzo elegancki wygląd. Kelner poprowadził nas do pierwszego wolnego stolika, ale Uri wołał inny, tkwiący w najdalszym kącie sali. Ledwie zdążyliśmy usiąść, natychmiast przeszedł do sedna:

- Co możesz mi powiedzieć na temat Ephraima?

Przyjrzałem mu się.

- A co ty możesz mi powiedzieć? - odpowiedziałem pytaniem.

- Jeśli powiem, że należę do jego grupy, coś ci to powie?
- Naprawdę należysz?
- Owszem. A ty jesteś wolnym strzelcem, o którym nam mówił?

- Mogłbym być, ale czy akurat tym, którego masz na myśli? Nie wiem. - Pochyliłem się ku niemu. - Co mi powiesz o Kutim? - zapytałem, przywołując nazwisko generała, który został zamordowany tuż przed objęciem funkcji naczelnika Mosadu.

- To ty jesteś tym samotnym strzelcem! - powiedział, uśmiechając się. - Nigdy bym nie zgadł. A odpowiadając na twoje pytanie... Tak, wierzę, że zabili go nasi ludzie.

- Nie mówmy Ephraimowi o tej rozmowie - rzekłem. - Wolałbym mieć kogoś w grupie, o kim nie wiedziałby Ephraim.

- Jeśli o mnie chodzi, będę milczał jak głaz. Nie ufasz mu?
- Dzisiaj tak. Jednak doskonale wiesz, że wszystko się zmienia.

Nie powiedzieliśmy nic więcej na ten temat. Zdecydowaliśmy, że kobieta, którą odwiedziłem, będzie naszym punktem kontaktowym. Uri miał jej powiedzieć, że teraz sprawdzaliśmy ją w ten sposób. W przyszłości będzie do niej telefonować i pytać, czy nie ma ode mnie wiadomości. Ja będę robić to samo. Tym sposobem zdobyłem jeszcze kanał łączności ze światem, osobę, której mogłem zaufać i liczyć, że w sytuacji alarmowej uratuje mi życie.

22

*Wtorek, 27 maja 1986 r.,
Narodowy Port Lotniczy
w Waszyngtonie*

Czekałem w sali przylotów na przybycie Belli. Mężczyzna stojący obok mnie kartkował książkę, najświeższą powieść Johna le Carre. Tytuł, biorąc pod uwagę moją sytuację, wydał mi się nieco ironiczny: *Szpieg doskonały*. Przypomniałem sobie, że kiedyś bardzo lubiłem lektury tego typu. Kiedyś... Zanim wstąpiłem do Mosadu i dowiedziałem się, jak dalece prawda o świecie szpiegów różni się od fikcji literackiej w tak zwanych powieściach szpiegowskich. Prawdziwe życie w takim świecie było dużo bardziej niebezpieczne i dużo mniej przewidywalne niż w jakiegokolwiek powieści. Przypomniałem sobie własną refleksję: opisanie skomplikowanej struktury poplątanej siatki wywiadowczej jest zadaniem, niemal niewykonalnym.

Z korytarza wysypał się tłumek pasażerów lecących samolotem z Nowego Jorku. Minęło kilka minut i ujrzałem Bellę. Jej widok zapierał dech w piersiach. Jej uśmiech był światłem, którego szukałem na końcu tunelu. Chyba nigdy nie byłem tak szczęśliwy, jak w tej jednej chwili. W jakimś punkcie mojej dziwacznej wyprawy straciłem nadzieję, że ponownie ją ujrzę, a teraz, proszę, stała przede mną! Porwałem ją w ramiona i ścisnąłem, tuliłem do siebie niczym najcenniejszy skarb, którego już nigdy nie wypuszczę z ręki.

Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że pokonaliśmy dzielącą nas ogromną, rozległą otchłań. Może Bella nie wiedziała, jak głęboka była to przepaść, lecz na pewno wyczuwała jej bezmiar. W drodze do hotelu nie mówiliśmy wiele, a gdy dotarliśmy do mojego pokoju, siedzieliśmy naprzeciw siebie, wzajemnie chłonąc się wzrokiem. Chciała wiedzieć, gdzie byłem i co się ze mną działo. Nie mogłem jej powiedzieć. Musiałem trzymać ją z dala od tego bagna, toteż skłamałem, że odwiedziłem Zair i podjąłem pracę dla pewnych ludzi w charakterze doradcy do spraw bezpieczeństwa. Powiedziałem, że nazajutrz mam otrzymać pieniądze, a potem będziemy mogli wyjechać do Kanady.

Następnego ranka zszedłem do hotelowego hallu, spotkałem się z Zuhirem i wziąłem od niego pieniądze. Zaraz potem kupiłem samochód, pontiaca 6000, rocznik 1985, szary metallic. Zapłaciłem gotówką. Opłaciłem ubezpieczenie i załatwiłem tymczasowe tablice rejestracyjne, po czym wróciłem do hotelu. Następnego dnia ruszyliśmy do Kanady. Opuszczaliśmy Waszyngton z niekłamaną przyjemnością. Wspomnienia z tego miasta nie należały do najsympatyczniejszych.

To był nasz drugi miesiąc miodowy, choć, tak naprawdę, nie mieliśmy pierwszego. Byliśmy nienasytzeni, ciągle pragnęliśmy siebie jeszcze bardziej i bardziej. Po trzech dniach jazdy dotarliśmy do Ottawy, pięknej stolicy Kanady. Bella zobaczyła to miasto kiedyś w telewizji i od tamtego czasu chciała tu zamieszkać. Ponieważ nie robiło mi różnicy, gdzie osiadziemy, zaakceptowałem wybór Ottawy.

Kilka pierwszych dni spędziliśmy w Holiday Inn na Queen Street, w centrum miasta. Potem znaleźliśmy trzy-pokojowy apartament, również w centrum, w nowoczesnym budynku zwanym Kent Towers.

Uprzedziłem Bellę, że od czasu do czasu będę musiał wyjechać w związku z moim zajęciem doradcy, ale za to

w wolnym czasie będę mógł poświęcić się temu, co zawsze chciałem robić: rysowaniu i malowaniu. Przyjechała Leeorah, a Bella pojechała do Izraela, spakowała wszystko i wróciła z Sharon. Nareszcie w mieszkaniu przy Kent Street byliśmy wszyscy czworo. Dziewczynki nie były zachwycone zmianą miejsca zamieszkania, ale pogodziły się z faktem. Takie jest życie.

Co jakiś czas z aparatu publicznego po drugiej stronie ulicy telefonowałem do Ephraima, aby sprawdzić, czy wszystko idzie jak należy i odebrać instrukcje dotyczące następnego kroku. Niewiele się działo. Chciał, żebym skontaktowałem się z Egipcjanami, ale odwlekałem wykonanie tego zadania. Wizja jednoczesnej pracy dla dwóch arabskich krajów nie była zbyt pociągająca. Nie mieliśmy pojęcia, jakie stosunki łączą te państwa. Mogliśmy oczekiwać, że ich wywiady dość dobrze ze sobą współpracują. Próbką działalności wywiadu jordańskiego, którą mogłem zobaczyć na własne oczy, utwierdziła mnie w przekonaniu, że nasza wiedza jest więcej niż skromna.

Tymczasem nie byliśmy w stanie zainstalować w Izraelu siatki szpiegowskiej dla Jordańczyków, jak to obiecałem, toteż nie mogłem dalej zwodzić Ephraima. Musiałem zrobić to, o co mnie prosił, czyli podjąć próbę zwrócenia egipskiego wywiadu przeciw Mosadowi, tym bardziej, że czas działał na naszą niekorzyść. Jeśli marzyłem o powodzeniu akcji, trzeba było zacząć, zanim dojdzie do jakiegoś incydentu, który ujawni, że Mosad, poprzez kontakty w Afganistanie, udziela pomocy (głównie w zakresie logistyki) fundamentalistom islamskim.

Pokój z Egiptem był solą w oku izraelskich prawicowców. Pokój ten, czujnie strzeżony przez Egipcjan, był doskonałym dowodem na to, że Arabowie są ludźmi, z którymi pokojowe współistnienie jest jak najbardziej możliwe, i wcale nie pasują do obrazu, jaki kreuje Mosad oraz inne prawicowe

organizacje. Egipt utrzymywał pokój z Izraelem nawet wówczas, gdy w 1982 roku Izrael rozpoczął wojnę z Libanem, pomimo ostrzeżeń Mosadu, że Egipt systematycznie dozbraja siły zbrojne, co zapewne jest częścią szeroko zakrojonych przygotowań do wojny z Izraelem, planowanej na lata 1986 - 87 (która nigdy nie stała się faktem).

Mosad doszedł do wniosku, że w regionie musi pojawić się nowy czynnik zagrożenia, na tyle poważny, by samo jego istnienie usprawiedliwiało wszelkie kroki podejmowane przez wywiad celem jego zlikwidowania.

Prawicowy odłam Mosadu (jak zresztą prawicowcy w całym kraju) miał własną filozofię, na której opierał działania na terenie państwa i poza nim. Była nią wiara (uzasadniona) w to, że na Środkowym Wschodzie nie ma potęgi militarnej mogącej równać się z Izraelem. W zasadzie wiara ta sięgała dalej, wierzone bowiem, iż wojskowa potęga „fortecy Izrael”, jak mawiano, przewyższa wszystkie arabskie armie razem wzięte i tylko dzięki temu państwo jest bezpieczne. Prawicowcy wierzyli - i nadal wierzą - że potęga ta ma swoje źródło w potrzebie ciągłej gotowości do odparcia napaści wroga.

Naturalną konsekwencją tej wiary było przekonanie, że w czasie pokoju musi dojść do osłabienia sił zbrojnych i w następstwie do upadku państwa Izrael, ponieważ arabscy sąsiedzi nie są godni zaufania, a podpisane przez nich układy pokojowe nie są warte papieru, na których złożono podpisy.

Mosad opracował generalny plan dla regionu, do którego znakomicie pasowało wspieranie radykalnych odłamów wśród islamskich fundamentalistów. Arabskie kraje rządzone przez fundamentalistów nie byłyby partnerem dla Zachodu w jakichkolwiek negocjacjach, za to Izrael okazałby się jedynym demokratycznym, racjonalnym krajem w całym regionie. A gdyby jeszcze Mosadowi udało się sprawić, aby

Hamas (fundamentaliści palestyńscy) wziął górę nad OWP, panorama byłaby kompletna.

Mosad prowadził w Egipcie bardzo ożywioną działalność. W Kairze znajdowała się teraz izraelska ambasada i panował w niej ruch jak w godzinach szczytu na ulicy wielomilionowego miasta. Egipt stał się dla wywiadu zarówno źródłem informacji, jak i miejscem, z którego dokonywano wypadów do pozostałych krajów arabskiego świata. Pod fałszywą flagą werbowano wielu tuziemców. Do zbierania informacji w krajach arabskich znacznie łatwiej i bezpieczniej użyć Egipcjanina, który nigdy nie postawił nogi poza Środkowym Wschodem, aniżeli Araba, który podróżował po Europie i mógłby wydać się podejrzanym.

To była część gry, którą od biedy dałoby się traktować jako normalną. Mosad zaczął jednak burzyć porządek społeczny poprzez wspieranie, również pod fałszywą flagą, lokalnych fundamentalistów, a to już zupełnie inna para kaloszy. Bardziej niż pracę wywiadu przypominało to podcinanie gałęzi, na której się siedzi.

Niedziela, 29 czerwca

Bella opuszczała Izrael w pośpiechu i po tym, jak całkowicie straciła ze mną kontakt, gdy byłem w Jordanii, miała tylko jeden cel - znaleźć mnie. Teraz pojechała na tydzień do Izraela, aby pozbierać resztę naszych rzeczy i przywieźć je do Kanady. Miała wrócić w następnym tygodniu. Około południa ktoś zatelefonował do mnie, do domu.

- Vic?

Natychmiast rozpoznałem ten głos. Zdziwiło mnie, że Ephraim dzwoni pod mój domowy numer.

- Słucham...

- Może zjemy lunch?

- Gdzie jesteś?

Czułem, że napinają mi się wszystkie mięśnie.

- Myślę, że gdybyś wyrzął przez okno, mógłbyś mnie zobaczyć. Stoję w budce naprzeciw sklepu z szyldem „Canadian Tire”.

Wyrząłem przez okno. Rzeczywiście, był tam. Miał na sobie jasnoniebieski garnitur.

- Gdzie znalazłeś taki garnitur? - Zachichotałem.

- Schodzisz na dół, czy mam wejść na górę i ściągnąć cię własnoręcznie?

- Zdajesz sobie sprawę, jak blisko jesteśmy izraelskiej ambasady? - spytałem.

- Pewnie, to ten budynek w dole ulicy. Tylko że szef ochrony razem z większością ludzi jest na strzelnicy w Nowym Jorku, a nasz łącznik jest w Waszyngtonie. Brzeg jest czysty. Możemy rozkoszować się smakołykami w dowolnej restauracji.

Kilka minut później stałem już na dole. Dzień był wyjątkowo piękny. Wylądowaliśmy na wysokim piętrze hotelu Westin, gdzie zjedliśmy lekki lunch. Poznałem najświeższe plotki z Biura. Potem Ephraim przeszedł do sedna, czyli do prawdziwego powodu swojej wizyty.

- Musisz pójść do Egipcjan. Nie możemy dłużej czekać.

Prawdę powiedziawszy, byłem już u Egipcjan. Skontaktowałem się z nimi i dwukrotnie odwiedziłem ich ambasadę w Waszyngtonie. Do tej pory, idąc za radą Ephraima, nie skorzystałem z zaproszenia do Kairu. Mieliśmy wówczas ważniejsze sprawy na głowie, kombinacje z Jordańczykami i spotkania z Brytyjczykami. Nie był to najlepszy moment. Zaproszenie od egipskiego attache wojskowego było wciąż aktualne.

Według Ephraima, człowiek, który wystosował to zaproszenie, wkrótce miał zostać zastąpiony. Wiedzieliśmy, że

obecny attache z całą pewnością nie pracuje dla Mosadu, a skoro tak, szansa na bezpieczne przeniknięcie do Egipcjan mogła szybko się zdezaktualizować.

- Musisz do nich dotrzeć i ujawnić konszachty Mosadu z fundamentalistami. Zebrałem trochę informacji i potrzebuję kogoś, kto przekaze je Egipcjanom. Kogoś, komu zaufają.

- Te informacje to fałszywki?

Musiałem wiedzieć. Jeżeli planował posłużyć się mną jako narzędziem do szerzenia dezinformacji, mógł mnie z tego wyłączyć. Nie chodziło o to, że pałem wielką miłością do Egipcjan. Po prostu nie chciałem posługiwać się metodami Mosadu. Po prostu sądziłem, że nie byłibyśmy wtedy wcale lepsi od ludzi, z którymi walczyliśmy.

Zapewnił, że informacje są autentyczne i powinny doprowadzić do aresztowania kilku fundamentalistów i ujawnienia kanału zaopatrzenia w broń, łączącego afgańskich mudżahedinów oraz Stowarzyszenie Braci Muzułmańskich w Egipcie.

- To bardzo daleka droga dla transportów broni - zauważyłem.

Jak się okazało, nie była to droga, a raczej rurociąg, ponieważ większość broni mudżahedinów była produkcji amerykańskiej i dostarczano ją Stowarzyszeniu Braci Muzułmańskich bezpośrednio z Izraela, korzystając z pośrednictwa beduinów przemierzających tam i z powrotem strefę zdemilitaryzowaną na Synaju.

Oczywiście, Mosad mógłby dostarczyć także broń produkcji radzieckiej, której miał pod dostatkiem z magazynów OWP, przejętych podczas wojny w Libanie w 1982 roku. Kiedy sprzęt znalazłby się już na terytorium Egiptu, dostawę sfinalizowałby jakiś pośrednik. Jako zapłatę, Mosad wyznaczyłby cele do zniszczenia wewnątrz Egiptu.

- Destabilizacja, destabilizacja i jeszcze raz destabilizacja - powiedział Ephraim. - Tylko o to chodzi, przez cały czas

dążą tylko do tego. Nieważne, co się mówi, jedyne, o czym myślą, to urządzenie jednej jatki za drugą. Nie rozumieją, że dzungla, którą sami stworzyli, pewnego pięknego dnia pochłonie również ich samych.

- Zaczekam, aż Bella wróci. Zabiorę ją i dzieci na wycieczkę do Waszyngtonu, a przy okazji odbiorę wizę. Jeśli mój kontakt wciąż jest aktualny, rzecz jasna.

- Nie zwlekaj. Słyszałem, że rozmawiałeś z Urim.

Całkowicie mnie zaskoczył. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie wiedziałem nawet, czy w ogóle powinienem się odzywać.

- Masz spóźniony zapłon, czy co? To było dawno temu.

- Wcale nie tak dawno. Kontaktowałeś się z nim od tamtej pory?

- Jego zapytaj.

Nie powiedział już ani słowa na ten temat. Pod wieczór odwiozłem go na lotnisko. Umówiliśmy się, że przekaże mi dane o transportach z bronią po moim powrocie z Waszyngtonu, kiedy będę znał datę podróży do Egiptu.

Rodzinną wycieczkę do Stanów Zjednoczonych zrobiliśmy w piątek 4 lipca, wykorzystując święto narodowe Stanów Zjednoczonych. W sobotę i niedzielę objechaliśmy kilka ciekawych miejsc, a w poniedziałek, z samego rana, odwiedziłem egipską ambasadę. Podróż przebiegała bez zakłóceń. Belli powiedziałem, że muszę spotkać się z dyplomatami z Zairu, omówić szczegóły mojego wyjazdu do tego kraju. W ambasadzie wszystko poszło gładko. Strażnikowi przy drzwiach wręczyłem paszport, po chwili zjawił się człowiek, z którym wcześniej nawiązałem kontakt. Poprowadził mnie do sporej sali, fantazyjnie wymalowanej jasnoniebieską farbą. Usiadłem pod portretem w złotych ramach, przedstawiającym uśmiechniętego prezydenta Hosni Mubaraka. Cierpliwie przesiedziałem kilka minut, zanim

zjawi! się attache. Powitał mnie bardzo ciepło. Ciekawiło go, czy jestem przesądny; zapewniłem, że nie. Wtedy powiedział, że mój lot do Kairu zaplanowano na 13 lipca. Poczulem, że kolana uginają się pode mną, ale nie dałem niczego po sobie poznać.

Bilety miały na mnie czekać na stanowisku Aer Lingus na lotnisku Kennedy'ego, lecz sam musiałem za nie zapłacić. Z własnej inicjatywy załatwili tylko rezerwację. Wręczył mi kopertę z dwoma tysiącami dolarów. Miałem wrócić 20 lipca. W Egipcie ktoś odbierze mnie z lotniska i zawiezie w bezpieczne miejsce. Obiecał, że nie mam o co się martwić, a sprawa wynagrodzenia za moje usługi będzie przedyskutowana dopiero w Egipcie. Wyraził się bardzo jasno, że ze względu na status dyplomaty oraz szacunek dla Stanów Zjednoczonych, których był gościem, jego zaangażowanie w tę sprawę nie mogło wykraczać poza obecne stadium.

- Jak długo twoje serce jest czyste - rzekł uśmiechając się przyjaźnie - tak długo w kontaktach z nami nie masz czego się obawiać.

To oświadczenie przeraziło mnie bardziej niż jakakolwiek groźba, a słyszałem ich już wiele. Może stało się tak w myśl przysłowia: na złodzieju czapka gore?

Wracając do Ottawy byłem pogrążony w niewesołych myślach. Nie opuszczało mnie dziwne przeczucie zbliżającej się katastrofy. Nareszcie znalazłem miejsce na Ziemi, w którym czułem się dobrze, miałem rodzinę, zacząłem nowe życie, a teraz zostawiałem to wszystko i ponownie wyruszałem w podróż do piekła. Nowe życie było tylko pozorną wartością. Wciąż byłem żołnierzem, tkwiłem na najbardziej wysuniętym posterunku granicznym, w tak odległym i mrocznym punkcie granicy państwa, że nie wiadomo, czy jest się po jednej, czy po drugiej stronie. Do zdefiniowania takiej granicy trzeba filozofii, a takie rozwiązanie wcale mi nie odpowiadało.

Niedziela, 13 lipca

Przyjechałem do Nowego Jorku w godzinach popołudniowych i zgodnie z planem odebrałem bilet. Mój samolot, Egypt Air Flight, lot 986, miał wystartować o 22:00. Miałem sporo czasu do zabicia.

Nie czułem się dobrze z tym, co miałem zrobić. Całym ciałem wzdrygałem się przed opuszczeniem bezpiecznej przystani, jaką były Stany Zjednoczone. W ostatnich miesiącach miałem do czynienia z tak wieloma agencjami wywiadowczymi, że jeszcze jedna podróż nie powinna robić na mnie wrażenia, jednak miałem świadomość, że Egipcjanie, nawet jeśli ich wywiad nie należał do najskuteczniejszych, musieli słyszeć przynajmniej o jednej z moich poprzednich eskapad.

Samolot oderwał się od pasa zgodnie z rozkładem, niosąc mnie ku nieuniknionemu przeznaczeniu. Przez całą drogę nie mogłem zmrzyć oka. Dokuczało mi poczucie winy, że nie wyjaśniłem Belli, dokąd jadę. Ale myśl o Belli była podszyta egoizmem. Nie chodziło o to, że mogła się niepokoić; raczej o to, że ktoś oprócz Ephraima wiedziałby, gdzie jestem.

Był jasny dzień, gdy przelatywaliśmy nad połyskującym Morzem Śródziemnym. Pilot ogłosił, że zaczynamy schodzić w dół do lądowania w międzynarodowym porcie lotniczym w Kairze. Chłodny błękit wody w dole ustąpił nadzwyczajnemu, piaszczystemu krajobrazowi Egiptu. Im niżej opadaliśmy, tym bardziej panorama przypominała o palącym słońcu. Kiedy wylądowaliśmy, nie trzeba było wychodzić z samolotu, aby wiedzieć, jak gorąco jest na zewnątrz.

Piątek, 18 lipca

Naga żarówka bujała się pod zapleśniałym sufitem, gasnąc i zapalając się ponownie. Właśnie zakończyłem wspominać

wydarzenia ostatnich sześciu miesięcy. Z wnętrza budynku, o którym myślałem, że stoi pusty, dobiegł stłumiony krzyk. Ledwie słyszalne wrzaski sprawiły, że oblałem się zimnym potem. Leżałem na plecach, wodząc wzrokiem za dużym, brązowym karaluchem, wędrującym po suficie .mojej celi.

Potem zjawił się starzec z karafką świeżej lemoniady i tacą pełną żywności. Leżałem doprowadzany do szału monotonną roślinnością, bojąc się, że starzec będzie przychodził z taką regularnością przez następne tysiąc dni, i w końcu zdałem sobie sprawę, że muszę coś zrobić, muszę zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Kiedy stary przyk polazł do pomieszczenia, w którym znajdował się prysznic, chwyciłem tacę z jedzeniem i cisnąłem przez drzwi. Taca o milimetry minęła stojącego tam żołnierza. Przez chwilę miałem wrażenie, że naciśnie na spust karabinu i zrobi ze mnie sito. Zamiast tego spojrział na mnie ze zdziwieniem, a potem krzyknął coś po arabsku do starca, który szybko wyszedł z celi. Położyłem się na łóżku. Wentylator nagle zatrzymał się, zrobiło się za gorąco na cokolwiek poza bezwładnym leżeniem. Karaluch zniknął z sufitu.

Rozważałem dramatyczne położenie, w jakim się znalazłem. Spędziłem w celi już cztery dni. Perspektywa, że będzie ona moim „domem” na resztę życia, przerażała mnie. Żeby zapomnieć o tym horrorze, zacząłem snuć fantazje. Wyob*razałem sobie, że wszystko zostało wyjaśnione i wkrótce opuszczę to straszne miejsce.

Było chyba wczesne popołudnie. Drzwi otworzyły się i na progu stanął wielki mężczyzna w jasnoszarym mundurze z krótkimi rękawkami. Dopiero co wyszedłem spod prysznica i byłem tylko w połowie ubrany. Kąpałem się co kilka godzin i ubierałem tylko wówczas, gdy spodziewałem się odwiedzin.

- Pan Ostrovsky? - powiedział przybyły, uśmiechając się przyjaźnie.

Jego połyskująca, łysa głowa była silnie opalona przez słońce, zresztą twarz również. Z linii opalenizny wywnioskowałem, że zwykle nosił koszulkę, a nie wojskowy uniform z dekoltem w kształcie litery V

Odwrociłem się, patrząc za siebie, jakbym szukał kogoś za plecami.

- Domyślam się, że to mnie pan szuka?

Uśmiechnął się szerzej.

- Proszę przyjąć przeprosiny za opóźnienie, z jakim przychodzę, by pana powitać.

Patrzyłem na niego bez słowa, pozostając w stanie lekkiego zamroczenia, które ostatnio mnie nie opuszczało. Ten człowiek mógł za chwilę wyjść i nie pojawić się więcej, zostawiając mnie w tej celi na dobre. Zdecydowałem, że zrobię wszystko, żeby wydostać się z tego strasznego miejsca.

- Jeśli się pan ubierze, zabiorę pana na spotkanie z pewnymi ludźmi.

Kiwnąłem głową i po kilku minutach szedłem za nim korytarzem do dużej sali konferencyjnej. Na końcu długiego stołu leżał stos magazynów „Bamahaneh”¹. Sala robiła wrażenie wyjętej z nowoczesnego biurowca, była czysta i jasna, zupełnie nie pasowała do tego opuszczonego, starego budynku. W kącie stał ekspres do kawy, rozsiewający w powietrzu zapach gorącego, czarnego napoju, parzonego w amerykańskim stylu. Wielkolud zaoferował mi filiżankę tego nektaru bogów i podsunął tackę z mlekiem i cukrem. Po prawej znajdowało się wbudowane w ścianę ogromne lustro. Ktoś otworzył drzwi w pomieszczeniu po drugiej stronie lustra, które na ułamek sekundy stało się przezroczyste. Dostrzegłem kilku mężczyzn i kamerę na trójnogim stelażu.

¹ Bamahaneh: słowo znaczy „w obozie”; nazywa się tak tygodnik wojska izraelskiego.

- Po co te pisma? - zapytałem.

Usłyszałem, że są dla mnie. Mogę je zabrać do pokoju, kiedy na dzisiaj skończymy. Zabrzmiało to surowo, wręcz groźnie. Nie chciałem wracać do mojego „pokoju”. Chciałem wydostać się z tej zapleśniałej nory, a w tym celu musiałem zachować zimną krew.

Sprawy potoczyły się szybko. Egipcjanie wręczyli mi plik fotografii i poprosili o zidentyfikowanie ludzi z Mosadu. Nie bawili się w gierki, co zrobiłaby większość agencji wywiadowczych. Każde zdjęcie było podpisane, po angielsku i po arabsku. Nie byłem w stanie rozpoznać więcej niż pięciu ludzi. Powiedziano mi, że służą w Europie, więc mogłem ich nie znać. Pokazali mi diagram organizacyjny Mosadu oraz plan budynku przy King Saul Boulevard. Chcieli, żebym wskazał, gdzie siedziałem podczas pracy w referacie duńskim.

W tym momencie było już jasne, że rozmawiali z kimś pracującym w tym budynku i orientowali się w aktualnej strukturze organizacji. Mój gospodarz z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że nie potrafię wymienić z nazwiska ani jednego Egipcjanina pracującego dla Mosadu, a informacja o transportach broni dla Stowarzyszenia Braci Muzułmanów wręcz go uszczęśliwiła.

Później chciał usłyszeć, co wiem na temat Roberta Maxwella, brytyjskiego magnata prasowego. Chodziło o to, że* Egipcjanie zdawali sobie sprawę z nieustającego zainteresowania Mosadu zdobywaniem kontroli nad mediami, co pozwalało z jednej strony wpływać na opinię publiczną, z drugiej zaś ułatwiało instalowanie agentów w różnych krajach pod płaszczykiem uprawiania przez nich zawodu dziennikarza.

Odnosiłem wrażenie, że gospodarz w równym stopniu ma ochotę pochwalić się swoją wiedzą, jak też zdobyć nowe informacje ode mnie. Niezbyt rozsądne zachowanie, jak na oficera wywiadu. Powiedział, że sądzi, iż Robert Maxwell

był agentem Mosadu i przy okazji przypomniał mi kilka przypadków, gdy Mosad krył się za transakcjami kupna angielskich gazet. Jako przykład podał „Eastern African”, wykupioną przez izraelskiego biznesmena za pieniądze Mosadu. Jego zdaniem przejęto ten tytuł, aby wspomóc działania południowoafrykańskiej maszyny propagandowej, mające na celu uczynienie ideologii apartheidu bardziej strawną dla Zachodu.

Nagle otworzyły mi się oczy, uświadomiłem sobie, na czym polegała rola Maxwella. Przy jego ochocie do współpracy z Izraelem, nawet jeśli sam nie był agentem wywiadu (a tak twierdzili Brytyjczycy, gdy rozmawiałem z nimi w Waszyngtonie), z całą pewnością był *sayanem*, i to na wielką skalę. Mosad finansował wiele swych operacji w Europie z pieniędzy skradzionych z funduszy emerytalnych przejmowanych gazet. Mosad kładł łapę na tych funduszach niemal natychmiast po tym, jak Maxwell wykupował gazetę (za pieniądze pożyczone od Mosadu i korzystając ze specjalistycznych analiz wywiadu). Kradzież to jedno, ale na dodatek każdy człowiek, pracujący w jego prasowym imperium gdziekolwiek na Środkowym Wschodzie, natychmiast był podejrzewany o szpiegostwo na rzecz Izraela i wystarczała nie sprawdzona plotka, żeby zadyndał na stryczku.

Wyjaśniłem mojemu gospodarzowi, jak wcześniej Brytyjczykom, że na początku Mosad pomagał Maxwellowi zdobywać gazety przez pożyczanie mu pieniędzy, wszczynanie strajków i stwarzanie problemów, dzięki czemu cel stawał się łatwiejszy do zdobycia. Potem taktyka się zmieniła. Mosad sam wyznaczał gazety, na których mu zależało, i posługując się wszelkimi dostępnymi metodami, poczynając od agitacji i kończąc na wycofywaniu wsparcia finansowego przez firmy reklamujące się na łamach oraz bankierów sympatyzujących z Izraelem, prowadził je w kierunku bankructwa. Kiedy cel odpowiednio zmiękł, posyłało Maxwella, aby zadał ostateczny cios.

Tego wieczora gospodarz zabrał mnie na przejażdżkę do Kairu. Wiedziałem, że czuł się ze mną bezpiecznie, ponieważ byliśmy w samochodzie sami, tylko on i ja. Przez kilka pierwszych minut miałem opaskę na oczach. Ponownie założył mi ją, gdy wracaliśmy. Miasto nie wywarło na mnie wielkiego wrażenia, piramidy również. Byłem zbyt sfrustrowany i spięty, żeby docenić ich piękno, ale cieszyłem się otwartą przestrzenią i częściową wolnością. O północy znowu siedziałem w celi. Od mężczyzny pełniącego obowiązki gospodarza otrzymałem gwarancję, że wróci z samego rana, a w niedzielę znajdę się na pokładzie egipskiego samolotu odlatującego do Nowego Jorku.

Leżałem na plecach i gapiłem się w sufit. Miałem na sobie tylko bieliznę. Odniosłem wrażenie, że mężczyzna nie kłamał i naprawdę odlece do Nowego Jorku. Problem w tym, że jak na razie kontakty z Egipcjanami nie układały się po mojej myśli i nie miałem pewności, że nagle się to zmieni.

Poprzysiągłem sobie, że jeśli wydostanę się z tego miejsca, nie opuszczę Kanady do końca życia. Wstępując do Mosadu byłem normalnym człowiekiem, może trochę naiwnym, ale otwartym i ufny. Mosad zmienił mnie. Przeprogramował mnie, przystosowując do walki o przetrwanie; teraz nie mogłem ufać nikomu i pod żadnym pozorem. Stałem się gruboskórny, twardy i zimny. Kiedy miałem wyznaczony cel, tylko śmierć mogła powstrzymać mnie przed jego osiągnięciem. Próbowali zrobić mi pranie mózgu i zaszczepić swoją pokretną politykę. Ponieśli porażkę, której następstwem było stworzenie kogoś, kogo mogli później nazwać swym najgorszym wrogiem: byłego agenta, oficera wywiadu, który poświęcił życie zniszczeniu Mosadu.

Wtedy, w tej ciasnej, śmierdzącej celi nabrałem pewności, że jedynym sposobem doprowadzenia Mosadu do upadku jest ujawnienie prawdy o jego działalności. Wiedziałem już, że Mosad nie jest organizacją, którą większość ludzi w nim

widzi. Owszem, był niebezpieczny. Był źródłem zła, ale nie był sprawny. Nie był też tym, czym udawał, że jest: agencją wywiadowczą, mającą za cel ostrzeganie państwa przed potencjalnym niebezpieczeństwem.

Zgodnie z obietnicą znalazłem się w samolocie odlatującym do Nowego Jorku. Za moją pomoc otrzymałem dziesięć tysięcy dolarów. Musiałem podpisać pismo potwierdzające, że przybyłem do Egiptu z własnej nieprzymuszonej woli, byłem dobrze traktowany i otrzymałem w darze sumę dziesięciu tysięcy dolarów.

Kiedy koła samolotu dotknęły pasa w Nowym Jorku, miałem ochotę ucałować ziemię pod stopami. Obiecałem Egipcjanom, że przylecę ponownie, kiedy mnie o to poproszą, ale już w momencie wypowiedzania obietnicy wiedziałem, że jeśli będzie to zależało ode mnie, moja noga nigdy nie stanie na egipskiej ziemi.

Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, dlaczego w Kairze potraktowano mnie w taki sposób. Sami Egipcjanie nie pokusili się o wyjaśnienia. Stwierdzili jedynie, iż zaszło nieporozumienie.

Tak naprawdę ktoś im podrzucił informację, że nadal pracuję dla Mosadu i wciąż jestem czynnym agentem operacyjnym. Rzekomo przyjechałem po to, by przekazać im fałszywe wiadomości i zasiać ziarno chaosu w ich organizacji, wskazując spośród nich kogoś, kto według mnie jest izraelską wtyczką.

Zdecydowali trzymać mnie w izolacji i sprawdzić[^] co uda im się sprawdzić w Mosadzie własnymi kanałami. Zawiadomili ambasadę, że znaleźli ciało człowieka odpowiadającego mojemu rysopisowi, który przybył do Egiptu tym samym samolotem co ja i na stałe zamieszkiwał w Kanadzie. Sugerowali, że zabity to obywatel Izraela. Wiadomość dotarła do Mosadu, lecz wywiad nie miał w tym rejonie nikogo i zignorował doniesienie. Po czterech dniach Egipcjanie byli

już przekonani, że nie pracuję dla Mosadu, bo w przeciwnym razie izraelski wywiad zażądałby przynajmniej okazania ciała. Z izraelskiej ambasady nadeszło pismo, że nie zaginął żaden obywatel Izraela odpowiadający podanemu rysopisowi, a sprawą raczej powinny zainteresować się władze Kanady. Tymczasem w kwaterze głównej Mosadu Ephraim odchodził od zmysłów. Myślał, że coś mi nie wyszło i więcej mnie nie zobaczy, albo - jak później mi wyznał - że mogłem go wydać.

23

Minęło kilka dni, zanim ponownie przyzwyczailem się do życia na wolności. Nigdy już nie będę niczyją marionetką. Miałem zamiar brać udział wyłącznie w takich akcjach, które by godziły bezpośrednio w Mosad. Z całą mocą uświadomiłem sobie, że Mosad jest śmiercionośną machiną działającą bez wyraźnego celu. Jeśli Ephraim nie będzie chciał pracować ze mną na określonych przeze mnie zasadach, to niech się wypcha. Zrobię to sam. Postawiłem sprawę jasno: nie będę dalej współpracował, chyba że planowana operacja uderza prosto w samo serce Mosadu.

Ephraim chciał wiedzieć, czy zamierzam kontynuować pracę dla Egipcjan. Odparłem, że tylko pod warunkiem, iż przekazywane informacje zaszkodzą Mosadowi. Powiedziałem też, że będę kontynuować współpracę z Jordańczykami, ponieważ wierzę, iż w ten sposób pomogę znaleźć pokojowe rozwiązanie konfliktu między Jordanią i Izraelem. Jeżeli Mosadowi uda się obalić króla Husajna, znikną szanse na to, aby w regionie kiedykolwiek zagościł spokój i równowaga. Do władzy dojdą fundamentaliści i będzie to smutny koniec marzeń o pokoju.

Powiedziałem jeszcze, że chętnie dostarczę informacji Brytyjczykom i mogę nawiązać kontakt z Francuzami.

Skontaktowałem się z Jordańczykami i zorganizowałem spotkanie w Ottawie. Z początku Albert nie chciał przyjechać, obawiając się, że wciągamy go w pułapkę, lecz ostatecznie wyraził zgodę i umówiliśmy się na połowę września. Za-

znajomiłem się z lokalnym marszandem, niejakim panem Koymanem, posiadającym kilka galerii w Ottawie, Toronto i Montrealu. Dostarczyłem mu próbkę moich prac. Oprawił je i zaczął sprzedawać w swojej galerii w Ottawie, przy Rideau Center. Równolegle w każdym oficjalnym dokumencie pisałem, że byłem doradcą do spraw bezpieczeństwa. Nie mijałem się z prawdą. Zacząłem pracować nad wieloaspektową analizą sytuacji politycznej na Środkowym Wschodzie i znaczeniem podejmowanych w tym rejonie świata inicjatyw politycznych; głównie koncentrowałem się na zgłębianiu, co kryje się za wypowiedziami izraelskich polityków. Miałem nadzieję, że materiały te pozwolą Jordańczykom trzeźwo spojrzeć na arenę polityczną i zapomnieć o tym, co wygadują niedouczeni, przepłacani i jednostronni Amerykanie, prezentujący swoje opinie w amerykańskiej telewizji. Kiedy tylko włączycie telewizor, zawsze, o dowolnej porze, zostaniecie uraczeni ich bełkotem. Każdy opowiada, jak widzi sytuację, ale jeżeli macie choć trochę oleju w głowie, natychmiast zauważycie, że jeden wykorzystuje to, co przed chwilą powiedział drugi.

Albert przyjechał do Ottawy i zafundowałem mu dwutygodniowy błyskawiczny kurs, po którym potrafił analizować analitików. W wielu arabskich stolicach przywódcy posługiwali się retoryką na wewnętrzny użytek, ale jednocześnie gładko łykali wszystko, co opowiadali tak zwani eksperci o tym, co powiedzieli inni arabscy przywódcy! Z jakiegoś powodu przestali polegać na swym własnym zdrowym rozsądku.

Albert zaczął naciskać, abym zgodnie z obietnicą pomógł stworzyć siatkę jordańskich szpiegów. Miał też prośbę. Jego ludzie byli zaniepokojeni zbliżającymi się zmianami w izraelskim rządzie. Wybory, które dwa lata wcześniej odbyły się w Izraelu, żadnej z partii nie dały znaczącej przewagi, toteż dwa największe ugrupowania (skłaniająca się na lewo

Partia Pracy i prawicowy blok Likud) doszły do porozumienia i skonstruowały wspólny rząd. Przywódcy partii mieli podzielić się władzą, zmieniając się u steru rządu.

Zdecydowano, że Szimon Peres, lider Partii Pracy, będzie pełnił funkcję premiera przez pierwsze dwa lata, natomiast Icchak Szamir, przywódca prawicowego bloku partii Likud, zostanie ministrem spraw zagranicznych. Potem, po upływie dwóch lat, Szamir miał zostać premierem, a Peres ministrem spraw zagranicznych. Icchak Rabin, wówczas osoba numer dwa w Partii Pracy, objął tekę ministra obrony na pełny, czteroletni okres. Zbliżał się moment, gdy premierem miał zostać Szamir. Jordańczycy chcieli, żebym przyleciał do Ammanu i porozmawiał o tym, co ta zmiana może oznaczać. Owszem, pisemne analizy były mile widziane, jednak teraz chętnie ugościliby mnie w swej stolicy.

Z ich punktu widzenia nie było powodu, dla którego miałbym nie przyjechać. Kiedy byłem u nich poprzednim razem, dobrze mnie traktowali i dotrzyмали wszystkich warunków umowy. Zgodziłem się, ale poprosiłem o kilkudniową zwłokę. Przecież, aby podróż miała sens, musiałem przygotować jakieś materiały. Nie miałem też wszystkich informacji potrzebnych do dokonania analizy. Poza tym musiałem mieć trochę czasu, żeby Ephraim pomógł mi zawiązać siatkę szpiegowską w Izraelu, albo przynajmniej podsunął listę ludzi i wskazał Jordańczykom kilka możliwości działania.

Albert wyjechał 30 września. Zaraz potem zjawił się Ephraim. Spotkaliśmy się kilka razy w jego pokoju, w hotelu Holiday Inn. Stwierdził, że tam, skąd przybywa, zrobiło się niezłe zamieszanie, i będzie musiał tam przez jakiś czas zostać. Moim nowym „kontaktem” miał być Eli. Przyjechał do miasta w piątek 3 października. Znałem Eliego jeszcze z akademii, z mojego pierwszego kursu. Był instruktorem, nie mieliśmy żadnych zatargów. Nie miałem pojęcia, że

należy do grupy Ephraima, a gdybym miał zgadywać, nigdy bym go nie wskazał. Zawsze uważałem go za zagorzałego prawicowca.

Eli bardzo cieszył się z pobytu w Kanadzie. Przyjechał w celach turystycznych i zatrzymał się w Holiday Inn przy Queen Street (późniejszym Radisson Hotel). Bella sądziła, że spotykam się z nim w interesach.

Daliśmy ogłoszenia do kilku żydowskich gazet i jednej wydawanej w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie w języku hebrajskim. Szukaliśmy ludzi, którzy w przeszłości służyli w izraelskiej armii; zapraszaliśmy ich do działalności w agencji ochroniarskiej nazywanej International Combat Services (ICS). Podaliśmy adres na skrytkę pocztową w Ottawie. Po kilku dniach zostaliśmy zasypani listami od Izraelczyków z całego kontynentu i z Izraela, piszących swój życiorys po hebrajsku dla dziwnej agencji, o której nigdy nie słyszeli. Podawali adresy, nazwiska, stopnie wojskowe, a nawet szczegóły dotyczące służby wojskowej, nazwiska dowódców i lokalizację macierzystych jednostek, opisywali specjalistyczne szkolenie. Była to prawdziwa skarbnica wiedzy, którą w innych okolicznościach musiałby zdobywać znakomicie przygotowany i sowicie opłacany zespół wywiadowczy. Niektóre z tych informacji niewątpliwie były fałszywe, autorzy innych listów wyolbrzymiali swoje powiązania i doświadczenie, jednak opierając się na własnym doświadczeniu wyniesionym z marynarki i innych jednostek, mogą powiedzieć, że większość listów była jak najbardziej autentyczna.

Eli zabrał dużą część z nich i przefaksował Ephraimowi, który przygotował dla mnie listę - miałem ją zabrać ze sobą do Ammanu. Zawierała siedem nazwisk. Gdyby udało nam się zrealizować nasz zamysł i zwerbować tych ludzi, Jordańczycy zyskaliby źródło informacji wiarygodnych, lecz zarazem takich, których zdradzenie nie zagroziłoby bezpieczeństwu Izraela.

Przygotowywałem się do podróży. Ephraim nalegał, abym wyruszył 20 października. Powiedział, że dwa z trzech zespołów Kidoń znalazły się na łodzi po aferze Vanunu, a trzeci zespół był w stanie gotowości. Ponieważ tego dnia Szamir i Peres zamieniali się stoikami, zdobycie niezbędnego podpisu pod rozkazem dla zespołu Kidoń mógł zająć przynajmniej dwadzieścia cztery godziny. Wtedy nic nie wspomniał o aferze Vanunu. Dowiedziałem się czegoś więcej od Uriego dopiero po kilku miesiącach, kiedy sprawa była już publicznie znana.

Jak się okazało, pomiędzy Szamirem (wówczas wciąż jeszcze ministrem spraw zagranicznych) a Peresem (wówczas premierem) doszło do poważnej różnicy zdań. Mordechai Vanunu był technikiem w tajnych izraelskim ośrodku badań jądrowych w Dimonie. Wiedział, że Izrael dąży do stworzenia broni jądrowej i zdawał sobie sprawę, że pomimo stabilnego, demokratycznego ustroju Izraela niewiele trzeba, aby jakiś przywódca ekstremistów stracił panowanie nad sobą i pograżył Środkowy Wschód oraz cały świat w ogień wojny nuklearnej. Co więcej, niepokoiła go gra w chowanego, jaką prowadził rząd Izraela. Zachód brał zapewnienia przedstawicieli tego rządu za dobrą monetę i do czasu znalezienia dowodów, że Izrael posiada broń jądrową, nie zrobiłby nic, żeby powstrzymać rozpowszechnianie broni masowej zagłady.

Vanunu zdecydował ujawnić fakty i wymusić na reszcie świata odpowiednią reakcję. Wyjechał do Australii, zabierając ze sobą mniej więcej pięćdziesiąt fotografii wykonanych wewnątrz tajnej placówki badawczej, a potem skontaktował się z londyńskim dziennikiem „Sunday Times”. Szefowie gazety sprowadzili go do Londynu, planując, po pierwsze, publikację sensacyjnych wiadomości, a po drugie, zorganizowanie konferencji prasowej, na której Vanunu mógłby odpowiedzieć na dalsze pytania, zwiększając tym samym wiarygodność źródła. Kiedy premier Peres dowiedział się

o aferze i zrozumiał, że nie ma sposobu, aby z powrotem zamknąć dzina w butelce, postanowił wykorzystać sytuację. Całemu światu, a zwłaszcza światu arabskiemu, gdzie kilka krajów pracowicie rozwijało nowe typy broni masowej zagłady, w rodzaju gazów trujących i broni biologicznej, wyraźnie dał do zrozumienia, że Izrael naprawdę jest w stanie zetrzeć je w proch i pył. Peres nie miał zamiaru przeszkadzać Vanunu w opowiadaniu swojej historyjki, ale chciał go mieć z powrotem w Izraelu, żeby gość nie mógł odpowiedzieć na żadne dodatkowe pytania, przez co sprawa pozostałaby mglista. Obmyślił sobie, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu: świat będzie miał powód, żeby bać się Izraela, a jednocześnie władze Izraela będą mogły zaprzeczać pogłosce, że armia posiada broń jądrową, ponieważ nikt nie znajdzie człowieka, który rozsiewał te informacje. Szamir był za innym rozwiązaniem: chciał, żeby zniknął i Vanunu, i jego historyjka.

Peres był świadom faktu, że dziennikarze wahają się, w obawie, że zostaną wystrychnięci na dudka. Chciał pomóc im podjąć decyzję o puszczeniu artykułu, dlatego wezwał do siebie izraelskich wydawców i nakazał im wyciszyć sprawę." Miał nadzieję, że informacja o tym przedostanie się do brytyjskiego wydawcy i przekona go, że historia jest autentyczna. Przecież chciał ją wyciszyć sam premier Izraela! W tym samym czasie Szamir skontaktował się ze swyrry przyjacielem, Robertem Maxwellem, brytyjskim magnatem prasowym. Dogadali się i Maxwell puścił historię w swojej gazecie, żeby podważyć wiarygodność Vanunu i ukazać go jako szarlatana. W gazecie zamieszczono również zdjęcie Vanunu, licząc, że facet wpadnie w panikę.

Niedzielne wydanie „Timesa” z 5 października zawierało rewelacje Vanunu, ale było to tydzień po publikacji tych wiadomości w „Daily Mirror” Maxwella. Dwudziestego września Mosad wysłał do Londynu oddział Kidon, któremu

za pomocą podstawionej kobiety o imieniu Cindy udało się wykurzyć Vanunu do Włoch. Mordechai Vanunu stanął przed sądem, został skazany na osiemnaście lat więzienia i miał odbyć karę w całkowitym odosobnieniu.

Wizyta w Jordanii wydała mi się teraz czymś zupełnie normalnym. Poleciałem do Nowego Jorku, gdzie przesiadłem się na pokład samolotu jordańskich linii lotniczych Alia, lot 264 do Ammanu o godzinie 22:40. Miałem tylko jeden problem. Na bilecie przesłanym z ambasady jordańskiej w Waszyngtonie, nabytym w waszyngtońskiej agencji Golden Travel, nie było daty powrotu. Po doświadczeniach z Egiptu czułem się trochę nieswojo, zwłaszcza że w przeszłości Egipcjanie i Jordańczycy współpracowali ze sobą.

Lot był przyjemny. Siedziałem z kapitanem Air Canada, który leciał do Jordanii, aby w ramach programu pomocy agrokulturalnej zorganizować powietrzną dostawę stada kanadyjskich krów.

Albert miał wyjść po mnie na lotnisko, jednak spóźnił się, przez co napędził mi trochę stracha, głównie dlatego, że podróżowałem z moim kanadyjskim paszportem, wystawionym w Teł Awiwie, co wyraźnie stwierdzano na pierwszej stronie dokumentu. Gdybym miał samodzielnie przejść przez odprawę paszportową, mogłoby być gorąco. Port lotniczy w Ammanie nie jest zbyt uczęszczanym miejscem, toteż po kilku minutach zostałem w hali przylotów zupełnie sam. Policjanci zaczęli podejrzliwie zerkać w moim kierunku. Jeden z nich miał już do mnie podejść, gdy zjawił się Albert. Był błądy i gorąco przeproszał za brak wyczucia czasu.

Przeprowadził mnie przez kontrolę paszportową i celną, machając funkcjonariuszom przed oczami swoją kartą identyfikacyjną. Po kilku minutach jechaliśmy do centrum miasta. W hotelu Regency Pałace było tym razem mnóstwo

gości, wśród których zdawali się przeważać poumierani w obszerne białe tuniki i obwieszeni złotem przybysze z Arabii Saudyjskiej.

Pierwszy dzień upłynął na spotkaniach z ludźmi, których poznałem podczas pierwszej wizyty, tylko że tym razem zachowywaliśmy się jak starzy, dobrzy znajomi. Nim nastał wieczór, mój niepokój ulotnił się jak dymek z papierosa. Następnego dnia zabrano mnie na przejażdżkę do Petry, starożytnego miasta, wykutego w czerwonych skalach. Ogromne pałace i gigantyczne kamienne kolumny stapały się z otaczającymi je górami, znajdowały się z nimi w idealnej symbiozie. Ich urzekające piękno przypomina, jak krótka jest nasza wizyta na tej planecie. Dziś budowniczych tego pustynnego cudu nikt już nie pamięta, zupełnie jakby w ciągu jednego dnia zapadli się pod ziemię, zostawiając po sobie tylko to kamienne miasto.

Na koniec zajechaliśmy do miasta Al-Aqabah. Naprzeciw niego, po drugiej stronie Zatoki Aqabah, znajduje się izraelskie miasto Eilat, w którym spędziłem dwa lata dzieciństwa. Oba miasta leżą naprawdę bardzo blisko siebie. Z tamtych czasów pamiętam, jak pewnej nocy doszło do awarii sieci elektrycznej i całe Eilat pogrążyło się w ciemności. Byłem wtedy na plaży (młodzież z Eilat większość czasu spędza na plaży) i dziwnie się czułem słysząc turystów, którzy wskazywali na Al-Aqabah, odległe tylko o kilka kilometrów, i pytali, dlaczego mimo awarii w sąsiedztwie świecą się światła.

To dziwne uczucie towarzyszyło mi znowu, gdy siedziałem na tarasie pięknej białej willi, zbudowanej na plaży Al-Aqabah, z zimną lemoniadą w dłoni, otoczony przyjaciółmi z jordańskiego wywiadu, i patrzyłem na wypływające z bazy marynarki w Eilat okręty patrolowe. Widziałem stąd nawet stojący w olbrzymim suchym doku okręt raketowy klasy SAAR.

W tej luksusowej willi dyskutowaliśmy o tym, jakich reperkusji można się spodziewać w związku ze zmianami w rządzie, do których doszło poprzedniego dnia w Izraelu. Moich gospodarzy niepokoiło to, że Szaron będzie forsował koncepcję przerobienia Jordanii na Palestynę, bowiem od jakiegoś czasu głosił, że skoro siedemdziesiąt procent ludności Jordanii jest pochodzenia palestyńskiego, Palestyńczycy powinni zdetronizować króla, ustanowić tu własne państwo i raz na zawsze zapomnieć o Zachodnim Brzegu.

Moim zdaniem Szamir rzeczywiście uważał, że Palestyńczycy powinni zapomnieć o Zachodnim Brzegu, jednak zupełnie go nie obchodziło, czy Jordania zamieni się w Palestynę, czy nie.

Spędziliśmy w Al-Aqabah dwa dni, a potem wróciliśmy do Ammanu. W hotelu czekał na mnie mój stary druh, Fadllal. Od razu przeszedł do sedna:

- Co z siatką szpiegowską, którą nam obiecałeś?

Jego usta układały się w uśmiech, ale w oczach nie było śladu rozbawienia. Wyjąłem z teczki kartkę papieru i wręczyłem mu.

- Masz tu listę izraelskich oficerów, przebywających obecnie w Europie i Stanach Zjednoczonych, którzy chętnie podejmą pracę wywiadowczą dla każdego, kto najwięcej zapłaci. Musicie tylko wybrać ludzi znających hebrajski, najlepsi będą ci mówiący z amerykańskim akcentem. Wyślecie ich do Meksyku, skąd nawiążą kontakt z ludźmi z listy. Sprowadzicie izraelskich oficerów do Meksyku, na własny koszt, oczywiście. Tam odbędzie się rozmowa w cztery oczy, coś w rodzaju normalnej rozmowy z przyszłym pracodawcą. Zameldujcie ich w niezłym hotelu i dajcie trochę kieszonkowego.

- Dlaczego uważasz, że będą chcieli z nami rozmawiać?

- Usta im się nie będą zamykać, jeżeli pozostaną w przekonaniu, że rozmawiają z Izraelczykami, a zobaczyłem

już, że dacie sobie z tym radę. Musicie tylko pamiętać o tym, żeby nie przedobrzyć. Jeśli któryś z nich w jakimś momencie będzie chciał się wycofać, nie zatrzymujcie go na siłę. I najważniejsza sprawa: nie wolno wam dopuścić do tego, żeby się spotkali. Wszelkie kontakty muszą być indywidualne.

Fadlall kiwnął głową. Opisałem jeszcze kilka szczegółów postępowania z werbowanymi agentami, przywołałem kilka technik operacyjnych. Powinni przesiał kandydatów, wyłowić tych, którzy mają do zaferowania coś więcej niż tylko informacje, czyli tych, którzy posiadają określone umiejętności z zakresu taktyki wojskowej. Właśnie tych należy zwerbować i umieścić w specjalnym obozie w Meksyku, gdzie mogliby szkolić „żołnierzy” na użytek jordańskiego wywiadu.

Ostatnie dni w Ammanie spędziliśmy na dopracowywaniu planu. Jakiś czas później, po obejrzeniu kilkunastu kaset z rozmów przeprowadzanych z werbowanymi agentami w hotelu w Acapulco, Albert stwierdził, że w końcu zaczynają rozumieć Izraelczyków. Z początku robili wrażenie przerośniętych dzieci, ogromnie pewnych siebie i przesiąkniętych wrogością, lecz ciągle bardzo przyjaznych. Potem Jordańczycy doszli do wniosku, że Izraelczycy odnoszą się krańcowo nieufnie do każdego, kto nie jest ich pobratymcem.

Wizyta przebiegała bez zakłóceń i zbliżała się do końca, gdy nagle przydarzył się incydent, który mógł mnie kosztować życie. W przeddzień wyjazdu wychodząc z pokoju w korytarzu natknąłem się na pokojówkę, zamykającą drzwi od sąsiedniego apartamentu i wracającą do pozostawionego w przejściu służbowego wózka. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, bezmyślnie pozdrowiłem ją w języku hebrajskim, słowami *boker tov*, które znaczą tyle, co „dzień dobry”. Nie zwróciła uwagi, ale dwóch hotelowych gości, stojących przy windzie, odwróciło głowy. Szybko wróciłem

do swojego pokoju, aby nie jechać z nimi windą. Nie martwiłem się, ponieważ byłem gościem lokalnego wywiadu. Zszedłem na dół, do jadalni na drugim piętrze, ze ścianami wyłożonymi drewnianą boazerią. Miałem zjeść śniadanie z Albertem. Okrągłe stoły mogły pomieścić ośmiu gości, ale przy naszym byliśmy tylko my dwaj. Fadllal miał przyłączyć się później.

Przeszedłem do okrągłego bufetu w centrum sali i wróciłem ze śniadaniem. Ledwie zdążyłem usiąść, gdy nagle, niemal w następnej sekundzie, zdretniałem. Słyszałem, jak dwóch siedzących za mną mężczyzn szepcze do siebie po hebrajsku. Instynktownie chciałem odwrócić się i zobaczyć, kim są. W porę się powstrzymałem. Nie chciałem mówić o nich Albertowi. Nie miałem najmniejszego zamiaru wydać Izraelczyków, obojętne, kim byli. Jedno wiedziałem na pewno: nie byli tu z mojego powodu. W przeciwnym razie nie usiedliby tuż obok mnie i z całą pewnością nie szeptałoby po hebrajsku. Przyjąłem założenie, że przybyli tu w oficjalnych interesach i nie prowadzili ich z jordańskim wywiadem. Pewnie byli z ministerstwa spraw zagranicznych. Powtórzyłem przechadzkę do bufetu i zerknąłem na nich. To był szok. Mało brakowało, a potknąłbym się o własne nogi i przewrócił. Patrzałem na twarz człowieka, którego znałem z Mosadu. Nie miałem żadnych wątpliwości: ten mężczyzna był członkiem Mosadu, widywałem go z regularnością szwajcarskiego zegarka. Nie wiedziałem, że ma tak duże zdolności aktorskie, nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Odwrócił się do swego towarzysza i jak gdyby nigdy nic, kontynuował rozmowę w języku angielskim.

- Zobaczyłeś ducha? - zapytał Albert, gdy wróciłem do stolika.

- Nie... Chyba za dużo wczoraj wypłem i nie czuję się najlepiej. Przepraszam. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wrócę do pokoju i tam na ciebie zaczekam.

- Oczywiście. Zaraz przyjdę - odparł, uprzejmie jak zwykle.

Położyłem się na łóżku i próbowałem dojść do ładu z tym, co przed chwilą zobaczyłem. W końcu dotarło do mnie, że ja go znam, ale on mnie nie. To Amnon P. vel Hombre. Był oficerem łącznikowym na Danię i resztę Skandynawii. Kiedy pracowałem w referacie duńskim, nie było dnia, żebym nie patrzył na jego fotografię. Była to jedna z zasad dotyczących organizacji pracy w Mosadzie. Na ścianach w biurze danego referatu wisiały zdjęcia agentów pracujących w terenie, na wypadek, gdyby oficer pracujący za biurkiem miał kiedykolwiek zetknąć się z podległymi mu agentami. Znałem jego twarz, ale on nie znał mojej. Nie miałem bladego pojęcia, co ten człowiek robi w Ammanie, ani nie mogłem wyobrazić sobie powodu, dla którego zjawilo się tu dwóch innych Izraelczyków. Nie znalazłem sposobu na poznanie przyczyny ich pobytu, bez spalenia ich jako agentów.

Do końca pobytu w Jordanii starałem się nie opuszczać pokoju bez wyraźnej potrzeby.

24

Środa, 29 października 1986 r.

Wróciłem do Stanów Zjednoczonych. Otrzymałem od Jordańczyków następne dziesięć tysięcy dolarów, wypłacone w dolarach kanadyjskich. Przechodząc przez kontrolę na lotnisku, wpisałem tę sumę do deklaracji i wypełniłem nawet specjalny formularz, ponieważ chciałem przemocować w Nowym Jorku. Zatelefonowałem do Belli i zmieniłem zdanie. Jeszcze tego wieczora wsiadłem do samolotu odlatującego do Kanady. Nie zadeklarowałem, że zabieram pieniądze ze sobą, ale wykazałem je na lotnisku w Kanadzie.

Ku mojemu zdumieniu, po kilku dniach rozległo się stukanie do drzwi mieszkania w Ottawie. Na progu stanął funkcjonariusz Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, eskortujący oficera amerykańskiego urzędu celnego, działającego przy ambasadzie Stanów Zjednoczonych. Celnik miał do mnie kilka pytań. Kanadyjski policjant podkreślił, że nie muszę współpracować, lecz gdybym zgodził się pomówić z Amerykaninem, będą bardzo wdzięczni. Już widziałem, jak mój kamuflaż rozpryskuje się na drobne kawałeczki. Jeśli napisany przez tego celnika raport wyląduje na biurku agenta Mosadu, bo Amerykanom zamarzy się jakaś weryfikacja, a wywiad zorientuje się, że odbyłem wycieczkę do Jordanii, nie pożyję dłużej jak kilka tygodni. Z drugiej strony, nie miałem wielkiego wyboru, musiałem im coś powiedzieć i zacisnąć kciuki. Na wstępie zazaczyłem, że

mogę wszystko wyjaśnić, pod warunkiem, że informacje nie wyjdą poza urząd celny. Powiedziałem, że jestem doradcą do spraw bezpieczeństwa i wracałem z Jordanii, gdzie pomagałem usprawnić system bezpieczeństwa (co było prawdą) i przeprowadziłem szkolenie w zakresie najnowszych technik ochrony VIP-ów (co również było prawdą).

Obaj przełknęli wyjaśnienie. Ze swej strony powiedzieli, że zaniepokoiły ich dwie sprawy: mój pobyt w Stanach był bardzo krótki i wwiozłem sporą sumę pieniędzy, której nie wywoziłem - tak przynajmniej wynikało z dokumentów. Przyszło im do głowy, że mogę być zamieszany w handel narkotykami albo w inny podobny proceder. Dzisiaj wiem, że mi uwierzyli, gdyż od tamtej pory nie dotarły do mnie żadne echa tamtej sprawy.

Kiedy opowiedziałem o incydencie Ephraimowi, przejął się i nakazał mi na jakiś czas zaprzestać działalności. Regularnie kontaktowaliśmy się z Jordańczykami i na razie to powinno być wystarczyc. Uznał, iż jest to dobry moment, aby przycupnąć jak mysz pod miotłą. Nie mogłem widziec jego twarzy (rozmawialiśmy przez telefon), ale mogłem wyobrazić sobie goszczący na niej gniewny wyraz, gdy mówił:

- Szamir właśnie wydał instrukcje wydziałowi łączności, aby rozpoczął poszukiwanie dojścia do KGB. Tak naprawdę marzy mu się pełna współpraca w Rosjanami. Twierdzi, że tym sposobem będziemy mogli dotrzeć do sowieckich Żydów, potrzebnych nam w sytuacji, gdy kontakty z Rumunami okazały się całkowicie bezowocne. Wszyscy doskonale wiemy, że już od dawna chciał to zrobić.

- Nie musi się wysilać - odparłem. - Ma w swoim biurze agenta KGB. Wystarczy, że pogada z Levinsonem. A może szukanie kontaktu z KGB to pomysł Levinsona?

Ephraim nie docenił mojego dowcipu.

- Trzymaj się z daleka - rzucił poważnym tonem. - Robi się tu naprawdę gorąco i nie jestem w stanie równocześnie

nad wszystkim panować. Będę cię potrzebował do odnowienia łączności z Brytyjczykami. Muszą być na bieżąco w sprawach dotyczących operacji podejmowanych w Londynie. Ciągłe nie dysponuję pełnymi danymi, a nie chcę, żeby ktoś z nas zginął.

- Kto szuka tych informacji? - spytałem.

- Barda - powiedział szeptem, jakby samo wypowiedzenie tego słowa mogło wywołać klęskę całej operacji.

Bardę, byłego taksówkarza, obecnie szpiega, znałem jako błyskotliwego oportunistę, który działa na zasadzie: sam sobie jestem panem. Kilka razy przyłapano go na gorącym uczynku, jednak dzięki odpowiednim koneksjom zawsze udawało mu się wyjść z opresji bez szwanku - dostał najwyżej lekką reprimendę.

- W obecnych warunkach Mosad niewiele może zrobić - stwierdziłem, mając na myśli fakt, że po naszym spotkaniu w Waszyngtonie Brytyjczycy najprawdopodobniej obserwowali wszystkie czynne punkty kontaktowe Mosadu.

- Zdali sobie sprawę, że punkty są pod obserwacją i na jakiś czas zawiesili wszelkie operacje. Barda działa poza siatką, pozostając pod opieką dwóch agentów uderzeniowych¹ z Brukseli.

- Jakie jest moje zadanie?

- Jak mówiłem, kiedy otrzymam pełniejsze dane, zadzwonisz do twoich brytyjskich kolegów i przekazesz im informacje. Do tego czasu zajmij się czymś, utrzymuj kontakt z Jordańczykami i czekaj.

¹ Agent uderzeniowy: agent operacyjny, posiadający zdolność szybkiego kontaktu z celem i błyskawicznego zwerbowania go do pracy na rzecz Mosadu. Kiedy osoba będąca celem jest już zwerbowana, agent uderzeniowy wycofuje się, przekazując opiekę nad nowym szpiegiem zwykłemu agentowi operacyjnemu, i rozpoczyna operację następnej rekrutacji. W Mosadzie jest nie więcej niż pięciu agentów uderzeniowych. Zwykle stacjonują w europejskiej kwaterze głównej Mosadu, w Brukseli.

Czekałem przez kilka miesięcy. Czekałem i cieszyłem się życiem. Rozkręciłem drobny interes z koszulkami. Projektowałem i wykonywałem nadruki, między innymi na zamówienie biur turystycznych z Ottawy. Nazwałem firmę Sharlee Creations, od imion moich dwóch córek, Sharon i Leeorah. Funkcjonowała całkiem dobrze, nie przynosząc wprawdzie olbrzymich zysków, ale przynajmniej robiłem to, co lubię. Ephraim pokrywał wszystkie moje wydatki, a odpowiedni standard życia zapewniały nam pieniądze pochodzące od Jordańczyków. Pieniądze te wpływały na konto Sharlee Creations. Bella sądziła, że jest to moje wynagrodzenie za projekty nadruków na koszulkach i pracę doradcy w sprawach bezpieczeństwa dla Zairu i Sri Lanki.

Kilka miesięcy upłynęło jak z bicia trząśł i nim się obejrzałem, Ephraim wezwał mnie do akcji. Mieliśmy wyrwać kolejną dziurę w teflonowym pancerzu Mosadu.

Poniedziałek, 5 stycznia 1987 r.

Kilka dni wcześniej zatelefonowałem do brytyjskiej ambasady w Waszyngtonie i powiedziałem im, że zaistniały nowe fakty, o których powinni wiedzieć.

Ephraim dostarczył mi akta Operacji Domino, planowanej na rozpoczynający się rok i realizowanej na terytorium Anglii. Plan zakładał przeprowadzenie zamachu na palestyńskiego rysownika, pracującego dla kuwejckiej gazety, a następnie zrzuć winy na OWP albo, jak głosiła plotka, na organizację „Force 17”. Operacja była starannie planowana i angażowała kilka różnych wydziałów Mosadu.

Ephraim i ja mieliśmy zamiar pokrzyżować ten plan. Nie żywiliśmy żadnych wątpliwości, że jeśli Brytyjczycy schwy-

tają zespół Mosadu na gorącym uczynku, na jakiś czas popsuje to dobre stosunki Wielkiej Brytanii z Izraelem. Gra była warta świeczki szczególnie dlatego, że szefowie Mosadu zapewne nie byłiby w stanie przetrwać takiego skandalu. Będzie jak w tym przysłowiu: nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

Ephraim zameldował się w hotelu Westin w Ottawie i wymógł na mnie przyrzeczenie, iż odwiedzę go natychmiast po zakończeniu rozmów z Brytyjczykami.

Zjawił się tylko jeden. Około południa usłyszałem brzęczyk domofonu. Wpuściłem gościa do budynku i zszedłem na dół, aby go przywitać. Usiedliśmy na półpiętrze. Chciałem rozpocząć rozmowę w miejscu, które było mi znane i zapewniało wygodę. Później mieliśmy przenieść się albo do mojego mieszkania, albo do hotelu Westin, gdzie Ephraim dokonał rezerwacji na moje nazwisko.

Nie znałem tego człowieka. Przedstawił się i powiedział, że jego ludzie są bardzo wdzięczni za informacje, dzięki którym przejęli w Zachodnich Niemczech dostawę paszportów. Zapytałem, czy zrobili coś z informacją o tym, że Maxwell przekazuje duże sumy-pieniędzy do londyńskiej placówki Mosadu.

Mężczyzna wprawdzie nie był wtajemniczony w tę konkretną sprawę, lecz uspokoił mnie, że na pewno zajęto się problemem. Zaniepokoił się, gdy usłyszał, co mam mu do powiedzenia, albo, jak się wyraził, przyczyną alarmu. Ponieważ temat był zbyt gorący, żeby rozwijać go w tym miejscu, zaproponowałem, żebyśmy pojechali do pokoju hotelowego, który dla nas przygotowałem. Zaskoczył mnie szybkością, z jaką zgodził się pojechać ze mną do hotelu bez podejmowania żadnych kroków ostrożności.

Przejechaliśmy do Westina moim samochodem. Zaparkowałem w podziemnym garażu i poszedłem do recepcji po klucz. Mieliśmy narożny apartament. Po wejściu do środka

nie marnowaliśmy czasu. Kazaliśmy przynieść sobie kawę i kanapki, a kiedy kelner wywiązał się z zadania, przeszliśmy do interesów. Wręczyłem mu akta przywiezione przez Ephraima. Zawierały szczegółowy opis operacji, którą Mosad właśnie rozpoczął w Anglii.

Większość graczy była już na miejscu. Brytyjczycy wykorzystali informacje, które przekazałem im w Waszyngtonie, i prawdopodobnie przyglądali się, jak *bodlim* opuszcza izraelską ambasadę, a potem odkryli kilka punktów kontaktowych. Obserwowali je, zapoznając się z rozkładem codziennych zajęć lokalnej komórki Mosadu. Po jakimś czasie *bodel* zorientował się, że jest śledzony, i doniósł o tym incydencie szefowi komórki. Ten z kolei wezwał z Izraela zespół Yarid² i nakazał sprawdzenie bezpieczeństwa prowadzonych w tym terenie operacji. Z Brukseli przyjechał Mousa, kierownik koordynujący operacje prowadzone w Europie. Osobiście zajął się sprawą. Szybko wyszło na jaw, że punkty kontaktowe są pod obserwacją. Mosad uznał je za spalone. Postawiono też, że jeden z agentów operacyjnych był nieostrożny i zaniedbał przeprowadzenie rutynowego sprawdzenia, czy nie ma „ogona”. Po przejściu zespołu Yarid teren znowu był czysty, ale na wszelki wypadek operacje były teraz prowadzone nie z ambasady, lecz z Brukseli, przez trzech agentów uderzeniowych. Znaczyło to, że nie należeli do personelu ambasady, jak wcześniej działający w Londynie agenci operacyjni. Kilka dni po odesłaniu Yarid do domu, Anglicy znowu byli na tropie, gdyż wiedzieli, kim był *bodlim*, a dopóki londyńska komórka przestrzegała procedur bezpieczeństwa, dopóty była dla Anglików przejrzysta.

Mousa, wiedząc, że Brytyjczycy ich obserwują, zaproponował kierownictwu Mosadu przeprowadzenie operacji po-

² Zespół Yarid: zespół, którego zadaniem jest kontrola szczelności zabezpieczeń i bezpieczeństwa operacji prowadzonych przez Mosad.

dwójnego maskowania³ o kryptonimie Domino. Kryptonim z całą pewnością został wygenerowany komputerowo i pojawił się na wszystkich oficjalnych dokumentach.

Na scenie pojawiła się nowa twarz - oficer OWP, zwerbowany przez Mosad podczas wojny w 1982 roku. W końcu lat siedemdziesiątych dosłużył się stopnia podporucznika, został członkiem Al-Sa'ika⁴, ukończył akademię wojskową Fatah i rozpoczął służbę w palestyńskiej jednostce pancernej wchodzącej w skład armii syryjskiej. W 1978 roku został przeniesiony - wraz z całą jednostką - do Libanu, gdzie został zwerbowany przez Mosad. Poproszono go o wstąpienie do „Force 17” i tak też zrobił. Nazywał się Muhammad Mustafa Abd-al-Rahaman, numer służbowy 13952.

Jego jedynym kontaktem w Wielkiej Brytanii był niejaki Sawan, Palestyńczyk, pracujący dla Mosadu już od jakiegoś czasu. Mousa przyjął założenie (najprawdopodobniej słuszne), że Sawan znajduje się pod obserwacją, ponieważ Barda, jego agent operacyjny, korzystał ze spalonych punktów kontaktowych. Biorąc to pod uwagę, Abd-al-Rahaman miał zostać przedstawiony jako czarny charakter, człowiek posiadający bezpośrednie powiązania z OWP i „Force 17”.

Abd-al-Rahaman "miał przemycić do Wielkiej Brytanii broń i składować ją w mieszkaniu Sawana. To powinno dać Brytyjczykom fałszywe poczucie bezpieczeństwa, tym bardziej, że wciąż będą przekonani, iż Mosad nie ma pojęcia o podjętych przez nich działaniach. Będą spokojnie czekać na rozwój wydarzeń, licząc na to, że wpadnie im w sieć jakaś

³ Operacja podwójnego maskowania: operacja przeprowadzana w konkretnym celu, lecz z powodu prowadzonej przez wroga obserwacji tak zakamuflowana, aby powstało wrażenie, że jej cel jest zupełnie inny.

⁴ Al-Sa'ika: Awangarda Ludowa Wojny Wyzwoleńczej, palestyńskie ugrupowanie polityczne, powstałe jako część OWP w 1968 roku, z inicjatywy syryjskiej partii Ba'ath. W 1983 roku odłączyło się od OWP. Obecnie posiada około 1200 członków.

grubsza ryba. W odpowiedniej chwili Sawan i Abd-al-Rahaman opuszczą kraj, a na ich miejsce zjawi się zespół Kidoń i przeprowadzi zamach na palestyńskiego rysownika. Wina spadnie na Abd-al-Rahamana, który wówczas będzie już spoczywał w wygodnym, nie oznakowanym grobie na pustyni w Gazie.

Mosad, jak prawdziwy przyjaciel, natychmiast zaoferuje Brytyjczykom wszystkie informacje niezbędne do przeprowadzenia sprawnego śledztwa; oddadzą też skład broni, przedstawiając Sawana jako agenta, który przeszedł na drugą stronę.

Mój brytyjski kolega zabrał wszystkie materiały i magnetofon, który przez cały czas pracował, zapisując odpowiedzi na nie kończące się pytania. Na pytania dotyczące kwestii technicznych, odpowiadałem, jak potrafiłem najlepiej, lecz kiedy padło pytanie o źródło danych, stanowczo odmówiłem wyjaśnień i stwierdziłem, że nie powinno ich to obchodzić.

W zamian powiedziałem, że mam dla niego nowy wzór krawata. Wręczyłem mu zdjęcie paszportowe z wyciętą głową fotografowanego człowieka.

- Na co mi to? - burknął, oglądając zdjęcie.

- Oddaj to ludziom, z którymi spotkałem się w Waszyngtonie. Powiedz im, że to nowy wzór. Będą wiedzieć, o co chodzi.

Podczas mojej wizyty w brytyjskiej ambasadzie w Waszyngtonie pokazałem, że na wszystkich fotografiach agencji Mosadu noszą krawaty w trzech wzorach. Atelier, gdzie wykonywano zdjęcia, posiadało na wyposażeniu krawaty i marynarki, ponieważ w Izraelu prawie nikt nie przychodził do pracy w krawacie. Dyplomata pracujący w ambasadzie powinien wyglądać na zdjęciach dystyngowanie, a nie mając własnego krawata, musiał do zdjęcia zakładać jeden z trzech dyżurnych. To dlatego łatwo rozpoznać agentów Mosadu po krawatach. Wiedziałem, że dzięki temu Brytyjczycy zidentyfikowali nowego *bodlim*, a teraz Ephraim przywiózł mi

własne, nowe zdjęcie, do którego pozował w najnowszym dyżurnym krawacie.

- Może przyjechałbyś na kilka dni do Londynu? - zaproponował mój rozmówca, jakby wręczał mi nagrodę w jakimś konkursie. - Rzecz jasna, pokrywamy wszystkie koszty.

- Po co? Żebym skończył jak Vanunu?

- O czym ty mówisz? - wykrzyknął urażonym tonem. - Nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

- Tylko bez kitu. Od jakiegoś czasu macie pod obserwacją londyńską komórkę Mosadu i kilka punktów kontaktowych. Musieliście wiedzieć, że dziewczyna, z którą Vanunu się spotyka, ta Cindy, czy jak jej tam było, nie jest tym, za kogo się podaje. Nie wmawiaj mi, że jakoś wam to umknęło. Musieliście wiedzieć. Dałem wam wystarczająco dużo informacji, abyście zorientowali się, że po randkach z Vanunu dziewczyna spotyka się z ludźmi z lokalnej komórki Mosadu. Zdawała raporty w punktach kontaktowych, Vanunu zresztą też obserwowaliście, więc, bardzo proszę, nie wciskaj mi takiego kitu: „Nie mieliśmy z tym nic wspólnego.”

Wpatrywał się we mnie z kamienną twarzą, ale jego poza wyraźnie wskazywała, że nie czuje się dobrze. Podał mi kopertę.

- Nasi przyjaciele chcieli, abym ci to przekazał. Zdajemy sobie sprawę, że to niewiele, ale pragnęliśmy jakoś po dziękować.

Koperta zawierała osiemset dolarów. Wyszliśmy z pokoju razem, ale już na korytarzu Anglik stwierdził, że sam znajdzie drogę do wyjścia. Wiedziałem, że śpieszy się do British High Commission, aby czym prędzej napisać i wysłać raport. Zanim powiedzieliśmy sobie „do widzenia”, przekazałem mu nazwisko człowieka będącego celem Operacji Domino. Jeśli wszystko inne zawiedzie, będą mogli otoczyć go opieką.

Przeszedłem piechotą do Byward Market w Ottawie, niewielkiego, lecz bardzo pięknego miejsca, aby sprawdzić, czy nie jestem śledzony. Okazało się, że jestem czysty. Wróciłem z powrotem do hotelu i poszedłem do Ephraima. Zdałem mu krótki raport, stwierdzając na zakończenie, iż możemy mieć nadzieję na zahamowanie Operacji Domino. Zapytałem go, czy nie powinniśmy zatelefonować do Scotland Yardu i powiadomić ich o operacji planowanej przez Mosad.

- Mój chłopcze, to przeszkodziłoby nam w osiągnięciu celu. Scotland Yard przerwałby operację, zanim zdążyłaby się zacząć, a Mosad znowu miałby ręczki czyste jak u niemowlaka. Nie martw się, Anglicy zajmą się tym jak należy. Dałeś im więcej, niż potrzeba. Natomiast martwi mnie, że wspomniałeś o sprawie Vanunu.

Nazajutrz Ephraim wyjechał. Sprawa zniknęła z afisza na długi czas. Dwudziestego drugiego lipca dowiedziałem się, że Ali Al Ahmed, rysownik pracujący w kuwejskiej gazecie sympatyzującej z OWP, został zamordowany prawdopodobnie przez Abd-al-Rahamana i duży zespół palestyńskich zabójców. W palestyńskiej społeczności zawrzało. Brytyjczycy w końcu przebudzili się z sennego ośpienia i wykopali z Londynu całą komórkę Mosadu. Pozostanie dla mnie zagadką, czy ta demonstracja gniewu w ogóle miałaby miejsce, gdyby nie fakt, że w wyniku otwartego procesu Sawana, w styczniu 1988 roku do prasy przeniknęła wiadomość o tym, iż był on agentem Mosadu. Jedno jest absolutnie pewne: odpowiedzialność za śmierć rysownika spada nie tylko na Mosad, lecz także na wywiad brytyjski, który mógł jej zapobiec. Ponownie z całą mocą dotarło do mnie to, co zrozumiałem już dawno temu: każda organizacja po wejściu w kontakt z Mosadem wynaturzała się i na dobrą sprawę przestaje działać na korzyść kraju, któremu miała służyć.

Po spotkaniu z Brytyjczykami miałem nieodparte wrażenie, że nie będą skorzy do poświęceń tylko po to, by

wydobyć prawdę o Mosadzie. To zadanie spadało na barki tych, którym na tym naprawdę zależało - pojedynczych ludzi, jednostek, które zdobędą się na ukazanie, jakim potworem jest Mosad - ukazanie tego nie przelotnym partnerom z innych agencji wywiadowczych, lecz szerokiemu społeczeństwu. Tak, postanowiłem wziąć to na siebie i dotrzeć do opinii publicznej.

Z początku przyjąłem założenie, iż najszybszym sposobem wykonania tego zadania będzie nakręcenie filmu. Niech społeczeństwo dowie się prawdy o Mosadzie. Jeśli chce się dotrzeć do jak największej liczby ludzi, to jaki jest najlepszy środek do realizacji tego celu? Film, tylko film!

Nie informując Ephraima o swoich planach, zrobiłem rozeznanie w terenie i umówiłem się na spotkanie z pewnym dżentelmenem z Montrealu. Nazywał się Robin Spry i był właścicielem niedużego studia filmowego o nazwie Telecine. Sprawdziłem jego korzenie i doszedłem do wniosku, że jest na tyle odseparowany od społeczności żydowskiej, iż kontakt z nim jest bezpieczny.

Spotkaliśmy się w jego biurze, w odnowionym budynku w Montrealu. Był niezwykle uprzejmy i podszedł do pomysłu z wielkim entuzjazmem, lecz już na początku zaznaczył, że wolałby film fabularny, ponieważ nie jest w stanie poradzić sobie z ładunkiem emocji, jaki niósłby materiał dokumentalny. Poprosiłem, aby przedstawił mi konkretną propozycję. Zdecydowałem, że jeśli wszystko zawiedzie, przyjmę tę ofertę.

Potem skierowałem kroki do wydawcy w Toronto. Umówiłem się w hotelu Prince na spotkanie z dwoma przedstawicielami domu wydawniczego.

W ostatniej chwili postanowiłem przedstawić projekt jako fikcję literacką opartą na faktach autentycznych. Nie był to dobry pomysł. Wydawca szybko ostudził mój zapał.

- Ponieważ do tej pory niczego pan nie napisał, musimy najpierw zobaczyć cały maszynopis - powiedział i, co muszę przyznać, miał wiele racji.

Odpuściłem sobie. Równie dobrze mogłem zwrócić się z tym pomysłem do Ephraima, po czym wykorzystać jego rozległą wiedzę i znakomite koneksje.

Ephraim nie był zachwycony. Z początku ze wszystkich sił próbował odwieść mnie od realizacji pomysłu. Stwierdził, że Mosad nie będzie spokojnie przyglądał się takim wybrykom. Nikomu nigdy nie udało się zadać im takiego ciosu i wyjść z tego cało. Wielu próbowało. Większość wylądowała trzy metry pod ziemią, inni zostali pocięci na drobne kawałeczki i posłużyli za nawóz jakiegoś zapomnianego skrawka pustyni. Jedyną osobą, która napisała książkę o Mosadzie i pożyła na tyle długo, żeby zobaczyć ją na półkach księgarskich, był eks-naczelnik Mosadu, Isar Harel, wówczas już sędziwy starzec. Pożył jeszcze trochę tylko dlatego, że po zredagowaniu jego książka stała się hymnem pochwalnym na cześć Mosadu. Ja zamierzałem pójść dokładnie w przeciwną stronę.

- Nazwą cię zdrajcą - rzekł Ephraim. - Nazwisko Ostrovsky będzie znaczyło tyle co Benedict Arnold w Stanach Zjednoczonych.

- A jeśli tobie lub komuś innemu przydarzy się wpadka i odkryją, co robiłem przez ostatnie dwa lata? Jak wtedy mnie nazwą?

- Nic takiego się nie stanie. Niczym nie ryzykujesz. Na razie idzie nam wyśmienicie.

Spojrzałem na niego. Musiał zdawać sobie sprawę z gotującego się we mnie gniewu.

- Wyśmienicie? Naprawdę wydaje ci się, że idzie nam wyśmienicie? Ponad dwa lata stawiliśmy na prowadzeniu gry twojego pomysłu i nic nie osiągnęliśmy. Chyba już najwyższy czas, żeby uderzyć ich prosto między oczy. Możesz robić dalej to samo, co przedtem, nic mi do tego, ale chcę, żebyś wiedział: niezależnie od tego, jak dalej potoczą się sprawy, zamierzam napisać tę książkę. Jeżeli zostaniesz przy mnie, będę konsultował z tobą jej treść, będziesz miał wpływ

na to, co się w niej znajdzie, a co z niej wyrzucimy. W końcu, mamy przecież wspólny cel.

Jakiś czas siedział nieruchomo, w milczeniu przetrawiając moje słowa. Papieros powoli dopalał się w popielniczce. Potem podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się.

- Raz kozie śmierć. Dowalmy dziadom!

Od dawna nie czułem się tak dobrze. Wyszedłem z całej serii ostrych zakrętów i znowu znalazłem się na prostej. Pozostało do rozwiązania tylko kilka drobnych problemów.

Przynajmniej tak się nam wydawało. Im bliżej przyglądaliśmy się temu projektowi, tym bardziej dostrzegaliśmy ogrom czekającej nas pracy. Kto, tak naprawdę, miałby tę książkę napisać? Osobiście nie czułem się na siłach, nie posiadałem odpowiednich umiejętności. Powinien to być ktoś o świeżym spojrzeniu, ktoś zdolny opowiedzieć historię w najprostszy sposób i najcelniejszymi słowami. Ze względów bezpieczeństwa, nie mógł to być człowiek pochodzenia żydowskiego i mięczak. Później trzeba było jeszcze znaleźć wydawcę skłonnego wejść Mosadowi w drogę i zdolnego utrzymać pracę nad książką w tajemnicy. Pozostawała nie rozstrzygnięta kwestia wiarygodności. Co mielibyśmy zrobić, żeby ludzie zechcieli nam uwierzyć? Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że oficjalna reakcja Mosadu na opublikowanie książki będzie następująca: „Victor Ostrovsky? Nigdy o nim nie słyszeliśmy, ale powinniście sprawdzić w kartotece ośrodka dla umysłowo chorych.”

Nie zdołaliśmy przewidzieć nawet połowy czekających nas przeszkód.

25

Niedziela, 3 kwietnia 1988 r.

Ephraim nalegał, aby pisana przeze mnie książka opowiadała o jak największej liczbie ludzi z kliki. Ponieważ to moja głowa mogła polecieć, ustanowił też zasadę, że to mnie będzie należeć ostatnie słowo w kwestii tego, co w książce ma się znaleźć i w jaki sposób ma być przedstawione.

Siedzieliśmy w pokoju hotelu Four Seasons. Oprócz mnie obecny był Ephraim, Uri (który dał jasno do zrozumienia, że może zostać tylko kilka godzin, więc powinniśmy najpierw wysłuchać tego, co ma do powiedzenia) oraz Eli (uważający pomysł za kompletne szaleństwo i stanowczo przeciwny jego realizacji, co chciał udokumentować na piśmie - myślę, że treść tego rozdziału bardzo go ucieszy).

Byłem pogrążony w myślach. Uprzedziłem Belle, że zamierzam napisać książkę o Mosadzie. Zapewniałem, że będzie to powieść, czysta fikcja, ale mimo wszystko poprosiłem, żeby nikomu o tym nie mówiła. Kiedy to powiedziałem, popatrzyła na mnie jak na lachmaniarza wygłaszającego opinie na temat mody. Wiedziałem, że ani przez chwilę nie wierzyła, iż naprawdę jestem w stanie opublikować książkę. Ja jednak nie miałem zamiaru tworzyć powieści, tylko udokumentować prawdę o Mosadzie. Nie miałem pojęcia, jak i kiedy jej o tym powiedzieć. Obawiałem się, że gdy zacznę z kimś współpracować, nie uda mi się ukryć,

czyz będzie ta książka, a ponieważ Bella była zagorzałą patriotką, nie miałem pewności, jak też przyjmie to dzieło.

- Co będziemy dzisiaj robić? - zapytał Uri.

- Potrzebny mi jakiś szkic _T powiedziałem - zarys tego, czym ma być ta książka, choćby w postaci nagłówków, motywów przewodnich, tematów. Im więcej, tym lepiej. Osoba, z którą będę pracował, powinna mieć wpływ na ostateczny kształt książki.

Eli chciał poznać cel przedsięwzięcia i Ephraim zgodził się, że od tego powinniśmy zacząć rozmowę. Potem znajdziemy tematy, dzięki którym osiągniemy najlepszy skutek.

- Istnieją miliony tematów do poruszenia - rzekł - ale większość z nich zanudziłaby ludzi na śmierć, a inne są nieświeże jak odgrzewany kotlet.

- Chcę pokazać, czym jest Mosad - stwierdziłem. - Dać laikom wyobrażenie o tym, jak wygląda praca agencji wywiadowczej. Jestem pewien, że większość będzie tym żywo zainteresowana, a jednocześnie poczuje głęboką odrazę. Co więcej, wszystkim ludziom, do których nie mogliśmy dotrzeć, ludziom pracującym w agencjach wywiadowczych współpracujących z Biurem, chciałbym dać powód do ponownego przyjrzenia się układowi, w jakim się znaleźli. Nie sądzę, by Duńczycy lub Niemcy byli zachwyceni czytając o tym, jak zostali wykorzystani. Nawet jeśli ludzie żyjący w Izraelu okrzykną mnie zdrajcą, będą musieli sprawdzić podane w książce fakty, a wówczas osiągnę cel, który sobie postawiłem. Po zdemaskowaniu na taką skalę ktoś będzie musiał wkroczyć i zrobić w Mosadzie porządki. Żadna siła nie będzie w stanie zatrzymać tego procesu.

- Muszę się z tobą zgodzić - rzekł Ephraim. - Proponuję, żebyś zaczął od nakreślenia własnej sylwetki, a potem przeszedł do opisu operacji. Powinieneś wybrać taką, o której ludzie coś słyszeli albo znają jej skutki, na przykład sprawa irackiego reaktora jądrowego.

- Zgadzam się - powiedziałem i zapisałem na żółtych kartkach notatnika: „Operacja Sfinks”.

Uri zapalił papierosa.

- Powinniśmy mieć po jednym epizodzie z pracy każdego wydziału, żeby dać pełną panoramę zdarzeń. Może zrobimy listę wydziałów i dobierzemy do każdego jakąś operację?

Ephraim zwrócił się do Uriego z pytaniem:

- Będiesz mógł skrócić pobyt w Stanach Zjednoczonych i wrócić do Tel Awiwu?

- I tak miałem wrócić w tym miesiącu. Dlaczego pytasz?

- Kiedy on zacznie pracować nad książką, będziemy potrzebować dobrego systemu ostrzegawczego. W przedsięwzięcie będą zaangażowani ludzie z zewnątrz. Musimy być gotowi i ostrzec go, gdy Biuro dowie się o książce.

- Myślałem, że masz wszystko pod kontrolą.

- Mam pod kontrolą wszystkich z wyjątkiem twojego przyjaciela Aarona Sherfa z Tsafirim.

- A co on ma z tym wspólnego?

- Mosad może otrzymać informacje od którejś z satelickich organizacji żydowskich, takich jak B'nai Brith lub UJA. Jest jeszcze mnóstwo innych potencjalnych źródeł kontaktujących się przez *schlichim* [posłańców]. Jeśli ktokolwiek ze społeczności żydowskiej w Ameryce Północnej usłyszy o tym, co zamierzasz, natychmiast pobiegnie z donosem do swojej organizacji w przekonaniu, że w ten sposób spełnia swój patriotyczny obowiązek. A Sherf zdecyduje, co robić dalej.

- Rozumiem. Nie ma problemu. I tak miałem wracać.

Po tych ustaleniach rozrysowaliśmy na kartce hotelowego papieru listowego strukturę organizacyjną Mosadu i przykleiliśmy do ekranu telewizora. Teraz mogliśmy dopasowywać do poszczególnych wydziałów historie godne opowiedzenia. Zdecydowaliśmy, że wybierzemy operacje, które zataczały jak najszersze kręgi, i postaramy się, by opisy

zawierały tak wiele szczegółów objętych tajemnicą, jak to tylko możliwe, począwszy od fazy planowania, aż po stadium podejmowania ostatecznych decyzji, tak, aby czytelnik mógł zrozumieć stopień demoralizacji Mosadu.

- Wydaje mi się - rzekł Ephraim - że niezły rozdział wyszedłby z Operacji Hannibal. - Odwrócił się do Uriego. - Sposób, w jaki Ran H. załatwił niemieckiego polityka, stanowi wyśmienity materiał.

Wcześniej nawiązałem już do Operacji Hannibal. Znałem ją z czasów pracy w referacie duńskim. Była to dość misternie skonstruowana akcja, angażująca wydział łączności i sekcję Melucha, przy której współpracowały trzy państwa i ich tajne służby. Chociaż, ujmując rzecz ściślej, współpracowały tajne służby, ale nie państwa.

Sama w sobie, Operacja Hannibal polegała na sprzedaży uzbrojenia z Izraela do Iranu za pośrednictwem wywiadu niemieckiego. Iran potrzebował części zamiennych dla swych popadających w ruinę sił powietrznych, natomiast Izrael posiadał mnóstwo części, głównie do samolotów typu phantom F-4. Transakcja była więc czymś najzupełniej naturalnym. Naturalne też było to, że Mosad miał interes w przedłużaniu wojny pomiędzy Iranem i Irakiem, gdyż mógł na niej zbić fortunę. Iran i jego przywódca, ajatollah Chomeini, nie mogli podejść z entuzjazmem do układów bezpośrednio z samym Izraelem, ponieważ każdego ranka i wieczora ślubowali zetrzeć ten kraj z powierzchni Ziemi. Niemcy idealnie pasowali do roli pośrednika. Mosad wybrał na partnera niemiecką federalną agencję wywiadowczą, BND, mimo że na bieżąco utrzymywał kontakt z wywiadem lokalnej policji w Hamburgu i Kilonii. Powód, dla którego informowano lokalną policję o przebiegu akcji, był tylko jeden: współpraca Mosadu z BND była czymś zupełnie nowym. Mosad zwykle nie powiadamiał tej agencji o operacjach prowadzonych na terenie Niemiec.

Personel Mosadu uważał BND za partnera, którego nie można obdarzyć zaufaniem. Po pierwsze dlatego, że istniały uzasadnione podejrzenia, iż BND jest głęboko zinfiltrowana przez agentów Stasi¹, a po drugie - cieszyła się sympatią Helmuta Kohla, który nie pałał do Mosadu wielką miłością. Tym razem Mosad zwerbował do operacji łącznika z BND, prowadzącego od jakiegoś czasu ciemne interesy za pośrednictwem eks-officera Mosadu, Mike'a Harariego.

Części do samolotów odrzutowych (od wyposażenia elektronicznego do pokładowego radaru aż do kompletnych silników i skrzydeł) wysyłano lądem, żeby ukryć źródło dostaw, na wypadek, gdyby zostały przechwycone przed dotarciem do odbiorcy.

Przesyłkę, zapakowaną wcześniej w specjalne kontenery, ładowano w porcie Ashdod na izraelskie statki. Kontenery były przystosowane do przenoszenia bezpośrednio na ciężarówkę. Statki przybijały do kilku włoskich portów, gdzie włoskie tajne służby (SISMI) zajmowały się wszystkimi papierkami, z których jednoznacznie wynikało, iż w kontenerach znajdują się eksportowane do Niemiec włoskie warzywa i owoce. Na ciężarówkach rzeczywiście widniały włoskie znaki. Kierowcy ciężarówek i inni pracownicy byli zatrudniani przez włoskich sojuszników Mosadu, prawników skupionych wokół Licio Gelliego i jego grupy, wówczas znajdującej się poza nawiasem prawa, o nazwie Propaganda Duo, oraz drugiego ugrupowania (wytwór NATO, jak ten działający w Belgii) o nazwie Gladio.

Kierowcy dostarczali ciężarówkę do obszaru magazynowego w Hamburgu, gdzie przejmowali je inni kierowcy, tym razem izraelscy. Mosad nazywał tych kierowców OMI, co jest skrótem od *oved mekomi* - pracownik lokalny. Aby zostać pracownikiem lokalnym, trzeba być w danym kraju

¹ Stasi: wschodniemieckie służby ochrony państwa.

studentem i przyjechać do niego na własny rachunek. Student może zgłosić się do izraelskiej ambasady z prośbą o znalezienie pracy, a jeśli Mosad akurat potrzebuje pomocy, zleca Shaback sprawdzenie aplikanta. Jeśli wynik był pozytywny studenta zatrudniano do prac na mniej eksponowanych stanowiskach, takich jak kierowanie ciężarówką lub opieka nad punktem kontaktowym.

Z Hamburga ciężarówki jechały na opuszczone lotnisko, oddalone o dwadzieścia minut jazdy od Kilonii. Z Kilonii przyjeżdżał Irańczyk, człowiek, który zdobył w Stanach Zjednoczonych tytuł naukowy z zakresu inżynierii aeronautycznej. Jego zadanie polegało na kontroli jakości przywiezionego sprzętu.

Po wydaniu przez niego pozytywnej opinii, na lotnisku przekazywano połowę uzgodnionej należności. W gotówce. Druga rata spływała, gdy transport docierał do Iranu. Akcja przebiegała przy ścisłej współpracy łącznika Mosadu w Bonn ze średnim personelem operacyjnym BND. Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że Helmut Kohl zaakceptował projekt współpracy z Mosadem w zwalczaniu międzynarodowego terroryzmu, dzięki czemu kierownictwo BND zezwoliło Mosadowi na korzystanie ze swych terenowych stacji i uważało, iż organizowane przez Mosad seminaria z terroryzmu (w których personel BND uczestniczył bez żadnych opłat, przebywając w Izraelu na zaproszenie wywiadu tego kraju) są gestem wielkiej przyjaźni. Kierownictwo BND nie wiedziało jednak, że seminaria, odbywające się w miłej atmosferze podmiejskiego klubu golfowego, były w rzeczywistości częścią znakomicie funkcjonującej maszyny rekrutacyjnej, zapewniającej Mosadowi napływ setek, jeśli nie tysięcy wpływowych ludzi ze Stanów Zjednoczonych, gdzie byli werbowani przez B'nai Brith, oraz z agencji wywiadowczych Danii, Szwecji i wielu innych krajów.

W pracy wywiadowczej najbardziej liczy się zdolność

zapobiegania aktom terroryzmu. Mosad obiecał podnieść wydajność pracy agentów w tym zakresie i dzięki temu wmanewrował we współpracę funkcjonariuszy BND średniego szczebla, dając im do zrozumienia, że ich szefowie nie mogą oficjalnie usankcjonować kooperacji, ale chcą, żeby istniała. Ludzie z BND uwierzyli. Mosadowi pomógł fakt, że od dawna współpracował z lokalnymi agencjami wywiadowczymi (w Zachodnich Niemczech każdy land posiadał własne służby wywiadowcze, zwykle funkcjonujące przy lokalnej policji i całkowicie niezależne od ich federalnej odpowiedniczki).

Dostawy zjawiały się u celu zgodnie z rozkładem i przez długi czas nie było z nimi żadnych problemów. Z Niemiec ciężarówka jechała do Danii, gdzie pod czujnym okiem duńskiego wywiadu i łącznika Mosadu, Paula Hensena Mozeha, ładunek przeładowywano na duńskie statki udające się w rejs do Iranu. Zachęteni sukcesem, jakim zakończyło się ustanowienie kanału przerzutowego dla transportów broni, Irańczycy zwrócili się do niemieckich partnerów z prośbą o zorganizowanie szkolenia ich pilotów, najlepiej z dala od strefy działań wojennych. BND przekazało prośbę Mosadowi. Z początku pomyślano o Ameryce Południowej, Chile lub Kolumbii, gdzie Mosad z łatwością mógł wynająć lotniska, a także zdobyć zgodę władz na przeprowadzenie takiej operacji. Odstąpiono od realizacji pomysłu z powodu wzmoczonej aktywności Amerykanów w tym rejonie świata.

Mosad i STT odbyli konferencję z ekspertami z izraelskich sił powietrznych. Biorąc pod uwagę poziom wiedzy pilotów STT, zdecydowano, że większość szkolenia odbędzie się na symulatorach, a skoro tak, można przeprowadzić szkolenie w Niemczech. Wielkie puste hangary na opuszczonym lotnisku mogły pomieścić nie tylko kontenery ze znajdującymi się w drodze do Iranu częściami zamiennymi, lecz także pięć symulatorów i niezbędne wyposażenie dodatkowe.

Irańczycy mieli je zakupić, zapłacić za ich instalację i pokryć wszelkie inne koszty przedsięwzięcia, włącznie z wynagrodzeniem instruktorów.

Grupa izraelskich instruktorów musiała liczyć co najmniej dwadzieścia osób, zamieszkujących w tym czasie w Hamburgu i Kilonii, podczas gdy irańscy piloci (których Niemcy woleli mieć na oku) byli na czas szkolenia skoszarowani na terenie lotniska.

Łącznik z BND pracował bezpośrednio z łącznikiem Mosadu w Bonn, który przekazywał wiadomości dalej do tajnej komórki Mosadu, mieszczącej się w ambasadzie w Bonn. W pewnym momencie Niemcy zasugerowali, że ze względów bezpieczeństwa i dla sprawności prowadzonej operacji powinno się wtajemniczyć w sprawę premiera landu Schleswig Holstein. Człowiek ten nazywał się Uwe Barschel i tak się złożyło, że był bliskim przyjacielem Helmuta Kohla. Ażeby zapewnić sobie jego przychyłność, BND użyła swych wpływów i spowodowała napływ federalnych pieniędzy do kompanii transportowej, znajdującej się w kieszeni Barschela, ratując ją w ten sposób przed niechybnym bankructwem. Obiecano mu też pomóc w staraniach o nowe międzynarodowe lotnisko w tym rejonie kraju. Zresztą obietnic było jeszcze więcej, lecz żadna z nich nie miała przynieść korzyści ani Mosadowi, ani Ranowi H., który wówczas kierował operacją.

Kiedy opuszczałem Mosad, szkołka pilotów działała na najwyższych obrotach. Oprócz symulatorów, do szkolenia irańskich pilotów na drugim lotnisku, oddalonym od Kilonii o czterdzieści pięć minut jazdy, używano specjalnie zmodyfikowanych samolotów cessna. Doskonale pamiętam, że gdy moja kariera dobiegała końca, Ran stawał się gwiazdą pierwszego formatu. Ponieważ płynnie mówił po niemiecku, przed wstąpieniem do Biura pełnił obowiązki szefa ochrony El Al na obszar Niemiec i Austrii.

Gdy zasiedliśmy w apartamencie Four Seasons, Ephraim opowiedział mi, co działo się po moim odejściu. Według niego (Uri dodał kilka szczegółów od siebie, a Eli bez przerwy wyrażał swoje niezadowolenie) gdzieś w połowie 1987 roku Ran zdał sobie sprawę, że wielkimi krokami zbliżają się nie lada kłopoty. W kręgach zbliżonych do Mosadu i wśród członków izraelskiego rządu wywodzących się z prawego skrzydła sceny politycznej narastało niezadowolenie z postępowania kanclerza Helmuta Kohla, który stanowczo odrzucał ostrzeżenia Mosadu, iż przyjaźniąc się z austriackim przywódcą, Kurtem Waldheimem, wystawia na szwank swą reputację. Kurt Waldheim został bowiem napiętnowany jako nazista. (Stało się tak w wyniku akcji jednostki operacyjnej A1, która dostała się do budynku ONZ przy Park Avenue South w Nowym Jorku i umieściła szereg kompromitujących dokumentów w aktach Waldheima oraz kilku innych osobistości - kiedyś, w nieokreślonej przyszłości, mogły się przydać. W odpowiedniej chwili Benjamin Netanjahu, ambasador Izraela przy ONZ, „odkrył” istnienie sfabrykowanych dokumentów, co stanowiło część kampanii wymierzonej w dobre imię Kurta Waldheima, który otwarcie krytykował izraelską aktywność w południowym Libanie.) Kohl określił pogrozki Mosadu jako kompletnie niedorzeczne, czym wywołał wściekłe reakcje w kręgach izraelskiego wywiadu, gdzie mówiono o nim „głupi wół”.

Nagły, nieoczekiwany kryzys polityczny w Danii sprowadził nowe kłopoty na głowę szefów Mosadu. Duński wywiad chciał się przyczaić i poprosił o czasowe zawieszenie tranzytu dostaw broni dla Iranu, przynajmniej do czasu wysondowania nowej atmosfery politycznej.

Chcąc zapewnić ciągłość dostaw, BND poprosiła Uwe Barschela o zgodę na użycie portów w jego landzie do przeładunku broni wysyłanej do Iranu. Nie zgodził się.

Mosad nie uważał, aby konsultowanie tej sprawy z Barschelem było konieczne, lecz BND nie miała pojęcia, że Mosad już zabezpieczył pomoc lokalnego wywiadu. Tak więc wystąpili z tą prośbą i przy okazji powiedzieli Barschelowi więcej, niż powinni. BND nie doceniła jego stanowczości. Spotkawszy się z odmową, wszyscy nagle zdali sobie sprawę, że Barschel może być dla nich zagrożeniem, jeśli uzna za stosowne powiadomić o całej sprawie Helmuta Kohla. Wpadli w panikę.

Mosad potrzebował nowego, niezależnego politycznego łącznika, którym zastąpiłby układ BND-Barschel.

W sytuacji kryło się tak wiele potencjalnych możliwości, że Biuro nie mogło oprzeć się pokusie. Gdyby przejęli kontrolę nad jakimś politykiem i przyprowadzili go do BND jako partnera, nie byłoby żadnych wątpliwości, kto pociąga za sznurki. Potem usunęliby ze sceny sprawcę kłopotów, Barschela, który wprawdzie podjął współpracę, ale z niewłaściwych pobudek. Nie był tak naprawdę „kupiony”, a tylko taki polityk im odpowiadał. Nie chodziło mu o pieniądze, wolał wzrost politycznego poparcia i w związku z tym zaczął rozglądać się za profitami dla swych wyborców.

Ostatnią korzyścią z usunięcia Barschela, choć wcale nie najmniej istotną, było zadanie ciosu Helmutowi Kohlowi.

Ran nawiązał kontakt z partią opozycyjną i zaprzyjaźnił się z jednym z jej przywódców. Wysondował, czy w przypadku wygrania wyborów byłby skłonny współpracować z ludźmi, którzy pomogli mu dojść do władzy i czy odwdzięczyłby się za przysługę. Polityk był absolutnie pewny, że ludzie przychodzący do niego z taką propozycją są związani z BND i robią to w najlepszym interesie Niemiec. Ran otrzymał odpowiedź, która była więcej niż przyjemną niespodzianką: opozycyjny polityk, sądząc, że jego partia nie ma w wyborach najmniejszych szans, był skłonny obiecać złote góry. Mając nową zdobycz głęboko w kieszeni, za cenę fajki i torebki świeżego

tytoniu, Ran postanowił usunąć Barschela ze sceny politycznej.

Do przeprowadzenia tej operacji wyznaczono agenta operacyjnego z komórki Mosadu w Bonn. Miał za zadanie wcielić się w postać bogatego Kanadyjczyka niemieckiego pochodzenia, który postanowił powrócić do kraju ojców. Przed definitywną przeprowadzką chciał rozkręcić w Niemczech jakiś interes i zapoznać się z aktualnym układem politycznym, aby właściwie pokierować firmą i osiągnąć maksymalne zyski. Na człowieka, który miał mu w tym pomóc, wybrano aparatczyka z partii Barschela, ochrzczonego przez Yoela i Rana pseudonimem Świstak. Ran przekazał łącznikowi Mosadu listę wszystkich ludzi z otoczenia Barschela i poprosił o przejrzenie akt policji w Hamburgu i Kilonii; być może znalazłoby się w nich coś obciążającego. W odpowiedzi przyszło nazwisko Świstaka. Okazało się, że był oskarżony o napaść na prostytutkę w Hamburgu, lecz nie postawiono mu oficjalnych zarzutów i sprawę zamknięto, ponieważ ktoś zapłacił kobiecie za milczenie.

Yoel został przedstawiony Świstakowi przez *sayana*, który - zgodnie z danymi Mosadu - był jego dobrym znajomym. Po krótkim okresie „smarowania miodem” Yoel powiedział Świstakowi, że musi wyjechać do Kanady. Przedstawił mu Rana, rzekomo swego doradcę marketingowego w Niemczech. Gdyby Świstak potrzebował czegoś, w czasie nieobecności Yoela, miał zwrócić się do Rana, a ten udzieli mu wszelkiej pomocy.

Kilka dni po wyjeździe Yoela z kraju, Ran zatelefonował do Świstaka i umówił się na spotkanie. W trakcie rozmowy wyraźnie dał do zrozumienia, że nie darzy sympatią opcji politycznej reprezentowanej przez Świstaka i raczej skłania się ku opozycji. Wyjaśnił, że skoro miał dbać o interesy Yoela, najlepiej jak potrafi, przeprowadził na własną rękę małe dochodzenie. Natrafił na ślad incydentu z prostytutką

i doszedł do wniosku, że gdyby informacja została ujawniona opinii publicznej, kariera Świstaka zakończyłaby się błyskawicznie, a Yoel straciłby wszystkie zainwestowane pieniądze. I złożył Świstakowi propozycję: jeśli pomoże pozbyć się Barschela, incydent z prostytutką pójdzie w zapomnienie. Ran był zaskoczony entuzjazmem, z jakim jego rozmówca przyjął tę propozycję. Świstak wręcz stwierdził, że nie jest sympatykiem Barschela i zrobi wszystko, żeby go przygwoździć.

Ran, który miał już gotowy plan usunięcia Barschela ze sceny, zagrał facetowi na ambicji i pozwolił mu wierzyć, że ma istotny wpływ na przebieg wydarzeń. Świstak poczuł się ważny, ale gdyby coś poszło nie tak, wina spadłaby na niego. Ponieważ w efekcie eliminacji Barschela ze sceny politycznej mogła ucierpieć kariera polityczna Świstaka, Ran zapewnił go, że nie straci na tym finansowo. Dał mu do zrozumienia, że jest członkiem organizacji podobnej do mafii, więc nie będzie szansy wycofania się, a wszystko, co się stanie, będzie nieodwracalne. Dodał też, że ich kontakty urwą się definitywnie.

Równolegle, przez cały czas Mosad zalewał lokalne służby wywiadowcze fałszywymi informacjami, dotyczącymi tajnej działalności Barschela, handlu bronią i innych nielegalnych transakcji. Oczerniano też jego brata, sugerując, iż jest współnikiem w jego ciemnych interesach.

Plan został zatwierdzony przez Mouse, który wówczas nadzorował wszystkie operacje prowadzone w Europie i tak naprawdę stał na czele europejskiego oddziału Mosadu.

Od tego momentu nikt w BND nie wiedział, co w trawie piszczy. Ran nakazał Świstakowi przekazywać lokalnej prasie sfabrykowane, niszczyielskie plotki na temat liderów opozycji, a szczególnie na temat samego przywódcy. Nikt nie wiedział, skąd plotki się biorą, kto jest źródłem przecieków. Tymczasem zbliżał się dzień wyborów. Z Belgii przyjechał

zespół Mosadu, odgrywając rolę zatrudnionych przez Świstaka prywatnych detektywów. Otrzymałszy od niego zadanie zbierania informacji o przywódcach partii opozycyjnej, zachowywali się jak kompletni amatorzy - jeździli drogimi samochodami i krzykliwie się ubierali, zwracając na siebie uwagę wszędzie, gdziekolwiek się znaleźli.

Wszystko było szyte tak grubymi nićmi, że tylko reporter gazety „Express Wieczorny Braille'a” nie zorientowałby się, że chodzi tu o kampanię mającą na celu szkalowanie opozycji. W ostatniej chwili, gdy było już za późno na skuteczne dementi w wykonaniu Barschela i nic nie mogło zmienić rozkładu głosów na kartach wrzucanych do urn, Świstak publicznie wyznał, że to on krył się za brudnymi sztuczkami, ale robił to na osobisty rozkaz Barschela. Taki był koniec kariery politycznej człowieka, który ośmielił się stanąć Mosadowi na drodze. Nikt nie słuchał jego wyjaśnień, nie dał wiary protestom - uznano, że jest to tylko polityczna retoryka. A przy okazji Mosad przysporzył kłopotów samemu Helmutowi Kohlowi.

- Myślę, że byłby z tego doskonały rozdział - powiedziałem. - W tej historii jest wszystko, co należałoby opowiedzieć o matactwach Mosadu w zaprzyjaźnionym kraju.

- Nie możecie tego opublikować - stwierdził Eli. - Ran wciąż jest aktywnym agentem wywiadu. Włączając tę historię do książki, zdemaskujecie nie tylko jego, ale również Yoela.

- Możemy wprowadzić niewielkie modyfikacje i ukryć informacje istotne dla ich działalności operacyjnej - zasugerował Uri.

- W takim razie zapomnijcie o tej sprawie - powiedziałem. - Jeśli nie możemy opowiedzieć całej historii, nie napiszemy ani słowa. Możemy jednak podzielić tę historię na dwie części i opowiedzieć o szkoleniu w Niemczech irańskich pilotów.

I wtedy Ephraim powiedział, że historia miała ciąg dalszy.

Po porażce w wyborach (będącej bezpośrednim następstwem kampanii zorganizowanej przez Rana), Barschel skontaktował się ze swym łącznikiem z BND i zagroził, że ujawni ich kręactwa, jeśli nie zrobią czegoś, aby oczyścić jego dobre imię. Wyżsi oficerowie BND, otrzymujący od lokalnego wywiadu te same informacje, które Mosad podrzucał tam od dłuższego czasu, sądzili, że Barschel ma brudne ręce i zwrócili się o pomoc do Mosadu.

Dlaczego akurat do Mosadu, a nie do własnych zwierzchników? Gdyby Barschel zrealizował swą groźbę, cała siła uderzenia skupiłaby się na personelu średniego szczebla BND, który utrzymywał bliskie kontakty z Mosadem wbrew wyraźnym zaleceniom kierownictwa.

Człowiek z BND powiedział łącznikowi Mosadu, że za kilka dni ma odbyć się jakieś przesłuchanie w sprawie kampanii wyborczej i jeśli do tego czasu Barschel nie będzie usatysfakcjonowany, wykorzysta przesłuchanie, żeby ujawnić to i owo. Mosad nie miał szans na zwinięcie operacji prowadzonej na dwóch lotniskach, zabranie stamtąd izraelskiego personelu i sprzętu, zatarcie śladów. Trzeba było przeszkodzić Barschelowi w złożeniu zeznań.

Agent BND poinformował Mosad o miejscu pobytu Barschela (spędzał wakacje na Wyspach Kanaryjskich) i podał numer, pod którym był osiągalny. Mieszkał w domku wynajętym dla niego przez przyjaciela.

Ran zatelefonował pod wskazany numer. Za pierwszym razem nikt nie podniósł słuchawki. Ran pomyślał, że Barschel wyszedł z domu. Godzinę później spróbował jeszcze raz i tym razem dowiedział się, że Barschel nie może w tej chwili podejść do aparatu. Za trzecim razem udało się. Ran przedstawił się jako Robert Oleff i powiedział, że posiada informacje mogące oczyścić Barschela z niesłusznych oskarżeń.

Nalegał na spotkanie w Genewie; zaproponował, że wyjdzie

po niego na lotnisko. Barschel przed podjęciem jakichkolwiek kroków chciał dowiedzieć się czegoś więcej, toteż Ran uchylił rąbka tajemnicy i oznajmił, iż w aferę mogą być uwikłani pewni wysoko postawieni Irańczycy. Barschel nabrał przekonania, że sprawa jest poważna, a człowiek, z którym rozmawia, jest bardzo dobrze poinformowany. Zgodził się przybyć do Genewy i szybko uzgodnił szczegóły podróży.

W Genewie czekał już zespół Kidoń, przerzucony bezpośrednio z Brukseli. Po przejrzeniu danych operacyjnych na temat miasta, na przeprowadzenie akcji wybrano hotel Beau-Rivage. Zameldowały się w nim dwie pary, jedna na czwartym piętrze, w pobliżu awaryjnego wyjścia na dach. Druga przyjechała tego samego dnia co Barschel i zajęła pokój na trzecim piętrze, przyległy do pokoju, który Ran zarezerwował dla Niemca.

Pozostali członkowie zespołu przeprowadzili rozpoznanie terenu i rozproszyli się, czekając w pobliżu na rozkazy.

Był 10 października. Po południu Ran spotkał się z Barschelem w jego pokoju. Przyniósł ze sobą ser na zakąskę i zamówił u obsługi hotelowej wino, a wszystko po to, żeby Barschel łatwiej przełknął to, co miał usłyszeć. Ran chciał go namówić na przyjęcie rezygnacji z działalności politycznej w zamian, rzecz jasna, za znaczne profity finansowe. W końcu zarzuty, jakie mu stawiano, nie były niczym nadzwyczajnym w świecie wielkiej polityki. Powinien zapomnieć o sprawie i przyjąć pieniądze. Z całą pewnością Ran posłużył się przy tej okazji ulubionym powiedzonkiem chłopaków z Mosadu: żaden pieniądź nie śmierdzi.

Barschel był jednak nieugięty. Nalegał, aby Ran pokazał mu materiały, dzięki którym mógłby oczyścić swoje nazwisko, a jeśli nie ma takowych, to niech idzie do diabła. Nie interesowały go pieniądze. Chętnie by dopłacił, żeby tylko wyrównać rachunki z człowiekiem, który go wrobił.

Ran zdał sobie sprawę, iż nie ma szans na przekupienie Barschela i od tej chwili operacja wkroczyła w następną fazę. Pozostało ostateczne rozwiązanie, eliminacja przy zastosowaniu nadzwyczajnych środków ostrożności.

Zwykle w przypadku zabójstwa politycznego trzeba było prosić premiera o pisemne zezwolenie na przeprowadzenie akcji, lecz Barschel stanowił zagrożenie dla czynnego personelu Mosadu, a w tym wypadku zgodę premiera można było pominąć. Ran chciał jednak otrzymać wyraźny rozkaz od szefa Mosadu, który tego ranka przybył do Genewy i był na bieżąco informowany o rozwoju wypadków. Zatrzymał się w hotelu Des Bergues, niemal kilka kroków od hotelu Beau-Rivage. Zameldował się pod nazwiskiem P. Marshon.

Wino, podane do pokoju Barschela, było już spreparowane przez członka zespołu Kidoń. Inni członkowie zespołu znosili do swych pokoi torby wypełnione lodem. Ran powiedział Braschelowi, że tylko go sprawdzał, ale w rzeczywistości ani przez chwilę nie wątpił w jego uczciwość. Zapewnił, że udzieli mu pomocy. Jednak Niemiec wciąż był rozjątrzony i odmówił kontynuowania rozmowy, chyba że Ran niezwłocznie udowodni, że jest w stanie oczyścić go z zarzutów.

Ran zatelefonował do łącznika Mosadu, który czekał w punkcie kontaktowym. Łącznik miał skontaktować się ze swym człowiekiem w BND i poprosić go o zatelefonowanie do pokoju hotelowego Barschela oraz zapewnienie polityka, że wszystko będzie dobrze. Łącznik spodziewał się telefonu od Rana. Wcześniej uzgodnił z nim wszystkie szczegóły i wcześniej zadzwonił do agenta BND uprzedzając, że będzie do załatwienia pilna, nie cierpiąca zwłoki sprawa.

Kilkanaście minut po rozmowie Rana z łącznikiem Mosadu w pokoju niemieckiego polityka zadzwonił telefon. Agent BND powiedział, że przebieg śledztwa jest pomyślny, i że Barschel wkrótce będzie oczyszczony z zarzutów. Uspokojony i rozluźniony Barschel otworzył butelkę wina i wypił za

lepsze czasy. Ran odmówił, twierdząc, że ma problemy z żołądkiem, zjadł jednak trochę przyniesionego sera.

Ran wiedział, że mniej więcej za godzinę jego rozmówca będzie nieprzytomny. Przed definitywnym zakończeniem operacji chciał otrzymać przyzwolenie od samego szefa Mosadu. Powiedział politykowi, że musi wyjść po pewne dokumenty i wróci za jakąś godzinę.

Wykorzystał tę godzinę, żeby spotkać się z szefem Biura w jego hotelu. Zdał mu krótką relację z ostatnich wydarzeń i przypomniał, że za kilka dni miał stanąć przed komisją badającą nadużycia, do jakich doszło podczas kampanii wyborczej, i że nie było żadnego sposobu, aby powstrzymać tego człowieka przed opowiedzeniem komisji wszystkiego, co wie. Ran nie mógł zagwarantować, że w tak krótkim czasie uda się usunąć z lotnisk wszelkie dowody wskazujące na działalność w tym rejonie tajnych służb Izraela. Ryzyko zdemaskowania było zbyt duże, dlatego szef Mosadu nie zawahał się i zaakceptował eliminację niemieckiego polityka.

Ran zatelefonował do pary zamieszkującej na czwartym piętrze w hotelu Barschela i poinformował, że operacja dostała zielone światło. Oczekali, aż rozpuszczony w winie środek zacznie działać i Barschel zapadnie w sen. Zadzwonili do jego pokoju. Nie podniósł słuchawki. To był sygnał. Weszli do apartamentu.

Barschel leżał na podłodze, po prawej stronie łóżka. Prawdopodobnie spadł z niego po utracie przytomności. Członkowie Kidoń rozesłali na łóżku plastikowe prześcieradło, położyli na nim nieprzytomnego, nogami w kierunku wezłowania, aby ułatwić następne czynności. Pod kark podłożyli zrolowany ręcznik, nadając ciału pozycję jak do sztucznego oddychania metodą usta-usta. W tym momencie w pokoju znajdowało się pięciu członków zespołu. Czterech zajmowało się chorym, piąty napełniał wannę zimną wodą i dosypywał przyniesionego w torbach lodu, przy czym robił

tyłe hałasu, że skutecznie zagłuszał poczynania kolegów. Jeden z nich wpychał Barschelowi do gardła naoliwioną gumową rurkę. Robił to powoli, ostrożnie, żeby nie udławić nieprzytomnego człowieka. Pozostali przytrzymywali ciało na wypadek nagłego ataku konwulsji. Wszyscy znali się na rzeczy, robili to już przedtem.

Gdy rurka dotarła do żołądka, przyłożyli do jej końca tubkę i zaczęli wrzucać najróżniejsze tabletki, od czasu do czasu dolewając wody, aby pigułki dotarły do celu.

Po zakończeniu tej fazy, zdjęli mężczyźnie spodnie i bieliznę. Dwóch członków zespołu uniosło nogi Barschela, a trzeci wprowadził do jego odbytnicy czopek zawierający skoncentrowany środek uspokajający, a także drugi, wywołujący gorączkę. Z powrotem nałożyli spodnie i kontrolując temperaturę ciała zaczęli, aż lekarstwo zacznie działać.

W ciągu godziny Barschel dostał wysokiej gorączki. Wtedy przenieśli go do wanny z lodowato zimną wodą, która gwałtownie ochłodziła skórę nieszczęśnika. Nagła zmiana temperatury, w połączeniu z działaniem medykamentu, dała skutek podobny do ataku serca. Po kilku minutach obserwacji członkowie zespołu zdecydowali, że ofiara nie żyje i przystąpili do sprzątnięcia pokoju, tak aby zatrzeć ślady działania. Dopiero wtedy zdali sobie sprawę, że popełnili błąd, nie zdejmując Barschelowi bielizny przed umieszczeniem go w wannie. Teraz było na to już za późno. Co więcej, okazało się, że przyniesione przez nich wino, które mieli podłożyć na miejsce trunku z rozpuszczonym środkiem nasennym, jest wprawdzie również beaujolais, lecz nie tej marki, co trzeba. Tak więc nie mogli zostawić butelki w pokoju.

Grunt zaczął palić im się pod stopami. Spędzili w apartamencie kilka godzin, kilkoro z nich wychodziło i wracało z powrotem.

Po definitywnym opuszczeniu pokoju Barschela i wywieśnieniu na kłamce plakietki z napisem „Nie przeszkadzać”,

każde z nich udało się w swoją stronę. Jedna para wymeldowała się jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem; druga nazajutrz, z samego rana. Inni członkowie zespołu, którzy nie zamieszkiwali w hotelu, wyjechali z miasta samochodem zaraz po zakończeniu akcji. Pojechali do Belgii i bezpiecznie schronili się w europejskiej kwaterze głównej Mosadu. Przed wyjazdem poinformowali Rana o wykonaniu zadania. Podobny raport, wraz z polaroidowym zdjęciem martwego celu, otrzymał od jednego z członków Kidon szef Mosadu.

- Nadal jestem przekonany, że byłby z tego świetny rozdział - powiedziałem.

- Zobaczmy. Na razie odłożymy to na bok - stwierdził Ephraim. - Możesz wykorzystać historię o tym, jak Mosad wy dostał etiopskich Żydów przez bazę marynarki w Sudanie. Wiesz, Operacja Mojżesz.

Zrozumiałem, że dalsze spieranie się nie ma sensu, zwłaszcza w obecności Eliego.

Spisywaliśmy dalej tematy i pod koniec dnia lista była gotowa. Nie musiałem wiele notować, gdyż większość informacji doskonale znałem. Gdybym w przyszłości potrzebował więcej danych, Ephraim w każdej chwili mógł ich dostarczyć. Nalegał też, abym dał mu do wglądu każdą kartkę manuskryptu, zanim pchnę go gdzieś dalej.

Wyraziłem niepokój, że Mosad w ogóle nie zareaguje na wydanie książki, ignorując ją i licząc na wyciszenie sprawy. Ephraim zasugerował, abym zawarł w niej niektóre dokumenty, na przykład jakiś raport dla duńskiego referatu i kwestionariusz przygotowany dla tajnego agenta działającego w Syrii, omawiający zagadnienia związane z funkcjonowaniem armii tego kraju.

- Na całym świecie nie ma eksperta od tajnych służb
- mówił Ephraim (a Uri ze zrozumieniem kiwał głową)
- który po obejrzeniu kwestionariusza nadal wątpiłby w ma-

teriał zawarty w książce. Tylko ktoś z Mosadu mógłby wypełnić ankietę tak wieloma szczegółowymi pytaniami.

Musiałem się z nim zgodzić. Przejrzeliśmy wszystkie wypisane tematy. Uznaliśmy, że powinniśmy odrzucić te historie, których książkowa publikacja mogłaby wzniecić falę antysemityzmu - przynajmniej dla nas było to ważne. Wszyscy jednogłośnie stwierdziliśmy, na przykład, że testowanie lekarstw na czarnych mieszkańcach Republiki Południowej Afryki to już zbyt mocny temat. Poruszając go w książce uderzylibyśmy nie tyle w Mosad, co w Izrael, ponieważ odbiorca kojarzyłby personel medyczny ze służbami państwowymi i nie rozumiałby, że personel ten był całkowicie kontrolowany przez Mosad. Podobnie odrzuciliśmy motyw bezpośrednich związków Mosadu z ludźmi Kahane'a, Ligą Przeciw Zniesławieniu B'nai Brith, AIPAC i UJA. Jedyne powiązania Mosadu, jakie chcieliśmy ujawnić, dotyczyły organizacji zwanej Frames² [Zręby] i młodzieżowych obozów określanych mianem Hets va-keshet (co znaczy „łuk i strzała”), organizowanych w miesiącach letnich przez Mosad celem ściągnięcia do Izraela młodzieży pochodzenia żydowskiego. Młodym ludziom włączano do głowy ogromne dawki syjonistycznej ideologii, a potem wysyłano z powrotem do rodzinnego kraju, wciągając na listę potencjalnych szpiegów - do wykorzystania w przyszłości.

Wszyscy zgodziliśmy się, że powinienem podać w książce nazwiska agentów operacyjnych, o których wiedzieliśmy, iż są spaleni. Byli to ludzie, których zdjęcia widziałem w Egipcie, Jordanii i brytyjskiej ambasadzie. Ephraim zagwarantował, że nie będą w terenie, gdy ukaże się książka. Podanie pełnych nazwisk tych ludzi leżało w ich interesie. Wykluczy ich to z pracy za granicą, ale będą bezpieczniejsi.

² Frames: żydowskie samowystarczalne jednostki operacyjne, organizowane przez Mosad we wszystkich zakątkach świata.

- Jak sądzisz - spytał Eli - co będzie najmocniejszym punktem tej książki?

- Gdybym miał wybrać jedną rzecz, na której czytelnicy powinni skupić uwagę, byłaby to potęga wsparcia, na jakie Mosad może liczyć wszędzie na świecie, wsparcia udzielanego przez społeczność żydowską. Ludzie powinni zrozumieć, jak Mosad wykorzystuje zaufanie, którym się cieszy.

Wszyscy zgodzili się ze mną. I wszyscy byliśmy w błędzie.

Po spotkaniu wróciłem do domu i ukryłem sporządzoną przez nas listę w bezpiecznym miejscu, tak, aby nie znalazła jej Bella - przebywała akurat w sklepie z koszulkami, który otworzyliśmy przy Bank Street w centrum Ottawy.

Następnego dnia odwiedziłem kilka księgarń i bibliotekę, notując nazwiska lokalnych autorów. Szukałem człowieka, który posiadałby talent pisarski i dość odwagi, żeby przyłączyć się do mnie w krucjacie mającej na celu naprawę świata. Zdawałem sobie sprawę, że znalezienie właściwej osoby nie będzie łatwe. Powinien to być człowiek o nieposzlakowanej reputacji, mający nosa do polityki, ale nie znający się na pracy wywiadu, żeby nie narzucał własnej koncepcji szpiegostwa. Najlepiej żeby nie miał związków ze środowiskiem żydowskim, mieszkał w pobliżu i dysponował chęcią oraz wolnym czasem.

W księgarni oddalonej o kilka ulic od naszego sklepu na Bank Street trafiłem na książkę zatytułowaną *Friends in High Places* [Przyjaciele z wyższych sfer], opowiadającą o kanadyjskim premierze. Autorem był Claire Hoy, lokalny dziennikarz, pracujący na co dzień w łoży prasowej parlamentu. Postanowiłem zatelefonować do niego i zobaczyć, co to da. Odpowiedział pozytywnie i następnego dnia spotkaliśmy się w kawiarence przy Bank Street. Kiedy szczegółowo wyjaśniłem, na czym polega moja propozycja, zapalił się do niej całym sercem. A więc zdobyłem partnera i byłem na najlepszej drodze do wyszczerbienia twardego pancerza Mosadu. Byliśmy gotowi do

ataku, do uderzenia z zewnątrz, które przesunie Mosad w miejsce, gdzie jest najbardziej wrażliwy na ciosy: w światła reflektorów, na pierwsze strony gazet.

Razem z Claire'em strawiliśmy niemal miesiąc na przygotowanie pierwszego rozdziału i dokładniejsze sprecyzowanie, jak ma wyglądać ostateczny kształt książki. Nadszedł czas na pierwsze podejście do wydawcy.

Udaliśmy się do wydawnictwa w Toronto, które opublikowało *Friends in High Places*. Kobieta, która była redaktorem naczelnym stwierdziła, że nie jest zainteresowana. Zdałem sobie sprawę, że praca nad książką przestała być tajemnicą i zacząłem się denerwować. Nie mieliśmy żadnych gwarancji, że redaktorka nie zacznie paplać na lewo i prawo o tym, czego dowiedziała się od nas w trakcie rozmowy. Dzisiaj wiem, że jeśli komukolwiek powiedziała o naszej rozmowie, ktoś w kwaterze głównej Mosadu musiał zaspać, ponieważ nic się nie stało.

Claire kontynuował pracę nad książką i jednocześnie próbował umówić nas z drugim wydawcą. Miał trudne zadanie, gdyż nie mógł za wiele powiedzieć i szukał kogoś, który zgodziłby się na opracowywanie książki w tajemnicy. Ze spotkania z pierwszym wydawcą wyszliśmy cało raczej dzięki szczęściu niż przestrzeganiu zasad ostrożności. Wieści o tej pierwszej, nieudanej próbie nie dotarły jednak do Mosadu. Wiedzieliśmy o tym, ponieważ w kwaterze głównej nadstawiali uszu Ephraim i Uri.

- Spotkamy się z człowiekiem o nazwisku Nelson Doucet - powiedział Hoy pewnego dnia. - Reprezentuje dom wydawniczy Stoddart z Toronto. To dobry człowiek.

Zdażyłem już poznać Claire'a i zacząłem darzyć go zaufaniem, czego nigdy nie pożałowałem. Rozmawialiśmy z Nelsonem w restauracji „Hy's” w Ottawie, gdzie przy wielkim steku (którego ledwie spróbowałem, gdyż prawie bez przerwy mówiłem) i butelce znakomitego francuskiego wina dobiliś-

my targu. Jeśli chodzi o autorstwo, wszedłem z Claire'em w partnerski układ, pół na pół. Stoddart zaproponował nam osiemdziesiąt tysięcy dolarów zaliczki. Wierzył, że książka narobi na rynku sporego zamieszania. Miał już pewne doświadczenie na polu literatury szpiegowskiej, wydał bowiem książkę *Spycatcher* [Łowca szpiegów], której istnienie utrzymywano w całkowitej tajemnicy aż do dnia, gdy pojawiła się na półkach księgarskich i zaraz potem Brytyjczycy wciągnęli ją na swoją listę książek zakazanych. Nelson był pewien, że z naszą książką również sobie poradzi.

- Nie sądzicie, że Izrael zabroni rozpowszechniania książki? - zapytał, gdy zbieraliśmy się do wyjścia.

Roześmiałem się.

- Raczej tego nie zrobią - stwierdziłem. - W końcu, mogą wyciągnąć wnioski z błędu Brytyjczyków, którzy tylko przyczynili się do tego, że książka stała się bestsellerem.

- Chyba masz rację - rzekł Nelson.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, miałem ochotę skakać z radości. Sprawy układały się jak najlepiej i zamierzałem przyspieszyć prace nad naszym projektem. Z publicznego automatu zatelefonowałem na koszt odbiorcy do Ephraima i opowiedziałem mu o postępach. Nie wychodziłem z budki chyba przez godzinę, nie zważając na to, że naraziłem kogoś na opłacenie ogromnego rachunku.

Ephraim zgodził się ze mną w kwestii reakcji Mosadu: nie będą przeciwstawiać się rozpowszechnianiu książki. Obiecał jednak, że postara się wymyślić jakiś sposób, żeby ściągnąć na nią uwagę. Jeżeli mu się uda, osiągniemy nasz wspólny cel.

26

Sobota, 2 lipca 1988 r.

Po południu zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos Eliego. Telefonował z Nowego Jorku; prosił, żebym oddzwonił mniej więcej za godzinę. Wiedziałem, co to oznacza. Miałem znaleźć bezpieczny aparat i zatelefonować na jego koszt. Znałem numer.

Jak zwykle, był wyjątkowo nieprzyjemny i opryskliwy, aż stanęła mi przed oczami jego kwadratowa szczęka, zmarszczki promieniście rozchodzące się od kącików oczu i wiecznie zmrużone oczy, jakby patrzył prosto w słońce. Zanim zdarzyło się to wszystko, znałem go od innej strony, jako miłego, wręcz wesołego człowieka. Rycie pod fundamentami Mosadu odmieniło go. Wierzył, że postępuje słusznie, lecz mimo to wołałby, jak zresztą każdy z nas, mieć święty spokój i o niczym nie wiedzieć.

- Słyszałeś, co się stało w Londynie? - zapytał.

Chodziło mu o to, że Brytyjczycy wyrzucili z Anglii niemal całą tamtejszą komórkę Mosadu i zdemaskowali dwóch spośród trzech agentów operacyjnych wysłanych tam z kwatery głównej w Brukseli. Przed siedmioma punktami kontaktowymi Mosadu ostentacyjnie postawili policjantów. Nieoficjalnie pokazali w ten sposób, że wiedzą o ich istnieniu, i choć było to tylko siedem z kilkuset punktów posiadanych przez Mosad, przesłanie było wystarczająco jasne.

Mosad nie potrafił zgadnąć, jak wiele punktów było

spalonych, ani tego, czy dalsze korzystanie z usług *sayanim* nie będzie stanowić dlań zagrożenia.

- Owszem, słyszałem - odparłem. - Ile czasu zabierze im odbudowanie komórki?

- Nie twój interes - burknął Eli.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki się do mnie odnosisz - powiedziałem. - Łut szczęścia zdecydował, że ja jestem tu, a ty tam. Niewiele było trzeba, żeby nasze role się odwróciły.

Po chwili ciszy Eli rzekł:

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem. To dlatego, że...

- Dobra, powiedz, co masz do powiedzenia i kończmy już tę rozmowę.

Wyjaśnił, że skoro zrobiliśmy porządek z londyńską komórką, według Ephraima nadszedł czas, żeby uderzyć w komórkę paryską. Dodał, że londyńska komórka przez kilka miesięcy będzie działać z nowego punktu kontaktowego, nie z ambasady, ponieważ Mosad nie jest w stanie wysłać do Anglii całej grupy agentów - będą posyłać ich stopniowo. Planują, że komórka zacznie normalnie funkcjonować w styczniu 1989 roku.

Dalej rozmawialiśmy o tym, co miałbym powiedzieć Francuzom i jak nawiązać z nimi kontakt.

- Sądzę, że ty powinienesz to zrobić - powiedziałem do Eliego.

- Co ty wygadujesz?

- Mówisz po francusku, prawda?

- Tak.

- Ja nie znam francuskiego. Zadzwoń do Ephraima i powiem mu, co myślę. W końcu, co za różnica, który z nas to zrobi. Możesz z nimi pogadać.

- Oszalałeś! - skwitował mój pomysł, ale wyczułem w jego głosie niepokój.

Później tego samego dnia rozmawiałem z Ephraimem. Powiedział, że gdyby Eli został schwytany, spotkałby się

z plutonem egzekucyjnym, ponieważ nadal był czynnym agentem. Ja znajdowałem się już poza organizacją, nie groził mi aż tak czarny scenariusz. Wyjaśnienie wydało mi się cokolwiek naciągane, lecz nie upierałem się przy swoim pomysle, który zgłosiłem tylko po to, żeby podrażnić się z Elim. Poprosiłem tylko, żebym nie musiał już więcej z nim rozmawiać.

W środę, 6 lipca, zatelefonowałem do francuskiej ambasady w Waszyngtonie i porozmawiałem z człowiekiem odpowiedzialnym za ochronę placówki. Robiłem to już kilka razy, toteż nabrałem wprawy i wszystko szło jak po maśle. Pod koniec tygodnia miałem gościa z Waszyngtonu. Po kilkunastominutowej rozmowie stwierdził, że pozostanie ze mną w kontakcie, jednak chce wiedzieć, czy nie mam nic przeciwko krótkiej wycieczce do Francji.

Przybyłem do Paryża 28 lipca. Na lotnisku powitał mnie bardzo przyjaźnie nastawiony Francuz, przypominający mi francuskiego komika Bourvillę. Odszukałem bagaż, a mężczyzna w tym czasie podstemplował mój paszport w kantorku z dala od tłumu. Potem posadził mnie w swym małym renault i powiózł do Paryża.

Zatrzymałem się w hotelu o dźwięcznej nazwie Jardin d'Eiffel, naprzeciw lokalnego posterunku policji. Niewielki, lecz czarujący hotel, znajduje się dosłownie kilka kroków od Wieży Eiffla.

Przez cały następny tydzień byłem co rano zabierany z hotelu i wożony do budynku pod miastem, oddalonego o jakieś trzydzieści minut jazdy, który wyglądał na dwupiętrowy, opuszczony biurowiec. Budynek był połączony z niewielką stacją nasłuchową, ulokowaną gdzieś na północ od Sarcelles, czyli niedaleko miejsca, gdzie znajdowała się posiadłość wiejska madame Pompidou. Jazda tam przypominała przejażdżkę karkołomną kolejką w lunaparku. Wprawdzie wychowywałem się w Izraelu, gdzie umiejętność jazdy

samochodem jest częścią wojennego kunsztu, lecz to, czego doświadczyłem we Francji, było kompletnym szaleństwem.

Na „farmie” spędzałem cały dzień w towarzystwie mężczyzny o fizjonomii Bourvilla i trzech innych ludzi. Wiedziałem, że są z francuskiej tajnej służby, przezywanej *Le Pisson*. Byli niezwykle uprzejmi i jeszcze przed moim przyjazdem przygotowali długą listę pytań. Każdego dnia o tej samej godzinie robiliśmy przerwę na lunch, maszerowaliśmy do stacji nasłuchowej na wyśmienity posiłek, serwowany w ciasnej, ale eleganckiej jadalni. Dowódca stacji prawie zawsze przyłączał się do nas i ceremonialnie otwierał butelki wina. W ciągu tego tygodnia zaprzyjaźniłem się zwłaszcza z jednym z gospodarzy. Po moim wyjeździe to on miał utrzymywać ze mną kontakt. Ponieważ obaj paliliśmy więcej niż inni, zasługiwał na swój kryptonim: Cendrier.

Na początek rozrysowaliśmy schemat organizacyjny Mosadu. O wielu wydziałach wiedzieli, innych byli ciekawi. Szczególnie interesowały ich *Komemiute*¹ i *Tsafirim*.

Nie minęło wiele czasu, a z wprawą poruszali się po gałęziach drzewa symbolizującego strukturę Mosadu, dostrzegali logikę tej konstrukcji, która musiała być podobna do sposobu, w jaki organizowano inne agencje wywiadowcze. Nie mogli uwierzyć, że w Mosadzie brak ścisłego rozdziału między poszczególnymi sekcjami, jednak po dłuższym namyśle doszli do wniosku, iż to właśnie dzięki temu wiem tak dużo i jestem w stanie przekazać im tak precyzyjne, bogate w szczegóły informacje.

Drugi dzień niemal w całości wypełniło przeglądanie fotografii ludzi związanych z Mosadem. To wtedy przypadkiem dowiedziałem się, że Mousa rezyduje w Brukseli. Francuzi posiadali w swych dokumentach tak wiele zdjęć

¹ Komemiute: nowe oznaczenie kodowe sekcji Metsada (wydziału tajnych operacji).

oficerów Mosadu, że poczułem się kompletnie obrażony. Było wśród nich zdjęcie Orena Riffa, idącego paryską ulicą w towarzystwie dwóch innych agentów Mosadu. Wszyscy trzej zupełnie nie zdawali sobie sprawy, że są obserwowani. Zapewne szli na jakieś spotkanie i mimowolnie zadałem sobie pytanie, z kim mieli się spotkać oraz ilu agentów i żydowskich współpracowników spalili tą jedną wizytą w stolicy Francji. Potem musiałem przejrzeć stosy zdjęć wykonanych na zewnątrz budynku Mosadu w Tel Awiwie. Czasem fotografie układały się w całe serie. Na przykład, pierwsza pokazywała człowieka wchodzącego do kwatery głównej Mosadu przy Bulwarze Króla Salomona, druga zbliżenie jego twarzy, trzecia zdjęcie paszportowe figurujące w jego dokumentach dyplomatycznych.

Znali więcej ludzi z Mosadu niż ja. Pamiętam, że Cendrier powiedział żartem:

- Spójrz na to wszystko! - Pokazał listę dyplomatów akredytowanych przy izraelskiej ambasadzie i zbiór fotografii oraz dokumentów osobistych. - Izrael jest jednym z nielicznych krajów, które posiadają tak wielką liczbę podstarzałych młodszych attache. Czy oni mają nas za kompletnych głupców? Wyobrażają sobie, że w ogóle nie zwracamy na nich uwagi?

- Mało ich to obchodzi - odparłem, mówiąc szczerą prawdę. Nic ich nie obchodziło. Czasem można było odnieść wrażenie, iż fakt, że są obserwowani, tylko ich bawi. Nie mogłem się powstrzymać i zapytałem: - Skoro tyle o nich wiecie, dlaczego nic nie zrobiliście?

- Ponieważ, o ile nam wiadomo, ludzie ci niewiele robią. Vidala, szefa paryskiej komórki, wiecznie nie ma w kraju, a jego nowy człowiek, Aaron B., obraca się wyłącznie w kręgach społeczności żydowskiej. Nie chcemy ich prowokować.

W sumie posiadali w swej kartotece pięćdziesięciu ludzi

z terenowego personelu Mosadu. Znali również agentów rezydujących przy innych ambasadach. Nie wiedzieli jednak o konszachtach Mosadu z Action Directe i układach z faszystowskimi organizacjami we Francji. Zaniepokoiło ich to.

Pod koniec tygodnia byłem gotów do odjazdu, a oni wydobyli chyba ze mnie wszystko, co chcieli wiedzieć. Uświadomiłem sobie, że przekazałem im mniej, niż Brytyjczykom, gdyż zanim tu przyjechałem, traktowali Mosad z wielką podejrzliwością. Wiedziałem, że nie ukroczą działalności Mosadu z takim hukiem, jak zrobili to Brytyjczycy, ale z całą pewnością przytną mu skrzydełka w jakiś bardziej subtelny sposób.

Ostatniego dnia przypomniałem sobie, że powinienem poruszyć sprawę należności za moją pomoc. Obiecali zrobić coś w tej sprawie i nazajutrz, na lotnisku, wręczyli mi kopertę zawierającą trzy tysiące dolarów. Na pożegnanie powiedzieli, że wkrótce ktoś nawiąże ze mną kontakt w związku ze specjalną pracą, jaką mógłbym dla nich wykonać. Przy okazji przywiezie mi resztę pieniędzy. Zgodnie z instrukcjami Ephraima, natychmiast po otrzymaniu pieniędzy powiedziałem im, że Mosad maczał palce w morderstwie przywódcy Vanuatu, wyspy na Pacyfiku, ponieważ zachodziło podejrzenie, że człowiek ten będzie próbował nawiązać kontakt z Kadafim. Taki był oficjalny powód zaangażowania Mosadu. Prawdziwy powód był inny. Pewien izraelski handlarz bronią chciał magazynować na wyspie broń i stamtąd rozprowadzać ją po wszystkich krajach regionu. Przywódca Vanuatu nie zgodził się. Handlarz okazał się byłym oficerem Mosadu. Wykorzystał koneksje, żeby zorganizować zamach.

Kilka tygodni po powrocie do Kanady odwiedził mnie francuski łącznik i zaprosił na spotkanie w Montrealu. Na początek wręczył mi kopertę z siedmioma tysiącami dolarów,

mówiąc, że jego szefowie zdecydowali zapłacić za moją krótką wizytę we Francji okrągłe dziesięć tysięcy. Jeśli uznają sumę za niewystarczającą, mogę przekazać wiadomość przez niego lub skontaktować się z moim przyjacielem Cendrierem. Miałem numer jego telefonu.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdziłem. - Tyle wystarczy. Co chcecie, żebym zrobił?

Wiedziałem, że nie przyjechał tylko po to, aby doręczyć przesyłkę. Wyjął kartkę papieru i zapytał, czy nie zechciałbym popracować jako prywatny detektyw. W końcu, przeszedłem jedno z najlepszych na świecie szkoleń w zakresie zbierania informacji.

- To zależy, jakie informacje miałbym dla was zbierać. Jeśli będę mógł wywiązać się z umowy nie łamiąc prawa, z ochotą zmniejszę ciężar waszej sakiewki. Ale jeżeli miałbym odwalać dla was szpiegowską robotę na terenie Ameryki Północnej, to jak najszybciej o tym zapomnijcie.

Odparł, że nie wie. Za kilka dni miał się ze mną skontaktować jeszcze raz i rzeczywiście tak zrobił. Tym razem spotkaliśmy się w Ottawie. Przywiózł ze sobą fotografie i niedużą teczkę. Najpierw pokazał zdjęcia i zapytał, czy rozpoznaję znajdującego się na nich człowieka. Potwierdziłem i przypomniałem, że w trakcie mojego pobytu w Paryżu zidentyfikowaliśmy tego mężczyznę jako Rana S.; wtedy wiedziałem już, że jego fotografie posiadali także Jordańczycy i Egipcjanie.

Rana widziano na spotkaniu z prominentnym działaczem środowisk żydowskich Paryża. Francuzi mieli zamiar zwrócić działaczowi uwagę, że wiedzą, z kim się spotyka i że powinien zaprzestać działalności. Przedtem chcieli jednak upewnić się, że mają do czynienia z właściwym człowiekiem, a nie kimś łudząco podobnym. Planowali ostrzec w ten sposób wielu żydowskich działaczy, z którymi spotykali się rozpoznani przeze mnie agenci Mosadu. To samo zamierzali

zrobić w stosunku do arabskich i palestyńskich agentów, których widziano w towarzystwie oficerów Mosadu. Uświadomiłem sobie, że Francuzi przeprowadzają akcję na wielką skalę. Czulem, że mogę z nimi wiele zdziałać.

W przyniesionej przez Francuza teczce znajdował się, jak się wyraził, mój kolejny przydział. Francuzi chcieli, abym sprawdził, jakie informacje uda mi się zebrać na temat ludzi podejrzewanych o działalność zmierzającą do zdestabilizowania francuskich kolonii na południowym Pacyfiku. „Wywrotowcy” mieli rzekomo realizować plan, polegający na sprywatyzowaniu niewielkiego kraju i zbudowaniu tam wzorcowego modelu gospodarki (innymi słowy, plan zakładał stworzenie w niewielkiej skali systemu politycznego, w którym nie ma własności państwowej, i sprawdzenie, czy można model ekstrapolować na większe systemy). Pomocniczym celem było pomnażanie pieniędzy na wszystkie możliwe sposoby. Francuzi woleli, aby sprawę - wyjątkowo delikatną, w ich przekonaniu - zbadał ktoś nie związany bezpośrednio z ich służbami wywiadowczymi.

Pierwszy na liście znajdował się Robert Pool Jr., wybitny Amerykanin; był czołowym adwokatem prywatyzacji w Stanach Zjednoczonych. To właśnie Pool stał za prywatyzacją amerykańskiego przemysłu lotniczego. Pełnił funkcję prezesa Reason Foundation, z siedzibą w Santa Monica, Kalifornia.

Drugim na liście był Alfred Letcher, prezes Letcher Mint [Mennica Letchera], spółki pierwotnie działającej na Alasce, później przeniesionej do Lancaster, Kalifornia.

Po nich znalazłem nazwisko Herry'ego Donalda Schultza; człowiek ten mieszkał w Stanach Zjednoczonych i, od czasu do czasu, w Monako. Wspólnik Schultza nazywał się Riner Dienharts. Francuz powiedział, że wszystkie te nazwiska wiążą się w jakiś sposób z kanadyjską fundacją z Vancouver, której nazwa brzmi Phoenix Foundation.

Nie zdradził za to, czego szukają lub co podejrzewają, po

prostu chcieli się przekonać, co zdołam odkryć na własną rękę. Stwierdził, że gdyby powiedział mi, co już wiedzą (lub raczej, co im się wydaje), mógłbym pójść w ich ślady i odszukać to, co chcieliby znaleźć. Według niego charakter pracy wywiadowczej był taki, że agent zbierający informacje chce zadowolić pracodawcę.

Wiedziałem, że w tym stwierdzeniu jest wiele racji, ale, tak naprawdę, w ogóle mnie to nie obchodziło. Chciałem utrzymać kontakt z Francuzami, aby w razie potrzeby wykorzystać ich do zadania ciosu Mosadowi.

Ephraim nakazał mi zrobić to, czego chciał ode mnie Francuz. Miałem sprawdzić, co uda mi się wyszperać, a skoro tak, wybrałem się na wycieczkę do Stanów Zjednoczonych i zajrzałem do publicznych baz danych, żeby sprawdzić, o co ten cały krzyk.

Wkrótce, po przeczytaniu serii artykułów prasowych, zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia ze sprawą zataczającą znacznie szersze kręgi, niż bym sobie życzył. Pool był członkiem, a może nawet liderem Partii Libertariańskiej. Już samo to wystarczało, żebym czym prędzej porzucił dalsze śledztwo. Jakoś nie mogłem uwierzyć, że do tej pory nie zainteresował się nim wywiad.

W biograficznych danych dotyczących Poola znalazłem, że w 1967 roku ukończył MIT i podjął pracę w zakładach Sikorsky'ego. W 1970 roku przeniósł się do General Research Corporation w Santa Barbara i w okresie pracy dla tej firmy został prezesem Reason Foundation, będącej lokomotywą prywatyzacji.

Odkryłem, że fundacja wsparła swego lidera w akcji na Nowych Hebrydach, gdzie jego przeciwnikiem był popularny działacz komunistyczny, znany jako Ojciec Walter Lenny. Reason Foundation chciała zorganizować na archipelagu filię Partii Libertariańskiej, a kiedy to się nie udało, podjęła próbę stworzenia na rafie Minerwy, osiemset mil od Fijii,

własnego małego państwa o nazwie Republika Minerwy. Zgodnie z zapisami, na które natrafiłem, do bicia monet republiki wybrano firmę Letcher Mint z Lancaster w Kalifornii, posiadającą kopalnię miedzi na Hebrydach. Wkrótce łódź patrolowa pod banderą Togo wykopała z rafy nowych obywateli Minerwy, a monety widmowego państewka stały się rarytasem na rynku numizmatycznym.

Po tym epizodzie Pool został doradcą prezydenta Reagana do spraw prywatyzacji. Dowiedziałem się jeszcze, że właściciel Letcher Mint, Alfred Letcher, w 1944 roku służył w marynarce Stanów Zjednoczonych na Południowym Pacyfiku. Nie zamierzałem drążyć głębiej. Wróciłem do Kanady i dałem Francuzom to, do czego udało mi się dogrzebać. Podczas spotkania w Ottawie powiedziałem łącznikowi, że w tej sprawie nie będę w stanie zrobić dla nich nic więcej. Z ochotą pomogę ukrócić działalność Mosadu we Francji, ale nie mogę być ich wolnym strzelcem.

Powiadomiłem Ephraima o rozmowie z Francuzem. Poprosiłem go o zorganizowanie kilku regulaminów, które obowiązywały mnie w trakcie szkolenia w akademii - mógłbym wykorzystać je w mojej książce. Zgodził się, a ja wróciłem do pracy z Claire'em.

27

Claire i ja ustaliliśmy ostateczną kolejność poruszanych w książce tematów i zaczęliśmy pracować równym rytmem, popadając w rutynę. Kilka razy w tygodniu spotykaliśmy się w wynajmowanym przeze mnie domu w Neapen, małym mieście w pobliżu Ottawy. Szczegółowo opowiadałem Claire'owi o wydarzeniach, które planowaliśmy opisać w danym rozdziale, a potem on zarzucał mnie nie kończącymi się pytaniami. Wypijaliśmy przy tym morze kawy. Po kilku dniach Claire wracał z rozdziałem w postaci maszynopisu, oddawał mi do przejrzenia i zaczęliśmy omawiać następny rozdział. Na kolejnym spotkaniu pokazywałem mu maszynopis z moimi uwagami i poprawkami, a następnie dyskutowaliśmy na temat zmian w tekście. W międzyczasie swoje uwagi przekazywał mi Ephraim. Przyjmowałem je lub odrzucałem, w zależności od ich wagi. Przyjąłem jedno zasadnicze założenie: wszystko, co przelewamy na papier, musi być prawdą i tylko prawdą.

Nakreślenie na kartach książki Mosadu takim, jakim jest naprawdę, ukazanie jego zepsucia i zagrożenia, jakie stanowi dla każdego, kto się z nim zetknął, było bardzo trudnym zadaniem. Nawet w oczach Claire'a widziałem fascynację potęgą Mosadu. Przez cały czas czułem, że napotykałyśmy olbrzymi opór materiału, w którym przyszło nam rzeźbić, lecz jednocześnie nie opuszczała mnie świadomość, że musimy podjąć to wyzwanie.

Kilka razy odwiedził mnie Uri. Dowiedziałem się od niego, że według najświeższych danych Mosadu zajmowałem się w Kanadzie wyrobem koszulek i na tym koniec. Nie mieli głowy, żeby zajmować się moją skromną osobą. Wszystkie siły i środki skierowali na przygotowania do Operacji Ognisty Las. Miał to być frontalny atak LAP (izraelskiej broni psychologicznej) na Stany Zjednoczone, który miał skłonić Amerykanów do militarnej akcji na Środkowym Wschodzie, a dokładniej w rejonie Zatoki Perskiej.

Wojna między Iranem i Irakiem zakończyła się. Wyglądało na to, że Irańczycy mieli dość i z radością przyjęli iracką propozycję pokojową. Mosad, ze swej strony, dawał Amerykanom do zrozumienia, że chętnie pozbawiłby Saddama Husajna władzy, ale jednocześnie z ambasady izraelskiej płynęły do jego Muchabarata informacje będące niczym innym, jak ostrzeżeniami przed planowanymi zamachami na życie dyktatora i próbami obalenia reżimu. Mosad uważał Saddama Husajna za swój najmocniejszy atut w regionie, ponieważ jeśli chodzi o politykę zagraniczną Saddam zachowywał się całkowicie irracjonalnie i wydawało się całkiem prawdopodobne, że uda się wykorzystać na własną korzyść jego głupawę posunięcia.

Mosad bał się tylko tego, że gigantyczna iracka armia, która przetrwała wojnę iracko-irańską, zaopatrywana przez Zachód i finansowana przez Arabię Saudyjską, wpadnie w ręce przywódcy bardziej przyjaznego Zachodowi i nadal będzie stanowić zagrożenie dla Izraela.

Pierwsze kroki podjęto w listopadzie 1988 roku, kiedy Mosad polecił izraelskiemu ministerstwu spraw zagranicznych zerwać wszelkie rozmowy pokojowe z Irakijczykami. W tym czasie pod auspicjami Egiptu, z błogosławieństwem Francuzów i Amerykanów, prowadzono tajne negocjacje z udziałem Izraela, Jordanii i Iraku. Mosad tak manipulował

ich przebiegiem, aby wydawało się, że Irak jest jedynym państwem, które nie ma ochoty na doprowadzenie rozmów do pomyślnego finału.

W styczniu 1989 roku napędzana przez Mosad machina LAP rozpoczęła kampanię propagandową, której celem było przedstawienie Saddama jako tyрана i zagrażającego całemu światu szaleńca. Mosad zaangażował w tę grę wszystkie swoje aktywa we wszystkich zakątkach świata, poczynsz od ochotników działających w Amnesty International po sownie opłacanych kongresmenów Stanów Zjednoczonych. Rozpuszczono pogłoski, że Saddam morduje własnych obywateli, więc jak postąpi ze swymi wrogami? Czego można od niego oczekiwać? Opublikowano materiały przedstawiające skutki użycia przez iracką armię gazów bojowych, przerażające zdjęcia martwych kurdyjskich kobiet, ściskających w ramionach martwe niemowlęta. Te zdjęcia były prawdziwe, ten potworny akt terroru naprawdę miał miejsce, ale trudno byłoby nazwać go mordowaniem własnych obywateli. Kurdowie prowadzili z reżimem w Bagdadzie regularną wojnę partyzancką, całymi latami byli wspierani przez Mosad, który podsyłał im broń i doradców, szkolących żołnierzy w ich górskich obozach. Jak to powiedział kiedyś Uri: kiedy orkiestra zaczyna grać, nie masz wyjścia - musisz nucić tę samą melodię.

Środki masowego przekazu otrzymały dane operacyjne i wskazówki z wiarygodnych źródeł na temat zachowania obłąkanego przywódcy Iraku, który mordował ludzi gołymi rękami lub wysyłał rakiety na irańskie miasta. Zapomniano tylko dodać, że większość rakiet była naprowadzana na cel przez Mosad za pomocą amerykańskich satelitów. Izraelski wywiad nie chciał doprowadzić do upadku Saddama, tylko jego militarnej potęgi. Marzyło mu się, że Amerykanie „odwalą brudną robotę” i na pustynnych obszarach Iraku

obrócą wielką armię w proch i pył, aby pewnego dnia Izrael nie musiał przyjmować jej na swojej granicy. Szlachetny motyw, ale prowokowanie sytuacji grożącej ogólnoswiatowym konfliktem zbrojnym i skazywanie na śmierć tysięcy amerykańskich żołnierzy było czystym szaleństwem.

Pod koniec stycznia zatelefonowali do mnie Brytyjczycy. Chcieli ze mną o czymś pomówić. Twierdzili, że sprawa jest pilna i zapytali, czy mogą jutro do mnie przyjechać. Zgodziłem się. Postanowiłem skorzystać z okazji i przekazać im informacje na temat Saddama, które podrzucił mi Uri, z prośbą, żeby przesłali te wiadomości Amerykanom.

Spotkaliśmy się w sali obiadowej hotelu Chateau Laurier w centrum Ottawy.

- Co mogę dla was zrobić? - zapytałem na wstępie.
- Mam tylko jedno pytanie - rzekł mężczyzna, z którym już kiedyś zdarzyło mi się rozmawiać. - Może pomyślisz, że urwałem się z choinki, ale polecono mi zadać ci to pytanie.
- Mów śmiało.
- Wierzysz, myślisz, a może wiesz, że Mosad miał coś wspólnego z tym, co się stało z lotem 103 nad Lockerbie?

Zaniemówiłem z wrażenia. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, o co Anglik mnie pyta. Niemal automatycznie odpowiedziałem:

- Niemożliwe.
- Dlaczego nie?
- Po prostu, to niemożliwe. Do tej pory, jeśli Izrael lub Mosad odpowiadał za katastrofę samolotu, działało się to przez przypadek lub przyczyną był stan bezpośredniego zagrożenia państwa, jak wtedy, gdy zestrzelono libijski samolot nad Synajem, albo włoski samolot podejrzewany o transportowanie uranu. Ten drugi wypadek miał miejsce w 1980 roku, zginęło osiemdziesiąt jeden osób. Nie ma mowy, żeby Mosad maczał palce w Lockerbie.

- Zgadujesz, czy wiesz to na pewno?
- Zaczekaj chwilę - powiedziałem, wstając od stolika.
- Zadzwoń w pewne miejsce, a potem wrócimy do tej rozmowy.

Z aparatu na monety, wiszącego na ścianie w hotelowym hallu, zatelefonowałem do Ephraima. Po chwili mogłem z nim zamienić kilka słów.

- Mieliliśmy coś wspólnego z Pan Am 103?
- Dlaczego pytasz?
- Po prostu odpowiedz. Muszę wiedzieć, bo jeśli maczaliśmy w tym palce, będzie to koniec Mosadu.
- Nie - odparł bez wahania.

Wiedziałem, że mówi prawdę. Nie przepuściłby takiej okazji, żeby przytrzeć nosa Mosadowi.

- Dzięki, zadzwonię później.

Wróciłem do stolika i powtórzyłem Anglikowi, co usłyszałem od Ephraima.

- Wciąż masz z nimi kontakt? - zapytał z uśmiechem. Ja też się uśmiechnąłem.
- Dzięki temu nadal żyję. Jak sądzę... - powiedziałem.
- Skoro już tu jesteśmy, chciałbym poruszyć pewną sprawę, o której chyba powinniście wiedzieć. Chodzi o Operację Ognisty Las.

Przez następne pół godziny opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem na ten temat, prosząc na koniec, aby przekazał wiadomość Amerykanom. Niczego nie obiecywał, ale powiedział, że zrobi, co w jego mocy. Tyle mi wystarczyło.

Kilka następnych miesięcy pochłoneła praca nad książką. Powoli, systematycznie zbliżaliśmy się do zakończenia, a ja z każdym dniem odczuwałem coraz większe napięcie. Już niedługo, za kilka dni, za tydzień lub dwa, znajdę się na środku sceny tego dramatu i nagle oślepi mnie snop jasnego światła i... Bóg jeden wie, co jeszcze.

Niedziela, 1 kwietnia 1990 r.

Uri przyjechał do Ottawy. Siedzieliśmy w moim samochodzie, zaparkowanym w centrum miasta, przed główną biblioteką. Miał nową historię do mojej książki i przez kilka godzin wsłuchiwałem się w jego słowa.

Uri jest niezwykle opanowanym człowiekiem. Jak daleko sięgam pamięcią, nigdy nie okazał nawet cienia strachu. Słyszałem wiele opowieści o jego wojskowej karierze i wiem, że nie należał do mięczaków. Jednak tamtego dnia, w moim samochodzie, puściły mu nerwy, wiercił się i rozglądał jak kompletny żółtodziób. Odczytywał notatki, a potem darł kartkę na drobne strzępy i wrzucał do aktówki. Szybko przekonałem się, że zachowywał się tak nie bez powodu. Przywiózł wybuchowy materiał.

W sierpniu poprzedniego roku (1989) na Eufracie znalazł się oddział Matkal i kilku komandosów marynarki. Płynęli łódką zakupioną przez Mosad od lokalnego handlarza, mając za cel zakłady zbrojeniowe w mieście Al-Iskandariah*. Fabryka była jednym z pięciu punktów wskazanych przez Mosad jako placówki, w których prowadzi się badania nad bronią chemiczną lub jądrową. Pozostałe cztery placówki znajdowały się dalej na północ, w bardziej niedostępnych rejonach kraju, w Salman, Pack, Fallujah i Samarra. Mosad otrzymał od amerykańskiego wywiadu następujące jumbo¹: w każdy czwartek do kompleksu wjeżdża konwój ciężarówek, które po załadowaniu materiałami wybuchowymi wyruszają do Karbala, gdzie produkuje się pociski.

Zadanie polegało na zajęciu pozycji wyjściowych w pobliżu zakładów zbrojeniowych dokładnie w środę 23 sierpnia

¹ Jumbo: informacja uzyskana przez łączników Mosadu nieoficjalną drogą, przy wykorzystaniu przyjacielskich stosunków z oficerami wywiadu innych krajów.

i wyczekanie do chwili, gdy ciężarówki wjadą na teren placówki. W czasie załadunku kilku strzelców wyborowych, wyposażonych w specjalne wyciszane karabiny, miało wystrzelić w kierunku wyznaczonej ciężarówki pocisk zapalający i spowodować eksplozję. Plan zakładał, że ciężarówki będą wtedy znajdować się przy rampach załadunkowych, a drzwi magazynów będą otwarte, przez co pierwsza eksplozja wywoła następne. Powinno dojść do całej serii eksplozji już w głębi bunkra prowadzącego do głównego składowiska materiałów wybuchowych.

Żadna izraelska operacja wojskowa nie była tak bliska misji samobójczej jak ta. Droga odwrotu, w dół rzeki, była zabezpieczona, dopóki oficerowie irackiego aparatu bezpieczeństwa trwali w przekonaniu, że eksplozja jest wypadkiem. Po pewnym czasie zorientują się, że popełnili błąd, ale wtedy izraelska jednostka będzie już daleko. Izraelscy żołnierze, będący ochotnikami, zostali pouczeni, że nie otrzymają żadnego wsparcia i w przypadku wpadki nie mogą liczyć na akcję ratunkową.

Operacja skończyła się sukcesem. Eksplozja w irackich zakładach zbrojeniowych zwróciła uwagę opinii publicznej na problem budowania przez Saddama Husajna gigantycznego, potężnego arsenału najróżniejszych broni. Mosad podzielił się swymi „odkryciami” z zachodnimi agencjami wywiadowczymi i przyczynił się do pojawienia się przecieków do prasy, z których wynikało, że w wyniku eksplozji w fabryce zginęły setki ludzi.

Zakłady zbrojeniowe były placówką strzeżoną przez służby bezpieczeństwa, toteż zachodni reporterzy nie mieli tam wstępu, ale na początku września Irak zaprosił przedstawicieli zachodniej prasy, aby pochwalić się osiągnięciami w odbudowie kraju ze zniszczeń wojennych. Mosad dostrzegł szansę zdobycia informacji o skali zniszczeń w fabryce. Mężczyzna podający się za Michela Rubiyera, dziennikarza

francuskiej gazety „Le Figaro”, skontaktował się z trzydziestoletnim reporterem o nazwisku Farzad Bazoft, korespondentem brytyjskiego „Observera”. Rubiyer naprawdę nazywał się Michel M., znałem go jeszcze ze szkolenia w akademii Mosadu. Mieszkał we Francji, ale potem przeniósł się do Izraela, wstąpił do IDF, żeby podjąć pracę w jednostce SIGNIT² 8200. Użył swych koneksji w wywiadzie, dał się zwerbować i ostatecznie wylądował w paryskiej komórcie Mosadu.

Michel obiecał Farzadowi Bazoftowi okrągłą sumkę i publikację jego reportażu, jeśli zgodzi się dołączyć do grupy dziennikarzy jadących do Bagdadu. Wyjaśnił, że sam nie może pojechać, ponieważ znajduje się na czarnej liście władz Iraku. Zachęcał nie tylko pieniędzmi, ale stwierdził, że druk takiego reportażu pomoże Bazoftowi zerwać z kryminalną przeszłością. Przypomniał wstrząśniętemu mężczyźnie, że w 1981 roku został w Anglii aresztowany za napad z bronią w rękę w Northampton. Zakamuflowaną groźbę wzmocnij jeszcze obietnicą druku w „Observerze”.

Michel chciał tylko tyle, żeby Bazoft zebrał informacje dotyczące eksplozji w Al-Iskandariah, popytał tu i tam, zrobił kilka szkiców otoczenia fabryki i pobrał próbki gruntu. Aby uspokoić zaniepokojonego reportera powiedział mu, że Saddam nie ośmieli się go skrzywdzić, nawet jeśli takie dochodzenie nie będzie mu się podobało. W najgorszym razie wyrzuci go z kraju, przy okazji czyniąc go sławnym człowiekiem.

- Dlaczego wybrano akurat tego reportera? - zapytałem.
- Pochodził z Iranu, przez co Irakijczykom łatwiej przyszło podjąć decyzję o przykładowej karze. Gdyby był Europejczykiem, tylko przymknęliby go na jakiś czas, a potem wykopali z kraju.

² SIGNIT: nazwa utworzona od Signal Intelligence.

Tak naprawdę o wyborze Bazofta zdecydował fakt, że kiedyś już wtykał nos w sprawy izraelskiego wywiadu. Bazoft próbował zebrać informacje na temat byłego agenta dra Cyrusa Hashemiego, który został wyeliminowany przez Mosad w lipcu 1986 roku. Ponieważ już wtedy dowiedział się zbyt wiele, dla jego własnego dobra - albo dla dobra Mosadu - był idealnym kandydatem do roboty polegającej na myszkowaniu w zakazanej strefie.

Uri opowiadał dalej o tym, jak Bazoft przedostał się w pobliże zakładów zbrojeniowych i zgodnie z przewidywaniami został aresztowany. Tragiczne było to, że aresztowano również jego przyjaciółkę, Brytyjkę pracującą na stanowisku pielęgniarki w jednym z bagdadzkich szpitali.

Kilka dni po aresztowaniu łącznik Mosadu w Stanach Zjednoczonych zatelefonował do irackiego rezydenta w Holandii i przekazał wiadomość, że Jerozolima chce zawrzeć układ w sprawie uwolnienia swego człowieka. Łącznik dodał, że układ dotyczyłby tylko pojmanego mężczyzny, ponieważ Izrael nie ma z pielęgniarką nic wspólnego. Iracki rezydent poprosił o cierpliwość; potrzebował czasu, aby skontaktować się z Bagdadem. Łącznik Mosadu zatelefonował następnego dnia, ale tylko po to, żeby stwierdzić, iż zaszła pomyłka i czym prędzej przerwać połączenie. Teraz Irakijczycy nie mieli już żadnych wątpliwości, że wpadł im w ręce prawdziwy szpieg. Zamierzali go powiesić. Mosad nie musiał nic więcej robić, tylko wygodnie usiąść i obserwować, jak Saddam pokazuje całemu światu całą prawdę o tym, jakim jest potworem.

Farzad Bazoft został osadzony w więzieniu Abu Ghraib, jakieś dwadzieścia kilometrów na zachód od Bagdadu. Piętnastego marca 1990 roku krótko widział się z ambasadorem Wielkiej Brytanii w Iraku. Kilka minut po spotkaniu został powieszony. Jego przyjaciółka została skazana na piętnaście lat więzienia. Ciało Bazofta dostarczono

do brytyjskiej ambasady w Bagdadzie, a rzecznik irackiego rządu zauważył, że wprawdzie premier Margaret Thatcher „chciała tego człowieka żywego, ale musi zadowolić się jego zwłokami.”

Świat zareagował szokiem, jednak Mosad nie zamierzał spocząć na laurach. Podsycając płomienie wzniecone brutalnym postępowaniem Husajna, *sayan* Mosadu z Nowego Jorku dostarczył stacji ABC Television serię dokumentów wraz z pełnym opisem, dowodzących, że Saddam utrzymuje czynną kopalnię uranu. Materiały pochodziły podobno z wiarygodnego źródła na Środkowym Wschodzie i rzeczywiście były bardzo przekonujące, zwłaszcza fotografie i szkice sytuacyjne. Nadszedł czas, aby zwrócić światu uwagę na możliwość dysponowania przez Husajna bronią masowej zagłady.

Trzy miesiące wcześniej, 5 grudnia 1989 roku, Irakijczycy wystrzelili Al-Abid, trzystopniową rakietę balistyczną. Utrzymywali, że rakietą miała wynieść na orbitę satelitę zbudowanego dla Iraku przez zespół pod kierunkiem kanadyjskiego naukowca, Geralda Bulla. Izraelski wywiad doskonale wiedział, że choć propaganda trąbiła o wielkim sukcesie, misja skończyła się fiaskiem i program nie został doprowadzony do końca. W tym wypadku nie podzielili się wiedzą z mediami. Przeciwnie, potwierdzili wersję podawaną przez Irak, tyle że rozdmuchali sprawę do niewarygodnych rozmiarów.

Wiadomość posłana w świat przez izraelski wywiad brzmiała następująco: teraz wszystkie elementy łamigłówek zaczęły do siebie pasować - ten maniak chce zrobić z Iraku potęgę nuklearną (temat pojawił się już w 1981 roku, kiedy Izrael zaatakował iracki reaktor) i pracuje nad bronią chemiczną (czego dowiodły ataki na Kurdów); co więcej, gardzi zachodnimi dziennikarzami, oskarżając ich o szpiegostwo na rzecz Izraela, a niedługo będzie w stanie wystrzelić z dowolnego miejsca w Iraku rakietę balistyczną, która

dosięgnie każdy cel na Środkowym Wschodzie, a może i na świecie.

Gerald Buli pracował dla Iraku przy Projekcie Babilon. Po aresztowaniu Bazofta odwiedzili go dawni przyjaciele z Mosadu (ci sami, którzy kiedyś skontaktowali go z kontrahentami z Republiki Południowej Afryki w sprawie budowy działa dalekiego zasięgu kaliber 155 mm, oznaczanego kodem G-5, oraz samobieżnego G-6, również kaliber 155 mm - oba modele pierwotnie zostały skonstruowane w Izraelu przez Sultam³). Goście, wśród których był David Biran, wówczas szef wydziału łączności w Mosadzie, oraz Ron Vintrobe, szef referatu irackiego w kwaterze głównej Mosadu, przyszli do Bulla z ostrzeżeniem.

Buli wiedział, że obaj poruszają się w kręgach zbliżonych do wywiadu, ale nie operowali w terenie, tak więc ostrzeżenie musiało być potraktowane poważnie, a sami mogli nie obawiać się zdemaskowania, gdyż nigdy nie stykali się z wrogiem.

Wydział analiz psychologicznych Mosadu zajął się określeniem sytuacji, w jakiej znalazł się Buli, i skorelował wyniki z danymi na temat profilu charakterologicznego naukowca. Wniosek był następujący: nawet usłyszawszy pod swoim adresem groźby, Buli nie wycofa się z pracy nad projektem i niewiele zrobi, żeby poprawić własne bezpieczeństwo. Nie znaczyło to, że naukowiec nie przejmie się groźbami. Przeciwnie, psychoanalitycy spodziewali się, że Buli będzie przerażony i znajdzie się pod wpływem dużego stresu.

Kontynuując pracę, Buli tańczył tak, jak zagrał mu Mosad. Nafaszerowane ołowiem zwłoki Geralda Bulla zwrócą oczy całego świata na jego pracę: konstruowanie dla Irakijczyków gigantycznego działa, co określano kryptonimem Projekt Babilon. Wyrok zapadł, trzeba było jeszcze odpowiednio

³ Sultam: izraelski producent broni.

dobrać termin jego wykonania. Powinno się to stać wkrótce po jakimś akcie terroru, jakiego dopuściłby się reżim w Bagdadzie. Takim aktem stała się przeprowadzona 15 marca egzekucja reportera „Observera”.

Zaraz po tym wydarzeniu do Brukseli przybył zespół Kidoń i wziął na celownik budynek, w którym zamieszkiwał Bulli. Warunkiem osiągnięcia pożądanego rezultatu było wykonanie zadania w miejscu, gdzie nie mogło być podejrzeń o motyw rabunkowy lub zwykłą pomyłkę. Jednocześnie przygotowano drogę odwrotu dla zespołu i odnowiono kontakty z prawicowymi elementami w belgijskiej policji, aby upewnić się, że w momencie eliminacji Bulla służbę będą pełnić właściwi funkcjonariusze. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie można zatelefonować do przyjaźnie ustosunkowanych policjantów. Nie powiedziano im, jaka jest przyczyna alertu. Mieli dowiedzieć się później i zatrzymać tę wiedzę wyłącznie dla siebie.

Para należąca do zespołu Kidoń wynajęła wolny apartament naprzeciw mieszkania zajmowanego przez Bulla. Nie wprowadzili się, wystarczyło, że otrzymali klucze do głównego wejścia do kompleksu mieszkalnego. Osiem dni po egzekucji reportera w Bagdadzie (kiedy Brytyjczycy byli bliscy zakończenia operacji, w której przyłapią Irakijczyków na próbie przemytu ze Stanów Zjednoczonych zapalników używanych w pociskach nuklearnych, łudząco podobnych do tych, które wychwycono przy próbie przemytu do Izraela siedem lat wcześniej), w apartamencie naprzeciw mieszkania Bulla zjawiał się zabójca z Mosadu, czekający na sygnał od innego członka zespołu, obserwującego wejście do kompleksu. Trzeci człowiek zabezpieczał schody, a dwóch następnych siedziało w zaparkowanych na ulicy samochodach, którymi zespół miał się oddalić z miejsca akcji.

Bulli wszedł do budynku o ósmej trzydzięci wieczorem. Człowiek obserwujący wejście dał sygnał mężczyźnie czekającemu w pustym mieszkaniu na szóstym piętrze, żeby

przygotował się do działania - cel wszedł do kompleksu. Strzelec wyszedł z mieszkania, zostawiając wewnątrz tylko pustą paczkę po papierosach i pudełko zapalek z hotelu w Brukseli. Ukrył się we wnęce w pobliżu windy.

Kiedy tylko drzwi windy zamknęły się za Bullem, strzelec bez żadnego ostrzeżenia, z najbliższej odległości strzelił mu w plecy i głowę. Buli upadł na podłogę. Strzelec podszedł do zabitego, wyjął z torby plik dokumentów i luźnych kartek, przełożył do papierowej torby i zabrał ze sobą. Zebrał z podłogi łuski i razem z pistoletem wrzucił do tej samej torby.

Skierował się na schody, gdzie już czekał jego partner. Obaj wyszli z budynku. Człowiek obserwujący wejście do kompleksu mieszkalnego zobaczył ich i natychmiast oddalił się do jednego z dwóch zaparkowanych na ulicy samochodów. Dwójka wychodząca z kompleksu przeszła do drugiego samochodu i wszyscy odjechali z miejsca akcji. Zostawili samochody na podziemnym parkingu, skąd następnego dnia miały zostać odebrane przez *sayana*, który wypożyczył je bez wypełniania dokumentów. Następnie wszyscy odjechali do Amsterdamu, gdzie wsiedli na pokład samolotu transportowego El Al. Opuścili Europę tą samą drogą, jaką przybyli - występując w roli członków załogi samolotu.

Następne tygodnie przyniosły całą serię różnego rodzaju rewelacji dotyczących gigantycznego dzieła Saddama i innych składników jego maszyny wojennej. Mosad systematycznie nasycał „rynek danych wywiadowczych” informacjami świadczącymi o złych intencjach Saddama Straszego, licząc, że już niedługo dyktator sam przygotowuje pętlę na własną szyję.

Łatwo odgadnąć, co było celem Mosadu. Zachód miał pod jego dyktando wkroczyć do akcji, jak zrobili to Amerykanie w Libii, bombardując Kadafiego. Izrael nie posiadał lotników i siły powietrznej zdolnej wykonać uderzenie na Irak. Mógł zbombardować obóz uchodźców w Tunisie, ale to nie to samo. Saddam do tej pory chronił zasoby ropy

naftowej w Zatoce Perskiej, ale gdyby Mosadowi udało się przedstawić go w takim świetle, iż zachodziłoby podejrzenie, że stanie się zagrożeniem dla dostaw ropy naftowej z tego regionu, Stany Zjednoczone i ich sojusznicy nie będą stać bezczynnie, zrobią wszystko, żeby wyeliminować armię i zniszczyć potencjał militarny Saddama, zwłaszcza gdy będą wierzyć, że to ostatnia szansa, zanim Irak dołączy do grona państw posiadających broń jądrową.

Miałem to wszystko na papierze. Zdecydowałem, że następnego dnia zatelefonuję do belgijskiej policji i opowiem im wszystko, co wiem. Przecież w niedalekiej przyszłości miało się to ukazać drukiem w mojej książce. Uri nigdy z taką radością nie opuszczał Ottawy, jak tamtego dnia, po naszej rozmowie. A ja nigdy nie podchodziłem tak nerwowo do materiału, który miałem opracowywać z Claire'em.

Nazajutrz rano zadzwoniłem na posterunek policji w Brukseli i spędziłem ze słuchawką w dłoni niemal pełną godzinę, kilkakrotnie powtarzając moją opowieść. Nie podałem mojego nazwiska, nie podałem też źródła informacji, lecz poza tyrę nie ukryłem niczego. Gdy odkładałem słuchawkę, nie miałem wątpliwości, że Belgowie będą w stanie zweryfikować podane przeze mnie informacje i wskazać właściwych sprawców.

Następnego dnia miałem pracować z Claire'em nad nowym rozdziałem. Nie zdążyliśmy zacząć. Zadzwonił Ephraim i nakazał mi wyrzucić materiał przywieziony przez Uriego. Zaprotestowałem, ale nie ugiął się. Powiedział, że muszę mu zaufać; kiedyś wytłumaczy mi, dlaczego trzeba było tak zrobić. Nie wykorzystałem materiału, a on nigdy nie wyjaśnił, jakie powody przemawiały za takim rozwiązaniem. Belgijska policja nie rozwiązała zagadki morderstwa Geralda Bulla. Jednak najbardziej zaniepokoiło mnie co innego: kanadyjski rząd nie wykazywał najmniejszego zainteresowania losem obywatela tego kraju, a kanadyjska prasa nie zamierzała rozświetlać mroków tej tajemniczej śmierci.

28

W połowie marca Claire i ja zbliżyliśmy się do końca pracy nad książką. Ephraim większość materiału zaaprobował, a pozostałą część przyjął z cierpką miną, ale nie postawił sprzeciwu.

Nelson Doucet, nasz protektor w Stoddart Publishing, przekazał nam wiadomość, że znalazł dla naszej książki wydawcę, który nie należy do kompanii, ale jest godny zaufania i potrafi zachować dyskrecję. Tą osobą okazała się Frances Hanna, żona Billa Hanna, zastępcy dyrektora działu publikacji przełożonych z języków obcych w Stoddart.

Frances Hanna powiedziała nam, że wydała już kiedyś książkę, która poruszała bardzo podobne zagadnienia i była zatytułowana *Vengeance* [Zemsta]. Chciała poznać moją opinię na jej temat.

Odparłem, że przeczytałem zaledwie początek książki, ponieważ już po kilku stronach zorientowałem się, iż autor nie ma pojęcia, o czym pisze. Z początku wydawała się urażona, lecz w miarę upływu czasu, gdy nieco bliżej zapoznała się z prawdziwym obliczem świata agencji wywiadowczych, chyba zrozumiała, o co mi chodziło.

Po zakończeniu prac redakcyjnych, Bill Hanna wybrał się w podróż do Nowego Jorku z odbitką szrotkową mojej książki. Przekazał ją Tomowi McCormickowi, prezesowi St. Martin's Press, który miał ją przeczytać w ciągu jednej nocy i podczas spotkania ze mną we własnym biurze podjąć decyzję, czy wchodzi w ten interes.

Pojechałem do Nowego Jorku razem z Bella. Nie czułem się bezpieczny. Na tym etapie w projekt było zaangażowanych tak wielu ludzi, że prawdopodobieństwo przecieku urosło do ogromnych rozmiarów. Wiadomość o książce mogła dotrzeć do Mosadu, a Ephraim i reszta kliku wcale nie musieli o tym wiedzieć. Być może wiadomość utrzymywała w sekrecie jakaś inna klika.

Zatrzymaliśmy się w Ritzu. Z samego rana poszedłem na spotkanie z Billem, który miał mnie zawieźć do biura Toma. Bella chciała w tym czasie rozejrzeć się po sklepach.

Byłem potwornie spięty i nie mogłem zebrać myśli. Miałem wrażenie, że jestem śledzony, ale nie potrafiłem wykryć ogona. W końcu powiedziałem sobie, że nawet jeśli ktoś mnie śledzi, to nie robi to wielkiej różnicy. Skoro tak wielu ludzi wiedziało o książce, działało to również na moją korzyść, jako forma pewnego zabezpieczenia.

Spotkanie z Tomem przebiegało w niezwykle przyjemnej atmosferze. Zadawał trudne pytania, ale nie miałem nic do ukrycia, toteż poradziłem sobie z nimi bez trudu. Tom był rozluźniony, potrafił swym niskim, głębokim głosem i ciętym dowcipem wytworzyć całkiem miły klimat. Bill przyniósł mu odbitkę szczotkową w okładkach zdjętych z innej książki, której autorem był Pierre Elliott Trudeau - uważał to za konieczny środek ostrożności, ale wybór Trudeau na taki kamuflaż wydał mi się bardzo zabawny.

Prawie dwie godziny później opuściłem biuro Toma McCormicka. Bill jeszcze został, aby pomówić o interesach. Mimo że nie usłyszałem konkretnej odpowiedzi, wracałem do hotelu w wyśmienitym nastroju.

Wymeldowaliśmy się i wyjechaliśmy z miasta. Zatelefono- wałem do Billa z przydrożnej restauracji i usłyszałem dobre wieści: St. Martin's włączyło się do akcji. Zaraz po powrocie do Ottawy zadzwoniłem do Ephraima i powiadomiłem go o efektach podróży do Nowego Jorku. Był zachwycony.

- To jest to! - wykrzyknął radośnie. - Jestem pewien, że teraz im dokopiemy.

Ja wcale nie byłem tego pewien.

- Mogą powiedzieć, że mnie»nie znają. Mogą stwierdzić, że wszystko to są wierutne kłamstwa, jakie zdarzały się już w przeszłości.

- Nie zrobią tego, nie tym razem. Nie jesteś Vanunu i oni zdają sobie z tego sprawę. Musimy tylko dobrze to rozegrać.

- Nie wiesz, czy dotarli już do nich wieści?

- O ile mi wiadomo, nie, ale powinieneś zachować ostrożność. Musisz mieć oczy dookoła głowy, dopóki książka się nie ukaze i nie znajdziesz się pod osłoną mediów.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie masz pojęcia, czy coś wiedzą.

- Nigdy nic nie wiadomo - rzekł - ale nie martw się. Gdyby mieli zamiar podjąć jakieś drastyczne kroki, na pewno bym o tym wiedział.

Kiedy postanowiłem napisać tę książkę, wiedziałem, w co się pakuję, jednak ostatnia uwaga Ephraima odrobinę ukoiliła nerwy.

Niedziela, 2 września 1990 r.

Już wiedzą - usłyszałem w słuchawce głos Ephraima. - Mają dyskietkę z książką, właśnie drukują kopię. Z tego, co zdążyłem usłyszeć, sprawy nie wyglądają różowo. Premier ma podjąć decyzję.

- Ten mały skurwiol powie, że mają mnie zabić - stwierdziłem i wcale nie było mi do śmiechu.

- Mam kogoś, kto podpowie mu lepsze rozwiązanie. Sądzę, że połknie przynętę.

- Nie mógłbyś wyrażać się precyzyjniej?

- Wolałbym nie, przynajmniej na razie. Chcę jednak, żebyś wiedział, że w najbliższych dniach będziesz miał gościa.

- Znam go?

- Nie jestem pewien, ale chyba tak.

Nic więcej nie powiedział. Razem z Claire'em wybraliśmy się w jeszcze jedną podróż do Toronto. Odbyliśmy spotkanie z przedstawicielami St. Martin's Press i zdecydowaliśmy odłożyć wydanie książki o jeden miesiąc, gdyż tyle więcej było trzeba na przygotowanie odpowiedniej kampanii reklamowej. W tym czasie z taśm drukarskich Stoddarta schodziły kolejne egzemplarze książki. Składowano je w pustym magazynie, przyległym do budynków wydawnictwa, gdzie pilnował ich specjalnie na tę okazję zatrudniony strażnik. Napięcie rosło z każdym dniem. Czułem się jak człowiek, który zamierza skoczyć z bardzo wysokiego urwiska i nie za bardzo wie, czy na plecach ma spadochron.

Zanim opuściliśmy firmę Stoddart, Jack Stoddart, właściciel i prezes Stoddart Publishing, przyszedł do nas i powiedział, że stało się coś bardzo dziwnego. Otrzymał anonimowy telefon od kogoś, kto twierdził, że rząd Izraela wynajął firmę prawniczą Goodman i Carr z Toronto i powierzył jej zadanie wstrzymanie publikacji książki.

Jack nie był pewien, czy potraktować telefon poważnie, czy też ktoś z firmy stroił sobie żarty. Ja nie miałem żadnych wątpliwości - to nie był żart. Nic jednak nie mogłem w tej sprawie zrobić.

Wróciliśmy do Ottawy. Nikt nas nie śledził.

Bella wiedziała już, o czym jest książka, choć nie przeczytała ani jednej strony. Kilka dni wcześniej zabraliśmy dziewczynki do włoskiej restauracji w Ottawie, gdzie przy obiedzie pokrótce wyjaśniłem, co się dzieje. Wytłumaczyłem, dlaczego zdecydowałem się na podjęcie takiego kroku i przygotowałem je na nadejście huraganu.

Wieczorem po moim powrocie z Toronto wraz z Bella

poszliśmy na deptak Bayshore, żeby zrobić drobne zakupy. Musiałem odetchnąć. Chciałem cieszyć się ostatnimi godzinami anonimowości, bo już wkrótce z butelki miał wyskoczyć złośliwy dzin.

Zobaczyłem ich, gdy podszedłem do budki telefonicznej na deptaku: podążał za nami zespół co najmniej pięciosobowy. Natychmiast zorientowałem się, że jeśli coś się stanie, to będzie to tego wieczora. Opuściliśmy deptak i ruszyliśmy do domu. Kilka dni wcześniej wstąpiłem na posterunek policji w Nepean. Rozmawiałem z komendantem posterunku. Wyjaśniłem, że napisałem książkę o tajnej służbie Izraela, i że Mosad nie będzie zachwycony tą publikacją. Obiecał, że będzie czujny. Gdybym miał jakiś problem, zareagują na mój telefon najszybciej jak to możliwe.

Wcale nie oczekiwałem, że policja stanie Mosadowi na drodze, ale świadomość, że wiedzą, kim jestem, i że mogą zaistnieć jakieś komplikacje, działała na mnie kojąco. Zająrzałem też do kwater Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej na 400 Cooper Street w Ottawie i zamieniłem kilka słów z dyżurnym konstabłem. Powiedział, że sprawy tego rodzaju znajdują się w gestii CSIS, kanadyjskich służb specjalnych. Ich biura mieściły się w tym samym budynku, więc poszedłem tam i jeszcze raz powtórzyłem moją opowieść.

O dziewiątej wieczorem ktoś zapukał do drzwi mieszkania. Stałem w kuchni, przygotowując sobie kawę. Bella otworzyła drzwi. Na progu stali Oren Riff i Aaron Sherf. (Oren był osobistym asystentem naczelnika Mosadu i dowódcą na moim kursie kadetów. Aaron Sherf pełnił funkcję szefa wydziału Tsafiririm, zajmując się nadzorowaniem działań i aktywizowaniem żydowskiej Diaspory na całym świecie. W czasach, gdy pobierałem nauki na kursach Mosadu, był kierownikiem akademii.) Oren miał przewieszoną przez ramię torbę, Aaron wychodził ze skóry, żeby wykrzywić twarz w uśmiechu.

- Chcemy z tobą pomówić - rzekł Aaron.

Podniosłem telefon i wybiłem numer 911, jednak zanim ktoś przyjął wezwanie, odłożyłem słuchawkę. Coś powstrzymało mnie przed wykonaniem tak drastycznego posunięcia. Na razie. Oren przechylił głowę na bok i powiedział:

- Przyszliśmy porozmawiać.

Zadzwoił telefon. Policja sprawdzała, co się dzieje. Stwierdziłem, że wszystko w porządku; jeśli pojawią się kłopoty, zatelefonuję. Przełknęli to. Odłożyłem słuchawkę i ruszyłem w stronę drzwi. Widziałem, jak Bella robi się błada jak ściana. Przez chwilę obawiałem się, że zemdleje, ale jej twarz nie wyrażała słabości, tylko gniew. Doskonale wiedziała, kim są goście. To, że zjawili się na progu naszego domu, było jak obrazek z najgorszego koszmaru, odbicie jej najczarniejszych lęków wywołanych napisaną przeze mnie książką.

- Możemy wejść? - spytał Oren.

- Nie. Nie mam wam nic do powiedzenia - odparłem.

- Proszę, zachowuj się jak cywilizowany człowiek - na ciskał.

Nie mogłem się powstrzymać. Wybuchnąłem śmiechem. Zaraz potem rozważyłem moje położenie i krew ścięła mi się w żyłach. Dlaczego nie powiedziałem policji, że zaistniał problem? Bałem się, że gdy tych dwóch stało na progu, reszta zespołu czaiła się w mroku, żeby porwać mnie i zabrać z powrotem do Izraela, gdzie już czekała na mnie jakaś zapleśniała cela. Trudno było uwierzyć, że chcą tylko porozmawiać.

- Jeżeli macie mi coś do powiedzenia, mówcie tu i teraz - powiedziałem. - Nie wejdziecie do środka. I radzę wam, dla waszego dobra, streszczajcie się i znikajcie stąd.

- Mamy wojnę - zauważył Aaron, nawiązując do sytuacji w Zatoce Perskiej. Słyszac to z ust człowieka będącego

jednym z najważniejszych kółek w machinie, która doprowadziła do tej sytuacji, pomyślałem, że równie dobrze mógłbym usłyszeć skargi na ciężki los sierocy od kogoś, kto zamordował własnych rodziców.

- Czego chcecie?

Miałem zamiar grać na zwłokę i odsunąć problem jak najdalej od mojej rodziny. Leeorah usłyszała słowa wypowiedziane po hebrajsku i zesłała na dół, myśląc, że mamy gości z Izraela. Kiedy posłyszała gniewne tony w moim głosie, natychmiast biegiem wróciła na górę.

- Chcemy, żebyś wycofał książkę - stwierdził Aaron.

- Nie wierzę, że mogłeś nam to zrobić - wtrącił swoje dwa grosze Oren. Aaron zgromił go spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: „Nie denerwuj ofiary.”

- Nie zależy to tylko ode mnie - stwierdziłem rzeczowo.

- Poza tym, książka jest już wydrukowana i gotowa do rozprowadzenia.

- Ile może być egzemplarzy w całej Kanadzie? - burknął Aaron. - Musisz je wycofać.

- To nie takie proste - mówiłem, zyskując kolejne sekundy.

- Przecież wiesz, że pieniądze nie odgrywają żadnej roli - rzekł Oren. - Pokryjemy wszystkie koszty i dorzucimy coś, abyś nie stracił oczekiwanych zysków. Wiesz o tym.

- Muszę pomówić z pewnymi ludźmi. To wymaga czasu. Spojrzeli po sobie.

- Zadzwoń do mnie do konsulatu w Toronto - powiedział Oren. - Będę czekał jutro, do południa.

- Dobrze.

Zacząłem zamykać drzwi. Odwrócili się i poszli do czerwonego chevroleta cavalier na tablicach rejestracyjnych Quebecu. Posiedzieli kilka chwil w samochodzie, a potem odjechali. Zdawałem sobie sprawę, że mam niewiele czasu na wykonanie kolejnego posunięcia. Spodziewałem się, że

w każdej chwili drzwi mieszkania mogą zostać wyważone przez zespół Mosadu.

W oczach Belli dostrzegłem cień strachu. Wiedziałem, że nie bała się o siebie, ale o swego durnego męża, który jeszcze raz pchał się między młot a kowadło. Zapakowałem do aktówki najpotrzebniejsze rzeczy i przysiadłem na moment, aby zastanowić się nad następnym krokiem. Po kilku minutach gorączkowego roztrząsania wszystkich możliwości doszedłem do wniosku, że na razie się nie włamią. Będą czekać, żeby sprawdzić, czy nie mam jakiejś ochrony, która mogłaby ich nakryć.

Zdecydowałem się opuścić mieszkanie wraz z wybiciem północy. Planowałem udać się w miejsce, gdzie napastnicy będą mieli na karku policję, ale nie zamierzałem zaszywać się na posterunku. Musiałem dotrzeć na lotnisko. Budynki portu lotniczego były otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, a po halach i korytarzach bez przerwy krążyły policyjne patrole. Stamtąd mogłem też telefonować i błyskawicznie opuścić miasto. Przyszło mi do głowy, że w towarzystwie wydawcy będę bezpieczniejszy. W końcu, był moim partnerem w tej rozgrywce.

O dwunastej wyjechałem samochodem na ulicę. Natychmiast przykleiła się do mnie duża, szara, pozbawiona okien furgonetka. Wykonałem kilka dzikich manewrów i wykorzystując lepszą znajomość okolicy, zdołałem się urwać. Pojechałem prosto na lotnisko, a tam poszedłem prosto na posterunek kanadyjskiej policji konnej.

Odbyłem krótką rozmowę z konstabłem, informując go o tym, że jestem śledzony przez ludzi z Mosadu. Obiecał powiadomić policję i przykazać im, aby zwrócili na mnie uwagę. Do rana nie było już żadnych odlotów, więc musiałem spędzić noc na lotnisku.

Zadzwoniłem do Belli i powiedziałem, że wszystko jest w porządku. Potem zawiadomiłem o ostatnich wydarzeniach

Claire'a Hoya. Nelsona Douceta nie zastałem w domu, toteż zatelefonowałem do Jacka Stoddarta. Oczekiwałem, że podejmie jakieś kroki i okaże troskę, ale najwyraźniej nie docierała do niego powaga sytuacji. Wyraził tylko nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Z samego rana będzie czekał na mnie w swoim biurze.

Samolot wystartował o siódmej rano. Z powodu mgły były problemy z lądowaniem w Toronto i miałem trudności ze znalezieniem odpowiedniej taksówki, ale ostatecznie dotarłem do biur Stoddarta.

Dłuższą chwilę czekałem, aż ktoś się mną zainteresuje. W końcu otrzymałem szansę wyjaśnienia, co się dzieje. Mieliśmy na karku Mosad, który poczynił pierwsze kroki, aby nie dopuścić do wydania książki. Uczciwość nakazywała mi naświetlić sytuację Stoddartowi i dać mu szansę wycofania się. W rozmowie w cztery oczy powiedziałem mu, że jeśli chciałby odstąpić od wydania książki, Mosad zrekompensowałaby mu wszystkie straty poniesione z tego tytułu. Pełnomocnik izraelskiego wywiadu, Oren Riff, wciąż czekał w konsulacie w Toronto na moją odpowiedź.

Jack Stoddart odparł, że publikacja książki to dla niego nie tylko sprawa pieniędzy, ale pewnych zasad. Nie miał zamiaru rezygnować: choćby ziemia paliła nam się pod stopami, książka znajdzie się w sprzedaży.

Angel Guerra, kierownik działu w Stoddart Publishing zajmującego się kontaktami z mediami, sprowadził niewielką grupę redaktorów z największych gazet i stacji telewizyjnych. Otrzymali od niego krótkie streszczenie książki i czekali na mnie w sali konferencyjnej. W międzyczasie powiadomiono o ostatnich wydarzeniach St. Martin's Press i poproszono o przyspieszenie działań. Mieli w magazynie siedemnaście tysięcy egzemplarzy książki i natychmiast przystąpili do rozpowszechniania. Zrobili to wykorzystując system zbytu nazywany „na oślep” polegający na tym, że wydawca rozsyła

książki do sklepów w zamian za inne, zamówione tytuły, które w danej chwili nie są dostępne. Księgarnie nie musiały przyjmować tych książek, ale większość przyjmowała, gwarantując dystrybucję na szeroką skalę.

Bill Hanna sprzedał prawa do wydania książki brytyjskiemu wydawnictwu Bloomsbury, jednak St. Martin's nie miało żadnych dodatkowych egzemplarzy, które mogłyby zostać wysłane do Wielkiej Brytanii.

Zatelefonowałem do Belli i dowiedziałem się, że z Izraela dzwoniła do niej Rina, jej najlepsza przyjaciółka. Rina powiedziała, że następnego dnia zostanie przywieziona do Ottawy, razem z mężem, Hezym, oraz kilkoma naszymi przyjaciółmi. Ich zadaniem będzie namówienie mnie do wycofania książki. Bella powiedziała mi, że próbowała tłumaczyć przyjaciółce, że nic nie zdziałają, skoro sama nic w tej sprawie nie wskórała. Później dzwonił Oren, pytając o mnie. Bella powiedziała mu, żeby nakazał swoim ludziom w Izraelu nie wysyłać wszystkich naszych przyjaciół na tę idiotyczne wycieczkę. Oren stwierdził, że nie ma pojęcia, o czym mowa. Bella naciskała i ostatecznie zgodził się to sprawdzić.

Tymczasem ja siedziałem w Stoddart Publishing i ogarniała mnie przytłaczająca bezradność. Niemal czułem na karku oddech członków zespołu uderzeniowego Mosadu, lecz nie mogłem skontaktować się z Ephraimem ani z nikim innym. Otaczało mnie zbyt wiele oczu i uszu.

Miałem już zejść na konferencję prasową, gdy przyszedł faks z biur Kancelarii Adwokackiej Goodmana i Carra, którzy reprezentowali Joela Goldenberga, występującego w imieniu państwa Izrael. Stwierdzano w nim, że nakazem sądu Stoddart musi wstrzymać rozpowszechnianie książki, a mnie nie wolno publicznie omawiać spraw zawartych w książce do czasu zapadnięcia rozstrzygnięć na sali sądowej. Nałożono mi kaganiec i po raz pierwszy w historii Kanady

obce państwo zablokowało publikację książki, a stało się to, zanim zaangażowani w sprawę prawnicy i sędzia mieli szansę zapoznać się z książką, chyba że posiadali skradziony egzemplarz. Najwyraźniej już sam fakt, że moje nazwisko figurowało na okładce, a książka zawierała materiał dokumentalny na temat Mosadu, stanowiło zagrożenie dla państwa Izrael.

Zanim jakiegokolwiek kroki prawne zostały podjęte na terytorium Stanów Zjednoczonych, St. Martin's Press zdążyło rozprzedać w sieci księgarń ponad dwanaście tysięcy egzemplarzy mojej książki. Nie minęło jednak wiele czasu, a Izrael podjął próbę zablokowania książki w Stanach Zjednoczonych, jak zrobił to w Kanadzie.

Rząd Izraela musiał zdawać sobie sprawę, że próba odśnięcia książki na stałe od półek księgarskich w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych jest skazana na niepowodzenie. Na pewno mieli w zanadru inne plany, w których nie uwzględniali sądów. Później w izraelskiej prasie pojawiły się informacje o tym, jak szef Mosadu żądał podjęcia kroków, które dadzą mu czas na powstrzymanie mnie. Wziął udział w posiedzeniu komisji izraelskiego parlamentu, Knesetu, powołanej specjalnie celu zbadania mojego przypadku. Opowiedział o tym, jak wysłał do Kanady ludzi, których zadaniem było przekonanie mnie do wycofania książki z druku i zaferowanie mi pieniędzy. Kiedy nie dałem się przekonać, zdecydował podjąć akcję innego rodzaju.

Później, kiedy emocje opadły i atmosfera stała się dużo spokojniejsza, Ephraim powiedział mi, co planował szef Mosadu. Miał zamiar wytoczyć mi proces, zamknąć usta przynajmniej na kilka dni, uniemożliwiając odpowiedzi na pytania dziennikarzy. Zyskałby w ten sposób czas na to, żeby dopaść mnie i przywieźć do Izraela. Mosad przyjął założenie, że wszelkie negatywne skutki wywołane moim porwaniem były niczym w porównaniu ze szkodami, jakie

poczyniłbym mając szansę rozmawiać z przedstawicielami prasy lub wystąpić w telewizji. Szef Mosadu obawiał się nie tyle zdradzenia przeze mnie tak zwanych tajemnic państwa, ile możliwości ukazania prawdy o moralności ludzi związanych z Mosadem.

Naczelnik Mosadu w ogóle nie brał pod uwagę rozwiązania polegającego na zignorowaniu mojej osoby. Częściowo stało się tak za sprawą wystąpienia Ephraima na zebraniu Rashy¹, kiedy to stwierdził, że stawiane przeze mnie zarzuty będą potraktowane poważnie, skoro w książce znalazło się kilka obciążających dokumentów, a potem dodał, że sprowadzenie mnie z powrotem do Izraela nie jest misją niemożliwą do zrealizowania. Na poparcie twierdzenia, że będę potraktowany poważnie (nawet gdy Mosad ani jednym słowem nie skomentuje zawartych w mojej książce oskarżeń), Ephraim pokazał kwestionariusz przetłumaczony przeze mnie z hebrajskiego, który zawierał tak głęboką wiedzę na temat syryjskiej armii, że nie mógł jej posiadać nikt spoza tej armii lub Mosadu.

Zapoznaliśmy się z treścią faksu od Goodmana i Carra. Sekretarka Angela, Sally Tindel, ponownie zeszła do czekających na konferencję dziennikarzy i wytłumaczywszy, iż Izrael podjął kroki prawne prowadzące do wstrzymania publikacji książki, poprosiła o zwrot materiałów, które otrzymali, łącznie ze streszczeniem książki.

Ku mojemu zdziwieniu, dziennikarze zwrócili papiery bez słowa sprzeciwu. Konferencja odbyła się, ale była bardzo krótka, gdyż moje wystąpienie musiałem ograniczyć do jednego zdania, w którym wyraziłem przekonanie, że książka powinna się ukazać.

Równoległe Mosad podjął działania na terenie Stanów Zjednoczonych i udało mu się tymczasowo zastopować dalszą

¹ Rashy: Rashy Yehidot; zebranie z udziałem kierowników poszczególnych wydziałów.

dystrybucję książki. Posunięcie było bez precedensu i spotkało się ze znacznie ostrzejszą reakcją niż w Kanadzie. Natychmiast rzucało się w oczy, że widząc próbę ograniczania ich wolności słowa, Amerykanie zachowują się bardziej agresywnie od Kanadyjczyków.

Po dwudziestu czterech godzinach zniesiono blokadę w Stanach Zjednoczonych. Do tej chwili sprzedano niemal wszystkie siedemnaście tysięcy egzemplarzy rozesłanych po księgarniach, a księgarze zgodnym chórem wołali o więcej. Wskaźniki sprzedaży były wszelkie rekordy, ale nadal nie wolno mi było mówić o tym, co znajduje się w książce. Poruszałem się po Toronto, zmieniając miejsca pobytu, zajęty planowaniem następnych kroków. Nikogo o nich nie uprzedzałem, okoliczności zmusiły mnie do trzymania kart blisko piersi. Pierwszego dnia znalazłem się pod opiekuńczymi skrzydłami Kanadyjskiej Konnej. Ochranianie mnie było dla nich chyba przykrą koniecznością. Pod koniec dnia zdecydowali, że wrócimy do Ottawy, gdzie łatwiej będzie chronić mnie i moją rodzinę, jak się wyrazili, „w jednym opakowaniu”.

Pojechaliśmy do Ottawy i zatrzymaliśmy się na posterunku policji w Nepean. Dwóch eskortujących mnie konstabli z zakłopotaniem poinformowało oficera dyżurnego, że postanowieniem kierownictwa Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej od tej chwili ochrona mojej osoby spoczywa na barkach tutejszej policji.

Powiedziano mi, że decyzję podjęto w trakcie naszej podróży z Toronto do Ottawy. Nie wierzono, aby Mosad ośmielił się podjąć działania operacyjne na terenie Kanady, toteż nie istniała potrzeba dalszego udziału Policji Konnej.

Nic nie mogłem na to poradzić. Konstabl podał mi swoją wizytówkę i powiedział, że mogę telefonować o każdej porze, jeśli tylko będę miał jakikolwiek problem. W ten sposób los mojej rodziny i mój znalazł się w rękach sił policyjnych,

które na ogół miały do czynienia z drobnymi kradzieżami i włamaniami do sklepów. Trudno mi było czuć się bezpiecznie.

Wróciłem do domu, czym zaszokowałem Bellę. Doskonale zdawała sobie sprawę, że właśnie tutaj jestem najbardziej narażony na atak. Następnego ranka wymknąłem się z mieszkania, pojechałem na stację kolejową i wskoczyłem do pociągu, gdy już ruszał z peronu. Po południu byłem w Toronto. Od razu poszedłem do biur Stoddarta.

Zainteresowanie środków masowego przekazu książką i jej autorem osiągnęło szczyt natężenia. Co chwila udzielałem albo wywiadu dla stacji telewizyjnej, albo za pośrednictwem łączy telefonicznych odpowiadałem na pytania dziennikarzy radiowych dla rozgłośni na drugim końcu świata, z Sydney w Australii, a zaraz potem rozmawiał ze mną przedstawiciel prasy żydowskiej z Toronto. Trochę się rozładowałem, ale wciąż nie mogłem mówić o wątkach poruszanych w książce i osobistych doświadczeniach z okresu pracy w Mosadzie.

Zjawiała się też grupa dziennikarzy z Izraela, występując w podwójnej roli reporterów macierzystej gazety i komentatorów dla innych mediów. Jeden z nich, Ran Dagony, pracujący dla izraelskiego dziennika „Maariv”, opublikował szczególnie druzgocący wywiad, który rzekomo przeprowadził ze mną w Toronto. Tekst zajął bite dwie strony, było w nim prawie wszystko, dziennikarz zapomniał tylko wspomnieć, że nigdy się nie spotkaliśmy i nie miałem przyjemności z nim rozmawiać.

Kanadyjski sędzia na okres dziesięciu dni zakazał wszelkich dyskusji na temat książki. Wiedziałem, że Mosad wykorzysta ten czas, aby podjąć próbę powstrzymania mnie. Od czasu do czasu wyławiałem z tłumu śledzących mnie agentów i urywałem się im. Za każdym razem, gdy mi się udało, dziękowałem takim ludziom jak Mousa i Dov za doskonałe przeszkolenie.

Nim upłynęło dziesięć dni, zdałem sobie sprawę, że powinienem wyjechać z Toronto i wrócić do domu. Kończyły mi się pomysły na wychodzenie z biur Stoddarta tak, aby nie wpasować się w jakiś wzorzec. Byłem krańcowo sfrustrowany. Miałem już za sobą występ w wieczornych wiadomościach stacji ABC u boku Petera Jenningsa, w programie NBC Toma Brokawa oraz niemal w każdej innej większej stacji, ale z powodu sądowego zakazu prawie nic nie mogłem powiedzieć. Znalazłem się na oczach całego świata, a zachowywałem się jak niedorozwinięty szczeniak.

Wróciwszy do Ottawy musiałem stawić czoło drugiej fali zainteresowania mediów, które towarzyszyły mi od chwili, gdy koła lądującego samolotu dotknęły pasa.

Opadli mnie reporterzy z Izraela i dziennikarze piszący dla prasy lokalnej. W moich kontaktach z nimi najdziwniejsze było to, że nie wolno mi było w żaden sposób nawiązywać do treści książki lub nawet pokazać jej egzemplarza, podczas gdy niejaki Oded Ben-Ami, reporter izraelskiego radia, odczytywał do mikrofonu całe fragmenty słuchaczom z Izraela.

Kiedy w końcu udało mi się dotrzeć do domu, spotkała mnie niespodzianka. Otrzymałem krótką wiadomość od ojca, który dowiedział się o książce z relacji w prasie. „Zadzwoń do mnie. Cokolwiek się stanie, zawsze będę twoim ojcem.” Potrzebowałem tego. Kiedy osiadłem w Kanadzie, ustanowiliśmy stałą więź, ale miałem nadzieję, że w krytycznym momencie stanie przy mnie. I rzeczywiście, wspomógł mnie właśnie wówczas, gdy potrzebowałem go najbardziej. Zadzwoniłem do niego i rozmawialiśmy, jakby nic się nie wydarzyło. Nie powinienem się dziwić. W końcu to on zawsze powtarzał, nawet w okresie euforycznego uniesienia, jakie ogarnęło cały żydowski świat po zwycięstwie w Sześciodniowej Wojnie w 1967 roku, że powinniśmy traktować Arabów z szacunkiem, że nie wszyscy Arabowie

są źli i nie każdy Izraelczyk z definicji zostaje aniołem. Od czasu tej rozmowy byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Kilka dni później zadzwoniłem do Ephraima. Dowiedziałem się, że na razie Mosad da mi spokój. Jeżeli podejmę wobec mnie jakieś kroki, zajmie się tym wydział dezinformacji. Ja sam nie będę celem. Wiedziałem, że nie mogę polegać na takich gwarancjach. Gdybym wytknął nos za granice Kanady, nawet wyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych, z dnia na dzień sytuacja mogła się zmienić.

Zdecydowałem prowadzić kampanię wydawniczą „Drugie oblicze zdrady” za pośrednictwem audycji radiowych odbieranych na terenie Stanów Zjednoczonych i Kanady. W ciągu trzech miesięcy, wykorzystując łącza telefoniczne, wystąpiłem w ponad dwustu programach radiowych, a łącza satelitarne umożliwiły mi udział w serii programów telewizyjnych.

W Toronto pojawiłem się w programie „Good Morning America” Charlesa Gibsona, który okazał się równie czarujący w roli gospodarza programu, jak i dociekliwego dziennikarza. Z ogromną przyjemnością wystąpiłem w programie, który oglądałem od chwili, gdy pojawił się na ekranie po raz pierwszy.

Następnie zaliczyłem „Lany King Show”. W międzyczasie zniesiono zakaz sądowy. Mogłem już otwarcie poruszać wszystkie tematy, ale za to rozmowa przed kamerami zmieniła charakter, nie była to przyjacielska pogawędka, raczej słowna utarczka. Chcąc zbudować napięcie w trakcie godzinnego programu, realizatorzy zaprosili do studia Amosa Perelmutera, profesora z American University w Waszyngtonie. Od samego początku stało się dla mnie jasne, że Perelmuter entuzjastycznie wcielił się w rolę rzecznika państwa Izrael, a to, co słyszał o mojej książce - przyznał, że jej nie czytał - nie przypadło mu do gustu.

W takich programach nigdy nie miałem wystarczająco

dużo czasu, aby zapędzić w kozi róg Perelmutera i innych „wcielonych obrońców Izraela”. Skąd wiedzieli, że wszystko, co mówię, to tylko kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa? To ja, ja służyłem w, Mosadzie, a nie oni. Nie rozumiałem, jak ci lojalni Amerykanie, skorzy bez zastanowienia zaakceptować każde błoto, jakim obrzucane jest CIA, z takim zaciętrzewieniem bronili agencji wywiadowczej obcego kraju, o której powszechnie wiadomo, że prowadziła działalność szpiegowską na terenie Stanów Zjednoczonych (na przykład sprawa Pollarda) i nie cofała się przed podejmowaniem kroków godzących w interesy Stanów Zjednoczonych (weźmy choćby jeden z wielu przypadków, aferę Lavona² w Egipcie).

Pierwszą falę wściekłości spowodowało ujawnienie w książce, że Mosad z wyprzedzeniem wiedział o słynnym samobójczym zamachu bombowym w Bejrucie (posiadając dane nawet o marce i kolorze samochodu, w którym podłożono materiały wybuchowe), ale nie przekazał informacji wywiadowi amerykańskiemu. W październiku 1983 roku zginęło dwustu czterdziestu jeden żołnierzy piechoty morskiej USA, kiedy samochód wylądowany po dach środkami wybuchowymi wyleciał w powietrze tuż obok ich baraków w Bejrucie. W wielu przypadkach cytowano tę opisaną w książce historię wiryując ją z kontekstu, przez co słuchacze odnosili

² Afera Lavona: wydarzenia związane z aferą Lavona miały miejsce w latach pięćdziesiątych i koncentrowały się wokół osoby Pinhasa Lavona, ówczesnego ministra obrony Izraela. Kilku egipskich Żydów zorganizowano w komórkę terrorystyczną, której zadanie polegało na sabotowaniu amerykańskich celów w Egipcie. Zamierzano w ten sposób doprowadzić do pogorszenia stosunków między Egiptem i Stanami Zjednoczonymi. Plan zawiódł, wszystkich mężczyzn aresztowano. W Izraelu doszło do długotrwałego kryzysu politycznego. Nigdy nie ustalono, kto dał rozkaz przeprowadzenia tej hańbiącej operacji, toteż cała odpowiedzialność spadła na Lavona, jako ministra obrony.

wrażenie, iż Mosad wiedział, że celem zamachu będą amerykańskie oddziały. Nie była to prawda.

Krzykliwe nagłówki w gazetach pomogły wynieść książkę na pierwsze miejsce listy bestsellerów „New York Timesa”, gdzie utrzymała się przez dziewięć tygodni. „Drugie oblicze zdrady” dostała się na listy bestsellerów niemal we wszystkich dwudziestu kilku krajach, w których się ukazała. Przełożono ją na piętnaście języków (hebrajskiego wśród nich nie było) i do końca roku sprzedała się na całym świecie w liczbie przekraczającej milion egzemplarzy.

Interwencji Belli w ostatniej chwili zawdzięczam, że w książce nie znalazły się nazwiska ludzi pracujących dla Mosadu. Nie miałem nic przeciwko temu, Ephraim również. Wiedzieliśmy, że po opublikowaniu książki wszyscy będą spaleni, a ujawniając ich nazwiska, być może, uratowalibyśmy im życie. Ostatecznie przystałem na propozycję żony i zmieniłem nazwiska.

Niewiele to pomogło. Izraelska prasa odmalowała mnie jako diabła wcielonego. Pewien izraelski dziennikarz we wstępniaku do kolejnego wydania gazety napisał, że ktoś powinien palnąć mi kulę w łeb. Inny stwierdzał, że powinno się przywiązać mnie do pala, aby każdy obywatel Izraela mógł przyjść i napluć mi w twarz. Tylko nieliczni rozsądnie zauważali: „Może w tym, co on mówi, jest ziarno prawdy...”

Ponieważ książkę przetłumaczono na tak wiele języków, spotykałem się z ludźmi z całego świata i odpowiadałem na ich pytania. Ku mojej radości, w miarę upływu czasu coraz więcej faktów opisanych w książce uzyskiwało potwierdzenie, a coraz mniej osób wątpiło w moją wiarygodność.

Przeniósłem się do większego domu i rozpocząłem nową karierę. Miałem zamiar napisać powieść. Zdawałem sobie sprawę, że tworzenie fikcji literackiej to wyzwanie zupełnie innego rodzaju niż pisanie książki w rodzaju „Drugie oblicze zdrady”, lecz jednocześnie czułem, iż na bazie moich

doświadczeń mógłbym osnuć fascynującą fabułę. Stoddart zdecydował, że da mi szansę, za co byłem mu bardzo wdzięczny.

Nadal regularnie rozmawiałem z Ephraimem. Dowiedziałem się od niego, że komisja izraelskiego parlamentu badająca „afere Ostrowsky'ego” doszła do konkluzji, że jedynym błędem było wcielenie mnie w szeregi Mosadu. Co do zmian wewnątrz Mosadu, to były wyłącznie kosmetyczne. Publikując książkę, zdołałem podkopać grunt tylko pod kilkoma płótkami, funkcjonariuszami średniego szczebla, których obwiniono o zwerbowanie mnie i wyzucono z Mosadu.

Lękano się, że komisja może ustanowić nadzór nad funkcjonowaniem Mosadu, toteż podjęto działania mające zapobiec ewentualnym skutkom takiego nadzoru. Zacieśniono związki z organizacjami sterującymi ruchem osiedleń-
czym na Terytoriach, zwerbowano „szpiegów” w Ministerstwie Obrony i armii.

- Mam wrażenie, że wciąż masz jeszcze robotę do wykonania - rzekł Ephraim. - W otoczeniu nowego szefa pojawiły się postacie dużo groźniejsze niż ktokolwiek, kogo znałeś za twoich czasów.

- Obecnie, gdy znajduję się na świeczniku, niewiele mogę zrobić.

- Zobaczymy, czas pokaże. Na razie daj się ponieść prądowi. Tylko pilnuj, aby utrzymać się na powierzchni.

Przyjąłem ostrzeżenie bardzo poważnie, pamiętając, z których ust pada.

29

Rok 1991 nie był dla Mosadu dobrym rokiem, ale okazało się to dopiero pod jego koniec. Z początku wszystko układało się jak należy. Na tronie zasiadł nowy naczelnik i ku uciechu większości oportunistów, był to człowiek z wewnątrz. Biuro skutecznie przeciwstawiło się rządowi, który zamierzał powołać na to stanowisko generała spoza wywiadu. Co więcej, Mosad miał teraz swego człowieka na najważniejszym fotelu w państwie: urząd premiera sprawował Icchak Szamir. I był to człowiek, który lubił, gdy przypomiano jego przeszłość w Mosadzie (choć niczym się nie wyróżnił, był przeciętnym funkcjonariuszem, bez znaczących osiągnięć na koncie).

Tym razem człowiek z wewnątrz zajął najwyższą pozycję w hierarchii na drodze naturalnej sukcesji, jasno dając do zrozumienia, że od tej pory nie ma mowy o mianowaniu szefa spoza organizacji. Na pancerną powierzchnię Biura położono kolejną warstwę teflonu, przez co skorupa otaczająca Mosad bez przerwy była pełna brudu, ale na zewnątrz nie było go widać.

Nowy szef przejął biurko po poprzedniku i nie wprowadził żadnych zmian w organizacji, czym zadowolili swych towarzyszy broni. Doszło jednak do osłabienia więzi między Mosadem a armią, ustanowionej wcześniej przez generała mianowanego na naczelnika Biura. Teraz szef znowu wywozcił się ze struktur Mosadu, nie znał wojska i nie miał dla niego szacunku. Nowy szef postrzegał najwyższych rangą

oficerów armii jako primabaleriny, mięczaków wymagających ciągłej opieki i niezdolnych do podjęcia trudnych decyzji bez przywdziewania żelaznej bielizny (jak zwykły mawiać, kiedy był jeszcze kierownikiem działu za moich czasów w Mosadzie).

- Trudno będzie nam coś zdziałać. Jedyne, co możemy teraz zrobić - mówił Ephraim - to wystawić Mosad służbom jakiegoś kraju, ale powinniśmy skoncentrować się na jednym kraju i próbować zmienić ich nastawienie.

- Przecież już to robiliśmy. I co z tego wynikło?

- Posłuchaj, wiem o pewnych działaniach na terenie Norwegii. Może wybierzemy ten kraj i zobaczymy, co się stanie? Co mamy do stracenia?

- Czy kiedykolwiek brałeś pod uwagę uderzenie od wewnątrz, szczególnie gdy zawiodły wszystkie próby dokonywane z zewnątrz?

- Zawsze biorę to pod uwagę. Zaufaj mi, jeśli byłaby jakakolwiek szansa na to, żebym przejął berło, zrobiłbym to. Teraz jednak zabezpieczyli sobie stółek na Bóg wie jak długo. Jak długo Szamir będzie premierem, nie ma szans na jakiegokolwiek zmiany. On nienawidzi całego świata, a jak lepiej odegrać się na wszystkich, niż za pośrednictwem Mosadu? Nienawidzi Busha za upokorzenie, jakiego doznał w Waszyngtonie, gdy wypomniano mu gwarancje spłaty pożyczek. Nienawidzi Brytyjczyków. - Urwał i po chwili dokończył: - Cóż, zawsze nienawidził Brytyjczyków. Nie ufa Francuzom i doskonale wiemy, co myśli o Arabach i wszystkich innych nacjach.

- Więc co teraz?

- Mam w Norwegii przyjaciela, który zna dziennikarza gazety „Oftenposten”. Mogę poprosić go, żeby zasugerował temu dziennikarzowi, aby skontaktował się z tobą i sprawdził, czy nie dałoby się wykroić jakiegoś artykułu z Mosadem z roli głównej.

- A jest jakiś materiał na artykuł?
- Pewnie.

Omówiliśmy szczegóły i okazało się, że w materiale znajduje się wiele odniesień do dokumentów, które znalazłem z czasów pracy w referacie duńskim. Musiałem tylko poczekać na telefon i ruszyć sprawę z miejsca. Nie spodziewaliśmy się wiele po tej akcji, ale było to lepsze niż siedzenie z założonymi rękami. Wprawdzie zacząłem pisać powieść, jednak zdawałem sobie sprawę, że są ważniejsze rzeczy.

Czułem, że gdyby doszło do zmian w izraelskim rządzie, byłaby szansa na rozmowy pokojowe. Zmieniłem nieco rozkład celów. Teraz nie chodziło już tylko o uprzykrzenie życia Mosadowi. Zamierzałem dobrać się do rządu. Dla mnie 1991 rok miał być bardzo dobrym rokiem.

Po kilku dniach zatelefonował do mnie z Norwegii dziennikarz, który przedstawił się jako pan Stangheler. Stwierdził, że pracuje dla norweskiej gazety „Ofteposten” i chciałby zadać mi kilka pytań. Później obsypał mnie komplementami, żeby zapewnić sobie moją przychylność, powiedział, że moja książka bardzo mu się podobała i ma nadzieję, iż napiszę jeszcze jedną, etc, etc. W końcu przeszedł do sedna. Chciał ode mnie usłyszeć, czy wiem o jakiegokolwiek działalności Mosadu w Norwegii.

Wy tłumaczyłem mu, że nigdy nie miałem do czynienia z referatem norweskim, ale mogę przybliżyć działalność operacyjną Mosadu w Danii, o której dość wyczerpująco pisałem już w mojej książce. Powiedziałem, że nie mam najmniejszych wątpliwości, iż Mosad jest równie aktywny w Norwegii, jak w Danii. Gdyby zechciał poświęcić trochę czasu na prywatne dochodzenie, z przyjemnością mu pomogę, wskazując kierunki poszukiwań i analizując zdobyte przez niego informacje. Zaproponowałem, że naszkicuję mu, co moim zdaniem, dzieje się na terytorium Norwegii. Do niego będzie należało już tylko wypełnienie konturów barwami,

czyli uzupełnienie ogólnej idei o fakty odkryte w toku dochodzenia.

Dziennikarz był wniebowzięty, a ja wiedziałem, że wkrótce dam Mosadowi kolejnego, bolesnego prztyczka w nos - jeśli tylko nie wycofa się ze wszystkich operacji prowadzonych w Norwegii. Szybko stało się jasne, że Biuro kontynuuje swą normalną pracę, czyli podle wykorzystuje przyjaźń z dobrym sojusznikiem, aby w odpowiednim czasie wystawić go do wiatru.

Powiedziałem mojemu nowemu przyjacielowi, że Mosad najprawdopodobniej dąży do ustanowienia bliskich więzi z lokalną inteligencją, głównie na średnim szczeblu. Nitki tworzonej pajęczyny można odszukać wśród nazwisk ludzi pracujących w policji i wywiadzie, którzy wyjeżdżali do Izraela na różne seminaria. Wskazałem też drugi tor poszukiwań, sugerując bliższe przyjrzenie się uchodźcom palestyńskim, występującym o azyl w Norwegii. Podobnie jak to czyniono w Danii, Mosad pewnie zaproponował norweskim służbom specjalnym przyjacielską pomoc, która polegałaby na wyszukiwaniu wśród napływających uchodźców potencjalnych terrorystów. Proceder udzielania przez Mosad takich gwarancji bezpieczeństwa opisałem w mojej książce właśnie na przykładzie Danii.

Zapewne Mosad złożył propozycję wysłania do Norwegii ekspertów, którzy po przybyciu na miejsce otrzymywaliby od norweskich służb specjalnych norweskie dokumenty osobiste. Eksperci przesłuchiwaliby azylantów w zrozumiałym dla nich języku (czyli po arabsku i z użyciem brutalnej siły fizycznej). Potem Izraelczycy tłumaczyliby rozmowę i przekazywali Palestyńczyków w ręce norweskich kolegów. Tym sposobem uniemożliwiliby przeniknięcie do kraju ludzi mogących sprawić kłopoty i utrzymali Norwegię z dala od brudnych, krwawych gier prowadzonych na Środkowym Wschodzie.

Powiedziałem mu jeszcze, że nie mam najmniejszych wątpliwości, iż funkcjonariusze policji i służb wywiadowczych są szczerze przekonani o słuszności swego postępowania. Dla bezpieczeństwa kolegów z Mosadu utrzymują wszystko w tajemnicy przed politykami, którym w sprawach zachowania środków bezpieczeństwa ufać nie można.

Stangheler znalazł się na najlepszej drodze do ujawnienia największego skandalu wywiadowczego w historii Norwegii. Kontaktowaliśmy się sporadycznie. Telefonował o najdawniejszych porach, prosząc o radę. Zaczęliśmy pracować nad artykułem w styczniu 1991 roku, a w sierpniu był już gotów do publikacji i na początku września poszedł do druku. Norwegowie zapalali słusznym oburzeniem. Tajne służby plątały się w niejasnych wyjaśnieniach. Moje podejrzania co do działalności Mosadu sprawdziły się niemal w stu procentach i choć przyczyniłem się do ujawnienia afery tylko w niewielkim stopniu, Mosad będzie wiedział, kto rzucił mu w twarz zgniłym jajkiem.

Artykuł ujawnił zjawisko, które *można* określić mianem intymnych związków między Mosadem a norweskimi tajnymi służbami i policją. Norweskie służby specjalne zaopatrywały personel Mosadu w norweskie dokumenty i korzystały z jego usług w salach przesłuchań, gdzie przepytывano Palestyńczyków występujących o azyl w Norwegii.

Oficerowie Mosadu przesłuchiwali Palestyńczyków w języku arabskim, mimo że większość Palestyńczyków płynnie mówi po angielsku, a funkcjonariusze policji norweskiej również doskonale znają ten język. Rzecz w tym, że w policji norweskiej nie było nikogo, kto mówiłby po arabsku, toteż nikt nie miał pojęcia, jak przebiega przesłuchanie. Tymczasem prowadzący je oficer Mosadu groził Palestyńczykowi, że będzie natychmiast deportowany, jeśli nie podejmie współpracy z Izraelem - i mówił to w obecności norweskiego policjanta. Czasem, gdy żaden Norweg nie

brał udziału w rozmowach z azylantem, na groźbach się nie kończyło i przesłuchanie przybierało bardziej represyjny charakter.

Po publikacji artykułu norweski minister sprawiedliwości, Kari Gjesteby, zarządził przeprowadzenie śledztwa w tej sprawie. Zrobiono to, oczywiście, aby zadowolić opinię publiczną, gdyż podniosły się głosy, że cała afera jest drugim przypadkiem pogwałcenia przez Izrael niepodległości Norwegii (za pierwszy taki przypadek uważano wydarzenia w Lillehammer z 1974 roku, kiedy to Mosad zamordował marokańskiego kelnera, myśląc go z Ali Hassanem Salamehem ¹).

W wieczór poprzedzający publikację artykułu w „Ofteposten” Stangheler zatelefonował do mnie z Norwegii. Było już bardzo późno, jego głos brzmiał jakoś dziwnie. To śmiał się, to płakał, prosząc o wybaczenie i bez przerwy powtarzając, że naprawdę nie zrobił tego z rozmysłem. Rozłączył się, a ja zachodziłem w głowę, co mogło się stać. Przyszło mi do głowy, że ktoś przyparł go do muru tuż przed opublikowaniem artykułu. Mógł być w niebezpieczeństwie, ale nie znałem nikogo w Oslo i nie mogłem skontaktować się z Ephraimem, aby sprawdzić, czy Mosad czegoś nie kombinuje. Zatelefonowałem do Franka Esmana, dziennikarza duńskiej rozgłośni radiowej, rezydującego w Nowym Jorku. Streściłem mu sytuację. Zadzwoił do kilku znajomych w Norwegii, którzy zawiadomili policję w pobliżu miejsca zamieszkania Stanghelera. Po kilku godzinach nerwowego wyczekiwania dowiedziałem się, że policja odwiedziła Stanghelera w domu i znalazła go pijanego jak bela. Okazało się, że telefonował do mnie po bibie, jaką urządził

¹ Ali Hassan Salameh: znany również jako Czerwony Książę, o którym*yni mówiono, że był głównym planistą masakry na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium. Później został zlikwidowany przez Mosad w Bejrucie.

z okazji zakończenia pracy nad artykułem, a ja źle zinterpretowałem jego wylewność.

Stangheler miał powody do świętowania. Norweskie organizacje stojące na straży praw azylantów, znane pod nazwą NOAS, złożyły pozew przeciw tajnym służbom, w którym stwierdzano świadome pogwałcenie paragrafów 325 i 121 norweskiego prawa karnego. W kilka dni po ukazaniu się artykułu Svein Urdel, szef tajnych służb (*Overvaakintjeneste*), złożył rezygnację.

Norweskie środowiska polityczne próbowały przedstawić całą aferę jako zwykłe nieporozumienie, ale Ephraim powiedział mi, że za pośrednictwem tajnych kanałów Norwegowie wyraźnie dali do zrozumienia, że nie będą tolerować jakiegokolwiek aktywności Mosadu na terenie Norwegii. Na dowód poważnych zamiarów odwołali swego łącznika z Tel Awiwu i zażądali, aby łącznik Mosadu nie odwiedzał Oslo aż do odwołania. Był to dla Mosadu prawdziwy cios.

Po wydarzeniach w Norwegii, Mosad otrzymał kilka podobnych policzków w twarz, w czym - stwierdzam to z dumą - miałem swój udział. Czego nie osiągnąłem książką (czyli nie przekonałem Izraelczyków, że Mosad jest omylny), udało mi się uzyskać dzięki całej serii wpadek izraelskiego wywiadu. Choć obywatele Izraela wciąż widzieli w Mosadzie boga, był to już nieco gorszy bóg niż przedtem.

Podczas gdy Stangheler prowadził swoje śledztwo, Eli, z którym nie chciałem mieć nic do czynienia, odwiedził mnie w Kanadzie i powiedział, że ma zamiar opuścić Mosad, ponieważ nie jest w stanie dłużej znosić otaczających go ludzi. Stwierdził, że więcej niż połowa nowych rekrutów wywodzi się z szeregów mesjanistycznych sekt religijnych. Jeśli za moich czasów wydawało mi się, że atmosfera w Mosadzie jest parszywa - mówił - to nie mogę sobie wyobrazić, jak jest tam teraz. Obecnie połowa personelu Mosadu zamieszkiwała baraki osiedleńców na okupowanym

Zachodnim Brzegu. Już to pozwoliło mi zorientować się, jak dalece Mosad przesunął się na prawą stronę. Eli chciał wiedzieć, czy mam jakieś dojsście do amerykańskich służb specjalnych.

Nie miałem żadnych, poza numerem telefonu, pod który od czasu do czasu przekazywałem informacje od Ephraima. Było już za późno, żeby wykorzystać go jako dwustronny kanał łączności, ponieważ teraz każdy, z kim będę się kontaktować, może podejrzewać, iż szukam materiału do nowej książki. Poza tym żadna agencja wywiadowcza nie pała sympatią do kogoś, kto ujawnił sekrety macierzystej organizacji. Nigdy nie wiadomo, czyje sekrety ujawni następnym razem.

Udało mi się jednak zdobyć zaufanych przyjaciół, którzy ochotniczo zaangażowali się w pozytywne rozwiązanie problemów narodu palestyńskiego. Niektórzy z nich mogli mieć odpowiednie koneksje, ale pociągnąłbym za sznurki tylko w naprawdę bardzo ważnej sprawie, a ludzie, do których zwróciłbym się o pomoc, powinni dokładnie wiedzieć, o co chodzi.

Ephraim podobno wiedział o podróży Eliego do Stanów Zjednoczonych i stwierdził, że chyba też zorganizuje sobie coś w Stanach. Miał tu rodzinę i bez problemu mógł uzyskać zieloną kartę.

- Coś mi się wydaje, że ostatni będzie musiał zgasić światła na lotnisku Ben-Gurion - powiedziałem, nawiązując do starego dowcipu, który często opowiadano w czasie depresji poprzedzającej wojnę sześciodniową. Wojna, oczywiście, całkowicie odmieniła nastroje.

Obaj wybuchliśmy śmiechem i rehotaliśmy przez dłuższą chwilę, odrobinę redukując napięcie towarzyszące nam od samego początku rozmowy.

Właśnie wtedy, rozmawiając z Elim, zidałem sobie sprawę, że zaszedłem znacznie dalej niż on. Eli, a także Uri, wciąż

wierzyli w syjonistyczny sen, byli bardziej podobni do ludzi, których znałem w Izraelu, moich przyjaciół i rodziny. Nawet jeśli uczestniczyli w działalności, którą większość Izraelczyków uważałoby za przejaw ekstremizmu, robili to dlatego, że głęboko wierzyli w sens ideologii, syjonistycznej ideologii.

Ja nie podzielałem już tej wiary. Dla mnie państwo Izrael nie było już spełnieniem starożytnego marzenia. Teraz uważałem je za urzeczywistnienie koszmaru wrogości, ponurą twierdząc o murach zbudowanych z rasistowskich uprzedzeń, zza których wymachuje się białą--niebieską flagą ciemniejszego ludu. Nie chciałem dłużej tkwić w tym koszmarze. Moje obecne działania sprowadzały się do pokazania ludziom wymachującym flagą ich oczywistych wad, aby zastanowili się nad swoim postępowaniem i skorygowali obrany kurs. Może wtedy będą mogli przyłączyć się do rodziny narodów świata na równi z innymi.

- Planują coś na Cyprze - rzekł Eli i wcisnął mi do ręki kartkę papieru. Wyglądała na stronę wyrwaną z niewielkiego notatnika.

- Co to jest?

- Numer telefonu na Cyprze. Posterunku policji. Masz do nich zadzwonić i powiedzieć, że ktoś włamał się do tego budynku.

- Co to za budynek?

- Nie mam pojęcia i wcale nie chcę wiedzieć. Ephraim powiedział, że powinienes zadzwonić pojutrze. Dopilnuj, żeby zrobić to dokładnie o piątej trzydzieści czasu cypryjskiego.

- To wszystko, co wiesz?

- Wiem tylko, że będzie tam zespół Yarid, robiąc coś, czego robić nie powinni.

- To mi wystarczy - stwierdziłem.

Eli nie zatrzymał się długo. Był zawstydzony tym, że opuszcza Mosad i kraj, wyczułem również, że nie czuje się dobrze w moim towarzystwie. Nie potrafiłem tego wytłumaczyć, ale ja również czułem się z nim nieswojo, toteż nie zatrzymywałem go, choć krążyło mi po głowie milion pytań i byłem niezwykle ciekaw jego odpowiedzi.

Wtorek, 23 kwietnia 1991 r.

Zatelefonowałem o ustalonej porze i po blisko dwudziestu minutach ślęczenia przy aparacie udało mi się dotrzeć do komendanta posterunku, którego poinformowałem o wtargnięciu intruzów do biurowca.

Nie zrobiłem na nim wielkiego wrażenia, ale po sprawdzeniu adresu i upewnieniu się, że trzy szczytowe piętra budynku zajmuje ambasada irańska, postanowił posłać kogoś na miejsce. Jak się okazało, zespół Yarid, składający się z sześciu osób, czterech mężczyzn i dwóch kobiet, nie spodziewał się jakichkolwiek kłopotów. Aby nie ściągać na siebie uwagi, zameldowali się na wyspie w dwóch różnych hotelach i udawali turystów. Dwóch mężczyzn zajęło pokój przyległy do apartamentu, w którym planowano zorganizowanie stacji nasłuchowej. Sprzęt został już zainstalowany i w każdej chwili mógł zacząć odbierać sygnały z pluskiew, jeśli tylko pluskwy zostaną umieszczone na miejscu przez pozostałych członków zespołu.

Jedna para miała wejść do budynku i założyć pluskwy na przewody telefoniczne, podczas gdy druga para miała zająć pozycje przed budynkiem, aby w razie kłopotów ostrzec instalatorów. Tak czy inaczej, wszyscy byli maksymalnie rozluźnieni. W końcu, byli członkami wielkiego Mosadu. Cóż mogło się stać?

Otóż mogło, mogło.

Stojący na ulicy nie czuli się dobrze na otwartej przestrzeni i postanowili wejść do wnętrza budynku, aby pomóc przyjaciołom w ich pracy. Dzięki temu szybciej wykonaliby zadanie i mogliby przejść do bardziej rozrywkowej części operacji - wypoczynku i zabawy na koszt Mosadu.

Tak naprawdę nie mogli być pomocni, skoro tylko jeden z członków zespołu był tak zwanym ekspertem w zakładaniu podsłuchu - tylko on jeden mógł wykonywać właściwą pracę. Wszyscy pozostali stali obok i działali mu na nerwy.

Był w trakcie dopasowywania przewodów telefonicznych do schematu technicznego, który przyniósł ze sobą, i przy mierzał się do oddzielenia przewodów linii irańskiej ambasady, gdy do pomieszczenia wszedł policjant. Cała czwórka tłoczyła się przy otwartych drzwiczkach szafki telefonicznej, ściskając w dłoniach urządzenia podsłuchowe, aby podać je ekspertowi, gdy tylko znajdzie właściwe przewody.

Policjant był równie zaskoczony jak wszyscy przyłapani przez niego członkowie zespołu.

- Co tu robicie? - zapytał, najpierw po grecku, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, również po angielsku.

Cała czwórka rzuciła na ziemię wszystko, co trzymała w rękach, a potem zwróciła się twarzą do policjanta. Wymienili spojrzenia, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

Ran Sofę², dowódca zespołu, przemówił jako pierwszy. Trzydziestotrzyletni weteran Yarid miał stać przed budynkiem razem z Amit Litvin, prowokacyjnie ubraną, aby ściągnąć na siebie uwagę w przypadku nieoczekiwanych komplikacji (manewr mógł się zakończyć powodzeniem, gdyby oboje dobrze wykonali swoje zadanie), natomiast David Dąbi i Anna Dolgin mieli w tym czasie instalować pluskwy.

² Ran Sofę, David Dąbi, Anna Dolgin i Amit Litvin: takie nazwiska podali policji i pod takimi nazwiskami zostali postawieni w stan oskarżenia, ukarani grzywną i zwolnieni.

- Szukamy łazienki - powiedział. - Rozumie pan, toalety. Dziewczyny nie mogą już wytrzymać. Wie pan, jak to jest.

Inni pokiwali głowami, jak grupka dzieciaków, przyłapana na grzebaniu w słoiku z konfinyami i próbująca wyłgać się historyjką, w którą nawet oni sami nie wierzą.

Policjant nie wziął tych wyjaśnień za dobrą monetę. Wszystkich zabrał na posterunek policji w centrum Nikozji.

Środa, 24 kwietnia 1991 r.

Cała czwórka stanęła przed sędzią, który uznał zasadność podejrzeń o nielegalne zakładanie podsłuchu i zarządził ośmiodniowy areszt.

Nie trzeba było długo czekać, aby informacja o skandalu przeniknęła do prasy. Rozpętało się piekło. Mosad pociągał za wszystkie sznurki, jakie miał na wyspie, żeby ukreślić łeb sprawie i to jak najszybciej.

Czwartek, 9 maja 1991 r.

Kilka następných dni wypełniły intensywne zabiegi dyplomatyczne i opędzanie się od ciekawskich reporterów. Ostatecznie cypryjskie władze zwolniły całą czwórkę po tym, jak pojmani przyznali się do winy, czyli do wtargnięcia na teren prywatny celem popełnienia przestępstwa. Wyznaczono im grzywnę w wysokości odpowiadającej ośmiuset dolarom USA i zwolniono, oddając w ręce przedstawiciela państwa Izrael.

Przed końcem dnia wszyscy czworo znaleźli się z powrotem w Izraelu, wciąż ukrywając twarze i odmawiając rozmów z dziennikarzami.

Prawie tydzień po tych wydarzeniach skontaktował się ze

mną dziennikarz izraelskiej gazety „Yediot Aharonot”, pytając, czy nie zechciałbym wypowiedzieć się na temat wypadków na Cyprze. Zwrócił się do mnie, ponieważ byłem jedynym byłym członkiem Mosadu, który bez oporów rozmawiał z prasą. I nie było żadnych wątpliwości, że naprawdę jestem byłym oficerem Mosadu, w przeciwieństwie do wielu ludzi twierdzących w przeszłości, że byli agentami izraelskiego wywiadu, choć nie mieli zielonego pojęcia, czym jest Mosad.

Zrobiłem to, o co prosił. Opowiedziałem mu, co się stało na Cyprze, minuta po minucie, ale uprzedziłem, że jest to tylko spekulacja oparta na wiedzy i doświadczeniu. Wysmażył ośmiusetwyrazowy artykuł, który został wstrzymany przez wojskowego cenzora. Wydawca gazety zamierzał wnieść sprawę do sądu, ale przyjaciele z aparatu bezpieczeństwa odradzali taki krok i ostatecznie odstąpił od tej myśli, nie chcąc ryzykować utraty źródła informacji, którymi można karmić czytelników.

Wyglądało na to, że poprzez doprowadzenie do tego mało znaczącego incydentu udało nam się zarysować zbroję Mosadu, wywołać niewielką strużkę krytycyzmu wobec organizacji. Nadal daleko było do strumienia, który był konieczny, żeby zwalić Mosad z nóg, ale zawsze był to jakiś początek.

30

*Środa, 30 października 1991 r.,
Madryt*

Samolot Air Force One wylądował na lotnisku w stolicy Hiszpanii, zaraz potem pasa dotknęły koła drugiego, bliźniaczego Air Force One. Oba jumbo jęty (różnią się jedynie numerami wymalowanymi na kadłubach; jeden przewozi prezydenta, drugi jest rezerwą na wypadek awarii pierwszego, służąc osobom towarzyszącym prezydentowi) przywiozły do Madrytu prezydenta Stanów Zjednoczonych i dużą grupę dziennikarzy na rozmowy pokojowe między Izraelem i wszystkimi arabskimi sąsiadami, włącznie z Syrią i Palestyńczykami, stanowiącymi część delegacji jordańskiej.

Kilka miesięcy poprzedzających spotkanie w Madrycie pozwalało amerykańskiemu prezydentowi wierzyć, że będzie w stanie zmienić wrogie stosunki dominujące w regionie od dziesięcioleci. Aby zmusić prawicowy rząd Icchaka Szamira do posadzenia swego przedstawiciela przy stole obrad i wzięcia udziału w międzynarodowej konferencji pokojowej, wywarł nacisk, na jaki amerykańscy prezydenci bardzo rzadko mieli odwagę się zdobyć. Otóż wbrew wyraźnym życzeniom rozjuszonej społeczności żydowskiej, George Herbert Bush zamroził wszystkie gwarancje kredytowe dla Izraela, które na przestrzeni następnego pięciu lat miały sięgnąć sumy dziesięciu miliardów dolarów. Zamrożenie to nie było karą dla Izraela za budowę kolejnych osiedli

żydowskich osadników na okupowanym Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy (Stany Zjednoczone uważały tę działalność za nielegalną), ale służyło wymuszeniu na rządzie, wywodzącym się z partii Likud, przystąpienia do negocjacji.

W następnej chwili po podjęciu takiej decyzji, prezydent USA znalazł się na czarnej liście każdej organizacji żydowskiej w Stanach i został uznany za największego wroga państwa Izrael. W samym Izraelu, jak kraj długi i szeroki, pojawiły się plakaty przedstawiające prezydenta w typowym dla faraonów nakryciu głowy. Na plakatach widniał napis: „Przeżyliśmy faraonów, przeżyjemy i Busha.” Szamir nazwał poniesienie prezydenta „Am-Bush” [zasadzka].

Uaktywnili się izraelscy posłańcy, docierając do wszystkich zorganizowanych społeczności żydowskich w Stanach Zjednoczonych. Rozpętano kampanię przeciw prezydentowi, poddawano jego decyzje frontalnej krytyce, podsycano atmosferę w mediach, a jednocześnie dobitnie starano się przekonać wiceprezydenta Dana Quayle'a, że nadal jest ich pupilem, a jego reputacja nie ucierpiała w wyniku nagannego postępowania prezydenta.

Ten romans z wiceprezydentem nie był niczym nowym. Była to niemal standardowa procedura, stosowana od samego zarania państwa Izrael. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło się, że prezydent USA nie był w najlepszych stosunkach z Izraelem, organizacje żydowskie wykonywały instrukcję nakazującą zbliżenie do wiceprezydenta. Działo się tak za prezydentury Dwighta Eisenhowera, uznawanego w Izraelu za najgorszego prezydenta w historii Stanów Zjednoczonych (choć, jak na ironię, wiceprezydent Richard Nixon, którego uważali za przyjaciela, natychmiast stał się wrogiem, gdy wprowadził się do Białego Domu). Ten sam mechanizm krył się za silnym poparciem Izraela i społeczności żydowskiej udzielanym Lyndonowi Johnsonowi, który w pierwszym roku swej prezydentury prawie podwoił wielkość pomocy dla Izraela,

a działało się to po tym, jak John Kennedy położył rękę na izraelskim programie badań nuklearnych, będąc przekonany, że jest to pierwszy niebezpieczny krok zmierzający do proliferacji broni jądrowej w tym regionie.

Ta sama strategia określała nienawiść do Nixona i sympatię dla Geralda Forda. Później nastąpił Jimmy Carter, którego rządy, przynajmniej z punktu widzenia Izraela, były jedną wielką pomyłką. Pomyłka ta kosztowała Izrael cały półwysep Synaj, wymieniony za sielski pokój z Egiptem.

Teraz państwo żydowskie stało w obliczu kolejnej inicjatywy pokojowej zaproponowanej przez wsiowego idiotę. Prawicowcy najchętniej zahamowaliby ten proces, ponieważ byli głęboko przekonani, że skończy się on wymuszeniem na Izraelu kolejnych ustępstw terytorialnych. Osadnicy również nie wierzyli, że możliwy jest jakikolwiek kompromis, dając temu najlepszy wyraz nową falą wzmożonej aktywności budowlanej na Terenach Okupowanych, wspieraną przez ministra budownictwa, Ariela Szarona.

Pewna prawicowa klika w Mosadzie oceniła sytuację jako krytyczną, zagrażającą dalszemu istnieniu państwa, i postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce, rozwiązać problem raz na zawsze. Wierzyli, że gdyby nie skrepowane polityką ręce, Szamir wydałby rozkaz rozpoczęcia akcji, którą planowali. Jak wielu ludzi przed nimi, w niezliczonych krajach i administracjach, zamierzali zrobić coś, czego przywódca pragnął całym sercem, ale nie mógł o to prosić - zamierzali wpisać do historii izraelską wersję pułkownika Olivera Northa, tyle że w dużo bardziej zabójczej odmianie.

Dla członków kliki było jasne, że muszą to zrobić. Nie było żadnych wątpliwości, że 30 października, przybywszy do Madrytu na otwarcie rozmów pokojowych, Bush znajdzie się w prawdziwych opałach. W jednym miejscu spotka się tak wielu potencjalnych wrogów, iż madrycka konferencja będzie najlepiej strzeżoną imprezą polityczną roku. Po

pierwsze, będą tam wszyscy przeciwnicy rozmów: ekstremiści palestyńscy, Irańczycy, Libijczycy, nie wspominając zdzięsiątkowanych Irakijczyków, pałających żądzą rewanzu za porażkę w Wojnie w Zatoce.

Hiszpański rząd zmobilizował ponad dziesięć tysięcy policjantów i strażników cywilnych. Dodatkową osłonę mieli stanowić agenci amerykańskich tajnych służb, KGB i służb specjalnych wszystkich krajów zaproszonych do stołu obrad.

Madrycki Royal Pałace był wówczas najbezpieczniejszym miejscem na całej planecie, chyba że napastnik posiadał plany systemu bezpieczeństwa i znalazł w nich jakąś lukę. Mosad znał plany, znalazł lukę i miał zamiar ją wykorzystać. Od początku było jasne, że odpowiedzialność za zamach powinna spaść na Palestyńczyków, raz na zawsze kładąc kres ich irytującemu oporowi i przemieniając ich w oczach Amerykanów w najbardziej znienawidzony naród świata.

Zespół Kidoń pojmał w Bejrucie trzech palestyńskich ekstremistów i przewiózł ich do specjalnej placówki więziennej na pustyni Negew. Byli to Bejjdun Salameh, Mohammed Hussein i Hussein Shahin.

Jednocześnie prezydent Stanów Zjednoczonych otrzymał całą serię pogroźek, z których część była prawdziwa, część wyssana z palca. Klika Mosadu wtrąciła dwa grosze od siebie, aby precyzyjniej wskazać możliwe źródło gróźb, jakim miała być grupa skupiona wokół Abu Nidała. Zdawali sobie sprawę, że nazwisko gwarantuje ściągnięcie i kupienie na nim uwagi mediów, tak więc, gdyby coś się stało, dziennikarze zareagowaliby błyskawicznie, wykrzykując: „Wiedzieliśmy, że tak będzie. Nie zapomnijcie, na jakim kanale usłyszeliście o tym po raz pierwszy!”

Na kilka dni przed otwarciem konferencji hiszpańska policja dowiedziała się, że trójka terrorystów jest w drodze do Madrytu i prawdopodobnie planuje jakąś widowiskową akcję. Mosad trzymał w garści komplet schematów systemu

bezpieczeństwa, toteż członkowie tej kliky bez trudu mogli doprowadzić „zabójców” tak blisko prezydenta, jak tylko chcieli. W powstałym zamieszaniu agenci Mosadu mieli zastrzelić „sprawców”, zaliczając kolejne punkty do koszyczka chwały Mosadu. Oczywiście będą wyrażać żal, że nie udało im się uratować prezydenta, ale przecież ochrona jego osoby nie była ich podstawowym zadaniem. Zabójcy będą martwi, a przy ogromie sił bezpieczeństwa zaangażowanych w ochronę konferencji trudno będzie dojść, gdzie nastąpiło przełamanie systemu zabezpieczeń, za to każdy będzie miał świadomość, że wśród krajów biorących udział w obradach jest kilka takich, które popierają terroryzm, jak chociażby Syria. Nikt nie będzie się zastanawiać, gdzie zawiódł system ochrony.

Według rozeznania kliky Mosadu, w tych okolicznościach jllie można było przegrać.

Ephraim zatelefonował do mnie we wtorek, 1 października.)d razu wyczułem w jego głosie niezwykle dla niego - denerwowanie.

- Mają zamiar ukatrupić Busha - powiedział.

W pierwszej chwili nie rozumiałem, o czym mówi. Myślałem, że ma na myśli doprowadzenie prezydenta do ruiny. Słyszałem o kilku książkach, które przygotowywano do druku, na pełnych obrotach działała oszczerza kampania, w której zarzucano mu udział w aferze Iran-Contras (osobiście wiedziałem, że wszelkie rzekome dowody zostały sfabrykowane).

- Co w tym nowego? Od dawna próbują dobrać mu się do skóry.

- Chcą go zabić, zamordować.

- Co ty wygadujesz? Chyba nie mówisz poważnie. Nie ośmieliliby się.

- Nie zgrywaj naiwniaka - odparł. - Planują zrobić to podczas rozmów pokojowych w Madrycie.

- Dlaczego nie zadzwonisz do CIA i nie powiesz im o tym? Chodzi mi o to, że to już nie jest jakaś tam drobna operacja, w którą nie chcesz być zamieszany.

- Zadzwonię do wszystkich ludzi, których mam w europejskich służbach wywiadowczych. W amerykańskich służbach nie mam przyjaciół, przynajmniej nikogo, komu mógłbym zaufać.

- Jaka miałyby być moja rola?

- Z naszej strony zrobimy, co będzie możliwe, ale nic, co mogłoby przedostać się na łamy gazet. Właśnie ty powinieś dotrzeć do opinii publicznej. Jeśli zorientują się, że Amerykanie wiedzą o ich planie, jest bardzo prawdopodobne, że zrezygnują z jego realizacji.

Wiedziałem, że ma rację. Gdyby udało mi się zwrócić uwagę opinii publicznej na możliwość zamachu, byłoby to więcej niż mogły zdziałać wszystkie agencje wywiadowcze świata razem wzięte. Był jednak jeden problem: nie chciałem wyjść na jeszcze jednego świrusa, który wszędzie dostrzega knowania i spiski. Musiałem wystąpić przed stosunkowo niewielkim forum słuchaczy i liczyć na to, że uda mi się zainteresować odpowiedniego człowieka. Gdyby to nie zadziałało, zwróciłbym się do znanych mi dziennikarzy i włożył karty na stół.

Tak się złożyło, że zostałem zaproszony na obiad wydawany w budynkach parlamentu w Ottawie, gdzie miałem wygłosić referat na zebraniu Środkowowschodniej Grupy Dyskusyjnej, będącej nieformalnym zgromadzeniem wspierającym Narodową Radę Stosunków Kanadyjsko-Arabskich, której przewodniczył były poseł z partii liberalnej, Ian Watson. Zasadniczo przed grupą stwiano dwa cele: informować członków parlamentu i dyplomatów o sprawach, które nie mogły być swobodnie omawiane na łamach prasy, oraz promować dialog na Środkowym Wschodzie.

W spotkaniu brało udział około dwudziestu członków

grupy i kilku parlamentarzystów. Pokróćce przedstawiłem cele Mosadu i scharakteryzowałem zagrożenie, jakie stanowi dla każdej inicjatywy pokojowej w regionie. Wyraziłem też opinię, że trzeźwo oceniając aktualną sytuację, widzę tylko jeden sposób na zaprowadzenie pokoju na Środkowym Wschodzie. Taką szansę daje cofnięcie przez Stany Zjednoczone pomocy finansowej dla Izraela. Zwróciłem uwagę, że duża część tych środków trafia na Zachodni Brzeg, do rąk żydowskich osadników, których osiedla zapewne stanowią największą przeszkodę na drodze do pokoju. Potem poprosiłem o zadawanie pytań.

Zapytano mnie, co Mosad robi, aby powstrzymać rozpoczęty proces pokojowy. Odparłem, opierając się na informacjach z moich źródeł oraz na mojej znajomości Mosadu, że wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby właśnie teraz knuto spisek mający na celu zamordowanie amerykańskiego prezydenta i zrzućenie winy na jakąś grupkę palestyńskich ekstremistów.

Później dowiedziałem się, że jeden z moich słuchaczy zatelefonował do byłego kongresmena z Kalifornii, Pete'a McCloskeya. Coś z mojego wystąpienia przemówiło do jego wyobraźni i poczuł, że nie powinien siedzieć z założonymi rękami, a jego znajomy z Kalifornii był starym bliskim przyjacielem prezydenta USA.

McCloskey zadzwonił do mnie 15 października. Przedstawił się i wyjaśnił, że usłyszał od przyjaciela, co mówiłem na temat prezydenta. Chciał wiedzieć, czy uważam, że naprawdę istnieje realne zagrożenie, czy też była to tylko metafora wygłoszona na poparcie jakiejś tezy. Dałem mu do zrozumienia, że nie posługiwałem się metaforami i mówiąc o zagrożeniu prezydenta byłem śmiertelnie poważny. Wyraziłem przekonanie, że ujawnienie spisku może wystarczyć do wyeliminowania zagrożenia, ponieważ urzeczywistnienie planu byłoby wtedy zbyt ryzykowne.

Powiedział, że za kilka dni mógłby przyjechać do Ottawy. Zapytał, czy miałbym ochotę z nim się spotkać. Nie widziałem powodu, żeby powiedzieć nie, więc umówiliśmy się na 19 października, w najbliższy weekend.

Spotkałem się z nim w hotelu Westin. Przeszliśmy do małej kawiarenki, gdzie przesiedzieliśmy kilka godzin. Zadawał mi dziesiątki pytań, próbując zrozumieć, o czym mówię. Szukał informacji, która przekonałaby go, że zagrożenie jest realne. Nie mogłem powiedzieć, że otrzymałem wiadomość prosto z „jaskini zbójców”, ale dałem mu do zrozumienia, że nie jestem całkiem odcięty od Mosadu. Po raz pierwszy pozwoliłem, aby ktoś się o tym dowiedział. Było to ryzykowne, jednak uznałem, iż powaga sytuacji usprawiedliwia taki krok.

Następnego dnia, w niedzielę 20 października, McCloskey udał się do Waszyngtonu, aby wziąć udział w zebraniu Komisji ds. Służb Narodowych i Społecznych. Zatrzymał się w hotelu Phoenix Park, z którego zatelefonował do Białego Domu i poprosił kogoś z Secret Service. Skierowano go do specjalnego agenta Allana Dillona, urzędującego w biurach Secret Service przy Connecticut Avenue 1050 w Waszyngtonie.

Pete prefaksował Dillonowi krótkie streszczenie naszej rozmowy w Ottawie. Tego samego dnia spotkał się z byłym doradcą Białego Domu z czasów Forda, Donem Penny, który nie zostawił na mnie suchej nitki. Nie byłem zaskoczony, gdy później dowiedziałem się od McCloskeya, co Penny mu powiedział: podobno słyszał od senatora Sama Nunna i innych źródeł w CIA, że jestem zdrajcą Izraela i absolutnie nie można polegać na moim słowie. Dorzucił jeszcze, że jeśli McCloskey pokazuje się ze mną, sam szuka kłopotów. Zabawne, bo gdy już po wydarzeniach w Madrycie Pete ponownie spotkał się z Nunnem, senator nie mógł sobie przypomnieć, żeby cokolwiek mówił na mój temat.

Tymczasem Pete usłyszał od Rowlanda Evansa, powszechnie znanego waszyngtońskiego felietonisty, że pytał o mnie swoje źródła w CIA i dowiedział się, iż jestem „prawdziwy”.

Dwudziestego drugiego października McCloskey spotkał się z agentem Terryem Gallagherem z państwowej agencji zajmującej się ochroną dyplomatów, a później tego samego dnia z Dillonem z Secret Service. Dwudziestego czwartego października Secret Service wyraziła chęć rozmowy ze mną. Za pośrednictwem amerykańskiej ambasady w Ottawie wystosowano formalne żądanie do kanadyjskich służb bezpieczeństwa (CSIS). W rezultacie spotkałem się z przedstawicielem Secret Service w obecności agenta CSIS.

Opowiedziałem o wszystkim, pomijając tylko fakt, że uzyskałem te informacje od czynnego oficera Mosadu. Stwierdziłem jednak, że wciąż mam otwarty kanał komunikacyjny z organizacją, głównie po to, aby pozyskiwać informacje dotyczące mojego osobistego bezpieczeństwa.

Więści o planowanym zamachu przeniknęły do prasy. Całą historię opisał Jack Anderson oraz Jane Hunter, której biuletyn stanowi lekturę obowiązkową dla wszystkich urzędników waszyngtońskich specjalizujących się w polityce na Środkowym Wschodzie.

Byłem przekonany, że niebezpieczeństwo zamachu znacznie zmalało, jednak im mniej czasu spędzi Bush w Madrycie, tym lepiej. Na pewno nie zrezygnowano z wyeliminowania jego osoby, co najwyżej odłożono realizację tego pomysłu. W rozmowie z agentem Secret Service zwróciłem uwagę, że prezydent jest najbardziej narażony na atak znajdując się na pokładzie Air Force One. Może to być pocisk ziemia--powietrze, albo ładunek wybuchowy umieszczony w bagażu wnoszonym na pokład przez niczego nie podejrzewającego dziennikarza, który nie ma pojęcia, iż jakaś część kamery lub aparatu fotograficznego została zastąpiona zabójczym mechanizmem.

Później dowiedziałem się od Ephraima, że po wylądowaniu prezydenckiego samolotu w Madrycie amerykańska ambasada otrzymała telefon ostrzegający przed podłożoną w budynku bombą, w wyniku czego część ambasady ewakuowano. Resztę planu klika Mosadu odwołała. Wprawdzie hiszpańska policja otrzymała nazwiska i rysopisy trzech rzekomych zamachowców, ale nigdy nie wypuszczono ich z więzienia na pustyni Negew. Jakiś czas potem przewieziono całą trójkę do placówki badawczej w Nes Siyyona i zgładzono.

Prezydent wrócił do Waszyngtonu 31 października. Następnego dnia zamierzał odwiedzić swój dom w Kennebunkport w Maine, zniszczony w trakcie huraganów, które zdemolowały całe wybrzeże. Pierwszego listopada Secret Service wręczyło każdemu pasażerowi Air Force One notę następującej treści:

„Mamy sprawnie funkcjonujący system zabezpieczeń samolotu przed atakiem terrorystycznym lub sabotażem. Jeśli istnieje jakiś słaby punkt tego systemu, to jest on związany z osobistym bagażem wnoszonym przez pasażerów na pokład samolotu tuż przed odlotem, prosto z samochodów i wózków transportowych stojących na pasie...”

31

Środa, 30 października 1991 r.

Łącznik Roberta Maxwella z Mosadem nie był zachwycony, słysząc w słuchawce głos magnata prasowego. Maxwell telefonował z Londynu, wykorzystując specjalną zabezpieczoną linię ambasady izraelskiej w Madrycie. Mówił, że koniecznie muszą się spotkać. Miał zamiar przyjechać do Madrytu.

Związki Roberta Maxwella z Mosadem miały długą historię. Z początku Mosad finansował pierwsze wielkie transakcje Maxwella, a później przekazywał mu poufne informacje o dużym znaczeniu dla polityki globalnej. Na początku swej działalności Maxwell otrzymał pseudonim „Mały Czech” i przydomek przyłgnał do niego już na zawsze. Tylko garstka ludzi w izraelskim wywiadzie wiedziała, kim jest Mały Czech, człowiek, który bez końca zasila organizację w środki finansowe, gdy tylko brakuje pieniędzy.

Przez wiele lat Maxwell opłacał kosztowne operacje Mosadu, które nie mogły być finansowane legalnie, a także w sytuacjach, gdy inne niezbyt legalne źródła pozostawały poza zasięgiem, jak w 1991 roku, po inwazji amerykańskiej na Panamę, kiedy wysechł strumień gotówki płynący do Mosadu z handlu narkotykami. Maxwell musiał wówczas sięgnąć głęboko do kieszeni swojej korporacji.

Rzecz w tym, że Mosad użył swego asa o jeden raz za

dużo. Błędem było zwrócenie się do niego z prośbą o zaangażowanie w sprawę o drugorzędnym znaczeniu (mówiąc wprost, w aferę Vanunu), za co magnat prasowy zapłacił wysoką cenę.

Wychodząc z założenia, iż nie ma dymu bez ognia, brytyjski parlament zaczął coś podejrzewać, zwłaszcza że niedawno ukazała się książka, w której amerykański reporter twierdził, iż Maxwell jest agentem Mosadu. Magnat pozwał autora książki do sądu, ale grunt zaczął mu się palić pod nogami. Mosad spóźnił się z oddaniem mu pieniędzy i szanse na uratowanie jego finansowego imperium były coraz mniejsze.

Sytuacja Maxwejla pogarszała się z dnia na dzień, a telefonując do ambasady w Madrycie, nie mógł wybrać gorszego momentu, Izrael był zaangażowany w negocjacje związane z procesem pokojowym, który w przekonaniu szefostwa Mosaou miał doprowadzić do załamania bezpieczeństwa narooowego. Jednocześnie do Biura dotarły wieści o narastającym skandalu, związanym z działalnością Mosadu w Nietnczecn. Skandal wybuchł, gdy Uri powiadomił telefonicznie hamburską policję rzeczną, że właśnie odbywa się załadunek transportu broni na izraelski statek handlowy.

Na uzbrojenie składały się sowieckie czołgi i systemy rakiet przeciwlotniczych, spakowane w wielkich kontenerach oznaczonych znakami wskazującymi, że wewnątrz znajdują się maszyny rolnicze. Wysyłkę zorganizowano przy współpracy z BND, ale bez wiedzy niemieckiego rządu i ministerstwa obrony. Był to ten sam sprzęt, na którego wysyłkę do Izraela w marcu tego roku nie zgodziło się niemieckie ministerstwo obrony, ponieważ wierzono, że byłoby to pogwałceniem niemieckiego prawa zabraniającego wysyłania materiałów i urządzeń zastosowania militarnego do stref zbrojnych konfliktów.

Członkowie prawicowego odłamu Mosadu nie byli pewni, do jakich rozmiarów skandal urośnie. Wciąż mieli w pamięci historię z 1978 roku, kiedy niemiecka policja pozwoliła oficerom Mosadu udawać oficerów niemieckiego wywiadu i przesłuchiwać Palestyńczyków w niemieckich więzieniach. Dopóki sytuacja pozostanie pod kontrolą niemieckiego rządu, nie powinno być źle, ale gdy pojawi się przeciek do prasy, nie można przewidzieć, jak to się skończy.

Jakby tego było mało, dzwonił Maxwell i nalegał na zorganizowanie spotkania w jakiejś bardzo pilnej sprawie. W pierwszej chwili niemal dał się zbyć, ale potem zagrał kartą będącą w gruncie rzeczy zawołowaną groźbą: w obecnej sytuacji, gdy znajduje się pod lupą brytyjskiego parlamentu i mediów, nie będzie w stanie uporządkować swoich spraw finansowych i utrzymać w tajemnicy kontaktu z Kriuczkowem.

Nawiązał w ten sposób (czym podpisał na siebie wyrok) do spotkania, które pomógł zaaranżować, spotkania łącznika Mosadu z byłym szefem KGB, Władimirem Kriuczkowem, aktualnie przebywającym w celi moskiewskiego więzienia za udział w sierpniowym puczu, którego celem było pozbawienie władzy Michaiła Gorbaczowa.

Spotkanie odbyło się na jachcie Maxwella, zakotwiczonym na wodach terytorialnych Jugosławii. Rozmawiano o pomocy Mosadu w zorganizowaniu spisku przeciw Gorbaczowowi. Mosad obiecał zorganizować - przez swoje polityczne powiązania - szybkie uznanie przez Izrael nowego reżimu, jak również pomoc w zakresie logistyki. W zamian Mosad oczekiwał zwolnienia wszystkich sowieckich Żydów, albo raczej wydalenia ich z kraju, co zaowocowałyby olbrzymim exodusem, zbyt wielkim, aby uchodźców wchłonęły sąsiednie kraje, więc ostatecznie ludzki strumień popłynie do Izraela.

Określeni prawicowi członkowie rządu wierzyli, że spot-

kanie z organizatorami puczu było absolutną koniecznością. Zdawali sobie sprawę, że jeśli Związek Radziecki przestanie być wrogiem, to zniknie zagrożenie ze Wschodu, a wtedy znaczenie Izraela jako strategicznego sojusznika Stanów Zjednoczonych ostanie znacznie zredukowane. Całkiem realne stanie się zawiązanie w tym rejonie świata sojuszów między Stanami Zjednoczonymi a narodami arabskimi.

To Maxwell pomógł zacieśnić kontakty Mosadu z byłymi funkcjonariuszami KGB. Prawicowcy uświadomili sobie, że gdyby wyszło na jaw iż Mosad w jakikolwiek sposób brał udział w próbie zamachu na demokratyczne przemiany w Związku Radzieckim, byłby to nokautujący cios dla pozycji Izraela na Zachodzie. Zachód odebrałby to jako akt zdrady. Maxwell poruszył temat udziału Mosadu w puczu, aby wywołać reakcję w formie natychmiastowej pomocy dla swojego walącego się imperium. Jego łącznik poprosił o telefon za kilka godzin.

W kwaterze głównej Mosadu odbyła się w tym czasie narada prawicowców, zakończona podjęciem decyzji o wyeliminowaniu Maxwella. Z początku uczestnicy narady sądzili, że ułożenie i realizacja planu zajmie kilka tygodni, lecz nagle ktoś zwrócił uwagę, że proces można znacznie przyspieszyć ściągając Małego Czecha do miejsca, gdzie Mosad wykona śmiertelne uderzenie.

Poproszono Maxwella, aby następnego dnia przybył do Hiszpanii. Łącznik zapewnił go, że nie ma powodu do paniki - wszystko, zostanie załatwione. Magnat prasowy miał przyplłynąć na pokładzie swego jachtu na Maderę i tam zaczekać na dalsze instrukcje.

Jacht Maxwella, „Lady Ghislaine”, minął Gibraltar 31 października 1991 roku i pożegłował w kierunku Madery, gdzie magnat wysiadł na brzeg. W międzyczasie Mosad przygotowywał się do akcji. W piątek, 1 listopada, odwołano

specjalny zespół Mosadu, wyznaczony wcześniej do osłony rozmów pokojowych w Madrycie. Zespół popłynął do Maroka, na spotkanie z sojusznikiem, który zadbał o wszelki niezbędny sprzęt.

Na początku Maxwellowi powiedziano, że do spotkania dojdzie na Maderze i otrzyma tyle pieniędzy, ile będzie potrzebował do uciszenia hałasu wokół swojej osoby. W późniejszym terminie dostanie dodatkowe środki. Najważniejsze, aby utrzymał wszystko w tajemnicy, gdyż wrogowie tylko czekają na jakiś fałszywy krok, a nic nie uszczęśliwiłoby ich w takim stopniu, jak odkrycie dowodów jego bezpośrednich związków z Mosadem.

Drugiego listopada Mosad dowiedział się, że Maxwell telefonował do syna w Anglii i umówił się z nim na wyspie. Nakazano mu odwołać spotkanie i jednocześnie poinformowano, że ktoś przekaże mu pieniądze na Teneryfie.

Magnat przepłynął na wyspę i zacumował swój jacht w porcie Santa Cruz, a potem zameldował się w hotelu Mency. Kiedy samotnie spożywał obiad w hotelowej jadalni, ktoś przeszedł obok jego stolika i podrzucił następną wskazówkę: nazajutrz rano powinien zjawić się w Los Cristos, po drugiej stronie wyspy. Miał tam przypląć na jachcie, okrążając wyspę Gran Canaria.

Wszystkie te fakty poznałem podczas rozmowy telefonicznej z Ephraimem. Nie miał pojęcia, jak zespół Kidonu zdołał dopaść Maxwella na pełnym morzu, gdy jego jacht płynął między wyspami z prędkością piętnastu węzłów. Wydaje się to niemożliwe, ale między innymi właśnie na tym polega magia działania zespołów Kidoń. Nocą z czwartego na piątego listopada problem Mosadu spoczął w głębi słonych wód Atlantyku.

Po pierwszej autopsji, która zaowocowała większą liczbą pytań niż odpowiedzi, przeprowadzono drugą, tym razem

w Izraelu, pod czujnym okiem funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Wszelkie pozostające bez odpowiedzi pytania zostały ostatecznie pogrzebane na Górze Oliwnej w Jerozolimie, miejscu spoczynku najbardziej zasłużonych bohaterów narodu.

- Uczynił dla Izraela więcej, niż możemy dziś wyrazić słowami - powiedział na pogrzebie Maxwella premier Szamir.

32

Uri odwiedził mnie zaraz po tym, jak ukończyłem swą pierwszą powieść *Lion of Judah*. Od naszego poprzedniego spotkania upłynęło sporo czasu. Od 1991 roku w ogóle rzadko kontaktowałem się z kimkolwiek z kliki. Książka znajdowała się już na rynku w Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Kanadzie, a teraz miała być wydana również w Holandii i Belgii. Pracowałem nad drugą powieścią; poproszono mnie też o udział w promocji *Lion of Judah* w Holandii. Od chwili wydania *Drugiego oblicza zdrady* w 1990 roku nie podróżowałem na drugą stronę Atlantyku i teraz również nie miałem na to wielkiej ochoty. Na tej półkuli układało mi się całkiem nieźle i wolałem nie ryzykować, że nagle wyląduję w więziennej celi w Izraelu. Pytałem o radę Ephraima, a on wysłał do mnie Uriego, który miał omówić ze mną aktualną sytuację.

- Nie grozi ci niebezpieczeństwo - stwierdził beznamiętnie Uri. - Rządy Partii Pracy to nie to samo, co rządy prawicowej Likud. Wiele się zmieniło, nie masz powodu do zmartwienia. Chyba powinienes pojechać, żeby się o tym przekonać.

Wahałem się, ale możliwość odbycia takiej podróży i poczucia po raz kolejny szalejącej we krwi adrenaliny była niezwykle kusząca. Zorganizowałem mały zespół ochrony osobistej, w którego skład weszło trzech studentów uniwersytetu w Ottawie, przygotowywanych przeze mnie do roli agentów ochrony. Wiedziałem, że są bardziej na pokaz niż

do prawdziwej ochrony, ale nie mogłem polegać na żadnej profesjonalnej agencji, ponieważ zatrudniały one licznych Izraelczyków i wielu spośród nich regularnie składało raporty władzom Izraela.

Wiedziałem też, że jeśli pokażę się w asyście jakiegokolwiek ochrony, odstraszy to niektórych ludzi. Z drugiej strony miałem świadomość, że gdyby Mosad chciał podjąć działania przeciwko mnie nie powstrzymałby ich nawet oddział zawodowców z krwi i kości.

W Holandii wszystko poszło jak należy, a na ostatnie dwa dni kampanii reklamowej przenieśliśmy się do Belgii. Znając historię aktywności Osadu w tym kraju i korupcję tutejszych sił policyjnych wiedziałem, że wkraczam do jamy pełnej jadowitych węży. Ephraim jednak zapewnił, że nic mi nie grozi, a to było wszystko, czego mi było trzeba. Ostatniego dnia pobytu w Belgii miałem wystąpić jako gość w jednym z programów telewizyjnych nadawanych z Brukseli. Wszystko było dobrze do chwili, gdy po zakończeniu programu udałem się wraz z moją obstawą do samochodu. Miał czekać, żeby zabrać nas z powrotem do hotelu w Antwerpii, ale nie było ani samochodu, ani kierowcy. Nikt nie potrafił powiedzieć, co się z nim stało. Ktoś ze stacji zaproponował podstawienie innego pojazdu, lecz wyglądało to podejrzanie tak dla mnie, jak i towarzyszących mi studentów. Ponieważ od siedziby stacji telewizyjnej do międzynarodowego lotniska w Brukseli jest bardzo blisko, zdecydowaliśmy się przystąpić do działania. Zamówiliśmy taksówki i rozdzieliliśmy się na grupy. Nasz belgijski wydawca odwiózł mnie i jednego z ochroniarzy do hotelu, a dwóch pozostałych wsiadło do dwóch taksówek. Wyjechaliśmy z budynku stacji w trzech różnych kierunkach, a w czwartym wysłaliśmy jeszcze jedną, pustą taksówkę.

Chciałem jak najszybciej opuścić miasto i dodzwonić się do Ephraima. Jeżeli coś się działo, z pewnością wiedziałby

tym i podpowiedziałby mi, co mam robić. Ostatecznie udało mi się zatelefonować do niego dopiero po północy.

- Halo... - usłyszałem w słuchawce jego zaspany głos.

- Ephraim?

- Tak. Kto mówi?

To ja - odparłem, odetchnąwszy z ulgą, gdyż Ephraim nie wydawał się zaniepokojony.

- Jaki „ja”?

- Victor. Człowieku, obudź się!

- Wcale nie śpię. - Teraz wyczułem w jego głosie napięcie. Victor i jak dalej?

- O co ci chodzi? Ephraim, nie bawią mnie twoje gierki.

- Czyżby to był Victor Ostrovsky?

Zdawał się być szczerze zdziwiony.

- W co ty grasz?

- Jak się miewasz? Gdzie jesteś?

- Dobrze wiesz, gdzie jestem.

- O czym ty mówisz?

- Ephraim, ostrzegam cię. Nie pogrywaj sobie ze mną, nie jestem w nastroju.

- Nigdy nie waż się mi grozić - stwierdził ze śmiertelną powagą. - Nie zrób tego błędu, który popełnił Spiro. Wyrażam się wystarczająco jasno, chłopcze?

- Ty skurwysynu! - powiedziałem tylko i odwiesiłem słuchawkę. Siedziałem w tym głębiej, niż mi się wydawało. Spiro był *sayanem* pracującym dla Mosadu przez wiele, wiele lat.

Był bardzo użytecznym kanałem kontaktowym, gdyż często miał do czynienia z różnymi frakcjami kształtującymi politykę Libanu. Miał brytyjskie obywatelstwo, mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Na kontaktach z Irańczykami i szyitami w Libanie dorobił się ładnej fortuny, ale zgarnął dla siebie jedną działkę za dużo.

Mosad przekazał mu kilka milionów dolarów z przeznaczeniem dla pewnej libańskiej rodziny, która miała

doprowadzić do uwolnienia pojmanego izraelskiego lotnika, Rona Arada. Libańczycy jednak nie chcieli w ogóle ze Spiro rozmawiać, ponieważ dowiedzieli się o jego udziale w aferze Iran-Contras. Spiro zatrzymał pieniądze. Siódmego listopada 1992 roku w jego domu zjawił się zespół Kidoń. Chcieli tylko odzyskać pieniądze, ale coś poszło nie tak i zginęła żona Spiro oraz trójka ich dzieci. Sam Spiro został zabrany na pustynię. Początkowo upierał się, że oddał tych kilka milionów dolarów Libańczykom, ale później zespół Kidoń zmusił go do wskazania miejsca, gdzie ukrył pieniądze. Zaraz potem nakarmiono go trucizną, którą przypadkiem miał przy sobie. Była to substancja służąca do sprawdzania czystości złota wydobytego w kopalni.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że mój czas zaczął się kurczyć. Z samego rana wszyscy zapakowaliśmy się do taksówki i pojechaliśmy do Holandii. Przejechawszy granicę belgijsko-holenderską, poczułem ulgę, ale wiedziałem, że nie będę w miarę bezpieczny, dopóki nie znajdę się w Kanadzie. Z hotelu próbowałem jeszcze zatelefonować do Uriego. Z jakichś powodów nie uzyskałem połączenia.

Już na pokładzie samolotu zdałem sobie sprawę, co się stało. Miałem zamiar podjąć pewne kroki, aby zweryfikować domysły, jednak byłem niemal pewny, iż się nie mylę. W Mosadzie doszło do starcia różnych sił, które zamierzały przejąć ster Biura w swoje ręce. Teraz bezpiecznie można było mówić, że Ephraim i jego klika byli prawdopodobnie jedynymi oficerami w Mosadzie, którzy nie zawiedli. Jeśli właściwie oceniałem sytuację, Ephraim miał szansę otrzymać nominację na szefa organizacji, chyba że mianowano by człowieka z zewnątrz. Według wszelkich znaków na niebie i na ziemi było tylko kwestią czasu, kiedy Ephraim wraz ze swą kliką weźmie mnie na celownik.

Łączyła mnie z nimi bardzo słaba więź, niezwykle łatwa do zerwania, tak więc mój następny krok wydawał się oczywisty. Musiałem odłożyć wszystko na bok i napisać tę książkę, aby każdy mógł poznać to, co robiłem i czego się dowiedziałem.

Teraz dzieło moje jest już skończone. Oddaję je w wasze ręce licząc, że nie będziecie zbyt surowymi sędziami.

